Paz. Ser.

Śląska

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 140.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1875.

Tom czwarty.

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Głów. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

1875.

Дозволено Цензурою.
Варшава 17 Сентября 1875 года.

W drukarni Józefa Bergera, w Warszawie, Elektoralna Nr. 14.

PRAWO POLSKIE W WIEKU XIII-ym,

przedstawił i objaśnił ze źródeł współczesnych Romuald Hube.

(Biblioteka umiejętności prawnych, Seya 1-sza) Warszawa 1875.

W badaniu prawa polskiego nastąpił przed dwudziestu laty stanowczy zwrot, który nie uszedł zapewne świadomości ludzi w studya historyczne u nas bliżéj wtajemniczonych. Mając smutne doświadczenia przed sobą, uznano wówczas dopiéro, że próżną jest rzeczą kusić się o jakikolwiek obraz prawa polskiego, czy to w całości, czy téż choćby w jednéj z licznych jego gałęzi, dopóki się nie zgromadzi większego zapasu z jego nieprzebranych a uległych zupełnemu zapomnieniu źródeł, dopóki się źródeł tych krytycznie nie opracuje i nie przetrawi. Piérwszym, który dalszemu ronieniu niedojrzałych płodów przez młodszą generacyę położył skuteczną zaporę, a pracę około prawa polskiego z dziedziny płonnych domysłów i trudnych już dzisiaj do pojęcia mrzonek, sprowadził na pole trzeźwéj a umiejętnéj rzeczywistości, był nieodżałowanéj pamięci Antoni Zygmunt Helcel. Mąż ten niezrównanego talentu i wiedzy przeniósł na sobie, że gotowe już niemal dzieła swe, ogół dawnego prawa obejmujące, odłożył na bok, a z prawdziwém zaparciem się gorączki autorskiéj, z głębszym, niezmordowanym zapałem rzucił się do pracy, któréj zawdzięczamy piérwszy i drugi tom „Starodawnych prawa polskiego pomników." Młodsze pokolenie wstąpiło w te ślady. Z mniejszym nierównie talentem, bez dobréj historyczno-prawniczéj szkoły, wśród ciągłych politycznych przewrotów, ustrzegło się ono przecież drogi fałszywéj, a działalność swą objawiło głównie w wydawnictwie kilkunastu dyplomataryuszów, którym daleko wprawdzie do doskonałości, ale z których pożytek widocznym jest i rzeczywistym. W ostatnich kilku latach usiłowania nietylko coraz to szerszy zakres obejmowały, ale okazywały coraz to lepsze zrozumienie rzeczy, wyrabiały sobie pewną samowiedzę i na jakości swéj zyskiwały. Zbudziła się krytyka, namiętna nieraz i osobista, ale w gruncie rzeczy zbawienna zawsze i pożyteczna. Coraz to ważniejsze, coraz to śmielsze przedsięwzięcia były zapowiedziane. Czekano ich z niecierpliwością. Nikomu jednak nie przyszło na myśl, żeby materyał dotychczas zebrany wystarczał już do jakiéjś konstruktywnéj pracy, żeby do stworzenia pewnego obrazu dawał dostateczną podstawę. Wtém rozchodzi się wieść, że dziś a jutro ukazać się ma dzieło przedstawiające, na podstawie znanych dyplomatów, całkowity system prawa polskiego w XIII stóleciu. Gdy by nie imię autora, nie ulega wątpli-

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

wości, że wieść tego rodzaju byłaby przyjętą z uczuciem smutku, z przekonaniem, że to znowu jedna z prób płytkiego sądu i lekkomyślności. Usłyszano jednak imię R. Hubego, które nigdy jeszcze nie służyło za płaszcz rzeczy powierzchownéj, skrzywionéj lub nieumiejętnéj. Była więc pewność że się ukaże praca rzetelnéj zasługi i wewnętrznéj wartości. Nie zdawano sobie tylko sprawy z jéj kierunku, z jéj rozmiarów i doniosłości. Ciekawość była nie mała. To też „Prawo polskie w wieku XIII, Warszawa 1875," dzieło o trzystu stronnicach ścisłego druku, w kołach prawem polskiém i historyą się zajmujących, już po piérwszym pobieżnym przeglądzie wywołało powszechną radość, a dla sędziwego autora uczucie czci i prawdziwéj wdzięczności. Przestudyowawszy je sumiennie, poczytujemy sobie za miły obowiązek, szerszą publiczność naukową z niém obznajomić.

Otóż autor zdaniem naszém z téj prostéj przyczyny ustrzegł się najniebezpieczniejszego a tak łatwego popadnięcia w dziedzinę płonnych hipotez i zwodniczych poglądów, i wybrnął ze swego zadania zwycięzko, że ściśle, może nawet zbyt niewolniczo trzymał się téj podstawy, jaką mu do zbudowania jego dzieła dawały same współczesne autentyczne, nieposzlakowane źródła. Wymienia je też na wstępie (str. 16): około trzydzieści dyplomataryuszów (z tych trzy nie drukowane) zawierających blizko 1200 dyplomatów z XIII wieku, przywilej żydowski z r. 1264, księga praw polskich zwyczajowych z XIII wieku, świeżo przez Helcla wydana, statuta synodalne prowincyi gnieźnieńskiéj i t. z. Liber fundationis klasztoru w Henrykowie na Szlązku. Ze źródłami temi zapoznaje autor w krótkości czytelnika z rzeczą bliżéj nie obznajmionego. Wiadomości podane na tém miejscu wystarczają też, aby czytelnikowi dać o źródłach pewne wyobrażenie, są jednak zupełnie niedostateczne, aby mu dać pojęcie o ogromie pracy przez p. Hubego nad zużytkowaniem tych źródeł podjętéj. Zastąpimy w téj mierze zbyt skromnego autora.

Stwierdzoném jest badaniami Helcla, że wiek XIII w Polsce, nie zdobył się jeszcze na żadne statuta i w ogóle na nic takiego, coby na sobie nosiło znamię ogólnéj ustawy. Jedynym chyba wyjątkiem byłby przywilej Bolesława księcia kaliskiego, udzielony żydom w roku 1264. Prawo zwyczajowe panowało wszechwładnie, a przechowywało się i rozwijało w przeświadczeniu prawném narodu i w praktyce rozlicznych sądów i jurysdykcyi. W jednym tylko, o ile wiemy, zakątku rozległéj polskiéj ziemi, tam gdzie prawo polskie zetknęło się najwięcéj z prawem obcém niemieckiém, mianowicie w Prusiech, spisano zwyczaje prawne polskie dla lepszéj pamięci, chociaż była to praca czysto-prywatnéj natury, która na przekształcenie się prawa zwyczajowego w ustawowe, żadnego nie wywarła wpływu, a dochowana tylko w ułomku, zresztą dość lakoniczna, o całości ówczesnego prawa polskiego nie daje zupełnie wyobrażenia. Nie mając więc zasad prawa tego nigdzie zebranych, a pragnący je sobie odtworzyć, trzeba koniecznie szukać ich w szczegółowych aktach prawnych, które były wypływem

ogólnych zasad i w których zasady te się objawiają. Aktów tego rodzaju zdołał nasz autor zebrać tysiąc dwieście, jakto wyżéj już wspomnieliśmy. Są to nadania książąt, wyroki sądowe, zamiany darowizny, działy i t. p. Z każdego z nich daje się zebrać kilka lub kilkanaście szczegółów, odnoszących się zarówno do formy pewnych czynności prawnych, jako téż do wewnętrznéj ich treści. Jeżeli zaś uda się szczęśliwie stwierdzić, że na jedną i tę samą instytucyę prawną zawsze jednako się zapatrywano, że np. sprzedaż nieruchomości następowała zawsze za zezwoleniem panującego; w takim razie wniosek ztąd łatwy, że zezwolenie to, było koniecznym warunkiem ówczesnego prawa, i jedna ze zasad prawa stoi przed nami gotowa. Cała więc praca p. Hubego zasadzała się na tém, ażeby ze wszystkich owych tysiąca dwustu dyplomatów i z innych pomników XIII w. wycisnąć całą treść prawną, szczegóły należące do siebie zestawić, możliwe zasady prawne z nich wywnioskować, zasady te z przepisami złożonemi we wspomnianéj księdze prawa zwyczajowego połączyć, a nakoniec z zasad tych ogólny system prawa polskiego w XIII wieku zbudować.

Gdybyżto dyplomata polskie z XIII wieku były prawdziwie krytycznie wydane, gdyby tekst ich był zupełnie poprawnym; gdyby dyplomataryusze były zaopatrzone w tak zwane rejestra rzeczowe: wówczas praca badacza budującego z gotowych już szczegółów całość, byłaby więcéj przyjemną niż trudzącą i cierpką. Ależ na nieszczęście, nawet najlepsze z dyplomataryuszów naszych nie zaspokoją wymagań prawnika. Autor pragnąc z ich treści korzystać, dopełniać więc musiał przedewszystkiém to, czego zaniedbali uczynić piérwotnie wydawcy, poprawiać tekst, usuwać niezliczone nieraz błędy, wprowadzać we wszystko pewien ład i porządek, pisać przedewszystkiém rejestra. Praca to przyprowadzająca do najwyższéj niecierpliwości, a dzieło p. Hubego gdybyśmy mu wszystkich innych odmówić mieli zalet, miałoby już tę ogromną zasługę, że samo przez się jest jakby jednym wielkim rejestrem rzeczowym do wszystkich znanych dyplomatów XIII stólecia.

Nie jest to jednak sam indeks rzeczowy, wskazówka, za któréj śladem należałoby dopiéro wszystkie dyplomataryusze za każdym szczegółem z osobna przetrząsać; ale jest tam rzeczywiście cała treść naszych źródeł prawnych z XIII wieku zebrana i wyciśnięta. Nie ma jednego szczegółu chwyconego, jak mówią z powietrza, wymarzonego w bujnéj wyobraźni; każde słowo poparte dowodem, najczęściéj przytoczeniem odnośnego źródła w tekście oryginalnym. Z tego więc względu, z tytułem metody naukowéj w wypracowaniu całego dzieła użytéj, przekonani jesteśmy, że autora nie spotka żaden zarzut uzasadniony.

A jednak pomimo tak sumiennego, tak misternego wykończenia szczegółów, tkwi w całém dziele cóś, co nam najlepsze wrażenie, jakiebyśmy z niego odnieść mogli, do pewnego stopnia zamąca. Słyszeliśmy prawników i nie prawników o dziele tém się wyrażających, wszyscy obok największego uznania podnosili, że dziełu p. Hubego brak

jest jeszcze czegoś, aby mogło czytelnika zupełnie zaspokoić i zadowolnić: spróbujmy wytłumaczyć, na czém ten brak się zasadza.

Wielu czytelników książki p. Hubego spodziewało się znaleźć w niéj nietylko obraz prawa polskiego, jakiém ono było w XIII stóleciu, ale zarazem genetyczne prawa tego wytłumaczenie i porównanie go ze współczesnemi prawami ościennych narodów. W takie ramy autor pracy swéj nie oprawił, z pewnością nie dlatego, żeby jéj oprawić nie umiał. Któż inny z pośród żyjących dziś polskich prawników wykazać może tak obszerną znajomość prawodawstw słowiańskich i zachodnio-europejskich, jak ją jeden Romuald Hube posiada? Autor miał więc swój cel, że w rozbiór piérwiastków prawa polskiego i w szersze porównania się nie zapuszczał. Że piérwiastków prawa naszego w książce swéj nie przedstawił, łatwo przychodzi zrozumieć. Autor rozpoczynając pracę swą z r. 1200, pragnął zachować jéj umiejętną ścisłość i nie chciał nawet pobieżnie wkraczać w czasy dawniejsze, które osobnemu, po ogłoszeniu wiekszéj ilości źródeł dopiéro możliwemu, pozostawił badaniu. Trudniéj za to dociec, dlaczego prawo polskie w XIII wieku nie miało być w głównych zarysach zestawione jeżeli już nie z innemi słowiańskiemi prawami, to przynajmniéj z najbliższém nam a dostatecznie już zbadaném prawem niemieckiém? Przyczyny nie możemy odgadnąć, chyba że autor chciał już bezwzględnie pracy swéj zachować cechę ściśle przedmiotowego zebrania i zestawienia materyałów. Dążność ta tak jest zresztą widoczna i w całéj książce tak konsekwentnie przeprowadzona, że nawet prawnik nie znajduje w niéj tego, do czego we wszystkich wykładach prawa jest przyzwyczajonym.

Prawo jest organicznym wypływem pewnego stanu, w jakim się społeczeństwo i państwo w danéj chwili znajduje. Dlatego téż niepodobna jest zdać sobie sprawy z pojedyńczych prawnych przepisów i ich wzajemnego związku zrozumiéć, jeżeli się przynajmniéj w najogólniejszych zarysach nie zna społeczeństwa i państwa, w których prawo to się rozwijało. Otóż p. Hube podając przepisy prawne, ze społeczeństwem i państwem polskiém w XIII wieku, zgoła nas nie obznajamia; prawo publiczne zupełnie wyklucza (str. 24) a o stosunku społeczeństwa do ówczesnego prawa podaje tylko na końcu zbyt zwięzłą i lakoniczną wzmiankę (str. 253):

„Powyższe rozpatrywania, powiada autor, doprowadziły nas do rezultatu, którego może nie spodziewaliśmy się osiągnąć. Stanęło przed oczyma naszemi społeczeństwo w pełni rozwinięte, regulujące wszystkie stosunki życia pewnemi stałemi normami, zarazem pohopne do zmian i nowych dążeń. Nie zbywa mu ani na jasności przewodniczących myśli, ani na środkach wykonania tego, co sobie po swojemu wykonać zamierza. Nie chcemy bynajmniéj przez to powiedziéć, że społeczeństwu temu przyznajemy jakąbądź wyższość nad inne społeczności ówczesne; widzimy tylko, że dość godnie obok nich staje, że w ogóle krąży w zakresie współczesnych pojęć i że nie może być po-

czytaną za społeczność zacofaną, a mianowicie też, że nie zrzeka się dążenia do przekształceń, jakie w tych czasach w różnych stronach tak silnie występują. Zbytecznem byłoby w tém miejscu przywodzić na pamięć, choć w skróconym przeglądzie, cały szereg ważniejszych oznaczeń, na jakie natrafiliśmy przy skreśleniu naszego prawa XIII wieku. Każdy kto je z uwagą przebiegł, dostrzegł zapewne, że przedstawiają nietylko strojną całość, ale że *odpowiadają w zupełności i właściwym potrzebom społeczeństwa przeważnie rolniczego i ogólnym wymaganiom wyższego społeczeńskiego porządku.* Nie wykazują też i inne ówczesne społeczeństwa w tym kierunku obfitszego zasobu ustanowień, a jeżeli w nich obok tego natrafiamy na kombinacye więcéj sztuczne, to głównie przypisać należy zaprowadzonemu w nich systematowi lennemu lub też téj okoliczności, że czerpały wątek do swych praw z prawa rzymskiego,"

Ograniczając się do tak ogólnikowéj wzmianki, nie poświęca też autor żadnego bliższego wywodu systematowi ówczesnego prawa polskiego [1]), lecz w przedmowie (str. VII) wyraża się tylko:

„Co do porządku uszykowania głównych przedmiotów, jak sądzę, przyjęty układ wypływa z natury ówczesnych pojęć."

Ale jaka to była ta natura ówczesnych pojęć? Tego autor nam nie wyjaśnia, a sądzimy że przemilczeniem tak ważnego przedmiotu wielce nas skrzywdził. Gdyby czytelnik znał tak jak to wiadomém było autorowi, zasadnicze pojęcia ówczesnego prawa, gdyby wiedział na których pojęciach wszystkie inne i w jaki sposób się opierały; wówczas dopiéro mógłby sobie z prawa polskiego w XIII w. rzeczywiście zdać sprawę, ugrupować rozległy przedmiot i zapamiętać punkta jego wytyczne, co dzisiaj niemal jest niepodobném. Rzeczy najważniejsze w książce p. Hubego traktowane są zupełnie tak samo jak obojętne szczegóły, brak nacisku na te przedmioty, na które należało koniecznie uwagę czytelnika zwrócić. Tylko prawdziwie umiejętnie wykształcony prawnik zdoła się w książce p. Hubego znaleźć i dopowiedzieć sobie po dobrym rozmyśle to, czego nie powiedział ze zbytecznéj wstrzemięźliwości autor. Obawiamy się zaś wielce, żeby fantastyczne umysły, na jakich nigdy u nas nie brak, nie rzuciły się ze zbytnią skwapliwością na bogaty materyał w dziele p. Hubego podany i nie zaczęły z niego bez należytéj znajomości rzeczy, wyprowadzać potwornych jak zwykle poglądów.

Ośmielamy się wreszcie, lubo z największą ostrożnością, wypowiedzieć zdanie nasze, że gdyby autor obok mechanicznego zestawienia szczegółów postawił sobie był także za zadanie ująć je w całość i umotywować; w takim razie zamiast wieku XIII, byłby był obrał epo-

---

[1]) To co autor powiada na str. 254 i 255 jest tylko rekapitulacyą najważniejszych szczegółów bez podporządkowania ich pod pewne zasadnicze myśli.

kę od r. 1250—1347 za przedmiot swego badania. Podniósłszy tak ciężki zarzut, musimy go szczegółowo usprawiedliwić.

Autor obrał sobie wiek XIII od r. 1200—1300 dlatego, że czasy dawniejsze nie przedstawiają jeszcze dostatecznéj ilości ogłoszonych źródeł, a z drugiéj strony zamierzając przedstawić prawo polskie przed ustawodawstwem Kazimierza Wielkiego, nie chciał wkraczać w wiek XIV-ty, w którym choćby w piérwszéj jego połowie, statutów Kazimierzowskich pomijać już niepodobna. Zresztą ani rok 1200 ani też rok 1300 dla prawa sądowego polskiego nie stanowi żadnego zwrotu i autor też sam podobnego zwrotu nie zaznacza. Natomiast na str. 255 do 258 podnosi, że w ciągu XIII wieku nastąpiło w dziedzinie prawa polskiego zasadnicze przeobrażenie. Wyrobiły się dwa odrębne stany: duchowny, przez wyłączenie osób duchownych z pod jurysdykcyi sądów świeckich, a rycerski przez pełne wykształcenie się oddzielnego prawa rycerskiego; jedno i drugie za pomocą absorbcyi znacznéj części praw książęcych. Za tém poszło poddanie ludności wiejskiéj pod sądownictwo patrymonialne, z wyłączeniem powszechnego, i pogorszenie jéj osobistéj wolności; daléj, niemal zupełne przekształcenie się dawnego systematu sądownictwa. W zakresie prawa prywatnego widocznym jest upadek związków rodowych a możność rozrządzania nieruchomym majątkiem. W prawie karném rozpowszechnienie się kar cielesnych. Znika instytucya „Opola" a wszystko zmierza do uprzywilejowania pewnych klass, do nadania im samorządu. Najdonioślejszym faktem jest wprowadzenie niemieckiego prawa, za którém poszło usamowolnienie gmin miejskich, a powstanie mieszczańskiego stanu.

Zgadzamy się z tém najzupełniéj tém więcéj, że sami mieliśmy już kilkakrotnie sposobność wskazać na niedorzeczność wszelkich dynastycznych podziałów historyi polskiéj, a w najnowszej pracy [1]), oceniając doniosłość prawa niemieckiego w połowie XIII wieku, do Polski na obszerną skalę wprowadzonego, oświadczyliśmy się stanowczo za tém, że w połowie XIII wieku rozpoczyna się nowa dla historyi i dla prawa polskiego epoka, że w połowie XIII wieku, dawna patryarchalna centralistyczna Polska się kończy a nowa patrymonialna na samorządzie wszystkich stanów oparta się wznosi. Przyjmując jednak razem z autorem w połowie XIII wieku początek nowéj epoki, nie uważamy za rzecz właściwą, aby instytucye prawa polskiego z piérwszéj połowy tego wieku, z instytucyami z drugiéj jego połowy, w jednym obrazie przedstawiać. Kreśląc prawo polskie przed rokiem 1250, można pojedyńcze, liczne dyplomata niemieckiego prawa jako wyjątki pozbawione szerszego wpływu, bezpiecznie pominąć. Po roku 1250 niepodobna natomiast całych partyi prawa polskiego bez znajomości spółczesnego prawa niemieckiego w Polsce i bez ocenienia ich wzajemnego oddziaływania zrozumieć i określić. W błąd ten popadł zdaniem na-

[1]) O założeniu sądów wyższych prawa niemieckiego, w Krakowie 1875.

szém p. Hube, wykluczając nawet w drugiéj połowie XIII wieku wszystko, co się do prawa niemieckiego w Polsce odnosi. Wynikła ztąd pewna jednostronność i niekompletność niektórych rozdziałów prawa polskiego, na co w dalszym szczegółowym rozbiorze bliższą zwrócimy uwagę.

Gdyby natomiast autor pracą swoją objął był czas od r. 1250 do 1347, to jest epokę, w któréj prawo polskie na nowych podstawach się rozwijało, aż do chwili kiedy się na piérwsze ustawodawcze prace zdobyło; w takim razie obraz prawa polskiego przez niego podany, nietylko byłby uderzał swą wewnętrzną jednolitością, ale zyskałby był niezmiernie na bogactwie wewnętrznéj swéj treści. Odpadłaby wprawdzie niezbyt stosunkowo wielka ilość dyplomatów z piérwszéj połowy XIII stólecia, które do dawniejszéj epoki należą, ale natomiast przybyłaby niezmierna ilość dyplomatów z piérwszéj połowy XIV wieku w materyał prawniczy nieskończenie zasobna. Co więcéj, nie ulega już wprawdzie po pracach Helcla wątpliwości, że ustawodawstwo polskie na szersze rozmiary dopiéro ze statutami z r. 1347 się rozpoczyna, zdanie to i p. Hube na str. 27 swego dzieła wyraźnie podziela, jednakże z drugiéj strony rzeczą niemniéj jest pewną, że statuty Kazimierzowskie o dawniejszém prawie polskiém dają nam liczne świadectwa, czyto w ten sposób, że dawniejsze zwyczaje utwierdzają, czy téż przez to, że wyraźnie je znoszą i poprawiają. Niektóre nawet postanowienia pierwszego Małopolskiego statutu z r. 1347, jak np. końcowe postanowienia o wynagrodzeniu szkód, zdają się, jak to sam Helcel przyznaje, niewątpliwie wcześniejszéj być daty. Można więc było postępujac ostrożnie zużytkować takie statuty Kazimierza Wielkiego do dopełnienia i wyjaśnienia obrazu prawa polskiego od r. 1250—1347 na innych źródłach zbudowanego.

Na tém kończymy nasze ogólne uwagi a przechodzimy do szczegółów, które w dziele p. Hubego nas zastanowiły.

Najmniéj co do nas zgadzamy się na zdanie autora wypowiedziane w rozdziale I-ym p. t. „Pogląd na prace historyczne nad dawném prawem polskiém." Nie powiemy, żeby rozdział ten słabo był wypracowanym, owszem na każdym punkcie znać tu badacza nad przedmiotem górującego. Ale badacz ten zanadto blizko żył z ludźmi, których działalność mu wypadało osądzić, i dlatego sąd jego albo nie wypadł zupełnie bezstronnie, albo téż ukryty jest dyplomatycznie, że pomiędzy wierszami należy go czytać. To ostatnie dotyczy przedewszystkiém ustępu poświęconego skreśleniu prac Wacława Maciejowskiego. Krótką ale piękną i prawdziwą jest charakterystyka Naruszewicza, Czackiego i Lelewela. Natomiast nazbyt łaskawie obchodzi się p. Hube z J. W. Bandtkiem. Nie wspominając zupełnie o zamęcie wprowadzonym przezeń do prawa polskiego w skutek osławionego swą niekrytycznością i bałamuctwem *Jus polonicum*, podnosi natomiast zbyt wysoko wykłady Bandtkiego, miane w r. 1818 w Uniwersytecie warszaw-

skim, a wydane w r. 1850 i 1851; w szczególności zaś jego historyę prawa polskiego, która jako lepianka luźnych faktów wszystkiém inném raczéj, niż historyą nazwaną być może. Nie wydaje nam się również uzasadnioném zdanie, że „w owéj epoce w literaturach zagranicznych nie było jeszcze podobnie systematycznie i gruntownie obrobionych historyi prawodawstw narodowych," bo przecież przynajmniéj Niemcy posiadali już w latach 1808—1822 monumentalne dzieło Eichhorna, które Bandtkiemu nie było zapewne nieznaném.

Z osobliwszym naciskiem zwraca daléj autor uwagę na historyczno-prawne badania księcia Tadeusza Lubomirskiego. Nie mielibyśmy nic przeciw temu do zarzucenia, i radzi pracom ks. Lubomirskiego przyznajemy jakie mają zalety; ale obeszło nas wielce, że p. Hube na téj saméj stronie swego dzieła (13), któréj połowę ks. Lubomirskiemu poświęcił, dla A. Z. Helcla znalazł tylko miejsce w przypisku w słowach: „Helcel: Przedmowa do tomu I, Starodawnych prawa polskiego pomników. Kraków 1856."

Dalecy jesteśmy od tego, żeby Helclowi w dziedzinie prawa polskiego przypisywać nieomylność; nie jesteśmy tak zaślepieni, żeby bronić bezwzględnie każdego zdania wypowiedzianego przez Helcla, jeżeli nowe źródła jego błędność wykażą: spodziewamy się również, że wyniki badań Helcla nad ustawodawstwem Kazimierza Wielkiego, w miarę odkrywania nieznanych Helclowi źródeł rękopiśmiennych, daléj posunięte zostaną. Z tém wszystkiem jednak jesteśmy najsilniéj przekonani, że gdyby pan Hube ani jedném słowem nie był wspomniał o Bandtkiem, Lelewelu, Maciejowskim i wszystkich innych; gdyby był wprost powiedział że Bandtkie, Lelewel i Maciejowski nie żyli i nie pisali, a natomiast o A. Z. Helclu się rozwiódł: to tego rodzaju pogląd na prace historyczne nad dawném prawem polskiém byłby sprawiedliwszym i prawdziwszym, niż ten, który w dziele jego czytamy. Wstęp napisany przez Helcla do piérwszego tomu Starodawnych pomników, nie jest zwykłym wstępem, jakim najlepsi wydawcy wydania swe krytyczne zaopatrują. Jestto genialna praca, która badania około prawa polskiego oczyściła z błędów, nad których nagromadzeniem pracowały wieki, a natomiast w każdym kierunku nowe, głębokie rzuciła poglądy i dla prawa polskiego zbudowała podwaliny prawdziwéj umiejętności. Praca ta nakreśliła prawu polskiemu po raz piérwszy naturalne granice, otwarła oczy na jego źródła i wskazała metodę badania. Niesłusznie zdaniem naszém przypisuje pan Hube księciu Lubomirskiemu zasługę zwrócenia po raz piérwszy uwagi, na starodawne zapiski naszych aktów sądowych. Zasługi téj ks. Lubomirski sam sobie z pewnością nie rości, ale oddaje ją Helclowi, który jeszcze w r. 1856 piérwsze, prawdziwie doniosłe słowo o zapiskach sądowych, w piérwszym tomie pomników napisał i sporą ilość ich wydrukował. Zasługa i praca nie mogą iść w porównanie z talentem, który na wszystkiem czego się chwycił, piętno głębokiego ducha wycisnął i drogę daleko dla drugich oświecił. Helcla nie mają niewątpliwie Niemcy, bo czyliż

z Helclem może się mierzyć najgłówniejszy wydawca źródeł prawa niemieckiego Homeyer, który niczem więcéj nie był, jak tylko wydawcą i registratorem, lub nawet czyż mu dorównał sam twórca umiejętnéj historyi prawa niemieckiego Ejchhorn, który gotowy krytycznie opracowany materyał, po mistrzowsku w jednę całość stopił? Porównanie z ostatnim wypadą głównie dlatego na stronę Helcla, że Ejchhorn, zużytkowawszy dany materyał, następcom nowych dróg i kierunków badania nie stworzył i nie pozostawił. W skutek tego nauka dawnego prawa niemieckiego przez kilkanaście lat po Ejchhornie, oprócz wykończania szczegółów, żadnych wiekszych nie robiła postępów, zanim w ostatnich czasach Brunner, Maurer młodszy i inni, zwróciwszy samodzielnie uwagę na prawa normandzkie i skandynawskie, nowych nie otwarli jéj torów. Talent natomiast Helcla tak szerokie pola ogarnął i ujął, że pokolenia pracować będą nad wypełnieniem szkieletu umiejętności przezeń postawionego, a każde niemal zdanie w dziełach jego zawarte, podaje wątek do dalszych samodzielnych badań i wiedzie do nowych wyników.

Z pewnym rodzajem gorączki ujęliśmy się za A. Z. Helclem. Uzasadniając zdanie nasze, nie zwracaliśmy się jednak do autora Prawa polskiego w XIII w., któremu to wszystko lepiéj od nas niechybnie jest znaném. Pragnęliśmy tylko dla szerszéj publiczności wypełnić lukę w poglądzie historycznym pana Hubego, przypadkowo zapewne powstałą, która w dziele tak znakomitém mogłaby na fałszywe naprowadzić domysły i rzeczywiście jak to z doświadczenia już wiemy, znanych nam a uważnych czytelników naprowadzała.

Pogląd swój historyczny zakończa pan Hube uwagą, że prawo polskie z XIII-go wieku jest dotychczas zgoła nie obrobioném, podczas kiedy prawo późniejsze, poczynając od statutów wiślickich jest „w ostatecznéj jego formie prawie już obrobione.“ Na piérwsze zgadzamy się w zupełności, na drugie nie możemy przystać. Późniejsze prawo cywilne polskie przedstawioném jest wprawdzie w poważnych i szacownych książkach Dutkiewicza, Burzyńskiego i wykładzie Helcla, świeżo ze spuścizny jego rękopiśmiennéj wydanym. Są to jednakże wszystko podręczniki szkolne, napisane dla użytku młodzieży uniwersyteckiéj, bez pretensyi umiejętnego ogarnięcia i opracowania dawnego prawa polskiego. Opierają się one jedynie na materyale w *Voluminach legum* zawartym. Kto zaś ma dostateczny pogląd na całość źródeł prawa polskiego ogłoszonych już, i jeszcze w zapomnieniu po archiwach ukrytych, ten musi zdaniem naszém przyznać, że stosunkowo źródła z XIII-go i XIV wieku, których jest najmniéj, najobficiéj są ogłoszone i że na dzisiaj prawo polskie najłatwiéj i jedynie z tych dwóch wieków da się umiejętnie w pewnéj całości przedstawić. Już zaś prawo polskie z XV-go wieku, w którém źródła jego nagle w ogromny sposób się mnożą, pomimo ogłoszonych przez Helcla pięciutysięcy zapisków sądowych, przed ogłoszeniem dalszych źródeł, na podobne opracowanie w całości swojéj zaledwie pozwala. O poznaniu zaś pra-

wa polskiego z XVI-go i dalszych stóleci w jego rzeczywistéj a olbrzymiéj treści, za wiele jeszcze lat, zdaniem naszém, nie będzie jeszcze mogło być mowy. Cała bowiem potęga ówczesnego prawa spoczywała nie w ustawach, do których wspomniane wyżéj prace się ograniczają, ale w zwyczaju i w praktyce sądowéj dotychczas zupełnie nieznanéj. Jak drobną, jak małoznaczną część źródeł ówczesnego prawa stanowią ustawy w *Voluminach legum* zawarte, o tém przekona się każdy, kto choćby raz przypatrzy się księgom naszym sądowym XVI i dalszych stóleci i zda sobie sprawę z tego nieprzejrzanego ogromu dosłownie spisanych wyroków i rozpraw sądowych, w których wiele przedstawia się jakby formalne naukowe rozprawy w dziedzinie dawnego prawa polskiego, w których wszystkie ustawy dopiero są wyjaśnione, a ogromne ich luki wypełnione i usunięte. Zdanie więc zbyt różowe przez pana Hubego wypowiedziane, mogłoby przezto stać się szkodliwe, że uwagę młodszych pracowników mogłoby od tych prawdziwych skarbów ojczystego prawa odwracać.

W rozdziale drugim mówi pan Hube o zbiorach źródeł z XIII-go stólecia, o czém wyżéj już wspomnieliśmy, w trzecim o rodzajach obowiązującego prawa. Przedmiot to zasadniczy i niezmiernie ciekawy. Najwięcéj stosunkowo szczegółów zgromadził autor do prawa kanonicznego i rzymskiego w ówczesnéj Polsce. Wykazuje przedewszystkiem ich moc obowiązującą w granicach duchownego stanu i w sprawach małżeńskich, a ogromny wpływ na rozwój prawa świeckiego a osobliwie procesu. „Zaszczepienie powolne na ziemi naszéj, powiada na str. 34-éj, testamentów, darowizn na wypadek śmierci, dożywoci, upowszechnienie tak zwanych posesyi prekaryjnych niewątpliwie wpływowi temu przypisać należy.“ Prawo rzymskie znane było i oddziaływało tylko za pośrednictwem prawa kanonicznego. „O mocy jego posiłkowéj w zakresie prawa naszego ziemskiego nie może być mowy.“ Przytoczone przez autora wyciągi z dyplomatów, zdanie to w zupełności stwierdzają. Jeden tylko spostrzegamy wyjątek. Książe Mściwój, karząc mieszkańców Gdańska w r. 1283, za usiłowanie pozbawienia go życia, powołuje się wyraźnie na prawo rzymskie i znaną ustawę „*Quisquis*,“ mówi bowiem: „*considerato quod huius modi crimen tam secundum canones, quam secundum leges poena capitis et privatione bonorum omnium puniatur*.“

Ustęp ten z XIII-go wieku stwierdza więc zdanie przez professora Bojarskiego świeżo wypowiedziane i uzasadnione [1]), że prawo rzymskie w sprawach o zbrodnię majestatu miało rzeczywiście w Polsce znaczenie prawa pomocniczego.

Wykluczywszy natomiast prawo niemieckie z zakresu swego badania, z lekka go tylko autor na str. 29 dotyka i o wpływie jego ogro-

[1]) Dwa zabytki sądownictwa polskiego karnego z XVI-go wieku, w tomie I rozpraw wydziału historycznego Akademii Umiejętności w Krakowie 1874.

mnym na rozwój prawa polskiego w drugiéj połowie XIII w. nam nie powiada. Żałujemy niemniéj, że pan Hube o rodzajach ówczesnego prawa polskiego szerzéj i szczegółowiéj się nie rozwiódł. Rozróżnia prawo publiczne, które się rozpadało na prawo książęce (*ius ducale*) i na prawo rycerskie (*ius militare*), oraz prawo prywatne. Wolelibyśmy nazwy: prawo polityczne i prawo sądowe, co lepiéj ówczesnym i późniejszym nawet stosunkom odpowiadało, kiedy podział na prawo publiczne i prywatne jest czysto teoretycznym i dopiéro najnowszych czasów umiejętną zdobyczą. W określenie tych rodzajów prawa, autor się nie zapuszcza, bo w takim razie konieczną byłoby rzeczą mówić o ustroju państwa, a pan Hube prawo polityczne w ogóle z góry z zakresu swego badania wyłączył. Rozróżnia daléj prawo statutowe czyli ustawy od prawa zwyczajowego, podając nader trafne uwagi o ich wzajemnym stosunku a wspominając zarazem o znaczeniu prejudykatów; podziałów zato prawa na ogólne i szczegółowe, na powszechne, dzielnicowe, i miejscowe, nie uwydatnia. Nie można tu wreszcie pominąć słów, które w ustach pana Hubego nabierają wielkiego znaczenia: „Czy w wieku XIII-ym wydane zastały obszerniejsze statuta regulujące i systematyzujące większą liczbę stosunków wypływających z prawa ziemskiego, wątpię, choć dawniéj sam utrzymywałem, że ziemia krakowska posiadała już w tym wieku osobny statut, który następnie włączony został do statutów wiślickich. Przekonywam się, że niema na istnienie jego dostatecznych dowodów, a te, które kiedyś przytoczyłem, okazują się zbyt słabemi.“

Rzecz o prawie polskiém kończy autor uwagą, że je wyprowadzano z zasad rozumu (ratio) i z uczucia słuszności (acquitas). Na to się zupełnie godzimy, nie widzimy jednak dowodu na dalsze twierdzenie, jakoby prawo to wyprowadzano także z jakiegoś „prawa natury“ czyto w znaczeniu scholastyki średniowiecznéj, czy téż w znaczeniu nowszéj szkoły prawa natury. Ustęp przytoczony przez autora: „hereditatem sibi debitam iure naturae“ tłumaczymy przez „dobra odziedziczone prawem krwi czyli na zasadzie pokrewieństwa pomiędzy spadkodawcę a spadkobiercę,“ to także znaczenie posiada w prawie polskiém, ius naturae. Wypadało więc może rzecz dokładniéj wyłuszczyć.

Rozdział czwarty nosi napis: „Ludność krajowa.“ Surowa krytyka może wiele rozdziałowi temu zarzucić, przedewszystkiem niekompletność. Gdybyśmy już posiadali wykład prawa politycznego z XIII wieku, w takim razie, to co autor powiedział w rozdziale czwartym, byłoby wystarczającém. Gdy jednak wykładu takiego nie posiadamy i kto wie kiedy się nań zdobędziemy, to na zbytnię wstrzemięźliwość autora w przedstawieniu tego tak ważnego rozdziału, żalić się koniecznie musimy. Autor przechodzi kolejno ówczesne klassy ludności polskiéj, szlachtę, włościan nieswobodnych i swobodnych, mieszczan, duchowieństwo i cudzoziemców; trzyma się jednak jak najściśléj stanowiska prawa prywatnego i tylko o zdolności prawnéj stanów tych mówi. Postąpiwszy natomiast o jeden krok daléj w sferę prawa poli-

tycznego, byłby nam podał obraz ówczesnego społeczeństwa polskiego, do czego studya jego dostateczny mu podały materyał, a obraz ten byłby kompletnym, jednolitym i dla każdego zrozumiałym i jasnym. Tymczasem obawiamy się, że nawet prawnicy którzy ze źródłami prawa polskiego w XIII wieku bliżéj nie są obznajmieni, nie będą mogli wywodów autora w rozdziale czwartym w całéj ich doniosłości zrozumiéć i przyczynowym związkiem ich ze sobą powiązać.

Drugi brak w wywodach autora widzielibyśmy w tém, że nietylko podziału ludności według prawa polskiego, ze spółczesnym podziałem ludności według prawa niemieckiego, nie zestawił, ale nawet całą tak liczną ludność ówczesną w Polsce, która się prawem niemieckiém rządziła, z obrazu swego wykluczył. Podobieństwo pomiędzy ówczesném prawem polskiém a niemieckiém w podziale ludności jest uderzającém, mniemamy zaś, że uwzględnienie prawa niemieckiego byłoby może naprowadziło autora na wyróżnienie więcéj na drobniejszych różnicach opierających się odcieni pośród ludności polskiéj, niż ich w dziele swojém wymienia. Pragnęlibyśmy w każdym razie wiedzieć, czy istnieli lub nie istnieli lub téż o ile istnieli na prawie polskiém obok szlachty i jéj stopniowań t. z. *Schöffenbare Leute* a pośród ludności wiejskiéj t. z. *Biergelden*, *Pfleghaften*, *Landsassen*, *Dienstmannen*, *Eigene Laute* i *Lassen*. Wyrazistość obrazu byłaby na tém niezmiernie zyskała. Odkąd zaś prawie wszystkie miasta i połowa może wsi w Polsce przeszła na prawo niemieckie, co i na osady czysto polskie, niepozostało bez ogromnego wpływu; zdaje nam się, że podając podział ludności w Polsce, należy koniecznie stosunki prawem niemieckiém wywołane uwzględnić, choćby się zresztą same zasady prawa prywatnego nimieckiego zupełnie wykluczyło z badania. Wszakże dowiedzioną jest rzeczą, że osady czysto polskie przyjmując prawo niemieckie, przyjmowały zeń tylko organizacyę społeczną sądową i polityczną, zresztą zaś prawo polskie zwyczajowe zupełnie zatrzymywały już dlatego samego, że z prawem prywatném niemieckiém na zwyczaju i na rzadkich niedostępnych kodeksach polegającém, nie miały sposobu się obznajmić. Co więcéj, nawet osady czysto niemieckie w Polsce, w miarę swéj polonizacyi zapominały o swém prawie prywatném niemieckiém i zatrzymując swą organizacyę sądową i polityczną niemiecką, na polskie przechodziły prawo. Podział więc ludności podług niemieckiego prawa, stał się w ten sposób integralną częścią prawa polskiego, i nienależało go w przedstawieniu prawa polskiego bynajmniéj pomijać. Uwagi nasze na szczegółach dokładniéj uwydatnimy.

I tak wywodzi najpierw p. Hube, że stan rycerski zawdzięcza stanowisko swe majątkowe i społeczne koncessyom panujących. Zdanie to byłoby wtedy dopiero zrozumiałe, gdyby autor wyjaśnił był, z czego panujący robili koncessye, i rostrzygnął kwestyę, czy panujący byli nieograniczonymi właścicielami całéj ziemi i ludności wiejskiéj na niéj osiadłéj. Nie znajdujemy również (oprócz wzmianki późniéj na str. 99 ze stanowiska jedynie prawa majątkowego uczynionéj) podanéj

dokładnéj różnicy pomiędzy folwarkiem rycerza a wsią czyli osadą, która pod jego przechodziła władzę. Niema również wzmianki o stopniowaniu pośród saméj szlachty. Czy różnice występujące tak wybitnie w ustawodawstwie Kazimierzowskiem powstały dopiero w XIV stuleciu?

W ustępie o włościanach przywiązanych do gleby uważamy za rzecz mogącą zbałamucić pojęcia wyrażenia: „Niema więc wątpliwości, że prawo które posiadał nieswobodny do działu swego, tworzyło do pewnego stopnia rodzaj nietykalnéj *własności*“ a nie widzimy dowodu na to „że własności téj bronić mógł przeciw panu.“ Sprzeciwia się temu owszem okoliczność, którą autor daléj podnosi, że pan miał władzę ludzi nieswobodnych z miejsca na miejsce przenosić. O własności téż w stanie włościańskim niemoże być mowy i istniało tylko prawo dziedzicznego ale odwołalnego użytkowania. Prawo księcia, mocą którego włościanom w dobrach swoich dziedziny ich odbierał lub ich z miejsca na miejsce przenosił, uważamy téż za wypływ zwykłéj własności ziemi, nie zaś jakiegoś „wyższego prawa władania,“ bo skoro włościanin nie miał własności, to własność jego pana nie była ani wyższą ani téż niższą, lecz była jedyną. Nie widzimy téż podstawy, na któréj autor jednych czynszowników zalicza do ludzi nieswobodnych (str. 42 nr. 5) w drugich do swobodnych (str. 49 nr. 1). Słowa zaś przywileju Krakowskiego z r. 1257 „polonus liberus“ uważamy, że odnoszą się w ogóle do Polaków, a nawet także do szlachty w przeciwstawieniu do krakowskich Niemców. Czy wreszcie obok ludności wiejskiéj tak zwanéj swobodnéj i innéj nieswobodnéj przywiązanéj do ziemi nie istniała jeszcze trzecia klassa najgorzéj położona, bo i ziemi i wolności osobistéj nieposiadająca, a do osobistych posług obowiązana? autor jéj się nie dopatruje. Sądzimy jednak że bliższe zbadanie owych folwarków szlacheckich, na kwestyę tę niejakie rzuciłoby światło.

Kończąc ustęp o ludności wiejskiéj wspomina autor o kmieciach, o których najdawniejsza wzmianka sięga roku 1241, znaczenia ich wcale nieokreślając. „O ile wnioskować możemy, powiada, pod nazwisko to podciągano tak ludzi swobodnych jako téż nieswobodnych.“ Ograniczywszy się rzeczywiście do prawa polskiego w najściślejszém tego słowa znaczeniu, nie mógł autor więcéj powiedzieć o kmieciach, którzy tylko na gruncie prawa niemieckiego w Polsce zupełnie się dają wyjaśnić. O mieszczanach również tylko króciutka jest wzmianka. „Objaśnią ten przedmiot ci, powiada autor, którzy zajmą się szczegółowém zbadaniem zaprowadzenia i upowszechnienia w kraju prawa niemieckiego.“ Rzeczywiście téż o mieszczanach na prawie polskiém, tylko wnioskując a contrario ze stanowiska przyznanego mieszczanom na prawie niemieckiém, możemy się czegoś dowiedzieć.

Podnieśliśmy w ten sposób kwestye nierozstrzygnięte i wątpliwości, które rozdział czwarty w dziele p. Hubego nam na myśl nasunął. Z tém większą zato skwapliwością pospieszamy, aby zasługę autora w wypracowaniu tego rozdziału i niezmierną jego doniosłość

dla wszystkich prac historyczno-prawniczych wykazać. Przeczytawszy ten rozdział doznaje się takiego wrażenia, jak gdyby się z okolicy zapowietrzonéj, nagle w czyste górskie dostało powietrze. Komuż nieznane są owe brednie, bo dobitniejszego wyrażenia nie znajdujemy, jakich aż do ostatnich chwil chorobliwa prawdziwie fantazya nasnuła takie mnóstwo o dawnéj idyllicznéj wolności polskiego ludu, a przedewszystkiem owych pra-polskich pra-słowiańskich kmieciów. Nazwa „homines liberi“ napotkana w dyplomatach dawała do nich nieustanny wątek. Hube wykazując że nazwa kmiecia na oznaczenie ludu wiejskiego zjawia się dopiero równocześnie z wprowadzeniem niemieckiego prawa w połowie XIII stólecia, a dowodząc że owi „homines liberi“ mieli wprawdzie osobistą wolność ale ziemi nie posiadali, ufajmy że hipotezom wszystkim ostatecznie położył koniec. Ziemia w ówczesnéj Polsce jeżeli nie była jedynym środkiem utrzymania się, to niewątpliwie była jedyną podstawą stanowiska w społeczeństwie i państwie. Ludzie którzy jéj nie posiadali, stanowiska takiego rościć sobie nie mogli, i pod tym względem gorzéj byli postawionymi od ludności przywiązanéj do ziemi. Dopóki więc tylko Polska naprzód postępowała, a zatém niewątpliwie w czasach Piastowskich, stan ludu wiejskiego polepszał się, nie zaś jak dotychczas wychodząc z pojęcia jakichś idyllicznych a w gruncie rzeczy barbarzyńskich czasów przypuszczano, pogarszał, i dopiero wyłączność szlachty, odniósłszy z końcem XV wieku zgubne zwycięstwo i wstrząsnąwszy całym organizmem Polski także niewolę ludu wiejskiego sprowadziła ze sobą.

Cztery rozdziały, o których mówiliśmy powyżéj, stanowią niejako przygotowanie do systemu prawa, który autor w czterech następnych rozdziałach rozwija. Czuć tu na każdym kroku rękę, która po mistrzowsku w tak zawiły i zupełnie dotychczas nieobrobiony przedmiot, rzuca całemi promieniami światło i wprowadza przejrzysty porządek. Autor tłumaczy wszystko z klassycznym spokojem, jasno i zrozumiale. Osobliwszą wdzięczność winniśmy mu za to, że we wnioskach swych nie poszedł daléj, jak same źródła go upoważniały, że wskazywał w wielu miejscach na luki, które tylko przez odkrycie nowych źródeł mogą być zapełnione.

W obiorze systemu prawa niedał się p. Hube uwieść żadnym doktrynerskim poglądom, lecz przedstawił prawo polskie w systemie, w jakim rzeczywiście się rozwijało i w jakim je w statutach Kazimierza Wielkiego i w korrekturze z r. 1532 widzimy. Na czele prawo familijne w ówczesném tego słowa znaczeniu, a zatém z prawem spadkowém i z kwestyą alienacyi dóbr familijnych. Daléj prawo rzeczowe własności, z prawami z niego wynikającemi. Wreszcie prawo o zobowiązaniach z umów i z występków, w którém to ostatniém prawo karne się mieści. Jestto ten sam porządek, który w księdze drugiéj i trzeciéj korrektury z r. 1532 napotykamy. Szkoda jedynie, że autor, przyjmując i przeprowadzając ten system, żadném słowem wstępném

go nie usprawiedliwił, przezco niejednemu z teoretyków dzisiejszych może podać sposobność do najmniéj uzasadnionych zarzutów.

W rozdziale piątym, prawo familijne czyli rodzinne obejmującym, brak jest gwałtownych na samym wstępie chociażby kilku słów, któreby wykazywały ówczesne znaczenie rodziny, stosunków ze znaczenia tego wypływających i związku, w jakim pojedyńczy członkowie do rodziny swéj zostawali. Kreśli tu autor najpierw instytucyę małżeństwa na zasadzie ówczesnych synodalnych statutów; mówi daléj o wyprawie, posagu i wianie, oznacza stanowisko męża i żony, a względnie wdowy, bada szczegółowo stosunki prawne dzieci za życia i po śmierci rodziców, dochodzi wpływu i znaczenia pobocznych krewnych, a zamyka rzecz wywodem o spadku, o legatach i testamentach. Wszystkie te jednak szczegóły byłyby wtedy dopiero nietylko jak dziś dla prawnika z prawem polskiém obznajomionego, lecz dla każdego bez wyjątku zupełnie zrozumiałemi, gdyby autor był wspomniał, że rodzina stanowiła wówczas tak ścisłą jeszcze całość, że w niéj samodzielność jednostki pod wielu względami ginęła, że dobra odziedziczone stanowiły własność całéj familii. Z tego tłumaczą się fakta, że każdoczesny ich posiadacz nie mógł niemi (oprócz wyjątków przez prawo kanoniczne zaprowadzonych) bez zezwolenia całéj rodziny ani za życia ani téż po śmierci rozrządzać; że poboczni nawet krewni mieli prawo od innego nabywcy je wykupić, że prawo spadkowe nie miało żadnéj samoistności. Ze ścisłego odgraniczenia dóbr familijnych czyli odziedziczonych od dóbr nabytych, wyjaśniłaby się nawzajem zupełna swoboda w rozrządzaniu temi ostatniemi, a zarazem rozdział majątkowy pomiędzy małżonkami posunięty do tego stopnia, że żona posagiem i wyprawą swą zarządzała nawet za życia męża.

Ostatecznym wynikiem badań autora w dziedzinie prawa familijnego jest spostrzeżenie, że prawo to w ciągu XIII w. doznało wielkiego przeobrażenia. Zaprowadzono najpierw swobodę rozporządzania majątkiem nawet odziedziczonym na korzyść kościoła, co autor wpływem prawa kanonicznego w zupełności tłumaczy. Z drugiéj zaś strony wydobywa autor wiele dowodów, że kobiéta, która w pierwszéj połowie XIII wieku zajmuje jeszcze niezależne stanowisko, posagiem jako własnością swą zarządza, na pozbycie dóbr mężowskich daje swe zezwolenie a dobra nieruchome rodzinne razem z braćmi dziedziczy; w drugiéj połowie tego wieku stanowisko to coraz więcéj traci i zbliża się do stanowiska, które jéj prawo późniejsze naznacza. Mniemamy, że dawniejsze stanowisko kobiéty wyjaśni się wielce zebraniem odnośmych faktów z XII wieku, a stanowisko nowsze stanie się zrozumiałém, gdy w zródłach z pierwszéj połowy XIV wieku się rozpatrzymy. Powodu do tak daleko sięgającego przeobrażenia szukaćby zaś należało w prawie politycznem narodu, które jak to wyżéj już wspomnieliśmy w połowie XIII wieku w nową epokę wstępuje.

W rozdziale szóstym, noszącym napis: „Prawo własności“ a w rzeczywistości całe prawo rzeczowe obejmującym, pragnęlibyśmy

przedewszystkiem zwrócić uwagę czytelnika na wyborne a ściśle na źródłach oparte określenia nazw: posiadanie pełném prawem lub na wieczność (possessio pleno iure seu in perpetuum), posiadanie prawem dziedzictwa czyli dziedzictwo (hereditas), własność (proprietas), państwo (dominium). Nazwy te utraciły później swą właściwą doniosłość i służyły społem na określenie własności dóbr ziemskich. Autor wywodzi ich pierwotne znaczenie i ich kolejne powstanie, a wywód jego dlatego jest zajmującym i wyczerpującym, że tym razem odstąpił od zasady i nie wahał się wkroczyć poniekąd w zakres prawa politycznego. Dokładnie podane są daléj pojęcia obszarów (territoria), wsi (villae), działów czyli źrebi (sortes), folwarków (allodia, praedia), siedlisk (areae) etc, lubo znów tylko ze stanowiska ściśle prywatnego prawa. Określiwszy pojęcia przynależności (pertinentiae, attinentiae), użytków (utilitates, usus) i granic (termini), podaje autor rodzaje własności, dóbr ruchomych i nieruchomych, dóbr dziedzicznych czyli ojcowizn (hereditates patrimoniales), wysłużonych (deservitae) i nabytych pieniędzmi (pecunia comparatae), rozwodzi się o posiadaniu (possessio), dawności (praescriptio) i użytkowaniu (usus fructus). Jasność i ścisłość wykładu tych trudnych partyi, nic do życzenia nie pozostawia. Z wielkiém natomiast zdziwieniem ujrzeliśmy, że autor o służebnościach w ówczesném prawie tak ważną odgrywających rolę, zaledwie dziewięć wierszy znalazł do powiedzenia, a niezliczone ciężary i uprawnienia gruntowe zupełnie pominął. Czy je do prawa publicznego zaliczył? Zgoła sobie tego nie umiemy wytłumaczyć

Z pośród sposobów nabycia i pozbycia się własności traktuje p. Hube szczegółowo i dokładnie o darowiznie, rozróżniając darowizny książąt na rzecz duchowieństwa, i osób prywatnych, oraz zamiany i kupna. Czy inne sposoby nabycia własności były nieznane, czy téż tylko w źródłach wzmianki o nich się nie znalazły?

W takim razie należało o tém wyraźnie powiedzieć. Pominął tu autor przedewszystkiem sposoby nabycia rzeczy ruchomych, w szczególności zaś zawłaszczanie, oraz rzecz o ich dzierżeniu i posiadaniu, o czém dałoby się niemało powiedzieć, bo liczne wzmianki źródeł o szkodach polnych oraz o kradzieży obfitego dostarczają materyału.

O ile jednak zdziwiliśmy się, dlaczego prawo rzeczowe w niektórych ważnych partyach tak mało jest rozwinięte, o tyle pojmujemy zupełnie, że o zobowiązaniach niedało się więcéj powiedzieć, jak to autor w rozdziale śiódmym dzieła swego na sześciu kartkach uczynił. Nie spodziewaliśmy się nawet, żeby z aktów XIII wieku dało się tyle zebrać wiadomości nietylko o wyłuszczonych już poprzednio darowiznie, zamianie i kupnie, ale także o pożyczce, zastawie, poręce, najmie, dzierżawie, pełnomocnictwie, zobowiązaniu do wynagrodzenia szkód, a wreszcie o kaucyi juratorycznéj, karze konwencyonalnéj i ugodzie sądowéj.

Rozdział natomiast siódmy, prawo karne przedstawia w książce p. Hubego całość do pewnego stopnia zaokrągloną, bo oprócz dyplo-

matów księga prawa zwyczajowego dostarczyła obfitego materyału. Autor nie szukał w nim sztucznie dzisiejszych zasad filozoficznych, których prawo XIII wieku nie znało, ale przedstawił nam w dwóch głównych działach najpierw rodzaje przestępstw, jako takie podówczas uznanych, a następnie systemat kar, któremi przestępstwa te zagrożono. Przestępstwa dzieli na prywatne, któremi prawa osób prywatnych naruszone zostały, i publiczne, skierowane przeciw osobie księcia i jego prawom zwierzchniczym. Sądzimy atoli, że podział przestępstw należało z innego jeszcze stanowiska uwydatnić t. j. ze stanowiska, kto miał prawo żądać ukarania przestępcy: pokrzywdzony, czy też osoba publiczna t. j. książe i jego urzędnicy. Należało uwzględnić, o ile niektóre cięższe pokrzywdzenia osób prywatnych zaczęto już uważać jako naruszenie publicznego pokoju i porządku, i o ile je karano z urzędu nawet w razie, jeżeli pokrzywdzony lub jego krewni nie wnosili żałoby. W wieku XIV różnica ta przestępstw występuje całkiem wyraźnie, a nazwa „crimen publicum“ odnosi się nietylko do wykroczeń przeciw panującemu, ale także do cięższych zbrodni popełnionych na osobach prywatnych.

Najwszechstronniéj i najszczególniéj opracował p. Hube systemat kar; wytłumaczył wszystkie ich rodzaje, podniósł stosunek kary do wielkości przestępstwa, rozświecił kwestyę nadzwyczaj ciekawą, o ile „Opole“ odpowiadało za zbrodnię popełnioną w jego okręgu, i uwydatnił zasadniczą cechę ówczesnego prawa polskiego, która polegała na tém, że wszystkie sądy orzekały na kary pieniężne, a tylko książe kary cielesne t. j. karę śmierci, ucięcia członka etc. wymierzał. Ciekawe są nader ustępy, w których autor tym razem zastanawia się dokładnie nad wpływem prawa kanonicznego i prawa niemieckiego na rozwój systemu kar właściwego polskiemu prawu. Prawa kanoniczne dodawało ekskomunikę i konfiskatę dóbr na rzecz kościoła, prawo niemieckie wpłynęło stanowczo na zwiększenie się kar cielesnych i na ich rozpostarcie się nawet po sądach miejscowych. Ostatni ustęp poświęcony jest zestawieniu prawa karnego zawartego w księdze prawa zwyczajowego, z którego się okazuje, że prawo osad polskich w Prusiech, tylko w nieznacznych postanowieniach różniło się od ogólnego polskiego prawa.

Na rozdziale ósmym kończy się system prawa, w dwóch następnych przedstawioném jest sądownictwo i proces. Obraz sądownictwa podany w rozdziale IX ma największą doniosłość dla zrozumienia ówczesnego ustroju państwa i społeczeństwa polskiego i życzyć sobie koniecznie należy, ażeby w dziełach historycznych został jak najprędzéj zużytkowanym. Opracowanie jego jest pod każdym względem znakomitém. Staje tu plastycznie przed oczami naszemi sądownictwo książęce na wiecach i na dworze książęcym. Wiadomości zebrane z dyplomatów nader są obszerne i szczegółowe. Dowiadujemy się o miejscu i czasie, w których sądy te się odprawiały, poznajemy ich skład i ich zakres działania. Na osobliwszą uwagę zasługują wiece.

Znając ich znaczenie na polu sądownictwa, łatwiéj o wiele przyjdzie nam zbadać znaczenie ich na polu administracyi i ustawodawstwa. Niezmiernie pouczającym jest ustęp o sądach kasztelańskich, które w pierwszéj epoce państwa polskiego tak wielką odgrywały rolę, w drugiéj chyliły się gwałtownie do upadku, a w r. 1454 i 1496 ostatecznie upadły, przezco ludność nasza włościańska utraciła do reszty stanowisko swe w państwie. O sądach wojewódzkich i stosunku ich do kasztelańskich, brak źródeł nie pozwolił autorowi wyrzec stanowczego zdania; tém cenniejszemi są skazówki, które z wielkim trudem wydobył, a które może kiedyś dadzą się wyjaśnić i uzupełnić.

Mniéj zato zadawalniająco wypadła cała rzecz o sądownictwie patrymonialném czyli poddańczém, bo sądownictwo to, ze stanowiska samego prawa polskiego, ani przedstawić ani téż ocenić się nieda. Wprowadzenie prawa niemieckiego i jego sądów sołtysich lub wójtowskich i dworskich, sprowadziło w tym względzie stanowczy przełom, i wpłynęło na ograniczenie działalności sądów powszechnych a na wprowadzenie sądów poddańczych nietylko w gminach niemieckich ale i w ogóle we wszystkich polskich osadach. Nawet w tych ostatnich zaczęły się rozwijać sądy miejscowe na wzór niemieckiego prawa, chociaż z pewnemi zmianami, a cały ten ruch, chętnie przyjęty przez włościan, zmierzał do samoistności osad, do wyzwolenia ich z pod uciążliwéj nieraz, bo dalekiéj lub samowolnéj jurysdykcyi. Niestety, był to miecz obosieczny, bo z chwilą kiedy rozpoczęło się skupowanie sołtystw przez panów, zniknął samorząd a nie było opieki państwowéj. W XIII wieku nie da się nawet ściśle odróżnić, które przywileje odnoszą się do osad na prawie polskiém a które do osad na prawie niemieckiém; w wielu oba rodzaje osad wspólnie przedmiot nadania lub rozporządzenia stanowią. Dlatego téż obraz sądownictwa w dobrach biskupstw polskich i dwónastu głównych klasztorów podany przez p. Hubego, jakkolwiek nader ciekawy, jest nader jednostronnym i niekompletnym, wkracza często mimowoli w prawo niemieckie a całkowicie go nie wyczerpuje.

Pozostaje nam jeszcze podnieść w książce p. Hubego ogromną ważność rozdziału X-go zawierającego rzecz o procesie, czyli jak go autor trafnie nazywa, o przewodzie sądowym. Rzecz dziwna. Niema w całéj dziedzinie dawnego prawa polskiego działu, którymbyśmy mogli się tak słusznie poszczycić, jak nasz proces. Kiedy w Niemczech już w XVI wieku rozwój procesu na zupełnie błędne i fałszywe wszedł tory; kiedy zasada inkwizycyi i pisemności zwyciężyła bezwzględnie i dziś jeszcze wymogom umiejętności się skutecznie opiera: w Polsce zdrowe zasady skargowości, jawności i ustności postępowania, nietylko nigdy się nie zachwiały, ale owszem coraz to silniéj, coraz to wszechstronniéj uwydatniały się w późniejszym rozwoju procesu. Pomimo to jednak niema rzeczy, którąby w dziedzinie umiejętności naszéj prawniczéj tak dalece leżała odłogiem, jak właśnie dawny polski proces. Nieskończenie téż wdzięczni jesteśmy autorowi, że nas zarysem procesu pol-

skiego z XIII-go wieku obdarzył. Autor przechodzi go naturalnym porządkiem, w którym sprawa się rozwijała. Dowiadujemy się o skardze i o pozwie, daléj o czterech rokach (terminach) sądowych, ich znaczeniu i skutkach; o przypozwaniu i wsteczy, następnie o środkach dowodowych, dokumentach, świadkach, przysięgach, przyznaniu się i oględzinach sądowych: wreszcie o wyroku i egzekucyi. Osobno uwydatniony jest proces karny, a w nim rozwinięta instytucya ordaliów czyli sądów Bożych.

Gdybyśmy rozdziałowi temu chcieli coś koniecznie zarzucić, musielibyśmy uskarżyć się, że autor poprzestał tylko na zestawieniu wzmianek znalezionych w źródłach. Tam gdzie wzmianki te są szczupłe i o całości nie dają wyobrażenia, uważamy za słuszne, że autor do podania faktów się ogranicza. Ale wiadomości o procesie są dość obfite i szczegółowe, tak że do umiejętnego opracowania i przedstawienia przedmiotu dają dostateczną podstawę. Należało więc zdaniem naszém wydobyć ogólne zasady ówczesnego procesu, przez co proces ten byłby się stał zrozumialszym, a wartość jego wewnętrzna byłaby się uwydatniła. Szukaliśmy téż napróżno rozbioru najważniejszéj kwestyi w każdym procesie, t. j. tak zwanego *prawa* lub *ciężaru* dowodu. Materyału do obrobienia téj kwestyi nie brakło, bo gdzie tylko mowa jest o środkach dowodowych, tam zarazem jest powiedzianém, która ze stron je przedstawiała.

Dzieło swe zamyka pan Hube dodatkiem, w którym objaśnia historycznie często już wspomnioną „Księgę prawa zwyczajowego z XIII wieku," opisuje jéj odkrycie, jéj treść, system i pochodzenie. W tym ostatnim względzie odstępuje autor od całkiem ogólnego zdania Helcla, że księgę tę spisał Niemiec na prawie niemieckiém się rozumiejący, a przechylając się do zdania *Volkmanna* stara się dowieść, że powstała w Prusiech, a służyła jako podręcznik dla Krzyżaków, którzy o prawie polskiém w dzielnicy ich w wielu osadach obowiązującém, pragnęli mieć dokładną wiadomość. Kwestya ta, jak autor przyznaje, tylko odkryciem nowych źródeł da się ostatecznie rozstrzygnąć. Tymczasem nader pożyteczną byłoby rzeczą, gdyby ktoś zestawił przepisy owéj księgi z przepisami choćby tylko „Zwierciadła saskiego," bo podobieństwo przepisów w wielu razach, jak z pobieżnego przeglądnięcia można łatwo rozpoznać, idzie daleko. Stosunek wzajemny obu praw niezmierniebyś się przez pracę tego rodzaju rozświecił.

Rzecz pana Hubego o księdze prawa zwyczajowego dopełniamy wzmianką o artykule Henryka Brunnera, jednego z najznakomitszych dzisiejszych professorów prawa niemieckiego, umieszczonym w *Kritische Vierteljahresschrift für Gezetzgebung und Rechtswissenschaft von Pötzl und Windscheid XII Bd. München 1870*, w którym Brunner stara się dokładniéj czas powstania księgi prawa zwyczajowego oznaczyć; księga ta, powiada autor artykułu, zestawia stanowisko sędziów polskich ze stanowiskiem margrabiów i niektórych książąt niemieckich. Musiała więc powstać po Zwierciedle prawa saskiego, które

w księdze III, 68, § 1 i III, 64 § 7 tylko margrabiom pod własną powagą sądzić pozwala, a przed Zwierciadłem szwabskiém, bo w czasie napisania Zwierciadła szwabskiego, udzielanie kaźni królewskiéj (banni regalis) sędziom, istniało tylko w terrytoryach duchownych (Lassberg Art. 92, 115 cf. 141). Témsamém księga prawa zwyczajowego musiała powstać między rokiem 1230 a 1270.

Przeszliśmy całe „Prawo polskie w wieku XIII-ym“ podnosząc w grubych zarysach jego zalety i braki. Poprawiamy ostatnie wyrażenie, gdyby je ktoś chciał brać w znaczeniu błędów. Błędów oczywistych zasadniczych w dziele pana Hubego niema, a przynajmniéj myśmy ich nie umieli wynaleźć. Dostrzegliśmy tylko w niektórych punktach luki, które należy zapełnić; zwróciliśmy uwagę, że niektóre ustępy dadzą się na podstawie materyału przez pana Hubego zestawionego dokładniéj i wyraziściéj przedstawić. Wyrażając więc raz jeszcze autorowi naszą prawdziwą i głęboką, a sądzimy powszechną wdzięczność za obdarzenie nas tak cennem dziełem, wypowiadamy przekonanie nasze, że o ile dzieła Helcla rzuciły piérwszą podstawę do rozpoznania źródeł prawa polskiego, o tyle praca pana Hubego jest niezaprzeczenie piérwszą, która nam podała obraz prawa polskiego z jednego wieku, w sposób umiejętny, w całém tego słowa znaczeniu.

Michał Bobrzyński.

PAMIĘTNIK Z POBYTU W AMERYCE.

PRZEZ

Krystynę Narbuttównę.

(Dokończenie).

VII.

Dnia 25 kwietnia. Kongres coraz czynniejszy, znalazło się wiele kwestyi jeszcze nierozstrzygniętych a ważnych, które na gwałt domagają się stanowczéj decyzyi. Ogólne jest niezadowolnienie z wykazu budżetu finansowego; zatrważający niedobór w skarbie państwa, zmusza obie izby do ciągłych debatów nad zaprowadzeniem coraz nowych a niezupełnie pożądanych zkądinąd oszczędności. Ze wszystkich biur rządowych usunięto połowę klerków; więc wyrzekanie tych co bez miejsc pozostali. Armię liczącą dotąd tylko dwadzieścia siedem tysięcy, zmniejszono na siedmnaście, a jednak rozległe granice Stanów Zjednoczonych i potrzeba utrzymania w szachu niepokojących ciągle plemion indyjskich i meksykańskich rabusiów, na to zmniejszenie i tak już zbyt małéj siły zbrojnéj, niezupełnie pozwala. Flota jak

się okazało w takim jest stanie, że funkcyonować nie może; od lat dziesięciu, to jest od ostatniéj wojny nic nie zrobiono dla jéj utrzymania i summy na ten cel asygnowane ze skarbu, zwykłym trybem szły w ręce prywatne. Kwestya floty codziennie znaczną część szpalt dziennikarskich zajmuje i słuszne a ogólne wywołuje nieukontentowanie, tém bardziéj, że świeżo tak niedołężnie załatwioną została kwestya z Hiszpanią. Kwestya ta w skutek osłabienia tego państwa przez teraźniejszą wojnę domową, mogłaby Stanom Zjednoczonym sprowadzić nieobliczone korzyści, gdyby nie to, że z powodu iż Stany w obecnéj chwili flotą swoją rozporządzać nie mogą, musiano opuścić tak dobrą zręczność, a zatargi zakończono w sposób nawet dla honoru Stanów ujemny. Wszystko to niepokoi prawdziwych patryotów, a ciągłe prywatne bankructwa i stagnacya w handlu niepokoją ogół; wszyscy z upragnieniem oczekują przesilenia finansowego: bodajby prędzéj nastąpiło, bo taki stan może doprowadzić do jakiegoś wzburzenia; fabryki codzień upadają i w samym New-Yorku już więcéj podobno nad sześćdziesiąt tysięcy ludzi jest bez roboty: procent to jednak zbyt wielki, nawet na milionową ludność. Wszystkie te palące kwestye ściągają tłumy publiczności na galerye obu izb, wszyscy wyczekują jakiéjś radykalnéj rady, ale o środek zaradczy na razie nie tak łatwo, jeżeli *od tak dawna na to zło składało się tyle rzeczy.* Patryoci tutejsi na *dobitek złego*, ponieśli dotkliwą stratę w śmierci senatora Sumnera, który kilka tygodni temu zmarł nagle; istotnie był to jeden z coraz już rzadszych tutaj ludzi oddanych całą duszą sprawom publicznym; bezinteresowny a rozumny, znakomite swemu krajowi oddawał posługi: być może iż on jeden pojmował jasno i zdrowo potrzeby swego społeczeństwa i jego niewłaściwy kierunek, z którego usiłował całemi siłami je zwrócić. Jeden z ambasadorów europejskich powiedział mi bardzo trafnie o nim niedawno: *C'est un Americain, qui est le moins Americain.* A kiedy miałam zręczność osobiście poznać go bliżéj, przekonałam się że rzeczywiście zdawał się w wyobrażeniach i dążeniach, jako téż we względzie wiedzy i postępu o wiele wyprzedzać swoją społeczność. Karol Sumner umarł w pięćdziesiątym szóstym roku swego życia, ciało jego odwieziono w asystencyi senatorów do Bostonu, gdzie został pochowany dnia 15 kwietnia 1874 roku.

Przez dwadzieścia dwa lat reprezentował w senacie stan Massachusets. Jak wspomnieliśmy, onto się głównie przyczynił do zniesienia niewoli Murzynów, a przez cały czas zasiadania jego w senacie, w tysiącznych okolicznościach dawał dowody prawości i szczeréj pracy dla dobra ogólnego.

Pomimo wszakże tych wszystkich niepowodzeń, agituje się ciągle projekt wystawy powszechnéj. Jest to przedsiębiorstwo prywatne przemysłowców Filadelfii, ci domagają się u kongresu kilku milionowego forszusu na ten cel ze skarbu; ale członkowie w żaden sposób przy dzisiejszym stanie finansów zgodzić się na ten bill nie chcą i jak się zdaje zupełnie słusznie robią. Prezydent Grant, który trochę przed-

wcześnie rozesłał do państw Europy zaproszenie do współudziału w wystawie, całą siłą popiera bill przedsiębiorców, ale to wszystko napróżno i kilka dni temu izba reprezentantów stanowczo go odrzuciła. Pomimo to jednak przedsiębiorcy nie zdają się upadać na duchu; bill odłożony zostanie do przyszłego kongresu, a przez te kilka miesięcy w Stanach Zjednoczonych wiele rzeczy niepodobnych podobnemi uczynić można: może też i członkowie kongresu zmiękną w swoim oporze a wystawa przyjdzie do skutku.

Tymczasem wiosna już nie w rozwiciu, ale w całéj pełni swojéj: drzewa zielone, przepyszne kwiaty coraz nowe a coraz piękniejsze około domów napełniają tarasy; gęste, wijące się a kwieciste rośliny z rodzaju lijanów okrywają dachy pnąc się po ścianach; skwery przepełnione tak bujną, bogatą a nieznaną u nas roślinnością, że każdy krzew z osobna podziwienie wzbudza. Te gatunki, które u nas tylko w cieplarniach wegetować mogą, tutaj krzewiaste, okryte olbrzymim kwiatem, magnolije i rododendrony tak rozrosłe a wielkie, że jeździec na koniu ukryłby się w nich łatwo; rozmaite gatunki bukszpanów u nas takie drobne, mogące tylko służyć do obsadzenia klombów z kwiatami, tutaj to krzewy ogromne na piętnaście stóp wyrosłe. Lecz mogęż ja wyliczyć wszystkie pysznéj roślinności tutejszéj bogactwa, które co chwila wpadają w oko i podziwiać się każą?

Z nadejściem lata i całe miasto wypiękniało, poweselało; w godzinach popołudniowych na tarasach przed domami, szczebioczą z sąsiadkami i męzką młodzieżą strojne dziewczęta, na ławkach siedzą mężczyzni, czytają dzienniki, albo schodzą się i gawędzą to o wypadkach codziennych to o debatach kongresu; na trotuarach tłumy dzieci co hałaśliwie cieszą się po swojemu, że z powrotem lata wróciła im znowu nie krępowana swoboda: młodzież obojéj płci w małych jednokonnych powozikach (bogy) przesuwa się szybko po ulicach spiesząc gdzieś za miasto na spacer, na wycieczkę w okolicę, a tyle wszędzie i ruchu i życia, że i mnie nawet weseléj się jakoś na sercu zrobiło i tęsknota nie tyle doskwiera.

Kobiéty tutejsze przepadają za zabawami i rozrywkami różnego rodzaju, nie wyczerpane są w pomysłach do organizowania rozmaitych wycieczek tłumnych i samotnych. Téj potrzebie publiczności wnet posługują spekulanci, więc na przeciwnym brzegu Potomaku urządzone są ogrody, a w nich restauracye, karuzele i t. p.; komunikacya urządzona wygodnie a statki parowe przewożą codziennie tłumy wesołych par na drugi brzeg, gdzie uorganizowane pikniki dają możność ubawienia się dowoli. Nie powiém ażeby te wszystkie zabawy były podług naszych wyobrażeń bardzo przyzwoite, ale że wesołe i swobodne to pewno, głównie też tu o to chodzi. Ulubioną tu jeszcze zabawą młodzieży jest rybołówstwo; dwoje młodych ludzi jedzie czasem o kilka mil w okolicę ponad rzeczkę, gdzie po całych dniach łowią ryby na wędkę: zabawa taka przeciąga się czasem i kilka dni, czasem też i liczniejsze towarzystwo zbiera się na taką wycieczkę.

Washington ma kilka skwerów nie wielkich wprawdzie, ale przy tutejszéj takiéj pięknéj roślinności bardzo ponętnych; nie są one wszakże tak uczęszczane jak u nas bywają miejskie ogrody: obaczysz tam tylko dzieci z niańkami i ludzi starszych wiekiem, młodzież ruchliwa nie lubi takich konwencyonalnych przechadzek i szuka jak to pisałam, innych swobodniejszych rozrywek.

Najstaranniéj utrzymanym jest Lafayette-skwer, ozdobiony dosyć okazałym pomnikiem generała Jacksona spiżowym, wyobrażającym Jacksona na spinającym się koniu pośród czterech armat naturalnéj wielkości. Pomnik umieszczony jest w perspektywie naprzeciw „białego domu“. Tak zwaną jest rezydencya prezydenta Stanów Zjednoczonych, bardzo skromna a nawet zaszczupła na tłumne publiczne recepcye, jakie co rok w czasie trwającego kongresu każdego piątku bywają. Na recepcye takie wolno wejść każdemu czysto ubranemu, bez żadnych wstępnych a zwykłych gdzieindziéj formalności. Wchodząc do sali gdzie się znajduje prezydent, potrzeba wyznaczonemu do tego urzędnikowi powiedzieć swoje nazwisko; ten przedstawia prezydentowi, który podaje rękę na powitanie, dodając kilka słów nic nie znaczących, poczém przechodzi się do innych sal, gdzie wśród tłumu i ścisku przy odgłosie muzyki goście przechadzają się nie krępując się żadnemi formami etykiety. Dla tualety nie ma żadnych prawideł, niektóre z kobiét ubrane są jak na bal, inne zaś jak na ulicę, co daje zebraniu pozór oryginalny. Recepcya trwa od godziny szóstéj do dziesiątéj wieczorem.

W ogóle całe otoczenie prezydenta Stanów Zjednoczonych jest bardzo skromne i zupełnie prywatne, bez honorowéj warty i bez żadnéj asystencyi. Niekiedy jeszcze bywają „w białym domu“ recepcye, na których przyjęte bywają tylko osoby należące do wyższych sfer i wchodzące w skład rządu krajowego, jako téż rodziny ambasadorów obcych państw; na tych zachowaną jest więcéj forma etykietalna, ale to są tak zwane recepcye prywatne, i niczém téż po za obręb prywatnych nie wychodzą.

Cała administracya kraju ma charakter czysto-cywilny, nigdzie munduru, nigdzie wojska, nigdzie szyldwachu nie widać; straż około bezpieczeństwa publicznego utrzymuje jedynie policya ani dosyć liczna ani czujna, bo w jéj oczach prawie codziennie trafiają się śmiałe morderstwa i kradzieże. Policya téż jedna ma ubranie w rodzaju uniformu, po którym odróżnić ją można w razie potrzeby; każdy z policemenów uzbrojony jest tylko w casse-têtе z drzewa, które także należy do osobliwości Ameryki Północnéj: twarde jest tak prawie jak żelazo a uderzenie nim nawet lekkie jest zabójczém. W razie jeżeli który z policemenów potrzebuje zaalarmować kolegów, uderza o cobądź twardego swoim casse-têtе, to wydaje dźwięk jakiś odrębny, metaliczny, dziwnie donośny, a zwłaszcza w nocy o wiele donioślejszy niż zwykła gwizdawka.

Nie wielki oddział wojska, który utrzymywany jest w Waschingtonie, stoi w koszarach o kilka mil ang. od miasta i nie pełni żadnéj służby w stolicy, umundurowany jest na sposób francuzki a mianowicie kawalerya i żuawy.

W Stanach Zjednoczonych nie ma przymusowéj służby wojskowéj i cała armia tworzona jest z dobrowolnie najmujących się ochotników, z których każdy bierze umundurowanie i sto dolarów miesięcznie. Tak dobra płaca ściąga w szeregi ludzi różnych klass i sprawia, że na ochotnikach nigdy nie zbywa. Oprócz tego małego oddziału wojska, co więcéj dla parady jak z potrzeby utrzymywane jest przy stolicy, reszta nie licznéj siły zbrojnéj, rozmieszczoną jest po fortach rozrzuconych zrzadka po kraju, a mianowicie w miejscowościach więcéj narażonych na napady Indyan i białych rabusiów.

Bandy białych łotrów są prawdziwą plagą tutejszego kraju i często gorsze jeszcze i okrutniejsze wyrządzają zniszczenie aniżeli Indyanie; bandy te uorganizowane bardzo porządnie, prowadzą ciągłą podjazdową wojnę, a bezludne i niezmierzone obszary Południowych Stanów, dostarczają im kryjówek bezpiecznych a często i obronnych, ku czemu dzika miejscowa natura dopomaga. Rabusie tacy mają zwykle swoich agentów i współudział biorących pomiędzy osiadłemi kolonistami, co im ułatwia napady i rabunek, a trudniejszém czyni wszelkie prześladowanie ich ze strony rządu. Niepodobna byłoby opisać tych strasznych okrucieństw, jakich bandy takie dopuszczają się napadając na spokojnych plantatorów; najczęściéj w czasie takich napadów przebierają się po indyjsku i umalowani udają które z sąsiednich plemion czerwonych, ażeby na nich zrzucić posądzenie. Linia zachodnia kolei żelaznéj idąca z New-Yorku do San-Francisko przerzyna całe Stany Zjednoczone, łącząc Ocean Atlantycki ze Spokojnym; aby przestrzeń tę przebyć, potrzeba nieustającéj jazdy dziewięć dni i dziewięć nocy: linia ta przebiega takie pustynie, że miejscami oprócz dwóch stacyi na dobę, gdzie pociąg zatrzymuje się na chwilę, nie napotyka się ludzkiéj siedziby. Otóż bandy rabusiów korzystając z tego, bardzo często na pewnéj przestrzeni wyrywają relsy, robią zasadzkę na mający nadejść pociąg i napadają na niego w chwili, kiedy nadbiegłszy niespodzianie na miejsce zrujnowanéj kolei przewraca się i druzgoce. Administracya państwa utrzymującego tak małą siłę zbrojną w stosunku do niezmiernych obszarów, nie jest w stanie powstrzymać tych nadużyć i przeszkodzić klęskom tém bardziéj, że od strony Meksyku także czujną być musi, bo burzliwy, namiętny a chciwy charakter Meksykanów, nie bardzo spokojném ich sąsiedztwo czyni.

Śledząc wszechstronnie bieg życia społeczności tutejszéj, przyznać potrzeba, że i towarzyszące okoliczności jakby się zmawiały niekiedy na to, ażeby ją popychać na bezdroże.

Pomiędzy innemi, odkrycie przed laty dwudziestu niewyczerpanych jak się zdawało kopalni złota w Kalifornii, przyczyniło się niepomału do rozbudzenia chciwości a przez nią do różnorodnéj demora-

lizacyi dało pochop. Kiedy wieść o odkryciu tych niezmiernych skarbów jak iskra elektryczna obiegła kraj cały, wszystko co żyło zawrzało. Rząd państwa podług praw konstytucyi nie może mieć żadnéj własności, odkryte kopalnie były więc własnością całego narodu i wolno było każdemu obywatelowi eksploatować je na własną osobistą korzyść. Namiętne pragnienie zbogacenia się opanowało wszystkich i tłumy całe pijane chciwością, pognały na zachód po złoto, po szczęście. Dreszcze przejmują słuchając opowiadania, co w tamte czasy działo się w całym kraju; rodzice na ulicy rzucali dzieci, mężowie żony, ojcowie całe rodziny bez najmniejszego środka do życia pozostawiali, ludzie dostatni pewne już stanowiska opuszczali; wszystko to jakby w obłędzie miotane nieprzezwyciężoną namiętnością, wyrzekało się wszystkiego co ich dotąd wiązało, ażeby podążyć do tego upragnionego celu—złota. Szał to był tak ogólny, tak niepohamowany, że wiele biur zamknąć było potrzeba, a prawie wszystkie fabryki stanęły, bo nie było komu pracować. Ktokolwiek był zdolny unieść oskard poszedł na zachód a wkrótce milijony całej ludności zalały pustą zupełnie przedtem Kalifornię, pozbawioną wszelkich warunków do utrzymania potrzebnych. Jakie okropności działy się wtedy, opisać niepodobna byłoby; tu całe rodziny opuszczone umierały z nędzy, tam znowu ginął marnie tłum szaleńców, co konał z głodu, z żółtéj febry, lub mordował się wzajemnie za garść złotego piasku.

Pomiędzy innemi opowiadano mi, jak pewien lekarz znany powszechnie i liczną mający praktykę, miotany jak inni nieprzepartém pragnieniem bogactwa, wśród nocy uciekł z domu opuszczając żonę i pięcioro dzieci. W kilka miesięcy potém, żona w najzupełniejszéj pozostała nędzy, sprzedawszy wszystko co miała na utrzymanie życia; wszystkie pięcioro dzieci z kolei pomarły z nędzy i głodu, matka poszła za niemi. A on, natrafił wprawdzie na żyłę złota, ale gdy przez nieostrożność wydał się z tém, zamordowany został przez towarzyszów, co jego miejsce zajęli.

Biédni szaleńcy kuli twardą skałę, szukali złota z nieustanném narażeniem swego życia a wszystko to dla tych co im dowozili nędzne pożywienie, które dosłownie na wagę złota nabywać musieli. Wielu stérawszy siły i zdrowie wracali z téj złotodajnéj krainy jeszcze ubożsi niż przedtém byli; niektórym udało się cóś tam trochę zachować, lecz całe zyski ich pracy pozostały w ręku albo oszustów, co mieli tysiączne sposoby wyzyskiwania biédaków, albo w ręku spekulantów, co umieli korzystać z tak niezwykłego położenia rzeczy.

Dziś kopalnie się wyczerpały, ludzie popowracali na dawne swoje miejsca, albo rozeszli się po kraju szukać nowego szczęścia; ale przez długi czas żyjąc ciągle pod wpływem téj gorączkowéj chęci zbogacenia się, chciwość namiętną przyswoili sobie i weszła ona już w życie społeczne, a podsycana ciągle duchem emigracyi napływającéj nieustannie w celu dorobku, stała się cechą charakteru ogólnego.

Obecnie w kopalniach Kalifornijskich, złota bardzo mało się znajduje; dalszą eksploatacyę kompania przemysłowców wzięła na siebie płacąc robotnikom dziennie; już i warunki utrzymania tam stały się łatwe, złoto znikło, a z tém wszystko powróciło do porządku i spokoju. Temi czasy złoto téż znikło i z horyzontu finansowego Stanów-Zjednoczonych, w obiegu niema go wcale; przez cały czas mego pobytu tutaj, dotąd ani jedna sztuka złotéj monety nie wpadła mi w ręce, a jedyny tylko złoty dolar widziałam na breloku od zegarka; srebra téż niema w kursie zupełnie, a pieniądze papierowe nawet kilku i kilkunastu centowe kursują. Po ostatniéj wojnie domowéj był czas, że złoto doszło do ceny pięćdziesięciu procentów, w tym roku dla przykrócenia trochę nadużyć finansistów, spekulantów, ustanowiono stałą cenę złota dwanaście na sto.

VIII.

Dnia 18 maja. Blizko dwóch tygodni byłam obłożnie chora, wezwany lekarz powiedział mi że tą chorobą moją płacę tylko zwykły haracz, jakim każdy przybywający do Ameryki Europejczyk okupić musi pierwsze przepędzone tutaj lato, i za szczęśliwą uważać siebie powinnam, jeżeli na tém się tylko skończy. Bez silnego jakiegoś wstrząśnienia w organizmie, nie można przejść z naszego umiarkowanego klimatu do gorącéj, burzliwéj a zmiennéj atmosfery tutejszéj. Ludzie zmuszeni narażać się więcéj na palące promienie słońca, najczęściéj przebywają to przejście zapaleniem mózgu, połączoném z maligną, albo téż chwilowém pomięszaniem zmysłów.

Lekarz Palmer orstrzegał mię żebym była ostrożną, bo widzi we mnie wielką skłonność do zapalenia mózgu. Wyznać muszę że mnie to niepomału zafrasowało. Chorować tutaj wcalebym sobie nie życzyła, mniéj jeszcze niż gdziekolwiek. Do medycyny tutejszéj niemam zaufania, a i dziwnie niedbale obchodzą się tu z choremi; przez czas teraźniejszéj choroby pozostawioną byłam zupełnie saméj sobie i pozbawiona najkonieczniejszéj opieki, pomocy i wygody.

Choroba moja ustąpiła prędko zawdzięczając silnym merkuryalnym środkom, których pospolicie używają lekarze tutejsi w razach nawet wcale nie naglących; mnie na nieprzywykły do nich organizm, lekarstwa myster Palmera dzielnie posłużyły i postawiły odrazu na drodzę rekonwalescencyi. opanowawszy zapalenie, wszakże niepewną jestem czy drugą razą nie byłyby za zbyt silne. Merkuryusz i opium są tutaj tak upowszechnione, że wszyscy nawet bez recepty doktora w niektórych wypadkach dowolnie się niemi posługują; dzieci są tém od najpierwszych chwil życia przeładowane, opium szczególniéj powszechnie jest używane.

Kiedy matka niemająca służącéj chce wyjść z domu na wieczór, daje każdemu z dzieci pewną dozę opium, dzieci śpią, a matka spokojnie się bawi, pewna że się aż rano dopiero pobudzą. Być może że to,

a może i inne jeszcze powody na to się składają, że śmiertelność dzieci jest bardzo wielka; dopiero po latach czterech dziecię zaczyna się rozrastać i sił nabierać, ale do tego wieku tak jest nędzne, mizerne i bez żadnego życia, że litość bierze patrzeć na nie. W znacznéj części przypisać to należy niewłaściwemu pokarmowi, jakim się dzieci tutaj utrzymują. Od samego urodzenia rzadko które zna pokarm naturalny, po większéj części do dwóch lat życia karmione jest mlekiem skoncentrowaném: jest to jakaś mięszanina mleka i cukru, sprzedawana w puszkach blaszanych; łyżeczka téj mieszaniny rozpuszczona w szklance gorącéj wody z bułką, stanowi cały posiłek biedactwa, które prawie zawsze głodne sił nabrać nie może. Przytém jest tu jeszcze wcale nie dobry ze względu zdrowia, system ubierania dziecka zupełnie nie właściwy w tak gorącym klimacie: ubierają je kosztownie i świeżo po wierzchu, ale pod spodem takiém mnóstwem pieluch i tak ciasno jest obwinięte, że dziecię nieustannie zlane jest potem co je wycieńcza ostatecznie; wszystkie choroby dziecinne, tak jak koklusz, odra, szkarlatyna i t. p., które u nas ogólnie dosyć lekko dzieci przebywają, tutaj je dziesiątkują. Suchotom, i dzieci i starsi bardzo często podlegają; dla osób słabych na piersi klimat tutejszy jest zabójczy. Kobiéty w ogóle bardzo wątłego są zdrowia, i tu wiele rzeczy do tego się przyczynia, a niepomału też ubranie w zimie zbyt lekkie, w czasie upałów letnich zaciśnięte i niewygodne. Od dwunastego roku życia, dziewczynki chodzą zakute w gorset niezrzucając go ani na chwilę od rana do nocy, pomimo nieznośnego skwaru, którym i tak już każdy jakby dławionym się czuje.

Według pojęć tutejszych, kobiéta ażeby była piękną powinna być jak najszczuplejszą, więc młode miss w obawie ażeby nie utyły, jedzą rzeczy co najmniéj pożywne, a przeważnie żyją herbatą, owocami i słodyczami; wprawdzie cel pożądany zwykle osiągniętym bywa, bo pół yarda wystarcza na pasek obejmujący wysmukłą figurę, ale wycieńczone siły nie na długo wystarczają, i pospolicie młode kobiety wpadają w rozmaite chroniczne choroby, które resztę cierpieniem zatruwają; tu znowu przyczyniają się zapewne wiele środki gwałtowne merkuryalne, i bardzo silne roślinne, których kobiety tutejsze w pewnych razach używają.

Od tygodnia nagle rozpoczęły się upały tak silne, że prawdziwie są do nie wytrzymania, tém dotkliwiéj dające się uczuć, że nawet w nocy powietrze się nie ochładza, a że wszelki wiatr ustaje, więc jeszcze parniejsze się robi; o tak wysoko podniesionéj temperaturze jaka tu bywa, u nas nawet wyobrażenia mieć trudno, wszystko co jest wewnątrz mieszkania tak staje się ogrzaném, że w dotknięciu ciepło daje się uczuć. Dziś rano wróciwszy ze śniadania, chodząc po pokoju wypadkiem dotknęłam się ręką do żelaznego piecyka; tak był ciepły, że sądziłam iż Sara, posługująca mnie murzynka, przez szczególne jakieś roztargnienie rozpaliła w nim ogień; ale pokazało się że ani iskierki w nim nie było: do tego stopnia nagrzała go tylko podniesiona tempe-

ratura powietrza. Co to będzie daléj nie wiem, bo mówią że w lipcu i sierpniu jest jeszcze gorzéj; a jednak w tych kilku dniach było już kilka wypadków nagłéj śmierci. Palące promienie słońca zabijają ludzi na ulicy w jedném mgnieniu oka prawie, człowiek dotknięty tém, doznaje najwyższego osłabienia i pada martwy. Jeżeli śmierć nie nastąpi odrazu, to jako jedyny w takich razach ratunek używane są o ile można najwięcéj rozpalające środki, więc co najmocniejsza wódka rozmięszana z tłuczoną gorczycą i inne temu podobne.

Tą potrzebą klimatu, tłumaczyć też poniekąd można pociąg Amerykanów do wszelkich alkoholicznych trunków; nałóg pijaństwa jest tu tak powszechny, że mało kto mu nie ulega i to od najmłodszych lat życia; nie rzadko kobiéty nawet poddają się téj wadzie. Wina bardzo mało Amerykanie używają, ale zato napojów spirytusowych w takiéj ilości, że istotnie potrzeba się dziwić jak im wnętrzności na węgiel nie spalą. Każde miasto ma niezliczoną ilość szynkowni *bar-room*, do których najporządniejsi ludzie nie wahają się wchodzić; każda z tych szynkowni wybornie stoi i pochłania ogromne pieniądze.

Rząd chcąc przykrócić ten panujący nałóg, od czasu do czasu wznawia prawo wstrzemięźliwości, według którego do pewnéj tylko godziny *bar-room* może być otwarte, a w dnie świąteczne bezwarunkowo przez cały dzień zamknięte, ale to rozporządzenie bardzo słabo jest wykonywane i ludzie piją na potęgę.

W tym roku pojawiło się nowe stowarzyszenie kobiét pod nazwaniem *temperekterek*, które ma na celu wszelkiemi siłami powstrzymywać pijaństwo; zbiérają się tłumnie i idą pochodem od szynkowni do szynkowni, zatrzymują się przed każdą i dopóty klęcząc przed drzwiami śpiewają psalmy i modlą się, dopóki gospodarz znudzony nie zamknie drzwi szynkowni. Modlitwa ta jest niby na tę intencyę ażeby Bóg zesłał upamiętanie pijakom; niewiele to jednak pomaga, i chociaż niema dnia żeby partya temperekterek nie przesuwała się ulicą, szynkownie na chwile zamknięte znowu się otwierają zaraz po ich odejściu, a biedne kobiéciny nieraz nasłuchawszy się jeszcze hulackich piosnek, które im goście szynkowni śpiewają nawzajem, z niczém odchodzą. Niedawno właśnie siedząc na ławce w Lafayette-skwer zdaleka byłam widzem takiego przejścia. W najparadniejszym Washingtońskim hotelu *Arlington-hôtel*, będącym naprzeciw skweru, zebrała się tłumnie jak zawsze młodzież do bar-room; tam też nadciągnęły niebawem i temperekterki, uszykowały się przed oknami i chórem zwykłe swoje śpiewy rozpoczęły; w oknach ukazało się mnóstwo mężczyzn i także śpiewać zaczęli, ale już z innego tonu i wcale znać nie pobożne i nie budujące śpiewki; kobiety chcąc ich zagłuszyć, podniosły głos, ale i mężczyźni téż coraz *crescendo* śpiewali: wynikł z tego straszny dysonans i prawdziwe *charivary*, bo każda strona chciała drugą prześpiewać; tłumy ludzi się zeszło, z tych mężczyźni się śmieli, kobiety były oburzone, trwało to dość długo, aż nakoniec temperekterki zmęczone i rozżalone pierwsze z placu ustąpiły, przy którym z wielką chlubą

pijąca młodzież się utrzymała; gospodarz bar-room najlepiéj wyszedł, bo zwycięztwo uczczono pijąc whisky podwójnemi dozami.

Pomimo że winogrona rosną tu dziko, nawet w Wirginii, która nie należy jeszcze do południowéj części kraju; win krajowych bardzo jest mało i dostarcza je jedynie południowa Kalifornia. Wina kalifornijskie podobne są zupełnie do win krymskich, mianowicie gatunek jeden musującego, zupełnie tamto przypomina. Według tego jak mi mówiono, zdaje się, że jeżeli Stany-Zjednoczone niemają wyborowych win własnych, to tylko dlatego że ta gałąź przemysłu jest jeszcze zaniedbaną, gdyż znajdują się tutaj wszystkie potrzebne do tego warunki.

Pomiędzy innemi niezmiernie pożytecznemi roślinami, w które obfituje Ameryka Północna, jest jeszcze pewien gatunek drzewa klonowego; z soku jego wyrabia się cukier przydatny do podrzędnego użytku, sok wydobywa się na wiosnę znanym i u nas sposobem, którym zwykle lud prosty sok ten z brzozy dobywa. Cukier klonowy smak ma przyjemny i czysty, bez żadnego odrębnego odoru, kolor tylko ciemny, lecz sądzę że i temu przy staranniéj fabrykacyi łatwo możnaby zaradzić; podług zdania znających się na tém, drzewo to i w naszym klimacie z łatwością przyswoićby się dało; rośnie szybko jak wszystkie rodzaje klonów.

Cukier pospolity jest tu mniéj więcéj w téj saméj cenie jak u nas, ale w daleko gorszym gatunku; widocznie że fabrykacya nie staranna: cukier w głowach w bardzo małéj ilości się znajduje i wszyscy posługują się tylko mączką, a ta tak jest niedobrze oczyszczoną, że kolor ma żółtawy i w smaku czuć melasę. Cukier wyrabiają tylko z trzciny, buraków nie uprawiają wcale.

Amerykanie herbaty piją wiele, ale jéj przyrządzać nie umieją i gotują jak ziółka; powszechnie używaną jest tu herbata japońska, gatunek żółtéj, dobra jest i aromatyczna, nie tyle wszakże jak chińska żółta.

Stany-Zjednoczone utrzymują z Japonią bardzo częste stosunki handlowe. Niema miasta ażeby niebyło w nim kilka magazynów z samemi japońskiemi produktami. Przed rokiem przyjeżdżała do Washingtonu delegacya z Japonii w celu zawarcia ścisłego sojuszu z rządem tutejszym; delegowani usiłowali bardzo szczegółowo poznać cały ustrój administracyi i przemysłu Stanów-Zjednoczonych. Municypalności miasta Washingtonu złożyli podarki, które widziałam w muzeum tutejszém: są to przepyszne okazy tamecznéj porcelany i bogate materye jedwabne przetykane złotem.

Muzeum tutejsze jest dosyć ciekawe, wiele w niém jest rzeczy godnych widzenia; już sam dział zoologiczny, bogaty i bardzo kompletny, prawdziwie zająć uwagę może. Są tam okazy wszystkich zwierząt, ptaków i wielu płazów jakie się w Ameryce północnéj i południowéj znajdują. Ptaków szczególniéj bogaty jest zbiór, wśród którego rozliczne gatunki prześlicznych kolibrów niepoślednie miejsce zajmu-

ją. Muzeum oprócz zoologicznego, posiada jeszcze działy mineralogiczny i archeologiczny.

Mineralogiczny nie ogranicza się tylko na przedmiotach krajowych, są tu i niektóre okazy obce; przedewszystkiem zajął mnie tu ogromny, cztery stopy średnicy mający aerolit z samych prawie miedzianych pierwiastków składający się, a spadły przed dawnemi laty około „Wielkich jezior." Indyanie uważali jego spadnięcie jako nadprzyrodzone zjawisko, nazywali go świętym kamieniem i niezwykłą cześć mu okazywali. Jedna z natchnionych wyroczni indyjskich wyrzekła o nim niegdyś proroctwo, że kiedy kamień święty dostanie się w ręce białych ludzi, ród czerwonych wojowników zaginie. W skutek téj przepowiedni Indyanie do ostatnich czasów przechowywali aerolit w lochach i w największéj tajemnicy strzegąc, ażeby wieść o nim do Jankesów nie doszła; pomimo to wszakże jakimś wypadkiem dowiedziano się o tém. Czy Amerykanom chodziło o ten okaz ciekawy, więc z pobudek naukowych pragnęli go zdobyć, czy może także jakimś przesądem powodowani byli i uwierzyli wyroczni, dosyć, że aż siłą zbrojną wydarto aerolit Indyanom, którzy bronili go rozpaczliwie. Dziś święty kamień zdobi muzeum białych zdobywców, naród czerwonych wojowników z każdym dniem niszczeje, a niedługo jak się zdaje, do szczętu wyginie i proroctwo powoli się spełnia.

W sali zbioru archeologicznego jest wiele rzeczy ciekawych odnoszących się do historyi Ameryki północnéj. Znajduje się tam liczny zbiór broni indyjskiéj z rozmaitych czasów, broń pierwszych zdobywców Hiszpanów, bardzo wiele pamiątek pierwotnych ludów tutejszych, nawet zabalsamowane ciała ich wodzów, ciekawe zabytki Normandów, którzy najpierwsi z narodów europejskich wstąpili na brzegi Nowego Świata: słowem muzeum to, ma istotną wartość naukową a dla badaczów przeszłości tego kraju wielce ciekawą.

Z porządku rzeczy wypada mi wspomnieć jeszcze o muzeum sztuk pięknych, które właśnie świeżo zostało otwarte. Jestto dar prywatny jednego bogatego obywatela nazwiskiem Corcoran, ale oprócz kilkunastu obrazów kopii do szkoły francuzkiéj należących i kilku małéj wartości dzieł sztuki snycerskiéj, muzeum nic jeszcze więcéj nie posiada; z czasem wszakże może się wzbogaci, a poczucie piękna dotąd jeszcze w zaniedbaniu, rozwijać się kiedyś będzie; może to piérwsze ziarno rzucone przez zacnego obywatela, chociaż powoli kiełkować z czasem zacznie, a jeżeli nie zagłuszą go złe chwasty krzewiące się w około, to i zakwitnie i plon wyda. Dziś jednak sztuki piękne bardzo tu nizko stoją, muzyka nawet która zwykle w każdym narodzie najpierwéj się doskonali i rozwija, w piérwotnym prawie jest jeszcze stanie: takie koncerta jakie tu miejsce miewają, bardzo źle świadczą o smaku publiczności. Można z czasem rokować że i to się z czasem rozwinie, bo Amerykanie z natury mają wiele zdolności do śpiewu, a głos czysty i silny często posłyszeć można. Publiczność tutejsza szczególne ma upodobanie we wszelkich widowiskach, ztąd téż i dyrekcye wszystkich

teatrów bardzo dobrze stoją i podkupują się wzajemnie, płacąc bajeczne summy lepszym artystom, a mianowicie śpiewakom i komikom, część zaś dramatyczna słabo przedstawiana. New-York jest ogniskiem sztuki dramatycznéj, ogromna ludność tameczna złożona w wielkiéj części z przybyszów europejskich, potrzebuje rozrywek i więcéj w tym względzie wymaga. Znajduje się tam wiele większych i mniejszych teatrów, których dyrekcye robią ze swoją trupą wycieczki w rozmaite miejscowości kraju; takimto sposobem słyszeliśmy téj zimy i sławną Nilson w Washingtonie. Washington ma swój własny teatr stały, ale wcale nieszczególny; w czasie zimowych miesięcy dyrekcya daje dwa przedstawienia dziennie, jedno w południe a drugie wieczorem; od czasu do czasu jeszcze występuje z południowemi przedstawieniami wyłącznie dla dzieci. Chcąc wiedzieć czém tu dzieci bawią, zaproponowałam pewnéj znajoméj mi pani rodem z Francyi, mającéj kilkoletnią córkę, i poszłyśmy razem na przedstawienie, znanéj tu powszechnie a bardzo popularnéj komedyjki. Dosyć to oryginalnie było widzieć cały teatr zapełniony samemi dziećmi, w krzesłach siedzieli same chłopcy, w lożach dziewczynki pod opieką nianiek murzynek. Kiedyśmy zajęły naszą lożę, podniosła się właśnie kortyna; patrzyłyśmy uważnie i na spektatorów i na aktorów, obie byłyśmy oburzone niemoralnością treści przedstawianéj komedyi. Bohatérem był łobuz uliczny, który karyerę swoję rozpoczyna od tego, że na ulicy przechodniom bardzo zręcznie wyciąga chustki z kieszeni, przekupniom wykrada łakocie, a policmenowi który usiłuje go złapać, płata ciągle figle. Mali spektatorowie nieszczędzili mu za to rzęsistych oklasków, śmiejąc się do rozpuku z tych wszystkich dowcipów łotra, który przechodząc rozmaite koleje, zawsze w téj saméj roli urwisa, w trzecim akcie na zakończenie, bohatér już młodzieńcem ukazuje się na scenie w całym ponętnym blasku bogactwa, bo wjeżdża w ładnym małym powoziku, ma własne koniki, piękny zaprząg, murzynka służącego w błyszczącéj liberyi: słowem wszystko co mogło zachwycić spektatorów. W powozie obok szczęśliwego bohatéra, siedziała młoda i ładna miss, do któréj jeszcze w piérwszym akcie umizgać się zaczynał. I tak treść całego przedstawienia dziwnie nie moralna i rzucająca się w oczy, a dodać trzeba jeszcze do tego pomiędzy aktami wystąpienie poliszynela, bez którego tutaj żadne mniejsze a często i większe przedstawienie obejść się nie może, przepełnione takiemi niesmacznemi a nawet nieprzyzwoitemi konceptami, że wstręt wzbudzały. Obie z panią S. która także niedawno bawi w tym kraju, nie mogłyśmy wyjść z podziwienia i z pewnym rodzajem osłupienia patrzyłyśmy tylko na siebie, nie mogąc na razie zdać sobie sprawy, z téj dziwnéj, jakby umyślnéj tendencyi sztuki, wyłącznie wszakże dla dzieci przeznaczonéj.

Otóż nowy wynik téj zgubnéj prawodawstwa kraju zasady, że każdy sam nad sobą i swojém bezpieczeństwem czuwać powinien; z niéj wychodząc administracya nie wgląda w to, co dyrekcya teatru zechce dać na przedstawienie przeznaczone dzieciom i czy nie szko-

dliwe wrażenie pozostawi ono na młodocianych umysłach: rząd potakując zupełnym swobodom, czuwać nad kierunkiem młodego pokolenia nie może, a matki nie chcą.

Amerykanie oprócz widowisk teatralnych, namiętnie lubią także wszelkie inne widowiska, a menażerye i cyrki tresowanych zwierząt mają tu szalone powodzenie; do tego stopnia szału to upodobanie dochodzi, że prawo wdać się tu musiało i jest postanowioném, przez ile dni, może tylko przedsiębiorca okazywać w jedném mieście swoje przedstawienie, inaczéj paraliżowałoby to wszelką pracę. W tych dniach właśnie mieszkańcy Washingtonu mieli taką uciechę: przez trzy dni bawiła tu jakaś bardzo świetna menażerya, posiadająca wiele zwierząt a wszystkie, o radości! były tresowane: więc i słonie i girafy i nosorożec nawet popisywały się ze swoim rozumem i wysokiemi umiejętnościami, małpy zaś grały rolę poliszynelów. Naprawdę ciekawém było do widzenia jaki szał ogarnął wszystko co żyło, każdy chciał te osobliwości widzieć koniecznie; antreprener miał tylko na trzy dni pozwolenie, więc po trzy razy na dzień dawał przedstawienie, a każdą razą takie były tłumy spektatorów, że wśród ścisku, kalectwa i śmierci było kilka wypadków.

Już na dwa tygodnie przed przybyciem menażeryi olbrzymie afisze, na których wymalowane prawie w naturalnéj wielkości mające przybyć zwierzęta, zwiastowały miastu tak bardzo pożądaną rozrywkę. W dzień wjazdu cała menażerya odprawiła wjazd tryumfalny i wszystkie klatki obwiezione zostały po ulicach miasta okryte, znieodstępnym poliszynelem, który w jaskrawém ubraniu, stojąc na wysokim wozie, głosił sławę rozumu i umiejętności wiezionych zwierząt. Co się wtedy działo na ulicach, opisać niepodobna: najstarsi i najmłodsi towarzyszyli pochodowi, wszystko co żyło wybiegało z domów rzucając je otwarte na łup złodziejom; ale wtedy i złodzieje kraść czasu nie mieli, tak cała publiczność bez wyjątku była pod témże wrażeniem.

Widowiska takie nieraz się kończą straszliwą katastrofą, bo przy tutejszém lekceważeniu bezpieczeństwa publicznego, zdarza się często, że ladajako zbudowana baryera areny, niedosyć przedziela ludzi od zwierząt, a któryś z dzikich aktorów znajdzie się wśród spektatorów i kalectwo, a nie rzadko i śmierć wśród nich rozniesie, jak to niedawno miało miejsce w jedném z miast południowych.

Ludzie do wyższych sfer należący urządzają często wyścigi konne, naktóre stawiają ogromne zakładowe summy. Konie kursowe dochodzą tu do bajecznéj wartości; widziałam konia zapłaconego 25,000 dolarów, prezydent Grant otrzymał go niedawno w darze. Sam prezydent jest jednym z najbardziéj zapalonych sportsmenów tutejszych, należy do wszystkich zakładów i współzawodniczy z innemi na kursach, w których nie tylko konie wierzchowe, ale częściéj nawet jeszcze zaprzężne w zawody chodzą. A cudownie téż piękne są konie tutejsze, zabytek to dawnéj andaluzyjskiéj rassy przez Hiszpanów zaprowadzonéj; rassa

ta wszakże zaaklimatyzowana tutaj, różni się wiele od znanych w Europie. Konie to napozór delikatne, każdy zarys ich form nadzwyczaj kształtny i lekki, ale w użyciu dziwnie są praktyczne; siłę i sprężytość muszkułów mają zadziwiające, odznaczają się tą spokojną energią w poruszeniach, które w tém zwierzęciu znamionuje wytrwałość. Koń tutejszy niezbyt rosły, tok ma równy, niezbyt długi, głowę suchą, małą, przypominającą wszystkie cechy araba; oko bystre, na wierzchu, chrapa rozdęta, nogę dziwnie muszkularną a lekką. Biegłe są nadzwyczaj i nieraz patrząc na w zaprzęgu przebiegającego ulicą, aż w oczach się miga, takim kłusem mknie, że niepodobna schwycić okiem kół obrotu, a jednak pomimo tak szybkiego biegu, nie zdarzyło mi się jeszcze widzieć konia spienionego; okrywa się tylko tą siatką żyłek, która jest znamieniem szlachetnéj rassy.

IX.

Dnia 10 czerwca. W żadnym pewnie kraju na kuli ziemskiéj tylu ludzi nie ginie nagłą śmiercią co tutaj. Co chwila jakiś wypadek sprowadza śmierć już nie jednéj osoby ale kilkudziesięciu, a często i kilkuset razem. Zwykle najwięcéj takich wypadków następuje w skutek zadziwiającéj nieostrożności na kolejach, i przy stawianiu domów, które budowane na tandetę, z pośpiechem, często tak mają źle obrachowane fundamenta, wiązania lub belki, że walą się jak z kart domki dziecinne, zanim jeszcze ukończone zostaną. Oprócz tego bywa jeszcze tysiące innych wydarzeń, gdzie ludzie jak muchy, giną niespodzianie. Oto i teraz świeżo znowu dwie straszne katastrofy niezliczoną liczbą ofiar pochłonęły i okropne nieszczęścia spowodowały. Jedna z nich wydarzyła się w Masachuset.

Znajdujący się na znacznéj wyniosłości gór rezerwoar wodociągowy, który zaopatrywał w wodę trzy miasteczka dość ludne, na stoku góry leżące, pewnéj nocy przerwał się nagle, a cała ogromna massa wody spadając po pochyłości, zniosła do szczętu wszystkie trzy miasteczka z taką siłą i tak nagle, że tylko bardzo mała liczba mieszkańców uratować życie zdołała, reszty zaś nawet szczątki, woda gdzieś z sobą w przepaście bez śladu uniosła.

W jedném z illustrowanych pism tutejszych widziałam trzy rysunki, z których jeden przedstawiał tę okolicę i miasta przed wypadkiem, drugi samą chwilę nieszczęścia, a trzeci téż samą okolicę po strasznéj powodzi. Ze wszystkich trzech miasteczek przedtém pięknych, w dziwnie malowniczéj i wesołéj okolicy położonych, tylko gdzie niegdzie złom muru lub sterczący komin pozostał. Cały ten straszny wypadek sprowadzony był tém, że kompanija przedsiębiorców tych wodociągów, mając do odstąpienia ten interes, nie chciała przedsięwziąść robot około naprawy ochronnego muru który otaczał rezerwoar. Piszą że już od przeszłego roku woda w jedném miejscu sączyła się potrochu, z początku nieznacznie, ale ciągle osłabiając zaporę; aż nareszcie przyszła fatalna chwila, że małego jakiegoś nacisku wystarczyło

ażeby wyłom się zrobił, a potężna massa nagromadzonéj wody w jednéj chwili dokonała zniszczenia.

Drugą straszną klęskę sprawiła rzeka Missisipi, która nagle, i nie bywałym dotąd sposobem wezbrała; okropna powódź zalała do szczętu wielką część Luiziany, niszcząc najbogatsze plantacye, znosząc całe kolonie, fermy i zalewając całe pola zasiewów. Gubernator Luiziany już dwa razy telegrafował do kongresu, prosząc o jakąś natychmiastową pomoc; donosi że około stu tysięcy ludzi pozostaje w najbardziéj rozpaczliwém położeniu, bez dachu, chleba i nadziei nawet powstania z téj strasznéj klęski, bo zasiewy zupełnie zniszczone, zapowiadają okropny głód i na rok następny. Od dwóch tygodni woda prawie nie opada, a w niektórych miejscach ci, co ratując życie uciekli na dachy domów, których powódź nie zniosła, oczekują ratunku w katuszach głodu. Czytając tego nieszczęścia opisy, których każdego dnia pełne są dzienniki, groza przejmuje. Kongres dla obmyślenia jakichś środków zaradczych zebrał się umyślnie na nadzwyczajną sesyę wieczorną, ale przy dzisiejszym stanie finansów skarbu, o radę istotnie pomocną nie tak łatwo, i dziesięć tysięcy dolarów tylko, ze skarbu na ten cel zaasygnowano, jakoteż z magazynów, które na nadzwyczajny wypadek wojny lub tym podobne, są zaopatrzone, pozwolono wydać pewną ilość zapasowego zboża. Cała ta pomoc jednak niedostateczną jest dla zapobieżenia tak strasznéj klęsce, rząd w tym razie okazał się zupełnie bezsilnym; dla prywatnego miłosierdzia więc pozostawiono szerokie pole: oby zdołało choć w części ulgę nieszczęśliwym przynieść! Kongres ma się ku końcowi i tylko parę tydodni jeszcze trwać będzie, a z ogólném niezadowoleniem w najbardziéj palących kwestyach dotąd nic stanowczego nie postanowił. Wszyscy powszechnie wyrzekają na członków kongresu, obwiniając ich o niezaradność, ale w gruncie nie wiele téż zrobić można, w takim stanie rzeczy jak dziś są. Kilka tytygodni temu wniesiono na kongresie projekt ażeby dla przetrzymania krytycznego przesilenia finansowego, wypuścić na pewną summę więcéj papierów jak są zabezpieczone funduszami skarbu; z początku projekt ten narobił wiele hałasu i popłochu, boć papiery te byłyby zawsze fałszywemi, a kredyt kraju podkopany fatalnie. Prezydent Grant bardzo stanowczo opierał się przeprowadzieniu tego planu i na ten wniosek położył swoje *veto;* ale propagatorowie wniosku systematycznie wytrzymali pierwsze starcie się zdań, złagodzono trochę pozór rzeczy, a istotę jéj utrzymano, i pod zmienioną trochę formą, ale w gruncie zawsze ten sam projekt wydania papierów niezabezpieczonych utrzymał się ostatecznie. Pomimo tak krytycznego w obecnym czasie stanu finasów skarbu, kraj tutejszy ma pieniędzy wiele, a ileż jeszcze niewyczerpanych źródeł do wzbogacenia się jeszcze bardziéj; tylko że wszystkie kapitały pozostają wyłącznie w ręku prywatnych; skarb państwa zaś, jak to widzimy, przez nie zwykły ustrój ekonomii pozbawiony jest funduszów na najkonieczniejsze potrzeby administracyi niezbędnych. Cały ten stan rzeczy tak już bardzo jest natężony, że wpatrzy-

wszy się w niego, koniecznie rokować potrzeba, że musi tu nakoniec nastąpić jakaś reakcya, która cały dotychczasowy porządek wywróci: taki nienaturalny kierunek, w jakim obecnie tu dąży społeczność, musi doprowadzić ją wreszcie do zupełnéj anarchii, a anarchia do zupełnego przewrotu.

Przez dwa ostatnie miesięce, nowym a obfitym pokarmem zasilała prassę całego kraju wojna domowa w stanie Arkanzas. Wojna ta była spowodowana współzawodnictwem dwóch kandydatów na gubernatorstwo tego Stanu, stronnictwa wiodły z sobą bój zażarty. Jednym z kandydatów wojujących był niejaki Brock a drugim Bakster; oba możni i bogaci obywatele Arkanzas: każdy z nich pragnął się utrzymać przy urzędzie gubernatora, a że mieli równą prawie liczbę głosów za sobą, obie strony swoje współzawodnictwo rozstrzygały z bronią w ręku i przez miesiące kwiecień i maj wojna trwała, a stronnictwa wyrzynały się wzajemnie bez pardonu. Ale że tutaj niedosyć jest mieć stronników i utrzymywać ich na własnym koszcie, ale i tygodniową pensyę płacić im ze swojéj własnéj szkatuły potrzeba; wojna więc trwała dopóty, dopóki Bakster nie zbankrutował. Zapośrednictwem dokładnych sprawozdań dziennikarskich wszyscy z interesem śledzili bieg téj walki i ciekawi byli który ze współzawodników otrzyma plac boju, nie na żarty krwią zlany.

Wybryki takie bardzo często się tu trafiają, a rząd centralny washingtoński powodując się przepisami konstytucyi, trzyma się w takich razach neutralnie, pozostawiając zupełną swobodę każdemu ze Stanów, załatwiania swoich spraw i rozstrzygania kwestyi swoich według ich własnego widzenia rzeczy.

Ustrój rządów Stanów-Zjednoczonych jest taki, że w Washingtonie skupia się wprawdzie rząd całego kraju, ale władza jego jest niezmiernie ograniczona; gdyż odnosi się tylko do ogólnych spraw państwowych. Wszystkie Stany wysyłają wybieranych co cztery lata z pomiędzy swoich obywateli reprezentantów do obu izb na kongres doroczny, gdzie roztrząsają się kwestye i załatwiają sprawy tyczące ogólnego interesu, przyczem kongres zarządza budżetem krajowego skarbu i we wszystkich dotyczących go kwestyach stanowi; tam téż załatwiają się sprawy polityki wewnętrznéj i zewnętrznéj państwa; ale każdy ze Stanów ma swoje prawa osobne, któremi się rządzi samodzielnie przez swój własny areopag pod prezydencyą gubernatora. Tak jak każdy stan wysyła do Washingtonu swoich reprezentantów dla stanowienia w sprawach całości państwa, tak znowu z każdego Stanu, dystrykty wysyłają swoich przedstawicieli do głównego swego miasta, dla obradowania w interesie wewnętrznéj administracyi swojéj prowincyi, ku czemu każda z nich ma swoją władzę wykonawczą.

Organizacya podobna, aczkolwiek w teoryi swojéj zdaje się być bardzo dogodną, wprowadzona w życie, okazuje się często niedostateczną i daje powód do wielu nieporządków. Niektórzy z głębiéj my-

ślących obywateli zamyślają o wielkich reformach i rozszerzeniu władzy rządu washingtońskiego; wielu już czuje naciskającą potrzebę ujęcia trochę silniéj samowolę prywaty, która częstokroć do ekscesów dochodzi.

Stronnictwo pragnących reformy pod nazwaniem republikanów, od ostatniéj wojny coraz się wzmacnia, pomimo silnéj opozycyi przeciwnéj partyi demokratów. Być może, że obecne nieprawidłowe zupełnie położenie rzeczy tutejszego kraju, to wytężenie już ostateczne do jakiego ogólnie dochodzi, przeważą szalę stronnictw, a większość uzna konieczną potrzebę zreformowania zupełnego organizacyi państwa. Widząc prawie fanatyczne przywiązanie obywateli tutejszych do form konstytucyi Washingtona, jako téż uporczywe utrzymywanie się ich przy wszelkich dawnych przywilejach, łatwo przewidzieć, że obostrzenie ich nie obejdzie się bez krwi rozlewu; będzie to zapewne zła godzina do przebycia, ale piérwsza reforma może inne za sobą pociągnąć, i społeczność całą na lepszą drogę wprowadzić.

Dnia 28 czerwca. Interes spadku po ś. p. generale Kościuszce bierze obrót taki, że w żadnym razie w tym roku ukończyć się nie da. Na ziemi nadanéj naszemu dziadowi, rozłożyło się miasto Chylicoty, które w skutek przeprowadzonéj tamtędy kolei żelaznéj linii zachodniéj, jako téż przystani nad spławną rzeką Czerwoną, która handel z południem ułatwia, stało się bardzo ważnym punktem handlowym i jednym z największych miast Stanu Ohjo. Obecni posiadacze téj ziemi aczkolwiek nieprawnie ją nabyli, zrobili to w dobréj wierze, a rzecz się tak miała: że około 1830 roku niejaki Klimkiewicz wychodziec polski, przybywszy do Stanów Zjednoczonych i zasłyszawszy o nadanéj ziemi generałowi Kościuszce, jako téż o dość znacznéj summie ulokowanéj na pewnym banku tutejszym (prywatna własność ś. p. Kościuszki); powziął myśl wyzyskania tego wszystkiego na własną korzyść: sfałszował więc testament generała Kościuszki, na którym jako świadków podpisał generałów Chłopickiego i Skrzyneckiego, a testament ten był tego brzmienia: że Kościuszko tegoż Klimkiewicza robi swoim spadkobiercą wszelkiego ruchomego i nieruchomego majątku, jaki znajdować się może w Ameryce. Klimkiewicz rachował, że odległość naszego kraju ułatwi mu to całe fałszerstwo, a władze Stanów Zjednoczonych łatwo podejść się dadzą i uznają go za rzeczywistego spadkobiercę; miał zupełnę nadzieję, że cała ta sprawa nie dojdzie nawet do Polski i rodziny generała Kościuszki. Ale wtedy już zaczęła się licznie rozchodzić po świecie emigracya polska a więc i w Ameryce się znalazła, a pomiędzy wychodźcami byli i tacy co znali dobrze stosunki rodzinne Kościuszki; zrozumiano szalbierstwo Klimkiewicza, tém bardziéj że znaleźli się tacy co na swoich świadectwach wojskowych mieli autografy generałów Chłopickiego i Skrzyneckiego. Takim to sposobem nawet i na drugiéj półkuli fałszerstwo Klimkiewicza łatwo się wykryło, a gdy prawni spadkobiercy ostrzeżeni nadesłali swoje dowody, a z Solury nadszedł prawdziwy testament generała Kościuszki

za prawomocny uznany; Klimkiewicz przekonony o fałszerstwo został skazany na więzienie, gdzie też umarł nie długo. Ale jeszcze przedtém, zanim mu wytoczono proces kryminalny, miał czas udać się do Ohio i tam na mocy sfałszowanego testamentu zdołał na ewikcyę ziemi nadanéj Kościuszce, zaciągnąć dług w pewnym domu handlowym. Kiedy dom ten powziął zawiadomienie, że Klimkiewicz o fałszerstwo oskarżonym został, widząc się być oszukanym, usiłował odzyskać swoją własność i na mocy zapewnienia jakie wziął od Klimkiewicza, za dług, jego ziemię, na któréj tenże dług był oparty, sprzedał obywatelom tegoż dystryktu, którzy zupełnie w dobréj wierze ją nabyli, niewiedząc zupełnie o tém, że Klimkiewicz a tém samém i firma wzmiankowanego domu, nie mieli najmniejszego prawa do téj posiadłości. Dziś więc wynika potrzeba układów dobrowolnych z posiadaczami ziewi należącéj spadkobiercom ś. p. Kościuszki, gdyż droga procesu długa i utrudniona, bo obywatele ci są bogaci i wpływowi, co tutaj stanowi niezłomną potęgę. Układów zaś saméj zawierać mi niepodobna bez porozumienia się dokładnego z rodziną moją, postanowiłam więc pozostawić tu umocowanego do czuwania nad interesem, zanim nadejdzie dalsze rozporządzenie spadkobierców, a sama powrócić do kraju.

Ci którym dano żyć we własnym kraju, których nigdy los przymusowo nie wyrwał z pomiędzy swoich, nie skazywał na tęsknotę za ukochanemi, za swoją ziemią rodzinną, za wszystkiem co swoje, ten nie pojmie ile to rozkosznego uroku mieści się w tém słowie: „powrócić do kraju;" powrócić do kraju, to znaczy powrócić napowrót w to koło, którego się jest wypadkowo zerwaném ogniwem, to na nowo zacząć żyć życiem własném, prawdziwém, to odetchnąć pełną piersią powietrzem, którém się od dziecka oddychać przywykło. Serce mi bije rozkoszą na myśl téj szczęśliwéj chwili, kiedy poczuję pod stopą tę moją, moją własną ziemię rodzinną, kiedy posłyszę w około siebie dźwięk mowy ojczystéj, kiedy obaczę tych naszych ludzi, wyraz ich twarzy spokojny a szczery. Przez ten rok ileż ja rzeczy takich nowych, takich ciekawych widziałam, iluż ludzi spotkałam, wieleż wrażeń doznałam; dlaczegoż to wszystko po myśli tylko przesuwa się zlekka, a nic nie odbiło się w sercu: to co dziś mnie obchodzić się zdaje, jutro już zupełnie obojętném będzie? bo rozum tylko na obczyznę mi towarzyszy, uczucia zaś i serce moje to własność mojego kraju; oderwać ich ztamtąd nie mogę, życie tu moje tylko połowiczne, czuję że żyć pełném życiem mogę tylko w swoim kraju.

Z przyjemnością rzucam Amerykę nie dlatego wszakże, ażeby mnie tu spotkać miały jakieś przykrości; owszem dla mnie osobiście pobyt mój tutaj był i zajmujący i nawet nie bez pewnych przyjemności. Pamięć generała Kościuszki dość żywo jeszcze przechowaną została, a mianowicie u starszych wiekiem i powagą obywateli; ci okazywali mi szczerą przychylność a nawet niektórzy dość żywo interesowali się mną i sprawą naszą: pomiędzy takiemi był senator Sumner, który mi powiedział, że uważa sobie nawet za obowiązek usłużyć w czém

tylko może rodzinie generała Kościuszki, względem którego obywatele Stanów Zjednoczonych obowiązek wdzięczności zaciągnęli. Mtrs Durand były gubernator Luiziany, a dziś jeden z członków najwyższego trybunału (*suprême court*), najznakomitszy prawnik w kraju, któremu powierzonym jest obecnie przez stronnictwo republikańskie napisanie projektu do nowych ustaw, więc człowiek znakomite miejsce w hierarchii rządu krajowego zajmujący, zajął się sam tém ażeby sprawę naszą wprowadzić na kongres (co wszakże nie doszło do skutku) z powodu że rozpatrzywszy się dokładniéj okazało się, że prowadzić jéj tą drogą nie można. Na kongresie rozstrzygać się mogą te tylko kwestye, które już jako zupełnie upadłe, drogę łaski jedynie mają przed sobą, sprawy zaś jak nasza, mające szanse procesu, iść muszą zwykłym trybem legislatury.

Cały proces spadkobierców ś. p. Kościuszki zrobił tu w swoim czasie pewien rozgłos i zajmował przez długi czas miejsce w szpaltach dziennikarstwa krajowego, znany więc jest powszechnie, a mianowicie takim, co już i wtedy mieli jakieś znaczenie; przybywszy więc tutaj nie potrzebowałam się przed nikim legitymować, pomimo bardzo usprawiedliwionego niedowierzania, z jakiém poważniejsi obywatele patrzą na nowych przybyszów z Europy, często awanturników: mnie przyjmowano chętnie i z zupełną wiarą w tożsamość mojéj osoby. Słowem znajdując się w warunkach wyjątkowych i niejako pochlebnych, nie mam powodu do jakiegokolwiek zażalenia się osobistego, a przeciwnie w wielu razach nawet przyjemne a nie zatarte wynoszę wrażenie, bo podwójnie jako Polce i wnuczce, jakże mi miło było widzieć na téj obcéj a dalekiéj ziemi, pamięć Tadeusza Kościuszki uczczoną i mieszczącą się na pierwszych kartach historyi tego nowego narodu; miło mi było widzieć w Kapitolu popiersie Kościuszki obok Washingtona, Franklina i innych patryarchów narodu; pomnik postawiony przed laty w West-Point świadczy także jasno, że Amerykanie pamiętają o tém, że instytucye swojéj szkoły wojskowéj jemu winni.

Wszystko to pochlebiało dumie mojéj, a *biorąc po wierzchu* wystarczyłoby może do pobłażliwego zapatrywania się na ustrój społeczności tutejszéj. Ale że ktokolwiek chce jakąbądź kwestyę widzieć jasno i roztrząsnąć ją sprawiedliwie, musi odsunąć jak najdaléj od swoich poglądów osobistość swoją, i ja więc niezależnie od tego co moją osobistość tu mogło dotykać, usiłowałam badać życie społeczności tutejszéj, jéj kierunek i cele. Wynikiem tych badań uważanych jest dziwny niesmak, tém dotkliwszy i przykre sprawiający uczucie, że widzimy wyraźnie jak społeczność ta znalazłszy się na pochyłości materyalizmu, stacza się po niéj z gwałtowną szybkością, a w niepowstrzymanym pędzie swoim pociąga za sobą inne, szerząc w około zarazę rozkładającego się pozytywizmu, którego jest rdzeniem. Smutny jest widok téj społeczności; żyje ona, lecz napróżno szukałbyś tu życia duchowego: materya pochłonęła już tu wszystko co z ducha pochodzi, duch martwy o nic się nie dopomina; materya tu panią wszechwładną, ona

dźwignią tutejszego życia, ona celem usilnych dążeń: dla niéj praca, dla niéj całe wytężenie. Aż zimno czasem się robi wśród tych ludzi, którzy swoje człowieczeństwo zaprzepaścili w grubym materyalizmie; pusto; bo nigdzie nie ujrzysz w około siebie téj bratniéj miłości, téj wspólności dążeń i uczuć, co gdzieindziéj ludzi z ludźmi wiąże: tutaj każdy sam w sobie zamknięty, dla siebie żyje, dla siebie jednego pracuje; nie ma tu węzłów ani przyjaznych ani rodzinnych: ludzie tutejsi rządząc się zimnym racyonalizmem wszystko podeptali. Pozytywizm europejski z całym swoim cynizmem jest o tyle wyższym, że uwierzył w potęgę rozumu, tutejszy zdobył się tylko na wiarę w potęgę dolara.

Dokąd to społeczeństwo zajdzie i jak długo tém sztuczném życiem żyć zdoła, to wielka kwestya? Amerykanie nie czują sami swego moralnego upadku, odcięci całą przestrzenią oceanu od reszty cywilizowanego świata nie widzą nicości swojéj w porównaniu do innych zdrowodojrzałych narodów. Nie rozumieją że emigracya która tu tłumami napływa składa się przeważnie z szumowin lub najniższych warstw swoich społeczeństw; lecz widząc te massy wychodzców różnych narodowości, domagające się o prawa obywatelstwa w Stanach-Zjednoczonych, Amerykanie są przekonani, że kraj ich bez świata całego obejść się może, a za wzór mu służy; więc nie widzą potrzeby powodować się cudzemi wskazówkami i kształcić się szukając wzoru u innych. Zarozumiałość Amerykanów jest charakterystyczna i zasługuje na uwagę badacza, bo służyć może za dowód, że naród ten nie jest jeszcze na drodze postępu. Amerykanie w zaślepieniu swojém przy każdéj zręczności, przy każdéj publicznéj przemowie, bezprzestannie wołają: „Naród nasz ma świetną przyszłość przed sobą!“ Patrząc wszakże z bliska na to zepsucie obyczajów, na górujący nad wszystkiem interes prywatny, sprzedajność, brak honoru i uszanowania w człowieku jego wartości osobistéj, a co najważniejsza, rozprzężenie zupełne prywatnego życia, które jest główną podstawą społecznego ustroju, trudno dobrze rokować.

Niepodobna nie przewidywać upadku narodu wśród którego niema usiłowania, ażeby członkowie jego od dziecka kształcili się na prawych obywateli, gdzie dziecię wzrasta bez zasad, bez steru żadnego, a matka nie czuwa nad rozwojem uczuć i myśli przyszłego człowieka.

X.

Dnia 10 lipca. Za dwa dni wyjeżdżam do New-Yorku a ztamtąd do Europy. Pożegnałam już moich znajomych, a dzisiaj o szóstéj rano, korzystając z rzeźwiejszego jeszcze powietrza, obeszłam skwery ażeby napatrzyć się raz jeszcze na cudną roślinność tutejszą, jakiéj zapewne już nigdy w życiu więcéj nie zobaczę. Było już w pół do ósméj, słońce takim żarem paliło, że oddychać było trudno, a mnie się odejść nie chciało z muzeum-parku; nie mogłam oczu oderwać od tych krze-

wów kwiecistych, od tych drzew fantastycznych kształtów a ciemnym olbrzymim liściem okrytych, aż nakoniec dojmujący ból głowy przypomniał mi, że narażać się dłużéj na śmiercią grożący upał byłoby szaleństwem; z żalem więc obejrzałam się raz jeszcze, a wyszedłszy z parku, wsiadłam do nadjeżdżającego omnibusu i wróciłam do domu. Gorąco zdaje się jeszcze z każdym dniem powiększać, jeżeli jeszcze powiększyć się może; wypadki śmiertelności coraz częstsze, w nocy sypiać niepodobna, tak parne jest powietrze, a w dodatku jeszcze komarów taka moc straszna, że bez kotary przy łóżku na jedną chwilę spocząć niemożna; nad ranem rzeźwieje wprawdzie trochę powietrze, ale tak na krótko. Przy tém wszystkiem często jeszcze dmie wiatr w rodzaju afrykańskiego sirocco, tak gorący i duszny że oddech zabija, a niosąc wzdłuż ulic tumany piasku, zmusza do zamykania szczelnie drzwi i okien. Lód nieustannie rozwożą po ulicach; jest to lód sztuczny, fabrykacya jego dokonywa się na wielką skalę: czysty jest bardzo i trwały, sprzedaje się na funty i w stosunku do cen tutejszych dosyć tanio. Za funt płaci się dwa centy, co wynosi wprawdzie naszych pięć groszy; ale że tutaj nic bez ogromnych zysków się nie sprzedaje i robotnik niezmiernie drogi, sądziłby więc należało że u nas taka produkcya mogłaby o wiele mniej kosztować; a zdaje mi się że i w naszym kraju, pomimo że w zimie mrozy miewamy często mocne, lód sztuczny jednakże przydałby się nieraz.

Dziś już rozumiem dobrze dlaczego mieszkańcy krajów gorących tak mało w pokarmach swoich używają mięsa, gdyż sama od niejakiegoś czasu oprócz jarzyn i owoców nic w usta wziąść nie mogłam, a osłabioną się czuję do niewypowiedzenia. Do New-Yorku jadę nocnym pociągiem, tym sposobem choć w części uniknę upału.

Dnia 20 lipca. Od tygodnia już bawię w New-Yorku i jeszcze kilka dni pozostać tu muszę; wstrzymał mnie telegram z Washingtonu: okazała się potrzeba dopełnienia jeszcze jednéj formalności urzędowéj przed moim wyjazdem z Ameryki.

Podróż moją z Washingtonu odbyłam szczęśliwie, bez żadnego wypadku, ani nawet godnego uwagi wydarzenia; większą część drogi przejechałam w nocy, w wagonie nocnym *sliepincar*, pomimo bardzo wygodnego siedzenia w fotelu rozkładającym się na łóżko, nie spałam wcale, bo sypiać w drodze w ogólności nie mogę, a tą razą usnąć mi jeszcze nie dawała myśl że już wracam. Cisza była zupełna w wagonie, wszyscy inni pasażerowie spali wybornie, a ja patrzyłam przez okno i snułam sobie w myśli z jakiém to szczęściem znowu się znajdę nie długo pomiędzy swemi, a tak byłam tą myślą zajęta, że wspomnienie na podróż po oceanie jaka mnie czeka, nie bardzo mi się nasuwało. Jakkolwiek było ciemno, to jednak widok przez okno miał jeszcze w sobie dziwnie urocze piękno, bo cała okolica jaśniała miryadami wielkich muszek fosforycznych, co unosiły się po nad ziemią niżéj i wyżéj, a taka ich moc niezliczona, że aż rozświecały widnokrąg: sprawia to widok tak cudnie piękny a nowy, że już sam byłby w stanie najcięższy sen od-

pędzić z moich powiek. W połowie drogi pomiędzy Baltimore a Filadelfią rozwidniało i już daléj jechaliśmy po dniu; cudne muszki zgasły, zato piękny krajobraz rozesłał się przed memi oczami, a coraz nowy, coraz rozmaitszy, coraz ludniejszy, więcéj zamieszkały, bo im bliżéj New-Jorku, ogniska przemysłowego ruchu, tém ludzi więcéj. O dziewiątéj rano stanęliśmy w New-Jersey, zkąd udałam się prosto do Hobocken, do moich poczciwych Francuzów. Pani Bertrand przyjęła mię po swojemu gościnnie, i postarała się zaraz ażebym mogła odpocząć po całonocnéj podróży. I oto od kilku dni nabieram sił do nowych trudów, a jedzenie przyrządzone w sposób europejski, więc smaczne i zdrowe, smakuje mi bardzo i odżywia siły po kilkomiesięcznéj prywacyi, jakiéj poddać się musiałam w Washingtonie.

Odwiedziłam i pożegnałam zarazem wszystkich tych z któremi podczas piérwszéj bytności mojéj tutaj zabrałam znajomość. Pułkownika Celtnera znalazłam zmienionego, przez te kilka miesięcy podstarzał się znacznie; ten krótki przeciąg czasu ludziom młodym przemknął jedną chwilą, starym nowy ciężar na gnące się ku ziemi barki narzucił. Pułkownik Celtner czuje się słaby, prawie nie wychodzi z domu, a wczoraj kiedym go żegnała już zupełnie, żegnał mnie smutno i westchnął tęskno zazdroszcząc mi że jadę do Europy: znać czuje i cierpi, że dla niego nie ma już nadziei ażeby ujrzał swój kraj rodzinny, wié że kości swoje położy na obcéj ziemi. Ze szczerém współczuciem patrzałam na ten ból starca, a razem w sercu radość poczułam i rzewną wdzięczność Bogu, że mnie na takiż los nie skazał. Pilno mi już puścić się w podróż, chciałabym jednéj chwili być na pokładzie okrętu. Za trzy dni odpływa okręt hamburgskiéj kompanii Westphalia, na który mam bilet kupiony; dnie żółwim krokiem zdają się pełznąć, gorąco z mieszkania wychodzić nie pozwala, co bardziéj jeszcze nudę zwiększa. Wczoraj poszłam na Brodway, gdzie są najbogaciéj zaopatrzone magazyny, chcąc kupić kilka pamiątek z podróży mojéj, takich któreby nosiły na sobie jakąś wybitną cechę amerykańskiego kraju; lecz czy uwierzy mi czytelnik, że dosłownie nic nie znalazłam takiego, coby było jakimś oryginalnym a wartym przywiezienia do Europy. Mówiono mi, że przed kilku laty był przy ulicy Brodway bardzo piękny magazyn samych wyrobów indyjskich, więc różne wyroby drewniane, z kory wyszywane w piękne wzory trawą kolorową, ozdobne graciki z konch i t. p.; ale magazyn ten nie miał powodzenia i zwinięty został: wyroby te istotnie zadziwiają delikatnością i gustem, widziałam ich kilka u mojéj gospodyni pani Bertrand. Poczciwą Francuzkę zastałam mocno stroskaną, stagnacya ogólna i im uczuć się daje: najlepsi jéj lokatorowie powyjeżdżali napowrot do Europy. Bankructwa nieustanne sprawiają, że mnóstwo biór i fabryk zamknięto, a pełno ludzi pozostało bez zajęcia.

W New-Yorku ruch się znacznie zmniejszył, z powodu gorąca mnóstwo osób ucieka na wieś w góry, zamożniejsze rodziny wszystkie

powyjeżdżały z miasta, ci zaś co w żaden sposób nie mogą się wydalić, urządzają ciągłe wycieczki w górę rzeki Hudsonu, a tacy którym i na to niestaje, nie żyją ale wegetują jak mogą doczekując chłodniejszéj pory. Cieszę się nadzieją rychłego opuszczenia Ameryki, a jednak któż wié czy podróż po Oceanie nie przyniesie mi jeszcze większéj przykrości, a gdybyż przykrość tylko! Pakując rzeczy pamiętnik mój kładę na wierzchu, zapewne na okręcie cóś jeszcze do niego przybędzie a pisząc i niejaką rozrywkę będę miała.

Dnia 25 lipca, na pokładzie Westphalii. Wczoraj wypłynęliśmy z portu. Pasażerów jest o wiele mniéj tą razą na okręcie, jak było kiedy płynęłam do Ameryki, wygodniéj więc i obszerniéj. W przeddzień odjazdu udałam się do okrętu, stojącego na kotwicy przy samych dokach i porozumiałam się z gospodynią klassy, o miejsce, które sobie wybrałam; najlepszy to jest sposób uniknięcia przy rozlokowaniu się wszelkich kłopotów; rzeczy także odesłałam z wieczora, a w dzień wyjazdu poszłam sobie spokojnie, bez pośpiechu. I tą razą także towarzystwo podróżne nie nazbyt zajmujące, a oprócz dwóch rodzin amerykańskich z Bostonu jadących na kuracyę do Europy, znać do wyższéj towarzyskiéj sfery należących, zresztą nie ma zupełnie nikogo, z kimby kilka słów przyjemniejszych zamienić można było i zaczyna być znowu porządnie nudno; możeby się znalazło jeszcze cóś do napisania, ale z powodu silnego kołysania się okrętu pisać nie bardzo można, wzięłam więc dzisiaj kilka książek z biblioteki i zabieram się do czytania. Pogoda dotąd piękna a morze spokojne, o ile wszakże ocean spokojnym być może; dałby Bóg gdyby i dalćj tak było. Całe towarzystwo przesiaduje ciągle na pokładzie, mnie nuży do niewypowiedzenia ten monotonny ruch przelewających się bałwanów w wiecznych z sobą zapasach, i zawsze jeden widok nieba i wody, które zdają się z sobą łączyć i jedno z drugiego pochodzić. Czas na okręcie schodzi jednostajnie, a każdy rad że doczekał wieczora i jednym dniem zbliża się do kresu podróży. Z rana o ósméj dzwonek wzywa pasażerów do sali na śniadanie, po którym wszyscy wychodzą na pokład, gdzie jak kto może czas spędza do południa; tu znowu obiad trochę czasu zajmie, o czwartéj kawa albo czekolada, a o szóstéj kolacya gromadzi znowu całe towarzystwo do sali. Pomiędzy zaś jedzeniem, które prawie większą część dnia zajmuje, każdy jak może radzi sobie, ażeby jakąś rozrywkę sobie wynaleźć, a rozrywki te bardzo ograniczone; mężczyzni najczęściéj grają w karty lub szachy, kobiétom trudniéj o zajęcie: już samo nieustanne kołysanie okrętu działa w sposób irytujący na nerwy, i niczém długo zająć się nie da, czytanie nawet niedostateczne jest i więcéj męczy jak rozrywa.

Z tém wszystkiém, pomimo mniéj więcéj silnego cierpienia morskiéj choroby, któremu prawie każdy z podróżnych ulega, powietrze morskie dziwnie jest zdrowe i wzmacniające, a mianowicie dla chorych na piersi. Jędzie z nami jakiś młody Amerykanin chory na

suchoty i to widocznie w wysokim stopniu; już po raz piąty przepływa przestrzeń oceanu do Europy i napowrót, i mówi że kiedy jest na morzu, czuje się z każdym dniem lepiéj. W czasie podróży po oceanie nie wiele spać można, a w dzień ciągle się czuje sennym.

Dnia 3 sierpnia. Przebyliśmy straszną burzę: przez cztery dni okręt wytrzymywać musiał orkan wściekły, który nim miotał na wszystkie strony. Dzięki Bogu, że się obeszło bez nieszczęścia, ale w niemałéj trwodze byliśmy. Jak zwykle w takim razie choroba morska grasować zaczęła, a całą siłą trzeba się było trzymać łóżka ażeby nie wyleciéć. W dzień było jeszcze raźniéj, ale w nocy wrażenie okropne; ciemność podnosiła jeszcze bardziéj grozę burzy: każdy w kajucie leżał na swojém łóżku trzymając się oburącz poręczy i słuchał tylko jak wicher wył wściekle, jak bałwany z głuchym szumem tłukły o boki okrętu: chwilami słychać było jak fala z szalonym łoskotem przelewała się przez wierzch pokładu a stuk upadającego jakiegoś przedmiotu znaczył, że wściekły bałwan urwał co mógł pasażerom: wtedy przechodziło przez myśl, że może ocean okrętowi jakiś szwank zadał i wydarł nam jedyną deskę zbawienia. Od czasu do czasu okręt drgnął gwałtownie, podniósł się na chwilę a potém opadł jakby już w jaką bezdenną głębię się pogrążył. Niebezpieczeństwo było jawne, a nikt nieśmiał o nim mówić; wszyscyśmy go czuli, a każdy wyczekiwał ażeby ktoś słowo otuchy wrzucił do serca i myśl nim rozjaśnił: czuliśmy że jedno nic, jedno nie wielkie nadrujnowanie okrętu pogrąży nas na dno oceanu, widzieliśmy że życie nasze wisi na włosku. Wtedyto dopiéro zrozumiałam dlaczego marynarze wszyscy są tacy pobożni, dlaczego między niemi nie ma ateistów.... Przez cały czas burzy i okręt i kapitan dzielnie się okazali; w okręcie nic się nie popsuło, wytrzymał burzę wytrwale: kapitan przez cztery dni i trzy nocy ani na chwilę prawie nie zeszedł z pokładu, i nadzwyczaj wiele okazał przytomności i energii.

Zawczoraj pod wieczór burza zupełnie i nagle ucichła a noc mieliśmy spokojną; na drugi dzień wszyscy zeszli się na pokładzie, wszyscy po tak długich katuszach niepokoju poczuli się jakby odrodzeni; dziękowano kapitanowi, a w dowód wdzięczności ofiarowano mu piękny zegarek kupiony za składkowe pieniądze u kogóś z pasażerów; na tę składkę złożyliśmy się wszyscy naprędce. Było to przed samym obiadem, przy obiedzie podano wino szampańskie; kapitan wniósł toast na powinszowanie minionego niebezpieczeństwa: odpowiedziano hucznym toastem na cześć kapitana okrętu; wesołość była ogólna: pod wieczór kapitan kazał dać wódki i piwa majtkom, którzy rozochoceni przy muzyce katarynki tańczyli i śpiewali do godziny ósméj, o ósméj zaś na dany znak wszystko wróciło do porządku, a wszyscyśmy po raz piérwszy od kilku dni zasnęli snem spokojnym.

Obiecywałam sobie przez czas żeglugi pisać wiele w pamiętniku moim, ale nie obrachowałam, że ciągły i silny ruch okrętu na przeszkodzie mi w tém stanie; wreszcie pod wpływem ciągłego rozdrażnienia, myśl, niepewnością o własne bezpieczeństwo miotana, nie bardzo w karby porządku ująć się daje; każdy z pasażerów nudzi się śmiertelnie, a jednak niczém zająć się nie może: wszyscy siedzą na pokładzie i z pewnym rodzajem jakiegoś martwego osłupienia, wpatrują się zawsze w ten sam ruch piętrzących bałwanów, w tę przestrzeń niezmierną, której ani końca, ani początku dopatrzyć nie można, a z myśli swojéj zdać sprawy, ani jéj wątku uchwycić niepodobna. Przebyliśmy trwogę burzy, a teraz ocean jakby się przysiągł na to, ażeby nam dawać ciągle uczuwać nasze niedołęztwo, trzyma nas w nowym niepokoju. Już przez dwie nocy mamy mgłę tak gęstą, że o kroków dziesięć latarni na pokładzie nie widać; mgła taka jest równie prawie jak burza niebezpieczną dla okrętu, bo statek płynie na oślep i bardzo często bywają z tego powodu wypadki, a mianowicie co bardzo często się zdarza, gdy dwa okręty napłyną na siebie, zwykle oba natychmiast idą wtedy na dno. W czasie takiéj mgły, co chwila na pokładzie daje się słyszeć ryk tuby z powodu ścieśnionego powietrza przytłumiony i dziwnie ponury; to głos ostrzeżenia dla mogących się znajdować w bliskości innych okrętów. Szczęściem że jesteśmy jeszcze na pełnym oceanie i daleko od brzegów; wieczór się zbliża, wszyscy z niepokojem spoglądają na horyzont ażali się nie rozjaśni: oby Bóg dał, aby noc dzisiejsza nie była tak mglista.

Dnia 8 sierpnia. Wracam z pokładu, serce bije mi gwałtownie, łza do oka się ciśnie: nie mogę opanować mego wzruszenia.

Przed chwilą na własne oczy ujrzałam szarzejące w dali na widnokręgu brzegi Europy. Od rana już oficerowie zapowiedzieli nam, że dziś pod wieczór obaczymy ziemię, w nocy dopłyniemy do Plimouth, w południe zatrzymamy się na chwilę w Cherbourgu dla zdania poczty i wysadzenia kilku pasażerów, a ztamtąd już prosto udamy się do Hamburga.

Na tę tyle upragnioną wieść, wszyscy jakby nowém życiem ożywieni zostali; wszystkie twarze rozpromieniły się i weselej na pokładzie się zrobiło; pomimo że wiedziano iż ziemia dopiero wieczorem nam się ukaże, nikt już, oprócz dla jedzenia na dół zejść nie chciał; po południu czas zaczynał się wydawać coraz dłuższy: wszystkich oczy były skierowane w jedną stronę. Od rana już coraz to częściéj ukazywały się żeglowe okręta i parę parowców ominęliśmy; jakoś już ochotniéj i lżéj na sercu było, bośmy się czuli bliżéj ziemi. Około piątéj wieczorem właśnie zeszłam na chwilę do sali, kiedy naraz głośne okrzyki dały się słyszeć na pokładzie i oznajmiły mi że nareszcie nadeszła z takiém upragnieniem oczekiwana chwila: wybiegłam coprę-

dzéj na górę. Przed nami ku lewéj stronie, w dali na widnokręgu szarzało cóś, co tylko dla oka marynarzy wyraźném było: były to brzegi Anglii.

O! witajże mi, witaj Europo! coś wypiastowała ludzkość dojrzałą, krwią ofiary; potem ciężkiéj pracy zlana ziemia twoja, ale plon jéj obfity po wiek wieków na świat cały wystarczy, o ile w miłości zasiany. Niech nowy świat łudzi łatwowiernych nęcąc ich zdala przewrótnemi doktrynami zapewniającemi swobodę nawet niecnoty; niech rzuca w świat teorye materyalizmu co zwalnia człowieka od odpowiedzialności w obec Boga i bliźniego. Ty zawsze prawem wytrwałéj zasługi, stać będziesz na czele i przewodniczyć całéj ludzkości, o ile pomna zasad odwiecznéj prawdy, zachowasz w nich ducha i miłość téj ludzkości.

OBRAZY
ZE WSPÓŁCZESNÉJ LITERATURY NIEMIECKIÉJ.

PRZEZ

Feliksa Jezierskiego.

Chwilowy zastój.—Dogmat teutoński.—Lingg.—Spach, jego dramat: „Wazer.“ —Próby pojednania.— Poezya efektu.— Odrodzenie się w sagach i klassycyzmie (Hartmann—Simrok).— Dramata Hellmutha.— Tragedya Dahn'a.—Hamerling i jego Ahaswer.

„Le présent est gros de l'avenir.—Leibnic.“

Do rzędu chorobliwych deklamacyi obecnéj chwili należy: głoszona natrętnie po dziełach i prassie peryodycznéj (szczególniéj w Niemczech), zapowiedź o bliskim „przewrocie w teoryach naukowych, w sztuce, filozofii“ i t. p. Dosadną odpowiedzią na te naiwne wróżby, jest przytoczone na wstępie hasło filozoficzne najpotężniejszego umysłu w XVII stóleciu. Czyliż w wiekuistém pasmie zjawisk przypuszczalną jest taka doba, którą mielibyśmy prawo uważać, nie za stacyą powszechnéj ciągłości? nie za przeddzień przesilenia mniéj lub więcéj głośnego?

Podszepty do podobnéj hipotezy w obrębie sztuki, a szczególniéj poezyi, mogła podać dziwna posucha, jaką przyniosło za sobą ubiegłe dziesięciolecie. Nie ulega wątpliwości, iż powaga wyższéj literatury nadobnéj, na pewien czas zachwianą została. Ale to zachwianie, to upodrzędnienie piękna wśród sprężyn społecznych, nigdy nie do-

wodziło jego upadku. Jak w filozofii natury np. kierunek idealistyczny zwęża się widocznie, zostawiając szerszy gościniec realistycznemu; tak w dziedzinie twórczości artystycznéj, farba i dźwięk wypierają słowo: są to ruchy metod, form, lub punktów wyjścia, zmieniające się koleją czasu. Ale filozofia, ale sztuka, zostają niewyparte, bo to typy rodzajowe, a typy zaginąć nie mogą.

Jeżeli po wielkich wysileniach, przycichną na chwilę głosy namaszczenia, takie zatajenie się siły twórczéj należy także uważać za stacyą, a po za ciszą i ustaniem tętna na zewnątrz, domyślać się trwania głównego prądu bez przerwy. I w naszém piśmiennictwie, Wielka Plejada miała przed sobą i po sobie podobne przystanki.

Tak więc okresy zastoju i bezwładności, przy głębszém wpatrzeniu się w tok dziejowy, uzyskać muszą pewną *dodatnią* wagę: sam spoczynek musi być uznanym „za moment ruchu;“ będzie to, jakby pole rozpędu do przyszłéj działalności.

Panująca w Niemczech od lat kilkunastu bezpłodność na niwie poezyi, wzbudziła nie w jednym z jéj wyznawców pokusę do zerwania na zawsze z tym światem „majestatycznych nicości.“

Poczyatedy, wyraźny głos Boga do ludów jego, chylić się poczęła ku zachodowi; i umysły najwydatniéj przeznaczone na organa sztuki, poczęły wierzyć, że czasy już się spełniły i wyrocznie mówić przestają.

A przecież wśród téj posuchy poezya żyła objektywnie, zatrzymały się tylko jéj objawy; spoczynek, powtarzamy, był fazą ruchu, rozpędem. Krótką chwilę namaszczenia się gladyatora, wzięto za bezwarunkowe uśpienie. Tak było i we Francyi za owych czasów, które Lamartin (destinées de la poésie) nazywa epoką algebry i sceptycyzmu, przeciw któréj protestował sam tylko Szatobriand. Tak było w Niemczech w ciągu kilkunastu lat, poprzedzających chwilę obecną. Przebiegając po kolumnach prassy, zaledwie można było doszukać się tego złotego runa wśród artykułów poświęconych ekonomii politycznéj, przyrodnictwu, historyi, filologii i t. p. Niesłychanie ciekawe odkrycia etnograficzne, imponujące wywody z filozofii natury, zdobycze archeologiczne, porywały umysł, pragnąc niejako poetyczną śmiałością poglądów zastąpić nieobecną kapłankę. Czyliż rzeczywiście była nieobecną? Czyliż same wysilenia przez filozofów natury, zmierzające do zbudowania świata z atomu, lub siły, nie zdradzały właśnie owego zatajonego pierwiastku poezyi?

Tak więc objektywna ciągłość w losach poezyi, tém chwilowém ugórowaniem przerwaną nie została. Gdyż „teraźniejszość jest zawsze brzemienna przyszłością.“ I dziś może donioślej, niż kiedykolwiek poezya wygłasza w Niemczech uroczyste: „*e pur si muove.*“

Przyjrzawszy się główniejszym uosobieniom ruchu w poetycznem piśmiennictwie Niemiec, przekonamy się, że to ukrywanie się głównéj nici, ma podwójną cechę. Najprzód: trafiamy tu na wypoczynek owéj rodzajnéj siły, która wydała Szyllera i Getego i na

osadzenie się w życiu, tych zarodów, które mistrzowie posieli w formie idealnéj: powtóre, na wyrobienie realnego gruntu do przyszłéj twórczości. Rozwinięcie piérwszéj cechy nie wchodzi w nasze zadanie. Wspomnimy tylko, że idealne ziarna nie zeszły tu w takim duchu, w jakim były posiane. Ten, który przychodzi nocą i rzuca kąkol w pośród ziarna świętego, i tu odegrał swoją mroczną rolę. Z ideałami Fausta obchodzono się z taką samą praktyczną rubasznością, jak z allegoryami Pisma; brano je w dosłowności zmysłowéj. Wiemy, co sprowadził *Faust*, lub *Zbójcy* w życiu praktycznem. Niebotyczni poeci, odsłoniwszy w całéj nagości majestat słońca, zapomnieli ostrzedz ludzi, że oczów do niego blizko przysuwać się nie godzi.

Nierównie bliżéj dotyczy nas druga cecha: przysposobienie dziejowéj i społecznéj materyi dla sztuki; kiedy muza nie pracowała, pracowano dla muzy. Była to doba jakiegoś bezwiednego zalęgania się kształtów. W saméj nawet filozofii z pod zacierających się głosek *spekulacyi*, poczęło się przebijać niesłyszane dotąd godło „filozofia czynu.“ Po dobrém wsłuchaniu się w chaos walk teoretycznych, coraz donośniéj potrącały ucho zwiastowania o posłannictwie plemienia germanów, „o jego powszechném zadaniu dziejowém, o bliskiém postawieniu go na świeczniku w obec narodów ziemi.“

Z pochodnią takiéj wiary w posłanniczość plemienia, już i poeci poczynają zapuszczać się w dziejowe podziemia przeszłości. Nieokreślona dotąd na wpół-teoretyczna hipoteza o téj roli, jaką odegrać mieli germanowie w odnowieniu społeczeństwa, ukazuje się teraz w postaci odrobionego przekonania politycznego: Lingg, twórca znakomitéj epopei „Wędrówka narodów“ [1]) skreślił mistrzowsko obraz Rzymu, konającego w przesycie zbytków i zbrodni. Widok gruzów, zasypujących całe przestworze świata starożytnego, napełnia go posępném uczuciem. Dusza stęsknionego poety zdobywa się chwilowo na tę panteistyczną pociechę, że członki giną, ale całość zostaje, alę typ jest nieśmiertelnym.

„Prawda! prawda—mówi on—już i mój dzień pochyla się i coraz bliżéj nadbiega chwila południa. Młodość, która oplatała różami dni moje, zatacza się ku mrokom; to co miałem za wiekuiste, to zbyt szybko poblakło, a marzenie zbyt późno odstępuje. Jedna tylko pociecha: pociecha odradzania się duchowo i rozwijania w całości nieśmiertelnie. Kwiat po kilku tygodniach przedzierga się w owoc, z biegiem lat z owocu powstaje drzewo. Choć dzień ostatni przemoże wszystko, wszystko przecież żyje we wszystkiem utysiąckrotnione.„

Atoli wśród téj panteistycznéj otuchy połyskuje świat germański, poeta, posługując się mieczem Atylli, w wywrócęniu starego świata, kończy nawołaniem Północy:

---

[1]) Die Voelkerwanderung. Epische Dicktung v. Hermann Lingg (w trzech księgach). 1866.

„Wystąpcie, wystąpcie, wy dzielni zwycięzcy, zwiastunowie sądu bożego. Powstań, jasnowłosy Alaryku; powstańcie Markomani, Swewowie i ty mroczny Genzerychu! Strąćcie do trupów ten gród świata, boć miarka jego spełniła się, pobladły jego skronie. Napłyńcie z ciosami, a za waszym krwawym gościńcem niech zestąpi zbawienie i nowéj ery błogosławieństwo!“

Dwulecie upłynęło od epopei do komentarza.

Ale mamy nierównie wydatniejsze ślady wskazujące, jak tu i owdzie błąkały się w atmosferze materyału przyszłego cyklu.

Oto obraz z poematu „Król Syonu:“ Przed świeżo wybranym prorokiem Anabaptystów ukazują się ci i owi, ofiarując mu swoje usługi. Z kolei występuje *Tylan*, jedna z owych tytanicznych postaci, o których pisze Tacyt: „*in immensa corpora crescebant.*“

Oko olbrzyma utkwione w proroka; w prawicy dźwiga on miecz ogromny, dziwnego kształtu i niesłychanie dawny. „Słuchaj, proroku—mówi Tylan—leżałem niedawno na kamiennych grobach olbrzymów i w sen zapadłem, a oto we śnie słyszę głos: „powstań i miecz wyostrz“ i miecz wyjąłem ze skalnéj pieczary. Wspaniale uzbrojony w siłę, rozum, odwagę i piękność, powstanie bohatér teutoński... nie od cięcia, nie od razów, lecz od samego połysku stali, pierzchną jego wrogi. I tak wytępiając z korzeniem zło i fałsz po ziemi, on przejdzie przez krainy i rozwijając świętą chorągiew germanów zjednoczy w jedną rzeszę plemiona teutońskie; strąci mocarzy z tronów, a potém na tronach Bizancyum, Pęrsyi i Indyi osadzać będzie królów, swoich wiernych sojuszników.“

Tak śpiewał autor „Proroka“ wówczas kiedy piérwsza rdza spadała z miecza olbrzymów, aksiomat estetyczny odwrócił się biegunowo: „co miało stać się w rzeczywistości, to piérwéj ocknęło się w pieśni.“

Główną osią ducha poezyi niemieckiéj w obecném dziesięcioleciu, jest dogmat germański; dodać możemy, iż ogólny prąd piśmienniczy zwrócił się w tym kierunku—kto wie, czy nie z szkodą dla saméj treści. Nawet o mniéj szczęśliwych utworach krytyka odzywa się pobłażliwie, jeżeli nad ich nagłówkiem powiewa sztandar teutoński. Tak np. w roku bieżącym ukazał się w Strasburgu dosyć podrzędny utwór dramatyczny Ludwika Spacha „Henryk Wazer [1]) dramat w pięciu ąktach.“ Autor pochodzenia alzackiego, dyrektor archiwum strasburskiego, piszący w swoim czasie poprawnie po francuzku, więcéj jest znanym, jako historyk, szczególniéj w zakresie dziejów Alzacyi. Za panowania Ludwika Filipa pisał powieści francuzkie. Następnie pod przybraném nazwiskiem *Lavatera* wystąpił z utworami lirycznemi nie wielkiéj doniosłości. Ostatni jego utwor

[1]) Heinrich Waser. Ein Drama in fünf Aufzügen von L. Spach. Strasburg 1875 r.

(Wazer), doczekał się, jak widzimy, czasów niemieckich. Przedmiot jego jest raczéj powieściowy, aniżeli dramatyczny; idea, a raczéj pseudoidea, poświęcenie się dla prawdy naukowéj, tragiczne poświęcenie się, w którém jednak większą połowę wagi, stanowi miłość. Głównym bohatérem jest tu pastor zurychski, Wazer, który za swoje wyobrażenia pozbawionym został piastowanéj godności i zmuszonym opuścić Zurych. Przenosi się więc do Strasburga i tam spotyka się ze znakomitością swojego wieku, Szlecerem. Jednocześnie ze Szlecerem przybyła tam jego córka Dora, dziewica pełna wdzięków i sławy, (otrzymała bowiem honorowy stopień doktora). Wkrótce otwiera się przed nim pole do zasłużenia się Szlecerowi. Dla zaokrąglenia swojéj pracy, Szlecer potrzebuje dotrzeć do pewnych źródeł, a mianowicie do archiwum w Zurychu. Jako mąż prawdy a przytém zakochany, Wazer ofiaruje mu swoje usługi; wraca do Zurychu, dostaje się do archiwum i czerpie. Niestety gorliwość naukowo-miłosna popchnęła go zbyt daleko. Heideger, burmistrz Zurychu, śmiertelny wróg Wazera, oskarża go o złamanie tajemnicy państwa i zdradę stanu. Wazer zostaje skazanym na śmierć. Dorą umiera z rozpaczy.

Zdrada państwa dla miłości! czyn jak widzimy, *a priori* nie mogący ustać w obec dogmatu wysokiéj sprawiedliwości. Wolelibyśmy, w imię absolutu moralnego, widzieć to zadanie postawioném odwrotnie. Wplątanie oblubieńca w intrygę kontrabandy literackiéj, gdyby to tylko literackiéj! ze strony bohaterki również do szczęśliwych i estetycznie godziwych obrotów zaliczyć się nie da. Pytanie więc, kto tu będzie płakał nad bohaterém? chyba tylko Dora, jeżeli ma sumienie i to dlatego, że idącego na rusztowanie Wazera, ani rzeczywiście ocalić, ani moralnie rehabilitować nie może. Tyle o idei dramatu. W konstrukcyi saméj nie wiele talentu dramatycznego; w rozmowach ten sam chłód racyonalistyczny, jaki wieje z idei głównéj, sam nawet język zacina z alzacka.

A jednak krytyka nie szczędzi pochwał staruszkowi (Spach ma blisko lat 80), głównie za to, że stał „na kresach świata teutońskiego," Spach zaliczonym został w poczet dramaturgów pierwszego rzędu. Tak to, niestety i w najpotężniejszych głowach prawda objektywna, obsuwać się musi, na korzyść prawdy postawionéj *ad hoc*.

Przy dogmacie teutońskim w obecnem piśmiennictwie a szczególniéj poezyi, zawsze domyślać się przychodzi nieodczepnego epitetu nie transteutoński, co znów oznacza: nie galski. *Skrystalizowany śmieszek*, stojący dziś na czele brukowéj humorystyki, swoję nienawiść rasową niegdyś pokrywał płaszczykiem satyry na trójkę zaimkową: *On, Ona i Ono*. Aliści od chwili starcia, ów obrońca woli powszechnéj, apostół praw i współ-istotowości wielkiéj rodziny człowieka, naraz występuje z niezmordowaną zajadłością przeciw *la g-r-r-ande nation*. Zresztą jego dowcip powierzchowny, często rubaszny, wiercący się ociężale na sprężynie, najmniéj przypadającéj do natury ję-

zyka, na grzc wyrazów, wyśmiewa, a przynajmniéj stara się wyśmiewać z jednym i tym samym smakiem wszystkie barwy, nawet i najświętsze, *byle tylko szedł handel.*

Od pewnego czasu prassa niemiecka wywiesiła sztandar pojednania się na polu piśmiennictwa. I życzyć go należy w imię interesów sztuki i światła. Dźwignią moralną w stosunkach piśmienniczych jest miłość prawdy i absolutnego piękna, i oboje powinny być „droższemi od Platona.“ Niechęć zaciemnia poglądy, fałszuje historyę i przytępia ducha estetycznego.

Nadmieniliśmy, że kilkunasto-lecie, poprzedzające obecną chwilę, nie było urodzajném dla literatury nadobnéj; staraliśmy się przytém podciągnąć pomieniony fakt pod wyjaśniającą go zasadę. Stan odłogowy przemija, obok wspaniałych zadatków nowego okresu, stopniowo wysychają chwasty, w których posiewaniu obliczano na efekt polityczny. Oto są ich próbki.

„Runy i rymy (Fritza Pichlera“ Runen und Reimen, w Hamburgu 1875); jestto szereg stukilkudziesięciu ballad, sięgających po wieniec homerowski, ale nie dorównywających nawet w połowie, serdecznym obrazkom Longfellow'a w jego „Book of Songs.“

„Junkrowie i duchowni“ (Junker und Pfaffen) wierszydła tendencyjne, w przemytniczy sposób wprowadzające do świątyni poezyi owe drażliwe zapytania, o których rym i średniówka nigdy wyrokować nie będzie. Dziwnie zaiste rażą nas poemata rzymskie i staro-greckie wygłaszające pewne zasady z filozofii natury, ale stokroć dziwniejszym jest widok Parnassu, zamienionego na kancelaryą. Czytelnikowi aniby przyszło do głowy, że ci panowie rokują sobie na piękne *nieśmiertelność.* A przecież tak jest:

„Kto wié, odzywa się jeden z wieszczów epoki przednowkowéj, może zjednają mi nieśmiertelność te pieśni, wyśpiewane z głębi duszy wśród najgłębszych boleści, wśród wilgotnych murów; może te krzyki brzmiéć będą wiecznie, wiecznie!“ (Wesoła i poważna poezya: Ernste und heitere Poesie, bezimiennego. Wiedeń 1875 r).

Nieco sympatyczniejszemi są dwie nowelle „Nad morzem Tyrreńskiém“ i „Na wybrzeżu Norwegii“ pięknem i malowniczém piórem kreślące widok fal tyrreńskich i szum golfstremu.

Odradzająca się myśl artystyczna zwróciła się obecnie do dwóch źródeł, które po wszystkie wieki prowadzić ją zwykły, ilekroć poczuje potrzebę odetchnięcia. Temi dwoma źródłami są: świat klassyczny i podania ludowe, natura w sztuce i sztuka w naturze. Rzadko się zdarza, ażeby te dwa czynniki puszczone były w ruch tak jednocześnie i z tak równym zamachem, jak w obecnéj chwili. Podania rodzinne, pieśni ludu, powieści cudowne, zgoła, natura nie poparta wykończonemi formami i porządkującą zasadą klassyczności, wyradzać się zwykły na wodnistą sentymentalność albo stepową swobodę. Klassyczność znowu, nie pokrzepiona rosą i świeżém powiewem mitu

rodzinnego, nad oschłą formalność i pedanteryę nic wydać nię zdoła. Wprawdzie nie od dzisiaj krzątają się Niemcy około zebrania podań, legend i pieśni, ale dziś dopiéro wchodzą one w soki poezyi, jednolicie z klassycznością. Do rzędu najważniejszych prac na polu literatury podaniowéj należy „Biédny Henryk“ [1]) pieśń Minnezengera wieku XIII, Hartmanna, w przekładzie ślicznym wierszem na język współczesny, dokonanym przez Simroka. Jednym z najpiękniejszych obrazków téj sagi jest duma o królu Robercie i Swanhildzie. Mamy tu przed oczyma nieszczęśliwą, aż do rozpaczy kochającą kobiétę, któréj mąż otrzymał ranę śmiertelną. Podczas nocnego przystanku Swanhilda wysysa jad z rany ukochanego małżonka, niępomna, raczéj obojętna na to, iż sama poświęcenie się swoje opłacić musi niechybną śmiércią. Ranny wojownik tak się odzywa:

Z nami, z nami dziś niebianie
Stratowali pierś przemocy,
Nie wspominaj więc o ranie,
Lecz o czynach zbiegłéj nocy.
Niechże z piersi moich wnętrza,
W krwi się pławi hełm i zbroja;
Anglio! nie wróconaż twoja,
Wolność twoja przenajświętsza?
Wiara! w pogoń, nim zażegnie
Świt pochodnię—graj, dwusieczny!
Graj, aż wróg ostatni legnie,
I zagaśnie srom przedwieczny.

Społeczne ramy wieków Grecyi i Rzymu, na pozór zbyt szczupłemi się zdają dla pomieszczenia w sobie wszystkich cieniowań ducha nowożytnego. Ale z drugiéj strony przychodzi tu w pomoc dziwna elastyczność typu starożytności, wyobraża on bowiem *całość* natury ludzkiéj; mały świat (mikrokosmos) ciążący wszystkiemi żywiołami do wielkiego świata (makrokosmos).

Tym sposobem tłumaczy się możliwość nieustannego odnawiania się treści klassycznéj pod piórem mistrza. Dla dokonania zamiaru dosyć jest dla niego tylko rozszerzyć typ, i bohatér powstaje przed naszemi oczyma, w pełni dzisiejszego ducha. Nasze bowiem pojęcia leżą tam wirtualnie. Co innego jest kwestya *formy* i w tym względzie artyści niemieccy nie pozwolą sobie na anachronizm Rasyna, ledwie że nie malującego Achillesa z bagnetami i szmigownicą.

Na chlubną wzmiankę zasługują dwa poemata dramatyczne „Śmierć Patrokla“ i „Dziewice z Koryntu.“ (Dramatische Dichtungen von Hellmuth Maassen. Berlin 1875). Szczególnie pięknemi są jego „Dziewice z Koryntu.“ Zdaje się jakoby autor, tworząc swój poemat, czuł się pod padającym zdaleka cieniem Bajrona, i rzeczywiście

[1]) Der arme Heinrich des Hartmann von der Aue, übersetzt von K. Simrock mit verwandten Sagen. Heilbronn 1875. Hartmann był jednym z najwdzięczniejszych śpiewaków z okresu Minnesengerów: żył w wieku XIII.

jest cóś w ogólnéj intonacyi, przypominającego „Oblężenie Koryntu." Ten sam zapał, ta sama miłość murów ojczystych, choć oddzielona kilkunastu wiekami. Rzecz dzieje się na półtora wieku przed Chrystusem. Mucius oblega Korynt. Zawiązuje się krwawa bitwa, jeden z najdzielniejszych bohatérów greckich, godny przodek Kumurdżych, pada z ręki żołnierza rzymskiego. Siostra poległego, Dyone, naraz uniesiona podwójną rozpaczą, zgonem brata i upadkiem grodu ojczystego, rzuca się na jednego z wojowników rzymskich, zadaje mu cios śmiertelny na stopniach świątyni Pozeidona. Otaczający nieprzyjaciele pochwycili Dyonę i oddają w ręce zwycięzkiego konsula. Nieszczęśliwa, szlachetna Koryntyanka, pochodząca z najświetniejszego rodu, zostaje niewolnicą Centuryona. Tymczasem u brzegów morza stoją okręty rzymskie, napełnione obrazami, posągami, krociami bogactw i gotowe ponieść do stolicy Kwirytów ten bezcenny ładunek cywilizacyi greckiéj. Dyone zbliża się do okrętów, wstępuje na jeden z nich i z pokładu rzuca się w odmęty. Umarła więc wolną obywatelką zburzonego Koryntu, którego zwłokami Mucyusz ozdobił Romę, wróciwszy z wyprawy.

Przedmiot jak widzimy, godny koturnu: plan nakreślony wybornie, charaktery posuwają się bez zachwiania od początku do końca, *ictus* dramatyczny panuje wskróś całéj budowy; styl nieposzlakowany.

Z losami współczesnéj sceny niemieckiéj związane sa trzy wielkie imiona, uwieńczone laurami i na polu epopei: Dahn, Lingg, i Jordan.

Zakres obecnego sprawozdania nie pozwala nam mówić o każdym szczegółowo; ograniczamy się więc na pierwszym z nich. Feliks Dahn jest dramaturgiem historycznym, owego *środka* w sztuce, który z jednéj strony specyalizuje powszechną naturę ludzką (naprzeciw Szekspirowi), z drugiéj strony ujmuje on barw zbyt jaskrawym tendencyom obecnéj chwili, naprzeciw Hammerlingowi (w jego „Królu Syonu"). Jeżeli Szekspir jest poetą więcéj, niż narodowym, bo poetą ludzkości; jeżeli dramaturgowie niemieccy, współcześni, są zbyt może narodowemi, to w dramacie Dahn'a dziwnie równoważą się oba momenta, *Got* nie pochłania człowieka. Mówimy tu o jego trajedyi „Król Roderyk," utworze prawdziwie klassycznym, tak w ogólnéj architektonice, i poruszaniu się głównych sprężyn, jak w misterném odrobieniu scen, żywéj charakterystyce osób, i wydatnéj odrębności typów, od demonicznéj postaci Syndreda, aż do pięknéj, nieszczęśliwéj królowy Gotów, niosącéj sztandar królewski, różami i liściem dębowym uwieńczony. Środkowym punktem całego mechanizmu jest, od początku do końca bohater główny, ostatni król zachodnio-gocki w Hiszpanii. Rzecz dzieje się w 711 roku po Chrystusie. Odległość epoki, pożądana w epopei posłużyła i trajedyi, ochraniając ją poczęści od pokus dogmatu.

Po śmierci Witika, króla westgockiego, dostojnicy państwa w przeważnéj liczbie duchowni, zamyślają o obiorze nowego władcy. Roderyk, z rodu Baltów, znany z waleczności, jest pierwszym kandy-

datem, ku niemu zwracają się oczy wszystkich wybórców, tylko Eugeniusz, z ziemi Basków, biskup pampeluski, popiera Juliana, hrabiego Ceuty, miasta gockiego w Afryce. Roderyk, to tarcza Hiszpanii i postrach jéj wrogów; lecz dumny mocarz, i wątpliwy filar wiary: Julian pobożny lecz słabego charakteru. Prymas państwa, Syndred przyrzeka Roderykowi koronę pod warunkiem, że zaprzysięże wierność, poszanowanie świętych przywilejów, nadanych przed wiekami przez króla Nekareda, i że nie pierwéj weźmie koronę z rąk prymasa, aż po spełnionéj przysiędze: Roderyk przyrzeka.

Lecz w dzień wyznaczony na obiór w wielkiéj bazylice, w Toledo, otoczonéj ludem, wśród dostojników, Roderyk własną ręką chwyta koronę, każe przemocą roztworzyć podwoje i odwołując się do ludu, wpuszczonego w podwoje, ogłasza się królem.

Gotowie przyjmują z zapałem zamach stanu; dostojnicy, z Syndredem na czele, protestują. Oto pierwszy, a na owe wieki potężny, zadzierg dramatu. Roderyk, ogłoszony królem, rozpoczyna mozolną walkę domową z przeciwnikami. Julian i Tulga, ojciec Donny Cavy popierają Syndreda. Niegdyś, będąc jeńcem w Afryce, Roderyk został ocalonym przez nieznajomą dziewicę. Obraz zbawczyni wraził się w jego serce na zawsze, kochał tajemniczą. Kiedy teraz wypadkiem ujrzał Donnę Cavę, serce w nim zadrżało, w niéj bowiém poznał dawną zbawczynię. Syndred z całą chciwością chwyta nową nitkę machinacyi: za zgodą ojca, który Donnę Cavę, jeszcze w jéj dzieciństwie przeznaczył za żonę Julianowi, osadza ją u leukadyanek. Roderyk wyzwala oblubienicę, ogłasza królową Gotów i mieczem rozcina przywiléj Nekareda. Julian, mszcząc się na podwójnym współzawodniku: korony i serca, podburza Basków, wchodzi w układy z Maurami, wydaje w ich ręce dwie twierdze gockie w Afryce, nareszcie zdradziecko sprowadza ich do Hiszpanii. Następuje walna bitwa pod Xeres de la frontera; lud dotąd chwiejący się odstępuje Roderyka; lecz kolos wytrwał do końca, wśród zgiełku ostatniéj, rozpaczliwéj walki, Roderyk otrzymuje ranę śmiertelną; wprowadza go garstka wiernych, spartego na zbroi, obok niosą chorągiew i hełm królewski.

— O! królu, zawołał Gundemar, biada nam: wszystko stracone!

— Tak, odpowiada Donna Cava, ale nie stracona jest miłość, wiara i sława.

— Tylko jeden mąż stracony, wyjąknął Roderyk, brońcie się, brońcie.....

Roderyk zaklina przyjaciół, aby mu przysięgli, że poniosą w góry asturyjskie sztandar Gotów i berło, które on przekazuje najwierniejszemu z nich, Pelayowi.

— Cofajcie się natychmiast!

Pelayo. Kędyż, powiedz Roderyku; czyliż do Toledo?

Roderyk. Nie! nie do Toledo; tam czatuje na was gwałt lub zdrada. Na północ do Asturyi, do gąszczu jodeł, skał i lodników; tam skryjcie w parowach szczątki ludu Gotów, dokąd nie dosięgnie stepowy rumak Maurytaniua. Nie składajcie orę-

ża, niech ta chorągiew nie uchyli się przed wrogiem; to ostatnie moje słowo królewskie: mój testament. Gotowie moi przysięgnijcie.!

PELAYO. *(Padając na kolana).* Przysięgamy, iż poddania się nie będzie, *(podnosząc sztandar)* ani sztandar twój nie uchyli się półksiężycowi.

RODERYK. Teraz król Gotów może skonać spokojnie, i państwo Gotów żyć będzie. Lecz ty, o biédna Donno Cava! Jakiż będzie twój los?

CAVA. O! nie będzie to los wdowy: powój, który się owinął w około dębu nie przeżyje upadku bohatéra swojego. Oto wybiegam przed tobą... a ty, pójdź za mną, pójdź, biały sokole, w błękitne przestworza nieba *(przebija się sztyletem Roderyka).*

RODERYK. Idę za tobą! żegnajcie mi, wierni przyjaciele; gasnę ja tylko, ale nie gwiazda twoja, ludu mój gocki *(umiera).*

Tak zginął ostatni król Gotów zachodnich i Donna Cava, ostatnia ich królowa; idealny zawiązek przyszłego cyklu poezyi rycerskiéj na półwyspie.

Zwrot klassyczno podaniowy prowadzi nas do jednego z najpopularniejszych poetów: Hammerlinga.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD KRYTYCZNY

DZIEJÓW SZKOŁY SZTUK PIĘKNYCH W KRAKOWIE (1818—1873).

SKREŚLIŁ

Wł. Łuszczkiewicz.

(Dokończenie).

II.

Zwinięta posadę professora rysunku wyższego w szkole sztuk pięknych połączonéj z techniką zastąpił prof. rzeźbiarstwa. Reskryptem senatu b. rzeczypospolitéj Krakowskiéj, z d. 3 września 1839 r. polecono rozpisać konkurs na tę posadę wedle statutu wewnętrznego z r. 1833; ksiądz Stachowski kan. kat. był wtedy komisarzem rządowym przy instytutach naukowych. Jakoż zgłosiło się trzech kandy-

datów: Aleksander Wawrzecki były uczeń szkoły, który po r. 1832 zastępczo pełnił czas krótki obowiązki professora rzeźby, Paweł Filippi ornamencista, Włoch, którego sprowadził do Krakowa znany architekt Lanzi, i Karol Ceptowski rzeźbiarz, rodem z Poznania. Snać nie wielkich wówczas wymagano kwalifikacyi od professora oprócz pewnéj technicznéj wprawy w modelowaniu, skoro wszystkich trzech kandydatów przypuszczono do konkursu. Wawrzecki podobno nigdy krokiem za Kraków nie ruszył, w skromności ducha poprzestawał na téj małéj wiedzy, jaką w szkole Szmelzera nabył. Paweł Filippi wykazał się zaledwie świadectwem, iż uczył się rysunku i ornamentyki, geometryi i mechaniki, w *Studio publico delli arte presso San Salvatore in Lauro w Rzymie* i był tylko samoucznym zresztą rzeźbiarzem. Jedynie Karolowi Ceptowskiemu daném było bliskie zapoznanie się ze sztuką w stolicach jéj, Rzymie i Monachium. Urodził się on w Poznaniu z ojca Michała w r. 1801 na półwsiu w parafii Św. Marcina za murami, ojca jego zatytułowano w metryce „artista." Szkoły ukończył w Pakości, a wysłany do Warszawy, uczył się tutaj rzeźbiarstwa pod professorem Malińskim przez lat pięć. Znalazłszy się następnie w Wrocławiu, rysował tamże pod professorem Königem. Widzimy go następnie jako ucznia akademii sztuk pięknych Monachijskiéj. Kornelius wydaje mu świadectwo r. 1829, jako odznaczającemu się talentowi. Użył go też sławny Klenze przy budowie pałacu królewskiego do robienia kapiteli korynckich.

Pobyt w Monachium przedłużył się do lat dwóch, poczém wyjeżdża do Rzymu. W pracowni Tordwaldsena pracował lat 4 odkuwając w marmurze posągi jego, szczególniéj płaskorzeźba *noc* wyszła całkowicie z pod dłuta Ceptowskiego. W roku 1834 pracował pod okiem Schinkla przy kościele Św. Mikołaja w Podsdamie pod Berlinem, w r. 1836 przy rezydencyi królewskiéj w Brunszwiku, a wydaje mu chlubne świadectwa za rzeźby figur i ozdób, radzca budowniczy Ottmar. W r. 1839 zdobił kaplicę w Oporowie w Poznańskiém. Wiadomo również że pracował w Paryżu u Pradiera. Znalazł się w Krakowie w przejeździe do Rossyi, gdzie zamierzał osiąść.

Wedle statutu wewnętrznego szkoły sztuk pięknych, dowodem uzdolnienia na professora miało być wykonanie płaskorzeźby; rozprawę artystyczną i program nauki należało przytém napisać.

Temat wziętym był z § 29 Genezy, t. j. widzenie się Jakóba z Rachelą; wielkość rzeźby 2 łokcie, 1½ łok. przeznaczono do wykonania dziesięć dni.

Rezultat łatwy był do przewidzenia, sąd złożony z professorów Uniwersytetu filologa Kajetana Trojańskiego i bibliotekarza Józefa Muczkowskiego, Jana Bizańskiego i Głowackiego, pod przewodnictwem wizytatora szkół ks. Stachowskiego orzekł, że zacytujemy tu słowa owego aktu, który z taką pretensyonalnością znawstwa wyraża.

„W wykonanéj przez p. Ceptowskiego płaskorzeźbie znaleść można śmiałość pierwszych zarysów, właściwe attituda osób, wyraz

twarzy, znajomość anatomii, o ile takowy muszkularność ciała i skład szkieletu wymaga, piękny układ i grupowanie w harmonii będące z okrasą przydatkowych ozdób, znajomość i pomocniczych nauk optyki (sic) i historyi naturalnéj wymagających, trudny w rzeźbie przedmiot draperyi, wierne nakoniec oddanie myśli obok ścisłego zachowania charakteru osób narodu i klimatu, oto są zalety pracy p. Ceptowskiego. Pomijam sposób, pisze daléj ks. Stachowski, wypisania się, bo w tém żaden z uczniów Fidyasza nie celował, ale przyznać mu za to można łatwość tłumaczenia się i pełność niepospolitych krytycznych uwag“.....

Owe wypisanie się odnosi się do rozprawy konkursowéj i pytania postawione do odpowiedzi na piśmie, przynoszą téż na owe czasy zaszczyt komisyi delegowanéj; z tego powodu powtarzamy je tutaj: „Co to jest pięknota? i wieloraka? Jakie ma być usposobienie naukowe rzeźbiarza a jakie moralne? Wykazać prawidła inwencyi, układu rzeźby i krytyki. O stanie rzeźby w obecnym czasie we Włoszech, Francyi i Niemczech z wyliczeniem najznakomitszych dzieł. Z anatomii opisać kształty barku i szyi; z architektury o profilach gotyckich i ornamentacyi od XII do XV wieku.“ Pytania takowe mogłoby dziś służyć do poznania odpowiedniego wykształcenia naukowego rzeźbiarza. Program jednakowoż nauki, jaki skreślił na piśmie Ceptowski przechowany w aktach Uniwersytetu Jagiellońskiego pokazuje, że nie umiał on daléj sięgnąć okiem po za rękodzieło. Wymaga on w nim od ucznia skończonych lat 10-ciu życia, znajomości jedynie czytania i pisania, a tych ma wykształcić na formatorów, ornamencistów, złotników i rzeźbiarzy w pomoc przemysłowi idących. Jakże to trafiało do wyobrażeń dyrektora Kosickiego o sztuce. Senat rzeczypospolitéj mianował w d. 27 marca 1840 r. Karola Ceptowskiego z. professora z pensyą 2000 złp., w rok potém mianował go rzeczywistym professorem z pensyą 3000 złpol.

Nowo mianowany professor należał do ludzi natury prostéj, uczciwéj a zdrowéj jak i olbrzymie jego ciało. Z obcowania z wielkimi mistrzami przyszedł do odrobiny rzeczywistego światła artyzmu, czuł i kochał sztukę, a kochał ją w pracy. Zajęty całe życie dłutem w pracowniach drugich rzeźbiarzy, podwładny ciągle, szczęśliwym był że mu się udało w małém miasteczku rodzinnéj ziemi, stanąć za mistrza samodzielnego i że mógł kierować drugimi. Rad popisywał się ze swoją wiedzą przed uczniami, a szeregiem wyrażeń niby artystycznych zapełniał w nauce rzeczywistą nieświadomość wyższych celów rzeźby. Nie nauczył się jednak za granicą dosyć poznawać ludzi i przyszło mu tutaj płacić własném życiem dobór towarzystwa swego. Umarł w skutek nałogu, do którego go doprowadzili fałszywi przyjaciele i koledzy w nauczycielskim zawodzie. Jako artysta niebył on panem wysokich natchnień, nic posiadał téż uczucia delikatności formy; był to jednak rzeźbiarz praktyk zdolny zawsze do zadosyć uczynienia wymogom rzeźby monumentalnéj. Pomagał sobie rysun-

kami Tlexmana komponując płaskorzeźby z uczuciem proporcyi ogólnych form, z pewnym poważnym nastrojem. Nie rozumiał wszelako znaczenia natury w rzeźbie, bo w antykach i owych rysunkach znajdował zawsze gotowy materyał do swoich prac dość licznych, które w gipsie pozostały. . Praktyka i świadomość środków wykonania, stanowiły cechę tych jego prac, które odstawiał na czas, częstokroć nawet nie pod swém imieniem, jak płaskorzeźby w kościele w Krzeszowicach.

Do małéj pracowni nowego professora zbiegło się wiele młodzieży z ciekawości, więcéj jak z rzeczywistego powołania. Mała salka w „bursie philosophorum" objąć ich nie mogła; łatwość professora w modelowaniu wystarczała mu do pomagania wszystkim, tak że przy końcu roku szkolnego wypłynął ztąd cały szereg rzeźbiarzy, których prace wystawiono na widok publiczny w roku 1842 w kollegium fizycznem.

Nic wznioślejszego jak te pojęcia sztuki, które professor Stattler czując w duszy, chciał przelać nietylko w obrazy swoje, aby wychować pokolenie artystów, stworzyć podstawy pod rzeczywistą sztukę w kraju. Obudzenie świętéj iskry poezyi w sercach młodzieży, mogło się tylko zdaniem professora dokonać rozbudzeniem poszanowania dla piękności natury, ona jest źródłem wszelkich plastycznych piękności. Zdawało się professorowi, że należy iść drogą którą wskazuje historya sztuki, że ogołoceni z tradycyi, winni wrócić do źródła wiedzy formy, do badania przyrody. Ztąd mimo świadomości o stylu, o piękności klassycznéj, poprzestawał w nauce na tych surowych materyałach, jakie daje natura piérwsza lepsza; uczył dopatrywać się w niéj praw sztuki. Przeciwnik z zasady wszelkiéj świadomości środków artystycznych, chciał aby każdy wydobył własném usiłowaniem praktykę malowania, stworzył sobie własny styl. Professor Stattler odrzucił w nauce wszelkie kopiowanie, uważając je jakoby kaligrafię, a otwierał wprost, jak mówił, pole do tworzenia obrazów, dając za wzór naturę martwą do rysowania, a następnie zaraz malowania. Na tych wzorach uczeń zdobywać miał pojęcie rysunku, światłocienia, użycia farb i kolorytu, tak że go to z łatwością przeprowadzić miało do malowania głowy i figury ludzkiéj. W praktyce jednak najsmutniejsze ta teorya wydawała rezultata, bo uczeń od piérwszéj chwili szedł po omacku, mając do czynienia naraz z trudnościami, których stopniowo nie zwyciężał. Nudził się też nad owemi jajkami, owocami, jarzynami przez tygodnie i miesiące, kując rzecz instynktowo; chodziło więcéj o delikatność oddania szczegółów, broń Boże o efekt ogółu i prawdę jego, bo to potępioném było. W praktyce powiadam, owa teorya dawała obrazy mgliste, rozdmuchane, o kolorycie pomarańczowym części ciała, na zielonych koniecznie tłach, typ który niezmiennie przechował się w szkole professora Stattlera piérwszéj jego fazy nauczycielskiéj.

Zaprzeczyć nie można, że system professora tego miał pewne podstawy, ale po za początkowe studya pociągnąć się nie dał; rozwijał

on baczność na wzory natury, ale nie dawał wiedzy jaką przyniosła tradycya sztuki. Nie przeczę że przy innych usposobieniach uczniów, przy pomocy drugich nauczycieli, możeby i on wydał owoce lepsze; sam professor Stattler uznał potrzebę innéj drogi w nauce, ale ta należy do epoki następnéj.

Wedle programu nauki, professor obowiązany był do dwóch godzin dziennie nauki malarstwa i godziny teoryi: zbyt krótki czas zajęci byli więc uczniowie, a po za godzinami nauki zapominali tego co się nauczyli w szkole. Głowa starca, lub naga figura, stawała za wzór, uczniowie po największéj części nie byli do tego jeszcze usposobieni. Cały zasób artystycznego wykształcenia leżał w duszy professora, ale nie miał go komu udzielić, do tego zaszły okoliczności, które rozwojowi szkoły Stattlera stanęły na przeszkodzie. Okoliczności te szły ze strony niechętnych professorowi a u władzy stojących. Dość powiedzieć, że od r. 1836—1841 znajdujemy w aktach ciągłe napomnienia i zakazy nie używania nagiego modelu, a wrócenia do kopiowania obrazów. Zmniejszyła się też liczba uczniów tak, że były chwile że było ich trzech lub czterech; najdłużéj dotrwał Jan Zieliński pełen talentu artysta, który wyjechawszy do Rzymu, zawcześnie tam umarł w r. 1847. Zdaje mi się też że to jedyny uczeń przynoszący zaszczyt szkole z tych czasów.

Pomimo ciągłych prześladowań ze strony władzy, słusznie czy niesłusznie, trudno dziś orzekać, professor Stattler nie stracił nadziei przeprowadzenia swoich pojęć. Przygotowywał on sobie nowe pokolenie w tych kilku młodych uczniach, co z ołówkiem w ręku, skurczeni, mieścili się gdzieś w kącie po za trojnogami malujących. Czuł on potrzebę przeprowadzenia systematycznie nauki swéj na młodszém pokoleniu, i choć nie miał obowiązku tego, począł uczyć rysować. Tych kilku uczniów przetrwało burzę jaka miotała szkołą professora Stattlera i czekała lepszéj przyszłości.

W roku 1841 pożar zniszczył gmach szkoły technicznéj, ocalały jednak zbiory Szkoły sztuk pięknych. Malarstwo pomieszczone w lichéj salce gmachu, drukarnią zwanym, w tyłach techniki. W roku 1842 dyrektor techniki Kosicki urządził wystawę płodów krajowych, w kolegium fizycznem; były tu reprezentowane sztuki przez prace uczniów, professorów: Bizańskiego, Głowackiego i Ceptowskiego, kopie starannie jak naówczas wypracowane przez Wojciecha Eliasza, Piątkowskiego, Płonczyńskiego, Świerzyńskiego, Szuberta, olejno i rysunki Nogajskiego, Łęskiego, Balickiego Karola, Dębowskiego Leona, Feliksa Szynalewskiego. Rzeźby wystawili uczniowie: Faustyn Cengler, Szubert, Frankowski, Cercha, Józef Janikowski, Chojnacki, Edward Stehlik i Konstanty Ceptowski. Podobna wystawa powtórzyła się w r. 1843.

Szkoła sztuk pięknych miała się wprowadzić napowrót do gmachu technicznego po wyrestaurowaniu i przerobieniu sal. Professor Stattler zyskał salę obszerną choć ze złém światłem; druga

obok sala mieściła większe posągi gipsowe i była pod dyrekcyą prof. Bizańskiego, który trzecią obok salę zajmował na rysunek dla uczniów techniki; tu też uczył krajowidoków Jan Głowacki professor gimnazyum Ś-éj Anny: jest to chwila pewnéj czynności professora tego w Szkole sztuk pięknych. Ale oto zbliża się czas, w którym nakoniec usiłowania każdego z osobna nauczyciela złączyć się z sobą mają. Jakim to sposobem dzieje się, kto dał piérwsze hasło wspólnéj pracy, milczą dzieje, ale zdaje się że wyszło to od professora Stattlera, a spowodowane było okolicznościami różnemi. Jużto odsunięcie się na stan spoczynku dyrektora Kosickiego, wejście nowego w osobie Józefa Podolskiego professora mechaniki w technice zarówno, jak przekonanie wielu z uczniów, że czcze kopiowanie wzorków nie wyprowadzi ich na artystów, sprawiło przeniesienie się całego zastępu uczniów od professora Głowackiego i Bizańskiego do nowo wyrestaurowanéj sali professora Stattlera. Prawdopodobném jest, że ze strony uczniów owych wyszło przekonanie, że on jeden sztuki nauczyć może, gdy tamci zabawiali ich tylko w amatorski sposób. Trudném było zadanie professora Stattlera wyrobić coś z tego nagromadzonego materyału, przyszli oni malować studya i tych im odmówić nie można było, a jednak pojęcie ich rysunku i formy stały sztorcem względnie zasad Stattlera. Trzeba im było wiele zapomnieć a więcéj nauczyć się samemu przez wpatrywanie się, nie zamącone przepisem, w naturę, tak mówił professor i zniechęcił wielu, co się jak Tadeusz Łęski już pewną sławą portrecisty aquarellą szczycili. Z całego też szeregu uczniów pozostało na rok następny 1845 kilku wytrwałych, a z owych, których professor przeprowadził od początku w zasadach swoich, wraz z niemi utworzyła się rzeczywista szkoła professora Stattlera, w któréj urzeczywistnić miał nakoniec myśli swoje odrodzenia sztuki w kraju.

Rysunek „Aktu" to jest człowieka nagiego, żywego, ułożonego w pewnéj postawie, w ograniczonéj liczbie godzin dwunastu dokonywany, jest podstawą nauki w każdéj szkole sztuk pięknych. Uczeń, który lat kilka rysował wedle aktu, musi nabrać pojęcia form ciała ludzkiego i zapamiętać kształty te tak, że z łatwością przychodzi do rzucenia figury na płótno, choćby z pamięci. Dopóki człowiek nie przestanie być wzorem najwyższéj doskonałości, a główną treścią obrazu lub posągu, dotąd bez znajomości doskonałéj kształtów tych, artysta obejść się nie może. Akt taki służy zarówno dla wszystkich chcących dojść na wyżyny sztuki. Tego dotychczas brakło szkole i to było powodem naprzód rozdwojenia się sił nauczycielskich, a następnie nieudolności uczniów; dziwna zaiste, że do téj chwili o tém nie pomyślano ze strony professorów, skoro zarząd szkoły mógł o tém niewiedzieć. Należy się téż professorowi Stattlerowi ta zasługa, że piérwszy urządził w Krakowie rysunek akademicki i wprowadził stale modela nagie na wzór do rysunku. Od téj chwili to jest od roku 1844/5 egzystuje on bezprzerwanie w szkole krakowskiéj, w zimie

przy oświeceniu lamp, w lecie w godzinach rannych przy świetle dziennym.

Następuje zaraz tak upragnione zbliżenie się professorów ku sobie; rysunkiem aktu kierują professorowie: Stattler, Ceptowski i Głowacki: ten ostatni sam nawet rysuje, czas też poznać go bliżéj.

Jan Nepomucen Głowacki był to artysta o gorącéj duszy a zapasie praktyki malarskiéj, znał go cały kraj jako piérwszego i jedynego naówczas peizażystę. Uczeń niegdyś Brodowskiego, odznaczywszy się jako staranny kopista, przeniósł się do Wiednia, gdzie przeważnie pracował pod Steinfeldem ćwicząc się w malowaniu krajobrazów. Rzeczywiście jeszcze przed rokiem 1830 Wiedeń rzucił się z miłością ku przyrodzie północnéj, do pewnego naturalizmu w tym kierunku, artyści tamtejsi piérwsi po Toepfferze poczuli majestat piękności krajobrazu alpejskiego.

Oddziaływało to na zmysł artystyczny Głowackiego, z zapałem wziął się do rysowania krajobrazów Styryi z okolic jeziora Gmunden i przeniósł toż poczucie w nasze Karpaty. On piérwszy za powrotem pojechał do Tatr, gdy o tych mało kto wiedział i przedstawił w obrazach, czarowne piękności Morskiego Oka i Czarnego stawu. Od niego téż poczyna się peizaż jako rodzaj krajowego malarstwa. Sumienny w rysunku jak Niemiec, nie bez poczucia piękności linii peizażu, był zimnym obserwatorem natury, nieumiejąc pojąć życia jéj, światłocienia i kolorytu. Był on fotografistą, u którego narzędzie do zdejmowania miało szkło zabarwione ręką Steinfelda; był to artysta, który zawsze trzymać się musiał ręki przewodnika, a po swojemu kroków stawiać nie umiał.

Ztąd u Głowackiego taka obserwacya przepisów mistrza swego, nie porywała go téż natura pejzaży, odmienna od tych, jakie Steinfeld malował: promienia słońca, efektu silnego kolorytu, prawdy piérwszych planów unikał Głowacki.

Niskiego wzrostu, drobnéj budowy ciała, wiecznie ruchliwy, pragnął sławy wielkiego artysty i pchał się, opierając się zawsze o jakieś grubsze zagraniczne drzewo. Jeździł do Rzymu, do Paryża kosztem kraju; będąc już professorem rysunku u św. Anny w Liceum, powziął zamiar przerzucenia się w malarza portretowego, a nawet historycznego, ale znów nie widział nikogo godniejszego w tém do naśladowania jak Amerlinga, portrecistę wiedeńskiego, naśladowcę Lawrenca.

Udatne portreciki aquarellą w rodzaju tego ostatniego dokonywane przez Głowackiego, miały zaletę wysokiego gustu, ale w portretach swoich olejnych nie poszedł daléj nad słabe studyum modelu; wznieść się do schwycenia duszy, do oddania indywidualności nie umiał; snać trudności wykonania zabierały mu duszę całkiem.

Kolorysta słaby ze swemi kredowemi karnacyami, gubiący kształty, sprowadzając je do pewnéj konwencyonalności wiedeńskiéj

szkoły, malował wiele, ale porywać nie mógł nikogo, bo brakło mu samoistności, był niewolnikiem drugich, ztąd zimnym artystą.

Jako professor w Liceum św. Anny od r. 1834, gdzie wszedł na miejsce zmarłego Józefa Sontaga, nie odznaczał się systematem nauczania. Dawał wzorki jak drudzy jego koledzy, wierzył w przepisy proporcyi i *ex catedra* je wykładał; głównie chodziło mu o gładkie cieniowanie wedle głów Julliena. Zresztą wymagać nie można było wiele w szkole, gdzie rysunek był nauką podrzędną. Lubiał zajmować się uczniami pokazującemi zdolność jak: Łęskim Tadeuszem, Płonczyńskim Aleksandrem, ale czy im otwierał cały skarb swéj wiedzy, wątpić godzi się, bo Głowacki nie lubił obok siebie widzieć drugiego z wyższym talentem. Tadeusz Łęski przejął od Głowackiego manierę w malowaniu portrecików aquarellą na brystolu, o kolorycie jaskrawym i sztucznym, ale nie bez pewnéj wprawy w pędzlowaniu; drugi Płonczyński Aleksander, był jedynym uczniem którego professor Głowacki poprowadził do natury, wziął z sobą do Karpat i przekazał mu swoje tony kolorytu w pejzażach. Jedyny to uczeń Głowackiego, pejzażysta.

Jako professor rysunku w Liceum miał przytém włożony obowiązek uczenia w technice malowania aquarellą krajo-widoków, głównie dlatego, iż w owym czasie pejzaż był nieodzowną częścią projektu architektonicznego. Uczył godzin dwie tygodniowo w kursie trzecim, gdzie wykładał architekturę Radwański Feliks przeniesiony tutaj z Uniwersytetu wraz z posadą swoją. Powoli pewna liczba uczniów professora Bizańskiego i Stattlera zapisała się na naukę krajowidoków, ztąd stosunek szkoły sztuk pięknych z tą posadą w technice; rysowali oni i malowali ze wzorów głównie litografii Schindlera wiedeńskich, które professor uważał jako alfa i omega nauki. Do natury nigdy prowadzić nie chciał i pokazywał ją jako rzecz dla ucznia w wielkiéj będącą oddali. Chętnie szczycąc się dawnym tytułem professora nadzwyczajnego Szkoły sztuk pięknych, rad połączył się z nią, jako prowadzący jeden z tygodni przy rysowaniu akademickiego „aktu.“

Główny kierunek tutaj wziął na siebie professor Stattler i prowadził on po swéj woli: uczniowie uważali go za jedynego przewodnika. Był też nim nakoniec i cała ta faza Szkoły sztuk pięknych między rokiem 1840 a 1850, epoki, która jest że tak powiem wstępem do dzisiejszego malarstwa krakowskiego, przynależy professorowi Stattlerowi. Malarstwo romantyczne pod okiem jego rozwijające się w Rzymie przed 1820 rokiem, puka do drzwi szkolnych z całym zasobem wiedzy, jaką tradycya starych daje mistrzów z tą poetycznością, jaka była cechą utworów odrodzicieli malarstwa w Willa Massimi. Pismo Święte, poeci narodowi, zamarła księga przeszłości w pomnikach i grobowcach, widna w Krakowie, gorącém słowem zostaje podaną młodemu pokoleniu artystów. Uszanowanie dla arcydzieł przeszłości sztuki, cześć dla imienia Rafaelów, Tycyanów, zaró-

wno jak teoryę wyprowadzone z ich dzieł, rozbudzają się w uczniach młodych, wrażliwych, wierzących ślepo w słowo swego mistrza.

Całodzienne studyum modelu nagiego pędzlem i ołówkiem, tworzenie przy ich pomocy obrazów o kilku figurach; ciągłe próby kompozycyi, a przez to wyrabianie poetycznych myśli i logiki w układzie obrazów z Pisma Świętego, narodowéj poezyi lub historyi; zachęcanie do badań obyczajów przeszłości: oto tytuły zajęć uczniów w szkole professora Stattlera w téj fazie jego nauczania. Umieć zamknąć szkołę złożoną z dziesięciu uczniów w krąg zapatrywań artystycznych professora, nieprzypuścić żadnego innego światła, wzniecić oburzenie przeciw temu, co nie mogło zmieścić się w granicach wyobrażeń jego o sztuce, mogło mieć miejsce w tym czasie tylko w Krakowie i przy takiéj potędze słowa jaką on władał. Ależ i młodzież zamiłowana w nauce, cicha i skromna umiała wywzajemnić się professorowi i z fanatyczną zaciętością bronić przystępu obcemu żywiołowi, może nie raz ze słowem prawdy do drzwi szkolnych pukającemu. Było to familijne kółko, gromadka miłujących się braci, idących ślepo za rozkazami mistrza, który tworzyć chciał oazę rzeczywistych pojęć w obec upadku sztuki, jak twierdził, pragnąc odrodzenia się z ducha młodzieży, dla zyskania obrazów nieba, przeszłości kraju, oddanych czystą formą Rafaelowskich pomysłów.

Z całéj téj pracy przyjęło się to, co pojętém być mogło przez ludzi, którzy nie urośli do tej potęgi rysunku i malowania, coby ich zdolnymi do tworzenia obrazów uczyniła. Byłyto młode chłopcy, którym dano pędzel zawcześnie nim ręka umiała władać ołówkiem, zanim nabyła elementarnéj wiedzy o kształtach i ich oddaniu pewném. Młodéj imaginacyi ścieśniono pole do mglistych marzeń o arcydziełach których widzieć nie mogli, bo na to trzeba było być we Włoszech, a galeryi Kraków nie posiadał; ale zamknięto uczniom przystęp do téj galeryi jaką przedstawiał świat na ulicy, świat żywy, ruszający się. Znali oni nieco naturę w tym modelu, który im zimno w zamkniętéj sali pozował, ale nie umieli go połączyć z życiem jego, jakie objawiał człowiek niepozujący. Będzie to zawsze jednak wzniosłą pamiątką pracy professorskiéj, to podniesienie pojęć rzeczywistych sztuki, twórczości artystycznéj, a jeżeli pokolenie to artystów musiało wyszedłszy ze szkoły uczyć się dopiéro rysować i malować, to nauka professora Stattlera nieraz staje im jako przewodnia gwiazda w nauczaniu następnych pokoleń. Dziś to można powiedzieć o professorze Stattlerze, iż zrodzonym był na dyrektora Szkoły sztuk pięknych krajowéj, ale trzeba było aby kierował z góry, a nie uczył drobnéj młodzieży, która go dobrze pojmować nie mogła. Uczniami téj epoki byli: dzisiejszy professor malarstwa w téjże szkole Wł. Łuszczkiewicz, Kazimierz Mirecki, Stanisław Nagajski, Józef Maultz, Feliks Szynalewski asystent szkoły krakowskiéj, Maksymiliam Cercha nauczyciel rysunków, Konrad Kogen, Józef Janikowski i Leopold Pless i t. d. Do ich rzędu należał wielce utalentowany ale zawcześ-

nie zgasły młodzieniec Joachim Steczkowski. Dodać tu muszę, że obyczajem było cały rok malować jedną pozycyę nagiego modelu, do którego to studyum zastosowywał każdy z uczniów inne znaczenie czyli treść. Tak np. figura siedząca z podpartą głową wydała obrazy: Adama, Bolesława Śmiałego, Archimedesa, S. Piotra w więzieniu. Innym razem model przedstawiał Chrystusa uwiązanego u słupa i t. p. Złoż to z pojęciem wzniosłém professora o twórczości? trudno przypuścić, a jednak w prostocie ducha robiło się to i wystawiało na widok publiczny.

Ale oto mimowolnie otwierało się młodzieży szkoły krakowskiéj szersze pole do nauki. Sejm Rzeczypospolitéj z r. 1844 wyznaczył 2400 złp. na dwa stypendya dla malarza i rzeźbiarza celem dalszego wykształcenia się zagranicą. Notujemy wypadek ten pomyślny dla szkoły. Odtąd bowiem nieprzerwanie wyjeżdżało dwóch uczniów skończonych za granicę na lat dwa. Do pierwszych stypendystów należeli: Władysław Majeranowski malarz i Henryk Krosowski rzeźbiarz, obaj dotychczas, to jest do roku 1844 bawiący już za granicą. Majeranowski i zasłużony artysta Aleksander Lesser w Warszawie przynieśli piérwsi do kraju pojęcia rzeczywistego malarstwa historycznego, jak je pojmowała szkoła monachijska najświetniejszéj epoki; na nieszczęście brakło ich obrazom gorącego związku z narodowém życiem, żeby wywołały entuzyazm, przeszły one dostatecznie nieocenione.

Po śmierci professora Głowackiego w roku 1847 a następnie professora Ceptowskiego, pozostał cały ciężar prowadzenia szkoły w ręku professora Stattlera. Czas jakiś zasady swoje przekazywał i rzeźbiarzom, a Leon Szubert i Marcin Rogoziński byli więcéj jego uczniami. Piérwszy znakomity artysta zapowiadający potęgę europejską zgasł w Rzymie, drugiego zabiła biéda na miejscu urodzenia w Krakowie. Professor Stattler i w rzeźbiarstwie stawiał studyum natury jaką jest, na piérwszém miejscu, a kształcił téż syna swego Henryka zdala od naśladowania antyków.

Przydzielenie w r. 1846 Rzeczypospolitéj do Austryi w niczém nie zmieniło stanu wewnętrznego szkoły sztuk pięknych; nowy rząd uszanował dawne fundacye stypendyów szkolnych. Wysłany z Wiednia do obejrzenia zakładów naukowych professor i radca, znakomity botanik Endlicher zgodził się na projekt ówczesnego komisarza naukowego dr. Brodowicza przerobienia spalonéj bursy Jeruzalem na szkołę sztuk pięknych, ale rzecz ta do skutku nie przyszła, bo zaczęto z niéj następnie budować ujeżdżalnią. Nadzieje dla szkoły urosły jeszcze bardziéj, gdy Namiestnikiem Galicyi w r. 1848 został nieodżałowanéj pamięci Zalewski, ów Wacław z Oleska; zwiedzał on szkołę i zadowolony z rzuconéj na płótno wielkiéj kompozycyi historyczno-narodowéj jednego z uczniów, przyspieszył wysłanie go za granicę kosztem rządu. Śmierć przerwała dalszy szereg jego dla

szkoły dobrodziejstw. W roku 1849 spotyka szkołę ofiara prywatnéj osoby, wdowy po Michale Skotnickim zmarłym w r. 1808 we Florencyi a uczczonym pomnikiem na Wawelu. Pani Skotnicka umierając zapisała zbiór obrazów, starożytnych naczyń i rycin Uniwersytetowi Jagiellońskiemu, lub w razie gdyby tenże warunków testatorki nieprzyjął, hrabinie Arturowéj Potockéj w Krakowie. Warunkiem przyjmującego ten piękny legat było wypłacenie coroczne summy 4000 złp. dla ucznia szkoły sztuk pięknych krakowskiéj kształcącego się daléj za granicą. Pięknym był cel zmarłéj utworzenia w ten sposób galeryi obrazów publicznéj, a zarazem przychodzenia w pomoc młodzieży zawodu artystycznego. Obrazy były powiększéj części staro-włoskie zbierane przez Michała Skotnickiego w dobréj epoce we Włoszech; szczególniéj piękne były podłużne znakomitéj wielkości mitologiczne obrazy Luca Giordano, wyrwane zdaje się z któregoś z pałaców genueńskich: była tam i stara dobra kopia Rafaelowskiego fresku Pussiny, a przytém wiele mniejszéj wartości oryginalnych dzieł. Ważniejszym był jeszcze zbiór rycin dla swoich licznych Marcantoniów, Dürerów, Rembrandtów; były tam ryciny Mantegni i całego szeregu Włochów XVI wieku, porządnie w tekach ułożone. Do tego należały całe komplety dzieł Rafaela, muzea włoskie i luźne ryciny z obrazów szkoły Bolońskiéj. Zbiór waz tak zwanych Etrusków nie należał do szczególnych wprawdzie, ale wystarczyć mógłby do objaśnienia przy wykładzie historyi sztuki lub archeologii.

Dziwne losy spotkały ten zbiór i zamiar fundatorki zniweczyły, przedewszystkiém zanim go spisano, zanim uniwersytet lub hrabina Potocka zdecydować się mogli co do przyjęcia warunku, pożar w r. 1850 dotknął i tę kamienicę narożną przy rynku i Wiślanéj ulicy w któréj galerya Skotnickich mieściła się dotąd. Jak szmaty zdzierano obrazy z ram aby je niby ratować przed ogniem, kupy płócien takich składano pod ratuszem; ryciny w tekach łatwiéj było wynieść a jednak one najwięcéj ucierpiały, bo na karb ognia, nieuczciwi amatorowie wykradli z nich co najpiękniejsze i najciekawsze. Reszty takowe złożono opieczętowane w gmachu biblioteki uniwersyteckiéj.

Ale wróćmy do dziejów szkoły sztuk pięknych; na lat kilka, przed tą erą jaką jest pożar Krakowa, reprezentował ją prawie jedynie professor Stattler. Szkoła jego malarstwa doszła w téj chwili do tego stanowiska, iż była salą kompozycyjną, gdzie uczniowie w szczupłéj liczbie czterech czy pięciu wykonywali swoje obrazy. Byli to p. Feliks Szynalewski, Kazimierz Mirecki, Leopold Pless, którzy oczekiwali w szkole na stypendyum, jakie im dla wyjazdu za granicę przysługiwało. Rzeźbiarstwo zyskało w tych czasach przewodnika w osobie pana Henryka Kossowskiego, równie nieliczne grono miało uczniów; celował między niemi Leon Szubert, modelował on z natury wedle pojęć professora Stattlera posąg Ś-go Jana każącego.

Wykłady w szkole odnosiły się tylko do kursu anatomii artystycznéj jednogodzinnego.

Akademia Wiedeńska przeobrażała się wtedy za ministerstwa hrabiego Leona Thuna; od r. 1812 niezmiennie zachowała ona wspólny charakter szkoły i ciała akademickiego czyli korporacyi artystycznéj; owoców wiele przez ten czas nie wydała. Memoryał który wydał w r. 1850 minister hrabia Thun, szeroko zastanawiając się nad powodami téj bezpłodności, widzi ratunek w powrocie do dawnych dróg w kształceniu artystów. Akademia Wiedeńska zostaje zreorganizowaną, przestała być ciałem akademickiém, stała się właściwą szkołą o dwu głównych działach: o szkole przygotowaczéj mającéj na celu wykształcać młodzież w zasadach techniki, przez szereg kursów systematycznych rysunku i rzeźby; przez wykłady nauk pomocniczych: i o szkołach specyalnych, szkołach jak je zowią majstrów, gdzie uczniowie pod kierunkiem pewnego artysty, malują własne pomysły tworząc jego szkołę. Kiedy dopiero r. 1850 akademia wiedeńska zaprowadzała u siebie tak zwaną Meisterschule, w Krakowie wypłynęła ona daleko wcześniéj naturalnym biegiem pod professorem Stattlerem. Brakło tylko wtedy tego, co najważniejsze, to jest szkoły przygotowawczéj; ztąd lata czekać trzeba było na przygotowanie uczniów, jakich w końcu sala malarstwa posiadała.

Pożar szkoły w r. 1850 sprowadził inny stan rzeczy i dał podwaliny rzeczywistéj szkole sztuk pięknych, jaka obecnie jest w Krakowie, to jest zakładowi, przeprowadzając współcześnie uczniów przez różne stopnie nauki. Jak widzieliśmy, od samego zawiązania szkoły nieumiano przeprowadzić wspólnemi siłami professorów systematycznéj nauki, koniecznéj w każdéj instytucyi naukowéj. Powody do tego leżały w osobistościach grona nauczycielskiego, w zapatrywaniach się różnorodnych, a nie umiano porozumieć się w interesie dobra szkoły. Tymczasem jeżeli gdzie zgubném jest przesuwanie uczniów do wyższych działów nauki, zanim pojmą oni i przetrawią poprzednie wiadomości i praktyki, to niezawodnie w sztukach pięknych; prawda że dla geniuszów może się to wydać ścieśnieniem ich zapędów, ależ czyż szkoła dla geniuszów ma być tylko? Podobno geniusze nieraz bez głębokich studyów obejść się mogą, cóż jednak zaszkodziłby im mogła systematyczność w nauce?

Ażeby szkoła sztuk pięknych w Krakowie nosiła piętno naukowéj instytucyi, brakło jéj zapełnienia koniecznych posad dla praktyki sztuki, brakło wykładów nauk pomocniczych, bez znajomości których artysta nie odchodzi od znaczenia samouka, zdradzającego na każdym kroku swoję nieświadomość rzęczy. Chodziło o to, aby szkoła osiągnąć to mogła przy pomocy rządu.

Można powiedzieć, że do roku 1848 rzeczywisty krytycyzm w utworach sztuki, drzémał w starym grodzie naszym; pochwalna czasami recenzya dzieła sztuki, zastępowała jéj miejsce w pismach peryodycznych owoczesnych. Professor Stattler mógł téż swobodnie,

bez obawy zdania opinii publicznéj, przeprowadzać swoję myśli w szkole. Była przytém niemała doza obojętności dla sztuki u ogółu piszących; ani Majeranowski ani Meciszewski Hilary sztuką zajmować się nielubili, a byli to jedyni publicyści krakowscy. Pojawienie się „Listów z Krakowa“ professora Kremera było niespodzianką na horyzoncie Krakowa; umiał on ująć w pyszne ramy kwiecistego swego stylu, zasady piękna plastycznego: szkoda że zbyt oderwanie jeszcze, dla umysłów śpiących owego czasu, wyłożył zasady estetyki. Professor Stattler czuł w obec tego całą wyższość swoich pojęć opartych na rzeczywistéj wiedzy, zdobytéj na studyowaniu arcydzieł sztuki, nie mógł on godzić się na mniéj szczęśliwie zastosowane przykłady w dziele prof. Kremera, odnośne do dziejów sztuki w kraju. Wywołało to w swoim czasie walkę na pióra artysty i estetyka.

Czynność sztuki na Zachodzie przestała też od tych czasów być obcą miastu, powrót wielu do Krakowa z tych, co przed laty kilku opuścili go, zarówno jak powstanie pisma peryodycznego w warunkach dziennikarstwa zachodniego, wywołało bliższe zajęcie téj sztuki przez literatów, na których czele stanął teraz Lucyan Siemieński. Kraj pragnie sztuki, żywéj, gorącéj, pełnéj zewnętrznego efektu; żąda obrazów przeszłości, o kolorycie błyszczącym, świetnym, francuzkiéj szkoły. Kraków w swéj szkole buduje dopiero podwaliny, przyszłego, w warunkach wielkiéj sztuki, narodowego malarstwa. January Suchodolski daje szeregi obrazów, które doznają przyjęcia najgoręt-szego, maluje to dobrze chwilę, która pragnie przedmiotów narodowych, o właściwą sztukę nie dba, rozrywa też publiczność chciwie „Kram malowniczy Piwarskiego.“

Niedziw że usiłowania krakowskiéj szkoły sztuk pięknych znalazły niechętnych krytyków; na czele ich stanąć miał wkrótce w dziennikarstwie Lucyan Siemieński, nieprzeczuwający że ten niedoskonały owoc jaki dotychczas wydała szkoła, piękną w przyszłości okryje się barwą... że praca ducha wyrobi sobie odpowiednią szatę.

Gorące zamiłowanie w zbieraniu pamiątek narodowych, jakie charakteryzuje u nas początek tego stólecia, przechodzi po roku 1848 w Krakowie w zapał bliższego rozpoznania się w zasługach zabytków sztuki. Zabytki te stają się polem do studyów obyczaju przeszłości, z których wyrasta świat nowy, nowe źródło do prawdy w obrazach historycznych. Dzisiejszy professor Łepkowski brał czynny udział w tych wędrówkach młodych artystów po kościołach krakowskich, a wspólną pracą powstały dzieła jako owoc tych młodzieńczych prac. Architekci młodzi zdejmowali plany gotyckich kościołów, rysownicy zbierali nagrobki, portrety i kostiumy.

Oto element z którym w historyi krakowskiéj szkoły sztuk pięknych rachować się przychodzi, bo ona pierwsza z pewnością wystąpiła z prawdą stroju w obrazach historycznych.

W takich warunkach kończy się druga epoka szkoły, epoka w któréj związana ona jest z instytutem technicznym, i ograniczona do

szczupłéj liczby uczniów i profęssorów, ma charakter przechodowy, torujący drogę. To epoka wyłącznéj professora Stattlera działalności.

Zasługę ostatniéj epoki przed przyjściem dyrektora samoistnego szkoły, jest zamknięcie jéj w pewną całość, przez zaprowadzenie brakujących posad, a głównie przez pewne oddzielenie jéj od techniki. Epoka ta ciągnie się od roku 1850 do roku 1873.

III.

1850—1873.

Uniwersytet Jagielloński założywszy szkołę sztuk pięknych w r. 1818, spełnił swą missyą, wyprowadziwszy z cechu nauczania sztuki, dał jéj to, na co go stać było, professorów i lokale: zarząd techniki który przyjął dalszą nad szkołą opiekę, po macoszemu ją wypełniał jak widzieliśmy dotąd. Zamiast przyjść w pomoc jedynemu professorowi o wyższych celach, stawianemi trudnościami zniechęcał go, znaczenia nierozumiejąc sztuk pięknych, zniwelować je chciał do podrzędnego stanowiska. Następca dyrektora Kosickiego professor Józef Podolski, obojętnością swoją przynajmniéj dozwolił szkole rozwinąć nieco działalność, ale zmieniają się czasy, zmieniają ludzie. Z chwilą pogorzeli miasta Krakowa w r. 1850 objął zarząd techniki D-r Michał Łuszczkiewicz, a jako rozumiejący wymagania sztuki, otoczył szkołę tą opieką, która leżeć mogła w skromnym zakresie naczelnika instytucyi, co sama wymagała organizacyi i napróżno u rządu o nią dopominała się. Umiał nowy dyrektor wynaleźć środki urządzenia szkoły, zwiększyć liczbę nauczających, a uczniom dodać nowego bódźca do pracy. Doktor Michał Łuszczkiewicz jest ojcem artysty malarza professora Władysława Łuszczkiewicza. W tym trzecim okresie przychodzi szkoła do ostatecznego urządzenia wewnętrznego, a przez zwiększoną liczbę posad zaokrągla się w całość, niezależną już zupełnie od techniki, ale tylko związaną z nią jedynię wspólnym dyrektorem. W téj epoce kształcą się w szkole téj najznakomitsze dzisiejsze talenta kraju, kształci się Jan Matejko: wszelkie rodzaje malarstwa poczynają być uwzględniane.

Początkiem jéj jest chwila, w któréj przenosi się szkoła malarska z pogorzałego gmachu techniki do najętéj prywatnéj lokalności; w opustoszałéj części tak zwanéj „drukarni" pozostaje rzeźbiarnia ze zbiorem gipsów. Związek z techniką odtąd się zrywać poczyna, professor rysunku w onym zakładzie, nie śmiał mieszać się więcéj do spraw szkoły sztuk pięknych. Szkoła ta nie miała przyszłości, bo jéj brakowało głównéj podstawy, to jest sposobności przygotowania sobie uczniów dla dwóch jedynych posad, malarstwa i rzeźby, które są dalszym dopiero ciągiem nauki. Professor Stattler miał kilku tylko uczniów, których doprowadził do tworzenia własnych pomysłów

a chociaż czasem z dobréj woli przyjmował do swéj sali początkującego ucznia, to brakło systematycznéj nauki rysunku.

Wróciwszy z Paryża dokąd był wysłany kosztem rządu dla dopełnienia artystycznego wykształcenia, były uczeń professora Stattlera, młody artysta Władysław Łuszczkiewicz, odpowiadając życzeniu grona professorów techniki, przyjął bezpłatnie obowiązki uczenia rysunku, i rozpoczyna naukę sztuki od rysowania odlewów antyków. Uczniowie ci słuchali wykładu anatomii professora Stattlera, i kursu perspektywy, który bezpłatnie wykładał litograf szkoły technicznéj Piotr Wroński wedle dzieła Adhemara.

Zacny ten człowiek, pracowity a nieszczęśliwy, miał tę ostatnią pociechę przed swą śmiercią zaszłą w 1852 roku, że młodzież uwieńczyła go za jego wynalazek linijki do prowadzenia równoodległych perspektywicznych. Pobyt szkoły malarskiéj w najętym lokalu przetrwał dwa lata, w drugim roku losem szkoły zajęli się dwaj przedstawiciele rządu przybyli do Krakowa: byli niemi hr. Franciszek Thun brat ministra oświecenia a referent spraw sztuk pięknych w Austryi, i Józef Behm dyrektor mennicy i znakomity znawca. Przybyli oni do miasta naszego w celu ostatecznego postanowienia, czy rząd ma przyjąć legat Skotnickiéj, a z nim obowiązek dania stypendyum szkole, czyli odstąpić od legatu. Zbiory pożarem zniszczone nie mogły tentować delegatów, alę wróciwszy do Wiednia dali dobrą opinią o szkole i pomimo nie przyjęcia legatu, przeznaczył rząd corocznie 600 fr. walutą wiedeńską na dwa stypendya dla uczniów poświęcających się malarstwu jedno, drugie dla rzeźbiarzy. Oba stypendya były dwuletnie, służyły wyłącznie dla wyjazdu za granicę do jednéj z pięciu akademii niemieckich „celem dopełnienia wiedzy, któréj szkoła krakowska jakc niezreorganizowana dać nie może." Tak więc ministeryum nieuwzględniając usiłowań professora Stattlera zaprowadzenia szkoły kompozycyjnéj, przeznaczyło za cel szkole, przygotowanie do *meisterschule* akademii zagranicznych. Pierwszymi stypendystami z tego funduszu byli uczniowie: Feliks Szynalewski malarz i Leon Szubert rzeźbiarz. Poniżéj przytoczymy dalszą ich listę.

Jeżeli która z umiejętności przyczyniła się ogromnie do rozwinięcia pojęć o sztuce, o naturze jéj rozwoju, a ztąd o drogach postępu lub upadku, to niezawodnie historya sztuki; jest ona dziś podstawą sądu o dziele, a więc konieczną dla artysty myślącego. Wykład jéj jest specyalnością, któréj podołać nie zawsze może professor malarstwa. Dyrektor techniki umiał przedstawić potrzeby podobnéj katedry przy szkole, i ministeryum zgadzając się na projekt ten, wezwało znakomitego estetyka d-ra Józefa Kremera professora uniwersytetu, do wykładania estetyki i historyi sztuki godzin dwie tygodniowo.

Tak przy końcu 1852 roku, gdy szkoła malarstwa miała się przenieść do gmachu rządowego *kollegium minus*, korporacyę professorów

szkoły sztuk pięknych składało pięciu professorów, a raczéj nauczających, bo rzeczywistym był tylko professor Stattler. Miał jeszcze przybyć szósty, to jest professor krajowidoków w technice, następca professora Głowackiego, Aleksander Płonczyński, szło tylko o pomieszczenie jego uczniów.

Jeżeli wejście do szkoły nowego professora malarstwa ma zwiastować nową jéj epokę, to ta trzecia faza szkoły, rozpoczynać się winna w końcu roku 1853, gdy po odjeździe na dłuższy czas professora Stattlera, objął to stanowisko professor Łuszczkiewicz i z krótką przerwą zajmuje dotąd. Przenieść szkołę do nowych sal w powyżéj wspomnianym gmachu, zaprowadzić stosowniejsze urządzenie w oświeceniu dziennem i wieczorném, którego dotąd szkoła nie posiadała w tych warunkach, jakich koniecznie wymagała nauka, było piérwszém zadaniem dyrekcyi i rzeczonego professora. Do nowych sal garnęła się młodzież liczniéj, od najmłodszych lat życia można było spotykać uczniów z chęcią do pracy. Dwie jeszcze sprawy należą do zasług dyrekcyi techniki: przydzielenie professora krajowidoków do korporacyi professorów szkoły sztuk pięknych, i wyjednanie szczupłego wynagrodzenia dla professora szkoły, mającego obowiązek wykładać historyę powszechną. Rząd zezwolił również na wynagrodzenie professora rysunku z antyków i perspektywy, ale należało rok rocznie o to upraszać. Z odjazdem professora Stattlera, szkoła miała wiele już posad, ale ani jednego professora rzeczywistego: korzyść dla uczniów była główną nagrodą korporacyi nauczycielskiéj.

Ostateczne urządzenie szkoły nastąpiło w tym roku 1853 a zasadzało się na rozdziale pracy między professorów. Każdy z uczniów wstępujących do szkoły téj, musiał najprzód uczęszczać na rysunek, po roku wolno mu było dopiéro przejść do rzeźbiarstwa, jeżeli temu zawodowi chciał się poświęcić. W klassie piérwszéj rysunku, dopełniwszy swéj wiedzy w kopiowaniu, przechodził przez rysowanie odlewów gipsowych części ciała, do głów z antyków. Zasadą przyjętą było wierne poszukiwanie prawdy linii, nabycie wiedzy dokładnéj o układaniu się cieni na rozmaitych kształtach; użycie krédki, ołówka lub wiszora pozostawiało się uczniom do woli, szło bowiem o zasady gruntowne, podstawowe nauki, nie o różnice w środkach. Uczniowie klassy piérwszéj uważani byli jako odbywający próbę, dlatego prócz wykładu historyi powszechnéj, innych nauk pomocniczych nie słuchali. Za to mieli obowiązek po skończonych trzech godzinach rannych studyi z antyków pod przewodnictwem professora Łuszczkiewicza, uczęszczać jednę godzinę dziennie na rysunek krajowidoków, wraz z uczniami wyższych klass. Uczniowie którzy z postępem odpowiednim skończyli kurs 1-szy, przechodzili do kursu 2-go rysunku figur całych z antyków wielkości naturalnéj; mieli obowiązek słuchania wykładów anatomii godzin dwie tygodniowo, toż perspektywy i historyi powszechnéj, zarazem uczęszczali z obowiązku na rysunek akademicki. Poświęcający się rzeźbiarstwu, dla którego godziny po-

południowe były przeznaczone, wszystkie powyższe kursa winni byli dopełniać. Nauka w téj klassie kończyła się rysunkiem głów z natury.

Kursa malarstwa otwarte były jedynie dla tych uczniów, którzy dali dowód, że wiedza rysunkowa, znajomość anatomii i perspektywy nie jest im obcą. Poczynający, malowali najprzód głowy z antyków, następnie naturę martwą, poczém przystępowali do klassy malowania głów z natury żywéj, w oznaczonym stale terminie dwutygodniowym. Zastępywano głowę za wzór daną, modelem nagim do pół figury. Próby kompozycyi były ciągle wymagane, zadawane na pewien temat przez professora. Wyższy kurs anatomii i perspektywy, wykład historyi sztuki i rysunki akademickie, dopełniały wiedzy.

W końcu pewna liczba uczniów malarstwa posuwała się do malowania własnych pomysłów przy pomocy zasobów szkolnych, a dopiéro po takiéj próbie, mogli starać się o stypendyum szkolne dla wyjazdu za granicę. Dodać należy że rysunek krajowidoków, jakkolwiek nie tyle obowiązkowy, gromadził pewną liczbę uczniów specyalnie temu zawodowi poświęcających się, tém więcéj, że professor Płonczyński odchodząc od zasad Głowackiego, posunął naukę do rysowania i malowania studyów w polu.

Widok arcydzieł malarstwa przeszłości rozbudza wiedzę artyzmu, budzi miłość do sztuki, uczy nakoniec. Ta wielka księga doświadczeń w sztuce i ich rezultatów mistrzowskich jaką jest galerya obrazów w stolicach Europy, jest dla professora polem do czynienia wskazówek uczniom. Gołe słowo professora o kolorycie weneckim, o światłocieniu Rembrandta, o wdzięku Corregia, o piśmie artystycznem Rafaela i Michała Anioła, może wywołać przy potędze jego wymowy, poszanowanie dla imion, ale nie daje nauki. Trzeba było w Krakowie stworzyć sławną galeryę obrazów starożytnych dla zelektryzowania młodzieży, która jęszcze nie widziała dzieł tych mistrzów o których wiele słyszała.

Professor szkoły sztuk pięknych Łuszczkiewicz urządził w roku 1854 w salach szkoły wystawę najznakomitszych obrazów (oryginałów,) włoskich przeważnie malarzy, jakie posiadały wielkie rody w Krakowie, zamknięte w swych salonach. Cel dobroczynny na wsparcie ochronek ułatwił możność dokonania tego zamiaru, którego skutki dobroczynnie oddziałały na uczniów; na wystawie téj spotkali się oni z dziełami nowożytnych polskich malarzy, a szczególniéj z Rodakowkiego portretem, matki artysty.

W interesie tak rozbudzonéj z uśpienia szkoły sztuk pięknych, należało przenieść ruch sztuki w szersze koła publiczności Krakowa, nauczyć ją kochać te objawy pierwsze rodzinnéj sztuki. Drogą do tego mogło było być stałe urządzenie wystaw, ale już nowoczesnych malarzy i ułatwienie w nabyciu dzieła sztuki; cel ten przedstawiały dobrze tak zwane kunstwereiny niemieckie. Zamiar utworzenia stowarzyszenia sztuk piękuych miał już dawniéj p. Franciszek Trzecie-

ski obywatel galicyjski, znany ze swéj ruchliwości w sprawach publicznych; teraz myśl tę podniół dyrektor techniki, a sprosiwszy na naradę znanych miłośników malarstwa, dał początek krakowskiemu Towarzystwu przyjaciół sztuk pięknych, którego pierwszym prezesem był książe Paweł Sanguszko, a gorliwym sekretarzem Walery Wielogłowski; statut układał senator Kopf, wedle urządzenia pragskiego towarzystwa.

Warto tu zanotować, co odpowiedział znakomity artysta i mąż stanu Piotr Michałowski, gdy delegacya od zawiązanego towarzystwa prosiła go aby przyjął przewodnictwo: „winszuję panom coście zrobili, ale nie mam wiary aby jakiekolwiek stowarzyszenie mogło wzbudzić sztukę tam, gdzie ona innych nie zna podstaw.“ Sztuka krakowska miała już wtedy podstawę w szkole swéj na „Gołębiéj ulicy.“ Dodam również iż hr. Franciszek Thun wielce pochwalił artykuł statutu, w którym pewną część dochodu (5%) odkłada zarząd Towarzystwa na zakupno dzieł monumentalnéj treści; twierdził przytém że postęp w sztuce krajowéj zyskuje się polecaniem dzieł pomnikowych celnym artystom. Po za tém, wszystkie inne czynności Towarzystwa służą dla małéj sztuki obrazkowéj i są rodzajem jarmarku na obrazy.

Tak stanęła nakoniec w Krakowie instytucya, która owoce usiłowań artystów wzięła w opiekę, a ma dziś wielką zasługę że pierwsza uwierzyła w przyszłość sztuki naszéj, i nie zniechęcała się temi drobnemi próbami, jakie w porównaniu z dzisiejszym rozwojem, świeciły na pierwszych wystawach. Historya szkoły nie może odtąd iść jak w parze z dziejami wystaw Towarzystwa sztuk pięknych [1]).

Młode pokolenie artystów warszawskich spotkało się z usiłowaniami miejscowych artystów na wystawie w domu Larysza: odtąd znają się z sobą.

Można powiedzieć że z chwilą tą, dyrekcya techniki zrobiła dla szkoły sztuk pięknych to co mogła, nagradzając winy dawniejszego zarządu, utworzyła słusznie korporacyą professorów i nowe bodźce dla uczniów zarówno jak szersze pole zapatrywań. *Credere in verba magistri* bezwarunkowe, skończyło się dla nich, krytyka ma otwarty przybytek sztuki, ludzie pióra już się znają na dziełach pędzla i dłuta, czego nie bywało przed laty.

Szkoła sztuk pięknych usamowolniła się z więzów techniki, ma tylko z tą ostatnią jedynie wspólną dyrekcyą, szczególniéj dla sztuk przyjazną, ojcowską. Opieka ta, nie może dać kierunku nauczania, na to chwile jeszcze czekać zanim dyrekcyą obejmie artysta téj potęgi jak Matejko, i do téj chwili professora malarstwa uważać trzeba jako moralnego kierownika szkoły z tego prostego względu, że on

[1]) W roku 1873 Towarzystwo sztuk pięknych na wniosek professora Kremera utworzyło dla szkoły cztery nagrody corocznie na konkursa dla figury akademickiéj, rysunku z antyków i perspektywy, i obiecało ufundować stypendyum do wyjazdu za granicę.

sam jeden tylko, prowadząc wszystkich uczniów przez rysunek i wykłady, osobiście nadawał charakter nauce.

Przypatrzmy się uczniom téj fazy szkoły: wchodzący do niéj po raz pierwszy nie są już same dzieci Krakowa jak dotąd bywało, ale dostarcza kontyngensu młodzieży Galicya cała i inne strony kraju. Przyjęcie ucznia zależy od właściwego professora, nie obawia się szkoła przyjmować młodych zaledwie chłopczyków, których naukowe wykształcenie nieodpowiadałoby gdzieindziéj warunkom stawianym u wejścia, bo ma to przekonanie, że douczą się kiedyś, czego im brak a wychowywać ducha w kierunku artystycznym trzeba od lat młodych. Talent rzeczywisty nie zginie w młodzieńcu który go ma, choćby długo zajmując się naukami obcemi sztuce, miał dopiero jako skończony gimnazysta przejść do szkoły sztuk pięknych; będzie on tutaj wzorowym uczniem, ale uczenie poetyczne i fantazya artystyczna ucierpić na téj zwłoce mogą. Szkoła krakowska sztuk pięknych nie wyrzekła się pojęcia professora Stattlera, o potrzebie wychowania artystów w kierunku ducha, i umiała długo dotrwać w tych zamiarach; uczniowie malutcy wyrastali na młodzieńców wśród tchnienia sztuki.

Tak w r. 1853 pamiętnym dla szkoły, zjawiło się w niéj dwóch małych chłopców; pierwszego przyprowadził ojciec zacny, powszechnie szanowany professor muzyki, polecając professorowi nowego ucznia drobnéj budowy ale o świecącym geniuszem oku: chłopcem tym był Jan Matejko; drugim z zakątka Galicyi przybyłym: Artur Grotger. W tym roku szkoła miała już 24-ch uczniów stałych, z tych wymieniamy kilku dziś znąkomitych w sztuce imion jak: Izydora Jabłońskiego, Kotsisa, Gryglewskiego, Cynka, Gadomskiego rzeźbiarza, Leopolskiego, który jeden należał do starszych uczniów, bo kończył prawo w Uniwersytecie: Avit, Szubert i Zygmunt Ekielski, odznaczali się w studyach pejzażów pod professorem Płonczyńskim, Andrzéj Grabowski już miał sławę portrecisty.

Liczba uczniów zwiększała się corocznie, doszła najwyższéj liczby 42-ch w roku szkolnym 1870/71, z wyjątkiem roku 1866/67 stała między 30 a 40. Uwieńczeniem końca nauki ucznia było wysłanie go za granicę kosztem szkoły, stawał się stypendystą; zwykle dostawało się stypendyum temu, który złożył dowody twórczości wymalowanym obrazem własnego pomysłu, lub odpowiednią rzeźbą. Jan Matejko wyjechał do Monachium po odmalowaniu „Karola Gustawa u grobu Łokietka.“

Kotsis „Pogrzebów w Tatrach,“ Cynk „Zgonu św. Salomei,“ Lipiński „niedzieli na wsi“ i t. p. a były chwile gdzie żal się zrobiło, iż stypendyów nie było więcéj.

Oto lista stypendystów szkolnych w porządku jak następowali od roku 1852: Feliks Szynalewski, Kazimierz Mirecki, Leon Dembowski, Karol Sinnmajer (w Wiedniu), *Jan Matejko* (1859—1860), Aleksander Kotsis, Floryan Cynk, Franciszek Matzke, Leon Piccard,

Tytus Pilęcki, Hipolit Lipiński, Antoni Grammatyka, Ludwik Gądłek, z malarzy: rzeźbiarze Leon Szubert (zmarły w Rzymie), Walery Gadomski, Filippi Parys, Władysław Müller, Ludwik Otowski, Edward Jaskulski (głuchoniemy † 1874), Zygmunt Trembecki, Władysław Eliasz.

Do tych uczniów, którym należała się pomoc ta, a jednak okoliczności nie dozwoliły przyznać jéj, należą: pp. Streit, Kozakiewicz, Gryglewski, Izydor Jabłoński, Walery Eliasz, Siedlecki, Karol Sagnowski, Tomasz Łosik, Józef Bogacki i wielu innych. Szkoła nie mogła być winną, gdzie dwa stypendya były całém bogactwem, że téj utalentowanéj młodzieży nie mogła przyjść w pomoc.

Jako kronikarzowi szkoły przychodzi mi zanotować niektóre daty jeszcze: tak w roku 1855/6 powraca z urlopu professor Stattler i obejmuje na czas krótki posadę swą malarstwa, ale już w roku 1857 przechodzi na stan spoczynku, posadę jego obejmuje znów Władysław Łuszczkiewicz. W tedy to wchodzi do szkoły jako assystent szkoły malarskiéj Feliks Szynalewski, niegdyś uczeń Stattlera a następnie Józefa Tühricha w Wiedniu, i staje się wielką pomocą w nauczaniu dla téj ścisłości, jaką się prace tego artysty odznaczają.

W roku 1857 umiera professor krajowidoków Aleksander Płonczyński, miejsce jego obejmuje Leon Dembowski uczeń niegdyś Głowackiego, a następnie szkół niemieckich. On piérwszy wyprowadza młodzież w pole do natury, umie rozbudzić w niéj zamiłowanie do swéj specyalności w sztuce, i gromadzi około siebie znaczną liczbę uczniów, a jednak jako professor rysunku w gimnazyum św. Anny, ma dodany w naszéj szkole obowiązek uczenia krajowidoków za darmo.

Pan Dembowski pracami uczniów swoich utrzymywał na wystawach szkolnych ten związek z publicznością, jakie dawały udatne kopie akwarelą pejzażów w obec surowych studyów antyków i nagiego modelu, czego publiczność rozumieć nie mogła.

W roku 1861 dnia 19 marca zasłużony dyrektor techniki Michał Łuszczkiewicz przeniesionym zostaje na stan spoczynku po 40 latach pracy nauczycielskiéj; miejsce jego zajmuje Paweł Brzeziński professor mechaniki i matematyki wyższéj w Instytucie technicznym, który jest już ostatnim z dyrektorów szkoły sztuk pięknych. Zawdzięczamy mu tę swobodę w rozwoju nauki, jaką dał pozostawiwszy odpowiedzialność za kierunek sumieniowi professorów specyalnych, a przedewszystkiem dzisiejsze umieszczenie szkoły w obszernych lokalnościach.

Jeżeli przeniesiemy się myślą w tę chwilę, kiedy Uniwersytet uposażał szkołę sztuk pięknych w ubogiéj krainie, mającéj trochę więcéj jak 20 mil kwadratowych, to przyznać musimy że fundusze naówczas szkoły, świetnemi w porównaniu téj trzeciéj epoki nazwać się godzi; miała wtedy szkoła swój gmach obszerny, miała trzy posady professorskie z wysoką jak naówczas płacą, i fundusz znaczny na do-

roczne potrzeby szkoły. Jeżeli lokal w bursie muzycznéj na szkołę malarską i rysunku zachował jeszcze jakiś pozór szkolnego gmachu, tak iż jakkolwiek jedna sala miała liczne przeznaczenia, można było urządzić klassy nauki i znalazło się miejsce na pracownią kierującego professora, to od roku 1850 do 1871 sala rzeźbiarska świeciła pustką spalonego gmachu. Porysowane ściany groziły zawaleniem antyków, wiatr wkradał się oknami do wnętrzna, i trzeba było wytrwałości uczniów i professora ażeby tam pracować. Pensye zastępców professorów były tak niskie jak fundusze na potrzeby szkolne, dosyć powiedzieć że szkoła malarstwa i rysunku miała roczną dotacyą na modeli cztery godziny dziennie pozujących, na koszta oświecenia przy rysunku wieczornym, na potrzeby wykładów summę 175 złr. czyli 700 złp.; posiłkowano się podobnymże funduszem szkoły rzeźbiarskiéj, kiedy przychodziło coś ze sprzętów lub gipsów sprawić. Jakże smutny stan przedstawiały sprzęty szkolne!

Ażeby dać obraz płac nauczycielskich, dosyć powiedzieć że autor niniejszéj pracy zajmuje dotąd (1875) pięć posad w szkole, to jest professora malarstwa, professora rysunku, nauczyciela anatomii, perspektywy i historyi powszechnéj, prowadzi przytém rysunek akademicki zajętym będąc stale codziennie godzin pięć; ma za całe wynadgrodzenie około 1300 fl. wal. au. Assystent Szynalewski pobierał do niedawnéj chwili 250 zł. austryackich rocznie! Professor Kremer 400 fl. za wykład historyi sztuki, godny tak znakomitego imienia professora; cóż mówić o tak niskich stypendyach dla uczniów wyjeżdżających do stolic europejskich, które zaledwię broniły od głodowéj śmierci.

Nie można jednak zaprzeczyć, że pomimo stanu prowizoryczności w jakim znajdowała się szkoła, pożytek z niéj dobrze znanym był rządowi; owszem znajdowała ona uznanie tak władz miejscowych jak namiestnika Galicyi świętéj pamięci hr. Agenora Gołuchowskiego. Nawet akademia sztuk pięknych Wiedeńska, litując się nad losem szkoły o małych zasobach, ofiarowała mały zbiór odlewów z antyków, a niejednokrotnie spotykały ją dary w publikacyach artystycznych.

Położenie jednak szkoły i professorów nie zmieniało się w niczém, wszelkie udawania się do rządu o organizacyę nie otrzymywały żadnego rezultatu, znikła nawet jéj nadzieja.

Jakoś panowało długi czas to przekonanie w ministeryum oświecenia, że całe starania winny się zwracać ku akademii sztuk w stolicy Państwa, że akademia ową wystarczyć winna na potrzeby wszystkich krajów koronnych. Zakładania szkół sztuk pięknych na prowincyi nieprzeczono, ale kosztów utrzymania rząd ponosić nie chciał, pozostawiając to sejmom prowincyonalnym, albo nawet instytucyom prywatnym. Rząd gotów był wtędy dopomódz pewną subwencyą.

Byt więc szkoły był zawsze zagrożonym, pomimo tego dyrektor techniki umiał wyzyskać ową lokalność na pomieszczenie szkoły

w nowo budującym się gmachu uniwersyteckim dla chemii. Całe prawie piętro drugie głównego korpusu, i skrzydło prawe budynku, przypadło w dziale szkole sztuk pięknych, przez co zyskała ona nietylko stosowniéj urządzone światło, ale osobne sale na zbiór antyków, salę wykładową i gabinet professorski. Jest to gmach w którym obecnie szkoła się mieści; przeniesienie się do niego z bursy muzycznéj czyli kolegium minus, nastąpiło wśród zimy w końcu 1870 roku w lokal zaledwie co skończony w budowie, tak wilgotny że ściany lodem pokrywały się, a jednak spieszono się znaleźć jak najprędzéj pod jednym dachem z rzeźbiarnią, która od lat wielu wyłączne miała zdala od malarstwa umieszczenie.

I oto szkoła nowy jeszcze zyskuje nabytek, jak mówiliśmy powyżéj; nauczanie krajowidoków należało do obowiązków professora rysunków w gimnazyum, a po objęciu professora Dembowskiego posady w szkole realnéj, katedra ta była opróżnioną. Rada szkolna krajowa, czuła się upoważnioną do narzucenia szkole professora, którego gimnazyum zanominowało; wtedy ministeryum oświecenia, odłączywszy obowiązek nauczania krajowidoków, mianowało professorem krajowidoków dla szkoły sztuk pięknych Henryka Grabińskiego.

Winniśmy zakończyć historyę przedostatniéj epoki szkoły, wspomnieniem wystaw szkolnych, wolimy jednak wyręczyć się tu zdaniem znakomitego krytyka sztuki Lucyana Siemieńskiego, którego o stronnicze dla szkoły zapatrywania posądzać nigdy nie godziło się; pisze on zdając sprawę z wystawy szkolnéj z r. 1870, otworzonéj jeszcze w dawnym lokalu: „Dziwić się nieraz przychodzi, jak niektóre zakłady utrzymują się u nas, a nawet kwitną w stosunku odwrotnym do ich środków. Co mogłoby prowadzić do paradoksu, że im mniéj instytucya jaka jest uposażoną, im z liczniejszemi trudnościami walczyć jéj przychodzi, tém energiczniéj się rozwija.

„Być może zresztą, że wychowani w długiéj szkole przeciwności umiemy tylko walczyć z niedolą, a w pomyślności zalegamy pole, lub gonimy za jaką bańką mydlaną.

„Jeżeli teorya ta trudną jest do obrobienia w wielu przypadkach a nawet niezasługującą na obronę pod względem prostéj praktyki, to ze strony moralnéj wzięta, zbyt często daje wymowne zaprzeczenie owéj zasadzie, że instytucye osobliwie naukowe i wychowawcze, podnoszą się tylko wielkiemi upasażeniami.

„To pewna, że gdzie nie ma miłości nauki tak między nauczającemi a uczącemi się, gdzie celem jest tylko zadosyć uczynienie przepisanym formalnościom, a po dopełnieniu ich umiejętność kwalifikująca do chlebodajnéj posady w kąt idzie, jako wyzyskany środek, tam nie powiem żeby instytucya była czém więcéj, jak fabryką dostarczającą tandetnego wyrobu.

„Szereg tych uwag, nie wiém trafnych lub nietrafnych, sprawiedliwych lub niesprawiedliwych nasunął mi się, gdym poszedł zwie-

dzić wystawę Szkoły sztuk pięknych, mieszczącą się w tym samym lokalu, gdzie odbywają się wykłady i gdzie uczniowie rysują.

„Dwie szczupłe izdebki na drugiém piętrze bursy muzycznéj, obszerniejsza nieco sala, oto przybytek, z którego już wyszło gronko tak usposobionych artystów, że nazwiska ich przebiły się za granicą przez ciżby imponujących współzawodników.

„Okoliczność nie małéj wagi, bo już tu partykularyzm nie idzię w rachubę; znaczenie jego ustaje. Usposobienie zatém jakie daje ta uboga Szkoła sztuk pięknych, musi być téj wartości, że z nią można się przebić w tym świecie artystycznym, gdzie rywalizacye, zazdrości, panujące mody, kamraderye, wreszcie duma narodowa, tworzą przeszkody nie łatwe do przezwyciężenia.

„W szczupłym tym i nie zastosowanym do potrzeb lokalu, dwóch nauczycieli miewa wykłady teoretyczne i pod ich kierunkiem dwudziestu kilku uczniów rysuje i maluje to z wzorów, to z gipsowych, to z żywych modeli. Jak się tam mieszczą i wykonywać mogą roboty, do których potrzeba i dobrego światła i przestrzeni? pozostanie zagadką, w rodzaju téj, o któréj Wincenty Pol mówi w pieśni „O ziemi naszéj," że ściany szczupłego domku mogą pomieścić najliczniejszych gości, bo na ich przyjęcie rozszerzają się.

„Aczkolwiek szkoła ta, mogłaby być sobie szkołą, jak tyle innych, to jest nosić tytuł lecz się o rezultat nie troszczyć; jednakowoż dość jest przejść się po téj wystawie robót jéj uczniów, zapełniających od góry do dołu ściany tych dwóch pokoi i trzeciéj sali, aby pomyśléć w duchu: ta młodzież darmo kaszy nie jadła, nauczyciele nie byli od parady! To mnóstwo rozwieszonych rysunków, akwarell, olejnych studyów; te znowu próby rzeźb zajmujących skromniejszy oddział: wszystko to nosi cechę skromnego wyboru, jest już owocem wprawy i umiejętności, a zatém nie są to początkowe łamania się, niefortunne koszlawe rysy nieposłusznéj ręki. Całość przedstawia taki stopień ukształcenia i usposobienia, że już ma otwartą drogę do tego punktu, gdzie namaszczenie artystyczne zaczyna się samodzielnie objawiać.

„Zdaje się że od szkoły tak skąpo uposażonéj w nauczycieli, w zbiory antyków i galeryc, nie mającéj za co utrzymać tyle żywych modelów, aby o ile można studyować najwięcéj z natury; nietylko niepodobieństwo jest wymagać większych rezultatów nad te, które daje, lecz owszem podziwiać trzeba tę energią i zamiłowanie tak w nauczycielach jak w uczniach, jaka złożyła swoje świadectwo w téj wystawie.

Zrobiwszy jéj przegląd, tu następuje wykaz prac. Poczém pisze p. Siemieński daléj. „W ogóle o téj najważniejszéj części umiejętności malarskiéj powiedzieć można, że jest tu przedstawioną w sposób bardzo zadawalniający. Dobry rysunek, to żywot na treść nauki.

„Na tém jedném mogłaby już poprzestać Szkoła sztuk pięknych, gdyby miłość sztuki dała się ograniczać, żądzę zdobywania jéj tajemnic powstrzymać. Lecz oto przed nami kilkusążniowa przestrzeń

wszerz i w wzdłuż pokryta głowami studyów z natury, powiada nam, że malarstwo traktuje się tu w całéj rozciągłości.

„Niektóre z tych głów noszą wybitny charakter i malowane są szeroko, *a la prima* z pewną werwą i śmiałością. Maniera lizana rzadko się spostrzega. Szczupłość miejsca nie dozwoliła odosobnić każdéj głowy; jedna siedzi na drugiéj, wszystkie bez ram, co bynajmniéj nie wychodzi na ich korzyść; pomimo tych nieprzychylnych warunków, o ileż lepsze są te studya od tych portretów, które dawniéj u nas malowano, a jakie często spotykają się po domach prywatnych.

„Ależ nietylko studyum człowieka stało się zadaniem téj szkoły, cały jeden pokój zapełniony studyami pejzaży. Są tam drzewa i widoki kopiowane podług dobrych wzorów, są robione z natury ołówkiem, akwarellą, olejno. Niektóre wcale udatne, mianowicie pejzaż pana Grammatyki, który w tym rodzaju zdaje się być najbardziéj zaawansowany. Aczkolwiek pejzaż wymaga zupełnego oddania się temu rodzajowi, czerpiącemu główną umiejętność w studyach natury, co rzeczywiście trudném jest do przeprowadzenia w szkole, jednakowoż i w tym kierunku spotykają się tu szacowne próby i już wskazaną jest droga, jaką dochodzi się aby umieć pędzlem tłumaczyć podpadające oku widoki i przedmioty. Kilka akwarelli wcale nie źle jest skopiowanych, w czém widać usiłowanie przyswojenia sobie tego sposobu malowania, który u nas jeszcze stoi na nizkim stopniu.

„Część jedna wielkiéj sali oddzielona przepierzeniem mieści nieliczny wprawdzie, ale godny uwagi zbiór rzeźb. Są tu głowy, torsy, figury naśladowane z antyku, są medaljony i figury z natury zrobione, są drobne gruppy z gliny. Drobne te figury polepione z gliny, mimo że się popaczyły, mają wiele charakteru i myśli kompozytora tłumaczą.

„Bardzo cenimy ten wyborny kierunek szkoły, że nauczyciel potrafił obudzić w uczącéj się młodzieży zamiłowanie do każdego rodzaju sztuki, i że ci co się uczą malarstwa nie zaniedbują ćwiczenia się w modelowaniu z gliny. Jestto dobra tradycya po starych mistrzach a i po nowszych, którzy chcieli się wznieść do wysokości dawniejszych; mieli oni bowiem zwyczaj, przed rzuceniem na płótno jakiéj postaci schwyconéj w wyobraźni, wprzód wymodelować z gliny, aby takowa stała im przed oczyma w pełni swych kształtów.

„Opowiedzieliśmy tu wrażenie jakie zrobiła na nas wystawa malarstwa i rzeźby w Szkole sztuk pięknych. Gdyby to były popisowe roboty, może bylibyśmy oszczędniejsi w pochwałach; lecz nie są one takiemi: uważać je tu trzeba za dokumenta całorocznéj pracy, w których niema pretensyi ani do efektów, ani do mistrzowskich pędzla pociągnień, ani do jakiéjś maniery pożyczanéj od kogoś; lecz jest ta usilność, aby sumiennie odpowiedzieć zadaniu i nauczyć się podstawy wszystkiego, to jest: umieć patrzeć i co się widzi, odrysować z wierną ścisłością.

„Słowa te powyższe, jak mniemam, nie zrodzą w młodych umysłach téj nieszczęśliwéj, a często spotykanéj zarozumiałości, która doszedłszy do pewnego punktu wprawy, przestaje na tém i sztukę robi służebnicą rzemiosła; kiedy przeciwnie prawdziwy sztukmistrz do końca życia nie przestaje się uczyć: świat sztuki jak świat myśli niema dla niego zamkniętych granic, każdy dzień przynosi mu nowe zdobycze" [1]).

W roku 1873 zbliżyła się długo przewidywana chwila, rozchodziły się pogłoski, że rząd zamierza szkołę powyższą znieść, zastępując ją szkołą rysunkową rzemieślniczą i chciał oddać takową Towarzystwu sztuk pięknych lub innemu stowarzyszeniu. Znane są głosy, publicznie broniące zasług téj drobnéj instytucyi, znana historya powołania na dyrektora szkoły, znakomitego mistrza Matejkę i oto zbliża się chwila czwartéj epoki „usamowolnienia szkoły," postawienia pod kierunkiem tego, którego Europa cała oznakami uznania najwyższego obdarzać nie przestaje. Równiennica warszawskiéj i wileńskiéj szkoły, nie umarła jak tamte, ale powołana do nowego życia, urasta w instytucyą zapewniającą przyszłość sztuce w kraju naszym.

Dzieje téj nowéj Szkoły sztuk pięknych rozpoczęły się z chwilą wejścia Matejki, a jakkolwiek oczekuje ona dopiero na potwierdzenie projektu organizacyi, którą mistrz podyktował, miejmy nadzieję że urośnie ona w wielką, a historya jéj przestanie być partykularną i należyć będzie do dziejów europejskiéj sztuki.

Z SIEDMIOLETNIEJ WOJNY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom drugi.

III.

W smutną nawet porę jesienną, gdy drzewa są z liści odarte, trawy wyschłe, niebo szare, a cała natura zda się mar-

[1]) Dziennik „Czas„ N.169 z roku 1870.

twą i obumierającą; krajobraz około Pirny, nad brzegami Elby zachowuje swój urok majestatyczny. Rzekłbyś ruina jakiegoś starożytnego świata, prawy brzeg rzeki naprzeciw miasteczka, które po nad lewym się rozkłada, ze swemi popękanemi, szaremi, wysokiemi piaskowca ścianami, porosłemi lasy i krzewami, z jodłami i sosnami czatującemi na wierzchołkach, przeglądający się w rozlanych wodach, łudzi jakoby pozorem zwalisk, jakiéjś zapomnianéj budowy. Elba wije się tu od Czech płynąc, jakby chciała coraz nowe zwiedzać zakąty, jakby pragnęła się ukryć a nie mogła, dopóki na szersze nie dobywszy się równiny, nie rozleje po łąkach, zobojętniała i spoważniała wlokąc się pod mury stolicy. Pirna ze swemi murowanemi domkami poczepianemi nad nierównym brzegiem, stoi na straży rzeki.

Wąwozy, góry sąsiednie, parowy, wysoka skała na któréj niezdobyta twierdza Königsteinu siedzi, Lilienstein piętrzący się do góry, cała okolica nadelbiańska czynią położenie warownem i dla nieprzyjaciela niedostępném. Nie można też było lepszego znaleźć miejsca dla wojsk saskich, które zbliżone do czeskiéj granicy, mogły bez przeszkody się połączyć z oddziałem austryackim generała Wied, aby stawić czoło pruskiemu wojsku Fryderyka. Nad brzegiem rzeki widać było rozbite obozy, namioty, szałasy, mnóstwo ładownych wozów, stada koni i wszystko co wojsku potrzebném być może. Gościniec od Drezna zajmowały przednie straże i wysunięte placówki.

W najpiękniejszym z murowanych domów miasteczka, który Brühl urządzić kazał na pomieszczenie króla, ostawionym strażami dokoła, August III bawił już od dni kilku, dosyć podrażniony położeniem, w którém się znalazł cale niespodzianie. Książęta Karol i Ksawery znajdowali się przy nim: Brühl był nieodstępnym. Piérwszy z nich żywy, ognistego temperamentu, niecierpliwy; drugi łagodniejszy choć w nim też krew rycerska grała, byli ulubieńcami ojca i matki. August III w Karolu przypominał sobie naturę ojca, Józefina pieściła Ksawera, który był mniéj śmiały i posłuszny.

Obaj królewicze również jak król znękani byli i upokorzeni wygnaniem ze stolicy, przymusem tym, który Brühl jako chwilowy tłumaczył i wiodący do niezawodnego tryumfu.

Król spędzał tu dnie, które mu się długiemi nad miarę wydawały; pozbawionym był wszystkich swych zwykłych roz-

rywek, opery, strzelania, myśliwstwa, galeryi obrazów, towarzystwa Ojca Guariniego i tego życia zegarkowego, do którego był nawykły.

Pomimo listów, które mu do podpisywania dawano, mimo wygnania tego do Pirny, August III nie wiele wiedział co się z nim i dokoła niego działo. Minister malował mu to w barwach świetnych, jako chwilową nieprzyjemność tylko, która się długo przeciągnąć nie mogła.

Dwunastego września, król po obiedzie siedział z fajką w szlafroku w izbie, na której kominie palił się ogień jasny. Jeden z jego błaznów, gdyż drugi chory w Dreznie pozostał, siedział skulony w kątku pilnując ogniska. Przezedrzwi nawpół naprędce grubą portierą przysłonionych, widać było w sąsiednim pokoju gromadkę dworskich i wojskowych. Cisza panowała około domostwa, przed którém chodziły straże. Królewicze oba wyjechali z Rutowskim do obozu.

Blady, z twarzą znękaną i chmurną wszedł minister, napróżno usiłując ukryć w sobie doznane świeżo wrażenie. Właśnie przez szpiega odebrał od Globiga szczegółowy opis zajęcia Drezna, odbicia archiwum i rabunku własnego pałacu. Na licu jego nie nawykłém od dawna do gwałtownych wstrząśnień, znoszącém bez zmarszczenia powszednie życia bóle i zadraśnięcia, znać było przejście burzy, która po sobie zostawiła ślady zniszczenia. Oczy były wpadłe, usta ściśnięte, czoło przygarbione, a choć na chwilę odzyskując przytomność przymuszał twarz by wróciła do zwykłego spokoju, wnet roztargnienie i zapomnienie na siebie wykrzywiało ją gniewem i troską.

Przestępując jednak próg królewskiego pokoju, potarł dłonią po czole, jakby z niego chciał zmieść ślady smutków. Król odwrócił głowę, Brühl kłaniał się i uśmiechał.

— Brühl—odezwał się August III, wychodząc jakby z zamyślenia—Brühl powiedz ty mnie, pókiż to tego będzie?

— N. Panie!—rzekł po namyśle minister—nie można nigdy dokładnie oznaczyć trwania takiego przesilenia. Jesteśmy w chwili, która decyduje o przekształceniu Europy, o przywróceniu Saxonii jéj dawnéj potęgi i blasku.

To bez ofiar przejść nie może.

— Tak, tak—odezwał się król—to pewna; ale ten Fryderyk, ten Fryderyk, który sobie tak pozwala.

— Rozpacz go ogarnęła, N. Panie—odezwał się minister—potrzeba mu przebaczyć szaleństwo: to są ostatnie podrygi bezsilności.

— Dobrześ się wyraził—wtrącił król—uważałeś kiedy, gdy odyniec zabity i oszczep mu w bok pakują, jak się rzuca, jak kłapie zębami; ale to nic nie pomoże.

— Ani Fryderykowi też jego zuchwalstwo, za które opłacić musi. Cesarzowa się postara aby go ogłoszono wywołańcem, całe Niemcy pójdą nań, Francya, Rossya, Austrya, my, Szwecya. Jakże się potrafi obronić?

— Tak, to prawda, Brühl—rzekł król—ale dlaczegóż ja muszę siedzieć w Pirnie? Patrzaj jak tu paskudnie, pfe i nudno. Ja do takiéj dziury nie nawykłem.

— A! N. Panie, nikogo to tak nie boli jak mnie—zawołał minister—mnie najwierniejszego sługę W. Kr. Mości, któryby gotów wylać krew swoją aby Panu najdroższemu jednę minutę przykrości oszczędzić. Niestety! są takie wypadki.

— Słuchaj, ale w tym lesie—odezwał się król—tam na brzegu przeciwnym, tam są świnie dzikie: słowo ci daję. Gdyby można zapolować!

Brühl się zamyślił.

— Będziemy się starali polowanie urządzić.

— A co z Drezna? były tam jakie wiadomości? Nie przywieźli dla mnie moich myśliwskich przyborów?

Minister westchnął i spuścił głowę.

— N. Panie, zdaje mi się że Prusacy chwilowo zajęli Drezno.

August III fajkę rzucił o ziemię, po którą zaraz paź przybiegł, i krzyknął:

— Odważył się....

— To rozpacz go prowadzi, N. Panie.

— No, patrzaj-że! byle mi moich obrazów nie pokonfiskował. Człowiek w rozpaczy i na to gotów.

— O obrazy się nie lękam, gorzéj—szepnął Brühl—żeśmy archiwum wywieźć nie mieli czasu.

Król ręką machnął.

Zdawało się go to mniéj obchodzić niż obrazy.

— To szczęście—rzekł—że ja tę Magdalenę Corregia zabrałem z sobą. Wszak jest tu z nami?

— Jest N. Panie, upakowana doskonale: Heinecken kazał na nią zrobić pudełko.

Zamyślił się mocno August, i dodał cicho:

— On ciebie bardzo nie lubi—rzekł—bardzo zły na ciebie; jeżeli już weszli do Drezna, no to oni tobie szkody na robią więcéj niż mnie. Biédny Brühl!

Westchnął minister.

— N. Panie, z pałacu mojego już pozostała ruina tylko.

Król ręce załamał.

— To barbarzyńca! Dla niego nic świętego nie ma! To bezbożnik! A! co za szczęście żem zabrał Magdalenę Corregia, bo na majestat Rafaela, tak jak na majestat królewski porwać się nie będzie śmiał. Mówisz że ci pałac splądrowali. A galeryę?

— Bosza ją wykupił zapłaciwszy 10,000 talarów.

— Ja ci to powrócę Brühl—rzekł król wzdychając—ja wiem że ty to cierpisz dla mnie. Niech tylko tego pyszałka zgniotę...

Łzy zakręciły się w oczach króla, który powoli poszukał fotelu za sobą, siadł, podparł się na ręku i odezwał tęsknie:

— Masz słuszność; kiedy tak, to na te dzikie świnie polować nie wypada, póki Prusaków się nie pozbędziemy.

I była chwila milczenia.

— To nam tu w téj głupiéj Pirnie gotowo wszystkiego zabraknąć—dodał król.

— N. Panie! mojém zdaniem—odezwał się minister — zdrowie i spokój W. Kr. Mości droższe są nad wszystko. Kraj się podźwignie po tych klęskach, byle pańskie na tém nie szwankowało szczęście i należne mu zaspokojenie potrzeb ciała i ducha. Wkrótce ma się rozpocząć sejm w Warszawie, gdyby nawet Prusacy nie byli weszli do Saxonii, zawszebyśmy byli zmuszeni wybrać się do Polski.

— Tak, tak—rzekł król—mieliśmy polować na niedźwiedzie i łosie.

— Dlaczegóżbyśmy teraz zaraz nie udali się tam. Przesilenie—mówił Brühl—trwać długo nie może: N. Pan nie potrze-

bujesz tu być osobą swoją. Możnaby udać się do Warszawy i tam oczekiwać rychłego rozwiązania sprawy.

— Którędy?—zapytał król—hę? a gdzież ja teraz sto trzydzieści koni znajdę na przeprzęgi?

— Zdaje mi się że król Fryderyk, przez Szlązk i Wrocław drogi dopuści: nie będzie śmiał zatrzymywać króla polskiego.

— Masz słuszność—odparł August—jednakże, hm? jeśliby Austryacy nam w pomoc zaraz przyszli, a nasze 30,000 żołnierza połączyły się z niemi, żebyśmy tego najezdnika ścisnęli i wrzucili do Elby, a mogli w przyszłym tygodniu powrócić do Drezna? Królowa musi być bardzo niespokojna, hm?

Brühl westchnął, nic nie umiejąc odpowiedzieć na tak zuchwałe żądanie. Nie śmiał też całéj prawdy oznajmić królowi zwykłym będąc do oszczędzania mu zmartwienia i ukrywania jéj połowy, ażeby zarazem zmniejszyć winę swoją.

August III kazał sobie podać fajkę, palił ją i wzdychał ciężko. Niekiedy coś do siebie pomrukiwał niezrozumiałego.

Wtém w przedpokoju głośne się dało słyszéć stąpanie. Brühl przestraszony żywo podbiegł ku drzwiom, w których pokazała się chmurna twarz generała Rutowskiego.

— Generale!—szepnął mu—na miłość Bożą, nic nie mówcie królowi.

— Ale dosyć już tego!—zawołał stłumionym głosem Rutowski—Nie pora.....

To mówiąc zlekka odtrącił ministra i żywym krokiem zbliżył się do Augusta III, który go witał uśmiechem. Rutowski był, mimo uszanowania jakie okazywał Augustowi, dosyć poufale z bratem.

— N. Panie!—odezwał się—hrabia musiał już choć część złych nowin z Drezna udzielić. Wiadomości są złe, są szkaradne. Prusacy zajęli Drezno, Fryderyk odbił archiwum.....

— Wiém—rzekł król—wiém, i zrabowali tego nieszczęśliwego Brühla, wszystkie te śliczności, z których ja byłem dumny.

— Ale co za zuchwalstwo, targnąć się na królowę!—zawołał Rutowski.

Brühl zapóźno dotknął ręki generała, aby go powstrzymać; może też nicby to nie pomogło. August za głowę, a ra-

czéj za perukę się chwycił, obejrzał dokoła i rzucił ku Rutowskiemu.

— Na królowę!—zawołał—jak to być może?

— Królowa osobą swą chciała bronić wnijścia do archiwum. Z rozkazu Fryderyka żołnierze ją porwali i odprowadzili.... Śmieli targnąć się na majestat....

Zakrył król oczy i płakać zaczął: Brühl ukląkł przed nim.

— N. Panie! pomścimy się téj zniewagi... niech się W. Kr. Mość nie gryzie a szanuje swe zdrowie...

Rutowski niespokojny przeszedł się krokiem żołnierskim po pokoju.

— Dla wojska niema żywności!—zawołał—nie starczy nam sił, aby obsadzić przejścia wszystkie.... któż wié, co się stać jeszcze może..

Brühl przyskoczył od króla do generała.

— Na miłość Bożą, nie malujcież nam tak czarno położenia. Za dni kilka połączymy się z generałem Bourem.. Na to długiego czasu nie trzeba.

Rutowski ramionami ruszył.....

August milczał zatopiony w sobie.

— Barbarzyńca!—powtórzył pocichu—dziki człowiek. Brühl, napisz do niego list... silny... ja go natychmiast podpiszę. Niech Bellegarde jedzie, albo ktokolwiekbądź.

— List! jemuby kulę nie list posłać trzeba—rzekł Rutowski—toby jedno poskutkowało.

Szczęściem jakoś nadeszła chwila podwieczorku, król ruszył milczący spełnić ten obowiązek i rozmowa się przerwała. Rutowski po kilka razy wtrącał jakieś słowo, ale August udawał że nie słyszy i nie odpowiadał.

Dosyć długo potém minister przy królu pozostał, sam na sam z nim, pocieszając go umiejętnie, tak że gdy nadeszła snu godzina, August III po wieczorném winie, zwaném „Schlaf trunkiem“ prawie uspokojony poszedł za kotarę.

Brühl ustawiwszy straże wysunął się do sąsiedniego domu. Dano mu znać w progu, że posłaniec od żony czekał z Drezna. Był to przebrany włoch Rotti, używany do posług różnych, zręczny, przebiegły, śmiały i gotów na wszystko dla hrabiny, któréj był ulubionym sługą. Ażeby wydobyć się z Drezna,

musiał przywdziać łachmany rybacze, w których go poznać było trudno: piękny i w sile wieku mężczyzna wydawał się prawie starym.

Brühl ze świecą musiał przystąpić blisko, aby być pewnym iż on jest nie kto inny.

Rotti miał na plecach nalepiony plaster, pod którym było pismo hrabiny. Nie listem je ale rodzajem dziennika nazwać było można. Godzina po godzinie zdawała sprawę w wyrazach krótkich, suchych, z tego co się w mieście działo. Dyaryusz ten mimo swéj zwięzłości, choć nie zawierał jednego wyrazu narzekania, choć zdawał się pisany z krwią zimną protokólisty, przejmował jakąś grozą. Brühl czytając go bladł, rumienił się i wstrząsał, gryzł wargi, wreszcie rzucił go na stół i twarzą ku stojącemu obrócił.

— Mów! — rzekł.

Rotti ręce roztworzył, głowę zwiesił, ramiona podniósł.

— Przepadło wszystko—rzekł—oni tam panują! Pałac zburzyli ze szczętem, zrabowali; zabrali co zabrać było można, czego wziąć niepodobna, zniszczyli. Król sam był tam w czasie rabunku.

— To nic—przerwał Brühl zimno.—Ha! zwierciadła i porcelana kupują się za pieniądze. Co więcéj?

— Archiwum—rzekł Rotti stłumionym głosem.

— To wiem—odezwał się minister—co więcéj?

— Kassy zabrano wszystkie, ministrom zapowiedziano uwolnienie.

Brühl się uśmiechnął.

— Ale ich nie wypędzono?

— Nie. W. Ekscellencya mieć będzie pewnie od hr. Loss osobną wiadomość.

— Teatr i aktorowie rozpuszczeni!—dodał Rotti. Sam widziałem Hessego; wybiera się do Włoch napowrót: drudzy jeszcze nie wiedzą co zrobią z sobą.

— Powiedz im niech poczekają trochę—szepnął Brühl—gospodarstwo to nie potrwa długo; przyjdziemy z Austryakami do Drezna, i wygonim tych intruzów.

Rotti westchnął.

— Oni bo się tam rozsiadają na dobre;—rzekł—słyszałem że posłano do Magdeburga i Elbą mają sprowadzić, kto

ich wié, mówią 250 dział żelaznych, dla obsadzenia murów i wałów: znać się chyba bronić myślą.

Rozśmiał się Brühl pogardliwie.

— To plotki —rzekł—wszystko wam w oczach rośnie.

Rotti zamilkł.

— Kiedy powracasz do Drezna?—zapytał po namyśle.

— Gdy mi W. Ekscellencya każe i gdy będzie podobna się dostać jakkolwiek do niego, bo teraz ani wydobyć się, ani dobić nie łatwo. To mówiąc westchnął.—Boże!—dodał—ktoby się był takich na nas losów spodziewał?

Brühl ręce złożywszy, oczy podniósł ku niebu pobożnie.

— I my i losy nasze w rękach Bożych: modlić się trzeba, aby nam Opatrzność pomoc zesłała!

Zbudowany tem wielce pobożny Włoch westchnął także całą piersią, ale już usposobienie ministra się zmieniło; myślał snać o czém inném, zbliżył się do Włocha i rękę położywszy mu na ramieniu, szeptać począł:

— Mój Rotti, musisz wziąć z sobą kartkę do hrabiny i do Globiga; ale pamiętaj jeśliby cię schwytano, połknij je a nie daj im w ręce: idzie o twe życie, o króla, o mnie...

— Nie bójcie się—odparł Włoch,—pisma rąk dojdą, choćbym ja miał zginąć!

IV.

W dolnéj izbie sklepionéj, na królewskim zamku w Dreznie, od któréj jedno kraciaste okno, oddawna ręką ludzką nietknięte, z nieprzezroczystemi szybami, wychodziło na dziedzińce, o wieczornéj godzinie znajdowało się osób kilka, potajemnie tu zgromadzonych. Jedna świéca paliła się na przymurku, mówiono pocichu... u drzwi stały straże... oglądano się niespokojnie za najmniejszym szelestem. Przy świetle słabém, które rzucała woskowa świéca, w ciężkim srebrnym osadzona lichtarzu, chwilowo tu przyniesiona, trudno było twarze osób rozpoznać. Izba znać oddawna za skład niepotrzebnych sprzętów służąca, zaniedbana, brudna, ze sklepieniem okopconém, przedstawiała się jakby więzienie, smutną i opuszczoną. Stół przy ścianie, kilka prostych stołków, w kątach resztki niedo-

palonych pochodni i drągi jakieś czarne, na kamiennéj posadzce ciemne wałki jakichś starych opon i płócien rudych... powiązanych sznurami... składały wszystek sprzęt téj kryjówki, o któréj w zamku nawet mało kto wiedział. Miała ona niegdyś różne przeznaczenia za przeszłych kurfirstów i pocichu opowiadano o niéj krwawe i straszne dzieje. Od Augusta Mocnego, a szczególniéj za jego syna, służyła tylko stróżom zamkowym za skład łomu, którego wyrzucić nie chciano, a chować staranniéj nie było warto. Dwoje drzwi, jedne od dziedzińca zawsze zatarasowane, drugie od wnętrza i sieni, do któréj wschodów kilka schodziło, dozwalały przemknąć się tu niepostrzeżenie. Dlatego może tego wieczora zebrały się tu osoby, które ani widziane ani podsłuchane być nie chciały..

W jednéj z nich łatwo poznać było hrabinę Brühlową, która postawą dumną i głową podniesioną zdawała się tu dowodzić i rozkazywać. Drugim był baron Spörken... w téj chwili widocznie niespokojny, podrażniony, ciągle oczyma biegnący ku drzwiom, z nachmurzoném czołem i krwią nawisłą.

Obok niego stał drżący i blady kawaler de Simonis, zdający się tylko przymuszonym świadkiem narady, czyniącéj na nim wrażenie przerażające. Tarł niekiedy ręce i perukę, przestępywał z nogi na nogę, zakładał dłonie na plecy, chował je po kieszeniach, nie wiedząc co z sobą zrobić i z niemi.

Naostatek opodal nieco widać było nieznajomą jakąś postać, z twarzą wyschłą i pomarszczoną, choć nie starą, z biegającemi oczyma, ale wyrazem zaciętości w ustach i całéj fizjognomii, stojącą jakby w oczekiwaniu na rozkazy. Człowiek ten ubiorem stanu nie zdradzał, odziany był suknią widocznie dla niepoznaki włożoną, która doń nie dobrze przystawała, a na wierzch zarzucony miał płaszcz gruby podróżny.

Hrabina Brühlowa, generał Spörken i biernie tylko posługujący im Simonis, naradzali się jeszcze pocichu. Po krótkich szeptach, hrabina wystąpiła naprzód i zbliżyła się do oczekującego.

— Panie Glasau!—rzekła pocichu.

— Po co wymawiać moje nazwisko—opryskliwie przerwał stojący—po co? to do niczego niepotrzebne.

— Waćpan jesteś Sasem, byłeś nim przynajmniéj; zachowałeś pamięć o tém: chcesz służyć królowi?

Glasau głową tylko skinął na znak zgody.

Brühlowa posunęła się kilka kroków daléj, prowadząc go za sobą w ciemny kąt izby, gdzie ani Spörken, ani Simonis słyszeć rozmowy nie mogli.

— Jesteś przy królu?

— Tak: jest nas kamerdynerów kilku.

— Ciągle przy nim?

— A i tu i w obozie, nieodstępnie — rzekł Glasau. Uszy moje i plecy o tém świadczą...

Tu westchnął.

— Gotów waćpan jesteś na wszystko?

— Mówmy-no o warunkach—przerwał Glasau—ja duszy gubić nie mogę zadarmo. Prawda że król śmieje się i powiada iż duszy człowiek niema, ano tém bardziéj ciała na męczarnie i zgubę nie myślę dawać.

— Przecież niema niebezpieczeństwa?

Glasau się uśmiechnął.

— Z nim? z nim? ale to człowiek co wszystko najgorsze zgadnie, bo sam do wszystkiego i najgorszego gotów. Cóż mi dacie? zapytał—co mi dacie?

— Co chcesz?

— Wiele chcę, wiele; a czegóż odemnie żądacie?

— Musimy wiedzieć, kiedyby go pochwycić było można. Często się z kilką ludźmi oddala i puszcza po nocach; przewodnik mógłby go wprowadzić w zasadzkę...

— Tak, zuchwały jest; to prawda—rzekł Glasau i opuścił głowę.

— Toby było najlepszém—dodała hrabina.

— A cóżby było najgorszém?—bąknął nie patrząc jéj w oczy Glasau.

— Gdyby, gdyby—szepnęła pocichu Brühlowa—waćpan rozumiesz... biały proszek... w czekoladzie...

Ostatnie słowa wymówiła prawie niedosłyszanym głosem: Glasau głową potrząsł, ale się nie uląkł wcale.

— Prawda, że ja mu noszę rano czekoladę—rzekł—ale ją czasem wprzódy pies wypije, nim się on do niéj zbierze, a toby się wydało.

Szept niedosłyszany trwał jeszcze minut kilka. Glasau się zdawał targować.

— Nie, nie—rzekł w końcu—ja go wam dam żywego w ręce, tak będzie lepiéj.

I zawsze rozmawiała z nim Brühlowa, aż kazała przystąpić Simonisowi.

— Przypatrz się temu panu,—rzekła—zapamiętaj jego rysy; ani ja, ani baron nie będziemy mogli inaczéj komunikować się z wami jak przez niego.

Glasau podniósł oczy.

— To licha warto – rzekł—albo ja lub ów się omylić może, oczom wierzyć niebezpiecznie. Trzeba się umówić o znaki.

To mówiąc szybko począł ukazywać ręką Simonisowi, jak go ma witać, ile z kolei palców rozłożyć.

— Jednego znaku mało—rzekł—mógłby być przypadek: trzy ledwie starczą.

Kawaler de Simonis znajdował się biernie, nie biorąc zbyt żywego udziału w umowie. Oczy hrabiny biegały po obu.

— Tak—dodał Glasau—już my się zrozumiemy.

Brühlowa dobyła rulon z worka który miała przy sobie i wcisnęła mu go w ręce, szepcząc coś jeszcze pocichu; Glasau się skłonił i pospiesznie ku dzwiom skierował.

— Znajdziecie tam tego co was tu przyprowadził—pospiesznie biegnąc rzekł baron—ten was téż na bezpieczne miejsce dostawi. Glasau już brał za klamkę, generał wywiódł go do sieni i powrócił. Brülowa zbliżyła się do Simonisa:

— Za waćpana ręczyła mi baronówna,—rzekła zcicha—chociaż zdaje mi się że na was było posądzenie żeście z Berlinem korrespondowali. Znaleziono listy.

— Ja się ich nie zapieram—odpowiedział Simonis—było to wprzódy, nim panna Nostitz podjęła się i dokonała mojego nawrócenia.

— Ale cóż nam ręczy za jego szczerość?

— Pani hrabino—odezwał się spuszczając oczy Simonis—moją poręką jest baronówna, a jeśli mam otwarcie wyznać, mój własny interes. Gdzież większe szczęście spotkać mnie może?

Brühlowa uśmiechnęła się szydersko i poruszyła ramionami nieznacznie.

— Waćpanu Nostitzówna rękę swoją przyrzekła?—zapytała.

Simonis ukłonił się milcząco.

— Tak, tego panu powinszować można—dodała—będziesz miał wielu przyjaciół, bo baronównie na wielbicielach nie zbywa.

Rzuciwszy ten sarkazm dojmujący, Brühlowa poparła go wejrzeniem czarnych oczów, które mimo katastrof tylu, zalotnemi i wyzywającemi być nie zapomniały.

— Baronie Spörken—rzekła, obracając się do niego z kolei—cóż mówicie o tym człowieku?

— Ja go sam nastręczyłem—odparł baron—więc inaczéj jak dobrze, mówić o nim nie mogę. Jakie wrażenie uczynił na W. Ekscelencyi?

— Człowieka, który na wszystko gotów, ale za dobrą zapłatą; nie zaręczyłabym jednak ażeby w chwili czynu się nie uląkł i nie cofnął.

— Nie sądzę—zawołał Spörken—na nicby mu się to nie zdało... kto mówi *a*, ten musi *b* powiedzieć... Raz wzięty w ręce, nie uciecze nam... Jak tylko przyjął pieniądze... przyszedł tu...

Brühlowa potakująco skinęła głową, palec położyła na ustach.. i zdawała się przysłuchiwać krokom, które słychać było w sieniach. Spörken żywo przysunął się do drzwi, wszyscy zamilkli i czekali. Kroki i szmer powoli w oddaleniu słabły, wkrótce znowu nastąpiło milczenie.

Brühlowa narzuciła zasłonę na głowę i poprosiwszy ruchem ręki o otwarcie drzwi, wysunęła się piérwsza. Spörken został chwilę z Simonisem, z którym rozmawiał jeszcze pocichu. Wypuścił go potém, wskazując ręką wschody... a sam wziąwszy świécę z przymurku, zamyślony wyszedł ostatni powoli.

Nie bez obawy widocznéj wyśliznął się Simonis z téj konferencyi tajemnéj i nie zachodząc do zamku, przez jednę z bram wysunął się zręcznie w ulicę, tu dopiéro swobodniéj odychając;

nie rychło jednak przysłoniętą płaszczem twarz odkryć się ośmielił.

Uszedł zaledwie kilka kroków, gdy posłyszał pozdrowienie, zdziwiony że go pociemku poznano. Był to Masłowski, który wyrósł jakby z ziemi: Simonis drgnął zdziwiony nieprzyjemnie.

— Nie mogę pojąć, jakeś mnie waćpan mógł poznać po nocy—odezwał się nie kryjąc zdumienia.

— A!—rzekł śmiejąc się wesoło Masłowski—najprzód my mamy kocie oczy, to rzecz wiadoma... w nocy widzimy doskonale, osobliwie kogo nam zobaczyć potrzeba; za to we dnie często nie dojrzymy, gdy nam kto zawadza. Powtóre, waćpan wiesz, kawalerze Simonis, my jesteśmy serdecznie przyjaciele, sympatia!

— Aha!—zawołał Simonis—ale ja byłbym waćpana minął nie poznawszy.

— Sympatyi dla mnie nie masz - odezwał się Masłowski, bez ceremonii biorąc go pod rękę—No, a wolno wiedzieć zkąd? z zamku?

— Jakto z zamku?

— Nic, myślałem tylko.

— Cóżbym tam robił?

— No, podejrzywam waszmości zawsze o miłość dla frejliny, a ona tam przy królowéj.

— Dla mnie niedostępna.

— Dla mnie téż—westchnął z przesadą Masłowski—jedne mamy losy, jedno cierpienie, jedne uczucia; musimy być przyjaciołmi. Różni nas tylko, że waćpan kochasz Prusaka... a ja...

— Sasów?—spytał Simonis.

— A gdzie tam! ktoby mógł jakiegokolwiek Niemca kochać. Niemkę... to co innego—zaczął wesoło Masłowski—Ale powiedzże ty mi szczérze, po przyjacielsku, ja cię nie zdradzę: na czém stanęło? czy zawarłeś alians z Prusakiem, czy z Austryą i Saxonią?

Simonis pytanie w śmiech obrócił...

— Myślę że masz do Prusaka słabość—dodał Masłowski—no, no, co komu do gustu... Mnie się tak zdaleka pa-

trząc w ulicy na tego kaprala zdaje, że musi śmierdzieć, a ja mam powonienie nader draźliwe.

Simonis nie chciał się zdradzić, Masłowski niemiłosiernie go męczył.

— Przyjacielu mój!—dodał—nie rozumiem jak pogodzisz miłość dla baronówny z miłością dla króla Fryderyka. Dla logiki będziesz musiał się w staréj Nostitzowéj zakochać, a to podobno trudno.

Kawaler milczał, szli tak daléj ciemną ulicą, Simonis aby się uwolnić od przyjaciela, skierował się milczący ku swojéj kamienicy. Masłowski go odprowadził aż do progu. Tu powiedzieli sobie dobranoc, Simonis wszedł szybko do domu i drzwi za sobą zamknął. Zamyślony wstępował na górę, gdy go znowu, jak niegdyś, Gertruda za rękaw pociągnęła pokazując mu drzwi baronowéj. Nie spodziewając się już tu dnia tego zastać Pepity, mniéj chętnie posłuchał staréj sługi i wszedł na próg powoli.

Stara baronowa w boki się wziąwszy, co u niéj wielce szczęśliwe oznaczało usposobienie, chodziła po saloniku uśmiechając się do siebie. Spostrzegłszy Simonisa dygnęła mu wesoło.

— Dobrze żeś przyszedł, mam coś dla waćpana—rzekła.

I zbliżywszy się mu do ucha, szepnęła:

— Major Wangenheim czeka na waćpana na dole w pałacu Moszyńskich, ma ci coś do polecenia.

Simonis drgnął i zbladł.

— A tak! tak! misyą konfidencyonalną. Ja sama nastręczyłam mu waćpana. Możesz się teraz zasłużyć i dojść daleko. Proszę iść zaraz do niego, ażeby komu innemu tego niepowierzono.

Simonis nie mogąc się poruszyć stał wryty, położenie jego stawało się niewymownie przykrém. Jakkolwiekbądź, zdrajcą teraz być musiał nie sługą. Dreszcz po nim przebiegł. Nie prędko zebrał się na słowo....

— Pani baronowo—odezwał się jąkając i nieśmiało—nieskończenie jéj jestem wdzięczen, ale prawdziwie mam obawę; nie jestem pewny, doświadczenia mi brak, nie wiem czy potrafię sobie dać radę.

Pani Nostitz spojrzała nań urażona niemal.

— Przecież nie co innego ci dadzą do roboty, tylko to samo z czém cię tu moja poczciwa de Camas wysłała... Być może iż wypadnie się dostać do obozu do Pirny... ale cóż to znowu tak osobliwego: powiesz że cię Brühlowa przysłała... Toż samo że się tam dostaniesz, już zaufanie obudzi. Zdasz tylko raport z tego coś widział i słyszał. Major Wangenheim czeka na waćpana! Trzeba iść, i to zaraz.

Spojrzała na twarz nieszczęśliwego Simonisa i zawahała się widząc go tak straszliwie przelękłym, że ją litość nad nim wzięła. Rozśmiała się jednak wkrótce.

— Nie wiedziałam że z waćpana takie dziecko!—zawołała—ależ to w takich właśnie trudnych i zawiłych sprawach ludzie się dorabiają. Panu Bogu powinieneś dziękować i głowy nie tracić.

Simonis powiódł ręką po czole, na które kroplisty pot występował.

— Czy waćpan chcesz się tego podjąć, czy nie, to darmo —dodała naprożno wyczekawszy odpowiedzi. Trzeba iść do majora. Rozmówicie się z nim się o tém.

Kawaler opamiętał się nareszcie: nie było środka... musiał być posłusznym. W ulicy pożegnawszy go Masłowski, gdy się drzwi zamknęły, jak gdyby go przeczucie jakie zatrzymało, czy chętka szpiegowania Simonisa, odszedł wprawdzie powoli na stronę; lecz nie bardzo potrzebując spieszyć, chwilkę między kościołem a odwachem pozostał. Oddalił się zaledwie kilkadziesiąt kroków, gdy wśród ciszy nocnéj posłyszał skrzyp otwierających się drzwi i zwróciwszy głowę, dostrzegł przy świetle ogarka, którym stara Gertruda przyświecała wychodzącemu Simonisowi, iż ktoś wymknął się z kamienicy. Nie był wcale pewnym iż to być miał Simonis, zatrzymał się jednak przytuliwszy do węgła ganku Frauenkirche, czekając aż się zbliży idący.

O kilkanaście kroków z postawy i chodu poznał przyjaciela. Nie wysuwając się ze swéj kryjówki, dał mu ją pominąć, wyprzedzić się o dobry kawał drogi i ostrożnie poszedł za nim.

— Prawdziwe szczęście—rzekł w duchu. Czekaj ptaszku! wyprawa nocna jest mi mocno podejrzaną. Muszę wiedzieć przecie, dokąd o téj porze się wybrałeś.

Szedł więc nie spuszczając go z oka, unikając aby go niepostrzeżono. Pałac Moszyńskich stał naówczas wśród obszernego ogrodu, niemal za miastem, z widokiem niczém nie osłonionym na dalekie góry. Z samego kierunku drogi łatwo było odgadnąć cel do którego prowadziła. Masłowski się wcale tego nie spodziewał: zawrzało w nim. Jeżeli zdrada się okaże, jutro go jak psa zastrzelę, zawołał do siebie. Mniéj jednym takim jegomością na świecie, ludzkość na tém nic nie straci. Simonis oglądał się pilnie dokoła, nim przypadł do żelaznych sztachet i bramy, która w ogród i do pałacu prowadziła. Tu stała warta i spytała go do kogo idzie, Simonis szepnął że ma polecenie stawić się u majora Wangenheima. Żołnierz służył mu za przewodnika. Masłowski pozostał zdala na czatach.

Major Wangenheim, młody i przystojny mężczyzna, pomimo spóźnionéj godziny siedział jeszcze w mundurze i przy szpadzie, gdy mu przychodzącego oznajmiono.

Spojrzawszy nań, zamyślił się nieco.

— Pani baronowa Nostiz mnie przysyła—odezwał się Simonis.

— Tak—rzekł sucho major—wiém, waćpan byłeś trochę znajomym Brühlowi i jego dworowi.

— Bardzo mało....

— Mogłoby dla waćpana być ciekawém zobaczyć co się tam w obozie dzieje?

Kawaler zmilczał.

— Mógłbyś waćpan zaofiarować hrabinie przeniesienie listu od niéj do męża, ale ten musiałby być mnie wprzódy zakomunikowanym.

— Hrabina wątpię by mi zaufała —odezwał się Simonis nieśmiało.

Wangenhein popatrzał nań.

— Jedném słowem—rzekł—mój panie, masz ochotę przynieść nam wiadomość z obozu i zanieść tam do naszych znajomych pewne rozkazy?

Simonis zmilczał.

— Będę posłusznym, gdy mi to nakazaném zostanie— odezwał się – lecz nie kryję tego iż mało mam wprawy i doświadczenia, i że na własną zręczność rachować nie mogę.

Major się rozśmiał wzgardliwie nieco.

— Zbytnia to skromność — odezwał się patrząc mu w oczy i badając go — w takich sprawach mało kto nabiera wprawy: ludzie się do tego rodzą. Krótko waćpanu powiem, ludzi nam braknie, potrzeba abyś jutro się wybrał, i jak najprędzéj powrócił.

Na dworze króla i Brühla jest dwóch ludzi, którym nieznacznie oddasz pan te dwa od ich żon listy. Nic w nich niema... nie zrozumie ich nikt, oprócz nich. Będziesz się waćpan starać widzieć jak najwięcej, dowiedzieć jak najdokładniéj, powrócić jak najprędzéj.

Major Wangenheim z pewną niecierpliwością, jak gdyby nie bardzo miłą dlań kończąc rozmowę, na listach które złożył na stole, rzucił rulonik dukatów, i odstąpiwszy parę kroków, głowy skinieniem pożegnał Simonisa.

To złoto tak jawnie rzucone mu w oczy, z pewnym rodzajem pogardy, wywołało rumieniec na twarz Simonisa.

— Przepraszam pana majora — rzekł odsuwając rulon — mogę i muszę podjąć się służby dla J. Kr. Mości, ale bez tego dodatku.

— Jakto?—zapytał major.

— Jeśli zasłużę na co, mogę być późniéj wynagrodzonym; nie należę do tych, którzy się najmują.

Major spojrzał mu w oczy i ruszył ramionami, nie zdawało się go to ani dziwić ani rozczulać, jak gdyby do podobnych scen był przywykłym.

— To na koszta podróży – rzekł sucho — niepodobna byś waćpan o swoich pieniądzach ją odbywał.

I dodał — dobranoc!

Simonis wziął listy i znać nie chcąc się podać w podejrzenie, schował téż rulon do kieszeni i wyszedł.

Noc była ciemna, gdy się znalazł za bramą z tak przykrém uczuciem niepewności jakiéjś, obrzydzenia, wstrętu, obawy, iż postąpiwszy kroków kilka, spytał się sam siebie, czyby nie najlepiéj było zabrawszy co miał, powracać do Berna i szukać w pracy przyszłości.

Wspomnienie tylko pięknéj Pepity wstrzymało go może od tego kroku. Zbliżeniem się do niéj, czuł się uszlachetnio-

nym i nie chciał już wrócić na drogę tajemniczych, brudnych intryg, która mu teraz wstrętliwą była i upadlającą. Ale jakże się mógł wywikłać z téj sieci, w którą wpadł poczęści z własnéj winy. Zbliżał się już do miasta, gdyż pałacyk leżał naówczas za jego obrębem, gdy usłyszał półgłosem nuconą śpiewkę i z wielkiém podziwieniem a przestrachem spotkał Masłowskiego. Ten udał nadzwyczaj zdziwionego.

— A to rzecz szczególna!—zawołał—że my się téż nieustannie musimy z sobą spotykać? mamże uwierzyć oczom? Wszak waćpana odprowadziłem na spoczynek do domu, miałeś iść spać?? Jakimże sposobem? w téj stronie? Ktoby powiedział żeś waćpan chodził dawać dobranoc królowi pruskiemu?

— A cóż wy tu robicie?—spytał Simonis.

— Ja? ale ja nie mając nic do roboty z professyi, jestem włóczęgą—rozśmiał się Masłowski—szpieguję Prusaków. Wiesz że to są jednak nie głupi ludzie. Jaki w nich rygor i ład... Ale mówże zkąd pan Bóg prowadzi?

Simonis niechcąc się zdradzić, musiał się namyślić, co powiedzieć.

— Przyznam się waćpanu,—szepnął—awanturka kobieca.

— W téj stronie? za miastem?? to chyba z dziewką jaką od ogrodnika, bo tu nic porządniejszego nie mieszka?? Co mi mówisz, ale!....

Simonis umilkł. Wierz waćpan lub nie, jak chcesz...

— Przyjmże moją radę,—dodał Masłowski—jako lepiéj oswojonego z Dreznem: nie bardzo bezpiecznie w bliskości króla miéć *rendes vous*. Fryderyk jest podejrzliwy, a rozstrzelanie u niego nic a nic nie kosztuje.

Spotkanie z Masłowskim, który go znowu przeprowadził aż do kamienicy, doreszty przybiło nieszczęśliwego Simonisa. Milczący wsunął się na swe trzecie piętro, pożegnawszy szydzącego i natrętnego Polaka. Paliły go listy które miał od Wangenheima, niepokój niewysłowiony oka mu zmrużyć nie dał. Ledwie doczekawszy poranka, zerwał się z łóżka i pobiegł do zamku. Cały dwór był jeszcze na mszy rannéj, gdy przypadł, ukrył się więc w mieszkaniu barona Spörken, oczekując na baronównę, z którą się chciał zobaczyć. Paź miał jéj oznajmić iż Simonis mówić z nią potrzebował. Po pół godzinném

prawie oczekiwaniu, piękna panna zjawiła się, tak jak była ubraną do kościoła. Spojrzała na Simonisa i zmieniona twarz jego nic jéj znać dobrego nie zwiastowała, gdyż niespokojnie zbliżyła się do niego.

— Co waćpanu jest?—zapytała.

— Osądzisz pani sama—odezwał się Simonis. Wczoraj zaledwie ztąd wyszedłszy udałem się do baronowéj. Przywitała mnie tém, że powinienem był natychmiast udać się po rozkazy do majora Wangenheima. Późno w noc musiałem biedz do pałacu Moszyńskich, kazano mi z listami do obozu pod Pirnę, szpiegować.

Pepita słuchała z żywém zajęciem.

— Pani—zawołał Simonis—niema w téj chwili pod słońcem nieszczęśliwszego człowieka! Gdyby nie pani, uciekłbym ztąd! Zważ pani położenie moje. Co mam począć? Zdradzić was nie mogę, zdradzić tamtych, to grozi śmiercią; ale mniejsza o śmierć: to grozi mi upodleniem, poniżeniem, którego od czasu jakem się zbliżył do was znieść nie potrafię. To przechodzi siły moje, brzydziłbym się sobą!

Baronówna podała mu rękę w milczeniu zarumieniona.

— Mogę wam służyć, nie winienem nic i nie mam obowiązków żadnych względem króla; lecz w ten sposób, nie! nie zdołam!

Rękami zakrył Simonis twarz.

— Co mam począć! co począć!

Baronówna stała zamyślona nie mówiąc słowa.

— Rozumiem—odezwała się głosem cichym—że są pewne granice, poza które żadne poświęcenie nie sięga. Honoru się nie poświęca..

— Powiedzże mi pani, jak się mam ratować!!

Baronówna przeszła się po pokoju....

— W istocie, rzecz to do rozwiązania trudna; ja zamało mam doświadczenia abym to potrafiła rozwiązać. Pan nam jesteś potrzebny. Gdybyś się ukrył na zamku, zamiast iść do obozu, mógłbyś się nam przydać tutaj; gdybyś do obozu się udawszy w nim pozostał, uszłoby to może za uwięzienie: król i Prusacy długo tu nie pobędą.

Z mowy niepewnéj baronówny znać było że sama nie wiedziała, ani co mu ma radzić, ani co z nim począć; żywe tyl-

ko rozdrażnienie malowało się na jéj twarzy. Narzędzie to na które tak rachowała, z rąk się jéj wymykało.

Po namyśle pobiegła do drzwi i już biorąc za klamkę, ze spuszczoną głową, prawie nie patrząc nań—rzekła prędko:— Wybierz się pan, pożegnaj baronowę, przybądź tu, a naówczas zobaczymy co uczynić wypadnie.

Simonis nie miał czasu jéj wstrzymać: zniknęła, poszedł więc i on spełnić dane rozkazy i napozór przygotować się do podróży. Domyślał się iż Pepita musiała chcieć naradzić się z królową może, a z Brühlową pewnie, gdyż hrabina była główną sprężyną, około któréj obracały się wszystkie przeciw Prusakom wymierzone, dotąd bezsilne intrygi.

Max jeszcze był nie powrócił na zamek, gdy po korytarzu przechadzający się, jakby dla zabawki Masłowski, czatował na baronównę. Lękając się aby to polowanie zadługo nie trwało, pan Ksawery dał lokajowi *duser*, jak się to w języku dworskim zwało i poprosił go o wywołanie frejliny: w innych czasach byłoby to niemożliwém, ale od czasu wnijścia Prusaków, działy się na dworze nigdy niesłychane rzeczy.

Baronówna wyszła natychmiast.

— Przepraszam żem panią śmiał fatygować—rzekł Masłowski—chciałem się opowiedzieć. Zdaje mi się iż chwila nadeszła, w któréj mojego przyjaciela Simonisa, wypada mi uczynić „nieszkodliwym.“ Wczorajszego wieczora powróciwszy ztąd, chodził w nocy do króla Fryderyka. Zdrajcą jest...

— Nie, panie mój—odpowiedziała Pepita—nie; bo ja o tém wiem: iść tam musiał. Bądź cobądź, ja panu za jego czujność dziękuję serdecznie. Jesteś szlachetnym, jesteś zacnym.

Wyciągnęła mu rękę, a pan Ksawery pochwycił ją i namiętnie po polsku całować zaczął. Nie nawykła do takich gorących pocałunków, baronówna się zarumieniła, i rękę, jak oparzoną wyrwać musiała.

— Byłbym go zadławił!—zawołał—gdyby panią śmiał pomyśleć zdradzić; ale wié pani co, ja panią ubóstwiam, a jednak gdybyś mi tak jak jemu na dwóch stołkach kazała siedzieć, darujesz, tegobym i dla niéj nie potrafił.

— Spodziewam się że i on tego nie uczyni—szepnęła baronówna, biorąc sługę swojego w obronę.

— Ano, przepraszam, żem chcąc usłużyć, napróżno pannę baronównę, niepotrzebnemi odwiedzinami memi niepokoił. Nie rozkaże mi pani nic? Zabić kogo? powiesić? udusić: dla pani gotów jestem!

Ton i wesołość z jaką Masłowski mówił, w tak dziwnéj były sprzeczności z usposobieniem na zamku panującém, iż baronówna z niejaką zazdrością spojrzała na młodego chłopaka, którego te sprawy tak mało obchodziły.

— Dziękuję panu—rzekła— i admiruję obojętność jego wśród tych nieszczęść, jakie nas spotykają. Pana to nic nie obchodzi?

— Jam tu zupełnie obcy, jam spektator, pani—zawołał Masłowski—a mam ten nieszczęśliwy nasz narodowy charakter, który nawet wśród najcięższych przygód własnych, zmusza do wesołości. Tak nas Pan Bóg stworzył!

— Nie macie się skarżyć na co—westchnęła Pepita.

— Wesołość ta nie odejmuje nam przytomności—mówił Masłowski—a jęk i narzekanie na nic się nie zdały. Ma mi pani co do rozkazania?

Pepita się zawahała.

— A gdyby ważnego co było do zaniesienia do obozu? odważyłbyś się waćpan?

— W ustach zaniosę co mi pani każe, papieru nie mogę: dystrakt jestem i gubię nawet własne pieniądze.

— Chwilkę pan poczekaj.

Baronówna znikła.

Masłowski zaczął już śpiewać, bo gdy nie mówił nic, świstał lub nucił, bezczynnym nie mogąc pozostać, gdy na korytarz wybiegł baron Spörken i szukać go zaczął oczyma. Obejrzał się czy ich kto nie widzi, a potém wciągnął z sobą do pokoju.

— Możesz się pan dostać do obozu do Brühla?

— Jeżeli mnie Prusacy nie złapią.

— Ale właśnie trzeba się nie dać złapać...

— Nie mam najmniejszéj ochoty do tego, bo mówią, że kogokolwiek do wojska zdatnego pochwycą, natychmiast mu wdziewają mundur, a ja do pruskiéj służby się nie kwalifikuję.

— Idzie o to, aby zanieść ważne wiadomości.

— Ustnie?—dodał z przyciskiem Masłowski.

— Tak jest.

— Spróbuję: proszę o nie...

— Słowo że ich nie wydasz?—spytał Spörken.

Masłowski się rozśmiał.—Prusakom? a za kogóż mnie pan masz?

— Słowo?

— Najuroczystsze!

Spörken poprowadził go pod okno.

— Fryderyk albo już wyruszył z Drezna—rzekł—lub dziś czy jutro wyjdzie. Wiemy plan jego... Chce obóz nasz odciąć od czeskiéj granicy i uniemożebnić połączenie się nasze z Austryakami. Odcięci, nie zasposobieni w żywność, nie mając jak garść ludzi, których codziennie choroby, dezercya, a nawet niedostatek żywności dziesiątkują, jesteśmy zgubieni. Potrzeba ażeby Rutowski, jak skoro to będzie możliwém, wyruszył ku generałowi Wied, nim Fryderyk drogi obsadzi. Widzisz pan, że od tego ocalenie nasze zależy.

— Rozumiem—zawołał Masłowski—są sposoby wydobycia się z Drezna, spróbuję czy też nie ma środka dostania się do Pirnej: zrobię co będę mógł.

Żegnał się już, gdy weszła promieniejąca baronówna.

— Idziesz pan?

— Nie wiém, idę, czy jadę, czy płynę; ale to wiém—zawołał Masłowski—iż mnie to bardzo bawi i pilno mi puścić się na awantury.

Skłonił się, Pepita podała mu znowu, zapomniawszy się rękę i zarumieniła się po pocałunku.

Masłowski biegł śpiewając po wschodach, gdy zwolna ciągnącego ku górze Simonisa spotkał.

— Dosyć że my we dwóch, musimy jak w kręglach kule spotykać się z sobą. Tym razem żegnam was kawalerze de Simonis, gdyż prawdopodobnie przez dni kilka nie będę miéć honoru.....

— A waćpan dokąd?

— Na spacer!—zawołał kłaniając się Masłowski—adieu!

Przybywszy do Fuchsowéj i swojego mieszkania, pan Ksawery mocno się zamyślił jak ma dokonać zamierzonéj podróży.

Gospodyni była już z tego powodu przywiązaną do młodego wartogłowa, iż dosyć wiele był jéj dłużnym.

— Kochana Fuchsowa!—rzekł zawoławszy jéj Masłowski—boli mnie to nieskończenie, ale muszę cię pożegnać! służba służbą: Brühl w obozie i mnie do niego potrzeba.

Ręce załamując rzuciła się ku niemu gosposia.—*Herr Jese!* to być nie może... ja pana nie puszczę... pan wiesz... ojciec mi waćpana oddał w opiekę.

— Daj ty mi pokój z opieką taką, kiedy koszule nawet nie pocerowane—odparł Masłowski—acani wiesz, że jak ja czego chcę, rozstąp się ziemio! musi być! Do Brühla się więc dostanę, ale powrócę zaraz; daję ci słowo, nie będę u niego siedział, jeźli mnie Prusacy nie powieszą! To od was zależy, pani Fuchsowa.

— Czyś waćpan oszalał?

— A tak jest, waćpani mi musisz dać kogóś, co mnie do Pirny zaprowadzi i odprowadzi nazad.

Strzepnęła rękami wdowa, poczęły się targi ostre; lecz koniec końców, ku wieczorowi ucichło i Masłowski przed zwierciadełkiem wąsy golił. Tych młodych wąsów, takich ślicznych żal mu było, aż się na płacz zbierało.

Z jego pokoju i do jego pokoju wynoszono coś ciągle i wnoszono. Szeptano, biegano, naradzano się, a o mroku już zaszedł przed dom wóz, na którym siedział stary niemiec i stara baba. Wpośrodku było coś takiego, jakby łoże podróżne dla chorego wysłane. Masłowskiego wcale nie było widać, tylko z pomocą dziewczyny, zwlokła się chora kobiéta, którą starannie położono i okryto. Fuchsowa stała we drzwiach zamyślona.

Wóz ruszył ku bramie do Pirny wiodącéj, ale wprzódy jeszcze zatrzymał się przed mieszkaniem komendanta Wylicha, w rynku i stary niemiec wszedł doń.

Nierychło jednak wrócił do wozu na którym baba siedziała, z dwoma żołnierzami. Ci obejrzeli chorą kobiétę leżącą, która głowę podniosła i zaraz na posłanie opadła, i jeden z nich towarzyszył przy wozie jadącym do Pirnajskiéj bramy. Szczęściem zdążyli jeszcze w porę, nim capstrzyk odbębniono i wrota zamknięto. Żołnierz z rozkazu komendanta rozkazał

przepuścić wóz i choć już mrok był znaczny, powlekli się powoli ku Pirnie. Na gościńcu, w dosyć znacznem oddaleniu od miasta stały porozstawiane pruskie czaty. Wszystkie przybiegały do wozu łając, krzycząc i wstrzymując, dopóki im woźnica kartki komendanta nie pokazał.

Nakoniec późno w noc, straże pruskie znikły; nowy gościniec był pusty, żywéj na nim duszy: nawet z małych domków nadedrogą ludzie pouciekali i te pustkami stały. Nadedniem już, ponieważ błoto, wiatr i konie chude pośpieszyć nie dozwalały, odezwało się „*werda*"? saskie.

Woźnica drgnął, a chora kobiéta porwała się z wozu tak, jak gdyby nigdy w życiu nie chorowała. Żołnierz stał na koniu z wykierowanym na jadących gardłaczem, lecz na bardzo wyrazistą z saskim akcentem odpowiedź woźnicy, wstrzymał się od nieprzyjaznych kroków. Chora kobiéta domagała się, aby ich do generała Rutowskiego lub ministra Brühla prowadzono. Ponieważ patrol właśnie do Pirnéj powracał, wóz żołnierzem otoczony, powlókł się daléj. Tylko chora kobiéta zupełnie się zmieniła i tak z żołnierzami rozprawiała raźnie jak najzdrowszy mężczyzna.

Był téżto w istocie pan Ksawery Masłowski, który tym dowcipnym sposobem, bardzo wygodnie i bezpiecznie dostał się już na teritoryum zostające pod opieką wojska saskiego.

O godzinie ósméj rano, gdy Brühl jeszcze w szlafroku nad papiérami siedział, niewiadomo czy odpowiedź króla pruskiego rozbierając, czy nowy list stylizując od Augusta III; oznajmiono mu, że paź jego Masłowski przybyły z Drezna, mówić z nim pragnie.

Brühl nie bardzo Masłowskiego lubił, więcéj instynktem jakimś niż z jakichbądź powodów. Nie miał w istocie przeciwko niemu nic, ale ile razy sobie w oczy spojrzeli, minister w nich coś takiego czytał co mu się nie podobało. Masłowski nadto był śmiały. Dlatego czyniąc wybór mających mu towarzyszyć w podróży, pana Ksawerego zostawił w Dreznie, nie przewidując jeszcze, iż wypadnie wprost z obozu udać się do Warszawy.

— Co waćpan tu robisz?—zawołał zdziwiony.

— Przynoszę W. ekscellencyi ukłon od pani hrabiny —rzekł spokojnie pan Ksawery—przybyłem z tém umyślnie.

— Kiedy? jak?

— W nocy, a jak to trudno nawet opowiedzieć, dosyć żem cały, dzięki Bogu!

— Masz waćpan pismo jakie?

— Niech Bóg uchowa: mam ustne polecenia.

Tu obejrzał się pan Masłowski i dał do zrozumienia, iż pragnąłby mówić na osobności.

Brühl wprowadził go do małego pokoiku zastawionego szkatułkami różnych wielkości. Zawierały one tabakierki, zégarki, klejnoty, pierścienie, które na wszelki wypadek minister zabrał był z sobą. Ciasne stosunkowo mieszkanie, wyciskało wielkiemu panu westchnienia i łzy niemal nad własnym losem. Nie miał więcej nad dwadzieścia peruk z sobą i tyleż sukien, nie było przy nim więcéj nad dwudziestu ludzi do osobistéj posługi. Upokorzony był i znękany. Codziennie na modlitwie upominał się choć z pokorą, ale z pewnym naciskiem u Pana Boga o nagrodę za te ciężkie prywacye, które znosić był zmuszony dla chwały Bożéj! Szczególniéj w obozie pod Pirną, Brühl nadzwyczaj był skruszonym i pobożnym. Widywano go po kilka razy na dzień klęczącym ze złożonemi rękami pod krzyżem. Masłowski zdał mu sprawę ze swego poselstwa, Brühl słuchał jéj namarszczony, niekiedy głową okazując nieukontentowanie i ździwienie, jak gdyby to wszystko uważał za widziadła imaginacyi; kilka razy wyrwało mu się:

— Ale gdzież zaś...

W ostatku jakby zapomniawszy się, że ze skromnym panem Masłowskim ma do czynienia, zawołał głośno:

— Co im się śni! Fryderyk wkrótce będzie musiał sam uciekać, gdy go zewsząd w kluby weźmiemy... tego banitę!

I ramionami ruszył.

Nie odprawiając Masłowskiego, posłał Brühl kartkę do generała Rutowskiego. Paź tymczasem poszedł spocząć z dawnymi towarzyszami, dopytującymi go ciekawie o Drezno.

Gdy Rutowski nadszedł, powołano go aby powtórzył z czém go generał Spörken wyprawił; słuchając téj powtórzonéj relacyi, Brühl dawał oznaki zniecierpliwienia.

— Jakto? pan generał to przyjmujesz za dobrą monetę? —zawołał.

— Za jak najlepszą, a w każdym razie daleko szacowniejszą niż fałszywe pieniądze, któremi Fryderyk nas zalewa —odparł z uśmiechem smutnym Rutowski.—Niestety, nim się Rzesza niemiecka zbierze, nim Francuzi wyciągną, nim wkroczą Rossyanie, nim Austryacy przyjdą... my padniemy ofiarą. Wojsko niema co jeść! W szpitalach w Pirnie leży półtora tysiąca chorych żołnierzy!

Brühl się zżymnął.

— Niema wojny bez ofiar—zawołał—to darmo!

— Lękam się właśnie, by ofiary nie były daremne—odparł Rutowski.

— Cóż więc robić?—gniewnie ale grzecznie spytał minister.

— Co najrychléj most dla przeprawy budować na Elbie i śpieszyć ku Peterswalde.

Brühl się skłonił.

— Nic nie mam przeciwko temu.

Rutowski jakby sobie coś przypomniał, zapytał Masłowskiego:

— Gdzie Fryderyk? w Dreznie....

— Był na wyjezdnem—odpowiedział paź.—Słyszałem też iż z Magdeburga Elbą dwieście pięćdziesiąt dział żelaznych, dla obsadzenia wałów i murów sprowadzić miano.

— Tém lepiéj—odezwał się minister—zostaną one dla nas.

Rutowski przeszedł się po pokoju i nie odpowiedział nic. Wyspowiadawszy się ze wszystkiego co miał, Masłowski, odszedł, dopraszając się tylko ażeby mógł co rychléj powrócić. Zbyto go niewyraźną odpowiedzią. Około dziesiątéj przysłał Brühl, ażeby paź szedł z nim do króla; Augusta III dowiedział się od Rutowskiego o jego przybyciu i sam go chciał o Drezno rozpytać.

Właśnie kapelan królewski odprawiał był mszę na przenośnym ołtarzu, w pokoju króla i sprzęt kapliczny wynoszono, a August III, tylko co był powstał z klęcznika, gdy Masłowski został wprowadzony.

Minister dał mu wprzódy dokładną instrukcyą co i jak miał mówić przed królem, oszczędzając niepotrzebnego zmartwienia. August popatrzał na wchodzącego i długo nie odzywał się nic wcale.

— Co się dzieje z teatrem?—spytał.

Brühl nie dał odpowiedzieć Masłowskiemu, skinął na niego groźno i sam począł:

— Właśnie oto powiada mi, iż całkiem fałszywie rozgłoszono, jakoby król pruski....

— Nazywaj go margrabią brandeburskim—przerwał król.

— Tak, N. Panie! margrabia brandeburski nie rozpuścił teatru i artystów, ale oni sami oświadczyli, iż przez miłość dla W. K. Mości, dla nikogo śpiewać i grać, przed nikim się popisywać nie chcą, dopóki król ich ubóstwiany do swéj stolicy nie wróci. Naprożno chciano ich zmuszać, próżno kuszono złotem: oparli się.

Król się uśmiechnął.

— *Bravi!*—zawołał—Bóg da, że im to nagrodzę; zobaczycie: powiedzcie im to.

— Dopiero w skutek tego oporu—dokończył Brühl—pensye im odjęto.

— Każę im zaliczyć to wszystko...

— A hr. Loss, a ministerium nasze?—dodał król.

Masłowski nie miał czasu odezwać się, gdy minister rzekł żywo:

— Wszystko funkcyonuje, w jak największym porządku: nie ośmielono się ich tknąć.

Król odchrząknął.

— Cóż się dzieje z galeryą? był w galeryi Fryderyk?

Na to pytanie Brühl nie umiał odpowiedzieć, ale nie sądził ażeby niebezpieczeństwem groziło, danie swobody Masłowskiemu.

— N. Panie!—odezwał się paź—wiem że król, a raczéj margrabia brandeburski, kazał sobie galeryą otworzyć Heineckenowi.

August wstał trochę przelękły.

— Nic nie zginęło!—zawołał.

— Nic nie tknięto, nic....

— Bogu i świętym patronom niech będą dzięki!—westchnął August.

— A cóż mówił? co mówił?

— Heinecken powiada, że admirował bardzo.

— Jednak admirował, a nie wiesz co najbardziéj?

— Magdalenę Battoniego [1]).

Rozpromienioną twarz, dziwnie uśmiechniętą podnósł król do góry.

— Nie przeczę, piękna jest, ale do Corregia!!....

Nie dokończył, z politowaniem się uśmiechając ciągle...

— Znawca! znawca!—rzekł szydersko—Madonna Syxtyńska nic... Tycyan nic... Weronese nic... tylko Battoni. Margrabia brandeburski!!....

— Samo nazwisko malarza, przypominające kij—odezwał się Brühl,—musiało mu sympatyą margrabiego pozyskać.

Usłyszawszy to król zaniósł się od śmiechu, ale wnet jak przestraszony tym wybuchem, usta sobie zatulił—i rzekł—pst!—grożąc Brühlowi.

Zaczął potém August pytać o królowę, o dzieci młodsze, o kościół, o ks. Guaryniego, i naostatku o panią Brühlowę.

Masłowki zapewnił że wszyscy byli zdrowi; spytano czy parku około pałacu Moszyńskich nie uszkodzono i o tém podobne fraszki.

Masłowski o mało się nie wygadał o działach jadących z Magdeburga, ale Brühl czémś inném mu przerwał. O piecach wystawionych nad Elbą dla wypieku chleba żołnierzy, król już wiedział, lękał się o zwierzyniec swój i o bażantarnie. Paź upewnił iż dotąd były nietknięte. Nastąpiła kwestya o ogary myśliwskie, o które się August domagał, aby mu je tu w jakikolwiek sposób przysłać się starano.

— Co ja bez nich poczne! ja jestem najnieszczęśliwszy —zawołał—póki ich miéć nie będę.

— Gdybyś W. K. Mość chwilowo, dla sejmu przeniósł się do Warszawy,—wtrącił Brühl—tambyśmy znaleźli psiarnię.

— Jaką psiarnię!—westchnął August.—Fleta, Akteona, Lutni, Sezostrysa tam miéć nie będę!

Brühl chcąc smutek ten rozerwać, z pogardą odezwał się o charcikach margrabi; ale to króla nie rozweseliło.

[1]) Historyczne.

— Mylistwo warszawskie — dodał N. Pan — nie wiele warte zapewne, lepsze niż nic; ale tam takich jak ja psów nie mają.

Minister zapewnił iż podobnych nie było w całéj Europie, i że książe Richelieu za łaskę się domagał parę szczeniąt dla króla Ludwika.

To nieco rozjaśniło czoło pańskie. Masłowski stał ciągle w progu, bo jeszcze rzucano mu jakieś pytanie, na które najczęściéj sam minister w imieniu jego fantazyjnie i niekoniecznie zgodnie z prawdą odpowiadał.

Długie to badanie skończyło się nareszcie, Masłowski przypuszczonym został do pocałowania ręki królewskiéj i odszedł. W godzinę potém Brühl go powołał do siebie i kazał mu oświadczyć w Dreznie, aby próbę tę od Boga zesłaną znoszono cierpliwie; że ona długo trwać nie może, a skończy się znamienitym tryumfem; iż wojska saskie wkrótce się z austryackiemi połączą i wygnają z kraju nieprzyjaciela: słowem, że wszystko szło zgodnie z planami jego, które musiały nieomylnie prowadzić Prusy do upadku, a Saksonią do potęgi i sławy!

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Korrespondencya Stanisława Augusta z panią Geoffrin, wydana z archiwów, przez p. Mony.—Nowe utwory poetyczne: poezye Armanda Sylwestre z przedmową p. Georges Sand.—Loeta-moesta (smutno-wesołe) p. Darasse.—Illusions p. Cosalis.—Dyonizya p. Andreani.—Poezye nowe p. Millien.—Grób Micheleta. —Teatr: Jan Bosy (Jean-nu-pied) dramat ozteroaktowy wierszem, p. Alberta Delpit.—Hanz Christian Andersen.

Mamy przed sobą nową i obszerną publikacyą z wielkiém wykonaną staraniem: mówimy o *Korrespondencyi Stanisława Augusta z panią Geoffrin*, obejmującéj sto sześćdziesiąt dziewięć listów, pisanych w ciągu lat trzynastu od roku 1764, to jest od wstąpienia na tron tegoż króla do roku 1777, do śmierci pani Geoffrin. Wydawca p. Karol de Mony, poprzedził te listy obszernym wstępem, o królu i jego korrespondentce.

Trudno nam wiedzieć kto dostarczył wydawcy materyałów: pan Mony utrzymuje, że ma od spadkobierców króla, nie wymieniając ich

bynajmniéj. Listy Stanisława Augusta drukowane są po większéj części z oryginałów, w części zaś z brulionów zachowanych w archiwum królewskiém. Na czele tomu wydawca pomieścił wizerunek króla, rytowany przez Rajon, z oryginalnego portretu będącego własnością księcia Stanisława Poniatowskiego, jednego z potomków po księciu podkomorzym.

Nie pojmujemy jakim sposobem p. Mony, który w notacie biograficznéj okazuje się gorliwym apologistą Stanisława Augusta, mógł wybrać taki portret, aby zalecić bohatéra swego czytelnikom! Na piérwszy rzut oka sądziliśmy, że to portret pani Geoffrin z lat jéj młodości. Wyobraźmy sobie ten upudrowany tupet, podniesiony w górę nad czołem, zawinięty w pukle przy skroniach; ten długi zwój włosów spadający na prawe ramię; ten bławatny *dezabil* objęty sobolami, tę białą dekoltowaną szyję ozdobioną massą pysznych brabanckich koronek: te wreszcie alabastrowe rączki ułożone z tak wyszukaną, z tak malowniczą gracyą, wypływające z pod szerokich koronkowych rękawów! Jakże tu starannie obmyślany układ każdego paluszka! Dla kobiéty nawet, ta wymuszona poza, byłaby nazbyt pretensyonalną, niegodną wyższego umysłu. Nie tak wyglądała poważna pani Geoffrin: zobaczymy to z ducha jéj listów. Podpis zamieszczony poniżéj portretu, wreszcie korona leżąca na stole, przekonały nas, że to portret Poniatowskiego. Gdyby opiekunowie wydawnictwa mieli na celu zadowolić przeciwników, nie mogliby lepiéj im usłużyć, jak pokazując bohatéra swego w postaci tak ckliwo-zniewieściałéj!

Pomijamy część ze wstępu dotyczącą osoby Stanisława Augusta. Są to w ogólności rzeczy znane, ubarwione tylko własnym poglądem wydawców. Wolimy raczéj zająć się panią Geoffrin. Piękna ta i sympatyczna postać zasługuje na bliższe poznanie.

Pani Geoffrin należy do najciekawczych osobistości XVIII wieku. Zyskała ona sławę nietylko w Paryżu, ale i w całéj Europie, lubo nie miała tych warunków, jakie zazwyczaj dają rozgłos. Urodzona w stanie mieszczańskim, córka kamerdynera Delfinowéj; wychowana przez babkę, kobiétę rozumną lecz bez naukowego wykształcenia, w piętnastym roku życia oddana w małżeństwo bogatemu fabrykantowi zwierciadeł, nie zalecająca się ani nadzwyczajną urodą, ani błyszczącym dowcipem, umiała jednak wyrobić sobie wysokie w świecie stanowisko. Przez długie lata salon jéj należał do najpiérwszych w stolicy. Cała inteligencya paryzka tłumnie garnęła się do jéj domu. Wielcy panowie kołatali w jéj gościnne progi, widząc w tém najwyższy dla siebie zaszczyt.

W poniedziałki pani Geoffrin przyjmowała najsłynniejszych artystów swego czasu; w środy otwierała salon uczonym i literatom. Fontenelle, Monteskiusz, Wolter, Marivaux, Diderot, d'Alembert, Helwecyusz, Grim, Marmontel, należeli do zwyczajnych jéj gości. Sławni cudzoziemcy jak Hume, Gibbon, Horacy Walpole, Algarotti, za przybyciem do Paryża, uważali jako piérwszy obowiązek przedstawić się

w jéj domu. Panie najarystokratyczniejszego świata, spotykały tu całą arystokracyę zasługi i talentu. Salon pani Geoffrin był piérwszém polem, na którém te dwie ówczesne potęgi zbliżyły się wzajem do siebie.

Niepospolita kobiéta, która umiała uczynić dom swój tak ponętnym, nie była bynajmniéj uczoną i nie miała do tego najmniejszéj pretensyi. Brak wysokiego ukształcenia naukowego zastępował w niéj zdrowy rozsądek: umiała żyć, umiała być szczęśliwą, miłą sobie i drugim. Żyjąc ciągle w pośród literatów i artystów, ludzi zazwyczaj drażliwych; potrafiła utrzymać między nimi najdoskonalszą harmonią. W ciągu lat pięćdziesięciu z górą, dom jéj nie był świadkiem najmniejszego skandalu.

Pełna prostoty unikała starannie wszelkich hołdów, nie chciała nigdy panować w swym salonie, najchętniéj oddawała berło drugim; dosyć było dla niej pozyskać szacunek i życzliwość gości swoich. Wszelka przesada raziła ją w szczególny sposób, nie cierpiała zarówno dziwacznych strojów, jak mowy napuszystéj. Ubrana zawsze w ciemną suknię, w skromny czepeczek zawiązany pod brodą, chciała wyglądać starszą niż była rzeczywiście. Obejście jéj ze wszystkiemi miało w sobie cóś prawdziwie macierzyńskiego; atmosfera jéj domu tchnęła powagą i spokojem.

Szczególnego potrzeba było taktu, aby w czasach takiego poruszenia umysłów, zachować w salonie własnym taką harmonią, taką doskonałą równowagę. Umiała to jednak pani Geoffrin. Jeżeli rozmowa przybierała czasem ton gwałtowniejszy, jedném słowem przywracała ją do porządku. Grimm w korrespondencyi swojéj żartuje z niéj w sposób niezłośliwy: „Matka Geoffrin, pisze on, odnowiła na ten rok dawny program: nie wolno będzie w jéj salonie mówić ani o sprawach zewnętrznych, ani wewnętrznych, ani o sprawach dworu, ani miasta, ani o sprawach Północy, ani Południa, ani Wschodu, ani Zachodu, ani o polityce, ani o finansach, ani o pokoju, ani o wojnie, ani o religii, ani o rządzie, ani o teologii, ani o metafizyce, ani o gramatyce, ani o muzyce: słowem o żadnéj materyi."

O wszystkiém jednak mówiono w salonie pani Geoffrin, ale mówiono z umiarkowaniem. Niecierpiała głów zapalonych i wyłączała je ze swego towarzystwa, aby nie mącić spokojności.

Nie tolerowała obmowy ani plotek, z ust jéj nie wyszło nigdy złośliwe słowo, a jednak wesołym humorem ożywiała wszystko w około siebie. „Młode panie z wielkiego świata przybiegają do mnie całą chmarą, aby się rozweselić, pisze w jednym z listów, zapraszają się do mnie na wieczerzę. Ja prawię im kazania, a one zanoszą się od śmiechu. Łaję czasami ostro, że nie umieją spożytkować młodych lat, aby zapewnić sobie rzeźką i wesołą starość, taką jak moja!"

Rzecz godna zastanowienia, że kobiéta, która przeżyła lat tyle w towarzystwie filozofów i encyklopedystów; zachowała przecież uczucia religijne w jakich ją wychowano. Przez cały ciąg życia okazywała

się zawsze gorliwą chrześcijanką. Miała spowiednika kapucyna, w każdą niedzielę widywano ją na mszy; nie jednego z przyjaciół na łożu śmierci pojednała z kościołem. Im bardziéj zachodziła w lata, tém pobożniejszy myśl jéj przybierała kierunek. Opowiadają z jak wielkiém skupieniem obchodziła na rok przed śmiercią jubileusz w 1776 r.

Główną jéj cnotą była dobroczynność, pełna prostoty rozsiewała hojną ręką dary swoje, nie szukając rozgłosu, unikając wszelkich przechwałek. Biograf jéj Morelet opowiada, jak odwiedzając ubogich przyjaciół śledziła pilném okiem czego im w domu niedostaje. Tu brakło zegara, tam biórka lub wygodnego fotelu. Spostrzegała to odrazu pani Geoffrin i dopóty nie była spokojną, jak gdyby dług ciężył jéj na sumieniu, dopóki nie wymyśliła w jaki sposób przyjść w pomoc przyjaciołom bez obrażenia ich godności. Wielu uczonych pobierało z rąk jéj roczną pensyą, zapewniającą im uczciwe utrzymanie. Miłosierna dla nędzy ludzkiéj, hojną ręką rozsiewała jałmużny. Jeden z przyjaciół opowiada, jak razu jednego zszedł ją znienacka w niedzielę; w dniu tym jéj dom zamknięty był dla wszystkich. Sama w pokoju zawiązywała w woreczki, mniejsze lub większe kwotki pieniężne: na każdym kładła napis oznaczający dla kogo jest przeznaczona. Było to w dniu świątecznym, zwyczajne jéj zajęcie. „Ta samotność niedzielna, dodaje przyjaciel, milszą dla niéj, niż gwar poniedziałkowy lub środowy."

Kiedy uczony Mairon, umierając zapisał jéj znaczny majątek, dopóty nie mogła się uspokoić, dopóki nie rozdzieliła całego spadku pomiędzy przyjaciół, krewnych i domowników zmarłego. „Chwała Bogu!—zawołała oddając resztę legatu—pieniądze te ciężyć mi już nie będą!"

O ile hojną była sama, o tyle nie lubiła przyjmować nic od drugich. Gniewała się, kiedy przyjaciele odpłacali dary jéj wzajemnym datkiem. Zmuszona przyjąć upominki dwóch panujących dworów, czuła się nadzwyczaj upokorzoną. „Wspaniałe to dary—mówiła—godne tych co mi je ofiarują, lecz mnie nie przydadzą się na nic. Futra nigdy w życiu nie nosiłam; porcelany takiéj używać téż nie będę. Jestem jak ta kura Lafontaina, która znalazła perłę i nie wié co z nią zrobić!"

Z tych wszystkich rysów charakterystycznych widzimy, że pani Geoffrin wyższą była prawdziwie kobiétą. Taką to przyjaciołkę znalazł Stanisław August przy piérwszém na świat wystąpieniu. Nie możnażby i do niego zastosować owéj lafontenowskiéj bajki?

Znajomość ta datowała się już od lat jedenastu, kiedy Stanisław August został królem. W roku 1753, hrabia Poniatowski zięć księcia Czartoryskiego, przybywszy do Paryża przedstawił jéj dwudziestopięcioletniego syna i przy odjeździe polecił go szczególnym jéj względom. Pani Geoffrin, poważna już wówczas matrona, przyjęła młodzieńca łaskawie; pragnąc odpowiedzieć położonemu w niéj zaufaniu, otoczyła go macierzyńską opieką, zwała go synem swoim, płaciła na-

wet jego długi. Młody podróżny po pięciomiesięcznym pobycie, wyjechał z Paryża, dokąd nie miał już nigdy powrócić; wdzięczny przybranéj matce za opiekę i prawdziwą życzliwość, utrzymywał z nią odtąd stałą korrespondencyę.

Listy pisane przed obiorem Stanisława Augusta na króla, musiały zaginąć, wcale bowiem nie znajdują się w zbiorze. Piérwszy z wydanych nosi datę 9 września 1764 roku. Znać król wysoko szanował poważną przyjaciołkę, skoro we dwa dni po elekcyi znalazł czas na skreślenie długiego listu; szło mu téż zapewne o zjednanie sobie sympatyi dworu wersalskiego, który niechętném okiem poglądał na ten obiór.

„Droga mamo! pisze król, przyjemniéj mi niż kiedykolwiek nazwać cię od onegdaj tém imieniem. W całéj historyi naszéj nie ma przykładu tak spokojnéj, a zarazem tak jednomyślnéj elekcyi!

„Spokojność w tém licznem zgromadzeniu panowała tak wielka, że pierwsze panie królestwa obecne były na polu elekcyjném, w pośród zbrojnych oddziałów szlachty. Miałem to prawdziwe zadowolenie, że usta wszystkich kobiét, również jak wszystkich mężczyzn mego narodu, obecnych na elekcyi, wykrzyknęły zgodnie imię moje. Prymas mijając ich karety, zapytał grzecznie kogo pragną mieć królem? Czemuż nie byłaś tam mamo! byłabyś wymieniła twego syna.“

Pani Geoffrin odpowiada z uniesieniem: „Drogi mój synu! drogi mój królu! drogi mój Stanisławie Auguście! Wyobraź sobie jeżeli możesz moją radość, po otrzymaniu twego listu! Ujrzałam w tobie naszego Henryka IV, ja sama mniemałam się być Sullym!

„Dobry Henryk postępował z przyjaciołmi jak ty ze mną. Prawda! jam godna zachować całe życie, to słodkie i nieocenione imię matki twojéj! płakałam z radości, czytając szczegóły twego obioru. Niestety, czemuż mnie tam nie było? Wołałażbym na głos: mój syn! mój syn! a potém umarłabym z radości.

„Serce moje wyrywa się do ciebie i ja radabym wybiedz za niém. Słuchaj drogi mój synu! jeśli będziesz tak wielkim królem, jak ja spodziewam się i pragnę, czemużbym nie miała przyjrzeć się tobie, jakby nowemu Salomonowi! Niema w tém niepodobieństwa.“

Widzimy w tych słowach pierwszą myśl podróży do Warszawy, myśl urzeczywistnioną w lat dwa późniéj.

Pani Geoffrin spokojna zwykle i nie skora do uniesień kreśli gorące słowa, gdyż się czuje do głębi serca poruszoną. Mogłoż być inaczéj? On piękny młodzian, którego zwała synem, któremu dała poznać całą intelligencyą paryzką, którego łajała nieraz jak matka i kochała jak matka, młodzian ten błysnął jéj przed oczyma odziany purpurą, w pełni królewskiego majestatu! Młodzian ten acz w koronie zwał ją jak dawniéj mamą, używał jéj doświadczonéj rady! Jakże serce jéj uderzyło, kiedy w drugim liście Stanisława Augusta znalazła taki ustęp:

„Ponieważ przystoi wszystkim wstępującym na tron monarchom odnawiać dawne traktaty, zaczynam od upoważnienia cię mamo, w sposób najautentyczniejszy, najuroczystszy, najwyraźniejszy, abyś mi jak dawniéj udzielała rad szczerych, nie krępowanych żadnym dworskim względem, abyś mnie bez ogródki napominała, skoro znajdziesz po temu powód, i objaśniała mnie o wszystkiém cokolwiek świat mi zarzuci. Zastrzegam sobie prawo usprawiedliwienia, gdy słuszność będzie przy mnie. Zanadto cię wysoko poważam, abym nie chciał okazać się niewinnym w twych oczach. Zastrzegam i to, że nie zawsze będę mógł trzymać się ściśle rady twojej, niepodobna bowiem abyś w tak wielkiém oddaleniu mogła znać wszystkie okoliczności. Niech cię to jednak nie wstrzymuje od przesyłania mi twych uwag, wiem że będą mądre i pożyteczne.“

Piękna to chwila uniesienia z obu stron, przypuściwszy nawet że Stanisław August mógł miéć osobiste widoki, w utrzymaniu przyjacielskich stosunków z kobietą zajmującą tak wysokie w świecie stanowisko, przyznać jednak musimy że i uczucie wdzięczności przetrwało w jego sercu.

Zaczyna się więc stała korrespondencya, obie strony przyrzekają zamieniać listy, co najmniéj raz w miesiąc. Pani Geoffrin postanawia pisać zawsze o ile można pod datą dnia 7, droga to data w jéj życiu: 7 września ukochany syn jéj został królem.

Le style c'est l'homme! mówi francuzkie przysłowie. Pani Geoffrin pisze po prostu, wylewa myśl na papier z całą swobodą, nie szukając sztucznych frazesów. Jeżeli słowa jéj czytamy dziś z zimną krwią, zdają nam się niekiedy przesadzone; pamiętajmy że je kreśliła pod wpływem uczuć, których my po stu latach podzielać nie możemy. Listy jéj pisane dorywczo, zapewne bez brulionu; świadczą o tém poprawki jakie widzimy w dołączonym *fac similu*, świadczy brak punktacyi, świadczą małe litery zaczynające peryod, a wielkie umieszczone nieraz tam gdzie być nie powinny. Nie szukać tu ścisłości gramatycznéj, tém mniéj ortografii. Błędy ortograficzne usunął wydawca, jak sam przyznaje, błędów składni usuwać nie chciał, aby nie naruszyć wierności oryginału. Inny zupełnie styl Poniatowskiego. Tu prawa gramatyki najściśléj zachowane, każdy peryod bacznie obmyślany. Układ słów i frazesów, niemniéj sztuczny i elegancki, jak układ paluszków na portrecie. Bruliony pozostałe w archiwach królewskich, z których część korrespondencyi wydana, tak mazane i przekreślane, że wydawcą jak mówi sam, wielką miał nieraz trudność, w dokładném ich odczytaniu.

W pierwszych zaraz listach króla widoczną jest chęć korzystania z wpływu przyjaciółki na umysły francuzów. Długo i szeroko rozpisuje się nad koniecznością ograniczenia władzy hetmańskiéj w Polsce. „Nudzę cię temi szczegółami, dodaje w końcu, ale mama i przewodniczka, musi miéć ucho powolne na dyskussye, a potém, u was we Francyi, lubią wielkiego hetmana (Klemensa Branickiego), widzą

w nim wielkiego człowieka. Radbym abyś poznała go do gruntu i wpłynęła na sprostowanie błędnych pojęć. Niechaj dwór wasz, konsekwentnym będzie sam z sobą. Jeżeli kraj mój, drogi Francuzom, jak to mówić w zwyczaju u was, niechże mi pomagają, a nie stają mi w poprzek drogi."

Inny list także jeden z pierwszych, zapełniony cały innego rodzaju sprawą, do której król niemniéj wielką przywiązuje wagę. Zobaczmy o co chodzi.

„Sprawię ci nowy kłopot, droga mamo! Wynaleź mi lub obstaluj dwa pojazdy. Jeden *vis à vis* piękny, błyszczący, lekki. A niechaj nie ma wady dzisiejszych pojazdów francuzkich, u których kozioł dla stangreta, nie dość oddalony od przedniéj szyby. Druga poczwórna kareta, ma być wygodna, przeznaczona do dalekich podróży. Chciałbym mieć w niéj mnóstwo skrzyneczek i kryjówek, dla pomieszczenia tysiąca drobnych rzeczy, jakie w drodze przyjemnie znaleźć pod ręką, zamierzam bowiem przejeżdżać się tu i owdzie po kraju. Nie trzeba wiele złotych ozdób do takiego pojazdu, a jednak wypada uzłocić go trochę, aby znać było że to kareta królewska. Każ położyć herb na niéj. Jeśli potrzeba wzoru, poślę go wkrótce, ale wszak znany we Francyi herb *króla Lotaryńskiego*. Należy tylko wymalować na tarczy, zamiast *głowy wołowéj*, (tête de boeuf) młodego ciołka, w całéj postaci, czerwonego na srebrném polu [1]).

N. B. Radbym mieć tak pomieszczone latarnie, aby można czytać przy nich w karecie podróżnéj. Na wierzchu niech będą pudła i wasze, ale niech powóz służy zarazem do przejeżdżania się po mieście, kiedy mi przyjdzie fantazya. Oba pojazdy mają być wybite materyą żółtą, w odcieniu jasnym i wesołym, i jak najpiękniéj werniksowane."

Po tém poleceniu następują inne. Król żąda co chwila czegoś nowego, to obrazów Bonchera i Viena, to spisu diamentów po zmarłéj markizie de Pompadour, to rzeźbionych posągów i popiersi, to kosztownych sprzętów do ozdoby gabinetu swego. Pani Geoffrin z wysokim taktem daje od czasu do czasu zdrową radę. „Nie życzę ci, pisze w jednym liście, zamawiać nowych obstalunków, póki dawne zapłacone nie będą." W innym posyłając popiersie Henryka IV, upomina w delikatny sposób „masz z nim nie jedno podobieństwo, mówię ci tylko nawiasem, że on bardzo był oszczędny." W innym znowu dodaje: „Skoro zaczniesz praktykować moje zasady co do oszczędności, poznasz jak ona zbawienną jest dla serca, dla duszy, nawet dla ciała. Kiedy umysł spokojny, wtedy i siły krzepkie."

O Stanisławie Leszczyńskim, mało wzmianki w tych listach. Ośmdziesięcioletni przeszło, ociemniały starzec, siedział spokojnie w Lunewillu, dobiegając kresu życia, długą kołatanego burzą. Rychła

[1]) Czemu, pytamy, król nie nazywa rzeczy po imieniu? Leszczyński, jak wiadomo, miał w herbie żubrzą a nie wołową głowę.

śmierć jego, zdawała się być nieuchronnym i bliskim wypadkiem. W przewidywaniu téj chwili, jeden z najznakomitszych kaznodziejów tego czasu, prosił panią Geoffrin, aby otrzymała od Stanisława Augusta dokumenta tyczące się przodków Leszczyńskiego, dwukrotnéj elekcyi, oraz szczegóły z lat które przeżył w Polsce. Stanisław August uczynił żądaniu, wysłał natychmiast wypisy z aktów urzędowych, dołączył rozmaite wspomnienia zasłyszane z ust ojca, ściśle złączonego z Leszczyńskim. Owe dokumenta, żądane zbyt wcześnie, gdyż stary król żył jeszcze rok cały, i byłby może przeżył kaznodzieję swego, gdyby nie wiadomy pożar: owe dokumenta, nie wydrukowane wcale w korrespondencyi. Szczerze tego żałujemy, gdyż byłby ciekawy dla nas sąd Poniatowskiego o ukoronowanym swoim poprzedniku.

Pani Geoffrin, korzystając z danego jéj przywileju, wglądania w sprawy królewskie, nalega aby niezwłocznie się ożenił. „Drogi mój synu! pomówmy o małżeństwie, pisze w jednym z piérwszych swych listów. Przyślij mi obszerną rozprawę w tym przedmiocie. Ponieważ nie możesz zawrzeć związków bez mego pozwolenia, musisz mi z całém zaufaniem powierzyć twe zamiary."

Król odpowiada na to w sposób dziwnie tajemniczy i zagadkowy. „Pięćset mil (lieux) dzieli nas, droga mamo! jestem królem a i któż mi poręczy nietykalność listu mego, jakkolwiek sądzę że bezpieczną posyłam go drogą? O! czemuż nie mogę cię widzieć! powiedziałbym z całą ufnością, co myślę w tym przedmiocie! W każdym razie, przyślij mi twoje rady, te przecież nie zobowiązują do niczego, chociażby nawet list zaginął, a mogą być prawdziwie pożyteczne."

Nie sądźmy jednak, aby król myślał wtedy o małżeńskich związkach. Wkrótce potém nakreślił te słowa: „Zdaje mnie się nieraz żem poślubił Xantypę! muszę uzbroić się w niemałą cierpliwość i wielkiéj użyć zręczności, abym potrafił kiedyś przyjść do ładu z moją rzeczpospolitą!"

„I czemuż nie mogę cię widzieć droga mamo!" powtarza król w każdym nieomal liście. Pani Geoffrin na seryo bierze te słowa, układa w myśli podróż do Warszawy. Czuje ona, że aby utrzymać się na stanowisku Sullego, potrzeba koniecznie zobaczyć Henryka IV w jego domu, odetchnąć otaczającą go atmosferą. „Ścieżka przyjaźni zarośnie trawą, jeśli jéj nie udepczesz," słusznie mówi przysłowie. Pisze zatém do króla, oznajmia mu swój zamiar, zasięga stanowczo jego rady. Przytaczamy ten list, charakteryzujący wybornie tę niepospolitą kobiétę.

„Drogi mój synu! muszę pomówić z tobą rozsądnie, o podróży mojéj do Polski. Powzięłam ten zamiar, pragnę go wykonać, a wykonanie to nie jest w oczach moich zbyt trudném. Najprzód zdrowie moje wyborne, powtóre, nie jestem bojaźliwą, ani wymyślną jak wiele innych kobiét; potrzecie, urządziłam się w taki sposób, że ten wydatek nie będzie mi wcale uciążliwym; poczwarte, a co najważniejsza, czuję że nie podobnaby mi było, utrzymać z tobą dalszego stosunku, gdyby pojęcia moje o twoim umyśle, o doniosłości poglądów twoich, nie mia-

ły już być odnowione. Co więcéj, lata i okoliczności, mogły wpłynąć na zmianę twego charakteru. Twoje serce jak myślę, zawsze toż samo, widzę z tkliwéj przyjaźni, jaką mi stale okazujesz; ale to uczucie osłabnie mimowoli, z powodu że czas zaciera najściślejsze związki, stosunek nasz stanie się oschlym, kiedy to wszystko co ci powiem, nie będzie w harmonii z tém co czujesz, co cię bezustannie otacza.

„Z mojej zaś strony, odkąd uczuję że się na nic nie przydam, nie będę chciała klektać ci nad głową daremno. Dziś jeszcze umiem z całym taktem, obliczyć wpływ jaki wywieram na serca i umysły bliskich mi osób. Nie zerwałam z tobą królu, bo ogarniam cię jeszcze myślą i pamięcią, lecz to, powtarzam, osłabnąć musi.

„Niechże Wasza Królewska Mość odpowie mi z całą otwartością na zapytanie moje. Kiedy mówię z całą otwartością, niechże to będzie tak, jakbyś mówił panie, sam do siebie, zamknięty w gabinecie twoim. Nie obrażą mnie trudności, jakie możesz mi stawiać, bo znasz je lepiéj odemnie, a pozwól mi powiedzieć, że serce moje stokroćby więcéj cierpiało, gdybyś mnie narażał na podróż, która nie mogłaby mi dać całéj przyjemności i słodyczy jakich mam prawo wymagać od przyjaźni twojéj. Nie żądam nic ze strony próżności, *incognito* odpowiada mi najlepiéj. Mały pokoik, w którym zechcesz mi poświęcić niekiedy chwilę wolną. To wszystko czego żądam. Zostanę dwa lub trzy miesiące w Warszawie, a potém wrócę owiana wonnością twych balsamów, jak oblubienica z pieśni nad pieśniami. Kiedy powiesz mi drogi synu, jak uważasz ten zamiar, doniosę ci wtedy, w jaki sposób myślę go uskutecznić; ale powtarzam raz jeszcze, potrzeba abyś z całą prawdą, jaka powinna mieścić się w sercu królów, wyraził mi co myślisz i przewidujesz. Nie powiem ci królu że spełniam wielką ofiarę opuszczając mój dom, nie godzi się zwać ofiarą tego, co czynimy dla ukochanych. Powiem po prostu: jestto mały datek, poświęcony przyjaźni, ale niechajże ten datek miłym będzie, nietylko temu komu uczyniony, ale i otaczającym go osobom, a otoczenie twoje królu bardzo liczne i różnorodne. Widzę to ztąd, nie chcę jednak przesądzać jak przyjętą zostanę. Otwartości! otwartości! otwartości.“

Król odpisuje na to: „Oto odpowiedź moja podyktowana szczerém uczuciem i zupełną otwartością:

„Będziesz mieszkała mamo w zamku moim, na jedném ze mną piętrze, kilka pokoi zaledwie nas oddzieli. Obiad i wieczerzę będziesz jadła u siebie kiedy zechcesz, lub ze mną kiedy będę wolny od urzędowych reprezentacyi. Znajdziesz powóz gotowy na rozkazy twoje. Widywać będziesz tych tylko, których widzieć zapragniesz; poznanie z tobą stanie się dla każdego zaszczytném i łaską najwyższą. Będziesz wolną raz na zawsze od wszelkich publicznych wystąpień. Skoro się dowiem jaką obrałaś drogę: na Wiedeń, na Drezno, czy na Berlin, wyprawię naprzeciw ciebie zaufanego człowieka, znającego język francuzki, niemiecki i polski, aby czuwał nad tobą i doprowadził cię szczęśliwie do Warszawy, gdzie czekam cię z żywém upragnieniem.

A więc nie lękaj się żadnych trudności, przybywaj, błagam cię o to. Sprawisz mi przyjemność, bardzo wielką przyjemność.

„Rzecz niewątpliwa, że w położeniu twojém, ta podróż podjęta aby mnie widzieć, jest nadzwyczaj drogą dla mnie ofiarą; wierz mi, że znam całą jéj wartość i na jéj miarę oceniam twoje dla mnie uczucia. Słuszną czynisz uwagę, że aby osądzić się sprawiedliwie, po dwónastoletniém rozłączeniu i po tak wielkich zmianach, potrzeba się widzieć na nowo. A więc przybywaj mamo, zobaczysz mnie jakim jestem *à jour*, pragnę tego, bo znając cię, wiem że nie przyjedziesz dla pochlebstwa ani próżnéj rozrywki. Twoja podróż powinna stać się dla mnie o tyle pożyteczną, o ile mi będzie przyjemną. Co do mego otoczenia, niema tu nikogo (zaręczam to uroczyście), ktoby miał sprawić ci najmniejszą przykrość. Zobaczysz w braciach moich, ludzi bardzo uczciwych, bardzo prawych i szczerze przywiązanych do mnie z zasady i wrodzonéj skłonności. Moi starzy wujowie, czekają cię z równém jak ja upragnieniem. Wszystkie młode kobiéty mego dworu otoczą cię szczerą życzliwością, zapewnić mogę, żyć będziesz w szczupłém lecz wyborowém kółku. Co do mnie zastrzegam sobie codzień kilka chwil (a te chwile będą niekiedy godzinami), w których wypowiemy sobie nawzajem naszą myśl o ludziach i rzeczach.

„Żegnam cię mamo, powtarzam ci raz jeszcze najszczerzéj, najotwarciéj, odkładając na bok wszelkie komplementa, pragnę cię tu widzieć i przewiduję tylko radość z twego przybycia.“

Po takim liście, pani Geoffrin nie waha się dłużéj. Wielka to była odwaga z jéj strony, przedsiębrać tak daleką i uciążliwą w te czasy podróż. Miała już lat sześćdziesiąt siedm, życie całe spędziła w wygodnym domu, przy ulicy St. Honoré, zkąd nie oddalała się nigdy, nawet za rogatki Paryża. Względy te wcale jéj nie zrażają. Zamawia podróżną karetę, urządza interesa, gotuje się skrzętnie do drogi. Nagle na pogodnym dotąd widnokręgu powstaje piérwsza chmurka. Gorliwa opiekunka dowiaduje się, że ten którego zowie synem, wyprawia bez jéj wiedzy ajentów do rządu francuzkiego, aby działali w jego sprawie. Obrażona, wybucha gniewem. Stanisław August uniewinnia się jak może, usuwa podejrzenia, zwala winę na nieproszonych pośredników, nalega coraz silniéj o przyjazd. Pani Geoffrin pomimo przezorności, wierzy, bo serce jéj wierzyć pragnie.

Zamiar podróży zaniechany chwilowo, ma się niebawem urzeczywistnić. Przyjaciele nie wiedzą o tém, próżnoby jéj kłopotali głowę, przedstawiając trudności, niepodobne do wykonania. Dziwią się tylko, widząc niezwykły ruch w domu, patrząc na ciągłe jéj przejażdżki.

„Jestem w téj chwili mój synu—pisze do króla—jak te drobne ptaszyny, co próbują skrzydełek. Od dziesięciu lat, ani razu nie nocowałam za domem, a tymczasem od miesiąca, przejechałam do stu mil, odwiedzając znajomych o dziesięć lub piętnaście mil od Paryża. Moi przyjaciele, zdziwieni temi wycieczkami zaczynają coś bąkać, że

się zaprawiam do dalekiéj podróży. Odpowiadam im: „Kto wié, nie widzę w tém niepodobieństwa.“

Przezorna kobieta obmyśliła naprzód cały program. Podróż miała trwać sześć tygodni, licząc w to krótkie przestanki po wielkich miastach. Postanowiła jechać na Frankfurt i na Wiedeń. Złe drogi tak powszechne w tych czasach, wcale jéj nie ustraszały. „Skoro inni przejechać mogli, czemużbym i ja nie miała“ powtarzała do siebie. Bała się tylko zabłądzić w wielkich lasach pomiędzy Frankfurtem a Lipskiem.

Przedstawiono jéj że droga na Berlin najkrótsza; nie chciała słuchać o niéj. „Drogi mój synu, pisze w tym przedmiocie do króla, nie mam najmniejszéj ochoty widzieć króla pruskiego. Człowiek to rzadki w oczach moich, ale nie nazwę go ani wielkim człowiekiem, ani też człowiekiem cnotliwym. Ma rozum, ma wyższe zdolności umysłowe, ale nie ma ani uczucia w sercu, ani cnotliwych zasad w duszy. Zdolność i powodzenie dają rozgłos, ale tylko cnota, prawdziwą daje chwałę. Za lat pięćdziesiąt, nikt już nie będzie mówił o królu pruskim.(!!!) Wygrywał bitwy, ale gdzie są czyny jego naznaczone ludzkością, sprawiedliwością, wywołane pobudką szlachetną i wspaniałomyślną? Miałże kiedy przyjaciół? Uszczęśliwiłże ludy? Bynajmniéj; tego mi niepokażesz. Co więcéj, skłonny do niskiéj zawiści jak człowiek upośledzony umysłowo; a przecież to człowiek niepośledni, i czegóż ma drugim zazdrościć? Ma pretensyę do wielkiego rozumu, jakby jaki zarozumiały nieuk, a przecież niezbywa mu na rozumie. Chciałby być poetą i królem. Jest królem, a żyje jak dziwak; z zasady chce udawać dzikiego. Nie zna uroku wyborowego towarzystwa; nie wie co to urok przyjaźni. Królem jest bez godności, słowem nie ma żadnéj cnoty, ale mnóstwo wad; kryje się sam, by je ukryć przed światem. Postać jego szpetna, nie budzi we mnie żadnéj ciekawości; nie pragnę też zajrzeć do jego duszy ani serca. Powtarzam ci mój synu, nie chcę go wcale widzieć! Kiedy go postawię przy tobie, myślę w duchu, jakaż to różnica! Przysięgam ci, że nie miałabym wcale ochoty, nazwać się jego mamą!“

Nadeszła wiosna r. 1766. Dwór wersalski wreszcie, uznał królem Stanisława Augusta. Szambelan Łojko przywiózł do dworu list królewski. Miał niebawem odjechać, pani Geoffrin odbyła z nim podróż do Wiednia. Tu zatrzymała się, aby nabrać sił do dalszéj drogi: spoczynek ten więcéj ją utrudził, niżeli sama podróż. Zobaczmy jak opisuje pobyt w Wiedniu, w liście do jednego z paryzkich przyjaciół.

„Drzwi mego pokoju nie zamykają się na chwilę. Tłumy paziów i kamerdynerów, przynoszą mi bezustanku listy powitalne, zaprosiny na obiady, wieczerze i t. p. Od godziny jedenastéj, ambasadorowie różnych dworów, i wielcy panowie których niegdyś przyjmowałam w domu moim, przybywają z hołdami; czuję się prawdziwie przygnębiona. Książe Kaunitz wielki kanclerz, zaprasza mnie co dnia na wieczerzę, okazuje mi najwyższe względy; wszyscy dziwią się temu,

a ja więcéj niż drudzy. Raz rzekłam do niego: „królowa Trebizondy, nie doznałaby tu świetniejszego przyjęcia.“ „Nie ma w świecie osoby, odrzekł książe, godniejszéj nad panią poszanowania i czci naszéj.“

„Nazajutrz po przyjeździe moim, ciągnie daléj, księżna Kińska zawiozła mnie w miejsce, podobne do naszych Pól Elizejskich. Cesarz był tam z jedną z arcyksiężniczek. Ledwie że się powozy nasze minęły, zawołano: „cesarz powraca!“ Wychyliłam głowę przez okno, aby go lepiéj widzieć. Powozy stanęły. Cesarz wyskoczył spiesznie, zbliżył się do naszéj karety; po uprzejmém powitaniu, rzekł do mnie, iż zmuszony tejże nocy wyjechać do obozu, pragnął mnie poznać najspieszniéj. Dodał potém „jak szczęśliwy król Polski, że znalazł taką przyjaciołkę!“ Zawstydzona byłam tém wszystkiem, nigdy w życiu nie czułam się tak głupią jak w téj chwili. „Czyż podobna, zagadnęłam nakoniec, aby Wasza Cesarska Mość, wiedzieć mogła że ja istnieję na świecie?“ A on na to: „Znam panią doskonale; wiem coś pani opuściła, porzucając dom swój na tak długo.“ A potém mówił do mnie, jak gdyby uczęszczał na nasze środowe zebrania. Chciałam wysiąść z karety, oddać mu pokłon; zatrzymał mnie, z nieporównaną grzecznością.“

Pani Geoffrin przedstawiła się cesarzowéj Maryi Teresie; opowiada posłuchanie w tymże liście do przyjaciela.

„Wczoraj widziałam w Schönbrunn, cesarzową matkę, równie jak całą rodzinę królewską. Cesarzowa przemawiała do mnie z dobrocią pełną wdzięku. Wymieniała mi wszystkie arcyksiężniczki jedną po drugiéj i młodych arcyksiążąt. Trudno wyobrazić sobie coś piękniejszego, nad tę całą rodzinę. Jest między niemi jedna księżniczka, dwónastoletnia, piękna jak anioł. Cesarzowa zaleciła mi, abym napisała do Francyi, że widziałam tę małą, i zachwycona byłam jéj pięknością. Przy pożegnaniu, Marya Teresa podała mi rękę do pocałunku, a gdym ją prosiła, aby mi wolno było złożyć jéj hołd mój za powrotem, odrzekła na to grzecznie: „byłabym zazdrosną, gdybyś pani obrała inną drogę.“

Księżniczka piękna jak anioł, była to Marya Antonina; matka pragnęła gorąco zaślubić ją z Delfinem francuzkim. Okoliczności téj przypisać w wielkéj części należy nadzwyczajną uprzejmość cesarzowéj, i zabiegi wielkiego kanclerza. Były w tém zapewne inne jeszcze powody.

Po kilkodniowych owacyach, pani Geoffrin puściła się w dalszą drogę: szambelan Łojko pozostał jeszcze w Wiedniu. Towarzyszył jéj odtąd przysłany przez króla kapitan Bachone! Miał on z sobą orszak sług i kucharzy; miał srebro, łóżka i sprzęty potrzebne do ozdobienia karczem; miał zapasy żywności: słowem wszystko co mogło uprzyjemnić daleką podróż.

Szczegóły przyjazdu i pobytu w Warszawie pani Geoffrin, zupełnie nam niewiadome. W dwóch listach jéj, pisanych ztąd do Wolte-

ra i Marmontela, wyraża się o królu z najwyższém uniesieniem, okazuje najżywszą radość z odbytéj drogi.

„Doznałam, pisze, nieopłaconéj niczem przyjemności, odwiedzając tego, który był królem mego serca, wprzód, zanim został królem Polski. Wysokie zalety jego umysłu, wzniosłość duszy, niewymowny urok w obejściu i każdém słowie, żywiéj poruszają mi serce niż je poruszały zachowane wspomnienia, lubo i te musiały być silne, skoro mnie skłoniły do tak dalekiéj podróży. Słodki pokarm, jaki znalazłam dla uczuć moich, obróci się w gorycz na resztę dni, gdy mi przyjdzie, opuszczając te miejsca, wyrzec słowo: na zawsze!“

Pokarm ten nie był jednakże tak słodkim, jak to utrzymywała oględna przyjaciółka królewska. Dwómiesięczny pobyt jéj w Warszawie, pokryty jest tajemnicą; zasłona jednak nie tak gruba, aby oko przenikliwego czytelnika, nic pod nią nie dostrzegło. Z listów pisanych do króla, zaraz po odjeździe z Warszawy, widzimy iż jakaś niewiadoma okoliczność ubodła jéj serce do głębi. Wbrew temu, co Słanisław August, tak uroczyście przyrzekł, otaczające króla osoby, nie tak ją przyjęły, jakby tego pragnęła. Różnemi czasy wspomina to z goryczą.

„Otoczenie twoje królu, mówi w lat kilka późniéj, miało własny interes, aby nietylko oddalić moją osobę, ale nawet aby zniszczyć twoją życzliwość dla mnie, przedstawiając ci w fałszywych kolorach przyjazń moją.“ „Widzę z boleścią, mówi gdzieindziéj, że to nurtowanie wewnętrzne a ciągłe, smutny wydało owoc.

„Łatwo zaprawdę niszczyć. Lecz *oni* nie wiedzą, że kiedy odbiorą ci wszystko, nie zdołają nic odbudować. Numer 1-szy, ufny w swój rozum, nie wątpi że dokaże tego; ztąd też jak kret, podkopuje ziemię dniem i nocą. Działać przy słońcu, w dzień biały, byłoby mu daleko trudniéj!“

Numer 1-szy, oznacza księcia kanclerza Czartoryskiego. Nie ulega wątpliwości że pobyt pani Geoffrin w Warszawie, był solą w oku dla familii królewskiéj, która obawiała się jéj wpływu, prowadząc politykę zupełnie przeciwną jéj widokom.

Nie obeszło się zapewne i bez innych drobnych przykrości. Sama obecność surowéj i poważnéj matrony, nie w smak poszła młodym paniom, które wodziły rej na dworze. „Nie dziwię się, pisze król, że z przykrością wspominasz mamo, zimne obejście *małéj;* nie żądam abyś ją kochała, lecz bądź dla niéj wspaniałomyślną.“

Z tych drobnych wskazówek widzimy, że pobyt w Warszawie pani Geoffrin, nie odpowiedział wcale jéj oczekiwaniom. Sądzimy jednak że ani opozycya familii, ani śpileczki *małéj* i *dyabełka*, nie tyle były dla niéj dotkliwe, jak inny jeszcze zawód, który niszczył najpiękniejsze jéj nadzieje. Sully przebaczał Henrykowi Gabryele i Koryzandy; pani Geoffrin nie byłaby w tym względzie surowszą od Sullego. Co ją przedewszystkiem bolało? oto że czując się być Sullym, nie znalazła w królu Henryka IV!

„Wiele ucierpiało, królu, serce moje, pisze w jednym z listów, od chwili jak się zainteresowało tobą. Mówisz panie: o jakże trudno o prawdziwych przyjaciół, a ja odpowiem na to, że i osoby godne mieć prawdziwych przyjaciół, niemniéj też trudne do spotkania!“

Późniéj, na oświadczenie króla, że pragnąłby pomieścić jéj głowę na posągu przyjaźni, wyraża się z goryczą; „Niestety! i cóż ci przyszło z przyjaźni mojéj!“

Nigdzie jednak, boleść z doznanego zawodu, nie objawia się wyraźniéj jak w tych słowach: „Mając lat dwadzieścia, ułożyłam plan na wszystkie opoki życia mego. Trzymałam się wiernie tego planu, i dobrze mi z tém było. Podróż tylko do Polski, stała się w mém życiu nadzwyczajnym wypadkiem, nie przewidywałam bowiem, jak wiele przyjaźń dla W. Kr. Mości, wymagać będzie od uczuć moich. Odbyłam tę podróż w początku starości; nie mogłabym jéj odbyć w młodzieńczych, ani nawet w dojrzałych latach: byłoby to miało pozór nieprzyzwoity, a przynajmniéj zabardzo romantyczny. Wszystko wybornie się powiodło. Widziałam króla mego, widziałam jego otoczenie, słowem widziałam dobrze to com widziała, i rada jestem żem się zdobyła na tę podróż.“

„*Widziałam com widziała!*“ słowa te zapisane z ironią, albo nie znaczą wyraźnie: widziałam że nie jesteś, że nie możesz zostać Henrykiem IV-tym!

W pierwszych dniach września, pani Geoffrin biorąc za pozór otwarcie sejmu, postanowiła opuścić Warszawę. Napróżno król nalega aby chciała dłużéj pozostać, jak to widzimy z kartki naprędce nakreslonéj, przesłanéj z pokoju do pokoju: napróżno zapewnia że *burze już minęły*. „Dość długo bawiłam na dworze twoim, miłościwy panie“ odrzecze matrona z godnością. Odmawia nawet stanowczo, przyjęcia upominków królewskich, jak czytamy w liście jéj do sekretarza Schmidta. Oto jéj własne wyrazy. „Napomknąłeś pan wczoraj, słówko o pięknéj latarni, którą król kazał powiesić w gabinecie moim, i o wazonach porcelanowych, które pokazywałeś mi w skarbcu. Daje mi to do myślenia, że J. Kr. Mość pragnie ofiarować mi upominek przed wyjazdem. Królewski zamiar nie dziwi mnie bynajmniéj; rzecz prosta że chciał król pochwycić sposobność, aby dać mi dowód dobroci i wspaniałomyślności swojéj. Ośmielam się jednak powiedzieć, że ponieważ odwiedziny moje wychodzą za obręb zwyczajnego porządku rzeczy, uczucie które mnie tu przywiodło, nie da się okupić żadnemi w świecie datkami. Nie przyjmę więc upominku, racz pan uwiadomić o tém króla; odmawiając jednakże darów, przyjmę z wdzięcznością opiekę, jaką zechce rozciągnąć nademną w podróży, abym powrócić mogła bezpiecznie do kraju mego.“

Z całego dworu Stanisława Augusta, dwie tylko osoby zjednały sobie żywą przyjaźń i szczery szacunek pani Geoffrin. Jedną z nich była księżna Lubomirska, strażnikowa koronna, córka księcia Augusta Czartoryskiego; drugą kasztelanowa krakowska, żona wielkiego

hetmana Branickiego, starsza siostra Stanisława Augusta. Obie wspomina do śmierci z najżywszém uczuciem; pierwszą z nich zaleca nieraz królowi, jako wyższą kobiétę, któréj rady mogą być prawdziwie pożyteczne.

Według przyrzeczenia danego cesarzowéj Maryi Teressie, pani Geoffrin powracała na Wiedeń. Tu była przedmiotem nowych grzeczności i nowych owacyi, które przecież nie nagrodziły jéj zawodu spotkanego w Warszawie. Z pań polskich przebywających w Wiedniu, szczególniéj przypadła jéj do serca księżna Lubomirska. „Nie mówi ani słowa po francuzku, pisze o niéj, ale rozumie trochę. Zaprosiła mnie na obiad, rozmawiałyśmy z sobą na migi: to matrona niepospolitego charakteru.“ Sąd tak przychylny o kobiécie, która ani słowa po francuzku nie umiała, świadczy o wytrawnym umyśle pani Geoffrin. Szukała jak widać w ludziach nie zewnętrznego pokostu, jaki nadawała w tych czasach francuzczyzna, ale gruntownych i rzeczywistych zalet.

W Wiedniu pani Geoffrin odbiera list od króla pełen uniesień i czułości: „Odjechałaś więc! siostra moja odjechała! Obudziwszy się ze snu, znalazłem pusty mój zamek i dzień zarówno pusty! pozostałem sam, zupełnie sam, niemy, z sercem ściśniętém i zbolałém! Odwagi i cierpliwości! Gdy ujrzysz to godło wyryte na tarczy, możesz wtedy zawołać: mój rycerz jest tu! mój syn jest tu! O! Boże, jakaż byłaby radość moja, gdybym ci mógł oddać nawzajem odwiedziny droga mamo! Gdyby mi tak łatwo przyszło opuścić mój *dyabelski* kraj (mon diable de pays) i pospieszyć do ciebie, jak tobie przyszło opuścić Paryż i przybyć w moje progi!“

Do listu swego dołącza król list z Ferney, odebrany po odjeździe pani Geoffrin, do niéj adresowany.

„Podróż twoja pani, pisze Wolter, powinna stanowić we Francyi epokę dla ludzi myślących. Jesteś świadkiem tego co czyni król-filozof dla szczęścia swego kraju. My w Paryżu mamy opery komiczne, ale mądrość jest na Północy! Przy lekkomyślnéj wesołości naszéj popełnia się u nas więcéj szkarad, niż w jakimkolwiek innym narodzie.“

Na oświadczenie królewskie, pani Geoffrin odpowiada z całą godnością: „Niezadowolenie moje, bynajmniéj nie stargało dawnych uczuć dla W. Kr. Mości. A jednak wszystko widziałam, wszystko poznałam, wszystko odczułam! Boleść moja przy rozstaniu, niechaj będzie rękojmią mego przywiązania; czas nigdy go nie zatrze!

„Są w liście W. Kr. Mości wyrażenia, które kilka miesięcy temu przejęłyby mnie najżywszą radością, ale znalazłam tak wielką różnicę pomiędzy listami a uczynkami, że w tych słówkach pieszczotliwych widzę jakoby tuman szatański; płakałam jednak czytając ten list i teraz znowu płaczę. Niestety! pozostaje mi tylko uzbroić się na przyszłość przeciwko czarodziejstwom, pamiętając ile wycierpiałam!“

List Woltera dotknął ją w przykry sposób. „Jakże ten list płaski i pospolity! pisze do króla. Kiedy ten człowiek coś sobie uwidzi,

nikt mu tego z głowy nia wybije. Nie piérwsze to obelgi, jakie rzuca w oczy nam Francuzom!"

Pani Geoffrin niecierpiała Woltera. W lat kilka późniéj, kiedy zbierano podpisy na jego posąg i zamówiono go już u Pigala, mówi o tém z najwyższém oburzeniem. „Dwunastu szalonych fanatyków wymyśliło ten projekt: ci fanatycy zapalili mnóstwo głów, podnieśli miłość własną osób znakomitych, nawet książąt i królów. Zebrano wiele pieniędzy na zapłacenie tego szaleństwa. Gdy pytano co o tém sądzę, odpowiedziałam z całą otwartością, że nie dam ani jednego luidora. Gdyby to jeszcze biust albo medalion, możnaby zachować w nim pamięć człowieka wszechstronnéj nauki i wysokiego talentu; ale posąg należy tylko wielkim ludziom, którzy zasłużyli się ojczyznie chwalebnym czynem i poświęceniem. Słowem widok znakomitego pomnika, powinien budzić w młodzieży głębokie poszanowanie i prowadzić ją śladem uczonéj w ten sposób osobistości. W. Kr. Mość wié, jakie wrażenie sprawił posąg Aleksandra Macedońskiego na Cezarze. Tymczasem widok pomnika Woltera obudzi tylko w młodém pokoleniu chęć odczytania jego dzieł, lecz nie doda im bodźca do pracy, nie zbudzi nawet żalu. Ten posąg nie może znaleźć miejsca w akademii francuzkiéj, byłaby to zniewaga dla przeszłych, dla współczesnych i przyszłych mężów nauki; nie można także umieścić go w teatrze francuzkim; nie postawią go téż na *Pont-Neuf* obok naszego Henryka IV-go, ani na żadném miejscu publiczném. Nikt nie wié co z nim zrobić."

I cóżby powiedziała pani Geoffrin, gdyby ujrzała dziś te pomniki i popiersia Woltera i w teatrze, i na placu publicznym, i w akademii, i w Sorbonnie; słowem wszędzie wyjąwszy na *Pont Neuf!* Coby powiedziała na te popularne wydawnictwa jego dzieł, rozbiegające się po kraju, niby złowrogi pożar, przysposabiające pomiędzy ludem komunardów i podpalaczy?

Potrzeba było zaprawdę wielkiéj odwagi cywilnéj, aby tak śmiało zaprotestować przeciwko Wolterowi, w chwili kiedy wszyscy uderzali mu czołem zacząwszy od monarchów. I dziś pamięć Woltera odbiera jeszcze hołdy, lecz te są raczéj objawami stronniczych doktryn, niż gorącego jak dawniéj uniesienia.

Po powrocie do Paryża pani Geoffrin, korrespondencya z królem rozpoczyna się na nowo. Listy Stanisława Augusta pełne zawsze najsłodszych wyrażeń z dziwną obmyślanych zręcznością; listy poważnéj matrony przyzwoite, ceremonialne: nie szukać w nich już tego serdecznego wylania, jakie widzimy w dawnych.

„Dlaczego ten majestat? powtarzany co słowo w listach twoich, pyta król, chciałażbyś mnie ukarać albo zmartwić?"

Pani Geoffrin nie poprawia się jednak, wyraz syn nie chce jakoś wybiegać z pod jéj pióra, mimo że król jak dawniéj zowie ją drogą mamą.

Złudzenie przeszło..... To nie Henryk! powtarzała matrona po każdym nowo odebranym liście. Wpiérwszym oto Stanisław August

utyskuje na ciężar przyjętych obowiązków: „mój sejm miał trwać sześć tygodni a trwał aż dwa miesiące! Wyobraź sobie mamo co miałem trudu! Posiedzenia kończyły się zawsze o północy; ostatnie zajęło ośmnaście godzin, od trzeciéj z południa aż do dziewiątéj rano! Każdy z członków może przynajmniéj oddalić się na chwilę i posilić; ja tylko z marszałkiem siedzieć musimy jak przykuci, gdyż nieobecność nasza zawiesza czynności sejmowe. Biédny marszałek zemdlał o ósméj rano [1]), ja dotrwałem do końca."

W innym znowu liście żali się na trybunalskie sprawy. „Opuszczam cię mamo! za chwilę mam sądzić proces. Co powiesz? to należy do mojéj roli! Henryk Walezyusz uciekł ztąd, stawiając między innemi powód, że zrobiono z niego prezesa trybunału!"

Skargi te niecierpliwią energiczną kobiétę, zrazu nie pokazuje tego, późniéj jednak kiedy sprawy zaczynają się komplikować, taką daje królowi radę: „zrzuć Miłościwy Panie ten ciężar! jedź do Rzymu, oblecz sutannę; otrzymasz może kardynalski kapelusz!"

Oblicze króla rozchmurza się tylko kiedy mówi o sztuce. Z jakąż to radością opisuje nowo nabyte skarby do galeryi obrazów! „Co powiesz mamo droga! Znalazłem tu prawdziwego Karla Vantoo! cudowny oryginał: *Koncert u wielkiego sułtana.* (Tu następuje szczegółowy opis każdéj odaliski na obrazie). Znalazłem także prześliczne kwiaty, dwóch Von-Huysumów; wyprawiono dla mnie z Wiednia prawdziwego Rembrandta i dwa obrazki flamandzkie z Brukselli, jak mówią bardzo dobre. Z Włoch czekam téż przesyłki, pamiętam żeś mi przyrzekła mamo dwóch Wernetów! Widzisz więc że pomału ptaszek ściele sobie gniazdeczko."

Pani Geoffrin kochała także sztukę, dostarczała pracy artystom, opłacała złotem ich utwory; czuła jednak że w chwilach naglących potrzeb, nierównie ważniejszych, nie godzi się rozrzucać pieniędzy na rzeźby i malowidła. Znane jéj bogate zbiory Luwru, znana do gruntu ich historya. Mało plonów do téj skarbnicy przyrzucił Henryk IV, wielki organizator kraju! Niecierpliwiły ją téż owe ciągłe obstalunki czynione za jéj pośrednictwem, to coraz nowych obrazów, to Wenery Pigalla, to posągu pani de Pompadour, to biustu Woltera i t. p. Nie były to czasy potemu!

Nie widzimy w wydanéj korrespondencyi listu, w którym pani Geoffrin objawia swoje podziwienie w tym względzie; łatwo jednak domyślić się jéj uwag z odpowiedzi królewskiéj.

„Dziwisz się mamo, że z taką swobodą umysłu mówię ci o moich budowlach wśród otaczającéj mnie burzy. Sądzę że ci to wytłumaczę. Wyobraź sobie, że widzisz o pół mili jak gore miasto lub gmach, gdzie mieszkają drogie ci osoby. Byle te osoby zachowały choć trochę przytomności umysłu, byle pożar nie wszczął się z nienacka (jak mina prochu w powietrze wysadzona), ale szerzył się pomału

[1]) Marszałkiem sejmu tego (1766) był Celestyn Czaplic podkm. łucki.

i stopniowo; idę o zakład że ci pogorzelcy zachowają zimniejszą krew od ciebie, a to z powodu że patrzą z blizka na nieszczęście: gdy tymczasem trwożliwa przyjaźń twoja potęguje złe do ostateczności. Wśród największego pożaru są jednak ścieżki nie ogarnięte płomieniem, którędy można sprowadzić wreszcie wodę. Z daleka ty nie możesz ich widzieć, nie wiesz nawet czy przyjaciołom niebrak studni!

„Nie ja zatliłem ten pożar, czynię jednak co mogę aby wszystko nie pogorzało. Ponieważ zaś chcąc działać, trzeba zachować głowę, ponieważ łatwo ją stracić, jeżeli wśród ciężkich a bezustannych zgryzot nie odżywiamy ją miłą rozrywką, ja szukam odetchnienia w budowlach moich, obrazach, rycinach i innych przedmiotach tego rodzaju. Zresztą zamek warszawski rozsypuje się w gruzy, wymaga zupełnego odnowienia; zmuszony jestem przenieść się w inne miejsce. Dlatego muszę wykończyć pałacyk w Ujazdowie: nastąpi to w tym roku albo w przyszłym."

Daléj dodaje: „potrzeba mi koniecznie utrzymać zdrowie ciała i duszy, strugam więc strzałę z każdego drzewa aby się zadowolnić!"

„Rada jestem, odpisuje na to pani Geoffrin, że są ukryte ścieżki, któremi pogorzelcy mogą ujść niebezpieczeństwa. Skoro W. Kr. Mość upewniasz mnie że woda przyjdzie, pragnę niechaj się otworzą wszystkie upusty niebios. Rozumiem zupełnie, że zabawa w wiejskiém ustroniu potrzebną mu koniecznie do roztargnienia!"

W inném miejscu z większą jeszcze wyraża się ironią: „Telemak (król) wydaje się w oczach moich, jak owi trzej hebrajczycy, których Nabuchodonozor kazał wrzucić do ognistego pieca, gdy nie chcieli uczcić jego posągu, a którzy zamiast płomieni znaleźli tam słodką rosę i żyli w niéj jak rybki na dnie wody."

Żałujemy prawdziwie, że wiele bardzo listów tak pani Geoffrin jak króla, brakuje w wydanéj korrespondencyi. Brak ten szczególniéj widzieć się daje od roku 1768. Niektóre listy przerwane widocznie w połowie. Kto usunął i poobcinał owe listy, trudno zgadnąć; cel jednak tego usunięcia zdaje się być widocznym. Szło tu głównie o przedstawienie Stanisława Augusta w jaknajkorzystniejszém o ile można świetle; wszystko więc, cokolwiek mogło rzucać jakąś skazę na jego osobistość, oddalono starannie. Jeśli to uczynił p. Mony wydawca listów, albo ci, którzy mu ich dostarczyli: cel ich najzupełniéj chybiony. Wypadki tych czasów doskonale są znane: ogłoszona korrespondencya nie mogła dorzucić nic nowego pod względem historycznym, strona psychiczna stanowi całą jéj wartość; usunięcie zatém kilkunastu i to najważniejszych listów, zmniejsza znaczenie jéj pod tym ostatnim względem.

Nie znajdujemy naprzykład w listach pani Geoffrin, ani jednéj rady udzielonéj królowi, a przecież widzimy wyraźnie że je dawała i to nieraz. Cóżby inaczéj znaczyły jéj wyrazy w liście z lipca 1767 roku? „Nie pozwolę już sobie powiedzieć memu królowi ani słówka o polityce, on widzi zdaleka czarny punkt w myśli mojéj, i to go czar-

no przeciw mnie usposabia. Nie taki mój cel, pragnę tylko dawać mu w każdéj chwili dowody mego przywiązania. Król mój stawia mi jako przykład, swoją odwagę i moc duszy, otrzymane jak mówi od Boga. Ale Bóg nie rozrzuca darów swoich; ciebie królu obdarza siłą w obec przeciwności, mnie pozostawia bez wsparcia, z myślą smutną, udręczoną cierpieniem twojém. Lecz dosyć tego! mówmy o innych rzeczach."

W miesiąc potém wyraża się znowu: „Moja trwała przyjaźń, nie przyniosła pożytku W. Kr. Mości, częstokroć nawet była jéj natrętną a nawet uciążliwą, z powodu surowych moich zasad "

Uproszona przez sławną aktorkę Clairon, która pragnęła koniecznie jechać do Polski, tak zaczyna list rekomendacyjny:

„Przyrzekłam królowi memu, nie pisać już nic, coby mu niemiłém być mogło: dotrzymuję danego słowa. Mam do przedstawienia mały interes, ten go przynajmniéj nie znudzi, chociażby nie dał się wykonać."

Zdaje się jednak, że pani Geoffrin, znaglona wypadkami, odstąpiła od zamiaru swego; zdaje się że serce przemogło w niéj nad chłodném rozumowaniem, że pozwoliła sobie nowych rad czy upomnień, któremi dotknęła do żywego miłość własną Stanisława Augusta. Następuje długa przerwa w korrespondencyi. Od 6 lipca 1768 roku, do 30 sierpnia roku następnego, nie widzimy w wydanym zbiorze ani jednego listu króla, nie możemy téż wiedzieć, jaka okoliczność stargała harmonię, pomiędzy przybraną matką, a tak zwanym jéj synem. Że gwałtowna jakaś burza przeszła pomiędy niemi, świadczą o tém dwa jéj listy z września i października 1768 roku. Pierwszy z nich wyprawiła do Warszawy, w chwili kiedy sekretarz królewski Schmidt, opuszczał Paryż, po dwómiesięcznym pobycie. Przez tego to sekretarza, odesłała królowi wszystkie jego listy, pisane od czasu elekcyi. Powtarzamy dosłownie wyrazy pani Geoffrin.

„Pan Schmidt złoży W. Kr. Wości, zamknięty pugilares, od którego posyłam kluczyk. W. Kr. Mość znajdzie tam całą korrespondencyę, jaką zaszczycać mnie raczyła od wstąpienia na tron, aż do chwili obecnéj.

„Błagam W. Kr. Mość aby chciała zawierzyć, iż ani zły humor, ani wewnętrzny kwas nie jest powodem téj ofiary. Czynię ją tylko, przejęta głębokim szacunkiem, dla osoby W. Kr. Mości. Oto powody jakie mnie do tego skłoniły: dni moje policzone, każda godzina może być dla mnie ostatnią. Byłoby nieprzyzwoicie, aby dowody przyjaźni i zaufania jakich doznałam od miłościwego króla mego, miały wpaść w obce ręce i doczekać się kiedyś publicznego ogłoszenia. Mogłam je spalić ale nie czułam się na to dosyć silną, wolę raczéj złożyć je w ręce które nakreśliły te drogie dla mnie zgłoski. W. Kr. Mość może uczynić z temi listami co uzna za właściwe. Ja nie pragnę nigdy ich widzieć, ani téż słyszeć o nich.

„Pan Schmidt odczytał mi ustęp z listu, który odebrał od W. Kr. Mości, zkąd widzę żem Ją obraziła ostatnim listem. Serce mo-

je od dawna było przepełnione, nie mogłam go powstrzymać, wylało się na zewnątrz, ale mogę zaręczyć, że cokolwiek z niego wypłynęło, najszczerszą jest prawdą.

„Czas wszystko niszczy: zatrze też w krótce w umyśle W. Kr. Mości niemiłe wrażenie tego listu, a ponieważ W. Kr. Mość zapewnia pana Schmidta, że nie zmienia dla mnie swych uczuć, zachowa mi przeto łaskę swoją, której będę godną do ostatniego tchnienia.“

Co król odpowiedział, niewiadomo; odpowiedź ta bowiem usunięta ze zbioru; że jednak była, świadczą o tém słowa pani Geoffrin: powtarzamy jéj list pisany potém.

„Najjaśniejszy Panie! Sądzę że pobudki które mnie skłoniły, do złożenia w ręce W. Kr. Mości, dowodów jéj przyjaźni i zaufania były roztropne, oględne, nacechowane głębokiém poszanowaniem. Mam zaszczyt powtórzyć tu raz jeszcze, że nie wypadało aby w papierach moich znalezione były te listy. Jestem zupełnie zdrowa, ale w siedmdziesiątym roku, trudno ręczyć za jutro.

„Czuję się w filozofii silniejszą od Sokratesa. On pięknie rozprawiał o śmierci, ja zaś patrzę na nią spokojném okiem. Czynię do niéj przygotowania, tak samo jak się wybierałam w podróż do Polski; spokojnie i wesoło. Pragnę kochaną być od przyjaciół za życia, lecz nie chcę udręczać ich zbytnim żalem. Nie mam powodu lękać się teraz, abym pozostawiła ciężki żal J. K. Mości.

„List, który zowiesz Miłościwy Panie strasznym listem, potrzebnym był koniecznie, aby przynieść ulgę sercu memu. Od powrotu z Warszawy, krępowałam je gwałtem; przepełnione wybuchnąć musiało. Dziś nie ma w niém goryczy; zachowa do skonu przywiązanie ku W. K. Mości, cieszyć się będzie Jéj radością, smucić Jéj smutkiem, powoli, spokojnie, bez kwasu; wszystko bowiem wyrzuciło już z siebie.“

Po kilkomiesięcznéj przerwie, korrespondencya zawiązuje się znowu, ale nie znaleźć w niéj dawnéj swobody: każde słowo zważone, obmyślane. Może być że do przymusu ze strony pani Geoffrin, przyczynia się także i myśl, że jéj listy nim dojdą właściwego przeznaczenia, mogą wpaść w ręce obcych, nieżyczliwych jéj osób. Stanisław August wyraża się niekiedy po dawnemu: „Mamo droga!—pisze w jednym liście—jak szczęśliwi ci których ożywiasz twym wesołym umysłem! Błagam cię, gdy zechcesz pisać do mnie, przysyłaj mi choć po kilka tych ożywczych iskierek, co tryskają zawsze z myśli twojéj. Powiesz zapewne, że o pięćset mil, iskierki stracą połysk. Dla nas nie stracą go bynajmniéj. My wszyscy znamy Paryż, żyjemy jego życiem. Nawet ci co nigdy tam nie byli, pojmują go wybornie!“

„Rada jestem, odpowiada pani Geoffrin, że W. K. Mość pamięta dawną wesołość mego umysłu. Nigdy się w życiu nie śmiałam, śmiech drugich nie sprawiał mi najmniejszéj przyjemności, ale myśli moje były wesołe, częstokroć nawet komiczne. Niestety! cała ta wesołość wewnętrzna, odbiegła mnie w chwili gdym opuściła Polskę. Ożywiam się czasami jeszcze, lecz natychmiast upadam. W wyobra-

źni mojéj powstały jakieś czarne plamy; to na co patrzę w kraju własnym, nie zdoła mnie pocieszyć. Pożegnałam się z wesołością; nakazać jéj sercu niepodobna!“

Pani Geoffrin do ostatniego tchnienia, dochowała wiernie przyjaźni Poniatowskiemu. Uczucie jéj dla króla, miało w sobie coś prawdziwie macierzyńskiego. Pragnęła w tym którego nazwała synem, widzieć bohaterski typ Henryka: jéj nadzieje zawiedzione zostały. Bolała nad tém szczerze, doznany zawód napełnił jéj serce goryczą, zmienił zapewne charakter jéj uczuć, lecz nigdy ich nie zatarł.

Na kilka miesięcy przed śmiercią, ośmdziesięcioletnia już blizko matrona, dotknięta paraliżem, w liście do króla pisanym ręką córki, sama nakreśliła te słowa: *Kocham cię całém sercem!* Przy liście posłała mu w ostatnim upominku cztery piękne obrazy z swéj galeryi.

Pani Geoffrin umarła w roku 1777. Salon jéj otwarty niemal do końca, przechował najdłużéj świetne tradycye salonów paryzkich XVIII wieku. Odtąd ognisko życia przeniosło się na inne pole. Salony istniały jeszcze ale utraciły charakter literacko-artystyczny i tę dworską wytworność jaka je cechowała.

Znany krytyk Sainte Beuve mówiąc o salonie pani Geoffrin, podniósł go do znaczenia *instytucyi*. Tu młodzi dyplomaci i politycy, po ukończeniu nauk, nabywali poloru, w towarzystwie wytwornych pań, pod wpływem najpierwszych artystów i literatów. Wyszło z téj *instytucyi*, mnóstwo ludzi znakomitych nauką i talentami. Stanisław August zaczerpnął tu niewątpliwie, ową miłość sztuk pięknych, która tak silnie przeważała w jego umysłowém wykształceniu.

Mnóstwo w tych czasach wydano w Paryżu zbiorów i zbiorków poetycznych, pod rozmaitemi tytułami. Dalecy jesteśmy, aby z tych wieńców mniéj więcéj udatnych, wnosić o jakimś nowym a wielkim zwrocie w poetycznym świecie francuzkim. To przecież nie ulega wątpliwości, że wbrew sądom niektórych pessymistów, ani poezya nie chyli się wcale do upadku, ani téż obojętność ogólna, nie utrzymuje polotu młodych, rozpoczynających zawód poetów.

Między innemi, wyszły poezye Armanda Sylvestra, z przedmową pani Georges Sand. Słynna autorka sili się dowieść, że jéj protegowany nie jest materyalistą. „Nie wierzcie mu wcale—mówi do czytelników—gdy wam powie że piękność zmysłowa jedyném dlań bożyszczem. Sylvester jest spirytualistą mimo wiedzy i woli.... On cierpi, on płacze, wówczas nawet gdy zdaje się szczęśliwy, kiedy osiągnął cel najgorętszych swych pragnień!“ Te zapewnienia autorki Lelii, nie są jednak dla nas, a może i dla wielu naszych czytelników, dostatecznie przekonywające. Odsuwamy więc na bok materyalistyczno-spirytualne poezye Sylvestra, nie złudzeni wytwornością ich formy.

Inny zbiór pana Darasse zawarty w eleganckim tomiku, nosi tytuł *Laeta-moesta* (smutno-wesołe). Autor w humorystycznéj przedmowie, wyjaśnia czytelnikom znaczenie łacińskiego tytułu. My ten

tytuł zamieniliśmy na inny, jak naprzykład *Płaksa i Wesołowski;* na piérwszych bowiem pięćdziesięciu stronnicach, Płaksa wylewa z duszy smutne żale, na drugich pięćdziesięciu Wesołowski wybucha śmiechem. Żale te przecież zapowiedziane z góry, nie poruszają nikogo, śmiech naprzód oznajmiony, nie pobudza do śmiechu drugich. Gdyby autor więcéj miał doświadczenia i talentu, zmieszałby razem obie dozy i poszedł śladem starego poety Villona, który mówi o sobie: „uśmiecham się z poza łez.“ Płakano téż z Villonem, płakano niemniéj i wielu płacze dotąd z Szekspirem, tym mistrzem, co tak umie łączyć humor z patetycznością.

Rzućmy teraz okiem na zbiór poezyi pana Casalis. Tytuł ich *Illuzye*, zapowiada coś idealnego i eterycznego. Jakże mylą pozory! Autor śpiewa *requiescat in pace*, na grobie wszelkich życia ułud. Pogrobowe pieśni jego, mają wyraźny charakter panteistyczno-pozytywny. Tu już pani Georges Sand nie dopatrzyłaby ani śladu spirytualizmu. Pan Casalis nie pokrywa jak Sylvester zmysłową powłoką idealistycznych swych polotów, okazuje się czém jest: jawny zwolennik Darwina, należy on do tych zagorzałych Darwinistów, którzy wyprzedzili mistrza swego, posuwając do wyników krańcowych jego naukowe teorye. Życie w oczach poety, nie jest czém innym, jak prostą grą atomów, poruszających się bezustannie w nieskończoności. Każdy człowiek występuje chwilkę na scenie świata, odgrywa rolę jaka mu przypadła i znika zostawiając miejsce innym aktorom. W różnych formach autor przedstawia szalony taniec śmierci, poruszający jednostki i popychający je na łono wiecznego nicestwa. Wszystko złudzeniem, jak pokazuje sam tytuł książki. Złudą miłość i chwała, złudą praca i cnota nawet, prawdą tylko śmierć. Poeta ze skalpelem w ręku, jak biegły fizyolog, anatomizuje tę nieprzebłaganą królową świata. Odrzucamy książkę z niesmakiem. Do tych wszystkich złud jakie wylicza autor, dodamy jeszcze jednę: największa wytworność formy, złudą jest, kiedy myśl poety pełza w bagniskach realizmu i ugania fałszywe teorye.

Nie posądzimy o realizm pana Andreani, autora powiastki poetycznéj p. t. *Dyonizya poemat znaleziony na grobie w wiązce kwiatów.* Jestto autobiografia, zmarłego z miłości młodzieńca. Autor zapowiada z góry, że ten tylko kto kochał, zdoła osądzić ów poemat. Nie małą będzie liczba kompetentnych czytelników! Pomyśleliśmy zrazu, przyszedł nam bowiem na pamięć dwuwiersz któregoś z dawnych klassyków spirytualnéj szkoły, nakreślony pod posągiem Kupidyna:

Qui que tu soit-voilà ton maitre,
I l'est, le fut, on le doit être.
(Ktobądź jesteś, to pan twój, pan zawsze i wszędzie,
Jest nim dziś, był nim wczoraj lub jutro nim będzie)!

Niestety! zwyczajne pociski amora, nie wystarczają dotkniętym niemi ofiarom, do osądzenia poematu p. Andreani. Ten tylko zrozu-

miéć go może, kto odebrał pocisk śmiertelny!.... a przynajmniéj zabijający serce, jeśli nie ciało; kto kochał z taką mocą jak ów zmarły z miłości bohatér, którego poemat znaleziono w kwiatach na grobie! Takie ostrzeżenie autora wstrzymało nas od rozbioru jego poetycznéj powieści: mimo wielu zalet, zakrawa ona na anachronizm, mało by téż znalazła zwolenników i kompetentnych sędziów.

Zostawiliśmy na sam koniec *poezye nowe* p. Millien pod tytułem: *Kobzy i Trąby*, *Legendy dzisiejsze*, *Pieśni i Sonety*, *Głos zwalisk*, *Legendy ewangieliczne*, *Krajobrazy zimowe*. Sam tytuł świadczy już o rozmaitości pomysłów. Millien nie jest nowym przybyszem do świata literackiego. Przed dziesięcią laty zjednał już sobie rozgłos, a co więcéj nagrodę akademii francuzkiéj. Odtąd znikł zupełnie z widowni, obwarował się w zaciszy wiejskiéj, nie dając znaku życia. Paryż zapomniał o nim, a jeśli który z krytyków przypomniał czasem jego imię, dodawał potém: Jaka szkoda! On tyle zapowiadał!

Otóż p. Millien występuje znów i to z nie małym plonem. Umysł jego dojrzał w zaciszy wiejskiéj, duch przyszedł do równowagi; podobnie jak Juliusz Breton uczuł on, że najczystsze zdroje poezyi spoczywają w piersi wiejskiego ludu.

Rzecz dziwna! to, o czém Brodziński, Mickiewicz, Wincenty Pol, Goszczyński, Bogdan Zaleski, wiedzieli przed pół wiekiem, jest dziś nowym wynalazkiem dla francuzkich poetów, a przecież tych naszych olbrzymów poezyi, niektórzy krytycy jak p. Léger zowią tylko bajronistami.

Książka p. Millien'a ozdobiona pięknemi rycinami, wyszła u Lemerra, specyalnego wydawcy poetów francuzkich. Wśród imion dwódziestu znanych rysowników, czytamy nazwisko Bronisława Zaleskiego.

Czas nie pozwolił nam dotąd rozczytać się w tych pieśniach, znamy zaledwie część ich małą. Powrócimy niezadługo do poety; dziś dajemy tylko kilka krótkich ustępów. Oto obraz starego rolnika: wieczorem powraca do chaty, gwarząc ze starym jak on pługiem, nieodstępnym towarzyszem od dziecka.

Znużone woły stąpają po parze,
Oracz na letnim ogorzały skwarze,
Z pługiem i broną do chaty powraca;
Śpiewa piosenkę: skończona dziś praca!

Siwy jak gołąb, lecz z bary krzepkiemi,
Zim siedmdziesiąt stąpa już po ziemi;
W swym lesie urznął kij co w ręku trzyma:
Wołki pod jego wyrosły oczyma.

Oraczu! pług twój na téj żyznéj roli,
Zżył się z twém życiem, z sercem zrosł powoli;
Długież on, długie przetrwał z tobą lata:
Gwarzy do ciebie, niby brat do brata!

Twój stary ojciec, który śpi pod darną,
Jak ty dziś, zorał skibę ziemi czarną;
Wraca i staje u progu i słucha:
Płacz niemowlęcia dobiegł mu do ucha!

Tyś biédny kwilił na macierzy łonie,
Podjął cię ojciec w spracowane dłonie;
Odtąd mu jasnym dni snują się wątkiem:
Dom ożywiła kołyska z dzieciątkiem!

Bawił się z tobą radosny, w dni święta,
Gdy stary Kudel lizał twe nożęta,
A kiedy z pieluch wyrosłoś pacholę,
Bieżysz za ojcem w poskokach na pole.

Czepiasz się pługa, ojciec patrzy w ciebie;
Wołasz na skręcie: „k'sebie wołki, k'sebie!"
Rośniesz i z ojcem dzielisz trud napoły:
On zagon orze, ty poganiasz woły!

W piosence *Smętna dzieweczka*, dostrzegamy ową głęboką zadumę, właściwą tylko poezyi ludowéj.

W ogródku tak jasno, tak cudnie,
Wśród listków poszmeru, łąk woni;
Kos gwiżdże piosenkę w południe:
I czemużto dziewczę łzy roni?

— Swobodne dziewczę twe lata,
Dlaczegóż ty płaczesz, dlaczego?
Wianeczek ci miłość zaplata,
A łezki po licu twém biegą!

Do słońca się róża uśmiecha,
Ni chmurka błękitu nie plami!
— Ach! krótka im, krótka uciecha!
Dziewczyna odpowie ze łzami.

Słoneczko pokryje wnet chmurka,
Nad dobę nie potrwa kwiat dłużéj;
A miłość lotniejsze ma piórka
Od ptaka, słoneczka i róży!

Pieśni wojenne z czasu ostatnich klęsk, zostawiamy do innego sprawozdania. Na zakończenie dajemy jeszcze sonet.

Jezioro.

Jéj dusza to jezioro: po tych wód kryształe,
Przedświt zaledwie barwą odbija słoneczną;
Ziemiaby zagrzebała tu swe łzy i żale,
Gdyby na ziemi boleść nie miała być wieczną.

Tu ptaszęta znalazły kryjówkę bezpieczną,
Kwilą ranną piosenkę; tu lilia wspaniale
Podnosi na łodydze swą koronę mleczną:
Błękitne niezabudki nie więdną tu wcale.

Krynico ty dziewicza! wszystko w łonie twojém
Tchnie pogodą, miłością, modlitwą, spokojem;
Z ziół nadbrzeżnych woń słodka ubiega do góry.

Ku téj fali przeczystéj kto głowę nakłoni,
Zobaczy tylko na dnie, wśród pieśni i woni,
Drżący słońca promyczek i nieba lazury!

Mało który ze zmarłych pisarzy, mówimy tu o pierwszorzędnych, zajmował tak żywo i tak długo publiczność osobą swoją jak Michelet, zmarły blizko trzy lata temu. Nie mówimy tu o pracach erudycyjnych historyka, te zajmą nie jedno jeszcze pokolenie; mamy na uwadze wyłącznie jego osobistość. Żył jeszcze Michelet w Hyeres w ostatnich miesiącach 1873 roku, kiedy już feiletoniści paryzcy, jak ów pogrzebowy apologista króla Stanisława Leszczyńskiego, o którym mówiliśmy powyżéj, z nożem anatomicznym w ręku, rozbierali jego historyczne i literackie prace, chwytali żywe wspomnienia z ust przyjaciół, aby spodziewana wieść o jego śmierci nie zaskoczyła ich z nienacka. To téż zaledwie że telegram oznajmił smutny wypadek, sypnęły się natychmiast rozprawy i rozprawki dostrojone do tonu różnych pism i dzienników. Naiwniejsi czytelnicy, dla których słowo drukowane zachowało jeszcze urok, ginęli w tym odmęcie zdań i sądów zbijających się nawzajem. Ledwie że umilkła ta wrzawa dziennikarska, a oto Paryż zajął się współubieganiem wydawców o pozostałe rękopisma, o prawo do oddruku dzieł dawnych. Jeszcze się układy toczyły, kiedy rok temu, ciekawa książka Gabryela Monod, przyjaciela zmarłego, wtajemniczyła nas w najdrobniejsze szczegóły jego życia, pokazała nam genezę tylu dzieł, tak rozmaitych nietylko treścią lecz i duchem co je ożywiał. Widzieliśmy iż rzecz z Micheletem nie była jeszcze skończona; wdowa bowiem zapowiedziała pamiętnik swój o zmarłym. Gdyśmy czekali téj poetycznéj apoteozy, aż tu nagle pojawia się broszura, dorywczo nakreślona przez nią, pod tytułem: *Grób Micheleta.*

Celem téj publikacyi była okoliczność, że dzieci zmarłego z piérwszego małżeństwa, stosując się do ostatniéj jego woli, wyrażonéj w testamencie: aby zwłoki złożone zostały na najbliższym cmentarzu, pochowały ojca w Hyeres, na jednym cmentarzu istniejącym w tém mieście. Wdowa pragnęła przenieść je do Paryża, lecz nie miała wówczas ani siły do walki, ani dostatecznych dowodów na poparcie prawem własnych życzeń. Powróciwszy jednak do Paryża jęła cierpliwie zbierać te dowody; ogłosiła je drukiem a zarazem wytoczyła proces, domagając się ekshumacyi.

W rękopisach i notach po zmarłym znalazła wdowa mnóstwo zdań rzuconych aforystycznie o grobach i cmentarzach. Słowa to pełne uczucia i smętnéj poezyi. Pani Michelet umiała zręcznie zestawić te aforyzmy i ożywić je własnemi wspomnieniami.

„Serce tak wielkie, mówi autorka, lubo głęboko poranione, nie mogło zamknąć się samolubnie w grobach własnéj rodziny. Co chwila szlachetna jego dusza wybiega od boleści osobistéj, na pole ogólnéj żałoby. Więcéj on łez wylał nad skonem nie jednego narodu, niźli nad śmiercią wszystkich swoich."

Pozwólmy tu sobie maleńkiéj uwagi. Pani Michelet niezupełnie zrozumiała znaczenie łez szlachetnego małżonka: Michelet mógł płakać nad boleścią tego lub owego narodu, lecz jako historyk nowożytnych czasów, wiedział on, że państwa rozsypują się w gruzy, ale narody nie umierają. Smierć ma u niego znaczenie przenośni poetycznéj.

„Ciężkie przeznaczenie historyka, mówi on w niewydanym rękopiśmie, tracić to co serce ukochało, odczuwać w duchu każdą miłość, każdą żałobę ludzkości. Ja, który umiem uniewinniać tyle błędów, dla którego przeszłość tak drogą, idę przez szeroki szlak dziejów niosąc oburącz wielką urnę, jak poeta grecki w roli Elektry, niósł oburącz urnę jéj syna!"

„Cmentarze, ciągnie autorka, owe miejsca żałoby, tak wstrętne dla wielu, szczególnie go zawsze pociągały. Widział w nich schronienia czasowe, pośredniczące pomiędzy życiem a zmartwychwstaniem. Przyprowadzał tu nieraz własne dzieci, pokazywał im kwiaty na grobach, uczył że śmierć jest siostrą życia, że najpiękniéj rozkwita grób najmocniéj ukochany.

„W podróżach odwiedzał zawsze cmentarze, zdejmował z nich napisy. W Szkocyi, na starym cmentarzu Holy Rood zdzierał z grobów odwieczny mech, spodziewając się w pozostałym jakimś wyrazie schwycić ducha przeszłości.

„W Szwajcaryi, na pięknym Campo Santo lucerńskim, wspaniale spiętrzonym na stoku góry, z sercem do głębi poruszoném odczytał smutny napis na grobie dziecka: „Mam lat dwa: jakże to straszno dla tak maleńkiéj dzieciny, iść na sąd i stanąć już przed Majestatem Bożym!" „Nie mogłem oderwać się od tego grobu—mówi Michelet,—zalewałem się łzami, pojmowałem całą otchłań macierzyńskiéj boleści."

Na tym cmentarzu, dodaje autorka, równie jak na wielu katolickich w Szwajcaryi uważaliśmy kropielniczkę pomieszczoną u stóp krzyża, na każdym niemal grobie. Zwyczaj to starożytny: mieszczą ją tam, aby przechodzień pokropił grób wodą święconą, a tém samém przyniósł ulgę, biednéj stęsknionéj duszy. Ptaszę dopełnia tego, na mniéj dostępnych wyżynach: w dzień pije wodę z kropielnicy, wieczorem siada na ramieniu krzyża, przelata zcicha z grobu na grób, świegocze słodko, jakby kołysał do snu zmarłych. Mąż mój dziwnie tym widokiem poruszony, często ku wieczorowi zwracał kroki na cmentarze. „Pożyteczném jest w moim wieku, mawiał do mnie, karmić się

myślą poważną, jaką napotykamy w takich miejscach: dobrze gdy tę myśl ożywia piosenka nadziei!"

Sądził zazwyczaj mieszkańców kraju lub okolicy, z miejsc jakie obierają na cmentarze. Nie lubił ich widzieć ani w miejscach zbyt odległych i stronnych, gdzie nikt ich nie odwiedza, ani też w środku wsi i miasteczek, gdzie nazbyt powszednieją. Z upodobaniem patrzał na cmentarze położone pod miastem, jak np. w Rzymie, pełne drzew, wodospadów i zieleni. Najlepiéj przypadały mu do myśli wystawione na zachód, oświecone jeszcze słabym odblaskiem, podczas gdy ziemia tonie już w wieczornym pomroku. Kiedy mówiąc o sobie wskazywał cmentarz, któryby po paryzkim Père Lachaise najlepiéj go zadowolnił, wymieniał zawsze cmentarz w Clarens, nad brzegiem jeziora Genewskiego, „gdyż tu nie było nigdy nocy."

Najdroższym jednak ze wszystkich był dla niego cmentarz Père Lachaise. „Długi okres mego życia, zapisał w notatkach od r. 1815 do 1825, od śmierci matki mojéj do pierwszego małżeństwa, i badań naukowych, cały ten okres powtarzam, obraca się w ciasném kole, pomiędzy Marais, ogrodem botanicznym Vincennes i cmentarzem Père Lachaise. Tu moje wszystkie uczucia, moje przechadzki z przyjaciołmi, moje straty i moje żale!"

Ostatnie słowa o cmentarzach, zapisał w roku 1869. „Cześć zmarłych, mówi w dziełku: *Nasi synowie*, zyskała szczególniéj w ciągu ostatniego pół wieku. W początku stulecia nie czyniono dla nich żadnéj ofiary, żadnego wydatku, i mamże wyznać prawdę, nie odwiedzano prawie grobów. W południowéj Francyi mało je dotąd odwiedzają. Lud paryzki, okrzyczany najniesłuszniéj po prowincyach jako zimny i samolubny, ze wszystkich jakie znam, najwięcéj czyni dla swych umarłych. W dniu 2 listopada, tłumy napełniają wszystkie cmentarze; każda rodzina pospiesza tam osobno. Odkąd powstanie idea wspólnych pielgrzymek, o umówionych godzinach, uroczystość ta nabierze tém większego znaczenia, i wyborny wywrze wpływ na umysły młodych pokoleń. Odwiedzanie umarłych budzi w nas myśl poważną i słodką, a przytém nadzwyczaj żywotną. Cmentarz, to główny organ miasta, potęga we względzie moralnym. Miasto bez cmentarza miałoby pozór oschły, dziki, barbarzyński. Ileżto świętych i dobrych myśli, jaką poezyą serca, odbieracie żywym, odbierając im ich umarłych. Bywa niekiedy stan duszy boleśny, pośredni, kiedy że tak powiem, jedną nogą stoimy w świątyni, drugą po za jéj progiem; kiedy wahamy się, marzymy! Dlatego to starożytna świątynia otoczoną była portykiem, pod którym przechadzano się, rozmyślano. Tym przedsionkiem świątyni jest dzisiaj dla nas cmentarz! Père Lachaise szczególny posiada urok: z grobów patrząc na miasto, spostrzegamy kipiący wulkan życia!"

„Paryż wszystkiém był dla mnie, zapisał Michelet na inném miejscu. Tu się urodziłem, tu żyłem, tu czeka mnie pobyt nierównie dłuższy nad bieg mego żywota. Moje wrażenia, moje tradycye wiążą się

tu z przyszłością. Wszystkie uroczyste pamiątki życia mego, mają milczących świadków, w tym lub w owym zakącie wielkiego miasta.

„Dziecinne lata moje ubiegły w staréj dzielnicy grodu, zimnéj, wilgotnéj, ponuréj: młodość spędziłem na wesołych przedmieściach. Przez lat dziesięć błądziłem i marzyłem na drodze do Père Lachaise.

„Urodzony w Paryżu, tu żyłem, tu będę pogrzebany, jeżeli Bóg pozwoli.“

Michelet pochowany będzie w Paryżu. Sąd przyznał słuszność wdowie, przekonany dowodami, wyraźnie okazującemi wolę zmarłego. Ekshumacya zwłok i przewiezienie ich do Paryża nastąpi zapewne niedługo.

Testament pisany był w Hyeres, lecz Michelet wskazał w nim Paryż, jako miejsce prawne osiedlenia. Ta okoliczność skłoniła głównie sąd do wydania wyroku na rzecz wdowy. Ponieważ jednak Michelet mieszkał w zachodniéj części miasta, zwłoki jego zatém spoczną nie na cmentarzu Père Lachaise ale na Montparnaskim. Tu pragnienia poety historyka, w tém przynajmniéj zadowolone być mogą, że ostatni blask zachodzącego słońca oświecać jeszcze będzie jego kamień grobowy, kiedy miasto utonie w grubym wieczornym zmroku.

Powiedzmy dziś słówko o teatrze paryzkim. Letnie miesiące jak zwykle, nie przyniosły wielkiego plonu; pomijamy drobne okolicznościowe sztuczki, przedstawione z powodu smutnéj powodzi tuluskiéj. Nie jedna wycisnęła łzy paryżanom i do tych większych ofiar pobudziła szlachetne ich serca, a co więcéj znaczy, tém silniejszym węzłem połączyła Paryż z prowincyą.

Z pomiędzy wyższych utworów, na szczególną uwagę zasługuje dramat historyczny w czterech aktach, wierszem p. Alberta Delpit, pod tytułem *Jan Bosy* (Jean nu pied). Rzecz dzieje się w czasie wielkiéj rewolucyi francuzkiéj w roku 1792. Nie obwiniamy bynajmniéj p. Delpit o naśladownictwo, z ogólnego przecież wrażenia, jakie sztuka sprawiła na nas, przekonani jesteśmy, że wspaniały poemat prozą Wiktora Hugo, *Rok tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty trzeci*, natchnął autorowi myśl do tego dramatu. Treść obu utworów zupełnie odmienna, ale dwa główne typy występujące w dramacie, starego rojalisty, i syna jego młodego Bretona, porwanego prądem nowych idei, przypominają nam starego Lantenaka i młodego Gauvina, z epopei wielkiego poety francuzkiego.

Akt pierwszy rozpoczyna się 9 sierpnia, na dzień przed opanowaniem Tuilleries przez republikanów. Król zagrożony; z głębi Bretanii przybywa stary Markiz Kardigan, w obronie majestatu. Markiz ma trzech synów, wszyscy zaciągnęli się do gwardyi. Dziś pozostało z nich dwóch pod chorągwią królewską, trzeci Jan przeszedł do przeciwnego obozu.

Walka wre, dwa stronnictwa ścierają się z gwałtowną zaciętością. Oddziałem republikanów dowodzi Jan Kardigan. Brat jego

Henryk prowadzi do boju oddział gwardyi. Przy boku jego walczy najmłodszy z braci: ten ostatni pada ugodzony kulą, kona w objęciach ojca.

Stary Markiz z najwyższą boleścią spostrzega Jana na czele republikanów. Rzuca przekleństwo na głowę odstępcy. Jan pochyla czoło w milczeniu, z całą jednak siłą przekonania, ściska w ręku trójkolorowy sztandar, godło nowo zbudzonych pojęć. Na tém zakończa się akt pierwszy.

Rok upłynął między pierwszym a drugim aktem. Jan Kardigan dosłużył się stopnia generała w służbie rzeczypospolitéj. Przezwano go Janem Bosym w skutek bohatérskiego czynu. Potrzeba było, bądź co bądź, zdobyć nieprzyjacielską bateryę. Żołnierze walczyli jak lwy, ale zmordowani kilkodniowym pochodem, w podartéj odzieży, bez obuwia, napróżno dobywają sił ostatek. Nogi ich ociekają krwią, walczyć już dłużéj niepodobna, a jednak idzie tu o los armii całéj.

Posłuchajmy jak wiarus opowiada przygodę:

Jan Franciszek wystąpił, i spojrzy nam w oczy;
Zawoła: „Chcę się przebrać! kto w pomoc przyskoczy!
Rozzujcież wy mnie dzieci: te buty mnie gniotą!“
Pędzim wcwał, z nóg mu buty ściągamy z ochotą;
Nad nami grad ognisty, z paszcz miotają działa:
Stał bosy... jego postać tak nam zolbrzymiała,
Tak serca nam urosły, że po krótkiéj chwili,
Jemu krew z nóg pociekła, my wroga zwalczyli.

Odtąd przezwano go Janem Bosym. Bohatérski młodzieniec pokochał piękną Fernandę, córkę Hewrarda członka konwencyi. Pragnie ją poślubić, ojciec dzieweczki sprzyja mu szczerze, ale niestety! Fernanda nie będzie mu wzajemną: oddała już serce innemu. Celem jéj uczuć Henryk, młodszy brat Jana, dzielny wódz białych Wandejczyków. Henryk z markizem ojcem broni oblężonego zamku Chênes. Błękitni republikanie oblegają zamek, pod dowództwem Jana Bosego.

Republikanie górą! trójkolorowy sztandar powiewa już na baszcie. Stary markiz i Henryk ujęci w niewolę; obaj skazani na śmierć. Jan postanawia uwolnić brata, okupić jego życie własném życiem. Obaj podobni do siebie, nie łatwo ich rozróżnić. Nocą wchodzi Jan potajemnie do więzienia, rozmyka zawarte rygle, podaje bratu własne papiery, zarzuca mu płaszcz swój na ramiona. Łódka czeka uwiązana u brzegu, ale stary Kardigan odtrąca z pogardą opiekę wyklętego syna, którego uważa za wiarołomcę.

Następuje walka uczuć prawdziwie tragiczna. Ojciec pokonany w końcu, nakazuje ucieczkę Henrykowi; syn przywykły do uległości, nie może się opierać. Oddział żołnierzy prowadzi starca na miejsce egzekucyi, obok ojca idzie Jan, gotów oddać głowę własną za głowę Henryka.

W ostatniéj chwili ojciec przebacza synowi, ostatnim pocałunkiem zdejmuje z czoła jego straszną klątwę, błogosławi mu na śmierć. Pluton rozstawiony szeregiem, z bronią wymierzoną w pierś ofiar, czeka tylko na hasło. Zasłona spada.

Dramat żywo zajął publiczność paryzką, można mu dziś już zapowiedzieć długotrwałe powodzenie.

Umarł w tych czasach w Kopenhadze ulubiony poeta i powieściopisarz duński Hans Christian Andersen, którego imię wybiegło oddawna po za obręb ziemi ojczystéj, i zasłużony zyskało w świecie rozgłos.

Andersen urodzony w Odensee, na wyspie Fionii, syn ubogiego szewca, długo i ciężko musiał walczyć, zanim wyrobił sobie stanowisko w literaturze. Bieg życia jego pełen burzliwych przygód. Dzieckiem pracował przy ojcu, jak niegdyś sławny mejsterzinger Hans Sacks, szyjąc buty, nucił smętną piosenkę. Po śmierci ojca obrał zawód krawiecki, lecz i ten nie odpowiadał mu bynajmniéj. Matka widząc jak wstrętną mu była ręczna praca, wyprawiła go wreszcie do Kopenhagi. Szczęśliwy młodzian porzucił z radością igłę i szydło, pobiegł w świat nie pytając co daléj będzie. Wrodzony popęd ciągnął go do teatru. Ale niestety, drobny i nadzwyczaj chudy, mimo pięknego głosu nie mógł występować na scenie. Ogłosił wtedy kilka urywków poetycznych, a między nimi śliczny obrazek *Chore dziecko*. Utwory te zwróciły uwagę słynnych ówczesnych poetów: O. Ehlenschlegera i Ingenmanna; wspomnieli o nim królowi, i wyjednali mu wstęp do najpierwszéj szkoły Kopenhadzkiéj. Młodzian rozpoczął systematyczne nauki w dwódziestym trzecim roku życia.

W kilka lat potém wydał humorystyczną satyrę pod tytułem: *Podróż piechotą do Amak* i znakomity zbiór poezyi. Utwory te z jednéj strony zjednały mu wielki rozgłos, z drugiéj obudziły przeciwko niemu najzaciętszą zawiść. Zrażony wyjechał do Niemiec; tam poznał się z poetą Tieckiem, który przetłumaczył kilka jego poemacików i ogłosił je w pismach. Za powrotem do kraju wydał *Szkice z podróży*. Król odczytał je z upodobaniem, a widząc prawdziwą zdolność w młodym pisarzu, dał mu zasiłek na nową podróż do Szwajcaryi, Włoch i Francyi. Włochy poruszyły szczególniéj wyobraźnię poety, napisał tu jednę z najpiękniejszych swych powieści p. t.: *Improwizator*, znaną w licznych przekładach.

W miarę wzrastającéj sławy Andersena, wzrastała także niechęć zawistnych nieprzyjaciół. Wystawiony przez lat kilka na dotkliwe pociski, wyjechał powtórnie do Włoch; ztamtąd puścił się na Wschód, gdzie go porywała od lat wielu dziwnie poetyczna fantazya. Wrażenie z téj podróży oddał świetnie i malowniczo w *Bazarze poety*. Całą potęgą talentu nie pokonał jednak krytyków. Z sercem rozżaloném opuścił kraj na długo. Odtąd przebywał kolejno to w Paryżu, to

w Berlinie i innych miastach niemieckich; to w Rzymie, Neapolu, Londynie lub Stokholmie.

W ciągu tych bezustannych przejażdżek, rzucał w świat coraz nowe powieści, tryskające życiem, pełne barwy prawdziwie oryginalnéj. Tłumaczono je na rozmaite języki. Z pomiędzy nich znany u nas *Tylko Grajek*, znane niemniéj *Powiastki moralno-fantastyczne* w pięknym przekładzie F. H. Lewestama. Paulina Wilkońska tłumaczyła także zbiór pomniejszych powieści. Do najcelniejszych utworów Andersena należy ciekawa autobiografia: *Opowieść życia mego*, rozpoczęta w Neapolu, skończona w Pirenejach. Ogólny zbiór dzieł jego wydany w Lipsku w r. 1848, obejmuje trzydzieści pięć tomów. Liczba ich wzrosła znacznie od lat z górą dwudziestu.

Andersen zdobywszy sławę u obcych, w dalekich nawet krajach, doczekał się wreszcie słodkiéj pociechy, że i rodacy otoczyli go miłością i zasłużoném uznaniem. W roku 1869, Kopenhaga obchodziła z wielką uroczystością pięćdziesięcioletnią rocznicę dnia, kiedy ubogi chłopiec przybył do stolicy pchany potęgą gieniuszu. Uroczystość ta przypadła podczas pamiętnego kongresu archeologów w Kopenhadze, co ją tém więcéj uświetniło.

Kilka miesięcy temu, Duńczycy wyprawili nową owacyę wielkiemu powieściopisarzowi w siedmdziesięcioletnią rocznicę jego urodzin. Przybyły na tę uroczystość deputacye nietylko ze wszystkich miast duńskich, ale niemniéj z całéj Skandynawii, a nawet z całych Niemiec. Na pamiątkę dnia tego ogłoszono jednę z najcelniejszych jego powieści, tłumaczoną na piętnaście języków i na polski przez F. H. Lewestama.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Symbolical Centenary Chart of American History. Published by J. Horain et comp. 116 Fulton N(ew)Y(ork).

Pod tym tytułem znany literat J. Horain wydał „tablicę symboliczną stuletnich dziejów Ameryki“ a właściwie dziejów Stanów Zjednoczonych Północnéj Ameryki, zgodnie z *poleceniem aktu kongresu w roku 1874*, (jak jest na tablicy), na pamiątkę wiekowéj rocznicy ogłoszenia niepodległości owéj Rzeczypospolitéj. Tablica wspomniana składa się z kwadratu szachownicy ($8 \times 8 = 64$), któréj 64 pól obejmują z dwu boków kolumny pionowe, utworzone każda z 10 takichże pól w ramach, a u góry i dołu tablicy podobnych pól w ramach jest po

siedem, więc razem 34. Tyleż jest portretów, w tych polach, różnych znakomitości z tego setnego okresu życia Rzeczypospolitéj. Z linii 7 portretów górnych odznacza się, większemi ozdobami ramy i rozmiarem, portret Jerzego Uoszyntona (Washingtona) „piérwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych i naczelnego wodza armii powstańczéj," jak objaśnia datą 1732—1799 (urodzin i śmierci jego) dołączony do tablicy arkusz druku, który napisami pól swoich, tak jak w tablicy rozłożonych, uzupełnia symbolistykę 64 pól szachownicy i nadpisy ram 34 portretów, obramiających szachownicę.

Portret Washingtona przykrywa prostokąt okryty pięciu szeregami gwiazd, w każdym szeregu po pięć, bo widocznych jest tylko dwanaście. Cyfra ta niezgodna ani z piérwotną (13, dobrze podaną na sztandarze unii z 1777 w polu 31-ém), ani z żadną późniejszą liczbą Stanów Zjednoczonych, wyraźnie do symbolistyki nie rości prawa; a szkodą, bo taka chorągiew najwłaściwszém byłaby tłem dla obrazu piérwszego prezydenta (1789—1797) i piastuna jéj. Przechodząc kolejno portrety sześciu osób najbliżéj przez wydawcę koło Washingtona umieszczonych, spostrzegamy najbliżéj na lewo wizerunek Nataniela Greene „najzdolniejszego generała Washingtona (ur. 1742, † 1786)." Odpowiada mu miejscem na prawo portret Tomasza Jeffersona „twórcy deklaracyi niepodległości, trzeciego (1801—1809) prezydenta (ur. 1773, † 1826)." Dwa dalsze miejsca zajmują na lewo: Tadeusz Kościuszko „the last defender of the liberty of P. który służył jako oficer artyleryi pod Washingtonem (ur. 1756, † 1817)" i „Gilbert Motier, margrabia de Lafayette, francuzki szlachcic, służący jako generał w armii powstańczéj i pomocny w zawarciu sojuszu z Francyą (ur. 1757, † 1834)." Po przeciwnéj stronie wizerunku Uoszyntona, a koło Dżeffersona jest pomieszczony „Jan Adams, drugi prezydent" (1797—1801) Stanów Zjednoczonych, członek komissyi układającéj deklaracyę niepodległości (ur. 1735, † 1826). Za nim zaś, tak kończąc na prawo linię sześciu portretów górnych, jak to wizerunek Kościuszki czyni na lewym narożniku, widnieje w tablicy Horaina, popiersie Patryka Henry, „odznaczającego się (w walce o niepodległość) mówcy, najdawniejszego i najgorętszego przeciwnika ucisku brytańskiego w osadach anglo-amerykańskich (ur. 1736, † 1792)."

W siedmiu tych portretach wieńczących szczyt tablicy symboliczněj i tworzących rodzaj balustrady dla widoku rozmaitych budynków, autor starał się uwidomić dzieje utworzenia się Stanów Zjednoczonych Północnéj Ameryki. Pomysł to szczęśliwy połączyć w jednéj grupie rodzimych i obcych zapaśników młodéj Rzeczypospolitéj. Mielibyśmy tylko do zarzucenia autorowi rozkład tych portretów: Dżefferson stojąc nie z prawéj ale z lewéj strony, tworzyłby zarazem harmonijną grupę trzech piérwszych prezydentów (piérwszy w środku, drugi i trzeci z *dwu boków;* nie z jednego jak teraz, czego wzgląd *cudzoziemskości* lewéj strony, pomnąc na Grina, nie tłumaczy). Następnie Dżefferson tak miejscem na tablicy, jak w historyi wyrażałby związek Ameryki

z Francyą, coby teraz musiał czynić Franklin, przez pana Horaina, dopiéro na 6 miejscu, pod Lincolnem w prawéj kolumnie umieszczony.

Co do wyboru Kościuszki za reprezentanta udziału byłéj Rzeczypospolitéj w walce nowéj Rzeczypospolitéj, nie będziemy wchodzić w rozprawy z autorem. Nie ulega kwestyi, że bohatérowi amerykańskiemu przypomniał te dzieje młody Aloizy Feliński w następnym wierszu [1]):

Prawodawca bohatér, wódz Amerykanów,
Wybawca uciśnionych a pogrom Brytanów;
Uoszynton ten, prawdziwym wolności jest sługą:
Pisał rząd jedną ręką a bronił go drugą.

Kościuszko! względnym nieba nad nami wyrokiem,
Młodość swoją pod jego przepędziłeś okiem:
Przeciw Albionowi co wolność uciemiężał,
Pod jegoś chorągwiami walczył i zwyciężał;
Teraz gdy on już wieku szczęścia, sławy syty:
Bronią nabyte, piórem pomnaża zaszczyty.

Gdy pod jego opieką Indya szczęśliwa,
Na łonie go swém pieści i ojcem nazywa;
Tobie dola u obcych nie była tak miła, i t. d.

Dobrze więc pan Horain zrobił łącząc, jakby symbole, portrety członków trzech wypadków kończących dzieje XVIII wieku, nad Potomakiem, Wisłą i Sekwaną. Atoli ze względu na udział naszych ziomków w dziejach początkowych unii, to większy on jest ze strony Kazimierza Pułaskiego, jak Kościuszki. Pułaski, może najznaczniejszy zapaśnik konfederacyi barskiéj, grał znakomitszą w Ameryce od Tadeusza rolę. Już w roku 1777 był generałem brygady kawaleryi, potém naczelnikiem wszystkiéj jazdy amerykańskiéj; daléj dowodził oddzielnym korpusem, w 1778 i 1779 roku wsławił się męztwem, wreszcie za Amerykę położył życie pod Saratogą koło Sawannah 1779 roku. To czyni go zasłużeńszym dla Ameryki Północnéj. Wdzięczność téż narodowa Stanów Zjednoczonych wystawiła Pułaskiemu pomnik 1855 r. przy Sawannah, a Longfellow uwiecznił wierszem, który tu kładziemy; nosi on tytuł:

Hymn sióstr hernhuckich w Betleem, na poświęcenie chorągwi Pułaskiego.

Gdy konający dnia płomień
Śle po przybytku swe blaski,
W dali błyszczące pochodnie, słabo,
Głowy w kapturach oświecają,
I kadzideł dym się wznosi,

[1]) Przewod. literacki i naukowy 1875 III, 47.

Gdzie czerwono-barwna flaga
Przed ołtarzem błysła:
Poświęcono ją z modłami.

Wtedy się wznoszą wdzięczne mniszek śpiewy,
Cicho w tajemnicze, mroczne, nawy cienia:
Weź chorągiew! niech powiewa
Dumnie nad dobrym i dzielnym;
Gdy odległéj walki jęki
Mącą świętość téj doliny,
Kiedy surmy dźwięk krzykliwy
Wnika w głąb tych głuchych wyżyn,
Kiedy ostrza w starciu dźwięczą,
A stal twarda w drzazgi pęka:
— Weź chorągiew! i wpośrodku
Kurzów walki i srogości,
Strzeż jéj, pokąd my w ohydzie!
Strzeż jéj! Bóg ci dopomoże!
W ciężkiéj, czarnéj chwili,
Wśród postępu sił niszczących:
W zgiełku broni, ludzi,—
Tarczą Jego dłoń ci będzie.
— Weź chorągiew! lecz gdy noc,
Plac obejmie wrogiéj walki;
Gdy znękany wróg tył poda,
Chroń jéj! przez święte nasze śluby;
Przez nasze modły i łzy mnogie,
Przez tę łaskę, jaką nam świadczysz,
Chroń jéj; ona naszą miłość wzięła:
Chroń jéj! jeśli sam chcesz ujść zguby.
Weź chorągiew! a jeśli kiedy
Ledz masz w żołnierza mogile,
I zgłuszone bębnów dźwięki
Kierować mają marsz smutny,
Wtedy ta purpurowa chorągiew
Będzie ci wojenną szatą, całunem.
I wziął wojownik tę dumną chorągiew
I miał ją za strój bojowy i całun.

Kolumnę 10 portretów, która z lewéj strony okrąża szachownicę symboliczną, rozpoczyna od góry: „Andrzéj Jackson, siódmy prezydent, słynny generał w wojnie 1812 roku, ur. 1767, † 1845.“ Daléj następują: „Winfield Scott wódz naczelny (unii) w wojnie z Mexykiem ur. 1786, † 1866; Ulisses S. Grant wódz naczelny unionistowskiéj armii w wojnie domowéj, teraźniejszy prezydent ur. 1822; Wilhelm T. Sherman, obecny wódz generalny, wzrosły w znaczenie w ciągu wojny domowéj, ur. 1820; Filip St. Sheridan, dzielny dowódzca jazdy w wojnie domowéj ur. 1831; Dawid G. Farragut, admirał floty Stanów Zje-

dnoczonych, wsławiony zwycięztwami pod N. Orleanem i w zatoce Mobile, ur. 1801, † 1870; Krzysztof Kolumb odkrywca Ameryki, urodzony koło 1435, † 1506, Wilhelm Penn założyciel i osadca Pensylwanii ur. 1644, † 1718; Walter Raleigh najpiérwszy i najczynniejszy kolonizator Wirginii 1552—1618." Kończy tę kolumnę portret „Roberta kawalera de la Salle, znakomitego badacza francuzkiego i kolonizatora doliny Mississipi 1635—1687" [1]).

Słupiec z prawéj strony, liczy tak samo jak z lewéj 10 portretów. Zaczyna go „Daniel Webster, drugi odznaczający się mówca (obok Henrego) w pierwszym kongresie Ameryki); jego zamiarem było utrwalić unią (1850) przez układ, zmierzający do umniejszenia stanowych nieprzyjaźni 1782—1852; Henryk Clay, o którym toż samo rzec wypada co o Websterze 1777—1852; Wilhelm H. Seward sekretarz stanu za wojny domowéj, główny przeciwnik szerzenia się niewolnictwa 1801—1872; Abraham Lincoln, szesnasty prezydent, wydał proklamacyą wyzwolenia niewolników, ur. 1809, † zamordowany 1865; Beniamin Franklin odkrył tożsamość błyskawicy z iskrą elektryczną, znakomity filozof i statysta 1706—1790; Eliasz Whitney wynalazca maszyn do tkania bawełny, 1765—1825; Samuel F. B. Morse wynalazca pierwszego praktycznego telegrafu elektrycznego, 1791—1872; Eliasz Howe wynalazca maszyny do szycia, 1819—1867; Robert Fulton pierwszy szczęśliwy wynalazca paropływów, 1765—1815." Ostatnim w téj kolumnie jest „Cyrus W. Field główny promotor transatlantyckiego telegrafu, urodzony 1819."

W seryi siedmiu portretów, która u dołu tak otacza szachownicę, jak siedm wyżéj podanych wizerunków (Waschingtona i innych) zwieńczyło szczyt jéj, pomieszczeni zostali (idąc z lewéj na prawą stronę): „Horacy Greenley znakomity dziennikarz i obrońca zasady wolności pracy, 1811—1872; Karol Sumner jeden z głównych przeciwników niewolnictwa 1811—1873; J. Fenimore Cooper powieściopisarz, 1789—1850; Washington Irving historyk i powieściopisarz, 1783—1859; Wilhelm Cullen Bryant poeta i dziennikarz, ur. 1794; Henryk W. Longfellow, poeta ur. 1807; Jan J. Andubon ornitolog 1780—1851; Jan Ericssohn wynalazca ogrzewaném powietrzem poruszanéj maszyny i żelaznych wieżycowych statków, zwanych monitorami, ur. w Szwecyi 1803, † 1869."

Przeglądając krytycznie te osoby, których wizerunki w liczbie 34-ch pomieścił wydawca na swéj tablicy, znajdujemy, że bohatérzy wojny domowéj (Grant, Sherman, Sheridan, Farragut, Seward) prócz Lincolna i Sumnera zajęli 7 na 34 obrazów, dziwnie niechronologicznie rozrzuconych. Kolumb, Penn, Raleigh i de la Salle są *pod* niemi w lewéj kolumnie, choć ją zaczynają bohatérzy lat: 1812 i 1845. W prawéj kolumnie znów są ludzie słynni w 1850 i zmarli 1852 r., u góry; pod niemi Seward i Lincoln, Franklin (sic) i znów wynalazcy tak po-

[1]) Czemu nie ma misyonarza Marquette, odkrywcy Mississipi 1673 r.?

kręceni, że ludzie urodzeni w jednym roku (1765) i zmarli w 1815 i 1825, to jest Whitnéj i Fulton są odcięci Morsem i Howem, zmarłymi 1867 i 1872; Field rówieśnik Howego, następuje znów po Fultonie, który go oddziela od tego wynalazcy maszyn do szycia.

Taki sam nieład panuje w dolnéj linii, która między piszącymi objęła też Ericssohna i Sumnera.

Z tym zarzutem braku myśli przewodniéj, symetryi, choćby chronologii w rozkładzie portretów, należy połączyć drugi: niezupełności i niedokładności, który dotyczy i układu saméj szachownicy i wyboru wypadków oraz osób dla ich scharakteryzowania. Skończmy jednak wprzódy z portretami. Czemu zostali pominięci przez autora tablicy symbolicznéj Prescott, Bancroft, Motley rodem z Massachusets? Channing z Rhode Island, apostoł unitaryuszów, Smith lub Brougham mormoniści, Emmerson, zasługiwali podobno na upamiętnienie, że pominę, inne sekciarstwo amerykańskie i ich reprezentantów. Nie znajdujemy, ani słynnéj Beecher Stowe, w liczbie rzeczników zniesienia niewoli, ani Manna, Pestalozzego amerykańskiego, ani też słynnego E. Poe, Tiknora, lub też podróżników jak Hudson, Cartier, Cabot, Mackenzie, Grinnel lub Kane, Hayes, Hall i wielu innych. Pomieszczenie Greeleya możeby usprawiedliwić mogło niezaniedbywanie naczelnika stanów skonfederowanych: Dżeffersona Davis, generała Lee, choć to może istotnie było przytrudno zrobić.

To są nazwiska godne wzmianki, których brak na razie w liczbie 34 portretów spostrzegliśmy. Zagadką był też dla nas w ich liczbie wizerunek Kolumba oraz jego i Balboi umieszczenie na tablicy. Obaj ci ludzie należą raczéj do odkrywców południowéj i środkowéj Ameryki, jeżeli w ogóle sława odkrycia tego niepowinna przejść od Kolumba do Pinsona Alonza, który kierował nim, na zasadzie wiadomości zasięgniętych u żeglarza z Dieppe (we Francyi) nazwiskiem Jana Cousin. Cousin ów, kosztem księdza Descaliers, już 1488 odkrył Brazylią i jego niesfornym porucznikiem był Pinzon, ów Kolumbowy doradzca.

Stosowniéj było pomieścić w pierwszych polach tablicy jednego z islandzkich odkrywców Grenlandyi jak np. Gunbjörna (r. 876), Eryka Randy (r. 983), albo też Lajfa syna Randy, który około 1000 r. odkrył przestrzeń lądu amerykańskiego od 40°—42° północnéj szerokości. Jestto więc prawdziwy odkrywca późniejszych Stanów Zjednoczonych. Drake 1578 r., Cook 1778 r., poznający stronę Ameryki od oceanu Spokojnego na wysokości tychże Stanów, lepiéjby się kwalifikowali do tablicy symbolicznéj jak Kolumb i Balboa. Stanowczo zaś po Laifie, jedyny tylko Giovanni Gabote (Cabot Jan), w służbie Henryka VII, odkrywający Neufundland i całe pobrzeże Stanów Zjednoczonych do Florydy, winien był stać na czele symbolicznéj tablicy stóletnich dziejów Ameryki (oczywiście północnéj, nie całéj).

Chyba tylko uwzględniając uwagi Warnhagena, który dowodzi że Kolumb 11 września 1492 r. odkrył Maguayanę (San Salvador), je-

dnę z wysp bahamskich; możnaby owego Genueńczyka policzyć do odkrywców północnéj Ameryki.

Bądźcobądź, pierwsze pole symbolicznéj tablicy dziejów zajmuje obraz jak 1492 r. Krzysztof Kolumb wylądowywa na San Salvador; drugie zaś wyobraża jak 1513 r. Balboa odkrywa Ocean Spokojny i wchodząc w jego fale, obejmuje onego posiadanie w imię swego monarchy. Następuje herb Anglii objaśniony: „1584 r. angielska kolonizacya rozpoczęta przez sir Uoltra Rolé (Walter Raleigh), który wysyła wyprawy do Wirginii.“ Czwarte pole zajmuje biała, liliami złotemi posiana flaga, którą objaśniono: „1535—1685, osady francuzkie założone w Kanadzie i dolinie Mississipi, symbol francuzka bandera.“ Krzew nikotyny i fajka stanowi illustracyą do słów: „1586 r. użycie tytuniu wprowadzone przez osadników sir Uoltra Rolé po powrocie do Europy.“ Szóste pole: „1609 r. Henryk Hudson odkrywa rzekę Hudsońską na statku *Półksiężyc*, w służbie holenderskiéj, wschodnio-indyjskiéj kompanii.“ Nowy Amszterdam wnet zostaje założony przez Holendrów. Symbolem herb holenderski z półksiężycem i gwiazdami w dolnéj części. Na siódmém polu, do połowy widać więzienny mur z głazów i przy nim okowy z łańcuchem. Jestto wprowadzenie niewoli murzynów przez holendrów do Dżemstaunu (Jamestown). Na tle górskiego krajobrazu okazujący się wędrowcy są symbolem kolonizacyi Masczusetu przez purytanów 1620 r. Pole dziewiąte ma za symbol roślinę bawełny, a przypominać ma zaprowadzenie uprawy bawełny w Wirginii 1621. Tomahawk indyjski i pochodnia, skrzyżowane na skalpelu krwawym, symbolizują: 1622 r. rzeź angielskich osadników w Dżemstaunie przez Indyan. Infuła z dwoma kluczami nakrzyż pod spodem odpowiada, w 11 polu, zaludnieniu Marylandu w 1633 r. przez angielskich katolików pod wodzą Leonarda Calvert. Symbol Stanu Rhode Island (kotwica na krajobrazie morskim, z nadpisem u góry „Hope“ nadzieja) odpowiada objaśnieniu: „1636 r. Roger Ujljems (Williams) i jego towarzysze osiadają w Providence (Opatrzność, w Stanie wyspy Rod).“ Budynek z datą 1638 r. upamiętnia darowiznę 800 funtów szterlingów i biblioteki przez Jana Harward w Newtown Kembrydzkiemu seminaryum, które przekształca się na Harward College. Księga oprawna na zielonéj poduszce pod kotarą amarantową uwidomia druk pierwszéj książki (Psałterz Elijota) w Ameryce, w Cambridge w Stanie Massachusets. „Dąb przywilejowy“ symbolizuje na polu piętnastém, nadanie organizacyi rządowéj w 1662 r. Connecticutowi przez iście liberalny, królewski dyplom, który następnie ukryto przed gubernatorem Andros w tymże dębie! Herb Nowego Yorku z datą 1664 r. uprzytomnia wynarodowienie się Nowego Amszterdamu przez osadę angielską. Popiersie Indyanina w pierzastéj koronie, z berłem i pałaszem (w węgle lewém pola) objaśnione jest datą 1675 r. i wzmianką: „król Filip wytacza wojnę osadom nowoangielskim i zostaje zabity w 1676 r.“ Kwakierski kapelusz na pargaminie i dwu skrzyżowanych fajkach pokoju ma być znakiem, że „1682 roku Wilhelm Penn osiedlił się w Pensylwanii na zasadzie po-

kojowych układów z Indyanami.“ Nasz Krasicki położył nacisk na to *pierwsze* zorganizowanie się państwa przez umowę, jakoby oponując przeciw teoryi Russa (contrat social), stanowiącéj umowę za zasadę wszystkich pierwotnych społeczeństw. Arkusz dziennika *Publick Occurences* daje poznać, że to był „pierwszy dziennik w Bostonie, ogłoszony przez Beniamina Harris w 1690 roku. Liczy on obecnie 7,000 prenumeratorów.“

W następném polu farmazońskie znaki cyrkla i węgielnicy nogami skrzyżowanych tak, że w ztąd powstałym kwadracie ukośnym litera *g* być może, symbolizują „pierwszą lożę wolno-mularzy w Północnéj Ameryce, w Bostonie“ 1733 r. założoną. Wizerunek człowieka (Franklina) w czasie burzy puszczającego latawca, uwidomia doświadczenia elektryczne tego filozofa i odkrycie konduktorów w 1752 r. Lew zwycięzko przytłaczający burbońską chorągiew Francyi, przypomina wojnę w 1754 r. toczoną z francuzkiemi osadami, i ostateczne posiądzenie całéj wschodniéj połaci doliny Mississipi przez Anglików. Pargamin zapisany u góry, przytłoczony koroną królewską i palmą, a z dołu podparty szablą, ma być godłem pierwszego upomnienia się osad o swe prawa w roku 1765, które przesłane do króla Jerzego III i parlamentu oponowało prawu metropolii do nakładania podatków na osady bez tychże udziału i wiedzy. Pływający w zielonéj wodzie cybik herbaty jest emblematem zniszczenia herbaty w porcie bostońskim r. 1773, dla wyrażenia oporu przeciw uciążliwym uchwałom handlowym parlamentu (by she zamiast by the mylnie) brytańskiego. Gmach publiczny służy za znak zebrania się kongresu osad 1774 r. w Filadelfii; serce płynące, nad ogniskiem, i przeszyte szpadą, symbolem jest pierwszego rozlewu krwi w rewolucyą w Lexingtonie 1775. Dwa następne pola są zajęte przez pomnik w formie obeliska, i przez kapelusz leżący na szabli i lunecie. Ma to być Bunker Hill i oddanie naczelnego dowództwa Washingtonowi. Polem 29-tém, na którem w głębi słońce wychodzi z morza, na przodzie leży korona do góry odwrócona na ziemi, a wśrodku, jakby mieczem podtrzymany pargamin z napisem *Absolved from all Allegiance* (wolni od wszelkiéj uległości), zaczyna się stólecie dziejów Unii, bo na tém polu usymbolizowano „ogłoszenie jéj niepodległości.“

I my odetchniemy na tém 29 polu, żeby ocenić dotychczasową pracę naszego wydawcy. Niech nam daruje sąd może, jego zdaniem, zbyt surowy, ale nie będzie nam go miał za złe, gdy powiemy że do téj surowości skłania nas przekonanie, które i on pewno podziela. Sądzimy mianowicie, że skoro obczyzna powołuje naszych rodaków do jakiéj pracy dla siebie, winni ją tak dokonać, aby zamawiający nie mieli, ile możności, nie mogli mieć żadnego powodu do uskarżania się na niedokładność wykończenia.

Tablica pana Horaina grzeszy właśnie zbyt może wielkiém odstąpieniem od ścisłych wymagań dokładności. Na 64 pól poświęcić 29 rzeczom niejako przedhistorycznym, jest myślą dość śmiałą. Wydaje się ona tém śmielszą, gdy zważymy niedokładności w wyborze

przedmiotów i wypadków do usymbolizowania tych dziejów przed-amerykańskich.

O Kolumbie i Balboi już mówiliśmy powyżéj, podobnie jak o przemilczeniu właściwych Północnéj Ameryki odkrywców Lajfa i Kabota. Dołącza się do tego zarzut, czemu autor i wydawca nie scharakteryzował niczém pierwotnéj ludności tych okolic, czemu niéma symbolu pochodzenia Szoszonów i innych z Azyi wschodniéj, albo też symbolu *związku siedmiu narodów?* Podobnie i w samych dziejach Stanów-Zjednoczonych pominięte są stosunki z Indyanami, np. 1753 i obecne równie przynajmniéj ważne, jak treść dwu pól ostatnich t. j. „pożar“ Chicago (1871) i zwrot Alabamy (1872) usymbolizowany przeważeniem pióra przez oręż na szali. Gallisonière i Montgomery też pominięty milczeniem na korzyść nikotyny (sic); podobnie niezaznaczono, że francuzi już 1535, więc na 51 lat przed Rolém znali nikotynę, jeśli w ogóle nikotyny użycie w Europie obchodzi Uniją. Daléj spostrzegamy, że niéma wzmianki o piérwszych koloniach angielskich z 1526, hiszpańskich z 1560 za Filipa II i francuzkich w Karolinie z téjże daty. Skoro wspomniana została holenderska osada, godziło się pamiętać i o koloniach innych narodowości. Milczenie też pokrywa byt dwu kompanii angielskich z 1606 r. eksploatować mających Wirginię i N. Anglią. Żałujemy też że autor wspominając o kolonizacyi Masaczusettu, Pensylwanii, Marylandu, Rhode Island, o dziejach Connecticutu, choć w jedném polu nieskupił dat kolejnego powstawania osad angielskich, od 1618 (nie 1620) gdy purytanie osiedli w Masaczusecie, 1619 uorganizowanym w osadę i 1630 zyskującym Boston. Więc milczy o New Hampshire, Maine 1630; (ostatni włączony do Masaczusetu 1677, odłączony 1820), Maryland 1633, Connecticut (1635), Rhode Island 1636. O nowych Niderlandach niéma ni śladu, o zyskaniu Akadyi 1713 r., Karoliny 1729, N. Georgii 1833 r. i t. d. Wydawca też nie scharakteryzował bardzo ważnego faktu, który jest potrzebny tak do zrozumienia legalnego zupełnie objawienia się opozycyi przyszłéj Unii przeciw metropolii, jak i owéj zagadkowéj organizacyi Connecticutu, t. j. zaniedbał uwydatnić systemu trojakiego urządzenia osad angielskich (osady konstytucyjne czyli przywilejowe, królewskie i prywatne). Niéma też symbolu na pierwszy sejm Dżemstauński złożony z 19 obywateli w 1619 r. i o pierwszéj pisanéj konstytucyi z 1621 r. O istnieniu drukarni w Masaczusecie w r. 1638 wydawca wspomina pod r. 1640. Przemilczony pokój w Breda 1677 r., który Anglii oddał całe wschodnie pobrzeże Ameryki. Założenie Filadelfii (1682 r.) połączono z kolonizacyą Pensylwanii (1686 r.). Przyrost późniejszy wewnętrzny przez tworzenie się nowych stanów przemilczany także.

Pozostała część tablicy w 35-ciu polach tak przebiega stulecie dziejów północno-amerykańskiéj Rzeczypospolitéj: 1776 roku zwycięztwo pod Trenton, i klęski na Długiéj wyspie,“ 1777 roku chorągiew narodowa przyjęta, 1777 r. poddanie się Burgoyna, 1778 roku sojusz z Francyą, 1780 roku zdrada Arnolda Benedykta, 1783 roku

zdobycie Yorktaunu i faktyczny koniec wojny o niepodległość, 1783 roku przyznanie Unii za państwo niepodległe w traktacie przez Anglią, 1786—1794 r. system dziesiętny i wybicie pierwszego dolara, 1787 r. konstytucya federalna, 1789 r. Uoszynton pierwszym prezydentem, 1793 r. wynalazek maszyn do tkania bawełny, 1802 r. założenie wojennéj akademii w West-Point, 1803 r. nabycie Luizyjany od Francyi, 1804—8 zaprowadzenie węgla kopalnego do przemysłu, 1807 wynalezienie paropływów przez Fultona, 1812 r. wojna z Anglią, 1819 r. kupno Florydy od Hiszpanii, 1827 r. pierwsza koléj w Stanach-Zjednoczonych ukończona, 1835 r. wojna z Seminolami w Florydzie i usunięcie Indyan na zachód od Mississipi, 1844 r. włączenie Techasu do Unii, wynalezienie t. r. telegrafów elektrycznych, 1846 r. maszyny do szycia i eteryzowanie przy operacyach chirurgicznych, 1847 r. przybycie Mormonów z Utah do Nauvoo i założenie miasta Słonego jeziora, 1848 r. podbój Kalifornii i N. Meksyku, odkrycie złota, 1849 handlowy sojusz z Japonią, 1859 r. produkcya i użycie nafty na wielką skalę w przemyśle, 1860 r. utworzenie się stanów skonfederowanych, od 1860—1865 wojna domowa, 1863 r. akt wyzwolenia murzynów wydany przez prezydenta Lincolna, 1865 r. mord Lincolna, 1866 r. założenie liny telegrafu transatlantyckiego przez Great Easterna, 1867 r. kupno Alaszki od Rossyi, 1869 r. dokończenie linii kolei żelaznéj do oceanu Spokojnego, 1871 r. pożar Chicago, 1872 r. Alabama.

Jużeśmy wspomnieli niedokładność tablicy w usymbolizowaniu nabytków albo kupionych, albo zdobytych orężem. Czyżby autor uczynił to z myślą pewną (arrière pensèe), czyżby lekceważył rozwój organiczny Stanów Zjednoczonych, które nietylko takim zewnętrznym sposobem, ale i wewnętrznem samodzielném dzieleniem się na nowe części, już dojrzałe i potężne w łonie dawnych, rosły w siłę i znaczenie?

Zgodnie z usunięciem tych szczegółów z tablicy symbolicznéj, konsekwentnie zaniechano godeł na wyrażenie różnicy między Stanami i terytoryami, który to systemat tłumaczy drugi proces tworzenia się Stanów, charakteryzuje działanie ich cywilizacyjne na zewnątrz. Nie znajdujemy téż bardzo ważnéj antytezy w symbole jednego pola ujętéj: między Stanami niewolniczo-bawełnianemi i abolicyonistowsko przemysłowemi. Taka antyteza bardzoby dobitnie wyjaśniła zagadkowy u pana Horaina charakter wojny między Konfederacyą a Unią.

Nie zauważyliśmy téż wzmianki o zniesieniu niewoli murzynów w Stanach północnych od 1784—1786, ani téż typowych cywilizacyjnych oznak Stanów południa, północy, Farwestu (zachodu), które zarazem naturę ludzi i ziemi malują. Być może że nietrudno było także wyrazić jakiemiś znakami ustrój państwowy Unii w ogóle i Stanów, przed i po tak zwanéj rekonstrukcyi. Nie spostrzegliśmy również wskazówek wpływu Amerykanów na wyspy oceanu Spokojnego (Hawai, np.) i morza Karaibskiego (Walker) oraz oddziaływania żółtéj rassy (kolisy chińskie) na Amerykę, które grozi rewolucyą nietylko materyalną ale i etnograficzną całéj Północnéj Ameryce. Kończymy rozbiór nasz kilkoma uwagami o wyborze symboli.

Wojna domowa (Meduza z pochodnią) może lepiéjby się uwydatniła walką dwojga dzieci krwawiących się na łonie matki? Wojna z Seminolami niezbyt wyraźnie się charakteryzuje drzewem, fajką i fuzyą. Tablica zgonu Lincolna (w głębi widok lóż teatru, na przedzie trumna z płaskim wierzchem, na stole, który dźwiga rewolwer, i kobiéta kładąca wieniec na trumnie) nie zawiera symboli, lecz obraz niekoniecznie zręczny. Symbole pokoju i wojny (1783, 1812, 1776, 1777, 1765) grzeszą małą wyrazistością i dziwném nieuwzględnieniem wyobraźni. Szpada, pargamin, korona angielska i t. p. powtarzają się z nużącą umysł jednostajnością, na wszelkich tych obrazach. Cech narodowych w ogóle autor unikał, chociaż wieleby życia i charakterystyki dodały jego symbolom.

A mimo to pierwsze wrażenie tablicy symbolicznéj bez wglądania w szczegóły, dla oczu jest miłe. Być może i serce, że to trud ziomka, o wieleby chciało powyższe usterki późniéj wykryte umniejszyć i sąd krytyczny pogodzić z początkowém zmysłów świadectwem. I radzibyśmy wierzyć że nieznane nam względy bądź osoby, bądź okoliczności, ducha lub materyi skrzywiły plan pierwotny a nam nieznany, lepszy, dokładniejszy, w wykonaniu tylko obecnie nam przedstawionéj tablicy skrzywiony.

Te względy pozwalają nam ostatecznie tak sąd krytyczny o pracy pana Horaina sformułować, że zastrzegłszy poprawę dopiero co wskazanych niedokładności, można ją z dobrém objaśnieniem używać do poglądowego wykładu historyi Stanów Zjednoczonych Północnéj Ameryki. *Ernest Swieżawski.*

Teorya stylu polskiego. Napisana przez Józefę Kamocką b. nauczycielkę gimnazyum żeńskiego. Warszawa, 1875 r.

Żywy popęd do czytania, jaki się obecnie spostrzegać daje w młodém pokoleniu, wywołuje potrzebę postawienia pewnéj normy naukowéj, pewnéj sformułowanéj powagi, do któréjby się młodzi pracownicy odwoływać mogli w wyborze i ogólnym kierunku. Autorka „Teoryi Stylu" czynnie dowiodła uznania téj potrzeby, założywszy sobie obznajmienie młodzieży z obowiązującemi w piśmiennictwie zasadami stylu. Wprawdzie styl nie stanowi jeszcze ducha utworu, ale każdemu, kto dotykał się osobiście jawnych i tajnych czynników działających w kształceniu się młodzieży, wiadomo, iż dla pokierowania jéj smakiem najczynniejszą i najpewniejszą jest metoda okazowa. Jest to wiek wrażeń i przeczuć, który tylko pod piękną formą zwykł szukać treści, a najżywotniejsze myśli pomijać obojętnie, jeżeli nie wabią go barwą zewnętrzną. Z drugiéj strony, autorka wcale zręcznie z fizyognomiką piśmiennictwa połączyła widoki na samo jego wnętrze, tak, że czytający obok stylu przyzwyczaja się tu zapuszczać oko

i w treść samą. Do osiągnięcia takiego celu wiele się przykładają trafnie dobierane wzory na każdy z ważniejszych punktów i przeprowadzanie na nich podanéj teoryi.

W głównym wstępie o sztuce pisania, p. Kamocka uzasadnia psychologiczny popęd do nauki i piękna, do zbadania natury języka i nadania mu kształtów estetycznych. Następnie przechodzi do saméj teoryi stylu. Wspomniawszy o tradycyjnym jego podziale na prosty, średni i górny (uznawanym jeszcze przez niedawno zmarłego F. S. Dmochowskiego) stawia nowy podział, oparty na indywidualności osoby lub narodu, tudzież przedmiotu lub epoki. Określa rodzaj stylów: sądowy, naukowy, historyczny i inne. Przytém na każdy rodzaj przytacza wzory z najcelniejszych pisarzy, poczynając od Zygmuntowskich aż do obecnéj chwili.

Przeciwko takiemu rozgałęzieniu form piśmienniczych nic nie mamy od zarzucenia, zwłaszcza, że w rozwoju stylu, jako powłoki zewnętrznéj, przecinają się nieskończenie rozmaite zasady podziału. Zdaje się wszakże, iż nie należy uważać stylu za jedno z *metodą* artystyczną. To, co np. autorka nazywa *stylem lirycznym* (str. 17), który „cechuje się głównie głębokiém, a smutném uczuciem..... jest tylko wylaniem duszy lub tęsknoty serca"..... to podług nas już nie jest stylem. Jest to pewien nastrój ogólny, nic wspólnego nie mający z formą. Nie styl stanowi charakterystykę poezyi Bajrona lub Berangera, Zaleskiego lub Zygmunta Krasińskiego. Bo grupując charaktery tym sposobem, pod każdą mozaiką, ulepioną z metafor wschodnich, moglibyśmy podpisać pompatycznie „Sonet krymski." I byłoby to tak niesprawiedliwém, jak uznawać np. w muzyce „styl minorowy." Z przytoczonego przez p. Kamocką ustępu z *opisu ostatniéj nocy* (ks. Antoniewicza) czytelnik odtwarza sobie obraz duszy wzniosłéj, wysoko-wrażliwéj, duszy *lirycznéj*, ale nie ze stylu.

Autorka widocznie wkroczyła tu w sferę treści. W najobojętniejszym przekładzie arcydzieła (np. w tak zwanych sublinearnych tłumaczeniach łacińskich Homera, w wydaniach Hachett'a, przeznaczonych dla filologów-dyletantów), i w takim nawet przekładzie, jak w stosie popiołu, można poczuć tlejącą iskierkę i rozdmuchać ją, aż do stopnia doskonałości piérwotworu, można do żywego wskrzesić i sam *liryzm*. Ale czyż można nazwać *stylem* Homera tę szkolną sakwę słów i partykuł gramatycznych?

W dalszym ciągu p. Kamocka przechodzi wewnętrzne przymioty stylu: jasność, naturalność, prostotę, zwięzłość, harmonią. „Jasność, podług autorki, jest najpiérwszym i najważniejszym warunkiem stylu." Na to się zgadzamy. Rzeczywiście *przymiotem* nie jest, (jak p. Kamocka zapowiedziała w tytule), lecz tylko warunkiem i to ujemnym tylko. Co nie jest wyrażoném jasno, to uważać możemy za niepowiedziane, za żadne. Sama autorka wyświeca to, trafnie porównywając myśl niejasną ze szkłem okien pomalowanych w najpiękniejsze wzory, lecz o tle ciemném.

Nader cennemi są uwagi p. Kamockiéj o poprawności języka, o niedbalstwie w wymawianiu.

W § „o cechach języka" (str. 60 i nast.), po świetnym wstępie o téj zbiorowéj indywidualności, jaką wyobraża mowa narodu, wyliczony jest krótki, zbyt może krótki poczet zwrotów niewłaściwych językowi: galicyzmów, germanizmów i t. p. Żałujemy, że autorka nie zatrzymała się dłużéj na tym dziale i nie zużytkowała go pedagogicznie. Należało dwie lub trzy pary przytoczonych zwrotów (polskich obok obcych) zestawić porównawczo, wytłumaczyć gruntowny rodowód każdego, a następnie jako naturalny wynik, okazać logiczną niestosowność przenoszenia go *mechanicznie* z jednéj mowy do drugiéj. Okazałoby się ztąd iż np.: „rodzice ukarani dziećmi" w języku naszym znaczy: „rodzice których Bóg za grzechy ukarał (złemi) *dziećmi*," że „odkryć szkołę" nie znaczy „otworzyć," lecz dać wiadomość o istnieniu szkoły jakiéjś, o któréj nie wiedziano dotąd, nie słyszano; tak, jak odkrywamy nieznaną dotąd wysepkę i t. p.. Przytém autorka pewne archaizmy uważa za zwroty obce: „wziąłem czytać," „to nie jest lituanizm, używa go lud," „jak wziął krzyczéć" i t. p.).

Działy o wadach stylu (str. 77) i jego ozdobach (str. 84) wykonane są starannie i pouczająco. Jednak do rzędu wad nadspodziewanie weszła „kwiecistość," i „brak uczucia." Kwiecistość należało postawić w formie dodatniéj i jako dodatnię umieścić w dziale zalet. „Brak uczucia" znowu przenosi nas w dziedzinę treści, jakkolwiek nie możemy w ogóle brać za złe autorce, jeżeli podając zasady stylu, wkracza w granice literatury lub estetyki.

Starannie autorka opracowała dział „o postaciach retorycznych." Użycie przenośni p. Kamocka wyprowadza z „ubóstwa materyału wyrazowego, w obec nieskończonego bogactwa pojęć ludzkich," następnie „z ruchliwości wyobraźni, która chciwie dopatruje związku pomiędzy światem ducha, a światem zewnętrznym." Dodajemy jeszcze, że przenośnia ma za głowną podstawę logiczną ciągłość, która musi panować pomiędzy rozlicznemi znaczeniami wyrazu. Gdyby znaczenie wyrazu, zwane przenośném, nie leżało na jednéj i téj saméj skali z tém znaczeniem, które nazywamy głównem, każda przenośnia byłaby fałszem, bezwarunkowo. W tém rozumieniu, można twierdzić, że przenośnia w obecnym, daleko posuniętym rozwoju wyobrażeń ludzkich, jest nietylko sztuką lub manewrem retorycznym—jest ona główną dźwignią myślenia. Cóż więc nadaje przenośni cechę artystyczną? co stanowi jéj prawdziwą piękność? Oto rozumne zużytkowanie téj łączności, o któréj nadmieniliśmy. I dlatego *przenośnego* znaczenia nie wypada nazywać *niewłaściwém*, jeżeli chcemy być ścisłymi.

W „prozie i jéj rodzajach" autorka określa zwięźle główniejsze grupy utworów prozy, łącząc teoryę z historyą literatury, a następnie podaje charakterystykę czterech głównych epok: złotéj, panegirycznéj, klassycznéj i dzisiejszéj (epoki odrodzenia).

Ważnym przyczynkiem do téj sumiennéj pracy są umieszczone w końcu, obszerne wyjątki z pisarzy wzorowych, poczynając od „Zwierciadła Reja“ aż do „Obrazów litewskich.“

W ustępach z epoki panegirycznéj, radzibyśmy obok zdań łacińskich miéć w nawiasach ich tłumaczenie. Wówczas literatura XVII wieku, pokazałaby się w oczach czytającéj młodzi, czémś więcéj, jak zbyt okrzyczaną pstrokacizną. Albowiem zdania łacińskie, tak potwornie ubarwiające mowę zewnątrz, były to kwiaty modnéj w swoim rodzaju erudycyi, z któremi bynajmniéj porównać się nie da nowoczesny ckliwy makaronizm salonu, jakkolwiek z drugiéj strony pokazują one brak ducha samodzielnego i chorobliwą żądzę dopełniania siebie cudzemi myślami.

Do rzędu zalet pracy p. Kamockiéj przybywa jeszcze: jéj styl płynny, poprawny, w wielu miejscach świetny. Zwracamy jednak uwagę autorki, na potrzebę miarkowania się w okresach; baczności w używaniu pewnych spójników, (nie szuka ozdób, *a* jest tylko wylewem duszy; tu spodziewanym był spójnik *lecz*, albo, jeszcze prościéj, żaden. Spójnik ten wyraża wprawdzie i *sprzeczność*, ale słabszą; tak np.: „młody a już sławny“).

Używanie zaimka *jeden* zamiast *sam*, (*jedyny*), nie zgadza się z duchem języka. Podobnież, zamiast: „język *pełen* makaronizmów, rozwijał się“ i t. d.; należało powiedzieć: „język *pełny* makaronizmów“ bo tylko w opowiedniku pozwala się na skracanie. *F. J.*

Obrazki Syberyi, przez Ludwika Niemojewskiego. Illustrował E. M. Andriolli. Warszawa, nakładem i drukiem J. Ungra 1875 r. (w 8-ce str. 497).

Literatura polska w piérwszych latach naszego stólecia ubogą była w oryginalne podróże. Wiek XVIII jednakże już zaznajamiał nas z Syberyą.

W roku 1789 w Warszawie wyszła książka p. n. „*Pamięć dzieł polskich, podróż i niepomyślny sukcess Polaków, przez urodzonego Karola Lubicz Chojeckiego*“ (w 12-ce str. 165); przypisano Janowi na Złotym Potoku Potockiemu krajczycowi koronnemu.

Dziełka tego Mickiewicz nie znał, gdyż w swym wykładzie mówiąc o brygadyerze Kopciu i innych, o tém nie wspomina.

Chojecki jako konfederat barski należał do oddziału pod wodzą marszałków: Czarneckiego i Potockiego, broniącego Krakowa. Kiedy przeważnéj sile uledz musieli, zabrany do niewoli, opisuje swoją podróż z Kijowa do Kazania, daléj do Tobolska i do Tary.

Służąc w wojsku rossyjskiém: „Byłem (jako sam wyraża we wstępie) na saméj granicy chińskiéj. zkąd do Pekinu, stołecznego miasta Chinów, nie więcéj jak mil trzysta rachowano, a zatém przejeż-

dżałem przez wiele tatarskich prowincyi do Moskwy nienależących, jako to: Kirgizów, Buharców, Chiwińców i Taszkińców, których zwyczaje, życie i rządy kraju uważałem. Sześć lat w wojsku służyłem, i podczas buntu Pugaczewskiego, w kilku bitwach przytomnym zostawałem."

Znalazłszy dobrą sposobność ucieka, dostaje się szczęśliwie do wybrzeży Dniepru, i w końcu 1776 roku staje szczęśliwie na granicach swego kraju.

Zajmujące to pod wielu względami dziełko, wprędce wyczerpane zostało z obiegu księgarskiego, i już od wielu lat do rzadkości bibliograficznych należy.

Upływa rok ośmdziesiąty szósty od wyjścia wędrówki Chojeckiego z druku, i kraje które opisywał zatarły się powoli w pamięci. Na nowo Syberya. jak i ludy koczownicze, lepiéj poznane i zbadane przez naszych rodaków zostały dopiéro po roku 1830.

W tym okresie nietylko miejscowości o których wspomina Chojecki, dokładniéj i obszerniéj mamy opisane, ale zarówno i skalisty Kaukaz. Z nad brzegów Toboli i Leny, wśród obozowisk kaukazkich, kreślili rodacy nasi szkice swych podróży, lub wylewali swe uczucia słowem poetyczném. Gustaw Zieliński po siedmioletnim pobycie na Syberyi, ztąd czerpie treść i natchnienie do dwóch swych poematów, *Kirgiz i Stepy;* Ewa Felińska kreśli swoje *Wspomnienia o Syberyi.* Szereg tych pisarzy jest liczny i Biblioteka Warszawska nie mało ich prac tak prozą jak wierszem drukowała. Obecnie przybywa nam nowe dzieło o Syberyi, p. Ludwika Niemojowskiego, dawnego współpracownika pomienionego pisma.

Autor dzieli je na cztery części. to jest na studya: 1) etnograficzne, 2) zoologiczne, 3) ekonomiczne i 4) obyczajowe.

W piérwszych maluje piérwotne plemiona na Syberyi, które się dotąd przechowały, ich język, zwyczaj, obyczaj, mieszkania i pokarmy, gry i zabawy, obrzędy weselne, cnoty i zdrożności, pojęcia religijne i stronę duchową. W śpiewach Tunguzów słyszy dotąd wspomnienie sławnego Dżingishana.

Rzecz godna uwagi, że w obchodach weselnych na Syberyi, znajdujemy wiele zwyczajów podobnych, jakie widzimy na Rusi i u naszego ludu.

Pannę młodą sadzają na krześle drużki, rozplatają jéj kosę i śpiewają pieśni téjże saméj treści, że już z dziewczętami bawić się nie będzie, gdy zedrą jéj wianek z głowy i chustką włosy obwiną.

Podobnie i przy obchodzie pogrzebowym, stary zwyczaj, rozwodzenia żalów w pieśni, utrzymał się dotąd.

Autor przywodzi jednę z nich, kiedy zmarły był młodym parobkiem i zgasł w kwiecie wieku. Matka idzie za pogrzebem, śpiewając jednotonnym przeciągłym głosem: „Umarłeś Igorku! pozostawiłeś mnie matkę bez syna, a gospodarstwo bez robotnika! I któż będzie teraz jeździł w pole, kto będzie kosił trawę w jesieni, kto

przywiezie drzewa na zimę! Nikt cię nie zastąpi Igorko, bo byłeś chętnym do pracy! Umarłeś! i żałują cię wszystkie dziewczęta wioski, boś ty umiał najweselsze pieśni śpiewać, a w tańcu nikt tobie nie wyrównał. I żałują ciebie wszyscy towarzysze, boś im dodawał ochoty swoją bałabajką. I pusto będzie bez ciebie Igorko! A któż mnie teraz pomoże w rolnéj pracy? Kto mi da na starość kawałek chleba? Kto mnie pochowa, gdy umrę? Biéda nam tylko zostanie i nędza!"

Czasami gdy matka jest bogatą, najmuje płatne kobiéty, ażeby śpiewały na pogrzebie zwyczajem uświęcone żale!

Tym sposobem dzieci opłakują swoich rodziców, żony mężów i rodziny krewnych.

Rozdział ten o 144 stronnicach bitego druku, zaznajamia nas dokładnie ze wszystkiemi pokoleniami zamieszkującemi Syberyą. Studyum to opracowane starannie i wyczerpująco. W końcu wyczytujemy następne uwagi autora:

„Gdy badamy obyczaje włościan syberyjskich, dwa szczególniéj odcienia uderzają nas w ich usposobieniach i ogólnym charakterze. Z jednéj strony niezwykła bystrość, wrodzona pojętność i przebiegły rozum; z drugiéj zaś: zupełny brak moralnych zasad, oschłość serca i rozprzężenie złych nałogów; pierwsze z nich są nieocenionym darem natury, skarbem, jaki wyda z czasem błogie owoce; drugie, wypływem zbrodniczych idei, któremi karmią się tradycyjnie ich potomkowie. Przyszłość jednak Syberyi jest wielką i świetną!

„Ziemia ta, leżąca dziś odłogiem, nietylko w łonie swojém ukrywa niezmierne i nieprzeliczone bogactwa przemysłu i handlu, ale w przerodzeniu się moralném i umysłowém ludności, nosi myśl brzemienną postępem i pomyślnością ogólną.

„Przerodzenie to nastąpi wtedy, gdy cywilizacya, wyciągnąwszy do tych stron podbiegunowych, żelazne ramiona kolei, złączy z resztą świata krainę, która z powodu swego oddalenia, przymuszona jest dotąd żyć w bezwzględném odosobnieniu."

Myśl ta daje autorowi wątek do *studyów ekonomicznych*, których główną treścią jest wykazanie korzyści nietylko pod względem materyalnym ale i duchowym, gdy zostanie przeprowadzona przez Syberyą koléj żelazna. Podniesienie się rolnictwa zaniedbanego, bogate surowe płody, dałyby świetny rozwój przemysłowi i handlowi, a przytém i cywilizacyi.

Studya zoologiczne obejmują faunę syberyjską i wyliczenie dzikiego zwierza w wielu rodzajach. Autor na czele tego rozdziału stawia niedźwiedzia w dwóch gatunkach: *ciemno-brunatnego* i *białego*. Pierwszy, od stóp Uralu aż do krańców Kamczatki przemieszkuje w lasach, głównie żywiąc się miodem pszczół *tajżnych*, rojących się obficie latem wśród leśnych obszarów; drugi, niedźwiedź *biały* podbiegunowy, przemieszkuje w najwięcéj posuniętych na północ strefach gubernii Tobolskiéj, Jenissejskiéj i Irkuckiéj. Autor, ze szcze-

gółami opisuje polowanie na obadwa gatunki, zarówno niebezpieczne, a potrzebujące nietylko wprawy ale odwagi, gdyż głównie jak Tunguzy, używają oszczepów, a rzadko broni ognistéj. Kula niezawsze gęste kudły przebije, i rani śmiertelnie, gdy oszczep nigdy prawie celu nie chybi, a w pomoc jemu przychodzi nóż dobrze wyostrzony.

Wilk syberyjski, większy od europejskiego, ma sieré białą; barwa ta jednakże w miarę oddalenia od bieguna północnego zmienia się stopniowo pod wpływem coraz łagodniejszego klimatu, na siwą, płową i brunatną.

Lis płowy, z rzadkiém zjawiskiem odmiany *czarnego* włosa; *sobol*, tylko w południowych stronach Syberyi wschodniéj przebywający; *wiewiórka syberyjska* (*bielka*) dająca w handlu futerko zwane *popielicami*, i *gronostaj*, są celem łowów syberyjskich plemion, i przedmiotem handlu. W rzędzie zwierząt których futra są w większéj lub mniejszéj cenie, autor wymienia *burunduka*, zaledwie mającego trzy do czterech cali, barwy kasztanowatéj; błamy z ich futerek mają swoję wartość; a w końcu *letiaga*, rodzaj nietoperza. Ze zwierząt których mięso służy za pokarm (z wyjatkiem białych zajęcy, których nikt tu nie jada, mając je w obrzydzeniu) na czele stawia słusznie autor *reny*. Ren karmi Syberyaka mięsem, poi własném mlekiem, odziewa swoją skórą, i służy do zaprzęgu.

Do rzędu tego rodzaju należy jeleń, łoś i sarna; w końcu zatrzymuje uwagę nad dzikiemi kozami, co wzdłuż granicy chińskiéj żyją na skalistych urwiskach gór *Sajańskich*. Z pomiędzy wielu odmian tych zwierząt, godne wspomnienia dwa szczególniéj: *koza piżmowa* i *koza pręgowata*, zwana przez mongołów *żymin;* pierwsza jest poszukiwaną dla drogocennych pęcherzyków piżma; żymin zaś dla futra. Łowy na nie są równie trudne i męczące, jak na *kozice* w Tatrach.

Żałować przychodzi że autor, który jak sam pisze „będąc mieszkańcem stepów, tajg i obszarów prawie bezludnych, śledził ze szczególném zamiłowaniem, „obyczaje stworzeń dokoła żyjących," nie dał nam bliższego opisu, całego bogactwa fauny syberyjskiéj. Przewidywał widać że go ten zarzut spotkać może, gdyż na obronę swoją przywodzi: „że nieznając dokładnie zoologii, niemając przytém żadnéj książki fachowéj pod ręką, nie mogłem oznaczyć dla nich, ani odpowiedniego miejsca, ani nawet częstokroć nazwać przyjętém w nauce imieniem." Sądzimy wszakże, że dokładny opis tak zwierząt jak ptastwa, zbadanych bliżéj z właściwą nazwą miejscową, byłyby dostateczną wskazówką dla każdego zoologa.

Do zwierząt na pokarm służących doliczyć należy nieprzeliczone stada białych kuropatw, cietrzewi, głuszców, gęsi, kaczek, jarząbków, słomek, łabędzi dzikich i w. i.; zalegają one pola, tajgi, lasy, pustynie i stepy: chwytają je łatwo w sidła, a po jednym wystrzale z broni palnéj, pada zwykle kilka sztuk naraz, tak gęste są ich stada.

Cały ten drugi rozdział, któremu autor dał poważny napis: „*Studya zoologiczne*," w końcu nazywa prostą pogawędką z czytel-

nikiem, uważamy za zbyt pobieżny; sądzimy że należało się trzymać pierwszego tytułu. Wszelako i *w pogawędce* było szersze pole do zaznajomienia czytelnika lepiéj z fauną syberyjską.

Rozdział czwarty i ostatni, *Studya obyczajowe*, obejmuje piętnaście powiastek i opowiadań, do których wątek dał długi pobyt autora w Syberyi. Zajmujące tu znajdujemy szczegóły i obrazy tak ludzi jak i wypadków niezwykłych, i oryginalnością swoją pociągających; pomiędzy wszystkiemi uderza głównie opowiadanie p. n. *Forteca ze śniegu*, w któréj sam autor występuje jako głównie działająca osoba, w obronie bezpieczeństwa własnego, ze zdumiewającą energią i odwagą. Jest to obraz porywający w każdym szczególe, i nieraz zgrozą czytelnika przejmujący.

W tych studyach bliżéj się zaznajamiamy z różnorodną ludnością w Syberyi i wśród niéj wydatnieje żywo postać *kozaka-kramarza*, który niepoślednią rolę odegrywa w téj społeczności. Biografię podobnego kupca, przedstawia nam autor w osobie kramarza-posiłeńca *Arkadiego Saicz Gubanow'a*, a zarazem fałszerza pieniędzy papierowych. Zamyka zaś szereg tych obrazków opowieścią: *„Filozof nad brzegami oceanu Lodowatego.“* Był to wykształcony Rossyanin, który szukał daremnie wpośród dzikich plemion, zdala od cywilizowanego świata, ciszy i spokoju. Poeta tworzył piosnki, któremi słodził sobie dobrowolną samotność. Pan L. Niemojowski podaje nam w oryginale rossyjskim jednę z jego pieśni, i załącza swój przekład, który załączamy, bo dobrze maluje chorobę duszy owego filozofa.

„Niech się śmieją niegodziwi,
Niech się tai w cieniu złość;
Niech świat hańba jadem żywi,
I rzuca niezgody kość:
Ja wciąż płynę: nikną gaje,
Nikną ślady wszelkich dróg;
Lecz gdzie życie już ustaje,
Jedną tarczą moją Bóg!
Od Angary, do mórz fali,
Wszędzie smętny dziki świat,
Ni tam szczęścia, ni téż żali,
Tylko cisza wiecznych lat.
W płowych bagnach zieleń ginie;
Niema brzasków, lśni wciąż dzień;
Czasem tylko po gęstwinie
Mknie stepowca błędny cień.
Syny pustyń, zstąpcie tłumnie
Z gór i lasów, gdzie blask wód,
Serce bratnie dla was u mnie:
Jam się wyparł świata złud!“

Po długich wędrówkach, w nadziejach swych zawiedziony, wróciwszy w towarzystwo dawne, niezadowolony z niczego, pragnął „jeszcze daléj wędrować, choćby nawet do samego bieguna północnego.“ *Obrazki Syberyi* należą do tych dzieł, które obznajmiając nas z tak odległą krainą w tylu różnorodnych szczegółach, obok nauki łączą w sobie ten powab w malowaniu, że czytelnik z upodobaniem czyta je od pierwszéj do ostatniéj karty, z równém zajęciem. Zasługa to talentu autora, a najwymowniejszym dowodem wartości tych *obrazków*, że w krótkim przeciągu czasu, bo niespełna jednego roku, cała edycya wykupioną została, i mamy już zapowiedziane drugie wydanie. Sześć rycin zdobi część ostatnią, obejmującą *Studya obyczajowe:* w nich znakomity illustrator M. Andriolli niemiał pola dla swego ołówka. Spodziewamy się że przy drugiéj edycyi, powiększonéj co do treści, znajdzie więcéj sposobności do okazania swego talentu. *W.*

Słowniczek Łacińsko-polski wyrazów prawa Magdeburskiego z wieku XV, przedruk homograficzny z kodeksu Kórnickiego objaśnił Dr. Zygmunt Celichowski. Poznań. Nakładem biblioteki Kórnickiéj. 1875, (w 8-ce str. 16 i 12 podobizny).

Jednym z najważniejszych kodeksów biblioteki Kórnickiéj jest kodeks pomieniony, zawierający przeważnie zabytki dawnego prawodawstwa polskiego; pod tym téż względem rozpatrywany był przez Jana Wincentego Bandtkiego i A. Z. Helcla, i przez obudwóch opisany; prócz tego obejmuje jedno z najstarszych tłumaczeń *Statutu Wiślickiego*, a dobry znawca tego rodzaju zabytków, Antoni Małecki, czas pisma tego kodeksu do roku 1460 odnosi.

Jan hr. Działyński kazał cały ten drogocenny pomnik w najwierniejszéj odbić podobiźnie, przez co odda prawdziwą przysługę badaczom języka polskiego. Przy téj sposobności właściciel biblioteki Kórnickiéj zwrócił uwagę na drugi mniejszy zabytek dawnéj polszczyzny, znajdujący się w tymże kodeksie, to jest powyższy: „*Słowniczek łacińsko-polski* wyrazów zachodzących w prawie Magdeburskiém,“ i polecił go również w homograficznym odbić przedruku. Dr. Z. Celichowski rzecz gotową objaśnił i przedmową opatrzywszy wydał. Słowniczek ten obejmuje 180 wyrazów. Wydawca wspomina, że zabytek ten W. A. Maciejowski w *Historyi prawodawstw słowiańskich* (tom VI, drugie wydanie) opisał, ale czyni zarazem zarzuty, że badacz w pomienioném dziele, błędnie wyrazy z niego przytacza.

Słowniczek ułożony jest alfabetycznie, podany spis wyrazów polskich zasługujących na uwagę, bądźto ze względu na znaczenie lub formę, bądź téż z innych powodów. Wyrazy te podaje p. Celichowski w pisowni nowoczesnéj; ilekroć zaś uważał za rzecz potrzebną przytoczyć wyraz jaki w pisowni oryginalnéj, drukuje go dla

odróżnienia kursywą. Dla porównania lub objaśnienia umieszcza obok niektórych wyrazów pokrewne formy, zachodzące w innych zabytkach, niemniéj kilkanaście wyrazów ze słowniczka *Kodeksu Floryańskiego*, których udzielił mu prof. Nehring.

Dowiadujemy się, iż oprócz powyższego słowniczka, objaśniającego wyrazy prawa Magdeburskiego, znajduje się w tymże kodeksie początek innego słowniczka pod tytułem: „*Vocabula juris provincialis et feodalis.*“ Urywa się on na pierwszéj stronnicy i zawiera ledwie kilkanaście wyrazów polskich, z których kilka wydawca uwzględnił w spisie drukowanym.

W końcu pocieszającą wyczytujemy wiadomość, że nakładem biblioteki Kórnickiéj wyjdą wkrótce w przedruku homograficznym, trzy nieocenionéj wartości zabytki: 1) *Prawa polskie* wykładane przez „*Mystrza y doctora Swanthosława Swoczyesszyna*,“ oraz „*Xanschanth Mazoweskych* przez *Maczieya z Rozana*,“ wedle kodeksu pisanego przez „*Mykolaya Suleda.*“ Z puławskiego pergaminowego rękopismu z lat 1449 i 1450. 2) *Statut Wiślicki* w polskim przekładzie z kodeksu Kórnickiego z roku 1460. 3) *Psalterz królowéj Jadwigi* z kodeksu Porycko-Puławskiego. *R.*

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Wrzesień 1875 r. — Pomnikowego wydawnictwa *Encyklopedyi Rolniczéj* pod redakcyą T. Lubomirskiego, S. Przystańskiego i E. Stawiskiego, już tomu trzeciego mamy zeszyt piąty. Zaczyna się od wyrazu *Gostomski Anzelm*, słynny pisarz rolniczy (praca jedna z ostatnich ś. p. Cypryana Walewskiego) a kończy na Hygienie. Tom ten oprócz wielu rycin, zawiera dwie ważne mappy: mappę rolniczą Rossyi Europejskiéj i Królestwa Polskiego.

— Księgarnia Gebethnera i Wolffa przygotowywa z całym przepychem typograficznym wydanie *Maryi Malczeskiego*, z illustracyami M. Andriollego. Rysunków tych, wykonanych czarną kredką do reprodukcyi fotograficznéj, jest ośm; a po szczególe: 1) Ukazanie się wojewody w okazałych komnatach i rozmowa z synem, 2) Dumanie miecznika pod staremi lipami z Maryą nad Księgą Żywota, 3) Rozmowa Wacława z Maryą, gdy jéj pyta:

„Czyś ty nie chora? bo masz taką postać,
Jakbyś się do aniołów myślała już dostać.“

4) Przybycie masek do dworu miecznika, 5) Epizod bitwy z Tatarami, gdy miecznik ma „w kark niewierny święcone utopić żelazo," 6) Marya na rozesłaném łożu, w żałobnéj odzieży, w chwili zjawienia się Wacława, 7) Odjazd Wacława z tajemniczém pacholęciem, 8) Zgon miecznika w nachylonéj postaci, przy mogiłach córki i żony. Wydanie to ukaże się już wcześnie przed Nowym Rokiem. Przed ośmiu laty, zasłużony księgarz J. K. Żupański wydał piérwszy ten poemat w okazałéj edycyi ze stalorytami, podług rysunków Antoniego Zaleskiego, illustratora *Pamiętników Paska*. Tekst przedrukowany został ściśle wedle piérwszéj edycyi, pod okiem samego autora w Warszawie 1825 roku wydanéj. Oprócz karty tytułowéj zdobi ją 12 stalorytów i cztery drzeworyty w tekscie. Obecnie nowe wydanie podaje illustracye w większych rozmiarach, jak A. Zaleskiego. Przypomnieć tu należy, że utalentowany malarz krakowski Walery Eliasz, oddawna przygotował 12 pięknych akwareli do illustracyi tegoż poematu, które oczekują na wydawcę.

— W dalszym ciągu wydawnictwa romansów historycznych Walterskotta, w nowym przekładzie Michała Grubeckiego, ukazał się z pod prassy tom piérwszy *Ryszarda Lwie serce*.

— Powieść Kajetana Kraszewskiego, ogłoszona w odcinku jednego z pism galicyjskich p. n. *Koniuszyc Brzeski*, wydrukował w przekładzie czeskim *Pokrok* w Pradze wychodzący pod tytułem: „Złota Kolasa księcia Radziwiłła."

— W Suwałkach Antoni Kolankowski wydał zbiór swoich poezyi p. n. *Ostatnie Akordy*. Większą połowę zajmują na czele oryginalne utwory, w drugiéj mamy wcale udatne przekłady z rossyjskiego z Puszkina, Lermontowa, Nekrasowa i Tołstowa, (w 12-ce s. 255).

— Rzeźbiarz tutejszy, znany już zaszczytnie, p. Karol Kloss, twórca uwieńczonéj *Wisły*, przygotował posąg *Rzeczypospolitéj Północno-amerykańskiéj*, na wystawę w Filadelfii w roku 1876.

Jestto postać wyniosłego wzrostu niewiasty o surowém, pełném powagi spokoju i energii obliczu. Głowę jéj okrywa korona republikańska, ozdobiona wawrzynem. Zbrojna ta postać, krusząca stopą godła zależności i niewoli Murzynów, dzierży dobyty miecz w prawéj, w drugiéj zaś ręce tarczę w sposób osłaniający i obronny. Na tarczy herb Stanów Zjednoczonych: Orzeł z dziesięciu gwiazdami na piersiach i ze wstęgą w dziobie, na któréj wyryte jest godło: „*E pluribus unum*."

Figura ta stanowi główną część pomnika. Stoi ona na globie unoszonym przez cztery orły, pod któremi ośmiościenna podstawa służy za tło czterem narożnym posągom, wyobrażającym bohatérów walki amerykańskiéj, między któremi Washington i Franklin przednie zajmują miejsca. Niżéj na okrągłym cokule dokoła w płaskorzeźbie XIII połączonych ze sobą i właściwie usymbolizowanych postaci, przedstawiających XIII Stanów, które w r. 1776 piérwotny akt niepodległości ogłosiły. Na stopniach podnóża, po czterech jego ro-

gach, leżą cztery symboliczne postacie oceanów, wynurzających z łona swego Amerykę.

„Tygodnik Illustrowany" (nr. 401), w pięknym drzeworycie przedstawił nam całą postać tego posągu stojącego na globie, który wymownym jest dowodem talentu polskiego rzeźbiarza.

— Z powodu wydania poezyi I. B. Zaleskiego we Lwowie, nakładem księgarni Gubrynowicza i Szmidta, w „Kronice Rodzinnéj," A. E. Odyniec podaje nam ciekawą wiadomość o piérwszych jego utworach. „Autor „Rusałek," „Przenajświętszéj Rodziny" i „Kalinowego Mostu," po raz piérwszy nastroił swój pieściwy i śpiewny teorban kędyś w okolicach Kijowa, i to podobnie jak Mickiewicz w swéj „Zimie miejskiéj," nastroił na ton wysoce klassyczny. Najdawniejszy wierszyk Zaleskiego „Do Pirry," drukowany w „Dzienniku Wileńskim" z r. 1819, zatém przed pięćdziesięciu sześciu laty, nie różni się od innych pisanych wtedy do Korynny, Lindory, Doryndy, Tomiry i innych pastuszek w atłasowych trzewiczkach. Dopiéro po przybyciu do Warszawy i oddaniu się pod wpływ dotąd należycie nieoceniony Brodzińskiego, młody poeta stał się tém, czém miał zostać: romantykiem, to jest pisarzem narodowym. Wskazuje to piérwsza w Warszawie drukowana ballada „Lubor," ogłoszona w *Pamiętniku Warszawskim* Brodzińskiego 1822 roku; wskazuje daléj „Dumka hetmana Kosińskiego," ogłoszona w témże piśmie 1823 r., „Śpiew poety" tamże 1825 roku, a nareszcie i owa przesławna „Dumka Mazepy" w *Motylu* z 1828 roku. Piérwszy jednak, bardzo szczupły, jednotomikowy zbiór poezyi Zaleskiego, z „Rusałkami" na czele, ukazał się dopiéro w roku 1837 we Lwowie. Dopiéro zaś w lat piętnaście późniéj B. M. Wolff w Petersburgu dał wydanie czterotomikowe, o wiele kompletniejsze, w którém się znalazła i „Przenajświętsza Rodzina," i „Duch od stepu," i „Pieśni serbskie," i wiele innych rzeczy nam przedtém nieznanych. Lecz i ta edycya petersburska jest już w téj chwili wyczerpana, a cena jéj antykwarska, zostawiona do woli kaprysowi sprzedawcy i możności nabywcy, nieraz bywa bajecznie wysoka. Nowe zatém wydanie *Poezyi I. B. Zaleskiego* bardzo jest pożądane; a jeśli wieści nie mylą, że autor i przez ostatnie lat dwadzieścia kilka po wydaniu petersburskiém, nie przestawał „wzdychać pieśniami," to pożądane jest podwójnie."

— Przed ukończeniem druku w *Kłosach* komedyi w 5 aktach Jana Zacharyasiewicza: *Kupno i Sprzedaż*, wyszło z pod prassy tłumaczenie tego utworu w języku rossyjskim, i stanowi piątą i ostatnią część pierwszéj seryi wydawnictwa p. n. „*Dzieła wyborowe polskich pisarzy* dramatycznych."

— *Przyczynek do dziejów Ukrainy* ogłosił w Moskwie, w niewielkiéj liczbie egzemplarzy p. J. Bodiański w przekładzie z rossyjskiego p. t.: *Regestra całego wojska Zaporozkiego, po ugodzie Zborowskiéj z królem polskim Janem Kazimierzem, ułożone dnia 16-go października 1649 roku.* Ogłoszenie tego ważnego dokumentu dokonano podług

oryginału; książka w 8-ce zawiera XXXIV stronic wstępu, 338 stronic tekstu, oraz dwie tablice podobizn.

— *Koran Mahometa* wyszedł w Petersburgu w przekładzie rossyjskim, dokonanym z przekładu francuzkiego p. M. Kazimirskiego, jednego ze współredaktorów pisma Warszawskiego. Sumienny tłumacz, zamiast udawać oryentalistę, wprost na tytule wypisuje: „Przełożył z języka arabskiego na francuzki Kazimirski, z francuzkiego M. Nikołajew.“ Tłumaczenie Kazimirskiego wyszło po raz pierwszy w r. 1840, w zbiorze G. Pauthier'a p. t. *Les Livres Sacrés de l'Orient*, obejmującym oprócz Koranu, księgi religijne indyjskie i chińskie. Zaszczyt przyjęcia przekładu Kazimirskiego do klassycznego wydawnictwa biegłego oryentalisty Pauthier'a był tém większy, iż miano już przedtém dwa tłumaczenia francuzkie, Ryer'a i Savarego.

— Towarzystwo Tatrzańskie, jakkolwiek niedawno istnieje, zrobiło już niejedno dla wygody turystów i ułatwienia im przystępu do najpiękniejszych miejscowości. Urządziło w Zakopanem kassyno zaopatrzone w kilkanaście dzienników polskich, zbudowało obszerne schronienie przy Morskiem Oku i u stóp góry Krzyżne, altanę w dolinie Kościeliskiéj tak obszerną, że w niéj w razie potrzeby sto osób pomieścić się może. Prócz tego otoczyło poręczami miejsca mniéj bezpieczne, a przez strumień zwany Czarnym Dunajcem, który z pod skały Pisanéj wypływa, przeprowadziło wygodną kładkę z poręczami, i urządziło wygodną ścieżkę, począwszy od góry Kondratowéj aż pod szczyt Czerwonego Wierchu.

— Wydział krajowy Galicyjski, na wezwanie komitetu zajmującego się uroczystością przy otwarciu uniwersytetu niemieckiego w *Czerniowcach*, na Bukowinie, odmówił swego udziału.

— Rocznicę zwycięztwa pod Wiedniem obchodzono w Żołkwi w Galicyi, d. 12 września r. b. Ze Lwowa przybyło 100 osób, oraz straże pożarne z Rawy, Sokola, Mostów, Kamienki Strumiłowéj, Kulikowa i Lwowa; ta ostatnia straż przybyła z teatrem amatorskim, żywemi obrazami, i kwartetem wokalno instrumentalnym. Obraz z żywych osób przedstawiał Jana III dającego posłuchanie legatowi papiezkiemu i posłowi austryackiemu; był nim p. Weber drukarz ze Lwowa, przypominający tego króla rysami twarzy i postawą. Bawiono się ochoczo do późnéj nocy, a dochód z tego festynu przeznaczony został na straż pożarną w Żółkwi. Żółkiew słynie, jak wiadomo, zarówno pomnikami grobowemi Żółkiewskich, jak i historycznemi obrazami z czasów wyprawy Wiedeńskiéj. W dniu 13 września r. b. upłynęło lat stodziewięćdziesiąt dwa, od chwili pamiętnego zwycięztwa Jana Sobieskiego, które groźną dla Europy potęgę muzułmanów skruszyło.

— We Lwowie wyszedł tom III dzieł zupełnych Wincentego Pola i zawiera: 1) Pamiętniki JMP. Benedykta Winnickiego, w trzech częściach; 2) Mohort, rapsod rycerski z podania; 3) Powódź, dramat w trzech częściach. Zbiór cały obejmie dziesięć tomów.

— W Stanisławowie w Galicyi stanął pomnik Maurycego Gosławskiego, poety-żołnierza, którego polskim Körnerem nazwać można. Pomnik ten ma 9 stóp wysokości, bez podmurowania. Popiersie nieboszczyka wykonał p. Marconi, Warszawianin, professor lwowskiéj akademii technicznéj. Pod popiersiem tablica marmurowa ze złotym napisem. Obok niéj z jednéj strony lutnia, z drugiéj zwój papierów, a wszystko okolone laurem.

— Na ostatniém posiedzeniu wydziału nauk historycznych i moralnych Towarzystwa Przyjaciół nauk w Poznaniu, prezes wydziału p. Koźmian czytał rozprawę „O kilku dawnych cudzoziemskich utworach, z przedmiotów polskich.“ Wymieniwszy z tytułów niektóre dawne dzieła hiszpańskie, włoskie i francuzkie, odnoszące się do Polski, rozbierał głównie dwa dramata angielskie na przedmiotach polskich osnute. Jeden z nich ogłoszony na początku XVIII wieku, nosi tytuł „Bremoxalt,“ albo „Zagniewany półkownik;“ autorem jego jest sir John Suckling. Rzecz dzieje się w Polsce, między Koroniarzami a Litwinami. Drugi dramat, znana „Powieść zimowa“ Szekspira, osnuty jest na dziejach Ziemowita III księcia mazowieckiego i jego żony—jak to znany historyk, dr. Caro, pierwszy zwrócił uwagę. Pan Koźmian wyłuszczył obszernie treść dramatu, i poparł domysł dr. Caro swemi wywodami.

Następnie konserwator i sekretarz Tow. p. Feldmanowski, czytał pogląd na dzieje prac konserwatorskich, oraz na dary w tym czasie nadesłane, i zawiadomił o pracy nad katalogiem obrazów i rycin Tow. w dwóch oddziałach, t. j. pochodzących ze zbioru Karłowieckiego i Mielżyńskiego; w końcu biblioteki Mielżyńskich, mieszczącéj w sobie wiele dzieł dotyczących sztuk, i biblioteki po Elżanowskim, darowanéj Tow. za pośrednictwem dr. Szulca: zawiera ona dzieła odnoszące się do nauk ścisłych. Zawiadomił także p. Feldmanowski, że zmarły p. Haake zapisał Tow. swoją bibliotekę, odziedziczoną po arcybiskubie Przyłuskim. Zwracamy uwagę, że co się dotyczy Szekspira dramatu: „Powieść zimowa,“ tłumacz takowego Gustaw Ehremberg, w przedmowie swéj szeroko a gruntownie dowodzi, że treść wzięta z dziejów Mazowsza.

---

† Dnia 24 sierpnia r. b. umarł w Warszawie ***Zygmunt Sztebler,*** jeden z najdawniejszych księgarzy naszych, mając lat 85 wieku. Był księgarzem b. Towarzystwa Królewsko-Warszawskiego Przyjaciół Nauk i wydawcą kilku dzieł treści religijnéj. Ostatnie lata sędziwy starzec spędził w niedostatku.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger.*

SPOŁECZNOŚĆ
WARSZAWY
W POCZĄTKACH NASZEGO STÓLECIA.
(1800—1830).

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

III.

Jan Albertrandi piérwszy prezes Towarzystwa przyjaciół nauk. Wpływ jego na prace tegoż Towarzystwa.—Stanisław Staszic.—Zmiana kierunku.—Pogrzeb Staszica i grób na Bielanach.—Julian Ursyn Niemcewicz, towarzysz Tadeusza Kościuszki, wybrany prezesem Towarzystwa przyjaciół nauk.—Śpiewy historyczne. Polki illustrujące to dzieło.—Trudności wydawnictwa.—Zawód literacki Niemcewicza.—Ustawa nowego Towarzystwa.—Lista jego członków. —Działalność.

W roku 1808 umarł w sędziwych latach, bo liczył 77 rok życia Albertrandi, piérwszy prezes Towarzystwa przyjaciół nauk. Urodzony 1731 r. w Warszawie, z rodziny włoskiéj; miał już lat 33, gdy na tron wstąpił Stanisław August. Albertrandi był jezuitą: znakomity filolog, znał doskonale język hebrajski, grecki i łaciński, a z nowożytnych francuzki, włoski, niemiecki i angielski, przytém był wielkim zwolennikiem i znawcą starożytności zgasłych narodów. Szczególna pamięć ułatwiała mu zdobywanie wiedzy. Będąc na dworze arcybiskupa Łubieńskiego, podsłuchawszy starego jezuitę, głośno dla wprawy w pokoju mówiącego swoje kazanie, które miał miéć nazajutrz w czasie summy, wszedłszy Albertrandi na ambonę, co do słowa je przedeklamował. Struchlał sędziwy teolog, słysząc własne kazanie tak dokładnie wypowiedziane, i biédak męczył się przez całą noc aby nowe napisać.

Prymas Łubieński powierzył mu wychowanie swego wnuka Feliksa, który późniéj w dziejach Księztwa Warszawskiego, jako minister sprawiedliwości wysokię zajął stanowisko, i imię swe świetną aureolą sławy opromienił. Oprócz tego, prymas używał go często do prac gabinetowych, zasięgając nieraz jego zdania w sprawach publicznych. Po śmierci prymasa, Albertrandi udał się razem z uczniem swoim do konwiktu jezuitów, zostającego pod przewodnictwem uczonego Karola Wyrwicza. Tu dla młodego Łubieńskiego napisał

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

Historyą rzymską i *Dzieje Polski;* następnie towarzyszył mu do akademii w Sienna we Włoszech i do Rzymu. Pobyt w téj stolicy chrześcijaństwa stanowi najważniejszy okres w życiu Albertrandego. Oddany z zapałem badaniom starożytności, zebrał dla ucznia swego dokładny zbiór medali greckich i rzymskich, uporządkował go i szczegółowo opisał. Wrócił do kraju 1773 r. Stanisław August zbiór ten medali od Łubieńskiego nabył; poznawszy zaś bliżéj Albertrandego, mianował go swoim lektorem, oddał mu w zarząd własny księgozbiór i zbiór rycin, wiedząc z jaką starannością ogromną bibliotekę biskupa kijowskiego Józefa Załuskiego uporządkował. Kilka lat około pomienionych zbiorów królewskich pracował, zanim katalogi ich dokładne spisał; kiedy się zaś pokazały wielkie braki w nich do dziejów Polski, król opatrzywszy Albertrandego w potrzebne fundusze, wysłał do Włoch, aby dla dopełnienia zbiorów zabytkami ojczystemi, poszukiwania, w bibliotece Watykańskiéj i innych zamożnych księgozbiorach, poczynił. Od roku 1782 trzy lata Albertrandi poświęcił mozolnéj pracy, nietylko w wyśledzaniu ważnych dla historyi polskiéj materyałów, ale i w przepisywaniu takowych. Sto dziesięć *woluminów* własną ręką przepisał, pomnożył zbiory królewskie starożytności, bogatym plonem wykopalisk Herkulanum i Pompei, a wróciwszy z temi skarbami do Warszawy otrzymał medal z napisem: „*merentibus*" od króla, który go znowu w roku 1789 wysłał do Szwecyi dla poszukiwań naukowych. Tam bowiem ze złupionéj Polski przez Karola Gustawa za Jana Kazimierza, najważniejsze pomniki tak literatury jak i starożytności naszych przechowywano. Albertrandi nie ograniczył się na samym Sztokholmie, ale robił wycieczki po Szwecyi, gdzie tylko powziął wiadomość, że zdobędzie jaki nowy przyczynek do dziejów Polski, i przez czas swego pobytu zebrał i przepisał kilkadziesiąt znowu woluminów. Król wyniósł Albertrandego, jako syna mieszczanina do stanu szlacheckiego, ozdobił orderem S-go Stanisława i przedstawił na biskupa, którą godność otrzymał właśnie w téj porze, kiedy już Stanisław August opuścił Warszawę na zawsze. Konsekrowany na biskupstwo Zenopolitańskie, gdy Prusacy zajęli nasze miasto [1]).

Albertrandi siedm lat przewodnicząc Towarzystwu przyjaciół nauk, wpływem swoim przeważnym ulubione sobie nauki w niém rozkrzewiał i zaszczepiał. W tych pierwszych latach: „postępowało ono (pisze Fryderyk hr. Skarbek) nieśmiałym krokiem, wątpiąc poniekąd o siłach i samoistności swojéj, i trzymając się dzieł starożyt-

[1]) Z tego ogromu rękopismów do dziejow Polski, wyszły po zgonie Albertrandego, wydane przez professora Onacewicza: *Panowanie Henryka Walezyusza i Stefana Batorego*, dwa tomy. (Warszawa 1823 r.), *Panowanie Jana Kazimierza, Jana Alberta i Aleksandra Jagiellończyków*, (Warszawa 1827 r.; dwa tomy), *Dwadzieścia sześć lat panowania Władysława Jagiełły*, Wrocław 1854 rok.

nych i cudzoziemskich, jako tych pasków, bez których piérwszych kroków czynić niepodobna. Ztąd erudycya, zagłębianie się w dziełach i pomnikach starożytności, za główne znamię uczoności brane, ztąd tłumaczenia dzieł cudzoziemskich, za główny środek wzniesienia literatury i wykształcenia języka narodowego poczytane; ztąd nieśmiałe obchodzenie się z piérwiastkiem narodowym z dziejów i obyczajów naszych wyczerpnąć się dającym."

To mówi jeden z najgorliwszych członków tego zgromadzenia, jego gorący wielbiciel, ale zarazem zacny miłośnik prawdy, a mąż przeważnych zasług dla kraju. Tak było rzeczywiście [1]).

Po zgonie Albertrandego, jednomyślnie Towarzystwo Przyjaciół Nauk wybrało na swego prezesa Stanisława Staszica. Posągowa to postać tego okresu: znała go dobrze cała społeczność Warszawy. My studenci, chowaliśmy zawsze dla niego ulubione jego miejsce na *paradyzie* w Teatrze Narodowym, zkąd go i rzemieślnicy bliżéj poznali.

Staszic wtedy aby go nie poznano, przywdziewał na głowę rudą perukę: oswoiliśmy się z nią dobrze.

W pobliżu niego, zasiadał często młody człowiek, równie wielki zwolennik sceny narodowéj, i ze szczególną bacznością i zajęciem przysłuchiwał się granym sztukom. Zwrócił on Staszica uwagę; w poufnéj rozmowie dowiaduje się, że jest uzdolniony ślusarz, który po kilkoletniéj wędrówce zagranicą, pragnął zakład swego rzemiosła udoskonalony rozwinąć w Warszawie, ale brakło mu funduszu. Staszic wypytawszy się ze szczegółami o potrzebnéj do tego summie, gdy następnie wywiedział się o zdolnościach i dobrém sprawowaniu młodzieńca, bezimiennie przesłał mu złp. 10,000, za które Taszyński (tak się zwał ów młody człowiek) znakomity zakład ślusarski założył i rozwinął.

Za utworzeniem Księztwa Warszawskiego, Staszic powołany przez króla saskiego, zasiadł w Radzie Stanu, w urzędzie *referendarza*, i wtedy stanął zarazem na czele Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wpływ jego zaczął przeważnie wybijać w tém gronie. Nowy prezes zapatrywał się na nauki pod względem ich wpływu na stosunki społeczne i na praktyczną ich użyteczność w rozwoju sztuk i rzemiosł; mniej cenił erudycyą, a wyżéj stawiał pojmowanie potrzeb obec-

[1]) Dość spojrzeć w poparciu słów Fr. Skarbka na prace samego Albertrandego od r. 1802 do 1808, któremi przepełniał Roczniki Towarzystwa; wyliczymy je tu szczegółowo: 1) O muzach, 2) Zabytki starożytności rzymskich w pieniądzach, pospolicie medalami zwanych, czasów Rzeczypospolitéj i szesnastu piérwszych cesarzów, zbioru ś. p. Stanisława Augusta króla polskiego, postrzeżono i krótkim wykładem objaśnione. Rzecz ta zajmuje połowę tomu III i IV, i cały gruby tom piąty Roczników. Po śmierci Albertrandego w tomie VII znajdujemy jego rozprawę: „O słońcu jako bożku pogańskim, dla objaśnienia dwóch wklęsło-rytych starożytnych kamieni."

nych kraju. Z pociechą własną zdając sprawę z prac Towarzystwa za lata 1817—1828, wymienia rozprawę Józefa Bema o robieniu rac kongrewskich, wychwalając prace w mechanice Abrahama Sterna żyda z Warszawy, jak „maszynę rachunkową“ i „wózek topograficzny.“ Pod jego przewodnictwem skierowały się usiłowania Towarzystwa, do badań przeszłości narodu i poznania własnéj ziemi. Staszic w ostatnim roku istnienia Księztwa Warszawskiego 1814, składając sprawozdanie z czterolętniego działania tego zgromadzenia wyrzekł:

„Mamy początkowych wieków panujących domów kroniki, w nich zebrane wojny, szczególne wypadki, bez ciągłego między sobą związku, bez śledzenia i wykazywania głównéj, ciągłéj, w narodzie takowych wypadków przyczyny. Mamy późniéj sławniejszych wodzów życia; mamy opisy obrad, zaburzeń i czynów pewnych stanów, pewnych przemożnych domów; ale nie mamy historyi narodu. Tę rzeczywistą i w zupełności wygotować, przedsięwzięciem zgromadzenia się stało.“

W myśl tego założenia, członkowie Towarzystwa rozebrali pomiędzy siebie pojedyńcze panowania i okresy dziejowe. Program całéj historyi wybornie zredagowany, wydrukował już poprzednio Ludwik Osiński w wydawanym przez siebie *Pamiętniku Warszawskim*. Zobaczymy następnie, jakie literatura nasza zebrała owoce z tych zacnych a gorliwych usiłowań Towarzystwa. Lat siedemnaście bez przerwy Staszic mu przewodniczył, otoczony czcią i poszanowaniem wszystkich. Wysokiego wzrostu, nosił zwykle długi surdut odpowiedni stanowi swemu duchownemu. Oblicze malowało duszę szlachetną tego męża. Twarz ściągła, nos długi, brwi gęste, czoło wyniosłe, zbruzdowane, świadczyło że myśl ciągle pracowała.

W chwilach wolnych od zatrudnień urzędowych, w dnie pogodne na wiosnę i w lecie, do późnéj jesieni, całe dnie w święta lub niedziele w samotnéj ustroni lasku Bielańskiego przebywał, spoczywając Staszic pod ulubionym dębem, czytywał książki i kreślił w nich notatki ołówkiem. Panowała tu cisza majestatyczna, bo po wielkim gwarze *Zielonych Świątek*, kiedy cała niemal ludność Warszawy przepełniała i las i kościół na Bielanach, w inne dnie zwykle rzadki gość odwiedzał tę odległą okolicę od miasta. Miał Staszic widok piękny i otwarty na Wisłę i dalekie jéj okolice; słuchał szumu tych starych sosen i starszych jeszcze dębów, do którego z rana i nad wieczorem łączył się głos dzwonu z klasztoru Kamedułów. Ukochał też tę ustroń i polecił w testamencie, ażeby zwłoki jego pochowane przy tutejszym kościele zostały [1]).

[1]) Stary, skromny koczyk i para starych koni, któremi powoził równie stary furman Antoni, znane były powszechnie w całéj Warszawie, jak przez Kamedułów na Bielanach. Zarzucony ogromem pracy, często przed obiadem nie mógł skończyć sessyi wydziału przemysłu i kunsztów w ministeryum spraw wewnętrznych; dlatego odkładając na wieczór dalszy ciąg czynności, przyjeżdżał

Zakończył życie w dniu 20 stycznia 1826 roku. Dzień był pogodny, pamiętam dobrze, śnieg pokrywał ziemię i lekki mróz trzymał. Z gmachu Towarzystwa przyjaciół nauk na Krakowskiém-Przedmieściu, trumnę z dostojnemi zwłokami zgasłego męża, członkowie tegoż Towarzystwa wynieśli na swoich barkach, i zaraz przeszła na ramiona akademików Uniwersytetu Warszawskiego, którzy milę całą ponieśli ją aż na Bielany do miejsca wiecznego spoczynku. Temu obchodowi żałobnemu towarzyszył tłum kilkodziesięciotysięczny tak mieszkańców Warszawy jak przybyłych z całego kraju obywatelstwa. Nad grobem przemówił Fryderyk hr. Skarbek członek Towarzystwa, w wymownym głosie oddając hołd pamięci znakomitego ziomka: témi słowy głos swój wymowny zamknął:

„Żądał umieszczenia zwłok swoich wśród tego świętego ustronia, w ziemi pod świeżą murawą, a nie pod głazem, któregoby napisy, jego światowe znaczenie ogłaszały. Lecz ta skromna mogiła, którą dzisiaj uwielbionemu usypiemy, nie wyjdzie z pamięci rodaków; gdy wiosna świeżemi okryje ją kwiaty, odbędziem do niéj pielgrzymkę, ocieniem ją drzewami i często ją nawiedzać będziemy, i późne syny nasze przyjdą tu nieraz spocząć i powiedzą do dzieci swoich: „Tu spoczywa przyjaciel ludzi.“ My, cośmy nieśli drogie szczątki jego, miejmy dozgonnie dzień ten w naszéj pamięci! Jeżeliby nas kiedy poduszczenie lub namiętność do czynu niegodnego prawych obywateli podniecać miała, niechaj nam wtedy głos sumienia powtórzy: „Tyś dźwigał zwłoki Staszica!“ i niechaj ten odgłos wewnętrznego czucia, chroni nas od tego, aby kiedy o nas niepowiedziano, żeśmy ostatniego obywatela do grobu ponieśli.“

Sprawdziły się słowa Skarbka, ale nie na długo: kwiaty świeże mogiłę Staszica wieńczyły cztery następne lata; po nich nie było już nikogo do téj posługi, tylko szum tych samych sosen i dębów, które go widziały za życia, grał cichą pieśń starą nad tą samotną mogiłą wielkiego męża, i tenże sam dzwon wysyłał do niéj dźwięczne swe

---

zmierzchem dla jéj wykonania. Zwykle kazał furmanowi do domu wracać, ale stary Antoni nie słuchał woale pana i czekał przed pałacem Mostowskich. Zdarzyło się że sesya przeciągnęła się do dziesiątéj w nocy. Antoni nie mogąc się doczekać pana, zlazł z kozła i poszedł do szynku poblizkiego na szklankę piwa. Wraca wkrótce, ale jakież jego podziwienie, gdy nie znajduje ani koni, ani kocza; przestraszony dopytuje woźnego: ten go objaśnia że pan minister przed kwadransem odjechał. Stary co tchu biegnie do domu i znajduje stojące konie spokojnie przed stajnią. Wyprzągł je, a ustawiwszy przy żłobie i zatoczywszy koczyk w swoje miejsce, idzie do Staszica z zapytaniem: „A kto pana do domu przywiózł?“ „Któż inny jeżeli nie ty,“—odpowiada mu pan, równie zdziwiony jak furman. Wtedy wyjaśniło się, że konie przyuczone do jednéj i téj saméj drogi i odgłosu zatrzaskiwanych drzwiczek od koczyka, bez przypadku Staszica do domu odwiozły, który nawet nie spostrzegł braku starego Antoniego na koźle!

echo na powitanie każdego dnia w poraniu i wieczorem na dobranoc! [1]).

Trzecim i ostatnim prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk był Julian Ursyn Niemcewicz, urodzony tak jak i jego poprzednicy w okresie panowania Augusta III, na dawném Podlasiu, we wsi *Skokach*, o milę od Brześcia Litewskiego, z ojca Marcellego podczaszego Mielnickiego i Jadwigi z Suchodolskich. Młodszym był tylko o dwa lata od Staszica. Urodziwa była to postać, a oblicze jego piękne, więcéj dla kobiety odpowiedne, tak białością płci, żywością rumieńców, jak delikatnością rysów. Mamy z doby lat jego młodych, portret wielce podobny w *Wyborze pisarzów polskich Mostowskiego*, i równie podobny w sędziwych jego latach, przy powieści, *Jan z Tęczyna*.

Przez stosunki przyjacielskie jakie łączyły rodzinę Niemcewiczów z Czartoryskiemi, młody Julian w roku 1776 oddany został do korpusu *Kadetów*, w którym ukończywszy nauki, pozyskał stopień adjutanta księcia *generała ziem polskich*. W jego towarzystwie, gdy objeżdżał dobra swoje na Podolu i Ukrainie poznał znaczną część ziem dawnéj Rzeczypospolitéj, a następnie ze Stanisławem Sołtykiém, który podał pierwszą myśl utworzenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zwiedził Niemcy, Włochy, Sycylią, Maltę, Francyą, i Anglią. Za powrotem do kraju w godności posła inflanckiego na sejmie 1789 roku dał się poznać jako gorliwy obywatel i dobry mówca. Po upadku *ustawy*, Niemcewicz udał się zagranicę; kiedy jednakże podniósł sztandar Kościuszko, przy nim zaraz objął obowiązki adjutanta. W bitwie pod *Maciejowicami* 1794 roku, ranny dostał się do niewoli, i zawieziony do Petersburga, gdzie po dwóch latach uwolniony, wraz ze swym wodzem przybył do Szwecyi, ztąd do Anglii, a wkrótce do Ameryki popłynął.

Zimę całą w roku 1797 na 1798 razem przepędzili w Filadelfii, gdy przyszła wiadomość o śmierci króla Stanisława Augusta. Na

---

[1]) Wszystkie swoje prace piśmienne tak oryginalne jak tłumaczone wydał Staszic swoim nakładem w dziewięciu wielkich tomach. Pierwsze sześć tomów ogłosił w r. 1816, w których oprócz przekładów: *Iliady* Homera wierszem nierymowym; poematu Rassyna, *religia* prozą, pochwałę Marka Aureliusza z francuzkiego Thomas'a, Numę Pompiliusza z Floryana, i *Epok natury* Buffona, oryginalne utwory głównie przeważają. Do tych należy dzieło: „O ziemiorodztwie Karpat i innych gór i równin Polski." „Przestrogi dla Polski." „O statystyce Polski 1807 r." „Myśli o równowadze politycznéj w Europie." Mowy i zagajenia w łonie Towarzystwa, jak i publicznie miano. „Obrona funduszów pojezuickich" wreszcie „Kontrakt Towarzystwa Rolniczego Hrubieszowskiego w zamiarze udoskonalenia rolnictwa i przemysłu, oraz wspólnego ratowania się w nieszczęściu." We cztery lata po wydaniu tych sześciu tomów, wydrukował w większym formacie 1820 r. jako tomy VII, VIII i IX, poemat ogromnych rozmiarów, obejmujący te trzy części wierszem białym p. n.: *Ród ludzki* z dziesięcią stalorytami. Publikacya ta dziś należy do rzadkości bibliograficznych.

wiosnę Kościuszko wyjechał do Francyi, a Niemcewicz sam pozostawszy, pożyczył od Jeffersona wice-prezydenta Stanów-Zjednoczonych sto talarów, odbył za nie podróż po Ameryce, spisał jéj *Dziennik*, z którego mamy tylko mały ustęp p. n. „*Wiadomości o Waszyngtonie.*" (W *Wyborze pisarzów polskich* Mostowskiego).

Wtedy to poznał wdowę po przyjacielu Kościuszki, Lingvingston Kean i tę poślubił zrzekając się wszelkiego jéj majątku. Mając pierwsze potrzeby życia zapewnione, żył szczęśliwie na małym folwarczku, oddając się pracy gospodarskiéj. Tak przeszły mu dwa lata pierwsze pożycia, i jak sam pisze:

„Spokojny i bezpieczny, pod skromną swą strzechą,
Praca była ucieczką, sumienie pociechą;
Zorza mnie zastawała nad mym polnym zbiorem,
A domowe ognisko czekało wieczorem."

W roku 1802 otrzymał Niemcewicz smutną wiadomość, że ojciec mu umarł i wezwanie, ażeby dla interesów familijnych przybywał co rychléj. W lipcu opuścił Amerykę i powrócił do kraju, odwiedził *Puławy* i w *Końsko-Woli* witając dawnych przyjaciół, znalazł proboszczem Franciszka Zabłockiego, który po śmierci ukochanéj żony, przywdział suknię zakonną, a *Kniaźnina* w obłąkaniu umysłu. Bawiąc zimę w Warszawie, był przy zawiązku Towarzystwa Przyjaciół Nauk i został jednym z pierwszych jego członków. W roku 1803 odebrawszy spadek, wyjechał do Francyi i w Paryżu trafił właśnie na zmianę rzeczypospolitéj na cesarstwo. Porzucił tę stolicę świata, i na amerykańskim okręcie, przybył szczęśliwie do *Norfolk* w Wirginii, zkąd powrócił do żony i ulubionego domku, gdzie lat trzy w spokojnéj zaciszy przebył.

Kiedy niespodzianie Napoleon I ogłosił Księztwo Warszawskie w 1806 roku, Niemcewicz otrzymawszy list od Stanisława Małachowskiego marszałka czteroletniego sejmu, który wzywał go jako dawnego posła inflanckiego, do stawienia się w kraju, pospieszył do Polski, gdzie mianowany został sekretarzem senatu i członkiem komissyi edukacyjnéj. Po utworzeniu Królestwa Polskiego na kongresie Wiedeńskim 1815 roku, Niemcewicz pozostał na urzędzie sekretarza senatu.

Oddany pracom literackim nabył pod Warszawą w pobliżu Willanowa mały folwarczek, który nazwał *Ursynowem*, i zamyślał resztę w nim dni sędziwych przepędzić. Tu go odwiedzał Juliusz Słowacki, i żywe wyniósł wspomnienia. Inaczéj jednak losy zrządziły. We wrześniu 1831 roku opuściwszy Warszawę, dnia 21 maja 1841 roku, mając lat 83 wieku, zakończył życie, w obecności przyjaciela lat młodych generała Kniaziewicza, który stojąc nad jego grobem pragnął być razem z Niemcewiczem pochowany. Stało się wkrótce zadosyć życzeniu i woli znakomitego wojownika, bo gdy nie-

długo sam zmarł, zwłoki jego na cmentarzu w *Montmorency* obok zgasłego autora *Śpiewow historycznych* spoczęły. W kościołku parafialnym w *Montmorency*, mają obaj pomniki obok siebie, dłuta znakomitego rzeźbiarza Władysława Oleszczyńskiego, w którym rok rocznie msza się za dusze zmarłych tych dwóch mężów, w dniu śmierci Niemcewicza odbywa.

Niemcewicz lubo jest jedném z tych ogniw, które łączyły wiek XVIII z naszém stuleciem, na polu literackiém sam szedł z postępem czasu i rozwijających się nowych idei. On pierwszy przed Mickiewiczem dał nam poznać *Ballady* angielskie w swoim przekładzie, a co ważniejsza wskrzesił nam pamięć starożytnych pieśni dziejowych, przez swoje *Śpiewy historyczne*.

Pierwsze ich ukazało się wydanie ozdobne z nutami i stalorytami w roku 1816, odbite w drukarni T. Mostowskiego, która pierwszeństwo pomiędzy zakładami typograficznemi w Warszawie utrzymała.

Na czele co do illustracyi ośmiu śpiewów, pełnych życia dramatycznego postawić musimy księżnę E. Sułkowską, dalej Laurę Potocką i C. Dembowską. Melodye dostarczyły: Cecylja Beydale, hrabina Chodkiewiczowa, F. Kochanowska, panna Konstancya Narbuttówna, panna Salomea Paris, Laura Potocka, pani Szymanowska słynna fortepianistka, a matka żony Mickiewicza; księżna Marya z Czartoryskich Würtembergska, autorka pierwszéj powieści polskiéj: *Malwina czyli domyślność serca, i Zofia z Czartoryskich Ordynatowa Zamoyska* [1]).

Tak pożądane dzieło, wprędce rozchwytane zostało, i autor musiał je w następnych wydaniach kilkakrotnie powtarzać. Niemcewicz w przemowie do pierwszéj edycyi tłumaczy się z powodu ogłoszenia tych śpiewów z objaśnieniami historycznemi.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk ogłosiło prospekt do pisania historyi narodowéj, i praca ta rozebraną została pomiędzy wielu pisarzy; ale będzie musiała zająć przeciąg czasu niemały. Poważny wszakże wykład dziejów, nie tak łatwo przystaje do młodéj pamięci jak w krótkiéj a udatnéj pieśni. Z całą skromnością mówiąc o swoich *Śpiewach*, żywi błogą nadzieję, że one znajdą gościnne przyjęcie u ognisk domowych, a tym sposobem główny cel jaki sobie założył spełnionym zostanie.

Pierwszą myśl do nich powziął Niemcewicz w dniach swéj młodości, jak to widzimy ze zbioru jego pism w wydaniu Mostowskiego, (dwie dumy o Żołkiewskim i Stefanie Potockim); ale żeby całość z tego ułożyć, postanowił dopiero za powrotem z Ameryki w 1809 roku,

---

[1]) Melodye dostarczyli do tegoż dzieła Karol Kurpiński, hrabia Rzewuski i żyjący senator Franciszek Skibicki.

na wyraźne żądanie Towarzystwa Przyjaciół Nauk. „Trzeba było (mówi sam Niemcewicz) tak silnych pobudek, jakiemi zachęcony byłem przez Towarzystwo królewskie, by w wieku moim podjąć się opiewać te czyny waleczne, tę świetną odwagę, które jak są krzepkiéj i żywéj młodości udziałem, tak przez nią najlepiejby opiewanemi były.“ (Liczył w 1816 roku lat 59 wieku). Siedem lat potrzebował do wykończenia ostatecznego wydania ozdobnego.

„W kraju jak nasz (pisze autor) pozbawionym artystów, osobliwie sztycharzów, pozbawionym papieru i w. i. potrzeb, gdzie wszystko z zagranicy sprowadzać, wszystkie ryciny zagranicą wykonywać przychodziło, wydawca nieskończonych trudności, zwłok i nakładów doznawać musiał. Publiczność zastanowiwszy się nad tylu przeciwieństwami, opóźnienie w wydaniu dzieła tego zechce darować.“ Niemcewicz korzyść całą po potrąceniu kosztów wydawnictwa, poświęcił na rzecz Towarzystwa Przyjaciół Nauk: „żadnym funduszem, żadném niewspartego zasileniem,“ jako sam wyraża.

W długim przeciągu zawodu literackiego, bo przeszło lat sześćdziesięciu, i ciągłéj działalności na tém polu Niemcewicza, trzy głównie kierunki uwydatnione widzimy: liryka, sztuka dramatyczna, i rozpowszechnienie wiedzy historycznéj o przeszłości dawnéj narodu.

Zwolennik sceny pojmował doskonale wysokie znaczenie teatru, z tego powodu oddawał się z upodobaniem literaturze dramatycznéj. Do najpierwszych utworów jego należy komedya *Powrót posła*, którą w młodym wieku napisał będąc posłem inflanckim na wielkim sejmie. Jestto arcydzieło Niemcewicza, wyborne, wierne zwierciadło typów zagasłych z przeszłości, które w niém przechowane zostały. Do wszystkich utworów dramatycznych brał wątek i osnowę z dziejów krajowych; w tragedyi *Zbigniew* wprowadził szczęśliwie chóry, i pierwszy raz na scenie zabrzmiała starożytna pieśń *Boga Rodzica*. Pomysł tego dramatu i plan cały gdyby był odpowiednio wykonany, postawiłby ten utwór na czele wszystkich tragedyi polskich.

Badał Niemcewicz starannie ducha swéj społeczności i jéj potrzeby duchowe w danéj chwili. Tak w 1812 roku wydał *Listy litewskie*, w 1816 *Śpiewy historyczne*, w 1821 *Zbiór pamiętników o dawnéj Polsce*, i równocześnie gdy liczne głosy podniosły się dowodzące naglącéj potrzeby reformy żydów, rozgłośny romans *Lejbe i Siora*, w którym w najdrobniejszych szczegółach wykazał ich potworne przesądy i zabobony. Gdy Walter-Skott dał przykład i popęd do powieści historycznych, w których kreśleniu ten wielki mistrz tak był nieporównanym, Niemcewicz napisał *Jana z Tenczyna*, jednę z najlepszych powieści historycznych z okresu do 1830 r.

Rzadko któremu z pisarzy naszych dozwoliła Opatrzność być świadkiem tylu zmian własnego kraju i brać w nich udział przeważny, jak Niemcewiczowi. Woronicz śpiewak *Sybilli*, on natchniony poeta

urodzony z nim w jednym roku, w stanie duchownym, nie miał pola tak otwartego jak autor *Śpiewów historycznych.* Ten wychowany w ciepłéj jeszcze atmosferze tradycyi czasów saskich, współczesny Krasickiego, Naruszewicza, Trembeckiego, Kniaźnina, Zabłockiego i wielu innych, przeżył całe panowanie Ssanisława-Augusta, rozbioru kraju, przebył okres Księztwa Warszawskiego i Królestwa, doczekał się w końcu epoki odrodzenia literackiego, epoki Brodzińskiego i Mickiewicza, będąc świadkiem gorącéj walki klassyków z romantykami i zwycięztwa tych ostatnich.

Kiedy stale osiadł w Warszawie, biorąc udział w pracach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, przyjął na siebie obowiązek napisania dziejów panowania Zygmunta III i potemu rozpocząwszy studya i poszukiwania w zamożnéj bibliotece Willanowskiéj hr. Potockich, nie spuszczał z oka działań samego Towarzystwa. Pragnąc zaś nadać mu więcéj życia i pożytku dla duchowych potrzeb społeczności, w roku 1815, a zatém na jedenaście lat przed zgonem Staszica i zanim sam objął godność prezesa zgromadzenia, z łona jego członków utworzył nowe Towarzystwo, któremu przepisał oddzielną ustawę.

Powodem do tego kroku Niemcewicza, była gorąca chęć obudzenia większego życia w głównych gałęziach literatury krajowéj, za jakie uważał: ojczyste dzieje, literaturę piękną, sztukę dramatyczną i krytykę. Niechcąc zaś osłabiać wpływu samego Towarzystwa Przyjaciół Nauk i jego powagi przez rozdział, a za tem idącą niezgodę, ale je podnieść, zebrał grono członków w bliższych z nim stosunkach zostających i silniejszemi spoił je ogniwami. Wpływ bowiem przeważny Albertrandego dobrze pamiętał, który paraliżował i stawiał zawady należytemu rozwojowi uczonego grona.

Podajemy wspomnianą ustawę w całości, jako dokument nikomu nieznany, dosłownie z autografu, który mamy przed oczyma.

„Kilku przyjaciół ojczystego języka postanowiło połączyć wspólną usilność i pracę, w celu rozkrzewienia i zbogacenia literatury krajowéj. Osoby do tego związku wchodzące, zamierzają sobie:

1. Czytać w gronie dobraném własne stowarzyszonych lub innych rodaków dzieła, w różnych literatury gałęziach wierszem lub prozą, oryginalne lub z obcych języków tłumaczone albo naśladowane, a to w celu zasięgnienia o nich bezstronnego zdania.

2. Starać się o pomnożenie liczby sztuk dramatycznych w języku polskim, i pisania ich podług planu poprzedniczo w Towarzystwie rozbieranego i przyjętego, bez krępowania w téj mierze woli autora.

3. Czynić rozbiory dzieł tak krajowych jak obcych, poddawać je pod sąd Towarzystwa, końcem umieszczania ich w dziennikach polskich.

4. Dawać zdanie bezstronne o sztukach na Teatrze narodowym przedstawianych, tak co do ich treści jako i co do gry aktorów, a to

w celu, jeżeli zajdzie zezwolenie Towarzystwa, umieszczania ich w gazetach krajowych.

5. Cwiczyć się w czystém wysłowieniu polszczyzny, unikając używania innego języka na posiedzeniach. Dla porządnego odbywania prac swoich, postanawiają stowarzyszeni następujących trzymać się prawideł:

6. Jeden z grona przyjaciół wybrany, kierować będzie pracami, wyznaczać dni posiedzeń i pilnować utrzymywania protokułu przez członka na to wybranego.

7. Liczba stowarzyszonych tymczasowo do dwudziestu się ogranicza. Każdemu stowarzyszonemu wolno jest podawać przez kierującego osobę na członka. Kierujący nie wydając podawającego, proponuje ją kolegom, a Towarzystwo stanowi o przyjęciu lub nie, większością dwóch trzecich części zdań wszystkich członków Towarzystwa przytomnych w Warszawie, lub nie przytomnych, lecz w kraju znajdujących się.

8. Stowarzyszony oddalający się od miejsca posiedzeń, wezwany będzie przez kierującego do jakiejkolwiek pracy, stosownéj do celu Towarzystwa i sposobności stowarzyszonego.

9. Stowarzyszony, który przez ciąg roku nie przyniesie na posiedzenie dzieła jakiegokolwiek, do celu Towarzystwa stosownego, albo nie doniesie kierującemu o rzeczywistém zaprzątnieniu się pracą jaką literacką, przestanie być członkiem Towarzystwa, lecz na nowo obranym być może.

10. Każdy stowarzyszony obowiązuje się honorem i uczciwością, nie wyjawiać czynności Towarzystwa jak za zgodą onego.

11. Towarzystwo nigdy inaczéj stanowić nie będzie sądu o dziełach, rozbiorach i zdaniach na posiedzeniu czytanych, równie jako i o wyborze członków kierującego i trzymającego pióro, jak tajnemi kreskami.

12. Kierujący ma prawo za zgodą Towarzystwa zaprosić osoby dostojne na szczególne posiedzenia, na których jednak w przytomności osób do Towarzystwa nienależących, nic stanowioném nie będzie.

13. Odmiana, poprawa lub rozwinięcie niniejszéj ustawy nastąpić nie może jak na propozycyę kierującego. Towarzystwo stanowi o tém, większością dwóch trzecich części członków swoich w kraju przytomnych.

14. Urzędowanie kierującego i trzymającego pióro trwać będzie miesięcy trzy.

15. Celu zamierzonego życzą sobie stowarzyszeni osiągnąć w skromném utajeniu, nie przybierając nazwiska uczonego Towarzystwa, ani nadając tytułu jakiegobądź związkowi swojemu. Gorliwe ojczystéj literatury zamiłowanie, przyjaźń, wzajemna ufność, czyn-

ne przykładanie swojéj, a bezstronne sądzenie cudzéj pracy, będą ich podnietą, wsparciem i jedynym działania sposobem.

w Warszawie, dnia 4 maja, 1815 roku.

Niemcewicz J. Lipiński J. F. Tarnowski J. M. Fredro F. Morawski, Stanisław Plater, Feliks Czacki, Adam Matuszewicz, Ludwik Plater, Tadeusz Matuszewicz, Józef Kossakowski, Ludwik Kropiński, A. Czartoryski, Kajetan Koźmian, Konstanty Plater, Biernacki, Linowski, Aloizy Feliński, T. Mostowski, M. Wyszkowski, Józef Sierakowski, Józef Załuski.

Z tych podpisów widzimy, że Niemcewicz znalazł dorazu 22-ch ochotników do zamierzonego stowarzyszenia literackiego, a wszystko przyjaciół i życzliwych sobie. Nie mamy księgi protokułów tego Towarzystwa, wnioskować tylko możemy, że od tego roku pojawiające się czasowo artykuły treści literackiéj tak w gazetach jak następnie w *Pamiętniku Warszawskim*, oraz krytyki teatralne pod imieniem *X-ów* (Iksów) z tego grona wychodziły.

W całéj działalności literackiéj J. U. Niemcewicza widzimy talent niepospolity, w pomysłach nieraz genialność, lubo co do wykonania zabrakło odpowiedniéj siły i umiejętności we władaniu formą i stylem poetycznym. Język nie wszędzie poprawny, lubo wiersz płynny, co przypisać należy długiemu pobytowi zagranicą i brakowi studyów pisarzy XVI stulecia.

Krytyka poważna może wiele zarzucać „Dziejom panowania Zygmunta III" i wykazać ich usterki, ale obok tak ujemnéj strony, musi zarazem wyznać, że z równą sztuką pisarską, z tylą obrazami malowniczemi i pełnemi wymowy ustępami, literatura polska nie postawi obok téj pracy żadnego dzieła historycznego, z równemi zaletami aż do czasów Karola Szajnochy.

IV.

Towarzystwo Naukowo w Płocku.—Biskup Prażmowski.—Ustawy tego Towarzystwa.—Ks. Wojciech Szweykowski. List jego.—Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie. Jego ustawy.—Roczniki królewskiego Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk. Ważniejsze w nich rozprawy. Jan Woronicz. „Hymn do Boga." „Sybilla."

W pięć lat po utworzeniu w łonie Towarzystwa Przyjacioł Nauk nowego stowarzyszenia przez Niemcewicza, w roku 1820 utworzyło się Towarzystwo Naukowe przy szkole wojewódzkiéj płockiéj.

Pierwsza myśl tego wyszła z Towarzystwa Przyjaciół Nauk i jeden z jego członków, biskup płocki Prażmowski stanął jako prezes na czele. Towarzystwo to licząc na pomoc Warszawskiego, przepisało sobie ustawy, które na zebraniu swojém w dniu 3 czerwca 1820

roku przyjęto [1]). Szesnastu członków takową podpisało: pierwszy biskup Prażmowski, ostatni jako sekretarz Kajetan Morykoni.

Energicznie zabrano się do wprowadzenia w życie powziętéj myśli, Prażmowski rozwija tu wielką działalność. Zaproszono na

---

[1]) Podajemy takowe z autografu dosłownie:

„*Ustawy Towarzystwa Naukowego przy Szkole wojewódzkiéj w Płocku.* Aby upowszechniać i wznosić ile możność dozwoli oświecenie w kraju, zbiera się Towarzystwo Naukowe przy Szkole wojewódzkiéj w Płocku, które w miarę szczęśliwego wzrostu zakreślać sobie może obszerniejsze postępowania zawody, w początku jednak, dla zbliżenia skutku przedsięwzięcia, następującemi działania swoje ogranicza przepisy:

§ I. *Zamiar Towarzystwa.*

1. Towarzystwo za główny cel staranności postanawia zebrać i opisać *dokładny obraz województwa Płockiego.* Wzywając przeto pomocy wszystkich obywateli, zamyśla:

a) Zgromadzać wiadomości wyjaśniające pomniki dziejów narodowych, jakie w województwie znaleźć można.

b) Opisywać rzeczy godniejsze uwagi, mogące służyć do publicznego użytku, albo do pomnożenia dotychczasowéj z nich korzyści.

c) Wystawiać we wszystkich względach potrzeby województwa dla polepszenia bytu mieszkańców.

2. Ułatwiając współobywatelom sposoby nabycia i rozszerzenia pożytecznych wiadomości, Towarzystwo starać się będzie:

a) Zaprowadzić bibliotekę publiczną i księgarnię w Płocku.

b) Podnosić niewiele dotąd znaczącą drukarnię Płocką.

c) Zbierać naukowe zakłady, szczególniéj co do pomników historycznych, albo płodów przyrodzenia.

3. Aby udzielać owoców usiłowań Towarzystwa Płockiego, a co będzie można przybliżać się do zamierzonego celu, Towarzystwo wedle uznanéj potrzeby, wchodzić może w związki z innemi utworzonemi już w kraju naszym Towarzystwami naukowemi.

§ II. *Skład Towarzystwa.*

4. Towarzystwo składa się *z członków czynnych i korrespondentów,* dla protekcyi zaś w działaniach swoich uprasza sobie *opiekunów.*

5. Na *członków czynnych,* wzywa Towarzystwo osoby, które przez dzieła swoje wsparły już, albo wesprzeć mogą zamiary Towarzystwa, tych szczególniéj, którzy mieszkają w województwie Płockiém, albo z urzędu swojego do Płocka należą.

6. Korrespondentami będą obywatele województwa Płockiego, którzy działania Towarzystwa, wiadomościami swojemi wspierać zechcą.

7. Na opiekunów zapraszani będą mężowie, wznoszący w kraju naszym nauki.

członków tego Towarzystwa znane znakomitości. Czcigodny rektor uniwersytetu warszawskiego ksiądz Szweykowski, po otrzymanéj odezwie, w tych słowach odpowiada:

„Wezwanie szanownego Towarzystwa pod dniem 3 czerwca r. b. odebrałem z uczuciem, jakie nielada zdarzenie zrodzić może w sercu

---

8. Każdy uczący w Szkole wojewódzkiéj Płockiéj, jak tylko żądanie swoje oświadczy, zostaje członkiem czynnym Towarzystwa.

9. Uczeń Szkoły wojewódzkiéj kończący z chwałą klassy, może być obdarzony w Towarzystwie tytułem korrespondenta, jeżeli zamiarom Towarzystwa dopomagać zechce, a zostanie członkiem czynnym jak tylko w pismach swoich złożonych Towarzystwu godnym się okaże.

§ III. *Obowiązki członków Towarzystwa.*

10. Obywatele województwa Płockiego, którym okoliczności dozwolą, jeżeli dopomagać zechcą zamiarom Towarzystwa, zbierając w okolicy swojéj potrzebne do prac przedsięwziętych wiadomości i materyały, a przesyłając je Towarzystwu czy tylko do opisania, czy też sami robić będą dokładne postrzeganych rzeczy opisy, raczą przyjąć tytuł członków korrespondentów Towarzystwa.

11. Członki czynne Towarzystwa, składający w niém radę, tak pracę podzielać będą, ażeby każdy ile możności raz przynajmniéj co trzy lata, z jaką stosowną do zamiarów Towarzystwa robotą, czynność jego ubezpieczył.

12. Czynne Towarzystwa członki na pierwsze jego potrzeby składać będą po złp. 12 co pół roku. Mniéj zamożnych a pożytecznych członków, rada Towarzystwa od téj daniny uwalniać może: wszystkie znowu większe ofiary, na fundusz przyjmuje.

13. Kto z członków czynnych lub korrespondentów przez lat 6 ciągle nie uczyni żadnego zgłoszenia do Towarzystwa, a o śmierci jego nie będzie wiadomości, taki przestaje być umieszczany w liczbie składających Towarzystwo, dopóki jakiéj nie zrobi odezwy.

§ IV. *Prace i posiedzenia Towarzystwa.*

14. Towarzystwo dwa do roku a przynajmniéj jedno publiczne posiedzenie odbywać będzie, to jest w dzień świętego Józefa łącznie z uroczystością *Miłosierdzia Szkolnego* (?), a drugie w ciągu roku, kiedy najdogodniéj wypadnie.

15. W każdém publiczném posiedzeniu, oprócz przypominania zawsze celu Towarzystwa, podany będzie raport jego czynności, a nadto czytywane będą prace członków Towarzystwa, albo po zgonie którego opisy, co w Towarzystwie zrobił.

16. Każdą pracę która ma być z Towarzystwa publiczności udzielona, autor powinien oddać do przejrzenia radzie, a ta postanowi, czyli dzieło w jego imieniu ogłoszone zostanie. Przez ten jednakże warunek nie tamuje się wolności piszących, ogłaszania robót własnych lub wynalazków, ale już nie w imieniu Towarzystwa.

ludzkiém. Jeżeli bowiem sama wiadomość o powstających instytucyach, szerzenie światła za cel mających, niemoże być dla miłośników nauk obojętną; tedy wezwanie tak dla mnie chlubne od Towarzystwa zawiązanego przy téj szkole, i po części przez tych członków z któremi razem na jednéj niwie zbierałem pośrednie zasługi zawodu me-

---

17. Jeżeli fundusze dozwolą, rzeczy ważniejsze z pism oddawanych Towarzystwu, jako téż każdoroczny obraz czynności Towarzystwa drukowane być mogą.

18. Rada Towarzystwa do któréj wszyscy członkowie czynni należą, zbiera się w każdą ostatnią niedzielę miesiąca, albo w poprzedzającą ten dzień sobotę; nadzwyczajnie zaś, kiedy tego wypadnie potrzeba. Komplet rady stanowi siodm osób.

19. Na posiedzenia rady, rozdają się wyznaczonym członkom podane do roztrząśnienia prace, a po wysłuchaniu o nich raportu, lub po odczytaniu całego dzieła, decyzya następuje.

20. Posiedzenie rady ustanawia porządek sesyj publicznych, wykazuje rzeczy potrzebujące szczególniéj zwrócenia uwagi pracujących członków, stanowi we wszystkich materyach ekonomicznych.

21. Gdyby kto z członków Towarzystwa przyjmujący do obrobienia jakie dzieło, wyznaczanych przez siebie terminów uchybił dwa razy, robotę swoją nadal innemu odstąpić musi, wyjąwszy konieczne odwłoki przyczyn.

§ V. *Rząd Towarzystwa.*

22. Towarzystwo większością zdań wszystkich członków, wybiera Prezesa, wzywa członków czynnych, zaprasza na opiekunów. Do tego niekoniecznie potrzeba osobistéj przytomności, ale przez korrespondencyą zdania zbierane być mają.

23. Prezes Towarzystwa raz wybrany, piastuje ten urząd dopóki go nie złoży.

24. Prezes oddalający się z miasta Płocka, wyznacza do zastępywania siebie w radzie Towarzystwa, jednego z czynnych członków; gdyby zaś nie mógł przewodniczyć publicznemu zgromadzeniu, rada jakiego z czynnych członków lub opiekunów Towarzystwa wcześniéj uprosić powinna do zastąpienia w publiczności obowiązków prezydującego.

25. Protokół każdéj czynności rady zapisywany będzie przez jednego z członków, który dokładne pełnienie wszystkich obowiązków sekretarza przyjmie na siebie, przez rok przynajmniéj cały, a to dlatego, aby mógł mieć ciągłą spraw Towarzystwa znajomość.

§ VI. *Biblioteka i księgarnia.*

26. Na zakład biblioteki, Towarzystwo wszystkie przyjmuje ofiary od członków swoich i od każdego ze sprzyjających naukom.

27. Starać się wypadnie ażeby biblioteki instytutów publicznych w Płocku zebrane zostały do jednéj biblioteki *publicznéj* wojewódzkiéj.

go nauczycielskiego, nie mogło nie wzbudzić we mnie uczuć nadzwyczajnych.

„Jakkolwiek że wysoki tytuł ofiarowany mi od Towarzystwa, każe się domyślać wyższych nad możność moję obowiązków, z tém wszystkiem i świętość zamiaru i wdzięczność za zaufanie, nakazują

---

28. Osoby chcące brać książki do domu, a nie mające innego prawa używania z biblioteki publicznéj, na jéj utrzymanie składać będą po złp. cztery co miesiąc.

29. Nie należący do Towarzystwa a chcący w bibliotece czytywać pisma peryodyczne i inne książki z biblioteki, płacić będą po złp. 18 na rok: uczniowie jednak wolni od téj opłaty.

30. Przychód z biblioteki od czytających zbierany, obracany będzie na opał biblioteki, światło, posługę, oprawę książek, szafy i opłatę pism peryodycznych, jak wiele wystarczy.

31. Biblioteka otwarta będzie po dwie godziny cztery razy w tydzień, dla czytania pism peryodycznych, a dwa razy na tydzień dla tych, którzy mają czytywać w domu.

32. Może jeszcze Towarzystwo przez kredyt w drukarniach albo przez zebrany od członków zasobny tymczasowy fundusz, sprowadzać potrzebne dla okolicy Płocka na sprzedaż książki, a zysk ztąd będzie korzyścią biblioteki.

33. Gdyby tym sposobem fundusze Towarzystwa biblioteczne znacznie wzrosły, może być utrzymany oddzielny bibliotekarz za umówioną opłatą. Pierwéj zaś członki Towarzystwa tę pracę podzielać muszą, a do tego wybieranym będzie wydział biblioteczny, w którym rektor i professor bibliotekarz szkolny, z urzędu miejsce mieć powinni.

34. Dalsze przepisy biblioteczne, szczególniéj co do czytania książek wyjęte będą z wewnętrznego urządzenia szkół wojewódzkich, w artykule: „urządzenie biblioteki" na karcie 45 i dalszych, z zastosowaniem jednak do okoliczności miejscowych i do przepisów Towarzystwa.

§ VII. *Drukarnia płocka.*

35. Nic z Towarzystwa nie będzie drukowane tylko w Płocku, korektę dzieł takich członkowie Towarzystwa wezmą na siebie.

36. Dobrze także będzie, jeżeli papiér sam, tylko z fabryk płockich używany zostanie.

§ VII. *Muzeum.*

37. Każdą osobliwość natury, pomnik historyczny, albo jakąbądź rzecz naukową, Towarzystwo z wdzięcznością do składów swoich przyjmuje.

38. Muzeum Towarzystwa połączone być może z muzeum i gabinetami szkoły wojewódzkiéj, ale starać się wypadnie o wolność nadania tym składom tytułu: *Muzeum województwa Płockiego.*

39. To muzeum dla okazywania publiczności, w pewne czasy otwierane być może.

stosować się do woli szanownego Towarzystwa. Oby Opatrzność dozwoliła założycielom téj pociechy, a mnie najmilszéj słodyczy, iżby Towarzystwo nasze płockie zakwitło jak najpomyślniéj, iżby wydało owoc obfity, a tém samém stało się hasłem dla wszystkich okolic Polski, aby wszędzie łącznemi siły starano się rozszerzać i podwyższać oświatę w narodzie.

Dan w Warszawie d. 10 października 1820 r.

Ks. Wojciech Szweykowski rektor królewskiego Warszawskiego Uniwersytetu, kanonik katedry płockiéj, członek komissyi rząd. W. R. i O. P., doktor teologii i członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego i Krakowskiego."

Na opiekuna zaproszono Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk. Odebrawszy tę odezwę Staszic jak i wszyscy członkowie, z wdzięcznością ten dowód braterskiéj ufności przyjąwszy, bezwłocznie odpisali. Podaję z autografu który posiadam, dosłownie tę odpowiedź:

„Czytając Towarzystwo Królewsko-Warszawskie Przyjaciół Nauk, ustawy sobie udzielone Towarzystwa naukowego, które się w roku bieżącym zawiązało przy szkole wojewódzkiéj płockiéj, między opiekunami przez rzeczone Towarzystwo zapraszanymi, i siebie postrzegło. Za ten dowód zaufania ma Towarzystwo królewskie sprawiedliwy powód do wdzięczności dla Towarzystwa naukowego w Płocku, i oświadcza gotowość swoję usłużenia gdzie dobro i sława narodowa tego wymaga. Wspierane chęci w zamiarze szlachetnym, bez korzyści ogólnéj zostać nie mogą. Słodkie są trudy naukowe, gdy świetność ojczyzny i jéj dobro jest jedynie na widoku usilności pracujących. Przy takich zamiarach znajdzie Towarzystwo naukowe płockie i ochoczych pomocników i godnych siebie naśladowców.

W Warszawie, dnia 30 listopada 1820 r.
Prezes Towarzystwa, *Staszic*
Sekretarz Towarzystwa, *Ks. Edward Ozarniecki*."

Żałować przychodzi że nie znamy dalszego rozwoju i prac podjętych przez Towarzystwo Naukowe Płockie. Z członków jego przeszli w pamięć dziejów literatury krajowéj, oprócz prezesa, professorowie Augustyn Żdżarski, Andrzéj Kucharski i Hipolit Gawarecki, który do dziejów Mazowsza wiele zebrał i wydał ważnych materyałów.

---

§ IX.

40. Szczególne przepisy uzupełniające te ustawy, rada Towarzystwa stanowić może, bez naruszenia jednak piérwotnych zamiarów; każdą zaś w ustawach zmianę lub znaczny dodatek, większość tylko zdań wszystkich członków postanawia.

41. Sporządzona zostanie księga, w któréj zapisywać się będą wszystkie zbierane ofiary i wszystkie dla Towarzystwa wypracowane dzieła, a przez sąd jego przyjęte i potwierdzone.

Wcześniéj, bo na lat dwa przedtém zawiązało się Towarzystwo Lubelskie Przyjaciół Nauk. Zebrane grono obywateli tak nam cele swoje objaśnia.

„Długo miłośnicy nauk w województwie Lubelskiém ubolewali, że przy niemożności połączenia sił swoich i bez wzajemnego udzielania swych myśli, nie mogli dość korzystnie naukowemu poświęcić się zawodowi; niedostateczna ich liczba w samym Lublinie, a trudność komunikacyi z mieszkającemi na prowincyi, była temu przeszkodą. Zebranie się wreszcie „Rady obywatelskiéj“ na posiedzenia swe w miesiącu maju roku 1818, tak długo oczekiwaną podało sposobność. Jakoż za staraniem kilku mężów, równie zaszczyconych pięknemi nauk zalety, jak gorliwych o skutek tych zbawiennych zamiarów, pierwsza zawiązka Towarzystwa tego, w samejże radzie, w dniu 23 miesiąca maja roku 1818 utworzoną zastała. Towarzystwo to, złożone wówczas z radców wojewódzkich, których imiona w poczcie członków, będą dla nich zawsze chlubną pierwszéj zasługi zaletą, z urzędników, nauczycieli wojewódzkich i niektórych wojskowych przybrało tytuł: „Towarzystwo Przyjaciół Nauk,“ a za cel działań swoich, nie tak wyższych nauk przedmioty, jak raczéj pierwiastkową młodzieży instrukcyą i staranność o rozkrzewienie nauk początkowych w szkołach elementarnych wiejskich i miejskich, w zamiarze tym niniejsze ustawy, na dniu 21 miesiąca czerwca roku 1818 przyjęło. Aby zaś w zbawiennym tym zamiarze, z tém większą działać powagą, podało Towarzystwo raport Komissyi rządowéj wyznań religijnych i oświecenia publicznego, przedstawiający plan swój, która go zatwierdzić raczyła.“

Reskrypt téj władzy dosłownie przytaczamy.

„Rozważywszy nadesłane sobie ustawy zawiązującego się Towarzystwa Przyjaciół Nauk w województwie Lubelskiém, z prawdziwém ukontentowaniem widzi chwalebne gorliwych obywateli zamiary rozszerzania oświecenia przez najistotniejsze środki, a między innemi przez usiłowania mające ułatwić rozkrzewienie szkół elementarnych. Nie wątpi komissya rządowa, iż wytrwanie członków Towarzystwa w dążeniu do tak zbawiennego celu, znakomite przynieść może dla kraju pożytki, i tém chlubniejszemi staną się wykonane ich

---

42. Gdyby kiedy Towarzystwu braknąć miało członków czynnych, własność jego zostanie własnością szkoły wojewódzkiéj, a każdy z członków historyą działań Towarzystwa, jego postępu i upadku, opisaną przez siebie, złożyć może do biblioteki z własnym jednakże podpisem.

Te ustawy i przepisy Towarzystwa Naukowego przy szkole wojewódzkiej płockiéj, przyjęto zostały na piérwszém zebraniu się członków zakładających Towarzystwo. Dnia 3 czerwca 1820 r. Z szesnastu podpisów wyczytać tylko mogliśmy, oprócz już wyżéj wymienionych następne: Brzozowski komisarz oświecenia, Stanisław Dembowski pułkownik, A. Kobyłecki, ks. Kolumban Żagier, Grobicki i ks. Moszczeński.

prace, że będą mogły posłużyć na wzór i zachęcenie dla innych województw. W Warszawie, dnia 7 lipca 1818 r."

Po upoważnieniu powyższém Towarzystwo powoli zorganizowawszy się, przepisało sobie *ustawy*, które daleko obszerniejszy obejmują program od Towarzystwa naukowego w Płocku; zbliżało się więcéj do Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego, a za główny cel wzięło oświatę ludową, przez popieranie i rozszerzenie szkółek elementarnych tak miejskich jak wiejskich. Ustawy te podajemy w przypisku, jako zajmujący i nauczający pomnik współczesnego okresu, a zarazem jako wspomnienie zacnych usiłowań obywatelskich [1]).

---

[1]) USTAWY TOWARZYSTWA LUBELSKIEGO PRZYJACIÓŁ NAUK.

Rozdział I.

Cel Towarzystwa i prace, które sobie zamierza.

Art. 1. Towarzystwo zakłada sobie za cel działań, dążenie do upowszechnienia oświaty w województwie Lubelskiém, a to szczególniéj w rozkrzewianiu nauk początkowych w szkołach elementarnych miejskich i wiejskich.

Art. 2. W skutek tego członki Towarzystwa starać się będą:

a) Nad wszelkiemi metodami początkowéj instrukcyi zastanawiać się i te do okoliczności miejscowych zastosowywać.

b) Do zakładania szkółek miejskich i wiejskich zachęcać i ile możności, zaprowadzenie onych ułatwiać.

c) Ułatwiać w takich szkołach sposobność czytania użytecznych książek i ich nabywania.

d) Robić wyjątki z pism peryodycznych, mających związek z zamierzonym celem, i wiadomości takie Towarzystwu udzielać.

e) Udzielać wszelkie pisma oryginalne w przedmiotach nauk i umiejętności.

f) Przekładać na język ojczysty dzieła wzorowe, zwłaszcza takie, których upowszechnienie szczególniéj byłoby użyteczném.

g) Ułatwiać funduszami swemi drukowanie dzieł użytecznych, których autorowie nie byliby w stanie potrzebnych łożyć nakładów.

Art. 3. Dalszemu wzrostowi swemu zostawia Towarzystwo podział prac swoich na trzy działy, to jest: nauk, umiejętności i instrukcyi elementarnéj.

Rozdział II.

Skład Towarzystwa i obowiązki członków.

Art. 4. Towarzystwo składa się z członków czynnych i honorowych.

Art. 5. Członków czynnych w Lublinie mieszkających obowiązkiem, znajdować się na każdém Towarzystwa posiedzeniu, lub o ważnéj przyczynie, dla którejby przytomnemi być nie mogli, prezydującego uwiadamiać: nieobecni zaś w Lublinie, lecz mieszkający w województwie Lubelskiém na dwóch przynajmniej corocznie posiedzeniach, znajdować się powinni.

Pierwszym prezesem tego Towarzystwa był Joachim Owidzki, wiceprezesem Andrzéj Smolikowski, sekretarzem znany z nauki Jan Kanty Krzyżanowski; członkami, między innymi: Antoni Baranowski generał w. p., Leon Dembowski poseł, ks. Glass pastor, Stanisław Grabowski senator kasztelan, Wojciech Gutkowski podpułkownik inżynier, Kazimierz Nahajewicz professor, Rozenberg fizyk woje-

---

Art. 6. Każdy członek czynny obowiązany będzie w przeciągu lat trzech wypracować jednę przynajmniéj rozprawę oryginalną, lub złożyć przekład z obcego języka.

Art. 7. Nadto, wszelkie od Towarzystwa polecone sobie czynności, jak najściśléj i na czas oznaczony uskuteczniać, a w przedmiotach dłuższego czasu potrzebujących, o postępie zdawać sprawę.

Art. 8. Na podejmowanie potrzebnych Towarzystwu kosztów, członkowie jego będą robić składkę, nie mniéj jak po złp. 2 miesięcznie, która to opłata, przynajmniéj ratami kwartalnemi ma być wnoszoną, za kwitem utrzymującego kassę Towarzystwa. Że zaś dochód ten nie jest prywatnym Towarzystwa funduszem, ale raczéj uposażeniem szkółek elementarnych w województwie, zaczém i członki honorowe, obywatele tego województwa i zamieszkali w niém, składkę tę opłacać będą.

Art. 9. Każdy członek czynny, któryby dla zatrudnień powołania swego lub innych nie był w stanie złożenia Towarzystwu własnego płodu naukowego, w czasie przepisanym, obowiązanym będzie innym rodzajem ofiary przyłożyć się do celu Towarzystwa.

Rozdział III.

Art. 10. Towarzystwo dwojakie odbywać będzie posiedzenia: *zwyczajne i publiczne.*

Art. 11. Dwa będą corocznie publiczne posiedzenia, to jest w drugą niedzielę każdego konstytucyjnego zebrania się rady obywatelskiéj.

Art. 12. Posiedzenia zwyczajne odbywać się będą co miesiąc, w piérwszą niedzielę każdego miesiąca, od godziny 10 z rana.

Art. 13. W miesiącach sierpniu i wrześniu, żadnego nie będzie posiedzenia, a natomiast przypadające w nich, przenoszą się na piérwszą niedzielę każdego konstytucyjnego zebrania się rady obywatelskiéj.

Art. 14. Na posiedzeniach zwyczajnych nastąpi najprzód:

a) Odczytanie dziennika posiedzenia poprzedzającego.

b) Zapisanie imion członków obecnych.

c) Załatwienie przedmiotów, które i w jakim porządku, na ostatniém posiedzeniu uchwalone zostały.

d) Wniesienie nowych od prezesa i członków Towarzystwa, nakoniec:

e) Odczytanie dziennika wraz z listą obecnych, tudzież nieobecnych a niewymówionych i podpisanie tegoż przez prezesa.

Art. 15. Prezes może wstrzymać czytanie pisma nie odpowiadającego powadze Towarzystwa, lub dotykającego osoby; wszelkie zaś pisma na posiedzeniach odczytane, powinny być w aktach Towarzystwa złożone.

wódzki, Jan hr. Suchodolski radca wojewódzki, Tomorowicz sztabs lekarz, Antoni Woelke późniejszy professor Uniwersytetu Warszawskiego i ksiądz Franciszek Zabłocki proboszcz w *Końskowoli*, słynny komedyo-pisarz XVIII stulecia, i uczestnik uczonych obiadów króla Stanisława Augusta.

Pomiędzy honorowymi członkami, czytamy na liście imiona znane w kraju: Grzymały senatora kasztelana, księcia Macieja Jabło-

---

Art. 16. Pisma składające się w aktach, powinny być zadekretowane, czy na posiedzeniu publicznem czytane być mogą. W czem, jak i we wszelkich innych przedmiotach narad, zdania głośne stanowią; na wniosek jednak którego z członków, kréskowanie tajemne miejsce mieć może.

Art. 17. Na publicznych posiedzeniach, najprzód czyniony będzie przez prezesa krótki raport z działalności Towarzystwa, tudzież ogłoszenie ubyłych i przybyłych członków, tak czynnych jak honorowych; poczém nastąpi odczytanie celniejszych prac członków, których wybór i porządek czytania, na ostatniém posiedzeniu zwyczajném ustanowiony będzie.

Art. 18. Gdyby prezes Towarzystwa rozprawę jaką napisał, téj nie będzie do raportu dołączał, ale ją w kolei członkom odczyta.

Rozdział IV.

Urzędnicy Towarzystwa i ich obowiązki.

Art. 19. Towarzystwo ma swego prezesa, wiceprezesa, sekretarza, inspektora, archiwum i kassyera.

Art. 20. Urzędnicy ci obierani będą co dwa lata z członków czynnych na posiedzeniu zwyczajném w miesiącu czerwcu.

Art. 21. Obowiązkiem prezesa jest prezydować: *a)* na posiedzeniach i obrady zagajać, *b)* pisywać w imieniu Towarzystwa, odpowiadać, zapytywać, się i wrazie potrzeby nadzwyczajne posiedzenia zwoływać; może nawet rozwagę jakiejkolwiek rzeczy, lecz raz tylko do następującego posiedzenia odłożyć, *c)* równość zdań rozwiązywać, *d)* wyznaczać osoby do recenzyi rozpraw i zdania o tychże raportu, *e)* na ostatniém publicznem posiedzeniu urzędowania swego zdawać sprawę z prac Towarzystwa, w tym ciągu czasu dokonanych lub przedsięwziętych.

Art. 22. Wiceprezes zastępuje prezesa wrazie potrzeby, a w niebytności obudwóch, członek starszy, wyborem, a przy równości wyboru, starszy wiekiem na posiedzeniach prezyduje.

Art. 23. Obowiązkiem sekretarza jest: *a)* być pomocą prezesowi, *b)* utrzymywać dzienniki posiedzeń Towarzystwa, *c)* mieć nadzor nad składem papierów, *d)* dozwolone wypisy z akt zgromadzenia zaświadczać, *e)* utrzymywać listę członków od założenia Towaazystwa, z wyrażeniem daty przyjęcia każdego, *f)* na posiedzeniach wszelkie pisma do Towarzystwa lub prace członków nieobecnych odczytywać.

Art. 24. Inspektor archiwum mieć będzie pod swoim dozorem skład aktów Towarzystwa, książek i wszelkich pism od sekretarza sobie oddanych

nowskiego, Kajetana Kozmiana radcę stanu, najgłośniejszego poetę pomiędzy klassykami, Stanisława Potockiego prezesa senatu i ministra oświecenia i Stanisława Staszica radcę stanu.

I o tém Towarzystwie Lubelskiém jak i o Płockiém dalszych wiadomości niemamy: nie znamy więc działań jego użytecznych po

---

i tego w niebytności zastępuje. Za powiększeniem się Towarzystwa i biblioteki, może mu być dodany bibliotekarz.

Art. 25. Kassyer trudnić się będzie poborem składki i wszelkich dochodów, zaspakajać wszelkie wydatki, utrzymywać rachunki i składać je corocznie przed komissyą z trzech członków od prezesa wyznaczoną.

Art. 26. Wszelkie wydatki czynione będą tylko za postanowieniem Towarzystwa przez większość głosów, z tych zaś znaczniejsze jako to: na drukowanie dzieł, zakupienie ich i tym podobne, nie mogą być uchwalone jak na posiedzeniach przynajmniéj z dwunastu członków złożonych.

Rozdział V.

O wyborze członków.

Art. 27. Wybór członków tak czynnych jak honorowych, uskutecznia się przed każdém posiedzeniem publiczném.

Art. 28. Na przedostatniém zwyczajném posiedzeniu, każdy z członkow czynnych, podać może kandydatów na piśmie, z wyrażeniem ich zalet naukowych i zapewnieniem o chęci należenia do Towarzystwa.

Art. 29. Podanie takowe na posiedzeniu następném, ostatniém przed publiczném, roztrząsaném będzie, poczém przystępuje się do wyboru kandydatów, w czém większość głosów stanowi.

Art. 30. Prezes o zaszłym wyborze kandydata uwiadomi przesyłając mu niniejsze ustawy, z wezwaniem aby przed, lub na samém publiczném posiedzeniu złożył akt przyjęcia (akceptacyi); *czynny* zaś, aby sam znajdował się dla uroczystego wprowadzenia go w grono Towarzystwa.

Art. 31. Prezes, czyniąc raport na posiedzeniu publiczném i wymieniając członków nowoobranych, wspomni w krótkich słowach powody przyjęcia i wezwie czynnych do zajęcia miejsc w Towarzystwie.

Art. 32. Gdyby który z członków czynnych nowoobranych, dla ważnych przyczyn na posiedzeniu publiczném znajdować się nie mógł i nie przysłał przynajmniéj aktu akceptacyi, będzie uważanym za niechcącego korzystać z okazanego mu przez Towarzystwo względu.

Art. 33. Komplet wszelkiego posiedzenia stanowi sześciu członków, wyborowego zaś dziesięciu, prócz prezesa i sekretarza.

Rozdział VI.

O wyborze urzędników.

Art. 34. Gdy urzędnicy Towarzystwa co dwa lata obierani być mają, zaczém w téj epoce, posiedzenie zwyczajne miesiąca czerwca zamieni się w *wyborowe*.

ustaleniu, ani daty w któréj umilkło. Członkowie obu tych naukowych zgromadzeń dawno pomarli, a archiwa ich i zbiory poszły w rozsypkę.

Tymczasem Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie, coraz energiczniéj zabierało się do pracy, we wszystkich gałęziach nauk, coraz też częściéj zaczęły się pojawiać jego *Roczniki*.

Art. 35. Prezes Towarzystwa może być obrany z mieszkających na prowincyi, któryby jednak miał łatwość przybyć w każdym razie potrzeby; inni zaś urzędnicy z miejscowych obierani być winni.

Art. 36. Wybór prezesa w następujący odbywa się sposób: *a*) sekretarz Towarzystwa przysposabia wcześnie listę wszystkich członków Towarzystwa na tyle rąk ile być może głosujących, i tę na posiedzeniu *wyborowém* każdemu doręczy; *b*) każdy z członków podkreśli na niéj imię tego, którego prezesem mieć życzy; *c*) większość krések wybór stanowi; w przypadku równości między dwoma, powtórne na nich kreskowanie nastąpi; gdy i to nie rozstrzygnie, starszy wiekiem pierwszeństwo otrzyma.

Art. 37. Wiceprezes takimże obrany będzie sposobem; na inne urzędy prezes kandydatów przedstawia, obrani zaś mogą być prostą większością zdań głośnych; na wniosek jednak którego z członków, kréskowanie nastąpi.

Art. 38. W przypadku śmierci lub oddalenia się którego z urzędników, prezes wyznacza tymczasowego zastępcę, aż do nowego wyboru lub powrotu jego.

Rozdział VII.

O sposobie sądzenia pism.

Art. 39. Wszelkie pisma tak przez stowarzyszonych wypracowane, jakotéż nadesłane przez członków honorowych, lub osoby do składu Towarzystwa całkiem nienależące, podpadają poprzedniczemu Towarzystwa roztrząśnieniu, nimby cokolwiek względem nich postanowioném być miało.

40. Prezes odebrane pismo oddaje deputacyi z trzech osób do recenzyi wyznaczonéj, która w czasie oznaczonym, to jest, według rozciągłości pisma, na następném drugiém, lub trzeciém posiedzeniu, winna z niego zdać sprawę. Każdy członek oddzielnie winien podać na piśmie spostrzeżenia swoje, a jeden z deputacyi ułoży raport obejmujący dokładnie treść pisma, oraz zdanie i uwagi recenzentów.

Art. 41. Po odczytaniu uwag deputacyi, Towarzystwo stanowi, czy dzieło jak jest, ma być czytaném na posiedzeniu publiczném, lub też tylko do akt oddane, dla późniejszego użytku.

Art. 42. Jeżeliby zaś osądzono rzecz za potrzebującą poprawy przed dalszém z nią postąpieniem, wtenczas po roztrząśnieniu na posiedzeniu, uwagi deputacyi udzielone będą autorowi, dla sprostowania miejsc wytkniętych.

Art. 43. Wolno jest autorowi nie przyjąć tych uwag, ale rzecz jego ani pod imieniem Towarzystwa drukowaną, ani na publiczném posiedzeniu czytaną być nie może.

Art. 44. Jeżeliby zaś autor odwoływał się tylko, przeciwko uwagom recenzentów, do ogólnego zdania Towarzystwa, może żądać odczytania na po-

Piérwszy ich tom wyszedł w roku 1802 w drukarni księży Pijarów. Na czele mieści odezwę Towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk, wraz z reskryptem króla pruskiego zatwierdzającym pomienione Towarzystwo.

Odezwę tę cechuje duch prawdziwie obywatelski i szczególna skromność. Z niéj czerpiemy wiadomości, że król pruski, będąc uprzedzonym iż jednemu z członków tego grona uczonych, polecono napisać dzieje narodu, pozwolił przejrzéć sekretne archiwum mistrzów krzyżackich w Królewcu: daléj że plan komissyi edukacyjnéj pomimo zmiany rządu, otrzymał zasłużone pochwały, a w ostatku powiadamia Towarzystwo o ukończeniu przekładu w całości *Iliady* Homera, w części *Enejdy* Wirgiliusza, i Żywoty sławnych ludzi Plutarcha. Przytém zaprasza wszystkich miłośników literatury krajowéj o pomoc w opracowaniu terminologii naukowych i kończy w tych słowach:

„Niech każdy się przekona, że sława nauk jest najtrwalsza, że ośmielenie się do pracy, zwyciężenie nawet skromności, jest długiem należnym naukom ojczystym, a na ich ołtarzu złożona ważna i ucząca księga, daje mu niezaprzeczone prawo do wdzięczności obecnych i przyszłych pokoleń.“

Oprócz mów zwykłych przy zagajeniach zebrań i kilku rozpraw naukowych prezesa Albertrandego, w trzech tomach do roku 1804

---

siedzeniu zwyczajném i pisma swego i uwag deputacyi, wówczas trzy czwarte części zdań nie głośnych, przyjęcie lub usunięcie pisma stanowią.

Rozdział VIII.

Przepisy dodatkowe.

Art. 45. Członki Towarzystwa przyrzekają sobie nawzajem, wszelkie oznaki szacunku i związku i w dowód tego, w przypadku ciężkiéj słabości którego z członków, Towarzystwo mieć będzie potrzebną troskliwość o stanie zdrowia, a wrazie i o potrzebach chorującego, w przypadku zaś śmierci, Towarzystwo w gronie, zwłokom towarzyszyć będzie.

Art. 46. We wszystkich przypadkach nieobjętych niniejszemi ustawami, Towarzystwo bierze za zasadę, wrazie potrzeby stosować się do ustaw Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego.

Art. 47. Towarzystwo zostawia sobie władzę przejrzenia tych ustaw co dwa lata i sprostowania niedogodności, do téj zaś epoki literalne onym posłuszeństwo zastrzega.

Powyższe ustawy na posiedzeniu dnia 25 czerwca 1820 r. poprawione i zatwierdzone zostały. (Wydrukowane zostały wraz z listą członków czynnych i honorowych p. n. *Ustawy Towarzystwa Lubelskiego* Przyjaciół Nauk. W Lublinie, w drukarni Karola Pruskiego, roku 1820. Nakładem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w 8-ce. Broszurka ta dziś do rzadkości bibliograficznych należy).

które za czasów tak zwanych *pruskich* wyszły: mamy pochwały przez Stanisława Kostkę Potockiego, Józefa Szymanowskiego, Grzegorza Piramowicza; przez Franciszka Dmochowskiego, pochwałę Ignacego Krasickiego: przez Piotra Maleszewskiego mowę na obchód pamiątki Ignacego Zaborowskiego, obok prac astronomicznych Jana Śniadeckiego, jego sławną rozprawę o *Koperniku;* Tadeusza Czackiego o *Dziesięcinach,* i prace filozoficzne Józefa Kalasantego Szaniawskiego: „*O znamienitych systemach moralnych starożytnych,*“ i „*System chrystyanizmu krótko wyłożony.*“ Autor ich był to jeden z głębszych myślicieli, świetny reprezentant *filozofii* przez ciąg dwudziestu lat prawie naszego stulecia. Towarzystwo Przyjaciół Nauk chętnie go w grono swoje policzyło, lubo później sam słyszałem, pełne goryczy wyrazy sędziwego J. U. Niemcewicza, zwrócone przeciw J. K. Szaniawskiemu. Skarga ta była słuszna, bo autor *Systemu chrystyanizmu*, nie po chrześcijańsku postąpił.

Utwory poetyczne znajdujemy tu także: przekład „listu Horacyusza do Juliusza Flora,“ przez F. Dmochowskiego, i J. U. Niemcewicza „Dumę o Glińskim,“ wraz z tłumaczeniem z angielskiego elegii Greya: „Na cmentarzu wiejskim.“

Nie możemy pominąć rozprawy Jana Kossakowskiego biskupa wileńskiego p. n. „Rzut oka na literaturę czeską, i związek języków słowiańskich.“

Pierwszy to głos od epoki Jagiellonów, przypominający nam braterstwo w duchu i języku z tym szlachetnym narodem, odżywienie pamięci owych dawnych a serdecznych stosunków, gdy z łona Czechii pierwsi przynieśli nam apostołowie wiarę chrześcijańską, gdy nas nauczyli nowego sposobu walczenia w obronnych *taborach.*

Spała wówczas cała Czechia snem letargicznym, pierwszy jéj filolog Józef Dobrowski, bawił się naukowo ojczystą mową, po niemiecku ją studyując, jako umarłym językiem; rękopism *królodworski* na wieży kościelnéj w pyle zapomnienia się tarzał; nieobfity też zebrał plon Kossakowski, i tylko na dawną przeszłość tego narodu mógł się odwoływać.

W dniu 5 maja 1803 r. Jan Woronicz kanonik katedralny, odczytał na publicznem posiedzeniu rozprawę swoję: „*O pieśniach narodowych.*“ W niéj głównie zwrócił uwagę na pieśni religijne zaczynając od *Boga Rodzicy* do Karpińskiego, pragnąc odżywić zarazem i pieśni historyczne, któreby pamięć świetniejszych zdarzeń z dziejów krajowych mogły rozpowszechnić i utrwalić. Głos to był poety kapłana, wymowny i porywający, a zarazem wskazujący, że znał lepiéj od współczesnych całe bogactwo poetyczne z upłynionych wieków. W części życzenia Woronicza spełnił J. U. Niemcewicz „*Spiewami historycznemi,*“ ale „pieśnioksięgu“ religijnego dotąd niemamy.

Tom czwarty *Roczników* pojawia się w roku 1807, już po ogłoszeniu Księztwa Warszawskiego; tak w nim jak i w czterech następ-

nych znajdujemy więcéj wierszopisarskich utworów Ludwika Osińskiego i prawdziwą poezyą natchniony ów przepyszny, wzniosły *Hymn do Boga* Woronicza. Pierwszy on raz wystąpił tu jako wieszcz narodowy, gdyż poemat swój *Sybillę*, jakkolwiek wykończony starannie ukrywał, i w jedenaście lat późniéj, bo w roku 1818 jeden z przyjaciół wykradłszy drukiem ogłosił w staranném wydaniu, z godłem na czele:

„I odpuść nam nasze winy.“

Przepraszając autora, że nadużył jego zaufania, alę cel usprawiedliwił go w oczach każdego miłośnika literatury ojczystéj. Woronicz mało za życia drukował, portret jego dał A. E. Odyniec w noworoczniku swoim: *Melitele* z r. 1830, wraz z jego wierszem p. n. *Ślubny upominek.*

Z wydatniejszych prac zwracają uwagę: rozprawy ks. Ksawerego Bohusza: „*O początkach narodu i języka Litewskiego*,“ i Staszica „ *O ziemiorodztwie gór.*“

Tom VIII w roku 1812 wydany składa się z dwów części: druga obejmuje opis uroczystości obchodzonéj dnia 22 grudnia 1809 roku, po oswobodzeniu Księztwa Warszawskiego od napadu armii austryackiéj.

W żadnéj chwili życia nie był równie wymownym Stanisław Kostka Potocki, jak gdy pisał *Pochwałę walecznych*, którą odczytał na tém zebraniu, ani J. K. Szaniawski, gdy wskrzeszał pomięć poległego przyjaciela Cypryana Godebskiego, ani Ludwik Osiński nigdy nie uczuł wyższego natchnienia poetycznego, gdy kreślił swoją *odę*, czcząc w porywającym wierszu tych samych, o których przemawiał Potocki. Wydawnictwu tego tomu już towarzyszył daleki grzmot dział i okrzyk wojenny, jako smutna wróżba upadku Napoleona Wielkiego.

Zmęczona społeczność nasza w śród téj zawieruchy światowéj, tęskném okiem spoglądając w około, wyglądała z biciem serca, jak się zakończy ten straszny a krwawy dramat. Po dwóch latach, przecież pokój zawitał, i każda pierś odetchnęła swobodniéj.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z SIEDMIOLETNIÉJ WOJNY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom drugi.

V.

(Ciąg dalszy).

Było to dnia 14 października 1756 roku, w dniu, który żałobną pamięcią zapisał się w dziejach Augusta III. Zima zbliżała się, ale wojny przerwać nie mogła; z obu stron gromadziły się siły, poruszały oddziały i nieustanna walka na granicy, prawie zawsze na korzyść Prusaków wychodziła.

Miesiąc upływał od czasu, gdyśmy w Pirnie króla widzieli; on i Brühl z całym dworem lękając się wpaść w ręce nic nieszanującego króla pruskiego, przenieśli się do tego Koenigsteinu, w którym tyle ofiar wprzódy lata powolnéj męczarni spędziło. U stóp twierdzy odegrywała się ostatnia scena piérwszego aktu tego dramatu, w dziejach zowiącego się siedmioletnią wojną.

Wkrótce po oznajmieniu generała Spörkena, iż wojska pruskie usiłować będą odciąć obóz od czeskiéj granicy, Fryderyk w istocie śmiałym marszem wystąpił pod Lowositz i piérwsze odniósł tam zwycięztwo.

Po niém był już prawie panem wojska saskiego, które nierychło zebrawszy się na zbudowanie mostu pod osłoną twierdzy w Koenigsteinie, przeszło go mglistą nocą z dnia 13 na 14 i znalazło się wycieńczone trzydniowym głodem a więcéj niż czterotygodniową blokadą, w rękach oczekujących już na nie Prusaków. Nie pozostawało już nic nad zdanie się na łaskę i niełaskę nieprzyjaciela. Generał Rutowski ze swojemi 16,000 kapitulować musiał. Wszystkie wąwozy, drogi, przejścia zawczasu były obsadzone.

Pułki saskie rade nierade, siłą wcielone zostały do armii Fryderyka, który nawet gwardyi Augusta uwolnić nie chciał, aby jak mówił, drugi raz ją brać w niewolę nie był zmuszony. Oficerów tylko na słowo puszczono. Saxonia była bezsilną w rękach zdobywcy, który ze zwycięztwem łączył to nielitościwe, cyniczne szyderstwo, które go cechowało.

Z wierzchołka niezdobytéj twierdzy, Brühl widzieć mógł zastęp ostatnich obrońców kraju, który jego winą wpadł w ręce nieprzyjaciela, składających broń i wdziewających sinoczerwone barwy pruskie. Królowi i teraz jeszcze, wraz z Brühlem, którego imienia Fryderyk wymówić ani napisać nigdy nie chciał, ofiarowano paszporta do Polski, dodając przestrogę, iż się przecież na sejm wypadało pospieszyć.

W tak rozpaczliwém położeniu, do którego przywiódł Saxonię zarozumiały a słaby minister, umiał on jeszcze Augusta III-go pocieszać tém, iż zwycięztwo pozorne Prusaków krótko trwać miało. Lada chwila sprzymierzeni wszyscy runąć musieli i obalić miotającego się rozpaczliwie Fryderyka. August III wzdychał, a pocichu przypominał, że najlepsza pora jesienna do polowania, bezpowrotnie przepadła. Saxonią odzyskać było można, ale nie stracone łowy! Na Koenigsteinie téż smutne było życie: te mury do których tyle westchnień i jęków przylgnęło, zdawały się rozpacz i smutek wyziewać.

Tegoż dnia 14 października, po mglistéj nocy, w chłodny poranek, kwatera króla Fryderyka znajdowała się w małéj wioszczynie u stóp góry niedaleko Lilienstein. Feldmarszałek Keith, któremu poleconém było spisanie kapitulacyi, zajmował obszerniejsze nieco domostwo; król swym obyczajem, z pewną ostentacyą surowego żołnierza mieścił się w ciasnym domku, w którym żadnych wygód nie było. Z téj izdebki nagiéj dyktował on rozkazy i rozporządzał zabranemi kilkunastu tysiącami niewolnika, który wojsko jego miał zwiększyć. Rozesławszy generałów, z jednym majorem Wangenheimem na dyżurze, naprzeciw rozpalonego ognia na kominie siedział Fryderyk zamyślony, trzymając na kolanach ulubioną charcicę. Na prostym stoliku leżało kilka książek i kilka kart atramentem poplamionych, obok nich na talerzu stały jabłka i gruszki, które król przez cały dzień jadł chętnie. Kilkunastu żołnierzy składało straż

całą. Milczenie panowało w domku, do którego niekiedy wpadali adjutanci po rozkazy i zbyci kilku słowami, natychmiast do kwatery feldmarszałka wracali.

W tym człowieku zmęczonym, okrytym ladajakim mundurem, zbłoconym i opylonym, którego twarz więcéj przebiegłości i energii, niż gieniuszu zdradzała; trudno było poznać króla i wodza. Nic w nim nie było dla oka ludzkiego, dla opanowania ludzi i olśnienia ich wielkością; w stroju i postawie odbijał się charakter pogardzający człowiekiem i świadomy tego jednego, iż siłą na nim wszystko wymódz można. Z okien tego domku i izby widać było w oddaleniu majestatyczny, wspięty na skale Koenigstein. Oko Fryderyka zwracało się czasem na te mury, nie zatrzymując się na nich długo: uśmiech naówczas przebiegał usta.

Na ten dzień dosyć długo czekał, dość się nad nim napracował zwycięzca, a jednak rozpromienienia z twarzy widać nie było, raczéj troskę i zamyślenie. Dla innych był to krok stanowczy, on widział iż wojna zaledwie była rozpoczętą, świetnie wprawdzie; lecz ileż razy wiele obiecujący początek zawodem się kończy??

Wangenheim wszedł powoli.

Fryderyk twarz ku niemu obrócił.

— Generał Bellegarde z listem króla polskiego...

Skinął aby go proszono.

Słusznego wzrostu, piękny mężczyzna, w mundurze, z twarzą smutną wszedł na próg i skłonił się przed Fryderykiem.

— Dzień dobry generałowi, jak się on ma?.... z czém-że tam?.....

Bellegarde długo się wahał, nim usta otworzył.

— Jeśli on chce odemnie jakiejkolwiek ulgi w kapitulacyi, to napróżno—odezwał się Fryderyk.—Nie mogę. Jestem do tego zmuszony co czynię; często mimowoli, z musu.....

— Jednakże gwardya, N. Pana!—odezwał się Bellegarde.

— Poco mu gwardya? Niech jedzie do Warszawy, tam ma pospolite ruszenie panów „nie pozwalam"... Nie ma tu czego siedzieć..... Wasz minister, którego imię gdybym ja wymówił, ustaby mi splamiło; wasz to minister na mnie naszczuł Europę całą; a jednak tego szacownego półgłówka puszczam

wolno, ażeby się król w drodze nie nudził. Dam mu paszporta, niech rusza i poluje!!

Bellegarde stał poważny, na rozmowę w tym tonie nieznajdując odpowiedzi.

Fryderyk spojrzał nań.

— Powiedz, generale, królowi, że go szanuję, że mu dobrze życzę, ale sobie jeszcze lepiéj. Trudno, bym pozwolił się zredukować, jakeście chcieli na margrabię Brandeburga; wolę aby kurfirst saski zszedł na Miśnieńskiego Landgrafa!!

Niech do Polski jedzie: zawsze mu zostało królestwo tak bogate w lasy jak żadne, a ja oskoczony muszę się bronić, niemając piędzi ziemi bezpiecznéj.

Po chwilce podniósł głowę.

— Ma mi on co więcéj do powiedzenia?

— Król JM. prosi o gwardyą!— powtórzył generał.

— To próżno! boleję nad tém, ale jéj nie puszczę, aby nie poszła zwiększyć austryackiéj siły.

Pozdrów króla odemnie. Paszporta gotowe; niech na Wrocław jedzie: drogi bezpieczne i przeprzęgi miéć będzie dobre.

Bellegarde stał jeszcze, gdy Fryderyk odwrócił się, pogięty kapelusz uniósł nieco i skinął głową:

— Nie mogę więcéj, adieu.....

Generał wyszedł wzdychając, a król oczyma za nim pogonił.

Zaledwie się drzwi zamknęły, gdy major Wangenheim wszedł.

— W. Kr. Mość pozwolisz mi więźnia tego przypomnieć?

— Jakiego?

— Młodego Polaka, którego przed kilku tygodniami wzięto, gdy się z Pirnej do Drezna chciał dostać.

— Polaka!—odezwał się król—który się tak zuchwale stawił?

— Lecz nic przy nim nie znaleziono, a przez czas jak jest pod strażą, mogliśmy się przekonać, iż wcale Sasom nie sprzyja. W. Kr. Mość byłeś łaskaw przyrzec mu uwolnienie, ośmielam się za nim wstawić.

Fryderyk pomyślał.

— Niech mi go tu przyprowadzą.

Wangenheim wyszedł, a w kwadrans potém dwóch żołnierzy przywiodło do drzwi odartego Masłowskiego, odzianego w kożuszek stary, w chodaki zamiast butów, bez czapki, podobniejszego do włóczęgi niż do owego śmiejącego się chłopaka, który tak raźno dawniéj na świat spoglądał.

Nędza ta jednak i niewola, choć go wymizerowały, nie odjęły mu ani dawnéj buty, ani téj wesołości rozpaczliwéj, która czasem w pewnych charakterach na rusztowanie nawet towarzyszy.

Wprowadzony Masłowski stanął u drzwi w milczeniu. Fryderyk na niego z pogardą popatrzał, a potém rzekł:

— A co, wypościł się on?

— Z łaski W. Kr. Mości—krótko rzekł Masłowski—dosyć.

— A drwa pan szlachcic rąbał?

— Tak jest, N. Panie.

— I wodę nosił?

— Tak jest, N. Panie.

— Niech-że wié, że ja zuchwałych odpowiedzi nie lubię —zawołał Fryderyk i żywo dodał:

— W wojsku on nie chce służyć?

— Nie życzę sobie.

— Może w saskiém?

— Ani w pruskiém, ani w saskiém.

— A w jakiémże?

— We własném lub w żadném.

Król zamilkł, parsknął śmiechem i powoli wymówił przesadnie: „Nie pozwalam!"

Na bladą twarz Masłowskiego wystąpił rumieniec.

— Fort! wracaj sobie do Drezna, lub jedź z królem polować na niedźwiedzie. Żołnierza z ciebie dobrego nie będzie, bo gdybyś lepszym był, o pozwoleniebym cię nie pytał, poszedłbyś pod karabin i basta.

Król podniósł kij groźnie—i powtórzył—*Fort!*

Masłowski się odwrócił do wyjścia, a Wangenheim wskazał mu, drzwi otworzywszy, drogę, gdy w sieniach chaty pan Ksawery, oko w oko spotkał się tu z bardzo dziwném zjawiskiem, które go powstrzymało zdumionego.

Stało tu dwóch ichmościów, *Cabinet* sekretarzy J. Kr. Mości, w rodzaju mundurków dosyć niepoczesnych, z papierami pod pachą. Czekali widać ażeby ich zawołano. Jeden z nich pociesznie pękaty i mały, w peruczce z lokami nad uchem i harcapkiem z jasną wstążką, żuł coś w ustach, korzystając z wolnego czasu, widocznie nie interesując się wcale tém co się koło niego działo. Kiedy niekiedy ręką sięgał do kieszeni, wyjmował cóś z niéj i sypał do gęby, pracowicie natychmiast obrabiając ten materyał pożywny zębami. Na wygolonéj twarzy znać było ruchy muskułów pospieszne, dozwalające odgadywać głodną łapczywość. Drugi obok z miną roztargnioną, tak się zdał Masłowskiemu do Simonisa podobnym, iż na chwilę osłupiał. Nie musiał to jednak być ów elegant kawaler, chociaż twarz nadzwyczaj go przypominała, bo spojrzawszy na Masłowskiego nie okazał najmniéj ażeby go poznał. Owszem, z uwagą nań popatrzał, ale z obojętnością zupełną i oczy zaraz ku drzwiom obrócił. P. Ksawery stał jeszcze niewiedząc czy mu się przypomnieć, czy go spytać, gdy major Wangenheim powtórzył mu rozkaz króla, aby dopóki wolnym jest, ruszał gdzie chce. Radził mu, co najbliżéj dostać się do Koenigsteinu do Brühla, gdzieby odzież lepszą mógł dostać.

Nieszczęśliwego Masłowskiego, gdy po sprawieniu poselstwa przedzierał się do Drezna, schwyciły były placówki pruskie. Zaprowadzono go do głównéj kwatery, okrzyczano szpiegiem. Zrazu była mowa o rozstrzelaniu. Zimna krew, przytomność, obce może pochodzenie, brak wszelkich dowodów, tłumaczenie się śmiałe, zjednały chłopcu opiekę starszyzny wojskowéj. Powiedziano o nim królowi, który zpoczątku kazał go był wcielić do wojska: Masłowski się temu oparł. Stawiony przed królem, powiedział że jest szlachcicem polskim, z czego Fryderyk drwił tylko sobie; jednakże trochę francuzczyzny a wiele przytomności umysłu wyjednały mu tyle względów u króla, iż mu dał do wyboru: albo drwa rąbać i wodę nosić przy obozie, lub wdziać mundur. Masłowski poddał się niewoli na upartego. Wodzono go za obozem z kilką innymi więźniami, aż go major Wangenheim wyprosił.

P. Ksawery mógł się pochwalić że przetrwał jednę z najcięższych prób, jakie w czasie wojny spotkać mogą, i to zwy-

ciężko. Na chwilę nawet, przy chłodzie, głodzie, wśród znęcania się i urągowiska żołnierzy, nie opuściła go krew zimna i humor wesoły. Ci co mu dokuczali wydziwić się nie mogli praktycznéj filozofii chłopaka i nieustraszonemu jego męztwu. W czasie bitwy pod Lowositz, na chwilę był w ogniu najstraszniejszym, wlazł na wóz, patrzał na potykających się, śmiał się i bił brawo. Ta odwaga jednała mu podziwienie i serca. Zdawało się że człowiek z takiém usposobieniem, powinien był nabrać smaku do wojennego rzemiosła; lecz Masłowski na ponowione propozycye odpowiadał, że woli z musu nosić wodę, niż z ochoty bić się za prusaków.

Wangenheim o tym osobliwszym oryginale mówił podobno Fryderykowi, a król z przekąsem nazywał go „*panem nie pozwalam;*“ koniec końców uwolnić go jednak kazano. Nie pozostawało Masłowskiemu nic innego, tylko dostać się do najbliższego Koenigsteinu, bo w stroju jaki miał do Drezna w zimną porę, trudno się było wybierać. Strój ten jakeśmy mówili, składał się ze zgrzebnéj, bardzo brudnéj koszuli, w części dziurawéj; ze szkaradnego zatłuszczonego kożuszka dziurawego, także ze spodni płóciennych i chodaków, które niegdyś były skórzane, a trzymały się tylko dzięki misternie poczepianym sznurkom. To co się nazywało czapką, było w istocie kawałem łachmana, w którym mógł się bardzo domyślny znawca, dobadać resztki futra i tkaniny, która suknem być mogła. Nadto Masłowski nie posiadał narazie więcéj nic, oprócz kawałka prostego sznura, znalezionego gdzieś na drodze, którym się opasywał. Wymizerowany był strasznie, a mimo biédy, oczy mu się śmiały i usta drgały, byle cośkolwiek zabawniejszego nad żołnierzy pruskich zobaczył. Na polu bitwy pod Lowositz zdobył był sobie płaszcz, buty i niejaki zasób po austryackim oficerze, z którego trupem się spotkał; lecz w kilka godzin gwardya J. Kr. Mości łup ten sobie przynależny odebrała.

Masłowski jeszcze stał przypatrując się temu mniemanemu czy prawdziwemu Simonisowi, który go wcale znać nie chciał; gdy Wangenheim szepnął mu, aby do kancelaryi poszedł po bilet, za którymby mógł się dostać do Koenigsteinu.

I w téj chwili zwrócił się do stojących cabinet-sekretarzy króla.

— Niech który z panów pójdzie napisać uwolnienie temu panu.

Z dwóch kandydatów do pisania, piérwszy który był zajęty pożywaniem tajemniczego zapasu wydobywanego z kieszeni, uczynił taki ruch, jakby mu niezmiernie było pilno spełnić rozkaz; lecz w ruchu tym, napozór gwałtownym, łatwo było dostrzedz, że mimo pośpiechu rad się był dać swemu koledze wyprzedzić. Poruszał się bowiem w miejscu, nogami tupiąc, przechylając, ale zarazem w zgarnianiu papiérów trzymanych szukając pretekstu do pozostania. Simonis czy téż jego Sozia zdawał się nie chcieć zrozumiéć, że rozkaz się do niego stosował.

Skutkiem tego żaden z nich się nie ruszył, a major zniecierpliwony, zawołał palcem wskazując piérwszego:

— Proszę iść, napisać bilet....

Masłowski tak był nawykły do podrzędnéj roli, iż za próg się nie ruszył piérwszy. Widocznie nie rad z danego mu polecenia Simonis, (nazwijmy go tém imieniem) milcząc wyszedł szybko, nieoglądając się za siebie, wprost do domku sąsiedniego, w którym pracowali wojskowi pisarze i kancelarya przyboczna. Nie wielka przestrzeń rozdzielała go od kwatery króla. Masłowski wysunąwszy się za nim natychmiast, napróżno usiłował dogonić idącego przodem, który jakby naumyślnie pośpieszał i doszedł drzwi kancelaryi, nim pan Ksawery mógł za nim zdążyć.

Aż nadto było widoczném, iż unikał spotkania z więźniem, co pana Masłowskiego utwierdziło w przekonaniu, iż to był prawdziwy Simonis. Jaką on tu grał rolę? sługi czy zdrajcy? odgadnąć było trudno. Wrazie gdyby drugą przyjął na siebie, trzeba mu było przyznać odwagę niepospolitą: Masłowski się jéj po nim nie spodziewał. Bądź co bądź jakimś zdrajcą był zawsze Simonis, albo króla pruskiego lub dwór saski poświęciwszy dla widoków swoich.

Panu Ksaweremu sprawiło to pewnego rodzaju obrzydliwość i obudzało w nim pogardę.

Gdy za Simonisem wszedł do małéj izby, w któréj się znajdowali pisarze, znalazł tu ścisk, gwar i wrzawę, tak, że trudno się czego było dopytać. Niepodobne to było wcale do

królewskiéj kancelaryi, ale raczéj do jakiéjś kordygardy i gospody. Żołnierze różnéj broni, obdartusy najosobliwsze, więźniowie, księża, przekupki, wszystkiego tu było pełno. Do stołów przy których pisano, docisnąć się było trudno. Pan Ksawery od progu się przypatrywał temu malowniczemu widokowi, gdy go z piórem za uchem, pisarzyna wezwał do drugiéj izby. W téj już się był skrył ów Simonis. Była to kancelarya osobna sekretarzy gabinetowych, mało co porządniejsza od piérwszéj, ale przynajmniéj niedostępna dla tłumu. Tu już za stołem przybyły sekretarz zajęty był pisaniem.

Masłowski w progu stanąwszy nie spuszczał go z oka.

— Dokąd się waćpan chcesz udać?—nie podnosząc nań oczów spytał piszący.

— Przez Koenigstein do Drezna, bo przynajmniéj buty i koszulę spodziewam się dostać u J. Kr. Mości, jeżeli król ma ich dwie pary.

Simonis nic nie odpowiedział, widocznie znać nie chciał Masłowskiego, chociaż głos go zdradzał, i już omylić się ani wątpić nie było podobna.

— Czy mogę panu sekretarzowi—rzekł cicho Masłowski —służyć czém, jeżeli szczęśliwie do Drezna dopłynę?

Czekał na odpowiedź, ale téj nie otrzymał. Po pewnym przestanku, w ciągu którego pilno zajmował się pisaniem sekretarz, podniósł głowę, spojrzał na Masłowskiego, namarszczył się i palec położywszy na ustach, wnet się wziął znowu do wyciskania pieczęci na bilecie.

P. Ksawery nic już nie mówił nawet, uśmiechał się tylko szydersko. Simonis przygotowany bilet porzuciwszy na stoliku, wybiegł do pierwszéj izby wrzawliwéj, zahałasował tam bardzo, pokręcił się, wrócił, drzwiami okrutnie trzasnął za sobą, obejrzał się w okno poza którém chodziła straż, kiedy niekiedy się ukazująca za szybami; pobiegł do szafki, wziął z półki kawałek chleba razowego i przybliżywszy się do Masłowskiego wcisnął mu go w rękę, szepnąwszy: „Spörken na zamku...” Potém co najprędzéj chwycił bilet już gotowy i począł po niemiecku krzyczéć na cały głos na Masłowskiego, aby sobie szedł do dyabła, dopóki cały. Otworzył mu drzwi łając jeszcze i zawołał na cały głos:

— Wynoś mi się!...

P. Ksaweremu na śmiech się zbierało, ale chleb za koszulę wcisnąwszy wyszedł bilet trzymając w ręku. Niemiał już tu co robić, obejrzał się tylko ku obozowi saskiemu, w którym zamęt i hałas panował niesłychany, aże jeszcze most którym wojsko w nocy przeszło stał naprzeciwko Koenigsteinu, powoli się skierował ku niemu. Po drodze pełno spotykał Prusaków, którzy już dokoła Sasów posterunki zajmowali. Naprawdę też, oprócz oficerów trudno było jedno wojsko od drugiego rozpoznać; głodnym Sasom dano chleba, piwa i wódki i wszyscy pospołu z Prusakami chciwie się odżywiali, bo od dni trzech mało który co miał w gębie. Po drodze leżały konie zdechłe, wozy połamane i ludzie którym nagłe osłabienie lub choroba daléj iść nie pozwoliła. Widok to był straszny i litość obudzający. Nie było jednak komu litować się i ratować, tak każdy sobą i własnym losem był zajęty. Masłowski szedł, stawał, patrzał ale i jemu spieszyć się trzeba było, bo i on ostatnich dni wiele sił stracił, a pomódz nikomu nie mógł. Po razy kilka zatrzymywały go straże pruskie, pokazywał swój pass i szedł daléj. Minęło go kilku saskich oficerów puszczonych na słowo, popatrzali i poszli. Most na rzece jeszcze był cały, przeszedłszy go powoli skierował się na zamek. Tu resztki gwardyi szczupłe, straż trzymały u bramy. Wdrapawszy się na górę i wpuszczony przez sklepione wrota do środka, p. Ksawery zaraz w nich spotkał się z Wernerem, paziem Brühla, który poznawszy go krzyknął.

— Prowadź mnie—rzekł—do J. Excell, żebym przynajmniéj miał się w co odziać i powrócić do Drezna.

Trudno się tu było czegokolwiek dopytać, taki popłoch panował na zamku. Werner przy najlepszéj chęci usłużenia dawnemu towarzyszowi, nie mógł narazie lepiéj mu się przysłużyć, jak wprowadzając go do ciepłéj izby i obiecując jedzenie.

Wypocząwszy i odzyskawszy swój humor, Masłowski potrafił nawet już między paziami nabyć sobie na kredyt ubranie porządne i ciepłe, nie chciał go jednak włożyć, pragnąc przedstawić się ministrowi tak, jak z niewoli powrócił.

Z południa ledwie wezwano go do domu komendanta, w którym i król i Brühl się byli schronili. Minister widząc

zbliżającego się odartego człowieka, cofnął się ze wstrętem przed nim, gdy Masłowski dał się mu poznać.

Załamał ręce Brühl.

— Co się z waćpanem działo?

— Tak mi się służba przy boku W. Ekscelencyi poszczęściła — rzekł Ksawery — iż na całe życie będę miał co opowiadać i o czém pamiętać.

— Jakim sposobem?

Masłowski przerwał.

— Opowiadać W. Ekscelencyi takie smutne przygody moje, byłoby zadługo, dosyć że mnie Prusacy zmusić chcieli do służby i miesiąc im drwa rąbać musiałem, niechcąc karabina nosić; nareszcie mnie uwolniono.

— Pomścimy się za to wszystko! — szepnął Brühl — A cóż waćpan myślisz robić z sobą?

— Ja muszę do Drezna — rzekł Masłowski. — Ztamtąd prawdopodobnie na Wrocław do Polski powrócę, bo tu się już W. Ekscelencyi przydać nie mogę.

— Jakto? i owszem — zawołał Brühl — dwór mój rozbity. My prawdopodobnie też do Polski na jakiś czas z królem się udamy. Waćpan zostaniesz przy mnie.

Masłowski się skłonił.

— Ale proszę W. Ekscellencyi o pozwolenie udania się do Drezna, bo tam wszystko co mam zostało, a w dodatku i długi.

Brühl roztargniony nie zdawał się słuchać, chodził po izbie z namarszczoném czołem.

— Gdzie waćpana trzymano? — zapytał.

— Przy wojsku, razem z połapanemi włóczęgami. Wycierpiałem wiele, lecz nabrałem doświadczenia: nie skarżę się.

— Cóż to tam za wojsko tego króla — przerwał Brühl — to zbierana drużyna, kupa rozbójników, obieżyświaty; kogo tam niema: to być musi lichota!

— To prawda — rzekł Masłowski — ale kij i groźba trzyma to w takiéj ryzie, że ot biją najprawowitszych w świecie Austryjaków.

— Przypadek i nieopatrzność — szepnął Brühl.

Zamilkł i zbliżywszy się do Masłowskiego zapytał cicho:

— Słyszałeś tam waćpan co? cóż myślą dalej? Co mówią o dekrecie banicyi, który Rzesza wydała przeciw królowi?

— Śmieją się—rzekł Masłowski.

Brühl spojrzał srogo.

— Jak? cóż to ma znaczyć?

— Ale bo to ta nieszczęśliwa omyłka druku!

— Jaka?

Brühl nie wiedział nic. Wistocie drukowany dekret zawierał najszkaradniejszy *lapsus*, jakiego się mógł zecer kiedy dopuścić. Któż wie czy niepopełniono go umyślnie. „*Spieszące* posiłki państwa“ drukarz zmienił na „*nędzne* posiłki“ [1]).

Nieśmiało wytłumaczył Masłowski, co się w dekrecie znajdowało. Minister zamilkł.

— Król J. pruski—dodał—wszystko to przypisuje W. Ekscellencyi, do któréj ma największy żal; to też w obozie nieraz się słyszeć dawały odgróżki, że skoro czas będzie potemu, oczyszczą Prusacy i kamienia na kamieniu nie zostawią, w dobrach W. Ekscellencyi w Nischwitz pod Wurzen, w Grochwitz pod Herzbergien, a nawet na zamku w Pförten na Łużycach.

— Niedoczekanie ich!—mruknął Brühl.

Masłowski uzyskawszy tytułem pożyczki zasiłek i pożegnawszy ministra, który dłuższéj rozmowy unikał, wybrał się do towarzyszów. Nazajutrz miał odjeżdżać do Drezna generał Bellegarde, przy nim więc wybrać się postanowił.

Prusacy od czasu osadzenia i zabrania w niewolę Sasów, daleko mniéj się obawiając, nie pilnowali już tak komunikacyi pomiędzy Dreznem a resztą kraju. Królowi dozwolono ściągnąć ztamtąd co mu do podróży było potrzebném, gdyż stanowczo za sześć dni do Polski jechać wprost miano. August III najmocniéj przekonany, iż to wygnanie długo się pociągnąć nie może, przyspieszał sam wybór na sejm i wypoczynek w Warszawie. Brühlowi też dosyć było pilno wyrwać się z zasadzki i znaleźć daléj nieco od nieprzyjaciela, który się nań odgrażał.

Niezapomniawszy o owym kawałku razowego chleba, przeznaczonym dla Spörkena, p. Ksawery umyty, uczesany, odziany, podobniejszy do człowieka, weselszy coraz, dosiadł jakiegoś lichego konia pożyczonego mu tutaj i pokłusował za generałem do Drezna.

[1]) Zamiast *Eilenden Reichshülfe*, wydrukowano: *Elende*.

Dostał się tu jeszcze w porę, aby po miesięcznéj przeszło niebytności dostrzedz niezmierną różnicę między ową stolicą Augustów mocnego i słabego, a miastem zajętém przez pruską załogę.

Nietknięto wprawdzie zamku, w którym królowa, niezważając na nieprzyjemności spotykające ją i niebezpieczeństwo na jakie narażoną być mogła, chciała pozostać do końca; lecz przebrzmiała w nim muzyka, teatr był zamknięty, włosi rozpędzeni, liczny dwór zmniejszył się dezercyą, prześladowaniem, brakiem funduszów na jego utrzymanie. Król Fryderyk który całą zajmował Saxonią i kiedy niekiedy wypłacał coś komuś fałszywemi pieniędzmi, które umyślnie na te ciężkie czasy bić kazał, królowéj pensyi odmówił, życząc aby się o nią udała do męża i ministra.

Cicho więc i smutno a pusto było na zamku królowéj.

W mieście królowało wojsko i militarny panował porządek. Na wałach i murach ustawiono już owe magdeburskie działa, w pysznym pałacu japońskim zrobiono skład słomy dla wojska; koszary na Nowém mieście, gmach korpusu kadetów, gewardchaus, ratusz zmieniły się na lazarety, do których zwieziono rannych z pod Lowositz i ze wszystkich utarczek. W ulicach więcéj widać było wojskowych niż mieszczan i ludu. Nad Elbą dwadzieścia kilka pieców z saskiéj mąki, na saskiém drzewie wypiekało chleb dla żołnierzy Fryderyka. Generał Wylich rządził w mieście. Z rozkazu protektora Saxonii, wprowadzając słuszną oszczędność, kancelaryom ze 190,000 talarów, pensyą zredukowano do trzydziestu. Talary z dobrego srebra zabierano do kass pruskich, a mieniano je na Efraimy różnego rodzaju, w których miedzi więcéj niż srebra było.

Masłowski wjechawszy do Drezna poznać go nie mógł: ani owych lektyk złoconych, ani świetnych ekwipażów, ani elegantów dworskich, nie widać było nigdzie. W pałacu Brühla Prusacy zrobili odwach i szpital. Pożegnawszy generała, któremu towarzyszył, Masłowski pojechał wprost do Fuchsowéj. Tu go bodaj za zabitego miano. Gdy stanął u drzwi i szukał oczyma, komuby powierzył konia, spostrzegła go i poznała gospodyni i jak szalona ze wschodów ku niemu zbiegła.

Zabrakło jéj tchu i głosu, gdy go witać zaczęła. Ludność domu całego zbiegła się zmartwychwstałego oglądać, Ma-

słowski ledwie z serdecznych uwolniwszy się uścisków, poszedł na górę. Szczęściem Fuchsowa obroniła się była od pruskiego oficera, którego jéj chciano dać na załogę; mieszkanie było wolne, a rzeczy, z wyjątkiem niewielu obróconych na użytek w rachunku należności, znalazły się jeszcze całe. Fuchsowa wchodziła, wychodziła, śmiała się, płakała; rozpowiadała jak ją oficer chciał gwałtem pocałować, jak mu się heroicznie obroniła, i nie dała spocząć Masłowskiemu, póki nie postrzegła że słuchając jéj, padłszy na łóżko, mimo wymownego opowiadania usnął głęboko i chrapał.

VI.

Nazajutrz rano, pan Ksawery nie zapomniawszy o chlebie przeznaczonym dla barona Spörkena, poszedł najprzód do kościoła. Królowa najczęściéj teraz słuchała mszy swiętéj w kaplicy małéj zamkowéj, nie pokazując się w loży. I tym razem Masłowski pustym go zastał prawie. Przed wielkim ołtarzem, kilka osób się modliło, msza była cicha. Nie uważał nawet że u góry w jednéj z lóż odsunięto firankę i kobieta zakwefiona uklękła się modlić. On téż modlił się, czegoś smutniejszy dziś niż zwykle, przynajmniéj chwilowo milczący ów kościół przejął go jakiemiś przypomnieniami kraju, młodości, nabożeństw okazałych i głośnych. Dom ojcowski, życie owo szlacheckie, towarzysze, zabawy, wszystko mu przyszło na pamięć i zatęsknił do powrotu; miał już dosyć tego co przecierpiał, a choć z początku śmiał się ze wszystkiego, na krwawém pobojowisku po raz pierwszy uczuł, że nie w każdej chwili i nie z każdego wypadku śmiać się godzi. Ta wojna, w któréj żadna strona nie pociągała go ku sobie, gdzie czasami mimowolnie rad był pobitym Sasom, niekiedy litował się nad niemi, oburzając przeciw Fryderykowi, nużyła go już, jak zbyt długo przeciągnięte widowisko.

Po skończonéj mszy wszedł powoli na zamek, zamierzając szukać generała Spörkena, gdy u wschodów zastąpiła mu drogę piękna Pepita. Spojrzała nań i mimowolnie załamała piękne rączki.

— Mój Boże!—zawołała—cożeś to waćpan wycierpieć musiał, kiedy tak na nim znać doznane cierpienie. Myśmy nic o nim nie wiedzieli.

— A kogożby to obchodzić mogło, co się zemną stało, przy tylu innych nieszczęściach!—rzekł wesoło witając ją Masłowski.

— Ja nie wiem—odparła żywo panna Nostitz—nie wiem czy kogo to obchodziło, ale zaręczyć panu mogę, że ja często myślałam o nim.

— Jużciż nie tak często jak o Simonisie?—przebąknął złośliwy Masłowski.

Boronówna się zarumieniła i potrząsnęła główką tylko.

— A wie pani com robił przez ten miesiąc—zawołał Masłowski—rąbałem drwa na kominek króla JM. pruskiego, nosiłem wodę, pasłem konie, wszystko to dlatego żem munduru włożyć nie chciał. I chodziłem bosy, w starym kożuszku, aż mi samego siebie strach było. Nareszcie zabrawszy całe wojsko saskie, mnie uwolnili widząc że żołnierza nie zrobią z takiego kloca niezgrabnego.

Panna Nostitz słuchała z uwagą. Ksawery spojrzał na nią, ale i na jéj twarzy, choć spokojnie na zamku siedziała, znać było przebolałe dni trwogi i upokorzenia. Zbladło świeże lice, smutek oblewał je i zamyślenie w jéj wieku przedwczesne. Zestarzało biédne dziewczę. Nie śmiała go pytać o nic, długo, ale się wpatrywała nieśmiało, wahała się, jakby niewiedząc od czego zacząć, aby się niewydać niepotrzebnie.

Oszczędzając jéj zakłopotania, Ksawery odezwał się:

— Widziałem kawalera de Simonis w nowych jego obowiązkach, ale dopiero ostatniego dnia; mówić z nim jednak ja nie mogłem, a on zemną nie chciał.

Panna Nostitz przystąpiła bliżéj.

— Gdzież? jak go pan widziałeś? co robi? nic nie polecił panu?

Milcząc dobył Masłowski kawałek chleba z zasukni, i trzymając go w ręku, ukazał baronównie.

— Ten chleba kawałek przeznaczony dla barona Spörken...

Dziewczę sięgnęło po niego ręką, ale p. Ksawery przypomniał że powinien był oddać baronowi.

— Chodźmy więc do niego,—zawołała Pepita—chodźmy.

W pokoju generała siedziała hrabina Brühlowa. Na widok Masłowskiego wymizerowanego, znędzniałego, posypały się pytania, na które długo odpowiadać musiał.

Słuchając opowiadania Brühlowa płakała, ale łzy to były nie bólem, tylko gniewem wyciśnięte. Na twarz jéj buchały płomienie, w oczach błyskał ogień dziki. Spörken tymczasem ów chleb w drugim pokoju rozciął i wyjął zeń cyfrowaną kartkę, ledwie czytelną, którą odczytać się starał. Hrabina Brühlowa poszła mu dopomódz, a baronówna została sam na sam z Masłowskim. Pytaniom nie było końca, przybyły musiał opowiadać, a Pepita słuchając, często ocierała łzy z oczów.

— Zostaniesz pan z nami?—spytała w końcu pocichu.

— Nie, pani—odpowiedział Masłowski,—jam tu nie potrzebny wcale, a w domu stary ojciec może choć teraz zatęsknił za mną, gdy się o wojnie dowiedział. Cóż wam tu ze mnie?

Spojrzała baronówna.

— Gdybyś pan w istocie nie był nam potrzebnym, nie wątp że byłbyś miłym zawsze. Jednym więcéj uczciwym i szlachetnym człowiekiem czuć przy sobie, to zawsze szczęście wielkie. My ich tu nadto nie mamy!

Doświadczamy, niestety, co może siła, szczęście i niedola. Powoli opuszczają nas wszyscy, zostajemy same; ludzie biegną kłaniać się wschodzącéj, choćby łunie pożarnéj.

I zamilkła w okno spoglądając a potém zwróciła się doń zmieniając rozmowę:

— Powiedz mi pan jak wygląda Simonis? jak go znalazłeś, gdzieś go widział?....

I niedokończywszy tego pytania, zarumieniona dodała zaraz:

— Nie posądzaj mnie pan: nie rozpytuję o niego dlatego żebym miała czulsze powziąć dlań sentymenty. Jestem dosyć szczerą i śmiałą, że do tegobym się przyznała; ale nie tak jest. Pytam, bo mam dla niego obowiązki wdzięczności: z mojéj przyczyny rzucił się w paszczękę lwu, (poprawiła się nagle), przepraszam, wilkowi: uczynił to dla mnie. Wiesz pan w jakiém znajduje się położeniu. Należy mu się, choć wspomnienie i o los jego troska.

Masłowski słuchał z uwagą, głos jéj drżał, ale w istocie nie odzywała się w nim czułość, raczéj obawa i sumienie. Z największemi więc szczegółami opisał jéj spotkanie, znalezienie się jego i nadzwyczajne ostrożności, któremi się otaczał widząc z nim nawet bez świadków.

Słuchając Pepita ręce załamała.

— O nieszczęśliwe położenie, które nas zmusza, nas kobiety, mnie nawet do mieszania się w takie sprawy, z których co chwila płyną łzy, a co moment krew wytrysnąć może.

Obejrzała się na drzwi pokoju, w którym była Brühlowa.

— Nie dziwuję się hrabinie, ją to nawet bawić może; ale mnie! mnie! I posługiwać się często takimi ludźmi, do których wstręt czujemy i czynić na co się wzdryga niewieście serce.!

Spuściła oczy.

— Jużciż do tych ludzi w których się czuje wstręt, nie liczy panna baronówna tego nieszczęśliwego Simonisa.

— Dla niego nie mam ani wstrętu, ani nadzwyczajnéj sympatyi—odpowiedziała z wyrazem szczerości—mam obowiązki.

A! na czém się to skończy!—zawołała nagle—i kiedy się to skończy. Król wyjeżdża do Polski, my z królową zostajemy same, kobiéty, na wyłomie....

I zakryła sobie oczy.

Masłowskiemu żal się zrobiło dziewczęcia, spojrzał na nią: łzy w oczach miała.

— Gdybym ja się pani na co mógł przydać!—rzekł cicho.

— Nie chcę was miéć na sumieniu—odparła baronówna. Prawda, że na świecie, teraz szczególniéj czuję się bardzo osamotnioną; że czyjeś silne ramię i poczciwe serce brata, bardzoby mi było pożądaném: ale możnaż wymagać takiéj ofiary i czémżebym ją mogła opłacić? ja co nie mam nic, nawet swobody rozporządzania sobą. Ja nie należę do siebie—dodała—kazano mi się poświęcić dla interesów królestwa. Żołnierze oddają za kraj życie, dlaczegóżbym ja szczęścia oddać nie miała?

Te wyrazy szybko wyrzekłszy, panna Nostiz wybiegła nie patrząc na Masłowskiego, który przez chwilę pozostał jak wry-

ty u okna; potém przeszedł się po pokoju, a gdy baron Spörken wyszedł, pożegnał jego i hrabinę Brühlową.

— WPan zostajesz z nami?—zapytała żona ministra— która pragnęła do swoich intryg wmieszać i miéć pod ręką jaknajwięcéj osób.

— Jego Ekscellencya kazał mi wracać do Polski, gdyż dworu będzie w Warszawie potrzebować—odezwał się Masłowski. Muszę być posłusznym, jednakże nie wiem kiedy wyjadę, bo wypocząć muszę i czuję że drodzebym teraz nie podołał, po służbie u Prusaków...

— Dopóki waćpan nie wyjedziesz—dodała hrabina mierząc go oczyma, w których siłę wierzyła jeszcze—proszę się zgłaszać do mnie.

Z tém Masłowski wyszedł.

Nie mając nic do czynienia, umyślnie przesunął się po mieście, ciekaw przeistoczeniu jakiemu uległo. Znajomych nie spotykał prawie nikogo, inna zupełnie ludność krążyła po ulicach, miasto całe wyglądało na koszary. Nierychło znużony i znudzony pan Ksawery powrócił do mieszkania. Ostatnia rozmowa z baronówną tkwiła mu w myśli, gniewał się sam na siebie.

— Nietylko pan stolnik ale ja sam sobiebym dał na kobiercu, gdybym się miał w niemieckiéj baronównie zakochać dlatego, że jéj oczy czasem łzami zachodzą, a w głosie brzmi coś tak serdecznego; ale Pepita istotnie niebezpieczna. Już mi się do domu odechciało, choć rano miałem najmocniejsze postanowienie.

Uderzył pięścią w stół gniewnie.

— Nie wart jestem być polskim szlachcicem!

Wyrzuty te jednak czynione samemu sobie nic nie pomogły, obraz pięknéj baronówny stał mu przed oczyma. Masłowski nie mając czém się rozerwać, aby się od téj zmory, jak powiadał uwolnić, położył się spać z rozpaczy.

VII.

Nadeszła zima, która dała odetchnąć Fryderykowi, a raczéj do nowéj, upartszéj i straszniejszéj przygotować się walki.

W Dreznie napozór nic zmieniło się nic. Na zamku ta sama gromadka wiernych, coraz szczuplejsza otaczała królową, ściskając się i kupiąc koło niéj. Tu wrzała codzień rosnąca nienawiść przeciwko Fryderykowi, z każdym dniem potęgujące się namiętności i najrozpaczliwsze przeciwko niemu spiski. Na czele najczynniejszych nieprzyjaciół jego, stała zemstą pałająca hrabina Brühlowa. Przedłużające się położenie to, które co chwila pogorszać się zdawało, rodziło szał jakiś bezsilny, rzucający się do wszelkich środków możliwych przeciwko Fryderykowi. Ztąd wychodzili potajemni posłańcy śledzący każdy krok jego, upatrujący zręczności, w któréjby podstępem, zdradą, opanować go można, pochwycić, nawet pozbawić go życia. Nie zastanawiano się ani nad trudnością wykonania planów podobnych, ani nad brakiem sił i narzędzi. Posługiwano się ludźmi jacy się nastręczali, wierzono we wszystko co przynosili płatni szpiedzy, łudzono się możliwością tego co było niepodobieństwem.

Z drugiéj strony król pruski, który tak zwanych swych: „*cujons*" opłacał sowicie, przez rozsianych po całym kraju, w postaciach różnych najemników, uwiadomiony był o usposobieniach przeciwko sobie dokładnie, a jeśli nici żadnego spisku schwycić nie mógł, miał się na baczności, czując że one go otaczają. Brühlowa posyłała ludzi do kwatery Fryderyka, król pruski słał na dwór saski coraz gęstsze szpiegi. Z obu stron ostrożności były największe, owoce tego potajemnego śledzenia bardzo szczupłe. Fryderyk wreszcie z rodzajem fatalizmu zaniechał zbytnich ostrożności, spuszczając się na szczęście swoje. Brühlowa, królowa, generał Spörken, z zaciętością trwali w swych zamiarach.

Simonis namówiony, wyprawiony zręcznie dostał się do kancelaryi, otrzymał miejsce sekretarza gabinetowego; i choć z największemi ostrożnościami, przysyłał wiadomości o projektach, miejscu pobytu, sile straży otaczającéj i ludziach, których można było pozyskać. Oprócz niego kamerdyner króla Glasau, zjednany był oddawna, opłacony i baron Spörken z hrabiną Brühlową usiłowali go skłonić, aby królowi wsypał do czekolady proszek, który mu powierzono. Glasau wziął go wprawdzie, ale nie przyrzekł że użyje: wstręt jakiś i obawa go wstrzymywały.

Łudzono się tém, iż zasadzka, których już przygotowano kilka, potrafi żywcem pochwycić króla i uwieźć go do austryackiego obozu. Środek ten mniéj się wydawał wstrętliwym, a nawet łatwiejszym do wykonania.

Tymczasem król się z miejsca na miejsce przenosił, osnute plany niespodzianie się obróciły w niwecz, a Glasau naglony, ostatecznego środka użyć się wahał.

Pobożna królowa, chociaż nie wiedziała o środkach, domyślała się spisków i modliła z dobrą wiarą za ich wykonanie szczęśliwe. O. Guarini nie pochwalając nic, nie biorąc udziału w niczém, bardzo zręcznie umiał tłumaczyć, nawet przykładami biblijnemi, jak dla ocalenia kraju i wiary, daleko zajść było można. Całe to tajemnicze krzątanie się, pokrytém było dla oczu ludzkich pozorną rezygnacyą; lecz baczniejszy wzrok łatwo się istnienia zabiegów skrytych mógł dobadać.

Stary generał Wylich, komendant Drezna ówczesny, jeden może nie domyślał się, nie przypuszczał, aby coś podobnego istnieć miało.

Wyżły jego przychodziły często z doniesieniem że na zamku coś się smaży, że nieustanne narady, biegania, szepty, nie mogą być bez celu i znaczenia. Żołnierz i człek prosty śmiał się z tego i odpowiadał że się bab i babskich intryg nie lęka wcale.

Ciągnęło się to więc coraz żywiéj wzmagając, bo czas i bezkarność ośmielały hrabinę Brühlową.

W początku zimy, Simonis który miał ciągłe stosunki z generałem Spörken, umiał bardzo zręcznie wyrobić sobie pozwolenie a nawet polecenie do generała Wylicha. Sam król ustnie kazał mu ostrzedz komendanta Drezna, iż na zamku knują spiski, że wysyłają przekupionych, że stosunki mają nawet w jego otoczeniu, których dotąd dojść było niepodobna.

Słuchając téj instrukcyi, Simonis musiał zebrać całą siłę swą i odwagę, aby nieokazać, jaką go przejęła trwogą. Spodziewał się wprawdzie urzędowéj missyi, ale nigdy tak niebezpiecznéj, tak ciężkiéj.

Fryderyk który z posług Szwajcara dosyć był zadowolony, a nie powziął dotąd najmniejszego podejrzenia, kazał mu dać małą gratyfikacyą i prędki powrót zalecił. Ktoby był wi-

dział naówczas Simonisa po krótkiéj rozmowie wychodzącego z pokoju, z zaschłemi usty i językiem do podniebienia przylgłym, bladego, z oczyma obłąkanemi, byłby się może domyślił, jaką trwogę miał w duszy. Simonis wiedział bardzo dobrze iż narażał się na szubienicę. Nierychło cokolwiek mógł przyjść do siebie, a w drodze dopiéro wstąpiło w niego cokolwiek odwagi. Przychodziły mu wszakże myśli i przypuszczenia tak straszne, że w podróży już chciał się wyrzec wszystkiego i gdziekolwiekbądź szukać bezpiecznego schronienia.

Glasau wiedział o Simonisie, tak jak on téż znał całą historyą przekupionego kamerdynera, nad którym dozór miał polecony a na charakterze jego nie polegał wcale. Zmuszony oddalić się, lękać się zaczynał aby Glasau trwogą przejęty lub pochwycony na jakim uczynku, nie wydał jego wspólnictwa. Jechał do Drezna, gdzie na dany znak łatwo go mogli pochwycić.

Im bardziéj zbliżał się do stolicy, tém ta trwoga więcéj go opanowywała. Nawet obraz pięknéj Pepity, dla któréj poświęcił wszystko z długiém od niéj oddaleniem, stracił na potędze i uroku. Zbliżenie się wreszcie do Fryderyka i poznanie lepsze charakteru energicznego wodza, kazało mu wątpić na jaką stronę waga zwycięztwa się przechyli.

Szczególniéj ta ostatnia wątpliwość podziałała na Szwajcara, w którego charakterze przemagała piecza o interes własny i wyratowanie, naprzód siebie. Przybywał więc do Drezna w usposobieniu wątpliwém, z obawą wielką, ostygły znacznie, namyślając się co począć daléj. Zaczynał wierzyć w duchu, że mimo 700,000 sprzymierzonych przeciwko niemu, Fryderyk ze swemi 260,000 może zwyciężyć. Naówczas Simonis był zgubionym. W drodze jednak nie uciekł do Szwajcaryi, chociaż wielką miał do tego pokusę. Chciał widzieć naocznie jak rzeczy stały na dworze królowéj.

Rozbrojenie wojsk saskich, wcielenie ich do pruskiéj armii, wyjazd króla i Brühla do Polski, moralne znękanie Saksonii, zwycięztwa odniesione nad Austryakami, wszystko to przyczyniło się wielce do zachwiania postanowieniem Simonisa, poświęcenia sprawie dworu saskiego.

Jadąc z poleceniem króla, musiał naturalnie stawić się, zameldowawszy u bramy, wprost generałowi Wylichowi.

Godzina była bliska południa, gdy go wpuszczono do komendanta, który właśnie się do obiadu zabierał. Stary żołnierz nabrał był obyczajów cynicznych króla swego i przesadzał jeszcze grubijaństwem i szorstkością.

W izbie do któréj go wpuszczono, stół był nakryty na dwie osoby. Simonis przez drzwi otwarte postrzegł niezmiernie zdziwiony, siedzącą dawną swą znajomą pannę Doris, wyróżowaną, wybieloną i dosyć strojną, która na widok jego o mało téż nie krzyknęła.

Wylich z rękami w kieszeniach, z fajką w ustach powitał go z wysokości swéj komendanckiéj godności.

Nieznacznie, po przywitaniu, dał mu do zrozumienia przybywający, że miał doń poufne od króla polecenie.

Wylich pannie Doris, odwróciwszy się kazał iść... do dyabła. Francuzka schowała się tylko do trzeciego pokoju, od którego komendant drzwi zamknął. Naówczas Simonis, łagodząc nieco, zdał mu rozkazy królewskie, tyczące się spisków i knowań zamkowych.

Wylich wysłuchał ustami kręcąc.

— Dobrze, dobrze—rzekł—posłów nie ścinają ni wieszają, ale to są bzdurstwa, któremi królowi JMości zdala nabijają głowę. To moja rzecz. Ja tu wiem o najmniejszym szepcie, mojego oka nic nie uchodzi. Nie ma się tu czego lękać. Królowa się modli, Brühlowa się wścieka i po wszystkiém.

Ręką machnął.

— Co więcéj?

Simonis odpowiedział na pytań kilka i zamilkł. W pół godziny skończyła się i wyczerpała rozmowa, Wylich stanął w oknie, a Simonis zabierał się do wyjścia.

— Panie generale—rzekł—mam polecenie dowiedzenia się cokolwiek i przypatrzenia zblizka temu co się w zamku dzieje; oznajmuję więc o tém.

Wylich się rozśmiał.

— A wleź sobie choć na wieżę i rozpatruj się w czém chcesz, to mi wszystko jedno.

Uwolniony w ten sposób, Szwajcar wydobył się na swobodę i poszedł szukać mieszkania, któreby nazbyt na oku nie

było. Wynalezienie łatwo nie przyszło, tak Prusacy wypełniali miasto całe. Prywatne nawet domy, gdziekolwiek obszerniejsze znalazło się mieszkanie, zajmowali chorzy oficerowie i gawiedź wojskowa.

O zmroku już wybrał się z pewnemi ostrożnościami, aby łatwo nie być poznanym i wyszpiegowanym do zamku. Nie bardzo pewnym był do kogo się udać dla dowiedzenia o baronównę, gdy na dole u wschodów spostrzegł Masłowskiego. Pan Ksawery opóźniwszy bez powodu wyjazd do kraju, kręcił się częściéj niż było potrzeba około zamku i sam przed sobą wyznawał, że zasługiwał na to, co mu ojciec przyrzekł. Nie chciał się zgodzić na to, żeby był zakochany w Baronównie, ale mówił sobie iż go bardzo zajmowała i miał wielką dla niéj... sympatyą i przyjaźń.

Posługiwał jéj jak umiał, jak mógł, a korzystał z tego, żeby ją widywać jak najczęściéj. Widok twarzy Simonisa przykre bardzo na nim uczynił wrażenie. Ścisnęło mu się serce. Nie umiał nawet pokryć niechęci, z jaką rad nie rad go witał. Zwykle wymowny aż nadto, tym razem stał jak słup.

— Chciałbym się widzieć z baronówną — odezwał się Simonis pocichu.

Masłowski wskazał mu palcem drogę na górę, ale prowadzić go nie miał ochoty, ani dłużéj rozmawiać. Poszedł więc rozglądając się Szwajcar i trafił do mieszkania barona Spörkena, który go z niewymownem wzruszeniem przywitał. Lecz że sam przez się nic nie czynił, ruszył się natychmiast dać znać hrabinie Brühlowéj.

Napomknęliśmy już kilkakrotnie o roli, jaką odgrywała hrabina. Namiętnéj téj, nieszczęśliwéj, zbłąkanéj kobiecie, potrzeba było zawsze czegoś do zabawy, coś coby ją budziło do życia i usnąć jéj nie dało. Od wyjścia za mąż gorączkowo tak chwytała się wszystkiego, co sztuczny cel próżnemu sercu jej dać mogło. Wychowywała dzieci, któremi już rozporządzono, i które się jéj wprzódy z rąk wyrywały, a teraz zupełnie uciekły. Miłości ich nawet zyskać nie mogła. Zaprzątała się tak z kolei wszystkiém co życie może uczynić znośném, co o ranach pozwala zapomnieć. Fantazye czasem dochodziły do szałów,

po których znowu następowała apatya, milczenie, ziewanie, nudy. Naówczas gorączkowo zajmowała się jakimś Blumli, jakimś Seyfertem, starała się z nich uczynić ludzi... ideały serca, a kończyło się to jak ze Seyfertem pod pręgierzem, jak z Blumli na wyczerpaniu i pogardzie.

W takich paroksyzmach pragnień i rozczarowań przeżyła Brühlowa aż do dni ostatnich; Fryderyk Wielki obumierającą już wskrzesił do życia, do zemsty. Rzuciła się z całą gwałtownością charakteru swojego do wojny przeciwko niemu. Prowadziła ją jak dotąd wszystkie życia sprawy, nie znając miary w namiętności i nieprzebierając w środkach.

Bezskuteczność starań tych, zaczynała ją nudzić i niecierpliwić. Czekać nigdy nie umiała. Życie przy królowéj znękanéj, fanatycznie pobożnéj, pół dnia spędzającéj na religijnych praktykach przykrzyło się. Brakło jéj tego dworu młodego, dawnych lat, z którego sobie wybierała ofiary. Nie była już tą panią wszechwładną, na któréj skinienie twarze się zmieniały, jawili się i znikali ludzie.

Gdy baron Spörken dał jéj znać o przybyłym Simonisie, hrabina była właśnie w tém usposobieniu apatyczném, znużona, tęskniąca prawie do śmierci. Wiadomość ta poruszyła ją, zelektryzowała. Zerwała się i pobiegła.

Simonis już dawniéj był wpadł jéj w oko i—fantazya została nie spełnioną. Miała mu za złe, że tak łatwo mógł się jéj wyrzec. Trochę zemsty czuła w sercu. Nie pokazała mu jéj wszakże i wyszła, spojrzawszy w zwierciadło, chcąc być piękną, ożywioną, więcéj udając gorączkę niż w istocie rozgorączkowana.

Wchodząc podała mu rękę.

Spörken usunął się nieco.

— Przecież! rada jestem że was widzę nareszcie. Tak długo czekałam wiadomości, tyle czasu upłynęło bez skutku! Cóż się dzieje? co robicie! My z założonemi rękami, a Prusacy zwycięzcy. Król...

— Pani—odezwał się Simonis—czyniliśmy co mogli, nie było sposobu stanowczego przedsiębrać kroku.

— A Glasau? wszakże to każdego dnia się spełnić może. Cóż mówi Glasau?

— Ociąga się, zwleka—rzekł pocichu Simonis—mieliśmy nadzieję, nie uciekając się do tego środka.

— Tu nie ma co w środkach przebierać—przerwała namiętnie Brühlowa.—Szkodliwego zwierzęcia pozbywa się na wszelki sposób. Glasau zdradza nas, a pan... pan nie dosyć go przynaglasz... Wszystkie trzy plany pochwycenia tak wybornie osnute w niwecz się obróciły.

— Nie z naszéj winy—odparł Simonis—król zmieniał kwaterę, a z nią zmieniły się warunki.

Brühlowa odwróciła się pogardliwie, lecz wprędce zmieniając usposobienie, łagodniéj przemówiła i pociągnęła Simonisa ku oknu. Tu jakby w głąb jego duszy zajrzéć chciała, męcząc go wejrzeniami wyzywającemi, badawczemi, zagadkowemi dlań; przedłużyła rozmowę niepotrzebnie, niedając mu odejść i powracając do jednych zarzutów, wymówek i badań.

Simonis dosyć zręcznie zrazu uniewinniał się, potém tok téj rozmowy zmieniać się zaczął. Brühlowa wywodziła skargi, malowała swe położenie, uczucia, czyniła zwierzenia, starała się okazać zajmującą, czułą, nieszczęśliwą. Z niezmierną zręcznością i świadomością środków, z zalotnością kobiety, która przeszła przez długie doświadczenia, starała się wywrzéć wrażenie na Simonisie, zapisać tę chwilę w jego pamięci, słowem, zawrócić mu głowę.

Długą godzinę trwało to, póki Szwajcar nareszcie nie zebrał się na przestrzeżenie o tém, z czém go Fryderyk wyprawił. Zalecał ostrożność. Śmiała się Brühlowa.

Spörken znużony oczekiwaniem, wyszedł zostawując ich sam na sam. Przedłużyło to jeszcze narady, w ciągu których hrabina tyle obcych wtrącała przedmiotów, iż byłyby mogły trwać nie wiem jak długo, gdyby baronówna, dowiedziawszy się od generała o przybyciu Simonisa, nie weszła do pokoju.

Przywitanie było z obu stron pełne zakłopotania jakiegoś i chłodniejsze niż spodziewać się było można. Pepita nigdy nie miała nazbyt gorącego uczucia dla człowieka, dla którego musiała być tylko przynętą. Simonis wahał się już czy iść daléj... spotkali się więc jak często po długiém niewidzeniu bywa, zimniejsi daleko. Hrabina szydersko popatrzywszy na oboje, nie dozwoliła im zostać sam na sam i postanowiła być natrętną.

Słów kilka zaledwie mogli przemówić do siebie; baronównie zwykle wymownéj i odważnéj, słów brakło.

— Nie spodziewaliśmy się pana bardzo—rzekła—wiemy jak trudno ze szpon króla się wydobyć.

— Ja też na sznurku tylko wypuszczony jestem z klatki —odpowiedział Simonis—i natychmiast powracać do niéj muszę.

— Tak—wtrąciła Brühlowa—byle tylko skuteczniejszą była ta wyprawa. Każda godzina dla nas wiekiem.

— A! pani!—zawołał Szwajcar—czémże ona dla mnie dopiéro?

— Myślę żeś się pan z tém przeznaczeniem trochę pogodzić musiał—szydersko dopowiedziała Brühlowa.

Simonis westchnął spoglądając na pannę Natalię.

Hrabina odstąpiła tylko na chwilę, aby się przejść po pokoju, ale nie spuściła ich z oka. Szyderski jéj uśmiech zarówno Simonisa jak Pepitę ostudzał; bali się ust otworzyć. Szwajcar w końcu nie mogąc dłużéj pozostać, aby nie ściągnąć podejrzenia, kilka słów przemówiwszy, wysunął się.

Uważał, że baronówna mniéj niż dawniéj była śmiałą i trzymała się w niejakiém oddaleniu.

Już był w korytarzu, gdy hrabina wyszła za nim i skinęła.

— Potrzebuję z panem zupełnie na osobności pomówić bez świadków... tak nawet, aby drudzy o tém nie wiedzieli; jest to konieczném. Tu niepodobna.

To mówiąc zbliżyła się doń i oddając mu klucz, opowiedziała w którym domu w zamkowéj ulicy czekać na niego będzie przed nocą. Dom ten przez Georgenthor łączył się z zamkiem samym; hrabina miała w nim, jeśli nie mieszkanie, to kryjówkę, w któréj przyjmowała swych powierników. Simonis zrazu chciał się wymawiać, lecz nakazujące, ponowione żądanie usta mu zamknęło. Hrabina nie rozumiała tego, aby jéj coś odmówić było podobna.

Gdy z głową jakby upojoną i rozmarzoną dziwnie, rozdrażniony Simonis znalazł się sam nareszcie, i zszedłszy w podwórze, spotkał się znowu z Masłowskim, którego się tu spodziewał i który czekał w istocie na niego, długo przemówić nie mógł, potrzebując znowu przyjść do zwykłego stanu. Brühlowa potrafiła dokazać co chciała; Simonis czuł się pijanym wszystkiém tém, co niby niechcący rzuciła mu w duszę.

— Umyślniem tu na was czekał—rzekł Masłowski—bo, kto wié czybyście gdzieindziéj chcieli się widzieć ze mną. No? cóż z wami?

— A wy?—spytał Simonis.

— Ja, to nic: mam długi i te mnie za poły trzymają.

Szwajcar westchnął.

— Gdybyście się nie obawiali—szepnął Masłowski—zaprowadziłbym was do gospody Brühlowczyków. Reszta dworzan ministra, która się tu mimowoli została, schodzi się wieczorami kląć Prusaków.

— Którzy was podsłuchują—dodał Simonis.

— Gdyby tylko jeden wieczór słuchali, jużby nas tu żadnego nie było—rzekł Masłowski śmiejąc się.

— A gdzież ta wasza gospoda?

— Idziesz ze mną?—zapytał Ksawery.

— Zawahał się sekretarz gabinetowy.

— Nie mogę—rzekł—wybyście się obawiali mnie, a ja was; nie mogę.

Pożegnali się i Masłowski zniknął w ciemnéj ulicy.

Szwajcar zaszedł do swéj gospody spocząć, a o wieczornéj godzinie naznaczonéj znalazł się z kluczem u drzwi domu przy ulicy Zamkowéj. Zabawił tam późno w noc, a gdy wyszedł rozmarzony bardziéj jeszcze niż z rana, nie uważał nawet, iż miał jakiegoś anioła stróża za sobą, który z daleka odprowadził go do gospody.

W pierwszym planie Simonisa, zatrzymanie się w Dreznie nie wiele miało zabrać czasu; nazajutrz wszakże z gospody się wyniósł niewiadomo dokąd i przed Masłowskim przyznał się, iż zapewne dłużéj zostanie niż myślał. Drugiego dnia poszedł do generała Wylicha. Żołnierz go tak przyjął jak zwykle wojskowi biuralistów przyjmują, nie tając mu pewnego rodzaju lekceważenia.

— A waćpan tu jeszcze?

— Tak jest panie generale, przyszedłem mu dać znać, iż zapewne dni kilka zabawić będę musiał, bo trafiłem na poszlaki pewne, z których będę musiał zdać sprawę.

Generał na niego popatrzał i pokiwał głową.

— Dobry wyżeł z waćpana—rzekł mrucząc – ale i my tu też nosy mamy... To do mnie nie należy... Wąchaj sobie waćpan i... kłaniam się!—głośniéj dodał drzwi ukazując—kłaniam się.

Ztąd poszedł Szwajcar do Béguelina, który go przyjął z niezmiernym respektem, wiedząc już że ma do czynienia z jednym z sekretarzy króla. Béguelin w obec władz wojskowych zmalał był i smutną miał postać. Séry stały zamknięte i nie wydawał się z niemi, aby ich w rekwizycyą nie wzięto. Posadził gościa na czarnéj kanapce i na wojnę w ogóle uskarżać się zaczął.

— Niewygodne położenie—rzekł skrobiąc się w głowę —Austryacy gotowi bombardować, a bomby nie pytają gdzie który radzca mieszka.... Uchowaj Boże, wezmą Drezno... nasz król będzie niechybnie odbierał i spali....

Podniósł ręce do góry.

— Do czego te wojny!—mruknął—handel psują, ludzi dużo ginie i spokojności nie ma....

Beguélin był tego zdania, że należało lepiéj zły pokój zawrzéć, niż najszczęśliwszą wojnę przedłużać.

Zabiwszy trochę czasu, Simonis wrócił do zamku, ale do baronównéj dostąpić nie mógł. Spotkał Brühlowę, która go na krok nie puszczała. Narady były ciągłe, we dnie i wieczorami.

Baronówna téż niebardzo się narzucała Szwajcarowi i oboje teraz znaleźli się daleko więcéj obcemi niż byli. Kilka dni upłynęło nim Simonis pochwycił zręczność rozmówienia się z Pepitą.

— Jestem bardzo nieszczęśliwy—rzekł do niéj—bo choć tu już dni kilka siedzę, zbliżyć się do pani mi nie wolno.

— Czy moja w tém wina?—spytała Pepita—mów pan otwarcie.

Simonis się trochę zmieszał.

— Ja prawdziwie nie wiém, z mojéj strony ja także winy nie czuję.

— Może przeznaczenie?—odezwała się baronówna.

Szwajcar milczał.

— Niepodobna ażebym ja was szukała—ciągnęło daléj dziewczę coraz śmieléj—tego po mnie wymagać nie możecie, a bądźcie szczerzy; czy wam z tém bardzo źle: ja nie wiém?

— Pani wątpi?

— Nie, ja jestem pewna, że zbyt za mną nie tęsknicie. Proszęż was nie zmuszajcie się do żadnych czułości sztucznych. Ja w razie potrzeby słowa dotrzymam, nie potrzebujecie się silić na zakochanie we mnie.

Mówiła to tak chłodno, bez żadnego gniewu, bez zazdrości, iż Simonis uczuł się tém dotkniętym.

— Widzę żem zupełnie łaski u pani stracił—szepnął.

— Bądź pan spokojnym—dodała Pepita—spełnij tylko coś przyrzekł, bądź nam wiernym, a na moje słowo rachować możesz.....

To mówiąc jak gdyby rozmowy przedłużać nie chciała, odeszła. W chwilę potém Brühlowa zabrała go z sobą dla narady z generałem Spörken.

Przybycie Simonisa było jakby bodźcem do coraz bardziéj gorączkowéj czynności. Co dzień coś nowego było na stole, a rozprawy o każdym kroku, zabierały godziny. Tego dnia znowu odebrano wiadomość, iż ułożone porwanie i wydanie generałowi Bour króla pruskiego, udać się w żaden sposób nie mogło.

Brühlowa była gniewna.

Chodziła po pokoju niekryjąc swojego oburzenia i narzekając na niedołęztwo wszystkich co tyle kosztowali, a nic dotąd zrobić nie mogli.

— Należy natychmiast wyprawić do Glasau'a—dodała—ostatniego użyć środka... zmusić go aby nie zwlekał... Waćpan napiszesz zaraz do niego, a generał wyśle pismo przez zaufanego człowieka.

Simonis się zawahał, ale niecierpiąca sprzeciwienia się najmniejszego kobiéta, tupnęła nogą i wskazała mu miejsce przy stole.

— Ja to biorę na moje sumienie, na odpowiedzialność moję: czasu dosyć zmarnowano... niech Glasau spełni co przyrzekł..... Nie słucham nic... poślijcie mu co zechce... ja oddam co mam..... Zapłacimy mu ile każe.....

Zmuszony do pisania, przelękły Szwajcar usiadł. Nie było sposobu się oprzéć, spojrzał kilka razy na hrabinę, nie dała mu mówić. Powtarzała ciągle: ja to biorę na moje sumienie.

Simonis napisał co mu kazano, obwinięto papierem tym rulon dukatów. Spörken go opieczętował i wyszedł. Max wstawał blady od stołu.

— Pani mi daruje—rzekł cicho—jakkolwiek Glasauowi udać się może...

— Musi!—przerwała hrabina.

— Lecz gdyby coś niespodzianego zdradziło.

— To nie może być.

— Jednakże—wtrącił Simonis—ja nie wiem czy w takim razie potrzeba żebym i ja padł ofiarą?

— Waćpan?—przerwała, za rękę go chwytając hrabina —waćpan! nigdy w świecie! Jesteś mi potrzebny. Ja losu jego się podejmuję. Baronównę możesz odstąpić komu chcesz, waćpan niepotrzebujesz jéj, ja zapewnię jego przyszłość.

Skłonił się Simonis i dosyć poufale spytał cicho:—Lecz jeśli tak jest, czy nie lepiéj abym czekając na wypadek, skrył się. Jeżeli Glasau chybi.....

— Glasau chybić nie może!—z gniewem w oczach i głosie odparła Brühlowa—niecierpliwisz mnie!

Dopiéro ochłonąwszy, rzekła rękę mu kładąc na ramieniu:

— Tak jest Simonis, na tym obrzydliwym świecie możliwe wszystko: skryj się. Masz jakieś przeczucie. Ja straciłam wszelkie: gdy przeczuwam dobro, przychodzi zło, a gdy się zła spodziewam, ono jedno niezawodzi. Tak skryi się—dodała głosem drżącym—ja potrzebuję cię.....

Głowę otuliwszy dłoniami, przeszła się kilka razy po pokoju milcząca i zamyślona. Widać było, że myśl o zemście, o sprawie królowéj, o kraju, ustąpiła bliższéj jakiéjś o własnych losach.

Zwróciła się do Simonisa.

— Waćpan powinieneś stanowczo zerwać z baronówną — rzekła—ona go nie kocha, to są więzy. Ja tego nie chcę.

Baronówna!—dodała—baronówna nie ma więcéj nad kawałek ziemi w górach i pusty zamek. To wszystko niewiele

warte. Mój mąż wyrobi wam dar od króla znaczniejszy, ja potrafię mu uzyskać posadę. Ta wojna wiecznie trwać nie może; a jeśli Glasau.....

Ale nie chcę ani mówić o tém, ani rachować. Choćby Glasau chybił, są inne środki...

Tak, tak—zawołała coraz się rozgorączkowując—choćby się sto razy nie powiodło, choćby wszyscy się ulękli i cofnęli, ja nigdy, nigdy! Moja miłość i nienawiść nie kończą się, mogę usnąć, ale się budzę jutro rzeźwiejszą jeszcze. Chybabym umarła.

Przeszła się tak kilka razy po izbie, i uspokoiła nareszcie; przystąpiła do Simonisa zdejmując soliter z palca i trzymając go w ręku—rzekła po cichu:

— Ten pierścień dawno miałam od króla, daję go wam na znak że spełnię com wyrzekła. Zerwij z baronówną, ja się dzielić z nikiem nie mogę.

Simonis całował jéj rękę blady, gdy generał i Pepita weszli i przerwali tę scenę. Brühlowa zapewne chcąc ułatwić to zerwanie, którego się domagała, natychmiast wysunęła się z generałem do drugiego pokoju, oczyma nakazując Simonisowi, aby spełnił jéj rozkaz.

Baronówna wchodząc do pokoju, choć nie postrzegła może oddawania pierścienia, mogła się domyśléć poufałego zbliżenia z postawy hrabinéj i pomieszania Simonisa, który zbyt spiesznie postrzegłszy ją się cofnął. Nadto wiele wiedziała i słyszała życia ówczesnego piękna Pepita, aby się jego tajemnic i intryg domyśleć nie mogła; życie hrabinéj było jéj znane dobrze. Miłość własna ucierpiała może w piérwszéj chwili, lecz po rozmyśle uspokoiła się łatwo. Chłodna więc i na pozór zupełnie obojętna znalazła się naprzeciw Simonisa witającego ją z nadskakującą grzecznością.

Spojrzała mu w oczy z takim wyrazem wszechwiedzy i spokoju, że Max się trochę zmieszał, czując odgadniętym.

— Może przeszkodziłam?—odezwała się.

— Nie, wszystko skończone—odparł Max.

— Spodziewam się że szczęśliwie—dodała spoglądając na pierścień, który Simonis ukryć zapomniał.

Nie odpowiadając na to obwiniony spuścił oczy.

— Tak jest, tak—rzekł—ale kiedyż można być pewnym, że to co się wydaje szczęśliwém, rzeczywiście się powiedzie.

— Masz pan wielką słuszność, jest to prawda, która w całém życiu zastosować się daje. Nie jesteśmy nigdy niczego pewni.

— Niestety!—westchnął Max.

Pepita spojrzała nań i rozśmiała się.—Cóż daléj?—zapytała.

— Najsmutniejsze to—odpowiedział Simonis—że ja zapewne będę zmuszony przez czas jakiś się ukrywać, i że nie będę miał szczęścia widywać pani.

— Ale czyż to się mogło szczęściem nazywać—odezwała się baronówna—mnie się zdaje że to kłopot niepotrzebny. Ja się wcale nie łudzę.

— To ja powinienbym z tych słów pani, a podobno i z wielu innych—podchwycił Szwajcar—wnieść że nie powinienem się łudzić. Nie mam u niéj łaski.

— Ale masz pan słowo moje—rzekła zimno Pepita—to dosyć.

— Jeśli nie mam i muszę się wyrzec serca?—dodał Simonis.

— Któż może mówić o sercu!—rozśmiała się baronówna. —Gdybym chciała dać je, nie mogę; bo serce nie daje się, ale zdobywa.....

— A ja nie umiałem, nieprawdaż?—zapytał Simonis.

Pepita zamilkła.

— Musi to być panu obojętném.

— Przepraszam panią—rzekł Max—gdybym się miał wyrzec serca, wyrzekłbym się ręki.

Zdziwioną trochę zdawała się baronówna.

— Za pozwoleniem—odezwała się—czy to wyrzeczenie się miałoby za sobą pociągnąć i odstępstwo od naszéj sprawy? mów pan otwarcie?

— Téj sprawy ja już odstąpić nie mogę—z uśmiechem przykrym dodał Simonis—podpisałbym wyrok na siebie.

Panna Nostitz stała z jakąś niepewnością, obawą i jakby promykiem nadziei na twarzy.

— Panie de Simonis—rzekła—umiem cenić to coś mi powiedział, przyjmuję to zrzeczenie się serca i ręki, a co się tyczy majątku.....

Max nie dał jéj dokończyć, skłonił się nizko, zakręcił — i rzekł głośno:

— Godzina nagląca, pani daruje.....

— Zatém ja jestem wolna!—spytała, rękę wyciągając baronówna z nietajoną już radością.

— Najzupełniéj—odparł Max i chwycił za kapelusz do wyjścia.

Usłyszawszy kroki, Brühlowa wyszła na próg drugiego pokoju, zmierzyła oczyma Pepitę i Simonisa i podała mu rękę na pożegnanie. Max wybiegł.

W tydzień po téj rozmowie, jasnego zimowego dnia, pocztylion w ciężkich butach, obmarzły cały, na koniu z którego para buchała, zatrzymał się przed kwaterą generała Wylicha. Była to poobiednia godzina, podstarzały żołnierz drzémał z fajką, a piękna Doris grała na gitarze po cichu w drugim pokoju. Wpadnięcie niespodziane kuryera, który do drzwi nawet nie zapukawszy, jak stał wtoczył się do generała i podjąwszy płaszcz, z torby skórzanéj papiérów zaczął dobywać, rozgniewało pana komendanta. Już miał na ustach *lumpen*... jakieś osolone, gdy spojrzawszy na papiéry, do których przylepiony był kawał pióra na znak pośpiechu; na pieczęcie ogromne, na notatki u góry, zamilkł i drzwi od Doris zamknąwszy, zaraz się rzucił do papiérów. Pocztylionowi ręką wskazał aby odszedł.

Generał Wylich miał dosyć złe oczy, pismo było pilne i sekretne, zdawało się wiele zależéć na niem; zadzwonił więc wzywając w pomoc pisarza, choć się nim posługiwać nie lubił.

Pisarz ten nazwiskiem Blind, człowiek do wszystkiego niezmiernie zręczny. Kalligraf niezrównany, koncepcista osobliwy, posiadający wszelkie style, piszący wiersze, domyślający się prawdy, przy sądach wojennych ułatwiający śledztwa; jedném słowem genialny robotnik, był zarazem najniebezpieczniejszém stworzeniem, jakie ziemia kiedy nosiła. W wojskowym trzymany rygorze, chodził posłuszny jak koń dobrze wytresowany, lecz było mu na chwilę popuścić cugli, spłatał zawsze coś takiego, za co mało było nawet kijów powszednich. A jednak bez Blinda obejść się nadzwyczaj było trudno. Generał Wylich wziąwszy go w spadku po towarzyszu, trzymał przy

sobie jak w więzieniu. Na oko Blind był chłop nie szpetny i silny, chociaż czerwonemi plamami okrytą miał twarz i nieco kulał. Ubior zakrawał na pewną elegancyą.

Zobaczywszy go generał, poszedł pannę Doris zamknąć w trzecim pokoju, a sam wróciwszy kazał mu czytać depesze. Szły one wprost z głównéj kwatery w.....

Blind rzuciwszy okiem na ogromny arkusz na wpół zapisany, pobladł i zachwiał się.

— Co ci jest! czytaj.

Zaczął w istocie czytać Blind jąkając się, lecz ledwie pierwsze słowa wymówił, Wylich mu papier wyrwał z rąk i ręką gębę zatulił. Pokazał pięść, krzyknął: milczeć i wypchnął za drzwi.

Depesza była największéj wagi i sekretna, niegodziło się, by na niéj oko kancelisty spoczęło. Generał nie rad był z siebie, iż dozwolił Blindowi pokosztować tego owocu zakazanego. Co najgorzej, że znając spryt tego wisusa, pewien był iż raz spojrzawszy na papier, cały już połknął i umiał go z końca w koniec napamięć. Takie przynajmniéj miał o Blindzie wyobrażenie.

Zamknąwszy drzwi generał wziął się do papierów, czytał je drżący. W ostrych nader wyrazach skreślone było pismo. Król wyrzucał w niem Wylichowi, iż ślepy, nieudolny, zarozumiały dozwolił pod swoim bokiem knuć spiski na życie króla, wysyłać szpiegów i morderców, korespondencye i pieniądze, że dopuścił na zamku w biały dzień konspirować żonie ministra, generałowi Spörken i królowéj.

Cała ta sieć intryg, któréj o mało Fryderyk nie padł ofiarą, tylko jego własną przytomnością umysłu i bystrem spojrzeniem odkryta została. Niejaki Glasau, opiewała depesza, będący w służbie kamerdynera przy królu, przekupiony przez Brühlową, będący w stosunkach ze świeżo zbiegłym byłym sekretarzem gabinetowym niejakim de Simonis, nasłanym także przez żonę ministra i zdradzającym tajemnice, jakie mu były powierzone, dał się pieniędzmi skłonić do podania J. Kr. Mości trucizny w czekoladzie. Król gdy mu ją przyniesiono, spojrzawszy wypadkiem na twarz Glasau'a, postrzegł na niéj pomięszanie, bladość, coś podejrzanego. Zapytał go surowo co mu

jest; kamerdyner złożył to na niezdrowie. Czekoladę postawiono na stoliku. Fryderyk nie miał ochoty pić jéj zaraz, czytał właśnie Plutarcha. Tymczasem Thisbi charcica skoczyła na stolik i łapczywie zaczęła zajadać królewskie śniadanie. Gdy król się obejrzał, czekolady połowa już była wypitą, a suczynka prawie natychmiast poczęła skowyczeć, tarzać się, pienić i zdechła.

Pochwycono kamerdynera Glasau'a, a resztę napoju dano na próbę wiejskiemu psu, który w kwadrans potém nie żył. Trucizna była więc dowiedzioną. Nakazano jak najsurowszą tajemnicę, nie chciał bowiem król, ażeby wiadomość o tém stała się powszechną. Glasau'a stawiono natychmiast, zapewniając mu życie, jeśliby wyznał wszystko. W ten sposób odkrytą została zdrada Simonisa, stosunki z Dreznem; papiery nawet, które wprawdzie imion osób nie zawierały, lecz stwierdzały zeznania Glasau, i spisek uknuty w Dreznie, jeśli nie z wiedzą królowéj, to nie bez milczącego jéj przyzwolenia.

Do opisu wypadku przyłączony był rozkaz najsurowszy, wyprawienia natychmiast hrabinéj Brühlowej do Warszawy, poszukiwania i uwięzienia Simonisa, najsurowszego nadzoru nad wszystkiemi co do zamku uczęszczali i mieli z nim stosunki.

Generał Wylich utonął w mnóstwie szczegółów, spotniał czytając, a co najgorzéj czuł że winę swą miejscem okupi i że wkrótce przez kogo innego zastąpionym zostanie [1]). Ażeby na straszniejszy jeszcze gniew króla nie zasłużyć, chwyciwszy się za głowę, jął się zaraz krzątać około czynnego wystąpienia. Ale od czego tu począć było??

Zadzwonił na Blinda.

Nadszedł żołnierz oznajmując, iż go nie było, że przed chwilą wybiegł na miasto. Generał przeląkł się, tego domyślając, słusznie czy nie, że Blind rozgadać może przedwcześnie to co było i powinno zostać tajemnicą.

Chwili czasu nie miał do stracenia. Ubrał się więc, przywołał adjutanta, wziął żołnierzy i że mu najwięcéj szło o Simonisa, pobiegł do jego mieszkania.

Tu dowiedział się że od dni dziesięciu Szwajcar *wyjechał*. Posłano przetrząsać wszystkie domy, które szpiegi wskazać

[1]) Zastąpił go generał Schmettau.

mogli, uganiano się do wieczora napróżno, nareszcie Wylich kazał zamek ostawić strażą, i postanowił w nim robić poszukiwanie.

Wiedział bardzo dobrze, iż nawet za brak uszanowania dla królowéj lub jéj dzieci, pewnie ukaranym nie będzie. Generał von Spörken wyszedł naprzeciw komendantowi.

— Co się stało? panie generale? zapytał.

— Nie wiecie jeszcze, no to się dowiecie—odpowiedział oburzony Wylich.—Niejaki de Simonis przechowuje się w zamku, były sekretarz króla, zdrajca którego szubienica czeka, jeśli nie ćwiertowanie; albo mi go wydajcie, lub....

— Niema go tu, za to mogę zaręczyć—rzekł generał Spörken.

— Od dachu do lochów strząsę wszystko,—krzyknął Wylich.

— Sile się nie możemy oprzéć, jużeśmy tego doświadczyli —odezwał się Spörken—czyńcie co się wam podoba. Lecz jeśli późniéj Europa cała, za znieważenie rezydencyi J. Kr. Mości i kurfirsta następcy.....

Wylich nie dając dokończyć—zawołał:

— Was wszystkich i waszą Europę nie mam za tyle.... (Wyraził się jeszcze ostrzéj). I krzyknął na zołnierzy:

— Na zamek!

Spörken znikł ażeby przygotować królowę. Gdy komendant wchodził na pokoje, pierwsza mu drogę zabiegła hrabina Brühlowa: straszna była gniewem, ale zarazem i trwogą.

Wylich nie witając się z nią nawet, odezwał się grubiańsko:

— Mam rozkaz waćpanią wyprawić do Warszawy. Słyszysz pani?

— Co to jest! jakto?

— Rozkaz króla, który zostanie spełniony.

— Cóż za powód?

— Nie mam potrzeby przed waćpanią się tłumaczyć.

Gdy się to działo w sali, na któréj progu przeciwnym, królowa za portjerą ukryta słuchała i przypatrywała się, rozjątrzona do żywego tą napaścią, zamek patrole przetrząsali jak najpilniéj.

Hrabina Brühl wiedziała, że szukano Simonisa. Na kilkanaście minut wprzódy Blind, który oddawna był ujęty, dał znać o tém co z depeszy miał czas wyczytać. Kawaler de Simonis w istocie znajdował się na zamku, ale w tych starych murach tyle było kryjówek, przejść, schówek, drzwi zamaskowanych, podłóg odmykających się, zwierciadeł za któremi w grubości muru wyżłobione były gabinety ciemne, które za Augusta II służyły do czarodziejskich niespodzianek, a dawniéj może na straszniejsze narzędzia kary, tyle tu było tajemnic ledwie niewielu osobom znanych, że żołnierze pruscy, wedle wszelkiego podobieństwa nic znaleźć nie mogli. Simonis w jedném z takich wyżłobień w wielkiéj sali ukryty, słyszał jak żołnierze przechodzili ją, jak się do koła drzwi odmykały, jak zamek tętniał przekleństwy, wykrzykami i ciężkiem stąpaniem Prusaków, jak Wylich klął i niecierpliwił się i czekał losu jaki go miał spotkać. Na kilka dni wprzódy przewidując niebezpieczeństwo, opatrzył się był w truciznę, którą trzymał w pogotowiu, gdyby wypadkiem ci co ściany opatrywali i bili w nie szukając gdzieby zadzwoniła próżnia, trafili na ukryty gwóźdź, cienkie utrzymujący zwierciadło.

Dwie godziny trwało nadaremnie przetrząsanie zamku, w czasie którego pokoje królowéj nie były oszczędzone. Żołnierze zaglądali pod łóżka, zrywali opony, wciskali się w najciaśniejsze kąty. Ołtarz domowéj kaplicy otworzono z tyłu, myśląc że tam się zbieg ukrywa.

Poźno już było, gdy generał Wylich, coraz gniewniejszy, straże u bram zostawując, kazał nareszcie poprzestać. Wszedł jednak raz jeszcze na górę i przywołanéj hrabinie oświadczył surowo, żeby się natychmiast w podróż wybierała.

— Jeżeli chcecie wiedzieć o przyczynie, to wam jéj taić nie będę—zawołał generał.—Schwytano tego któregoście przekupili dla dania królowi trucizny. Wszystkie wasze sprawy wiadome. To gniazdo osie oczyścimy.

Brühlowa przymuszonym ale głośnym wybuchnęła śmiechem, a Wylich się oddalił.

Na zamku panowała trwoga i oburzenie, dworska służba stała niema, Spörken przechadzał się po galeryi zżymając się i naradzając sam z sobą.

Nie obawiał się on wcale, ażeby Prusacy kryjówkę mieli odgadnąć, lecz nie zupełnie był pewnym swéj służby, aby któryś z nich pobytu na zamku nie zdradził. W owych czasach nikomu zbytnio dowierzać nie było można. Dlatego niespuszczając się na nikogo, sam ukrył Simonisa. Kilku jednak ludzi o poprzedniém jego mieszkaniu na poddaszu wiedziało.

Przez cały czas poszukiwań hrabina Brühl stała po nad wschodami, z zaciśniętemi usty, drgając na każdy wykrzyk głośniejszy, cisnąc ręką pierś zburzoną i nieumiejąc w sobie ukryć niepokoju, jaki nią miotał.

Kilka razy słabnąc, chwyciła się galeryi. Przywiązanie jéj do Simonisa, niedawno jeszcze, przeszło w namiętność, która niedługo może w sercu trwać miała, lecz tem téż teraz była gwałtowniejszą. Spoglądała błagająco na Spörkena, który jéj dodawał męztwa a gdy się wreszcie skończyło wszystko, poszła bezsilna paść na krzesło.

Simonis był wprawdzie ocalonym chwilowo, lecz należało go z zamku uprowadzić i ułatwić mu ucieczkę.

Pośpiech był koniecznym, a wykonanie zdawało się prawie niepodobném. We wszystkich bramach stały straże. Wśród tego tłumu jaki jeszcze napełnił zamek, łatwo się było szpiegów domyślać.

Hrabina błąkała się tak myślami, nieumiejąc znaleźć środka, gdy baronówna stanęła przed nią, a widząc że jéj nie postrzeżono, lekko dotknęła ręką dłoni Brühlowéj, która krzyknęła z przestrachu.

— To ja—odezwała się spokojnie Pepita,—to ja. Potrzeba radzić.

— Straciłam głowę! Glasau pochwycony, stracone wszystko. Simonisa ocalić niepodobna.

— Musimy to uczynić—odpowiedziała baronówna.

Hrabina spojrzała jéj w oczy.

— Wiesz sposób...?

— Trzeba go szukać, jest ich tysiąc, a najprzód czekać spokojnie i nie wydawać się z obawą.

Na te słowa wszedł Spörken, wszystko troje stanęli milczący, gdy szmer zwiastował wnijście czyjeś: Brühlowa spostrzegła idącą królową i podniosła się.

Królowa Józefa nosiła już w sobie zaród téj choroby, która ją wkrótce życia pozbawić miała. Blada, drżąca, z oczyma pełnemi łez i gniewu, wlokła się raczéj, oparta na ramieniu jednéj z panien, niżeli szła. Stawać musiała co chwila, i oddychać.

Z poszanowaniem dla téj niedoli rozstąpili się wszyscy.

Królowa była jakby w gorączce boleści, która jéj nadawała powagę męczennicy i natchnienie wieszczki. Powiodła oczyma niewidząc nic.

— Cóż więcéj nas czeka?—zawołała—jakie jeszcze upokorzenie? jakie urągowisko? Mówcie, ja zniosę wszystko; jam zniosła już tyle, że z méj rodziny nikt zemną na równi stanąć nie może.

— Generale, mów!...

— N. Pani—odezwał się Spörken—niema nic nowego, ani nic zagrażającego J. Kr. Mości.

— Nie oszczędzajcie mnie—poczęła królowa—Bóg wié co i dlaczego zsyła.... Jam przyszła tu abym grzechy ojców naszych zmazała pokutą. Niech ręka Boża chłoszcze, ażeby krew zmyła plamy, ażeby pokolenia następne czyste były i wolne. Karz nas Boże a przebacz plemieniowi naszemu!

Mówiąc to płakała, a mówiła nie dla tych co ją słuchali, ale jakby sama do siebie, zmuszona do téj spowiedzi uczuć i myśli.

— To nie koniec—rzekła po chwili—to początek drogi krzyżowéj, a każdy na niéj krok zmywa plamę. Karz Boże! chłoszcz mnie, abyś dzieciom przebaczył!—powtórzyła bijąc się w piersi.

Podano krzesło gdyż Józefa osłabła i siły ją opuściły nagle. Wszyscy stali nieporuszeni. Usta jéj jakby cichą, szybką odmawiały modlitwę.

Upłynęło minut kilka, zdawała się nieco uspokojoną.

— Spörken—rzekła—ja widziałam tych napastników, wiem że znowu popełnili tu gwałt; ale nie wiem przyczyny. Cóż się stało?

— N. Pani—poczęła hrabina Brühlowa głosem ochrypłym od połykanych łez—targnął się ktoś na życie tego, który sam targa się na wszystko. Przypisują ten zamach, nie wiem komu;

mnie może, bo mi precz ztąd jechać kazano... na zamku szukano wspólników.

Królowéj oczy się ożywiły ciekawością.

— Zamach? co to było?

— Mówią... trucizna... którą pies wypił...

— Biédny pies—odezwała się pocichu królowa.—Kazano ci wyjechać?—zapytała Brühlowéj.—Jesteś szczęśliwszą odemnie, ja nie mogę ruszyć się ztąd, bom powinna dotrwać na stanowisku; moje miejsce jest tutaj: ja tu umrę...

Spörken odezwał się uspokajając królowę, zaczęli mówić wszyscy, opowiadano szczegóły, których królowa zdawała się słuchać z zajęciem. Powoli poruszenie, gniew, boleść uśmierzyły się, królowéj Józefie wróciła jéj rezygnacya i dała się swym kobietom nakłonić do przejścia do swych pokojów. Po drodze tylko wstąpiła do kaplicy, a kapelana przywołano na wieczorne modlitwy.

Na zamku uciszało się powoli, światła gasły, i tylko straże u bram, chodem ciężkim i szczękiem broni ją przerywały.

(Dokończenie nastąpi).

O zasłudze naukowéj ziomka naszego Kubarego.

Różne dzienniki ogłaszają dziś naukowe zasługi ziomka naszego, p. *Kubarego*, który szczęśliwie i pilnie zwiedza wysepki i wyspy Oceanu Południowego, badając tak obyczaje ich mieszkańców, jako i płody natury tamecznéj.

P. Kubary jest rodem z Warszawy, gdzie ukończywszy akademiczne nauki w byłéj Szkole Głównéj, udał się do Hamburga. Świat uczony wié że w tém mieście żyje mąż, któremu nauki przyrodzone, a osobliwie historya naturalna szczególniejszą winne są opiekę, który te nauki miłuje i znaczne dla ich wzrostu z majątku swojego poświęcenia czyni. Mówimy tu o panu Janie Cezarym Godeffroy, założycielu znanego muzeum, w którém zgromadza wszystko to co do poznania wysp Oceanu Wielkiego należy, a nie przestając na wystawieniu tych zbiorów dla znających Hamburg, ogłasza je całemu światu w osobném piśmie peryodyczném, obejmującém dokładne opisy i kosztownie wykonywane wizerunki wszelkich nowo na tych wyspach odkry-

wanych przedmiotów [1]). Z tymto panem Godeffroy spotkał się Kubary w r. 1868, epoce w któréj muzeum rzeczone już od lat piętnastu istniało. Pan Godeffroy zaproponował Kubaremu bliższe zbadanie tak nazwanéj przez niektórych geografów Mikronezyi, to jest wysp ciągnących się na Oceanie Wielkim na północy równika, pomiędzy 0°—10° sz. półn. a 134°—172° dług. wsch. zwanych archipelagiem Karolin Wielkich, archipelagiem Marshall'a i t. d. Kubary który jak wyznaje, od kolebki marzył o puszczeniu się kiedyś w dalekie podróże, czując się wspartym wiadomościami z historyi naturalnéj, któréj wykładu w naszéj Szkole Głównéj z zajęciem słuchał, przełożenie pana Godeffroy z radością przyjął, i w maju 1869 r. opuściwszy Hamburg, po 130 dniach żeglugi przybył na wyspy Żeglarskie (*Navigator Islands*) zwane po krajowemu Samoa, gdzię mając kilka miesięcy czekać na sposobność do dalszego udania się na Mikronezyą, zajął się częściową exploracyą wyspy Sawai, mianowicie jéj północno-wschodniego brzegu. Na Sawai bawił sześć miesięcy. Tam między innemi znalazł ptaka będącego typem nowego rodzaju, który opisany został przez d-rów Fintsch'a i Hartlauba, pod nazwiskiem *Pareudiastes pacificus*. Na innéj tego archipelagu wyspie, Upolu, znalazł wyłącznie tam utrzymującego się rzadkiego gołębia *Didunculus strigirostris*, będącego niby miniaturą zaginionego dronta (*Didus*). Samao opuszcza w maju r. 1870, poczem udaje się na wyspy Marszałkowskie (*Marshall islands*), gdzie przez 5 miesięcy badał tameczne rafy koralowe i faunę wysp Ebon. Znalazł między innemi piękny okaz korala *Pavonia papyracea*, żyjącego tylko w wielkich głębiach i nader rzadkiego w zoologicznych zbiorach. Przez pobyt na wyspie Ebon, poświęcał się także nauce krajowego języka, i wygotował słowniczek jego wyrazów, ogłoszony w pierwszym zeszycie Dziennika muzeum Godeffroy. Następnie udał się na wyspę Iap (*Yap*), którą badał tak pod względem etnograficznym jak zoologicznym. Sprawozdanie w téj mierze ogłosiło Towarzystwo zoologiczne Londyńskie.

Iapczanie stanowią oddzielny typ pomiędzy Mikronezyjczykami. Wyspa Iap jest jedną z wysokich, tojest plutonicznego powstania: ma 5 do 6000 mieszkańców. Ci mają język oddzielny, należący do rodziny Malajsko-Polinezyjskiéj [2]). Co do rassy są bardzo pięknie zbudowani, zazwyczaj wzrostów smagłych, brachycefale, cery brunatnéj, o długich czarnych włosach. Rozszerzone kości licowe, brak zarostu i czasami wyraźnie skośne oczy, świadczą o domieszaniu się Azyatyckiego żywiołu do rassy iapskiéj. Iapczanie jak i największa część Mikronezyjczyków, tatuują się, ale w sposób właściwy sobie, odmien-

[1]) *Journal des Museum Godeffroy. Geographische, etnographische und naturwissenschaftliche Mittheilungen. Hamburg* in 4-to. Znamy dotychczas w Warszawie 8 zeszytów tego kosztownego dzieła.

[2]) Przypominamy tu, że lingwistyka dzieli języki na klassy, familie czyli rodziny, i gałęzie.

ny od sąsiednich wyspiarzy. Żują silnie betel, skutkiem czego mają czarne zęby, tém bardziéj że je sztucznie farbują. Jakkolwiek charakteru łagodnego, są bardzo przebiegli, zmysłów bystrych i rozwiniętego umysłu, chociaż przez swą religią wprowadzeni w chaos zabobonów. Iapczanie niedawno zetknęli się z cywilizacyą i nie zatracili jeszcze typu pierwotnego. Religia ich jest zbiorem wielu tradycyj nie mających żadnego związku z fetyszyzmem. Kamienie, łąki, gaje mają dziś u nich pamiątkowy jedynie charakter: pewna tylko jaszczurka *Hydrosaurus marmoratus*, stanowi wyjątek, bo jeszcze jest przedmiotem religijnych przesądów, lubo tylko w powiecie Tomil. Politycznie dzieli się wyspa na bardzo wiele państewek, których liczba do 50 dochodzi; z tych jednakże tylko Rul, Tomil, Gror i cztery inne mają większe znaczenie, wszystkie inne podlegają tym, chociaż mają każda swój samorząd. Rząd jest absolutny; władza zostaje zwykle w ręku króla-kapłana i dziedzicznie przechodzi z ojca na syna, co jest na Mikronezyi zupełnie wyjątkowe. Iapczanie są bitni, wojowniczo usposobieni, i nader przedsiębierczy żeglarze. Łódki ich wypływają na otwarte morze, czego nie ma u sąsiednich im Pelewczan, to jest mieszkańców wysp Pelew. Kobiéty lubo w ogóle nie są źle traktowane, zginają się pod brzemieniem ciemnych i poniżających zwyczajów. Osobliwszém jest w religii Iapczan wyobrażenie o życiu przyszłém: dusza po śmierci zdaje sprawę z tego co czyniła za życia. Przybywa ona nad brzeg przepaści, przez którą prowadzi wązki most kokosowy. Na środku mostu zatrzymuje się i duch jakiś, sędzia, ocenia jéj zasługi, a podług tego sądu albo przechodzi na drugą stronę do państwa duchów na wyspy Pelew, albo zostaje strącona w przepaść. To że duchy Iapczan spotykają się w drugiém życiu z duchami Pelewczan, dowodzi że te ludy spólne mają pochodzenie, chociaż dzisiaj wielka jest pomiędzy niemi różnica a nawet nieprzyjaźń.

Kubary przybył na wyspy Pelew (Palau) w lutym 1871 roku i bawił na nich półtrzecia roku. Wyspy te są równie jak Iap wyniesionemi, pochodzenia plutonicznego. Formacya ich przedstawia już bazalty, już wapienie (wyniesione rafy koralowe): podług tego okolice mocno są odmienne wejrzeniem i wegietacyą. Nie w jedno wyspa jest otoczona zawałem rozległych raf koralowych, między któremi środkuje głęboka i obszerna laguna (szlamowisko). Wyspy Pelew, które Kubary nazywa Palau, odkrył Anglik Wilson, a kartę ich zdjął Mac Chluer. Ta jednak karta nie ze wszystkiém była dokładną, dziś z poprawami Kubarego wydaną została w Hamburgu przez Friedrichsena. Obszerne opisanie wysp Pelew ogłosił Kubary w IV i VII zeszycie Dziennika muzeum Godeffroy. Opuścił te wyspy r. 1873 w maju, i udał się przez Karoliny Wielkie, na wschód, w któréjto podróży zwiedził wyspy Uleaj, Mortlocka, Monteverda, na każdéj znajdując lud odmienny, mowy sobie właściwéj, wcale nie téj którą poznał na Iap i Pelew. Dziwna rzecz że co wyspa, inny język! Wszędzie jednak krajowcy łagodni i w tém podobni

do siebie, o tyle tylko różniąc się sposobem życia, o ile ich ojczyzny są już ziemią żyzną, już tylko ubogiemi atolami [1]) koralowemi.

W sierpniu 1873 r. przybył Kubary na wyspę Ascension, po krajowemu zwaną Ponape, najgłówniejszą z wysp Sieniawina, odkrytych przez rossyjskiego admirała Lütke. Bawiąc tam 12 miesięcy, poczynił znakomite zbiory, i z exploracyi tych złożył sprawozdania, które są umieszczone w zeszytach VI-ym i VIII-ym Dziennika muzeum Godeffroy. W sierpniu 1874 r. udał się na pokładzie żelaznego brygu *Alfred* w powtórną podróż do wysp Żeglarskich, z zamiarem wrócenia ztamtąd do Europy. Przy wyspach Banhama ulega rozbiciu i traci swe zbiory zapakowane w 100 pudłach. Po tylko tygodniowym pobycie na tych wyspach, gdzie znowu napełnił 23 pudełek płodami natury tamecznéj, przybył nareszcie do Samoa, zkąd wysłał uratowane reszty swych zbiorów do Europy drogą handlową, sam zaś obrał drogę krótszą przez Australią, w któréj odwiedził wyspy Tonga czyli Przyjacielskie, i Nową Zelandyą.

W czerwcu b. r. Kubary przybywa szczęśliwie do Hamburga, ale tylko na to, ażeby zdawszy sprawę z dotychczasowych wypraw, téj jeszcze jesieni wrócić na wyspy Oceanii. Gazeta Polska doniosła niedawno (Nr. 208) jakie zdobycze swych wypraw Kubary nadesłał w podarunku matce swéj w Warszawie, a między innemi ptaki z wysp Żeglarskich, które dostojny opiekun naszego gabinetu zoologicznego, hrabia Konstanty Branicki, dla tegoż gabinetu zakupił. Znajduje się między niemi i owa, wyżéj wspomniana rzadkość, gołąb *Diduncu-lus strigirostris*.

Lecz aby należycie ocenić zasługę Kubarego w tych śmiałych i pełnych niebezpieczeństw podróżach zdobytą, potrzeba czytać wspominany tu dziennik, który p. Godeffroy dla swojego muzeum wydaje. P. Kubary, prócz historyi naturalnéj i geografii, miał zawsze na względzie obyczaje ludów które poznawał. Nadewszystko lingwistyka winna mu będzie dużo rozjaśnień co do języków Oceanii, rozdzielanych dziś na trzy rodziny: polinezyjską, melanezyjską i mikronezyjską. Polinezyjska obejmuje mowę wszystkich wysp Polinezyi, od Nowéj Zelandyi aż do Sandwichskich z wyjątkiem wysp Viti, czyli Rybackich. W tych dyalektach, zupełnie do siebie podobnych, spólny charakter stanowi ważność samogłosek a ubogość spółgłosek. Dlatego téż języki tu należących ludów, a za których typ należy uważać mowę samoańską, są bardzo śpiewne, miękkie, jakby niedokończone i w wytwarzaniu się zatrzymane. Sylaby i wyrazy muszą się kończyć na samogłoski, dwie spółgłoski nie mogą stać obok siebie i t. d.

Języki melanezyjskie, które tak dokładnie poznać dał swą pracą Van der Gablentz w zasadzie swéj zupełnie odstępują od tam-

[1]) *Attol* albo *attolon* jestto grupa kępin opasująca kotlinę i przedstawiająca zatoki mniéj lub więcéj przystępne dla łódek lub okrętów. Atole służą niekiedy jakby za mur opasujący wyspy bardzo wysokie.

tych. Spółgłoski tu grają zwyczajną rolę, a jako charakterystyka występuje gramatyczna budowa objawiająca się wybitnie w prefixach i sufixach, tworzących wyrazy źródłosłowów.

Języki zaś mikronezyjskie łączą własności obu poprzedzających rodzin. Polinezyjskie pochodzenie zdradza się w istnieniu wielu źródłosłowów, a gramatyczna budowa została wziętą z języków melanezyjskich.

Wszystkie języki Mikronezyi następującym sposobem ugrupować się dają:

1. Mowa pelewska, istniejąca tylko na wyspach Pelew.

2. Mowa iapczańska istniejąca na wyspie Iap i sąsiednim atolu Matelotas, którego mieszkańcy zapomnieli już prawie swojéj pierwotnéj mowy.

3. Mowa zachodnich Karolin istniejąca w kilkunastu dyalektach na Koralowych wyspach, rozpościerających się między wyspą Iap a wyspami Hogoleu albo Ruk. Jest więc na Uleaj, Uogoj, Fejz, Faczajlep aż do Mortlocka włącznie.

4. Mowa wysp Hogoleu i okolicznych, według upewnień otrzymanych na wyspach Mortlocka (któreto wyspy są w stosunkach handlowych z Hogoleu), jest odmienną od zachodnio-karolińskiéj, a sądząc z nazw na znanych dotąd mappach okolic, jak *Peluat*, *Pelusuk* i t. p. musi się zbliżać do pelewskiéj.

5. Mowa nuguorska, na wyspach Monteverda (*Nuguor*) i na wyspach Greenwich, jest czysto polinezyjską mową.

6. Mowa wschodnio-karolińska w użyciu na archipelagu Sieniawina, z dwiema dyalektycznemi odmianami na Pingilap i Mokul.

7. Mowa kusajska na wyspie Stronga (*Kusaja*), różniąca się nader wybitnie od wszystkich mikronezyjskich, chociaż obca i polinezyjskim.

8. Mowa ebońska, na obu wyspach Marshall'a, lecz nadewszystko zapewne na wyspach łańcucha Radacka, w kilku narzeczach.

Kubary zamierzył te lingwistyczne badania rozwinąć obszernie i jeszcze przed opuszczeniem Europy, ogłosić je w Dzienniku p. Godeffroy, tylokrotnie tu wspomnianym.

Kubary znajdował się na tegorocznym zjeździe naturalistów naszych i lekarzy we Lwowie, a jak dalece opowiadaniami szczegółów swojéj podróży zajął obecne tam uczonych grono, wiadomo ze sprawozdań pomienionego zjazdu.

A. W.

OBRAZY
ZE WSPÓŁCZESNÉJ LITERATURY NIEMIECKIÉJ.

PRZEZ

Feliksa Jezierskiego.

(Dalszy ciąg).

Robert Hamerling i jego poemata bohatérskie.—(Ahaswer w Rzymie.—Król Syonu), jak on pojmuje poemat.

Na zaszczyt Roberta Hamerlinga wspomnieć wypada, iż niesłychana popularność, jaką zyskały jego utwory, ma swoje źródło głębiéj aniżeli w pobudkach wygórowanéj pychy plemienia. Jest on poetą w najdonioślejszém znaczeniu tego wyrazu. Jego tragedya Danton i Robespiere w piérwszym zaraz roku doczekała się dwóch wydań; Ahaswer w r. 1874 ukazał się w 10-ém wydaniu. Ale pomijamy pochwały statystyczne. Krytyka jednomyślnie zaliczyła jego epopeje do najświetniejszych zjawisk poezyi współczesnéj. Hamerling niemniéj świetnie występuje w utworach lirycznych: „Łabędzia pieśń Romantyki" zdaniem ogólném, jest to elegia w najpiękniejszych strofach Nibelungów; są tam miejsca, mówi jeden z krytyków, które chyba tylko z wygaśnięciem mowy niemieckiéj pójść mogą w zapomnienie. Tragedya „Danton i Robespier" nie mniejszy wzbudziła zapał, jakkolwiek autor nie pozwolił jéj przedstawiać na scenie.

W obecném sprawozdaniu postanowiliśmy zwrócić uwagę na dwa najcelniejsze jego utwory bohatérskie: „Ahaswera i Króla Syonu." Co do drugiego (Króla Syonu), zapoznanie z nim czytelnika uważaliśmy za tém konieczniejsze, iż poemat z natury swojéj, w *całości* nigdy przedstawić się nie da; gdy tymczasem w niczém nie ustępuje piérwszemu.

W Ahaswerze głównym bohatérem, prawie nie schodzącym ze sceny, jest Nero. Nawet w bocznych obrazach, stanowiących niejako przytoki wielkiéj, do końca utrzymanéj intrygi, nawet w najdrobniejszych rozstępach głównéj idei, wszędzie ta wszędzie domyślną jest tu straszliwa postać, w porodzeniu któréj znękała samą siebie potęga złego. Nero, przyznały to jednomyślnie wszystkie wieki, jest to typ, który tylko Apellesom kreślić się godzi. Poeta długo się ważył nim ujął na barki swoje ten typ kolosalny; sam bowiem przyznaje się w epilogu, że nieraz przekreślał poprowadzone linie, że łagodził w profilu nerońskim rysy Juwenalisa, i straszną barwę Swetoniu-

sza, a przekreśliwszy, znów wracał do myśli piérwotnéj. Takto instynkt estetyczny, prawie bezwiednie prowadzi poetę do odkrycia najtajniejszych arteryi charakteru ludzkiego.

Pytanie, jaką rolę odgrywać może, obok barbarzyńskiego pieszczocha losów, Ahaswer?

Obok téj wielkości tępéj, na zimno okrutnéj, jak mówi poeta: wysuwa się z pomroku groźny Ahaswer i do końca dostoi przy niéj, jako cień w obliczu słońca. Po skończeniu poematu, autor w epilogu do krytyków, usprawiedliwia psychologiczne postawienie téj antytezy, która obok głównego działacza strzeże interesu fatum, spycha Nerona coraz głębiéj z wyrocznéj pochyłości, dopomagając mu do rozpętania pajęczéj siatki, osnuwającéj w nim szczątki sumienia; podaje piérwsze, czynne hasło do podpalenia Rzymu, a potém? potém zostawszy na scenie, ściąga napowrót w swoje ręce sieć przeznaczenia—ponieważ Ahaswer umrzeć pragnie, ale umrzeć nie może.

Trzecią osobą dramatu jest Agrypina, matka Nerona. Na odmalowanie piękności téj kobiéty, poeta poświęcił wszystkie barwy, jakie tylko znaleźć się dały pod słońcem: strojna, przedziwnie ujmująca wzrokiem, postawą, do zgonu młoda, chciwa władzy, namiętna, Agrypina w końcu zawodu unosi się z przed oczu naszych w poetycznych promieniach ofiary. Oto są główne czynniki poematu w piérwszéj połowie. W drugiéj połowie, potomek cezarów, już nie krępowany nawet bezwładną wolą matki, nurza się coraz głębiéj w tym każącym ludzkość zawodzie, do którego zesłała go Nemezys, mszcząca się na upodlonym rodzie Kwirytów. Ku końcowi poematu ukazuje się w dalekiéj perspektywie świat chrześciański, zbliża się stopniowo i spotyka oko w oko ze światem pogańskim, skazanym na zagładę.

Oto są główne, abstrakcyjne kontury dramatu; nie sądźmy jednak, aby poeta przedstawił nam „wierszowaną historyę świata," (wyrażenie Hamerlinga). Bynajmniéj, założył on sobie „puścić świeży strumień życia rzeczywistego, odszukać gruntu na epos rzeczywiste." Epos, zdaniem jego, powinno przedstawić dzieje świata w fakcie pojedyńczym. Poezya jestto koncentracya, ściśnięcie ogółu w kształty konkretne (*Dichtung-Verdichtung* str. 258 w epilogu).....

Jeżeli w „Ahaswerze" podziwiamy budowę mistrzowsko pomyślaną, mistrzowsko wykończoną i uwieńczoną prawdziwie klassycznem sklepieniem; niemniéj podziwiać musimy misterność szczegółów, anatomię psychologiczną w prowadzeniu faktów, w pełném prawdy i gorącego tętna, malowaniu uczuć i myśli osób działających, w opisach natury.

Na wstępie poeta mówi:

„Chcecie płomiennych scen? będę pijany,
Jako pieśniarze wasi od Sekwany:
Chcecie, by cudem przy blasku pochodni,
Strugi szalonéj rozkoszy wytrysły?
Wytrysną: chcecie tytanicznych zbrodni?
Spełnią się zbrodnie. Chcecie, by wam zmysły,

Do krwi drasnąwszy, wykręciła stopę,
W tańcu lubieżnym, czysta Kalliope?
Słuchajcie... oto spełniona nadzieja:
Zrywa się z lutni krwawa epopeja
Zgiełku i zbrodni, sytu i przesytu;
Zrywa, grzmi, pali i pęka u szczytu!".....

Poeta wprowadza nas do stolicy świata, do Romy Cezarów: wyzywa ją z mogiły.

„Ale nie na to, by trupie jéj kości,
Dech wam owiały zgnilizną starości:
Wypowiem tylko, jak w bólach skurczona,
Drgała w dławiącym uścisku Nerona."

Na skinienie wieszcza, Rzym zmartwychwstaje przed naszemi oczyma, w majestacie marmurowych świątyń, łuków tryumfalnych, łuków wyciosanych z kamienia. Po świetnych ulicach grodu roją się plemiona wszystkich stref ówczesnego świata.

„Ileż tam, ile szczebli téj drabiny?
Od komet ziemskich, co w złocie, w jedwabiu,
Tak się kołyszą jak kibić korabiu;
Do ócz zamarłych frygijskiéj dziewczyny,
Co krwi szczątkami, ponętą bielidła,
Młodzież kwirycką wywabia na sidła."

Już się zmierzcha, w ciaśniejsze zakręty miasta mrok spadać zaczyna. Ulicą, wśród natłoku przeciskają się szybko czteréj Rzymianie, otuleni w płaszcze, z brodami przyprawianemi. To Nero, Burrus dowódzca drabantów cesarskich, łysy, zerkający chytremi oczyma Seneka, i śniady Tygiellin, niegdyś ulubiony niewolnik, dziś najserdeczniejszy powiernik, zbir maurytański, smukła, niemrawa postać, skurczony jak żmija; najjadowitszy z gadów, jaki wylęgła kraina nubijska, a Rzym wykarmił.

Przeciskają się przez szeregi tłumu; wtém z tłumu przecisnął się do Nerona starzec, w

.....Szaréj na strzępy podartéj oponie,
Włos biały, długi zaściela mu skronie;
Czoło, to skała można, jak świat stara,
W niéj oczy gnieżdżą się jak orłów para.
Ot, zda się, dziki cyklop ...lub przedwieczny
Człowiek, co w puszczach wzrosł bez człowieczeństwa,
Za kresem życia i zorzy słonecznéj.
W oku, gry wszystkie: to błyski szaleństwa,
To dreszcz żebraczy, to straszna potęga
Ducha, co krańce natury przesięga.....

Tajemniczy starzec, kto on być może? czy żebrak, czy wioślarz, który pod masztem sydońskim zdobywszy starość, teraz goni za śmiercią; czy wieszczy prorok? czy łotr zbiegły? Takie pytania zadaje sobie Nero i współwędrownicy, albowiem tajemniczy zdumiewał mimowoli nieustannemi zmianami rysów i postawy. Kolejno był to starzec kaszlący, młodzieniec, w którym krew kipi, męczennik z głową pognębioną w cierpieniach i walce; błyskawica zapału, dziadek skurczony, rówiennik Argonautów:

„Nie, mówi Nero, tak dumnie święcić może tylko głowa, z któréj strącono koronę, a gwałty losu zgniotły w niéj światło rozumu." Nero nie mógł zapomnieć téj postaci i puścił się w pogoń za tajemniczym, który wciąż znikał mu w tłumie. W miarę jak Nero i towarzysze podwajali kroki i pomrok też pośpieszał; wreszcie noc zapadła.

..... Ależ, na Hekatę,
Rzekł Nero, dziadek ma pięty skrzydlate!
Ba... on przebrany... Szczwaniec, szczwaniec młody
Na erotyczne puszcza się przygody.
Wtém, niby odprysk trzeszczącéj pochodni,
Błysnęło światło i ten błysk przechodni
Olśnił posępnie twarz wychudłą, płową,
Od trupiéj czaszki zimniejszą, widmową,
Jak Faraona twarz, kiedy zbutwiała,
Z grobu piramid wysiądzię na gruzy,
W których dwadzieścia stuleci przespała.

Nero odskoczył, jakby nastąpił na głowę Meduzy; ale cudowność nieodpartą siłą popychała go w ślady uciekającego trupa.

Pogoń za tajemniczym wywabiła naszych koczowników aż na południowy kraniec miasta, gdzie wznosiła się, a raczéj wrastała w ziemię, licha gospoda, z któréj wyzierające światełko nędznie mocowało się z blaskiem księżyca. Była to winiarnia Lokusty. Dopędzając tajemniczego z daleka, Nero wszedł za nim pierwszy do taberny, za Neronem Burrus i Tygiellin, łysy stoik wszedł ostatni. Starzec usadowił się w najcichszym zakątku gwarnéj gospody, Nero z towarzyszami zajęli kąt przeciwległy. Wtenczas to dopiero władca po raz piewszy spuszczając oko ze starca, rozejrzał się po tłumie. Był to tłum włóczęgów, brudna piana społeczności stołecznéj, ruja opojów, głupia, bezczynna, jak krocie robactwa, które się lęgnie w błocie plebejowskiém. Tam:

„Dziki gladyator, tu żołdak pijany,
Nautylus, niegdyś na falach odmętu
Zbójca, dziś sławny posiadacz okrętu,
A niewolnikiem na rynku frymarczy.
Śniady Egiptczyk z pod milczenia tarczy,

Łowiąc posłuchy, koczując po świecie,
W taniec zapędza gadzinę przy flecie."

Jest tam przybłęda z Anatolii, mistagog, zbierający pieniądze szalbierstwem, wróży, zamawia choroby, sprzedaje cuda, jad i eliksyry. Jest i greczynek, niegdyś wychowawca dzieci, wymowny, docinający żądłem, jak osa.

Ale królową salonu pijaków jest Lokusta, skrzętna, bezzęba kobiéta, obeznana nie z jednym sokiem, i to celniejszym, aniżeli ten płyn marny, którym raczy gości. I nieraz maska, lub welon tułaczy nawiedza czarownicę o saméj północy, wpychając w jéj trupią dłoń garść złota za szklącą się flaszkę i *za milczenie dozgonne*. I głuche błąkają się wieści, że dostojne żony i mężowie.... Lokusta w „Ahaswerze," stanowi ważną, zakulisową sprężynę.

Do gwarnéj już gospody zajeżdża nowy spóźniony przybysz: to Sakkus, szewc z Benewentu, typowa postać, przyszły mistrz obrzędów. Odprowadziwszy osiołka, na którym przybył, wpada nasz benewentczyk do winiarni; dostojni goście nie mogą się dosyć napodziwiać jego długich uszów, nóg jak wrzeciona, i beczki ciasta, którą natrętnie przypominała jego tusza niezmierzona. Następuje powitanie z Lokustą, pełne charakteru i dosadnéj humorystyki. Wszczyna się szynkowny traktat o rzeczach publicznych.

Nero pilnie nadstawia ucha.

„Jakże tam Roma?"
—Ot, tak, kubek w kubek,
Nie przymierzając, jak szewc z Benewentu:
Nóżki kurzemi kroczący kadłubek;
Dwie krople wody, Rzym, to brzuch pyzaty;
Wszystkie swe członki pozjadał z kolei.
Co prawda, po co mu te marne graty,
Gdy sute życie i bez nich się klei.
—Cóż robi Nero?
—Tak sobie: łby ścina,
Zwodzi kobiety, po igrzyskach lata,
Wina, muzyki, uczt sobie nie skąpi;
Nieraz publicznie ze śpiewem wystąpi,
Zadmie na flecie, jak pantomin stanie,
Albo woźnica w cyrkowym rydwanie.
„Co robi Nero" atożeś mi zadał;
Czy chcesz, abym płuca do rdzeni wygadał?"
— Tak, wtrącił drugi, ani ci się marzy,
Ile ten olbrzym sił w sobie kojarzy.
Masz w nim krwiożercę, hulakę, trefnisia,
Masz w nim Cezara; trapią go chwilami
Jakby nalotne, dziwne widzimisia:
Wtedy otacza się astronomami;

Gwiazdy przegląda, uczonych zaprząta
Krocią zagadnień. Niechże mu gwiaździarze
W słówku się zatną: to głowy ściąć każe.
— A jakie plany, przebąknął ktoś z kąta,
Jakie pomysły płodzi ten mózg gracki:
Słyszę, rozkopać chce przęsmyk helladzki,
Tuż pod mur Rzymu morze przyprowadzić;
Brnąć coraz głębszym fantazyi obszarem,
Chce dzieje światów w jeden stos zgromadzić,
I wiekopomnym związać sześciomiarem,
W epos olbrzymie.
—Błazen, pomruknął pedagog..
Błazen powiadam.
—Tak to, zjadliwie odpisnął greczynek,
Tak bywa, kiedy się jest Rzymianinem:
Wszak tu hetmani bywali chłopami!
Czyż nie bywali?
My, Grecy, my sami,
Lud bohatérów—
— O! światła czciciele,
Odparł szyderczo Nautylus, wy starzy,
Zawsze przed nami, wy zawsze na czele.
Wprawdzie Rzym pełen głodnych łachmaniarzy,
Którzy wciąż trąbiąc o helleńskim szczepie,
Choć gdzieś za Pontem wylęgli się w stepie,
Z pod stołów naszych ogryzają gnaty,
Zawsze to Grecy: co tam my Rzymianie!

Sprzeczka zatliła się, Sakkus łagodzi i pierwsze iskry zalewa sokiem Bachusa, przy którym wkrótce miał zostać Sylenem.

Sakkus ocala dobre imię Nerona. „Niepodobna, mówi, aby mąż z którego ust i piersi bucha prąd życia, miał bez ustanku, jak tłusty prokonsul, bujać się tylko w czworokolném krześle, lub jak dziś zwykli patrycyusze, na całą dobę topić wzrok i myśli w stolikach cyprysowych, albo w tui z Atlantu, śledząc, czy jéj słoje ścięły się w plamy, czy w tygrysie cętki, czy w promienie pawiego ogona."

Z dalszych pochwał lub docinków, podlanych kwaskowatą lurą, którą Lokusta śmiała nazywać nektarem, Nero dowiaduje się o sobie, że nić czarnoksięzka, na któréj Agrypina piękna ale władzy niesyta, trzymała dotąd syna, że ta nić naraz pękła i Nero jest wolnym, od chwili, jak czterdziestowiosenna, alę wiecznie młoda matka, umknęła z Rzymu do dziedzicznych włości. „Ale, dodaje Nautylus, jakbym wiedział, jeszcze ona wróci, bo umknęła z zemstą." Na to Sakkus:

„E! dajże pokój, czyż pod babią szatą,
Uleży tytan? czy dłoń, co dziś wszędzie,
Szczutki wszechświatu daje, cierpieć będzie,
Cień który obok śmiał stanąć?....

Tymczasem greczyn podchwytując, złośliwie dodaje:

—A przytém,
Mój Sakku, dodaj ów gorąco-krwisty,
Błazeński popęd do sławy *artysty;*
Który śmie pragnąć, by świat nie na żarty
Widział w nim mistrza i arcyśpiewaka.
A świat wié przecie, że to głos rozdarty,
Że arcyśpiewak po kruczemu kraka.“

Nagle przerwały się docinki greczyna. Na ciasném gardle poczuł on w jednej chwili żelazny uścisk: Nero dusił zjadliwego humorystę, gniótł Zoila prawdziwie po mistrzowsku, jak można pantera gniecie brytana, który ją oszczekał. Targa się greczynek, ale nie tak snadno wydostać się z uździenicy żył Nerońskich. Zapala się bójka powszechna w dymnéj gospodzie. Burrus i Tygiellin zmagają się z czernią, jak para bawołów, z psów sforami.

Nadbiega rozjemca, to Sakkus benewencki, ale nadbiega nie sam. Prowadzi on drżącą z przestrachu, młodziuchną, dziecięcą prawie Gadytynkę. Jéj imię Aktea, sierota po koczującéj tancerce hiszpańskiéj, którą wieść o bogatym Rzymie, znęciła do stolicy świata, oczarowała nadzieją zdobycia chleba matce i dziecięciu. Lecz matka, zaledwie przybywszy do Rzymu, umarła, zostawiając na rękach Lukusty dziecko i całą spuściznę: wypłowiałą tancerską sukienkę, wytkaną szklannym bisiorem.

Odciągnąwszy ją przemocą od trzonu, przy którym marzyła, wpatrując się w stos węgli, Sakkus wrzaskliwie wzywa do zgody. Wskazuje gościom zdobyte przy ognisku „złote runo.“ Jak tysiąc strzał do wspólnéj mety puszczonych, wszystkie spojrzenia utkwiły w róży Gadesu.

Cudownie odmalował poeta tę piękność poranną, w któréj oczach bezwiedna trwoga z nieskażenie dziewczęcą przejrzystością duszy zlewały się w przedziwną harmonią.

„Tańca! tańca!“ krzyczy pijana tłuszcza. Lokusta opiera się chwilowo, ale wszechmocny *nummus złoty* z wizerunkiem Cezara rozbroił sprzedajną bezzębę. Znalazła się i muzyka, śniady czarownik, pogromca wężów ujął flet podróżny. Na rozkaz Lokusty Aktea znika na chwilę, i wnet wraca w spadkowéj sukience ze szklannym bisiorkiem. Dosadnie opisanym jest taniec Aktei; taniec hiszpanki to jéj natura, taniec ona wysysa z piersi matki.

Aktea olśniła oczy i dusze. Oblegają dziewczę i ciągną dokoła. Najśmielszy porywa ją na ręce, jak Polifem boginią morza i pobladłą jéj twarzyczkę plami bydlęcą pieszczotą, brodą kudłatą. Krzyknęła dzieweczka; napróżno się szarpie i wysila po niedawném znękaniu w tańcu. Wtém pięść spada na twarz Polifema, czuć że ułożona z ręki poważnéj, to pieczęć Nerona. W jednéj chwili gołębica uleciała ze szponów jastrzębich. Ale teraz wszczyna się bój śmiertelny, już nie pięście, lecz czary, stoły, stołki i ławy spadają, łamiąc lub łamiąc się.

„Taką wściekłością wre pijacka sfora,
Ważą się losy wszechtryumfatora.
Widzisz tam w gąszczu śniadego Nautyla?
Łapą korsarską po dzban się nachyla;
W ramię celuje kamiennym taranem:
Chwila, a ramię to będzie strzaskaném,
Chwila—wyroczną tę chwilę człowieka
Przeciął wykrzykiem struchlały Seneka:
„Stój, stój! ty mierzysz do głowy Nerona!"
I dłoń korsarza, jak w głaz obrócona,
Martwo zawisła; w obec świętokradzcy
Stał mocarz ziemi, straszny, iskrooki,
Nieustraszony. W obliczu wszechwładzcy
Zdaje się, spokój prześwieca głęboki;
Spokój? a przecież nocni wojownicy
Czują w powietrzu przebieg błyskawicy;
Spokój? a przecież śmiejący w popłochu,
Lżyć piorun w maskę włóczęgi ukryty,
Teraz truchleją, strąceni do prochu,
Martwi, jak grobu granitowe płyty;
Licząc w pamięci docinki i brednie,
Które z nich wino wymiotło bezwiednie.

Sam tylko szewc z Benewentu nie traci odwagi; występuje z aktem poddania się na łaskę i niełaskę, oskarża jako główną sprawczynię szału, Lokustę, która zamiast wina uraczyła ich kisłą lurą. Ona więc zasługuje na śmierć, lecz jeśli dostąpi miłosierdzia, winna dać Akteę za małżonkę władzcy. Manewr poszedł pomyślnie, i paszcza tygrysia zamknęła się bezkarnie. Nero roześmiał się śmiechem homerycznym i rzekł: „W imię Gadytanki, którą jako małżonkę przyjmuję w podarunku, macie przebaczenie. Dziś ją poślubiam, obyczajem Rzymian; Lokusto! wolą jest moją, aby dziś płynęły strugi wina, Sakkus będzie mistrzem obrzędu."

Evoe! zagrzmiało w tłumie
„Niech żyje wielki mąż i Gadytanka!"
— A ona? grzmotem ogłuszone, biédne
Dziecię niedoli, ach! jeszcze bezwiedne
Śmierci dziewiczéj, spojrzeniem powleka,
Z tłumów na tłumy, po wrzaskliwéj scenie
Jak obłąkana—a wtém w jéj spojrzenie
Wdziera się postać strasznego człowieka.
Postać przedziwnie piękna, lecz straszliwa,
Groźba na ustach i szydercze piętno:
W oku blask życia, ten blask się rozléwa,
Spływa w jéj oczy, z żądzą tak namiętną,

Że krew, że dusza, jak trwożny gołąbek,
Zbiegły jéj w sercu pod najgłębszy rąbek."

Na cześć zaślubin rozpoczyna się prawdziwa uczta dla motłochu; wino, muzyka, tańce skoczków i skoczek, zgiełk i wrzawa bez końca, gdyż Nero nakazał, aby przed jego powrotem nikogo nie wypuszczono.

Nieruchomy w swoim zakącie, siedzi starzęc tajemniczy, jego to miał Nero na myśli, wydając nakaz.

Siedział tedy blady gość bez ruchu i mowy, bo ruch i mowa wpiły się jaskrawo w grę oczów, w czujność kędzierzawéj głowy.

„Żyd, żyd, krzyczano dojrzawszy go w ustroniu.

— Nie, to żebrak, krzyczano z drugiéj strony.

Hetery nawet drażnią go i targają spadającą na piersi brodę starca.

Lecz ktokolwiek spotka się z jego spojrzeniem, wnet odskoczy ze wstrętem.

„Twarz zagadkowa zdumiewa i drażni,
Coraz to nowym cudem przeobraźni:
Młodzian przed chwilą, utonął za chwilę
W siwéj starości, w zmarszczkach i bezsile.
A potém, jakby na pośmiech, zgarbiony
Zionął straszliwém obliczem Gorgony;
Któréj sam Nero uląkł się o zmierzchu.
Kiedy odskoczą strachem opętani,
Zda się, że słychać jak tam na dnie krtani,
Chrapią i chrapiąc prą z gardła do wierzchu
Śmiechy najdziksze, aż widmo się pieni
W spazmach chychotu, jak w kurczach szaleni.

Ukazuje się Nero z powrotem, zaprasza cały motłoch na ucztę wieczorną w pałacu Awentyńskim. Tłuszcza przyjmuje zaproszenie grzmotem: *Evoe Nero!* Wreszcie następuje spotkanie się Nerona oko w oko z Ahaswerem.

„.....I tylko jeden, jak mumia, spowita
W całun milczenia, siedzi na uboczu
Niemy Ahaswer.
—Cóż, Nero go pyta,
Drażniąc uśmiechem skamieniałość oczu:
Tyżeś to jeden, wrzawy i rozruchu
Nie chciał podzielić? Ach! milczący duchu,
Czy téż szaleńcze, bo i tego miana
Zdajesz się godnym"...
I w obec motłochu
Posąg milczenia otrząsnął się z prochu;
Powstał, czerń zdumiał kształtami tytana.

Tak! z gruzów starca, w których niby w grobie,
Próchniał przed chwilą, pochowany w sobie;
Tytan, lecz dumie tytańskiéj podoła
Nieustraszoność cesarskiego czoła.
— I któż ty jesteś, z samowładnym gestem
Nero zapyta:
— Zaprawdę, ja jestem...
Jestem ten, który chce umrzeć.
— Słyszycie?
Cha, cha! chce umrzeć... Słuchaj, a ja jestem,
Jestem ten, który chce żyć. Tak, mnie życie,
Mnie pcha bezsenna potęga żywota.
— A mnie bezsenna do śmierci tęsknota!
Lecz smierć, lecz nawet sen odemnie stroni!
Goniąc za śmiercią, otom w téj pogoni
Na Rzym nastąpił, na to zgniłe ciało,
Gdzie wiele, wiele na zgon już dojrzało;
Gdzie ja przez zbytek, zwodniczą krwi dzielność,
Czuję wiszącą w powietrzu śmiertelność,
Zniszczenie, które od nocy do świtu
Trawić go będzie aż do krańców bytu:
Bodaj z olbrzymem, stoczonym od dołu
I mnię powiodło się skonać pospołu.
— Dość, dość, znękany żywotem olbrzymie:
Słuchaj, (*z uśmiechem Nero mu odpiera*),
Sam ty doświadczysz, że jeszcze w tym Rzymie
Nie tak się nędznie żyje i umiera.
Razem, jeśli mi będziesz towarzyszem,
My, dwa bieguny: bezsenna tęsknota
Do śmierci, i prąd bezsenny żywota;
My się po falach czasu pokołyszem.
— Nie, mówi starzec, nie myślę ja wcale
Być towarzyszem, wspólnikiem w zakale,
Służalcem twoim: chcę, jak cień posępny,
Kroczyć przy tobie, ja, duch nieodstępny.
Dla ciebiem przyszedł do twojéj stolicy,
Nie ty, nie twoi płatni poplecznicy,
Starca ścigali wczoraj po ukryciach;
Nie: sam ty byłeś ściganém zwierzęciem,
Jam to cudowném wabił cię zaklęciem,
Zespolił ciebie na tajemnych niciach
Z mojém jestestwem.....
— Ty, potęgo mroków!
Czego odemnie chcesz?
— Chcę ci, Neronie
Pomódz w spełnieniu się twoich wyroków.
— Moich wyroków? Alboż to mi skronie

Zmarszczka pokrywa lub szron je ocienia?
— Neronie! blizką jest chwila spełnienia.

Pomijamy w niniejszym przeglądzie i najpiękniejsze obrazy, jakie poeta tu i owdzie rozsiewa po drodze, i posuwamy się w linii prostéj, główny wątek wskazującéj.

W awentyńskim ogrodzie Nerona poczyna się uczta. Ruch niesłychany, jakiego nie zapamiętają czarodziejskie zacisza Awentynu; wśród morza wonności, wśród lasu granatów, wśród gór fantastycznych, z których jak z purpury płaszcza cesarskiego, bujają się grona perłowe, już krociami roją się piérwsi gońcy stypy Bachusa. Czuć w powietrzu tę ciążę biesiadną, z któréj niebawem wypadną pioruny olympijskie; dziś bowiem nastąpić ma apoteoza.

Po korycie Tybru, wysłaném lawą promieni księżycowych, płynie flota prowadząca gości z najwyższych warstw patrycyatu; bo motłoch, zaproszony zeszłéj nocy w gospodzie Lokusty, już dawno przybył i snuje się po gajach wawrzynu. Po klombach, po bronzowych biustach, wannach i posągach, w kształcie wiszących girland, rozlewa się słońce nocy, lampy i pochodnie.

Wzdłuż i wszerz po parkach ciągną się namioty z płócien szkarłatnych, kobierce wełniane; bluszczami porośnięte groty, dziś odziane w purpurową poszewkę, wabią do wnętrza swego złotogłowiami i przepychem rozesłanych wezgłowiów; po jeziorach snują się stada gondol.

Już ucztowa osada wysiadła z łodzi, przebiega po obszarach kwiatu, przechodzi portyk przystrojony w wieńce, schody z porfiru wysłane pilśnioweni kobiercami a potém czarodziejski ogród pałacu; były to jakby owe legiony ptastwa, które, wyległszy z gąszczu w dobie wieczornéj, z pieśnią wędrowną słania się po świecie.

Stanęli wreszcie i w trwodze hołdu, czekają, jakiém słowem powitać ich raczy przyszły bogów pogromca. Nagle, na hasło rozlegają się dźwięki muzyki, harmonia zagrzmiała, zdumiewając przybyłych. Aż tu naraz przetwarza się cały portyk: z półkola wyrasta olbrzymia kaskada, rośnie, rozziewa się i z płuc swoich miota błyskawice. Tak to Nero olśniewał oczy i wyobraźnią gości szeregiem coraz nowych cudów, ale na sam ostatek zachował cud nad cudami:

„Patrz! patrz! z ukrytych kadzielnic puszczona
Mgławo powietrzna wzbija się opona,
Biała, pachnąca i w górze rozpina
Pomrok ruchomy, jak gęsta kortyna.
Teraz rozsuwa się wonna pokrywa:
Znikła—z pod włokien rozwianéj na fale
Chmurki złudzenia, powstaje na scenie
Dziw niepojęty i oczom zdumienie:

Dwór bogów świata w olimpijskiéj chwale,
Nito ogrody, nito pyszne sale,
Błoń wiekuista: na kwiatach ze złota,
Kwiaty ze złota utkane najszczelniéj;
Tam wśród wonności boskiego żywota,
W grupach cudownych goszczą nieśmiertelni."

Kiedy bogowie ucztują, kiedy krajczy Olimpu Ganimed i Hebe roznoszą im nektar i ambrozyą, w oddali słychać zgiełk i okrzyki. Zgiełk się przybliża coraz bardziéj, i wdziera się nawet do świętego zacisza. Był to zamach na wiekuiste „farniente" mieszkańców Olimpu, był to chór bachantów, z nowém bóstwem na czele: z Nero-Dyonizem.

Poeta ujął tu silną ręką pędzel klassyczny i utrzymał go przez cały obraz. Stoimy tu na samém jądrze świata mitycznego. W szalonym orszaku pędzą bachanci, pany, satyrowie; huczą tympany, grzmią kotły, rogi pod nadęciem ust grajków skręcają się i wiją, jak węże, na lwach, na rysiach kłusują menady, wcielone potęgi szaleństwa, tyrsami bodą potwory nagląc je do szybkiego pędu. Inne, jakby w gorączce obłąkania, skręciły twarze na ramię, wytrzeszczyły lśniące jaskrawa źrenice, zwijają się w locie, gną, kurczą się i łamią, porywają sarny, koźlęta i wilczyce, rozdzierają jeńców, zdartą z nich skórę wrzucają na burkę, a potém jeszcze z krwi nie ociekłe członki łupu rzucają po drodze, jak zgniłę korzonki warzywa. Orszak zbliża się do końca; gdzież jest główny bohater mitu? gdzież słońce biesiady?

„Baczność! powstanie i słońce powstanie:
Baczność! osnuty tłumy wrzaskliwemi,
W tryumfatorskim zajeżdża rydwanie
Pan na winnicach całokręgu ziemi,
Bacho-Djonizos, bóstwo kędzierzawe,
Lalka czupurna, z pogromną potęgą
Sklejona czułość, pół-dziewictwo mdławe."

Wóz płonący klejnotami i złotem, ciągną lwy, bujne, rosłe, złotogrzywe; po obu stronach rydwanu poważnie kroczą z pochodniami, słonie, w złocistych blachach, dysząc, a za każdém dychnięciem na ich piersiach kołyszą się szarfy. Dyonizos otulił się sutą oponą, żółtości szafranu; na skroniach miał wstęgę, w zgięciu pas przepyszny; przy nim siedzi na tronie wszechwładne świeżością bóstewko to dziecko aryadne, od wczoraj poślubiona Gadytanka, z wiankiem różanym w okół skroni. Daléj długim sznurem ciągną się satellici. Szewc benewencki był Sylenem płynącym na grzbiecie „swéj łodzi długo-uchatéj," Tygiellin był Pryapem, Lokusta była Hekatą.

Dyonizos, przyjęty przez tłum piorunującym „Evoe“ wyprawia posłów z orędziem do bogów olimpijskich. Smutne to było poselstwo. „Czasy Olimpu spełniły się, nadeszła chwila wcielenia się w czyn wyrocznych słów, któremi Prometeusz, przykówany łańcuchami do Kaukazu, odezwał się do Jowisza:

„Jak Uran ulegając sile przeznaczenia, ustąpił miejsca Chronosowi a potém Chronos Jowiszowi, tak dziś Jowisz niech ustąpi nowemu władcy.“

Potém następuje akt oskarżenia przeciw rządom starego Olimpu, a potém wyrok. Stary Olimp zchodzi ze stolicy, zostawiając godła władzy i szczątki nieśmiertelnéj uczty na pastwę nowego dziedzica i motłochu. Bogowie starego świata ustąpili z godnością, wzbudzającą cześć nawet w upadku. Juno, nierozbrojona z dumy królewskiéj, równie zachowała godność; Pallas, Minerwa, poczęta w bólach z czaszki Saturnina, tylko na liliowo nadobnych skroniach prześlicznéj Wenus rozsnuła się pierwsza w jéj życiu chmurka. Tłumy ze współczuciem spoglądały za odchodzącymi. A w jego sercu? .. O! i tam coś błysnęło: łezka krokodyla. Nero zasmucił się na wspomnienie, że z upadkiem Olimpu i „świat piękna“ pochylił się na otchłani.

Ale ten obłoczek rozpłynął się niebawem w potoku tysiącznych „Evoe“ okrzykujących ubóstwienie nowego Dyoniza, w blasku pachnących gierland i wieńców, spadających do stóp jego z rączek piękności rzymskich.

Na hasło dane przez niego, mrowie rzuca się na zdeptane ognisko pierwobogów, a potém uczta bez końca, którą zagaił Nero pierwszym toastem tryumfalnym na cześć „roskoszy życia i użycia.“ Wreszcie zaśpiewał dziki dytyramb, w którym wzywa do roskoszy; zapowiada nową erę ludzkości, ogłaszając siebie samego jéj słońcem.

„Jednak, mówi Nero, moje milennium nie będzie to złoty wiek Saturna, wiek mleka i miodu, lub żołędnego nektaru. Dziś trzeba nie ckliwéj idylli, dziś trzeba gry namiętności, nie śmiechów, lecz gwałtu i wściekłości; nie zefirka lecz uraganu. Trzeba szalonéj roskoszy, ale roskoszy bez końca.

„Myśli to mary; a czyny, to widma, spłodzone w obłąkaniu i niema świat bytu, prócz bytu roskoszy. Wszystko przeminie, wdzięki wygasną, puhary wyszumią i tylko jedno żyć będzie wiecznie, pragnienie ta beczka Danaid bez końca i śmierci.

„Czém był świat przeszły, czém był sam Olimp staroświecki? Patrzcie oto godło władzy Jowisza. Dziś jest on cackiem w moim ręku, i chyba przyda się na zabawkę dla gości:

...a przecież z téj pracy
Grot pomsty miotała prawica Kronida:
To piorun“

I Nero boskiego kołczanu
Rękami się chwycił; pod tkniętym piorunem
Mruknęło złowieszczo, na wycie orkanu
Zerwała się chmura i szarym całunem
Rozściela nad sceną; przez orkan, przez cienie,
Wciąż grzmiało, a grzmiało na jego skinienie.
Aż tłum niekłamanym otruchlał przestrachem.
„Widzicież, to wróżba, żem jednym zamachem
Zgniótł bogów, jak zgniotłem ich orły kaleki.
I władnę, sam władnę, i będę na wieki.
Umilkł lecz jeszcze czarnoksięskie cienie
Grzmiały, a grzmiały na jego skinienie."

Któż teraz waży się podnieść głos przeciw apoteozie nowego Dyoniza?

Hołdy motłochu i poniżonéj do równego z motłochem poziomu, optymacyi rzymskiéj, osobliwsza obojętność, z jaką samo fatum dziejowe przypatrywało się chorobliwéj swawoli szalonego pół-kata, półkuglarza, wreszcie nie chwiejąca się jeszcze tak naocznie, realna potęga, olśniły nietylko wyobraźnię Rzymian; olśniły one samego Dyoniza. Duch ten zwichnięty doszedł do téj słabości, do jakiéj dochodzi niekiedy oko człowieka w stanie wyjątkowym. Jest to psychiczna choroba dwojenia się w swojéj indywidualności, wśród któréj człowiek—*ja*, jak najwydatniéj odstawia od siebie człowieka-przedmiot. Na wzór reszty otaczających go czcicieli, Nero sam uchylił czoło przed Nero-Dyonizem.

Na tymto gorącym uczynku wewnętrznego rozstąpienia się schwytał Nerona jego demon prześladowczy: Ahaswer.

Jeszcze były nie zagasły połyski od błyskawic podrobionego piorunu, jeszcze biesiadnicy nie ochłonęli po mimowolnym dreszczu, kiedy po tłumie spłynęło nagle jaskrawe błyśnięcie, a potém łamać się poczęło i znika w pomroku.

Z pomroku wypływa napoły-trupia, żałobna wiedźma starości. Im jaśniéj świecą błyskawice Nerona, tém czarniejszą oponą otula się wiedźma; ale mroczejąc, rośnie, przerasta nad tłumem... Byłże to głos grozy Plutona, gromiącego świętokradzkie wyskoki fantazyi władzcy? Pobledli widzowie. Ale dla Nerona, dosyć było spojrzeć w oczy widziadłu. Zrozumiał. To żebrak tytaniczny, który wczoraj w jaskini Lokusty prześnił bezsennie noc całą.

„Tyżeś-to..... czarno-wróżbi ptaku,
Lotem znękany; tobie więc do smaku
Orgie młodości!... ależ zapomniałem:
— Tyś zaproszony, tak—duszą i ciałem;
Bywaj nam, bywaj; choć spłoszyłeś dziarsko
Okiem Nemezy zabawkę kuglarską.
Wiem, wiem, przychodzisz rzucić tu zarzewie,
Ogłosić światu nowe bezkrólewie;

Kości rodowa olimpijskich kości!
W mgłach tajemnicy, w przekleństwie i zgrozie,
Zamyślasz przeciw méj apoteozie:
Na gwałt uderzyć w imię potomności."

Ale tym razem Nero nie usłyszał odpowiedzi, Ahaswer znikł w tłumie, jak znika kropelka, rozpuszczona w płynie gron soczystych.

Nero puszcza się na wędrówkę po wawrzynowych gajach Awentynu. O chłodzie letniéj nocy księżycowéj, pod baldachinem granatów i laurów, przechadza się najpiękniejsza z pięknych: Poppea, wsparta na ramieniu męża, Ottona.

Otto, nieocenione ognisko owego typu przybyszowych pełzaczy, pochlebców, co to łaszcząc się okręcali po biodrach kolosu rzymskiego, wyczekując tylko na chwilę wstrząśnienia, aby wtenczas utkwić w nim żądło, skoro nastanie dzień rozproszenia kości Kwirynu" [1]).

....„Otto lis szczwany, gołąbek przed światem,
Sokół za światem, już flegmą łotrowską
Raźnie odchrząknął i w światłość pół-boską,
Na całe gardło wystrzelił wiwatem!"

Potulny blondynek aż do potów czoła wyczerpał całą mitologię na uwielbienie Olimpianina.

„Nie, władyko, ty nie jesteś Bachusem; ty plemię Urano-Chrono-Jowiszowe, ty nam dałeś Olimp, ty jesteś Jowisz Apollo!"

Było to naturalne wywzajemnienie się, bo Jowisz-Apollo już od kilku chwil ściskał białą, najpiękniejszą rękę, nie rękę Ottona! Poppea jest osobą historyczną, w *awentyńskiém* znaczeniu wyrazu. Po wiosennéj Gadytance, która w téj chwili bląka się kędyś po zaczarowanych gajach cyprysu, laurów i granatów i usta, odarte z świętości pocałunkami rozkosznika, kąpie w falernie, po Aktei, jest ona dziś królową gracyi. Szczęśliwy Otto, szczęśliwa Poppea; synogarlica, najzalotniejsza z kobiét siedmiogórnéj stolicy: patrz, spętała Herkulesa, który dziś nie może się napatrzéć jéj wdziękom, jéj oczom błękitnym, włosom bursztynowym; który po raz setny wzbijać się musi dla niéj w szlaki dytyramba.

Ale słusznie powiedział mocarz-artysta, że wszystko przemija I to „dzisiaj', niestety przeminęło dla Poppei, jak błyskawica. Bo oto nagle oznajmiają przybycie świetnéj gondoli. Cały tłum wylega na brzeg Tybru; wyprawione od gondoli poselstwo, zapytuje w pokorze „czy wielki Dyonizos przyjmuje dziś odwiedziny nie zaproszonéj biesiadnicy?"

— Przyjmuję, odpowiedział, przyjmuję nie zaproszoną, lecz nie bezimienną.

— Nasza królowa ma imię: bogini Roma! Bogini Roma pragnie powitać nowe bóstwo.

---

[1]) Wyrazy Horacyusza.

— Bogini Roma—odpowiedział— więc piękną być musi; niech bywa, niech bywa wielkoimienna.

I w jednéj chwili opadły na gondoli purpurowe żagle, z pod zasłony ukazują się wilki uprzężone w złote popręgi, po rosy brylantach, tratując wonne posłanie murawy, toczy się złoty rydwan bogini Romy. Zatrzymuje się przed Neronem.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Nowe dzieło Wiktora Hugo: Avant l'Exil.—Mowa akademicka: pochwała Lemerciera.—Listy Merimego do nowéj nieznajomej.—Pani Delfina Girardin, jako publicystka i poetka, przez Imbert de Saint Amand.—Konferencya pana Leonzon le Duc, o kobiétach skandynawskich i finlandzkich.—Sąd p. Cuviller Fleury, o korrespondencyi Stanisława Augusta z panią Geoffrin.—Obyczaje Bearnów, przez p. Raimond.—Czarownice z Bearnu p. Lespy.—Uroczystości pamiątkowe na cześć Chateaubrianda, Argota, Michała Anioła i t. d.—Pomnik wzniesiony we Florencyi Michałowi Aniołowi.—Obrazek dramatyczny, odegrany w paryzkiém Wodewillu: Madame Lilli, przez p. Marc Monnier.

Pod tytułem *Avant l'Exil*, Wiktor Hugo wydał w obszernym tomie wszystkie mowy swoje tak literackie jak polityczne z dziesięciu lat publicznego zawodu, od roku 1841 do chwili kiedy z ustanowieniem cesarstwa, na długo opuścił Francyą. Jest to piérwszy tom wielkiéj publikacyi, nacechowanéj po większéj części charakterem politycznym. Drugi tom *Pendant l'Exil*, nie wydany dotąd, obejmować będzie wszystkie odezwy wyrzeczone na obcéj ziemi, bądź na wyspie Guernsey, bądź w Belgii. Trzeci tom *Après l'Exil* zawierać ma publiczne przemówienia i proklamacye, słowem wszystko co wyrzekł poeta od powrotu z obczyzny.

Z pomiędzy licznych mów zawartych w piérwszym tomie, wyrzeczonych tak w izbie parów, jak w izbie prawodawczéj; pod sklepieniem pałacu akademickiego, jak nad otwartym grobem przyjaciół, najżywiéj zajęła nas mowa akademika, wypowiedziana przed czterdziestu czterema laty, kiedy Wiktor Hugo zajmował krzesło po Lemerciérze. Jak tu dziś mówić o rzeczy tak staréj? pytamy sami siebie, ale z drugiéj strony, jakże przemilczéć o niéj? To prawdziwe arcydzieło w swoim rodzaju. Widzimy tam Wiktora Hugo jakim był, nim mrzonki socyalistyczne porwały go na nowe drogi, nim jad nienawiści przepalił je-

go serce, nim wygórowana pycha doprowadziła go do ubóstwienia własnéj osobistości. Takim jak tam występuje Hugo, przetrwa on w literaturze francuzkiéj, przez długie wieki pozostanie jéj chwałą.

Tém śmieléj podnosimy jego akademicką mowę, że w chwili kiedy wyrzekł ją wielki poeta, lat temu trzydzieści cztery, Biblioteka nasza, młodziuchne jeszcze, ledwie zrodzone dziecię, nie zajmowała się wtedy sprawami francuzkiéj akademii. Kroniki utrzymujące ją w związku z ogólnym ruchem, powstały w dziesięć lat późniéj. Przepraszamy jednak za porównanie: Biblioteka nasza nie była nigdy niemowlęciem. Ona jak grecka Athene zrodzona w hełmie i zbroi, od piérwszéj chwili ocieniała puklerzem gród, który ją karmił i piastował. Wymownie pokazuje to szereg poważnych rozpraw z dziedziny historyi literatury i nauk ścisłych, zapełniający piérwszy rok jéj istnienia. Jeżeli cóśkolwiekbądź świadczy o duchu jéj młodzieńczym, to chyba owe siedemdziesiąt pieśni wyśpiewane przez nią w tymże roku. Te pieśni przecież, nie ubliżały w niczém jéj powadze, jak również nie ubliża jéj wszechstronnéj wiedzy, ta okoliczność, że do dziesiątego roku życia, nie mieściła ani paryzkich ni zagranicznych kronik. Mogłaż je mieścić wprzód, zaczém duch ludzki pędzony siłą pary i elektryczności, jął szukać w świecie całym odpowiednich sobie żywiołów?

Zobaczmy więc tę mowę wielkiego poety, wyrzeczoną na pochwałę Lemerciera, po którym obejmował krzesło. Wiktor Hugo przemawiał w chwili kiedy jako tryumfator w lat kilka po zwycięztwie, wchodził pod sklepienia, o które niedawno rozbijały się gromy przekleństw miotanych na szkołę romantyczną. Hugo wié, iż nie jeden z obecnych akademików, patrzy nań jak na burzyciela klassycznych tradycyi, że większość ich może jeśli dała mu miejsce w gronie swojém, uczyniła to jedynie pod naciskiem opinii publicznéj [1]). Jakaż to pokusa dla tryumfatora! wsparty potęgą opinii, jak łatwo mógł upokorzyć zawziętych a dziś milczących przeciwników! Nie korzysta on przecież z tak pomyślnéj sposobności, i tu właśnie okazuje się wyższym. Zamiast próżnych skarg, Hugo porywa odrazu myśl słuchaczy, pokazuje zkąd idzie, udowadnia że nie jest jakimś fantastycznym nowatorem, ale raczéj nieodrodném dzieckiem wieku swego. Nie wspomina on nawet imienia romantyzmu! odrazu prowadzi słuchaczów do źródła zkąd wytrysnął prąd myśli, który musiał odrodzić literaturę. Tém źródłem był najprzód wielki przewrot społeczny z końca zeszłego wieku, a następnie wielka epopea Napoleońska.

Hugo z całą potęgą wymowy podnosi bohatéra, którego imię tak było wówczas popularném we Francyi, którego prochy sprowadzone z po za dalekich mórz, znalazły pod kopułą inwalidów godny siebie grobowiec. Poeta, miłośnik antitezy, podnosi go tém wyżéj, aby z tém

[1]) Wiktor Hugo obrany był na członka akademii francuzkiéj w styczniu 1841 r., większością dwóch głosów: 18 było za nim, 16 przeciw niemu.

większą siłą uwydatnić postać innego męża, który śmiał wystąpić do walki z olbrzymem. Oto własne jego słowa:

„W początku tego wieku Francya dała narodom wspaniałe widowisko. Człowiek jeden zapełniał ją wówczas, a uczynił ją tak wielką, że zapełniła Europę. Ten człowiek zrodzony w cieniu, syn ubogiego szlachcica korsykańskiego, dziecko dwóch rzeczypospolitych: przez rodzinę rzeczypospolitéj florenckiéj, przez siebie rzeczypospolitéj francuzkiéj, doszedł w krótkiém paśmie lat do najwyższéj królewskości, jaką zapamięta historya. Monarchą uczynił go gieniusz, uczyniło go przeznaczenie, uczyniły go własne dzieła. Wszystko w nim znamionowało prawego spadkobiercę opatrznościowéj potęgi. Miał za sobą trzy najwyższe warunki: zbieg zdarzeń, uznanie jednomyślne, uświęcenie. Zrodziła go rewolucya, wybrał go lud, koronował go papież. Olbrzymią była jego wojenna chwała, olbrzymie też jego zdobycze.

„Każdego roku posuwał granice swego państwa, po za obręb wspaniałych a niezbędnych granic, jakiemi Bóg obwarował Francyą. Jak Karloman zniósł Alpy, jak Ludwik XIV obalił Pirenee. Pod tym człowiekiem Francya liczyła sto trzydzieści departamentów; jedném ramieniem sięgała ujścia Elby, drugiém trzymała Tyber. Czterdzieści cztery miliony Francuzów uważało w nim pana, sto milionów ludności europejskiéj miało w nim protektora. Zbudował państwo swoje w centrum Europy, jakoby warowną cytadelę; za baszty i podmurza dał jéj dziesięć monarchii, silnie połączonych z cesarstwem. Człowiek ten między jedną wojną a drugą, kopał kanały, urządzał gościńce, wyposażał teatra, wzbogacał akademie, dawał popęd odkryciom i wynalazkom, budował wiecznotrwałe pomniki, redagował kodeksa."

Ukazując tę tytaniczną postać, Wiktor Hugo dał wymownie poznać słuchaczom, że wiek który wydał takiego człowieka, musiał zamykać w łonie swojém posiew nowych idei, musiał jeżeli nie zerwać z tradycyą wiekową, to przynajmniéj wyrwać myśl ludzką ze starych krępujących ją więzów i pchnąć ją w nowe tory. W poruszoném do gruntu społeczeństwie musiała zrodzić się nowa literatura.

Wiktor Hugo nie zrywa jednak z tradycyą, przeciwnie uważa ją za kamień węgielny, na którym stoi naród. „Francya, mówi on, to nie jakaś kolonia zbudowana dorywczo, to nie Ameryka! Francya tworzy część Europy: nie zerwać jéj z przeszłością, jak nie zerwać jéj z ziemią własną!"

Obok Napoleona stawia mówca inną potęgę: Lemerciera, historyka, filozofa, poetę, słowem najgienialniejszego przedstawiciela ówczesnéj literatury. Kiedy wszystko kłoniło głowę przed bohatérem, Lemercier stał nieugięty. Zwycięzca który zniósł trzydzieści armii, nie zdołał go pokonać. Podnosząc ten niezłomny opór w wielkim pisarzu, Wiktor Hugo z pełném taktu umiarkowaniem, sądzi rozmaite pobudki jakie oddziaływały na współczesnych. „Niech mnie Bóg uchroni, mówi on, abym miał potępiać tych, którzy składali hołdy władzcy świata. Człowiek ten był słońcem w narodzie, cóż dziwnego,

że oczy ludzkie zwracały się ku słońcu! Azaliż nowe pokolenia mają prawo zarzucać ojcom ich uległość? Kto sam nie walczył, wolnoż mu wyrokować? Bądźmy sprawiedliwi tak dla tych, którzy skłonili czoło przed cesarzem, jak dla tych którzy ośmielili się stanąć przeciwko niemu. Zrozumiejmy zapał jednych, uczcijmy opór drugich!"

Piękna to osobistość ów poeta walczący przeciw olbrzymowi: wspaniale też występuje Lemercier pod piórem Wiktora Hugo. Mówca w kilku zarysach uwydatnia ten wielki charakter; pokazuje zewnętrzne wpływy jakie działały nań od młodu, i nadały mu tę posągową postać, jaką zachował w dziejach literatury współczesnéj. Wychowany na dworze Ludwika XVI, widział jak wieziono króla na plac egzekucyi; syn chrzestny pani Lamballe widział głowę jéj obnoszoną na włóczni po ulicach Paryża; przyjaciel Andrzeja Chenier widział go pod gilotyną. Wszystko to widział mając lat dwadzieścia! pod wpływem tych wrażeń, stał się poważnym, surowym i milczącym: takim zawsze pozostał.

Chciwy wiedzy poeta a zarazem myśliciel, chodził dzień w dzień na posiedzenia konwencyi. Zasiadał na ławie wśród tych ohydnych kobiét, które niewypuszczając z ręki drutów, piekielnym wrzaskiem potakiwały krwawym wyrokom i egzekucyom. Te kobiéty patrząc na zaniedbaną jego odzież, na wzrok bystro utkwiony w mówców, na gorączkowe ruchy, miały go za waryata. Raz gdy przyszedł późniéj niż zwykle, jedna rzekła do drugiéj: „usuń się, to miejsce idyoty!"

Wkrótce potém spotkał młodego artylerzystę z Tulonu, tak jak on nieznanego. Obaj równie ubodzy, uczuli ku sobie wzajemny pociąg. Kiedy pani Béauharnais umyśliła oddać rękę temu artylerzyście, pytała Lemerciera, co świat powie na tak nierówny związek? Lemercier radził, by szła za głosem serca. Obaj młodzieńcy razem dobijali się sławy: piérwsze ich tryumfy przypadły jednocześnie. Kiedy Bonaparte wygrał bitwę pod Arcole i Lodi, Lemercier zbierał oklaski za Agamemnona w sali teatru francuzkiego. Przyjaźń ich wzmacniała się z każdym rokiem. W obec naczelnego wodza armii egipskiéj, Lemercier czytał na zebraniu u Józefiny, tragedyą egipską *Ophis*. Za czasów konsulatu, poeta zwykłym bywał gościem w Malmaison. Nieraz gdy pisał późno w noc, piérwszy konsul z dziecięcą pustotą wpadał do pokoju, gasił świecę i uciekał zanosząc się od śmiechu. Ufny w kilkoletnią przyjaźń, dnia jednego powierzył poecie tajemnicę: postanowił zostać cesarzem. Lemercier uczuł w téj chwili że traci przyjaciela. Oddalił się z godnością.

Podczas gdy Napoleon przebiegał świat na czele zwycięzkich armii, Lemercier w głębokiém ducha skupieniu tworzył swoje poemata i tragedye, pisał historyczne i filozoficzne rozprawy, rzucając w świat tysiące nowych myśli i wielkich społecznych zagadnień. Wtedyto rozpoczęła się owa zacięta walka dwóch potęg, walka w któréj Lemercier jakkolwiek pokonany nieraz przemocą, nigdy jednak nie wypuścił z ręki oręża. W tych dziesięcioletnich zapasach, jak się wyraża Wi-

ktor Hugo, ubito pod nim pięć wielkich dramatów! Ledwie przedstawione na scenie, znikły z afiszu na rozkaz silnego pogromcy.

Poeta nie widywał cesarza. Razu jednego przecież, jako członek instytutu zmuszony był przedstawić się w Tuilleries. Było to w roku 1812, wkrótce po usunięciu z repertoryum jego tragedyi Kamilli. Gdy wszedł, Napoleon przystąpił wprost do niego:

— I cóż panie Lemercier—zagadnął—kiedy nam dasz piękną znów tragedyę?

Poeta utkwił w cesarzu wzrok przenikliwy.

— Wkrótce... czekam!—odrzekł spokojnie.

Prorocze te słowa zapowiadały Waterloo.

A jednak dawne uczucie dla Napoleona tlało potajemnie w sercu poety; z drobnéj iskierki wybuchło płomieniem w obec nieszczęść wygnańca. Śmierć ożywiała tém bardziéj drogą pamięć. Kiedy w roku 1840 rozeszła się po Paryżu wiadomość, że Anglia oddaje Francyi zwłoki cesarza, Lemercier chory już od pół roku, woła spiesznie o dziennik, żąda aby go na głos odczytano. Dziennik oznajmia że fregata wypływa na wyspę Św. Heleny, że generał Bertrand spieszy po zwłoki swego pana.

Stary poeta blady, drżący, powstaje z łoża co żywo, łzy wytrysły mu na oblicze.

— O! gdybym ja mógł—zawoła,—pospieszyć po konsula mojego! Umarł w tydzień potem, nie doczekał powrotu zwłok cesarskich.

Wiktor Hugo z miłością odmalował postać Lemerciera, z poszanowaniem wspomina jego niezliczone a tak wszechstronne prace literackie. I czemuż te tragedye, te poemata, owe historyczne i filozoficzne rozprawy, tak wysoko cenione przez współczesnych, tak potężnie wpływowe w swoim czasie, że odganiały sen z powiek Napoleona, dla czego pytamy to wszystko, znane dziś tylko uczonym z powołania? czemu ogół nie czerpie w tych bogactwach? Mówca odpowiada na to z całą delikatnością:

„Dwieście z górą lat temu, astronom Fabrycyusz odkrył na słońcu plamy, dwa tysiące z górą lat temu, grammatyk Zoil odkrył plamy w Homerze. Mógłbym i ja nie ubliżając pamięci poprzednika mego, do słusznych pochwał dołączyć małe zastrzeżenie, dla samego pożytku sztuki. Zatrzymam się jednak. To zastrzeżenie gdybym je uczynił miałoby na celu warunek, który w mniemaniu mojém, otwiera pisarzom wrota przyszłości: tym warunkiem styl piękny. Wolę milczeć, bo zresztą któż ja jestem? Kto mi dał moc rozcinać tak ważne pytania? Potomność tylko ma prawo krytyki i sądu, gdy idzie o ocenienie wyższych talentów. Przystałoż mi przemawiać w imieniu potomności? Aby czynić zarzuty takim ludziom, potrzeba być lub przynajmniéj mniemać się wielkim pomiędzy współczesnymi. Nie mam ani tak szczęśliwego przywileju, ani tak nieszczęśliwéj pretensyi!“

Jak wielka w tych słowach nauczka dla krytyków.

Oprócz mowy akademickiéj przy objęciu krzesła, tom *Avant l'Exil* zawiera jeszcze dwie inne. Obie wyrzekł Wiktor Hugo w roku 1845, jako dyrektor akademii: jednę w odpowiedź przyjętemu do grona, professorowi St. Marc Girardin, drugą słynnemu krytykowi Sainte-Beuve. Pierwszą z nich zakończa wspaniałą odezwą do literatów; te słowa dziś po latach czterdziestu, równie żywotne i znaczące jak w chwili gdy wyrzeczone zostały. Godzi się powtórzyć je i zapamiętać.

„Ludzie pióra! wy streszczacie w sobie zbiorową intelligencyą tłumów, wy jesteście czołem narodu! Jesteście żywém narzędziem niewidzialnéj potęgi duchowéj, strasznéj, żadną nie powstrzymanéj siłą. Aby nieprzepomnieć nigdy jak wielką odpowiedzialność wasza, zważcie jak potężnym wasz wpływ na drugich. Patrzcie na ojców, obliczajcie co oni uczynili; ojcami bowiem waszemi wszystkie geniusze, które od trzech tysięcy lat prowadziły naprzód lub wiodły na bezdroża, oświecały, albo wtrącały w obłęd rodzaj ludzki. Patrzcie na owoce zrodzone z ich posiewu. Homer stworzył więcéj niż Achilesa, on stworzył Aleksandra Wielkiego. Wirgilli uspokoił Italią po długiém pasmie walk domowych; Lukan odpędzał sen z powiek Nerona, Tacyt uczynił Kapreę pręgierzem Tyberyusza. W średnich wiekach Arystoteles panował nad umysłami, późniéj Cerwantes zniweczył rycerstwo, Molier poprawił szlachtę i stan mieszczański, Kornel zaprawił rozum francuzki, rozumem starożytnych Rzymian. Kiedy pytano Fryderyka II, którego z królów lęka się w Europie? odpowiedział: króla Woltera! Literaci XVIII-go wieku podkopali dawne społeczeństwo, literaci wieku XIX-go, mogą wzmocnić nowe lub wstrząsnąć niém w posadach. Wszędzie i zawsze ci wielcy marzyciele zwani filozofami i poetami, łączą się z życiem powszechném, z każdém tchnieniem ludzkości. Myśl tchnieniem jest tylko, lecz tchnienie to porusza świat do gruntu.“

Podnosi daléj Hugo wielkie powołanie ludzi pióra, pokazuje konieczność wytrwałéj, mozolnéj, nieustającéj pracy, oznacza dwoisty jéj kierunek; pracą niechaj pisarz zdobywa wiedzę, bogaci umysł; inną pracą tajemniczą, wewnętrzną, niechaj uzacnia serce, odradza duch, podnosi go w nieskończoność. Oto ostatnie słowa.

„Czy to przedstawiacie w teatrze, dla nauki tłumu, bądź z komicznéj, bądź z groźnéj strony, potrójną walkę charakterów, namiętności i zdarzeń, czy to w historyi, pochyleni nad księgą, śledzicie pilnie, jaka idea kiełkuje pod każdym czynem ludzkim; czy to w poezyi, przelewacie duszę własną w dusze braci: w każdém słowie i w każdéj pracy odnoście wszystko do Boga! Niechże tak samo w waszéj intelligencyi jak i w świecie stworzonym, wszystko rozpoczyna się w Bogu! Wierzcie w Boga jak wierzą kobiéty i dzieci. Niech ta wielka a prosta wiara stanie się kamieniem węgielnym wszystkich dzieł waszych. Sam tylko Bóg daje geniuszom te połyski prawdy, które was porywają. Wiedzcież o tém wy myśliciele! Od czterech tysięcy lat mądrość ludzka

nic po za Nim nie wynalazła. Jeśli niekiedy w ciemnéj i nieprzedartéj sieci owych teoryi filozoficznych, które człowiek wymyślił, promienieją tu i owdzie prawdy wieczne, nie wnoście ztąd że te prawdy zrodzone z owéj filozofii. W podobny błąd wpadłby zaprawdę ten, kto spostrzegając gwiazdy z po za drzewa, chciałby dowodzić że to kwiaty wykwitłe z tych czarnych konarów."

W mowie wyrzeczonéj w dniu, kiedy Sainte-Beuve obejmował krzesło po Kazimierzu Delavigne, Hugo z nieporównanym wdziękiem kreśli w kilku rysach obraz ulubionego śpiewaka *Messinianek*, słodkiego lirnika, który pieśnią opłakiwał klęski Francyi.

Radosny z jéj tryumfu, jéj żalem zbolały,
Me troski i pociechy składam u jéj nóg;
Pieśnią chcę uczcić dni minionéj chwały,
Łzą w dni boleści spłacić serca dług.

„Żył on i dumał na ustroni—mówi Hugo—kochał swoje pole, swój ogród, swój domek; patrzał z zadowoleniem, jak słońce majowe rozwija z pączka jego róże, jak słońce wrześniowe uzłaca jagody winogradu. Ogrzewał serce w kółku rodziny i przyjaciół, przy kołysce dziecięcia. Dusza jego pragnęła ciszy. W samotności tworzył te poemata, któremi poruszał potém serca tłumów. Wszystkie też jego tragedye i pieśni, zrodzone pod wpływem głębokiego skupienia, uwieńczone tak wielkiem powodzeniem, zachowały dla każdego kto je czyta z uwagą, nieporównaną świeżość! Żył zarazem dla kraju i dla rodziny, podwójny tu otrzywał wieniec: jako poeta zdobył sławę, jako człowiek, szczęście przy domowém ognisku."

Sława zakołatała sama w jego progi; zobaczmy jak Hugo opisuje tę chwilę.

„Upadł olbrzym: upadek jego zdał się być upadkiem Francyi. Klęska była stanowcza. Dzień jeden wszystko zniszczył. Rzym nowoczesny jak niegdyś starożytny Rzym, stał się pastwą północnych plemion. Armie Europy wkroczyły do stolicy świata. Proporce dwudziestu narodów powiewały na placach. Wszystko to widziały nasze oczy; mężowie ze zgrozą patrzyli na ten obraz, dzieci z bolesnym podziwem.

„Upokorzenie było straszne. Francya z głową pochyloną, niby milcząca Niobe, płakała nad niedolą synów własnych. Pod okiem jéj, o cztery dni zaledwie od Paryża, padły one gwardye dotąd niezwyciężone, które przypominały światu przesławne rzymskie legiony. Mężni polegli zgonem bohaterskim, nikt nie śmiał wspomnieć nawet ich imion. Gród milczał; z piersi żadnéj nie wydarła się skarga, z ust nie zbiegło słowo pociechy. Rzekłby kto że naród wstydził się chwały własnéj.

„Nagle wśród téj głównéj ciszy, ozwał się głos nieznany, i przeniknął na wskroś zbolałe serca, rzewną, pełną miłości pieśnią. Ta pieśń, wyśpiewana na cześć pokonanym, rozbudziła nieporównany za-

pał. Francya podniosła głowę. Młodzian dotąd nieznany stał się narodowym poetą. Powiedzmy z chlubą; nazajutrz po dniu, kiedy Francya zapisała w dziejach żałobny wyraz *Waterloo*, wyryła w księdze narodowéj swéj chwały, imię Kazimierza Delavigne.

„I któryżby człowiek geniuszu—woła Hugo—nie oddał wszystkich arcydzieł, wszystkich wieńców, gdyby mu dano wzruszyć serce Francyi zbolałéj i zrozpaczonéj. Słuszna pozazdrościć takiéj chwały poecie! Szczęśliwy syn o którym powiedzą: on był pociechą matki! szczęśliwy poeta gdy przyszłość powie o nim: on pocieszył swój naród!“

O! i czemuż, zapytamy, Wiktor Hugo potężniejszy od Delavigna, nie umiał pocieszyć narodu swego, gdy w czterdzieści lat potém, zbolała Francya, znów jak żałosna Niobe, zapłakała nad dolą nieszczęsnych synów? Dlaczego *Rok straszny*, mimo tylu połysków genialnych nie spłynął rosą ożywczą na poranione serca? Dlaczego?... Bo więcéj w nim przekleństw niż słodkich słów otuchy, więcéj jadu nienawiści, niżli kojącego balsamu. Hugo nienawidził za miliony, pytamy ażaliż ukochał za miliony?

I cóż sprawiło, że ten którego w piętnastym roku życia zwano *Enfant sublime* (szczytnem dziecięciem), który w młodzeńczych latach, siłą geniuszu zbudował nową szkołę poetyczną, któréj dobiegłszy lat męzkich, okryty wieńcami wkroczył zwycięzko w progi akademii francuzkiéj, niby tryumfator w progi Kapitolu, i cóż sprawiło pytamy, że ten wielki szermierz pióra, po czterdziestu leciech pracy niezmordowanéj, po dwudziestu leciech tułactwa, stracił dawny urok w narodzie? Dlaczego w tém gorącém sercu szał nienawiści zmącił przeczyste źródło natchnień? Odpowiedź na to łatwa: wieńce zdobyte na Kapitolu, zwiędły na Forum, pod palącém tchnieniem namiętności politycznych. Książka którą mamy pod ręką, wymownie o tém świadczy.

W obszernym wstępie pod tytułem: *Le Droit et la loi* (*prawo i ustawa*) Wiktor Hugo określa własny program: *Pro jure contra legem*, zapisał na swym politycznym sztandarze. Pod tém hasłem postanowił, jak mówi, bronić praw Bożych, przeciw ludzkim ustawom. Porwany szałem dyskussyi, chłostany strzałami przeciwników, unosił się częstokroć zadaleko; jak lew najeżał grzywę, pokazywał kły i pazury. W humorystyczny sposób przedstawia poeta owe zacięte szermierki parlamentarne, owe zniewagi jakie co dzień go dotykały. Posłuchajmy go tylko. Nie przemawia od siebie, ale w osobie trzeciéj.

„Dnia jednego w lipcu 1851 roku, zapowiedział z trybuny zamach Ludwika Napoleona, że prezydent pragnie zostać cesarzem. Głos jeden zawołał:

— Jesteś bezczelnym potwarcą!

„Innym razem kiedy powstawa przeciw deportacyi, przerwano mu w ten sposób:

— Ktoby powiedział że ta mowa kosztuje Francyą dwadzieścia pięć franków (dieta deputowanego).

„W dniu kiedy rzucił z trybuny słowo dotąd nigdy nie zasłyszane: *Stany-Zjednoczone Europy*, pan Mole podniósł oczy ku niebu, powstał, przesunął się wolnym krokiem przez salę, skinął na większość aby wyszła z nim razem. Nikt nie wyszedł, powrócił oburzony.

„Niekiedy krzyki i śmiechy, trwały cały kwandrans. Orator wystawiony na pociski stał przyparty do muru plecyma. Czekał w milczeniu rychło burza przeminie.

„Przeciwnikom nie brakło werwy: pociski szły *crescendo*.

— Nie mówisz pan po francuzku! zanieś to do repertuaru teatralnego! Oszust! kusiciel! apostata! renegat! pijak krwi! zwierz dziki! poeta [1]).“

Poeta! w tém może główna wina Wiktora Hugo. Przywykły gonić za ideałem na polu sztuki, pragnął on realizować na ziemi, pomysły wyobraźni własnéj. Spotkał rzeczywistość, spotkał ludzi mieniących się praktycznymi; walka musiała być zaciętą, tém zaciętszą że poeta naprzód jako par, późniéj jako deputowany, otrzymał od narodu mandat, upoważniający go do realizowania swych ideałów. na drodze ekonomicznéj i politycznéj. Ten to po dwakroć dany mandat zaszkodził poecie; powołał go do walki na obcém, niewłaściwém mu polu; przepełnił goryczą jego duszę, a jeżeli bądź co bądź, nie odebrał twórczego polotu jego skrzydłom, sprawił jednakże, iż w obec klęsk narodu, Wiktor Hugo nie mógł stać się pocieszycielem ziomków, jak nim był w swoim czasie niższy talentem Kazimierz Delavigne.

Mania wydawania korrespondencyi zmarłych autorów, doszła dziś we Francyi do prawdziwéj śmieszności. Otóż mamy znowu tom listów Prospera Merimego, pisanych do *nowéj nieznajomej!* Nie wspominalibyśmy o nich, bo w rzeczy saméj niema w nich nic, oprócz salonowych dowcipków i plotek; że jednak te listy pisane do Polki, rzućmy na nie pobieżnie okiem.

Jeżeli w dawniejszéj korrespondencyi z pierwszą nieznajomą, trzy czwarte listów zamieszczone tylko dla powiększenia dzieła, zasługują na usunięcie; w tych które mamy pod ręką, należałoby usunąć jeszcze więcéj. Z czterdziestu dziewięciu, przytaczamy oto jeden na próbę:

„Jutro jeśli będzie pogoda, złożę ci pani moje hołdy. Będę z doktorem N. na śniadaniu u G., potém zajrzę czy pani jesteś w domu. Łączę zapewnienie wysokiego szacunku.“

Że Merimée napisał taki świstek, nie dziwimy się ani gorszymy tém bynajmniéj; ale że wydawcy potrafili zapełnić nim dwie stronnice książki, to w rzeczy saméj rzecz godna podziwienia. Tak jednakże jest: kto chce niech się przekona na stronnicy 223 i następnej!

---

[1]) Do tych pocisków mógłby poeta dołączyć jeszcze jeden, rzucony mu o wiele lat późniéj, z daleka, i to przez poważne usta professora i członka akademii: *kłamiesz jak pies!* Nie chcemy utrzymywać aby gniew polskiego krytyka miał być bezzasadnym, utrzymujemy tylko że wyrażenie było nieprzyzwoite.

Nie wiemy jak wydawcy wyszli na téj publikacyi, ale jeśli kto stracił na niéj, to bez wątpienia pierwsza *nieznajoma*. Wyobraźmy sobie tę nową Beatryxę, przekonaną że ona sama przez lat trzydzieści z górą przewodniczyła Dantemu w jego pozaziemskich peregrynacyach, że ona sama prowadziła go to w czarne otchłanie Erebu, to znów w promieniste wyżyny niebios; wyobraźmy sobie tę Beatryxę, zatartą w obec świata (dla którego imię jéj nie jest zapewne tajemnicą) przez inną, młodszą i ponętniejszą czarodziejkę!

Porównajmy daty, a zobaczymy że tego samego dnia, kiedy sześćdziesięcioletni zakaszlany Lowelace, wyprawiał strzeliste affekta do Londynu, gdzie przebywała pierwsza nieznajoma, tegoż dnia, do *kraju śniegów, wilków i niedźwiedzi*, śle w trop za drugą niemniej palące strzały. „Nie mówię nigdy o tobie, lecz myślę bezustanku, czytamy w jednym z listów, nie mówię, bo miałbym zbyt wiele do mówienia. Przestraszasz mnie czasami! Nie czuję się dosyć filozofem, abym cię miał bez obawy pokochać, lubo serce skłania się ku temu. Wolę widzieć w tobie czarodziejkę, co mi olśniewa oczy niby cudowne zjawisko..... Cesarz zaszczycił mnie wczoraj orderem; przysłałaś mi stokroć milszą dekoracyą! pozwól ucałować tkliwie maleńką rączkę co zerwała ten kwiatek!“

Kto jest ta nowa nieznajoma? nazwisko jéj nie wymienione w księdze, i my go téż nie wymieniamy. Bardzo to jednak przezroczyste *incognito*; wiemy że korrespondentka jest Polką, że mieszka, to jest że ma dobra na Podolu, zwane *Czarnym Ostrowem*, że zimę przepędza w Paryżu, Nicei lub Rzymie, lato u wód i kąpieli morskich, jesień u dworu w Compiegne; że krąży po świecie niby lotna jaskółka, a czasami nawet zabłąka się i do tego Czarnego Ostrowia, pełnego wilków i niedźwiedzi!

Bliższe stosunki akademika z tą nieznajomą, zawiązały się w Biaritz. Tam cesarzowa Eugenia, na wzór Klemencyi Izaury, odnowiła sławne igrzyska kwiatowe, przezwane inaczéj *Cour d'Amour*. Prezydentką owéj akademii mianowano hrabinę ***, (nieznajomą), sekretarzem zaś Merimego.

W jaki sposób odbywały się te igrzyska, niewiadomo, gdyż w listach rozpoczętych r. 1865 został w nich tylko tytuł prezydentki, powtarzany w każdym na początku. Z tego jednak co mówi złośliwy akademik, o pięknych paniach składających dworskie grono, sądzimy że to była salonowa parodya. „Jakkolwiek, pisze on, nienawidzę *niebieskich pończoch* (*basbleues*), żal mi jednak że panie nasze, nie wdzieją choć lekko błękitnawych. Jeśli usuniesz z rozmowy naszéj politykę, literaturę i plotki, tych bowiem unikają w Biaritz, zobaczysz sama że nam brak częstokroć przedmiotu do rozmowy.“

Trudno jednak brać na seryo słów Merimego. Szydzi on ze wszystkich, nie przebacza samemu nawet cesarzowi, choć schyla przed nim czoło. „Za godzinę, pisze, idę złożyć hołd autorowi Cezara. Książka wprawia w kłopot tych, którzy chcieliby ją krytykować. Utrzymu-

ją że zbyt uczona dla nich; mówią że sąd o niéj, należy raczéj do akademii napisów, niż do akademii francuzkiéj. Są tu jednak piękne ustępy: dziwię się téj głębokiéj erudycyi; wyznaję że przeszła wszelkie oczekiwanie. Żałuję tylko że autor nie posłuchał rady mojéj: czemu nie skomentował po prostu komentarzy, a nie zostawił pedantom tekstów i rozpraw nad pytaniem, jak Rzymianie kładli szlafmycę."

W kilka dni dodaje znowu: pracuję nad artykułem o drugim tomie Historyi Juljusza Cezara. Pojmujesz jak muszę lawirować między skałami, żeby nie pokazać się ani dworakiem ani téż buntownikiem. Pociesza mnie to tylko, że autor nie będzie czytał mojéj pracy, ma on dziś inne koty do czesania."

Zobaczmy teraz jak Merimée ocenia naszą literaturę.

„Siostra twoja, pani, przysłała mi broszurę Markiza de Noailles o poezyi polskiéj. Rzecz zgrabnie obrócona, ale widzę z niéj że nie macie wcale oryginalnéj poezyi. Wasi poeci kopiują Greków albo biblią, częstokroć pierwszych i drugą razem. Czy przebaczysz mi gdy powiem, że stare ballady serbskie zachwycają mnie bardziéj. Prawda że poezya tłumaczona prozą, zupełnie tak wygląda jak ładna kobiéta w habicie kapucyńskim. Jeszcze kobieta łatwiéj się wykręci, to podniesie rękawy, to otworzy suknię; gdy tymczasem proza rzuca ciężki płaszcz na najpiękniejsze kształty."

Hrabia de Noailles, mówi w broszurze swojéj o Kochanowskim, o Mickiewiczu i Zygmuncie Krasińskim. Kochanowski współczesny Ronsarda, musiał naśladować Greków, inaczéj nie byłby poetą wieku swego. W trenach jednak zupełnie był oryginalnym, a tych przecież nie pominął p. de Noailles. W Mickiewiczu zaś i Zygmuncie, jeśli Merimée dopatrzył naśladownictwo, to jedynie skutkiem złéj woli. Niedawno oto i pan Leger nazwał ich bajronistami!

Wkrótce potém otrzymuje akademik inne dzieło Markiza, niewątpliwie Historyą Henryka Walezego. „Książka ta, pisze w liście, zajmuje mnie i bawi. Wybornie obmyślana, jednę ma tylko wadę, któréj pani zapewne nie poganisz: zanadto tchnie polskością. Co do mnie, wiesz że jestem kozakiem!"

Jeśli Merimée tak pochopnie zarzuca drugim brak oryginalności, sam za to szuka jéj aż do zbytku. Zważmy sąd jego w przedmiocie lingwistyki: „X. śmiał się ze mnie, gdym utrzymywał że język litewski jest dyalektem słowiańskim. On dowodzi że to język całkiem odrębny. Oto zmuszony byłem odwołać się do wielkich powag, Maxa Müllera i t. d. Język litewski jest dyalektem słowiańskim działu wendyckiego. Najpodobniejszy on do sanskrytu z pomiędzy języków europejskich."

Max Müller zdziwi się zapewne że powagą jego imienia, Merimée zasłania swe dziwaczne wywody. Uczony professor z Oxfordu, łączy bez zaprzeczenia język litewski do języków aryjskich, i wykazuje pokrewieństwo ich w obec innych gałęzi mowy ludzkiéj. Nigdy przecież nie utrzymywał, jakoby język litewski był prostém narzeczem słowiańskiém.

Nieprzebłagany szyderca, Merimée, śmieje się ze wszystkiego, nawet z życzliwości sąsiadów okazywanéj mu w chorobie. „Poznałem się, pisze z Cannes, z piękną sąsiadką, zobaczysz pani w jaki dziwny sposób. Dla zabicia czasu, pisałem artykuł o Puszkinie, miałem z sobą jeden jego tom, trzeba mi było innych. Proszę więc przyjaciela, aby mi dostarczył ulotnych pieśni, które niewątpliwie każda rodaczka poety musiała przywieźć z sobą w podróżnym mantelzaku. Tegoż dnia sąsiadka moja pani W. przysyła mi wielki pakiet. Czy zgadniesz pani com tu znalazł? oto ogromne dzwono jesiotra i kilka jarząbków z nad Wołgi, świeże zupełnie, jak widać przysłane telegrafem. Oceniłem bardzo ten posiłek dla ciała, ofiarowany mi w miejsce pokarmu duchowego. Sąsiadka moja piękna. Jeśli nie przyślesz mi bardzo gorących słówek, gotów jestem zakochać się w niéj zaraz. Widzisz co to jest zostawiać swego sekretarza tak długo bez pociechy, a co gorsza wystawionego na tak wielkie pokusy gastronomiczne.

„Zazdroszczę ci pani, mówi daléj, że jedziesz do Neapolu: to najpiękniejsze z miast włoskich. Spodziewam się że wezuwiusz wyprawi ci fajerwerk na powitanie. Tylko nie zbliżaj się zbytecznie do krateru: tu atmosfera siarki nadzwyczaj obrzydliwa. Jeśli to prawda że djabeł nią otoczony, wartoby uciec przed nim do raju, mimo nudnego towarzystwa, jakie tam można spotkać.“

Pessymista patrzy na wszystko przez jakiś czarny pryzmat. W chwili gdy Paryż błyszczy tak jasno podczas wielkiéj wystawy, Merimée nie złudzony tym blaskiem, widzi piorun wzbierający w dalekiéj chmurze. „Paryż nudny i smutny, pisze przy końcu lata. świat piękny się rozjechał, przemysłowcy spuścili nos na kwintę. Wszyscy się trwożą, sami nie wiedzą czego. Taką sensacyą sprawia muzyka Mozarta w chwili kiedy Komandor wystąpić ma przy uczcie. Bismark który jest Komandorem, nie ukaże się zaraz, wieści o rychłéj wojnie są bez podstawy, a jednak duszno tu jakoś, wszyscy rozstrojeni, jakby w oczekiwaniu katastrofy. Słowem wszyscy głupi i znudzeni, nie ma na to lekarstwa.“

Taką to cmentarną piosenkę, złowrogi puszczyk pokwila tryumfującemu w te czasy Paryżowi!

Że wydawcy ogłosili te listy, łatwo nam to zrozumieć: imię Merimego mogło być ponętą dla chciwych wrażeń czytelników, smakujących w soli i pieprzu. Trudno nam tylko pojąć, co skłoniło korrespondentkę do pozwolenia na taką publikacyą. Zobaczmy oto komplementa, jakie prawi jéj co chwila stary cynik: „Najważniejszem dla mnie pytaniem jest dziś fryzura twoja, miła prezydentowo: pozwalam ci nosić suknie, kapelusze jakich wymaga moda, ale nie szpeć przynajmniéj głowy, którą otrzymałaś od Boga w darze. I tak ona dosyć już wielka, skoro mieści w sobie tyle kokieteryi, nie powiększajże jéj naśladując włosami czapkę baszibuzuka.“

W innym liście pozwala sobie jeszcze więcéj: „Pani nadzwyczaj miła, podobna do ciebie z wielu względów, tak jak ty kokietka, rada-

by zarówno podobać się pierwszemu lepszemu psu, byle nosił kapelusz na głowie, jaki najpiękniejszemu i największemu z ludzi. Rozumna, piękna, wesoła, czaruje mnie, ale nasze atomy haczykowate, jakoś do siebie nie przystały. Brak jéj czegoś co się wypowiedzieć nie da, a co sprawia że cię tak kocham."

Czyż pytamy, kobiéta, która zachowała uczucie godności osobistéj, pozwala pisywać do siebie takie listy; czyż ogłasza drukiem podobną korrespondencyą?

Z téj sfery tak pożioméj podnieśmy oczy wyżéj. Inaczéj przemawiają do nas inne listy, które także mamy pod ręką, pisane do jednéj z najwyżéj utalentowanych i najsilniéj wpływowych kobiét tego wieku, pani Delfiny Girardin. Wydał je niedawno Imbert de Saint Amand, a raczéj dołączył je do ciekawego studyum, nad pracami téj niepospolitéj autorki. Są to listy Lamartina, Chateaubrianda i panny Rachel. Z pierwszym łączyła ją trzydziestoletnia przyjaźń, z ostatnią praca artystyczna na jednem polu; panna Rachel grała rolę Judyty i Kleopatry w dwóch tragedyach znakomitéj poetki, co tém większe zapewniało im powodzenie.

Postać pani Girardin świetnie odbija w literaturze francuzkiéj z pierwszéj połowy XIX wieku. Talent jéj nie zgasł bynajmniéj w obec geniuszu Wiktora Hugo i Lamartina. Wszystko cokolwiek wybiegło z pod jéj pióra, zacząwszy od pieśni ulotnych i powieści, do dramatów, komedyi i dziennikarskich kronik, wszystko nosi cechę prawdziwéj wyższości umysłowéj. Miłość i cześć powszechna jaką umiała sobie zjednać, nie mniéj chlubnie świadczy o zaletach jéj serca.

Poetka wzrosła od dziecka otoczona literacką atmosferą. Matka jéj Zofia Gai, ulubiona powieściopisarka z czasów restauracyi, kobiéta pełna życia i rozumu, o któréj Lamartine wyraża się, że miała dość promieni aby oświecić dziesięć salonów i tchnąć ducha we wszystko co ją otaczało, kochająca ta matka wykształciła umysł córki z najtroskliwszem staraniem. Skromny, ubogi nawet dom pani Gai, ściągał do siebie wszystkie znakomitości świata paryzkiego. Złotowłosa Delfina, słynna zarówno z piękności jak talentu, prawdziwą była ozdobą tego sanktuaryum.

W ośmnastym roku życia zasłynęła jako poetka: pierwsze jéj wystąpienie, stało się dla świata paryzkiego prawdziwą niespodzianką. Było to w roku 1822 w salonie sławnéj pani Recamier, w obec królowéj szwedzkiéj i pierwszych literackich znakomitości. Mówiono o nowo pojawionych poezyach Sonmeta: gospodyni domu prosiła pannę Gai, o odczytanie celniejszego ustępu. Delfina powtórzyła cały z pamięci.

— Żądaj pani niech powie coś swojego—szepnęła matka do ucha gospodyni.

Ulegając ogólnym prośbom, poetka drżącym głosem wypowiedziała śliczny poemacik: *Poświęcenie siostr świętéj Kamilli.* Salon

zatrząsł się od oklasków. Wkrótce potém tenże poemacik posłany do konkursu zjednał autorce zaszczytną pochwałę akademii. Odtąd pieśni Delfiny przebiegały z rąk do rąk. Wydrukowane w zbiorze pod tytułem *Próby poetyczne*, wywołały najchlubniejszy sąd krytyków. Przezwano Delfinę muzą Francyi.

Panowie dworscy znęceni tym niesłychanym blaskiem, pragnąc ożywić a może i wzmocnić zachwiany tron Karola X, skłaniali starego, owdowiałego króla do poślubienia pięknéj muzy. Panna Gai, nie wiedziała nawet o tych zamiarach. Nim Karol X namyślił się czynić zabiegi o jéj rękę, poślubiła nieznanego jeszcze młodziana, który zamiast berła, krzepką ręką pochwycił pióro, niemniéj groźną potęgę nowych czasów.

Czy poetka byłaby szczęśliwszą, gdyby jak nowa Antygona oprowadzała króla tułacza, po dalekich gdzieś stronach ziemi, któż dziś na to odpowie? że jednak życie jéj nie płynęło bez chmur na tym tronie dziennikarskim, na który podniósł ją Emil Girardin, to dla nas nie ulega wątpliwości. Wprawdzie słynny publicysta postawił muzę na wspaniałym piedestale, zbudował dla niéj grecką świątynię na polach elizejskich, otoczył ją dymem kadzideł.... ale czy to wszystko wystarczyło dla serca poetki?

Pani Girardin w ciągu dwudziestoletniego pożycia, spełniała wiernie obowiązki żony, w testamencie nawet wszystko co zapracowała własnem piórem, zapisuje mężowi; mogłaż być jednak szczęśliwą w tém dzinnikarskiem piekle, w obce tych burz które nie dały jéj chwili wytchnienia, w obec tych bankructw, tych pojedynków, tych zniewag, tych walk i policzkowań piśmiennych, które zamieniały się nieraz na skandaliczne bójki?.... Pozostała po niéj jedna pieśń, ta wymowną daje na to odpowiedź. Przytaczamy ją w przekładzie.

Noc milcząca w czarne zwoje,
Upowija senny świat,
Z pierwszą gwiazdą serce moje
Kwitnie, niby nocny kwiat.

Nocy cicha! tylko tobie
Ja otwieram serce w szerz,
O łzach moich, o żałobie,
Sama jedna tylko wiesz!

O! ty sama wiesz, co znaczy
Śmiech przyrosły do mych warg,
Co zagłusza jęk rozpaczy,
Tłumi wybuch gorzkich skarg.

Ty znasz piersi mojéj rany,
Z tobą płakać, cierpieć lżéj,
W obec ciebie śmiech kłamany
Nie wykrzywi twarzy méj.

Próżna pycha, szał światowy,
W twarde jarzmo wprzęga nas;
Ty mi roskrusz te okowy,
Zrzuć mi z piersi ciężki głaz!

Ah! dla myśli zrospaczonéj
Kiedy pociech zdroje schną,
Jedną ulgą ostre szpony
Wpoić w żywe serca dno.

Twój czar w tęskne moje łono
Tajemniczy spokój tchnie;
Jakże cudnie gwiazdy płoną
Na żałobnem twojem tle!

Lecz zbiegają z gniazd ptaszęta,
Wiatr roztrąca nocny cień;
Żegnaj... żegnaj prawdo święta!
Trzeba kłamać!... ot już dzień!

W lat cztery po zawartem małżeństwie r. 1832, Emil Girardin założył organ polityczny *Presse*, który wkrótce stał się prawdziwą potęgą. Praktyczny redaktor umiał strugać strzałę z każdego drzewa, jakie znalazł pod ręką; spożytkował też talent żony, skłaniając ją do pisania w nim kronik. Wówczas to powstały pod pseudonimem Wikonta de Launay owe sławne listy paryzkie, redagowane przez lat kilka z niepospolitym talentem. Pani Girardin dotyka w nich i polityki, i literatury, i teatru, słowem wszystkiego co potrąci jéj myśl, co wydobędzie iskrę z jéj wyobraźni. Kroniki te przyczyniły się dzielnie do wziętości, jaką zdobyła *Pressa* i postawiły autorkę na wyższym niż dotąd świeczniku. Wszystko co żyło w literaturze i sztuce a nawet w polityce, ubiegało się o jéj względy.

Zobaczmy piérwszy lepszy z tych listów: jakaż tu swoboda, jaka lekkość pióra, jak niezrównany dowcip. Oto list z roku 1838, z okoliczności rozpoczęcia parlamentu.

„No! owóż i dzieci powróciły! co tu krzyku, harmidru! jak one wrzeszczą te dyabełki... szturgają się, biją, popychają!... Przy tym hałasie i mówić nam niepodobna. Dopóki nie wróciły, można było pogawędzić o muzyce, o poezyi, przytoczyć jakiś wierszyk, jakąś dykteryjkę; można było zabawić się wesoło... dziś inna rzecz! nie dają nam chwili spoczynku! trzeba ciągle patrzéć na nich, pilnować aby nie wypłatały jakiéj psoty. Dzieci w tym wieku prawdziwie niebezpieczne. Łatwiéj poradzić z takiemi co mają po pięć lub sześć latek; tamte tłuką stoły i krzesła, snadno naprawić szkodę, ale figlarze czterdziesto i pięćdziesięcioletni!... z temi gorsza daleko sprawa! Jak zaczną niszczyć, nie przyjdziesz z tém do ładu! a niechno zdruzgoczą jaki sprzęt, nie łatwo go naprawisz! Mniejsza o to, dobrze że powrócili. Jak to wszystko potyło! jak czerstwe i rumiane! Wakacye wyszły im na po-

żytek. Prawda że dzieciaki nie ładne, nie zbyt pohopne do pracy, nie grzeszą zbytecznie rozumem, ale przynajmniéj zdrowe! No malcy, bawcież się wesoło! a jak będziecie grzeczne, dadzą wam na kolendę po małym portefeliku... Ale nie zgubcież go, bo taki upominek więcéj się nie powtórzy!"

Związana szczerą przyjaźnią z Lamartinem, pani Girardin broniła go silnie od pocisków. Kiedy Thiers wniósł do izby myśl ufortyfikowania Paryża, podzielała opór poety. W oczach jéj Paryż ufortyfikowany, miał się stać Paryżem zbydlęconym. W kronice swojéj nazwała to prawo: „straszném, śmiertelném, przeciw-narodowém, antiliberalném, anti-konstytucyjném." Nazajutrz po sławnéj mowie, w któréj Lamartine, jakby duchem proroczym oświecony przepowiedział komunę w oblężonym kiedyś Paryżu, świetna publicystka nakreśliła te słowa:

„Wracamy z izby, słowa Lamartina tak silnie nas uderzyły. że niepodobna myśléć nam o czém inném. Nigdy poeta nie okazał się wyższym mówcą, nigdy głos jego nie brzmiał dźwięczniéj, nigdy postać jego nie przedstawiała się w takim blasku!"

O innéj mowie tak się wyraża: „pan Lamartine wczoraj mówił pięknie, jak prawdziwy mąż stanu, a panowie dziennikarze nuż pogardliwie krzyczeć: poeta! Czy téż to rozumnie tytułować męża politycznego według professyi? Gdyby was kto zaczepił w ten sposób, cóżbyście mu powiedzieli?... Weźmy naprzykład, gdyby zamiast powiedzieć: „National mniema że nas Europa obraziła, powiedziano: Episiery i drwale z Nationalu, mniemają że nas Europa obraziła! Gdyby zamiast napisać: Constitutionel radzi księciu Meternichowi to a to, napisano: szlafmycarze z Constitutionelu radzą Meternichowi... byłożby to przyzwoicie? Bynajmniéj! A więc dlaczego przypominacie codzień p. Lamartinowi że jest poetą? czemu nie chcecie przypuścić, aby poeta mógł prowadzić dobrą politykę? dlaczego prowadzicie ją sami, wy kupcy drzewa, szlafmycarze i episiery? Kto wam zaprzeczał prawa obalać gabinety i burzyć Europę? Dlaczego więc zabraniacie dyskusyi wielkiemu poecie, to jest człowiekowi którego rzemiosłem zgłębiać do gruntu ludzkie serca, badać historyą, oświecać ludy, sądzić królów i wypytywać Boga?"

Wiktor Hugo ścigany, jak widzieliśmy wyżéj, tym pogardliwym wyrazem *poeta!* nie znalazł równie gorliwego obrońcy jak Lamartine w hrabi de Launay, tak dowcipnym, a niekiedy nawet posuwającym dowcip do paradoksu.

Wypadki szybkim postępowały krokiem. W r. 1847 Lamartine wydał Żyrondistów. Dzieło to spadło jak raca na wzburzone umysły, jedni wysławiali je z najwyższém uniesieniem, drudzy sypali klątwy na głowę autora. Pani Girardin w jedném z listów paryzkich, wita utwór poety, z instynktem prawdziwie proroczym widzi całą jego doniosłość. Oto jéj słowa:

„Książka ta jest rewolucyą, zapowiednią jéj, symptomatem, może nawet wyrokiem! Każda stronnica czaruje nas i miesza. Jakież tu życie, jaki blask kolorytu, jaki wdzięk, jaka świeżość, jaki zapał! Ileż to wypadków zrodzić się może z takiéj książki? Bodajby ich lepiéj nie widzieć! Zapewne rewolucya 89 roku piękną jest rzeczą... ale co chcecie, my nie lubimy rewolucyi! Lamartine zda się mówić: „jeśli rewolucya okrutną była i niedoskonałą, to dlatego że spełnili ją ludzie!" My nie chcielibyśmy rewolucyi, chociażby nawet spełnionéj przez aniołów. Była już taka niegdyś. . wydała piekło, to samo już nas od niéj odstręcza!"

Nastąpił przewrót lutowy (1848), ogłoszono rzeczpospolitą. Publicystka chłoszcze silniéj jéj śmieszności.

„Jakaż to szkoda! jaka szkoda! pisze w maju. Ohydném się staje to co mogło być tak pięknem! Wasze nadzieje spełzły, wasza republika niepodobną! Ci którzy ją ogłosili nie mogą jéj zrozumieć, czynią ją śmieszną, próżną, drobiazgowę, zamiast tchnąć w nią moc, godność i powagę. Zrobili z niéj parodyą królewskości! O! jakże republika byłaby piękną bez republikanów!

Wymowna publicystka poświęciła ostatnią kronikę obronie upadłego Lamartina.

„Bóg—mówi ona—nie na to położył na jednéj głowie potrójną koronę poety, mówcy i historyka, aby dotknąć tę głowę szaleństwem. Człowiek gieniuszu, oswojony z wszelkiego rodzaju królewskością, miałże się upoić jéj blaskiem, niby jakiś szalony Mazaniello? Biédny rybak snadno utraci głowę, podniesioną nagle do szczytu władzy, tak samo jak mieszkaniec doliny nie ujdzie zawrotu, kiedy stanie na wielkiéj górze. Ależ poeta?... On przywykł szybować po niezmierzonych przestrzeniach, sięgać okiem w niezgłębione przepaści, widzieć świat u stóp swoich. Miałżeby tron zmącić mu zmysły?"

Odtąd hrabia de Launay składa pióro, ale pani Girardin trzyma je dzielniéj niż kiedykolwiek. Zwolniona z obowiązków kronikarza, z całym zapałem rzuca się na pole dramatycznéj literatury.

Jeszcze w roku 1838 wystąpiła w teatrze francuzkim z pięcioaktową komedyą wierszem p. t. *Szkoła dziennikarzy*. Sztuka ta pełna życia, zaprawna ostrą satyrą, zajęła żywo publiczność. Wkrótce jednak usunięto ją z repertoryum.

„Komedya twoja wyborna! pisze Lamartine ze wsi, oddawna nie mieliśmy nic równego. Czytaliśmy ją cały wieczór przy drzwiach zamkniętych. Cóż ztąd że upadła w teatrze? Masz świat!.. szersza to widownia niż teatralne deski!"

Autorka zrażona jednak piérwszą próbą, nie śmiała narażać się na nowy zawód, zwątpiła o własnych siłach. Przez kilka lat nie utworzyła nic dla teatru. W myśli jednak układała plan tragedyi; bohatérką jéj miała być Judyta. Panna Rachel dodała jéj siły i odwagi.

Sławna artystka zachowała dla pani Girardin głęboką w sercu wdzięczność. Nie przepomniała ona, że po piérwszém wystąpieniu na

scenę w roku 1838, przyjęta obojętnie przez publiczność, lekceważona przez ogół krytyków dziennikarskich, znalazła w tym niechętnym chórze, dwa jedynie głosy, które objawiły światu jéj artystyczny gieniusz. Były to głosy pani Girardin i Janina. Piérwszy zadzwonił w Pressie, druga w Debatach. Dwa te głosy, przeważne w opinii powszechnéj, porwały za sobą cały Paryż.

Zjawienie każdego nowego meteoru w świecie dramatycznym, porusza zwykle chciwą wrażeń publiczność, ale nie każdy z tych błyszczących meteorów jednakie ma znaczenie. Postać Racheli odbiła się głęboko w dziejach literatury francuzkiéj. Zabłysła ona w chwili, kiedy szkoła romantyczna w młodzieńczéj bucie, miotała gieniuszami które są i na wieki pozostaną chwałą Francyi; w chwili kiedy zagorzali wielbiciele Huga i Dumasa, gardzili Kornelem i Rassynem. Potrzeba było postawić tych olbrzymów na piedestale z którego ich strącono. Pióra najzdolniejszych krytyków nie byłyby sprostały tak trudnemu zadaniu. Rachela w Fedrze podniosła cześć Rassyna, w Horacyuszach i Polieukcie zawstydziła odstępców, odmawiających hołdu Kornelowi! Rachela powstrzymała rozhukany potok romantyzmu, ocaliła w literaturze współczesnéj pojęcie idealnego piękna.

Zrozumiał to Juliusz Janin, odgadła to pani Girardin po piérwszém wystąpieniu młodéj artystki, dlatego to podtrzymali ją dzielnie, potęgą świetnego i wytrawnego pióra.

Rachela przyjęła rolę Judyty. W dramatyczny sposób autorka przedstawia bohatérkę izraelską. Sprzeczne uczucia szarpią wielką jéj duszę; tu miłość kraju, tam uczucie ludzkości, tu znów litość dla ofiary, przybierająca tkliwy nawet charakter. Nóż drzy w jéj dłoni, w chwili gdy ma wykonać straszny zamiar.

Był to dla poetki dzień tryumfu, kiedy Rachela w przepysznym stroju wschodnim, błyszcząca od pereł i klejnotów, z koroną na głowie i sztyletem w ręku, wyrzekła te tak wymowne słowa:

Od drogich tych klejnotów niech blasku pożyczę:
Boże! cudem piękności uzbrój me oblicze,
Niech gwiazd twoich promieniem to złoto zapłonie!
Na te czyste zasłony zléj niebiańskie wonie,
Daj moc, nim zada pocisk dłoń rozpaczą wściekła,
Odkryj mi tajemnice niebiosów i piekła;
Tchnij siłę twéj potęgi w moję duszę młodą,
Czarną chytrość szatana, z anioła pogodą.

Zachęcona powodzeniem poetka, nową rozpoczęła tragedyę. Pobudkę do niéj znalazła w Plutarchu: uderzył wyobraźnię jéj obraz Kleopatry, tak żywo skreślony piórem rzymskiego historyka: „Przepłynęła Cydnus, statkiem o złotym rudlu i purpurowych żaglach. Plusk wioseł, harmonijnie łączył się z dźwiękiem lir i fletni. Królowa strojna z całym przepychem wschodu, spoczywała pod złotolitą zasłoną. Dziatki prze-

brane za amorków, dziewice dworskie za Nerejdy i Gracye, trzymały za liny. Dym kadzideł buchający ze statku, rzucał woń na oba wybrzeża."

Autorka wpatrzyła się głęboko w tę postać. W Kleopatrze odtworzyła typ konającéj cywilizacyi z całym pogańskim jéj urokiem. Rachela cudnie odegrała rolę królowéj. Dzień piérwszego przedstawienia, równym był tryumfem dla autorki, jak dla wielkiéj artystki. Teatr zatrząsł się od oklasków, kiedy Kleopatra otoczona tłumem magów i wieszczów, rzuca przekleństwo słońcu, które przywiodło ją do zguby.

Słońce skwarnéj Afryki! twych płomieni siłą,
Potęgę woli mojéj, tyś wreszcie zwalczyło!
Tyś roztliło w mych żyłach te złowrogie żary,
A dziś nielitościwie szydzisz z twéj ofiary!
Przeklinam cię za plamę co czoło mi brudzi;
Przez ciebie, jam królowa pośmiewiskiem ludzi!
Kłamliwe dary twoje!... Mordercze twe strzały,
Żywisz świat, a pożerasz łzy ziemi zbolałéj!
Przekleństwo tobie słońce! bodajby w dniu trwogi
Zgasł nad światem struchlałym twój promień złowrogi;
Bodajbym oglądała ostatnią twą zorzę.
Bodajby wściekłą paszczą pożarło cię morze:
A ja sama nad brzegiem w głąb piersi spalonej
Zaczerpnąć mogła tchnienia nocy nieskończonéj!

Niemniéj poruszył słuchaczów obraz strupieszałego Egiptu, skreślony w kilku słowach przez Kleopatrę.

Żyć w Egipcie?... ach! ciężar ten zbyt mnie przygniata:
On kraj taki bogaty, dziwowisko świata,
Dla mnie istném królestwem śmierci i żałoby!
Te przesławne pałace: to zgliszcza i groby!
Gdzie stąpić, depczę nogą, wiém to z piersi drgnienia
Mumii skamieniałych całe pokolenia,
Rzekłby kto: kraj wyrzutu, kraj zbrodni straszliwéj,
Zmarłych balsamowaniem zajęty kto żywy;
U ognisk pełne trupów wrą kotły w około,
Powietrze przesycone żywicą i smołą:
Wszędzie pycha człowieka szałem podniecona
Mniema, że nieskończoność w swéj nędzy pokona!

Wkrótce po przedstawieniu, Lamartine nakreślił gorący list do autorki: „Nie wątpiłem o tryumfie Kleopatry. Francya acz tak dziś rozdwojona, okazała się jednomyślną. Do tych chórów pochwalnych niechże się przyłączy i głos mojego serca. Jeśli trudno ci być szczę-

śliwą, bądźże przynajniéj sławną! Żadna kobiéta od czasów Wiktoryi Colonny, nie miała takiego tryumfu!"

Równy talent okazała pani Girardin w dramatycznych obrazkach z życia codziennego. Śliczna jéj sztuka: *La joie fait peur*, *Radość przestrasza*, wyciskała gorące łzy z oczu słuchaczów; *Kapelusz zegarmistrza*, pobudzał do szczerego śmiechu. W jednoaktowym obrazku: *To wina męża*, określony stosunek małżonków; sam tytuł wypowiada myśl autorki. Jak głęboko porusza ta skarga młodziuchnéj żony, okazująca jak mało potrzeba kobiécie do prawdziwego szczęścia:

Już w méj myśli dziecięcéj snuł się obraz żywy
Szczęścia pozwolonego, w miłości uczciwéj:
Z pajęczéj nici marzeń złoty prządłam wątek:
Jasny płomień ożywia domowy zakątek;
Za ten próg moje chęci nie odbiegną płoche,
Ja serce oddam całe, za miłości trochę;
Nie dla mnie owe szały miotające głową,
Mnie starczy jeden uśmiech, jedno słodkie słowo:
Dość gdy w oka połysku, gdy w dotknięciu dłoni,
Poznam tę moc uczucia co wspiera i chroni,
Na któréj budujemy przyszłość jak na skale,
Co objawia się czynem, choć nie mówi wcale!

Pięcioaktowa komedya Lady Tartuffe, w któréj główną rolę odegrała Rachela, wywołała niesłychany zapał w publiczności paryzkiéj. Tak autorkę jak artystkę obsypano wieńcami. Ostatnie to były ich wieńce! W dwa lata potém dogorywająca Rachela opłakiwała skon téj z którą podzielała tryumfy: pani Girardin umarła w roku 1855, w całym blasku talentu i sławy, w pełni spokoju religijnego. O dwa lata przeżyła tylko matkę. Świat artystyczny i literacki wyprawił jéj najpyszniejszą owacyę pogrzebową. Poeci uderzyli w liry na cześć zmarłéj poetce. W tym chórze zapanował głos Wiktora Hugo: przytaczamy w przekładzie pieśń wielkiego poety:

Niegdyś ja powtarzałem: żyj nam długie lata!
Salon tron ci zbudował, świat wieńce ci splata;
Bez ciebie uczty nie ma, ty ożywiasz gody
Czarem twego rozumu, blaskiem twéj urody.
Tyś gwiazdą promienistą i różą zarazem,
Pogodny błękit nieba twéj duszy obrazem;
Cudownież on dopełnia wdzięcznych słów uroku,
Co usta wypowiedzą odbłyska w twém oku.
A gdy cień na twe czoło upadnie czasami,
Żal wytryska z twych powiek perełką nie łzami:
Gdy dumasz, słodki urok twoje usta pieści:
Panuj nam złotowłosa w twéj chwale niewieściéj!

A teraz blada, niema, oh! ty dziś już nie tą!
Ciebie śmierć przeistacza, więc wołam: poeto!
Istoto niepojęta!... chodź, wzywam tu ciebie,
Wyrzecz mi jedno słowo o ziemi, o niebie;
Ty która przekroczyłaś wiekuiste wrota,
Objaw mi tajemniczą zagadkę żywota;
Poświadcz to co myśl moją do głębi porusza,
Mam-li iść w ślad Spinozy czy Kartezyusza?
Ach! mów!... z podniesionemi błagam cię ramiony!
Twéj liry niewidzialnéj niech posłyszę tony;
Mów do mnie!... już zwycięzko twoja łódź przebiega
Odmęty oceanu bez kresu, bez brzega.
A przyroda gdy ziemski już cię gwar nie głuszy,
Wielkim głosem przemawia do wielkiéj twéj duszy!

Podczas kongresu geograficznego w Paryżu, oprócz ściśle naukowych rozpraw, zajmujących specyalne sekcye, uczeni miewali jeszcze w sali posiedzeń konferencye w rozmaitych przedmiotach, traktowanych w popularny sposób. Do najżywotniejszych należy konferencya p. Leouzon le Duc, o kobiétach Skandynawii i Finlandyi. Uczony tłumacz Kalewali, zna dokładnie obyczaje północnych ludów; obdarzony do tego niepospolitym darem słowa, umié ożywić każdy przedmiot. Podajemy w treści tę ciekawą rozprawę:

„Geografia—rzekł mówca—nie jest tylko fizycznym opisem ziemi: zajmuje się niemniéj ludźmi, którzy ją zamieszkują." Historya, etnografia i antropologia ściśle z nią połączone. Chcąc zaś poznać do gruntu lud jaki, potrzeba koniecznie wiedzieć jakie stanowisko zajmuje w nim kobiéta.

W Danii, Szwecyi, Norwegii i Finladyi, życie społeczne kobiét za czasów starożytnych, było przedmiotem poważnych badań: legendy północne objaśniają tę rzecz najdokładnéj. Jeżeli sięgniemy wzrokiem w głęboką przeszłość do wieków kamiennych, znajdziemy tam człowieka w stanie pierwotnym. Błąka się w lasach lub nad brzegami jezior, szuka schronienia w głębi jaskiń, pod namiotami ze skóry, albo w tak zwanych *izbach olbrzymów*, których ślady pozostały w Danii. Zmuszony żyć łowami, stacza zapasy ze zwierzem stokroć dzikszym i silniejszym od znanych dzisiaj zwierząt. Epoka ta słabo odbiła się w historyi; trudno téż wiedzieć, czyli w tych czasach panowania siły fizycznéj, kobiéta, obdarzona odpowiednią krzepkością, podziela z mężem trudy i niebezpieczeństwa. Jakkolwiek wszystko polega tu na domyśle, snadno jednak przypuścić, że nawet w epoce tak odległéj, kobiéta miała wyłączne swe zatrudnienia. Mnóstwo znalezionych narzędzi, jak

igły i krosna do tkania wełny, są dowodem pracy niewieściéj. Zdaje się zatém, że już wtedy istniał jakiś rodzaj życia domowego, wskazujący kobiecie odrębne stanowisko. Pozostałe z téj epoki przedmioty stroju, pierścienie, naszyjniki, paciorki, pokazują wymownie że i wówczas już kobieta pragnęła się podobać. W Jutlandyi znaleziono naszyjnik złożony z 3500 paciorków, ważący ośm kilometrów z górą. Pobożna myśl wiodła tych ludzi pierwotnych, do grzebania wraz z ciałem zmarłéj osoby, przedmiotów należących do niéj za życia. Obok szkieletów męzkich widzimy oręż wyciosany z kamienia, siekiery i narzędzia łowieckie; obok szkieletów niewieścich znachodzimy rozmaite ozdoby. Zkąd wnosić wypada, że lubo w téj epoce, potrzeba czuwania nad własném bezpieczeństwem wyrabiała siłę fizyczną, w sercu jednak człowieka mieściło się uczucie tkliwsze, skoro umiał uszanować w zmarłéj żonie, zwykłe jéj upodobania.

Od czasów przedhistorycznych, p. Leouzon le Duc przechodzi do epoki późniejszéj, któréj ślady pozostały w literaturze. Bada stanowisko kobiéty w okresie mytycznym w Skandynawii. Tę mytologią można określić jedném słowem: jest to apoteoza siły, a jednak widzimy tu już słabo oznaczony ideał niewieści. Boginie nie biją się wcale; żona Odina jest jakoby uosobieniem Opatrzności; mieszkanki Walhalli mają charakter pełen słodkiego wdzięku: jedna pielęgnuje kochanka, druga męża. Niektóre legendy nadzwyczaj są wymowne. Złowrogi bóg Loki, zadał śmierć najmilszemu i najlepszemu z bogów Balderowi. Wszyscy bogowie składają radę, karzą mordercę skazując na śmierć jego potomstwo. Loki okuty w więzy, ma zawieszonego nad głową strasznego węża, z którego paszczy jad spływa mu po kropli na oblicze. Żona Lokego poświęca się aby osłodzić los mężowi: trzyma w ręku czaszę, zbiera w nią krople jadu: gdy się czara przepełni, posłuszna niezbłaganym wyrokom, wylewa ją odrazu na twarz potępieńca. Loki wije się w śmiertelnym bólu; od rzutów jego konwulsyjnych aż ziemia drży w posadach.

Prawa dla kobiet, twarde być musiały w społeczeństwie opartém wyłącznie na sile. Ojciec wszechwładnie rządził dziećmi od chwili ich urodzenia, miał nad niémi prawo życia i śmierci; mógł chować je albo zabić. Jeżeli skazał dziecko na zatratę, musiał to uczynić przed odbytym obrzędem lustracyi. Obrzęd ten polegał na zanurzeniu go w wodzie i nadaniu mu imienia. Po takiéj ceremonii, dziecko było bezpieczne. Samo wystawienie na śmierć, lubo okrutne w zasadzie, miało w praktyce złagodzony nieco charakter. Niewolnik zanosił dziecię do lasu, krył je w miejscu niedostępném dla dzikich zwierząt, kładł mu w usta kawałek mięsa, aby je ssało zamiast piersi matczynéj.

Młode dziewczę otoczone było najsurowszą strażą: zamykano je w osobnéj izbie jakby ptaszynę w klatce, niekiedy w świątyni lub warowni ogrodzonéj fossą i ostrokołem: czuwali nad nią słudzy a czasami dzikie przyswojone zwierzęta. Małżeństwo nie było dobrowolném połączeniem, miało raczéj charakter targu i sprzedaży: kupowano kobie-

tę za cenę umówioną. Dziewczyna nie brała udziału w téj ugodzie. Kiedy targ stanął pomiędzy młodzianem a rodzicami, panna młoda wnosiła posag; narzeczony wypłacał rodzicom należytość, stosowną do znaczenia łączących się domów. Odtąd mąż wchodził w prawa posiadania, jakie dotąd miał ojciec nad córką: mógł odesłać żonę, darować ją, przekazać testamentem, zamienić na jakibądź przedmiot. Kobieta odesłana miała jednak prawo dochodzić swéj własności, a mąż zobowiązany był zwrócić umówioną kwotę rodzicom. Wdowa nie mogła iść za mąż według woli; zależała od rodziców lub od syna. Te prawa tak twarde ulegały zwolna przemianom, w miarę łagodzących się obyczajów. Kobieta zrazu niewolnica, stała się następnie panią, jakby królową; rozpościerała wszechwładnie rządy w domu: wszyscy byli jéj posłuszni. Przy uczcie odgrywała przeważną rolę, siedząc obok rycerskich Wikingsów, piła z nimi miód z jednéj czaszy.

Niewiasta skandynawska zajęta domem oddawała się niemniéj wyższym umysłowym pracom; sztuka lekarska należała do jéj wydziału. Wspaniałomyślna, pełna godności osobistéj, wpływem swoim łagodziła szorstki umysł męża i braci. W końcu doszła do wysokiego znaczenia, jakie dziś zajmuje w kraju własnym.

Pan Leouzon le Duc wykazuje wielką różnicę w stanowisku niewiast skandynawskich a finlandzkich. W Finlandyi obyczaje więcéj patryarchalne, charakter zaś kobiét nierównie gwałtowniejszy. Matka nie może wydać zamąż dziewczęcia w brew jéj woli; jeśli niekiedy skłoni córkę do niemiłych jéj związków, smutne ztąd wynikają następstwa: kobieta gwałtem wydana zamąż, kończy zwykłe życie samobójstwem.

Korrespondencya Stanisława Augusta z panią Geoffrin, o któréj mówiliśmy szczegółowo w przeszłéj kronice naszéj, ściąga powszechną uwagę i wywołuje najsprzeczniejsze sądy. Co głowa to rozum, słusznie mówi przysłowie. Nie myślimy podnosić tych wszystkich sprzeczności; z licznych krytyk dwie tylko wspomnimy.

Pierwszą z nich spotkaliśmy w czasopiśmie lwowskiém. Autor jak widać czytał samą treść rzeczy, spisaną w górze, i z tych danych snuje fantastycznie swój wątek. Opowiada na chybił trafił, jak pani Geoffrin bawi królewskiego korrespondenta, plotkami krążącemi po salonach paryzkich, kiedy tymczasem nie znaleźliśmy nigdzie nic podobnego. Widząc w nadpisie imię słynnéj aktorki Clairon, krytyk wyprowadza wniosek, że pani Geoffrin rozprawia o teatrze francuzkim, o nowo przedstawionych sztukach; kiedy korrespondentka zapytuje po prostu w imieniu artystki, czy król zgadza się na jéj przyjazd. Ale dosyć już tego; zostawiamy na boku inne niemniéj rażące sprzeczności, zapisujemy to tylko dla ostrzeżenia sprawozdawców, że sama intuicya nie wystarczy do ocenienia dzieła, którego się wcale nie czytało. Mniejsza zresztą o ten artykulik pobieżny i bezimienny, który przebrzmieje bez oddźwięku; inaczéj rzecz się ma z krytyką zamieszczoną w dwóch numerach Debatów, zajmującą ośm kolumn, podpisaną znaném po-

wszechnie nazwiskiem akademika p. Cuvillier Fleury. Takiéj krytyki pominąć niepodobna.

Pan Cuvillier Fleury czytał korrespondencyą, nie opuścił w niéj ani jednego listu; ale czytał ją z uprzedzeniem. Dawny nauczyciel książąt Orleańskich, związany ściśle z całą rodziną, musiał nawet jak sądzimy wpłynąć na jéj wydobycie z archiwów familijnych i na ogłoszenie jéj drukiem. Należy on widocznie do tego koła, które jak wiadomo wzięło sobie dziś za cel, rehabilitować bądź co bądź pamięć Stanisława Augusta, choćby nawet z krzywdą historyi.

Korrespondancya cała pokazuje wymownie, że pani Geoffrin ukrywała w sercu głęboki żal do króla. Z powodu usunięcia wielu i to najważniejszych listów, nie znamy szczegółów, które mogły sprowadzić to nieporozumienie; wczytawszy się jednak z uwagą, każdy zgadnie, że ta wyższa kobiéta zawiodła się w nadziejach swoich. Świetny młodzian, powierzony niegdyś przez ojca jéj opiece, gdy doszedł lat trzydziestu, przerodził się w innego człowieka, skutkiem innych wpływów i okoliczności. Pani Geoffrin zgadła to z pierwszych listów, chcąc jednak zbadać rzecz gruntownie, przedsięwzięła podróż do Warszawy. Zasłona spadła z jéj oczu; ztąd zmiana jeśli nie w macierzyńskich jéj uczuciach, to przynajmniéj w ocenieniu tego, którego zwała synem.

Taki wniosek wyprowadziliśmy po przeczytaniu książki: pan Cuvillier Fleury zupełnie inaczéj rzecz uważa. Aby podnieść osobistość Stanisława Augusta, dawny przewodnik książąt Orleańskich wziął sobie za cel poniżyć panią Geoffrin i strącić ją z piedestału, na jakim ją Paryż postawił przed stu laty. Sam tytuł artykułu zamieszczonego w Debatach: *Królowa Saba z przedmieścia Saint Honoré*, obmyślony złośliwie, w celu ośmieszenia poważnéj matrony. Z niezmordowaną cierpliwością akademik wyciąga z przeszłości wszystko, cokolwiek rzucić może cień na tę piękną i jasną postać. Niepodobna mu wprawdzie wynaleźć nic, coby ubliżyło jéj obyczajom; kronika skandaliczna z téj epoki, nie zapisała wcale jéj imienia: uderza zatem w inną stronę. W córce kamerdynera delfinowéj, w żonie fabrykanta zwierciadeł, pokazuje kobietę pyszną, nadętą, samolubną, podejrzliwą, chciwą panowania, kłótliwą, despotyczną, nieznośną dla tych nawet, których obsypywała darami, lekceważącą pogardliwie gości swoich. Gdyby tak było w rzeczy saméj, cóżby pomyśleć o społeczeństwie, któreby tylko dla smacznych obiadów i wieczerzy oblegało tłumnie dom żony dorobkowicza? Cóżby pomyśleć o tych akademikach i encyklopedystach, którzyby za cztery łokcie aksamitu na jakąś część ubrania, otrzymywaną zwykle na kolendę, pozwolili się zwać „moją trzodą, mojemi bydlętami?“ Pan Cuvillier Fleury, przypominając ten szczegół, składa na panią Geoffrin śmieszności innych pań współczesnych. Nie ona to, ale słynna siostrzenica Mazariniego, obdarzała aksamitem uczonych filozofów, i zwała ich trzodą swoją, zapewne bez ich wiedzy.

Na domiar złośliwości, p. Cuvillier Fleury posądza panią Geoffrin o miłość dla Stanisława Augusta. Zarzut to śmieszny i bezzasadny: napróżno uczony akademik z całą erudycyą przypomina długi szereg zakochanych starców i starych kobiét. Anormalne wybryki serca i wyobraźni zdarzają się nieraz na świecie. Mogła sześćdziesięcioletnia pani du Deffaut kochać się w Horacym Walpolu, Ampere w siedemdziesięcioletniej pani Recamier; mógł stary Goete umiłować młodą Bettinę, Merimée piękną nieznajomą; mógł stóletni Anakreon opiewać wdzięki uroczéj bogini serca swego: pani Geoffrin nie należała do liczby tych przestarzałych gołębi, gruchających miłosną piosenkę w obec otwartego przed nimi grobu. Cała przeszłość wymownie świadczy za nią. Niepotrzeba być głębokim psychologiem, aby przyjść do wniosku, że kobiéta, która w długiém pasmie lat potrafiła uchronić się przed wszelką potwarzą; która w czterdziestym roku życia przywdziała poważny ubiór matrony, która w listach swoich przypomina bezustanku swoje podeszłe lata, trudno przypuścić, powtarzamy, aby taka kobieta w sześćdziesiątym siódmym roku puszczała się w podróż do Warszawy, wiedziona romantycznym szałem. Wiodło ją tam uczucie przyjaźni, wiodła ją duma, trudno zaprzeczyć temu; ale owa duma szlachetna jaką czuje serce matki, upojonéj chwałą i blaskiem syna. Wiodła ją co więcéj chęć zastąpienia wpływem swoim innych wpływów; ztąd nienawiść ku niéj królewskiéj familii, przechowana dotąd w tradycyach domu, nienawiść któréj ostatnim wyrazem stał się dziś związany z tym domem pan Cuvillier Fleury.

I na czémże oparty wniosek téj niewczesnéj miłości? oto na błahych wyrażeniach: „całuję piękną rękę W. Kr. Mościl... Prawdażto, że piękne włosy twoje, panie, tak wcześnie posiwiały?“ Innych dowodów nad te i tym podobne nie znaleźć w żadnym z listów!

Niesprawiedliwy krytyk wyciągnął z całéj korrespondencyi ujemne tylko rysy, któremi usiłuje przyćmić oblicze kobiety słynnéj w swoim czasie w Paryżu; przypuszcza on zresztą, że pani Geoffrin mogła miéć niejakie zalety, lecz na ich wykazanie zbrakło mu miejsca w rozprawie dziennikarskiéj. „Ograniczeni—mówi on—szczupłością ram naszych, musieliśmy wybierać pomiędzy zaletami a wadami pani Geoffrin: nie nasza wina, jeśli wady zabrały całe miejsce, jakiém wolno nam było rozporządzać. Wydawca listów Pan Mony, obszerniejsze miał pole, korzystał z tego jako *bezstronny sędzia* i jako zręczny pisarz, nie mając *powodu* do szukania pozagrobowéj kłótni, z kobietą która tak była dobroczynną dla zmarłych współkolegów naszych.“

Nauczyciel książąt Orleańskich przyznaje zatem, że nie występuje jako *bezstronny sędzia*, że ma powód do *zagrobowéj kłótni* z panią Geoffrin. To zbyt naiwnie na wytrawnego akademika!

Trudno przypuścić aby redakcya Debatów tak względna dla członków akademii, nie miała udzielić miejsca treści w numerze pisma swego na dorzucenie choćby kilku jasnych zarysów, do tego czarnego tła, na jakiém odszkicowana postać słynnéj kobiéty. Byłaby téż do-

rzuciła, jak sądzimy, parę kolumn do uzupełnienia obrazu Stanisława Augusta, choćby kilku wydatniejszemi rysami. Pan Cuvillier Fleury, jeżeli nie zgadza się zupełnie z panem de Mony, gdy ten podnosi panią Geoffrin, podziela za to zupełnie jego sąd apoteozujący Stanisława Poniatowskiego, któremu los jakby nowemu Sokratesowi przeznaczył za małżonkę, „*Xantypę*, kłótliwą, wojowniczą, mężobójczą, dwulicową, z jednéj strony grożącą głownią i mieczem, z drugiéj uśmiechającą się do zagranicznych sprzymierzeńców.“ Tak to pan Cuvillier Fleury komentuje nazwę Xantypy, któréj król używa w jednym z listów na określenie swéj niesfornéj rzeczypospolitéj!

Zobaczmy teraz ogólną definicyą dzieła. „W znakomitém studyum pana Mony, które poprzedza korrespondencyą Stanisława—mówi krytyk— należy nam szukać szczegółów, odnoszących się do pierwszéj połowy tego panowania. Ani król, ani naród jego, ani przeciwnicy tak zewnętrzni jak i wewnętrzni, nie byli jeszcze nigdy osądzeni z taką rozwagą i taką prawdą. Dodajmy że autor okazał pierwszorzędny talent historyczny.“

Wbrew powadze akademickiéj pana Cuvillier Fleury, powtórzymy tu cośmy już powiedzieli w zeszłéj kronice naszéj: ani wstępna rozprawa pana de Mony, ani cała korrespondencya Stanisława Augusta z panią Geoffrin, nie dorzucą najmniejszego faktu, do rozjaśnienia rzeczy dawno znanych i osądzonych. Strona psychiczna stanowi całą wartość świeżo wydanych listów. Co zaś do rozprawy, jest to po prostu apoteoza, a nie szukać prawdy w apoteozie.

Dzięki współzawodnictwu rozbudzonemu dziś we Francyi przez zawiązane po kraju Towarzystwa Naukowe, archeologowie i historycy wzięli się skrzętnie do badania archiwów prowincyonalnych. Im daléj od stolicy, tém źródła obfitsze. Miasto Pau, u podnóża Pirenejów, niegdyś stolica udzielnego księztwa Bearnu, posiada prawdziwe skarby erudycyi. Wiele z nich odkryto już i ogłoszono drukiem, kopalnia to jednak niewyczerpana. Pomiędzy innymi archwista z Pau, Raimond, wydał w Bordeaux nadzwyczaj ciekawą książkę pod tytułem: *Obyczaje Bearnów*. Są to wyciągi z brulionów pozostałych po notaryuszach bearneńskich od XIV do XVI wieku, tłumaczone z miejscowego narzecza na język francuzki. Przytaczamy kilka malutkich ustępów, rzucających żywe światło. na stan społeczny owoczesny.

W dniu 26 listopada 1375 roku, baron który porwał żonę jednemu z wassalów, skazany został wyrokiem Gastona Febusa księcia Bearnu, ogłoszonym w kościele w Pau, na wynagrodzenie pokrzywdzonego piękną parą wołów, i na złożenie przysięgi, jako nie będzie mu szkodził. Mąż jeśli zechce, może odebrać żonę; ta jednak traci prawo do zapisanéj przez męża oprawy.

Bearni mimo lekkości obyczajów—mówi autor—wierzyli bezwarunkowo w świętość przysięgi. W dniu 25 maja 1385 r., kobiéta oskarżona o wiarołomstwo przez męża i jego braci, w skutek przysięgi zło-

żonéj przez nią, w obec relikwii świętych, uwolnioną została prawnie od wszelkiego zarzutu.

W dniu 17 września 1398 roku, mąż jeden zrzeka się uroczyście prawa bicia żony, z wyłączeniem wypadku, gdyby się naocznie przekonał o jéj niewierności. Jeżeli nie dotrzyma słowa, zobowiązuje się dać cztery krowy opatowi z Lucq, a księciu Bearnu dwadzieścia marków srebrnych.

Rozwód jak widać uprawniony był w wieku XV. Akt z r. 1452 obejmuje umowę Bertholeta de Père z żoną. Oboje małżonkowie zwalniają się dobrowolnie z przysięgi, upoważniając się nawzajem do zawarcia innych związków. Świadkowie podpisali tę ugodę.

W owych czasach Bearnowie tak świeccy jak duchowni, nie wyłączając prostego nawet gminu, oddawali się namiętnie grze hazardowéj. Wielu z nich składało dobrowolną przysięgę przed notaryuszem, jako zaniechają tak zgubnego nałogu. W dniu 16 października 1337 r. Piotr Faurie przyrzeka Gassienowi panu de Claverie, jako dopóki życia, nie będzie grał nigdy o pieniądze. Gdyby Piotr nie dotrzymał słowa, wypłaci panu de Claverie dwieście soldów, gdyby ich zaś nie miał, rzuci się w rzekę z mostu w Orthez.

W akcie z 4 sierpnia 1471 roku znajdujemy ciekawe zastrzeżenia, tyczące się tak zwanych kagotów. Wiadomo że Gotowie wyznania aryańskiego, odparci przez Klowisa do granic hiszpańskich, rozpierzchli się częściowo po Gujennie i księstwie Bearnu. Lubo odstąpili oni kacerstwa, zostawali jednak pod klątwą; ztąd poszła ich nazwa *Caa Gots*, oznaczająca *Psów Gotów*. Byli to istni paryowie zachodni. Lud uciekał od nich jakoby od zapowietrzonych, panowało powszechne mniemanie że są dotknięci trądem. W XII-ym wieku, przy zaprowadzeniu gmin, przeklęte plemię wyłączone było od udziału w swobodach municypalnych. Nie pozwalano im prowadzić handlu, posiadać ziemi ani bydła. Mieszkali w osobnych budach, oddalonych od miast i osad wiejskich. Akt notaryalny z roku 1471 zabrania im czerpać wodę ze studzien w Moron, prać chusty w rzece i t. p. Ten nieszczęśliwy stan kagotów utrzymał się aż do wieku XVI.

Inne dziełko p. Lespy: *Czarownice w Bearnie* (1393—1672) równie jak poprzednie wydobyte z archiwów miasta Pau, stawia nam przed oczy najsmutniejszy obraz trzywiekowéj ciemnoty owego ludu, i to w czasach kiedy stolica Bearnu, liczona do głównych ognisk cywilizacyi europejskiéj, nosiła nazwę nowych Aten.

Miejscowość sama usposobiła umysły do zabobonów. O ile miasto Pau rozkosznie położone u stoku Pirenejów, wśród zielonych łąk, przeciętych krętym Gawem, o tyle znów poblizkie Landy dziko się przedstawiają. Nic smutniejszego nad tę pustą przestrzeń, ciągnącą się wzdłuż morza od Bordeaux do Bayonny, pełną piaszczystych zasp i trzęsawisk, zarosłych karłowatą sośniną. Tu wyobraźnia ludu rozpasała się na najdziwaczniejsze pomysły; w każdém topielisku mieści-

ła złego ducha, który jak niegdyś Boruta z błot łęczyckich, czyhał na podróżnego, rzucał mu tuman w oczy, oprowadzał go po dalekich wertepach, niekiedy zatapiał z końmi i wozem. Były miejscowości uprzywilejowane, gdzie dyabeł największe psoty wyrządzał ludziom: do tych należała wieś Marcerin, której smutną pamięć uwiecznił lud przysłowiem:

Marcerina nie ma zgoła
Ani młyna, ni kościoła;
Tylko jamy, kędy z cicha
Czart na ludzi zdradnie czycha.

Pan Lespy wyciągnął z archiwów liczne zaskarżenia wytoczone przeciw kobiétom, pomówionym o stosunki ze złym duchem. Są tu śledztwa i wywody słowne, są świadectwa lekarzy. Utrzymywano, że oprócz znaków widocznych na ciele, czarownica każda miała w oku łapkę ropuchy; chirurg jeden z Bayonny, używany zwykle do śledztwa, umiał ją dopatrywać.

Procesa odbywały się dawnemi czasy bez rozgłosu, ledwie że wyrok zapadł, natychmiast go spełniano. Ofiara kończyła życie w płomieniach. W XVII wieku dopiéro, kobiéta obwiniona o czary, miała prawo wybrać obrońcę, który przemawiał za nią u kratek sądowych. Potrzeba było jednak wielkiéj odwagi, aby przedsięwziąć tego rodzaju obronę. Im wymowniéj rzecznik odzywał się za oskarżoną, tém silniéj ściągał na siebie zarzut wspólnictwa w czarach.

Autor przytacza w dodatku pięćdziesiąt wywodów sądowych: dawniejsze spisane w bearneńskim, późniejsze w francuzkim języku. Duchowieństwo nie brało najmniejszego udziału w owych procesach. Trybunały cywilne wyłącznie ogłaszały wyroki.

Dwa przeciwne prądy poruszają dziś umysłami. Podczas gdy realiści radziby znihilizować całą przeszłość, puścić z wiatrem wiekopomne dzieła gieniuszu ludzkiego, na zwaliskach starożytnych panteonów, pobudować olbrzymie warsztaty; podczas kiedy zwolennicy téj szkoły pseudo-postępowéj, wypisując na sztandarach swoich: *Walka o byt*, wołają pogardliwie: „precz z poezyą! precz ze sztuką! precz z ideałem! nie patrzmy w przeszłość, to kula uwiązana u stóp naszych, co wstrzymuje pochód ku przyszłości! nie naśladujmy ojców: oni umieli umierać, nam potrzeba żyć!" Podczas gdy te i tym podobne głosy potrącają wciąż ucho, niby chóry cmentarnych puszczyków, widzimy z drugiéj strony potężne oddziaływanie, przeciw takiemu kierunkowi. Oddziaływanie to objawia się w owych wspaniałych manifestacyach, jakiemi ludy składają hołd wielkim mężom, którzy uświetnili przeszłość ich narodową. Nigdy ten popęd nie objawił się tak potężnie jak w tym roku.

Rzućmy tylko okiem po świecie: Niemcy budują pomnik Armiuszowi, słynnemu niegdyś pogromcy Rzymian, piérwszemu jakoby

twórcy idei pangermańskiéj; w Atenach obchodzą stóletnią pamiątkę urodzin wielkiego starożytnika swego Winkelmana. Anglicy składają w Westminsterze prochy sławnego Liwingstona, na wielkim placu londyńskim wznoszą Byronowi pyszny monument, na który Grecy dostarczają marmuru z Paros. Francuzi budują w Saint Malo, posąg Chateaubriandowi, protoplaście szkoły romantycznéj, poprzednikowi Huga i Lamartina, w Rouen czczą pomnikiem narodowego kompozytora Boieldieu, genialnego twórcę Damy Białéj. Włosi nakoniec wznoszą w Bergamo grobowiec Donizettemu, w Ferrarze obchodzą jubileusz Ariosta, we Florencyi wyprawiają najwspanialszą ze wszystkich uroczystość na chwałę Michała Anioła.

Nie naszą rzeczą opisywać te narodowe obchody, dostatecznie mówiły już o nich wszystkie pisma codzienne. Zapisujemy tylko fakt, przyklaskując szczerze tym gorącym objawom, które protestują tak żywo przeciw realistycznemu kierunkowi. Wielka manifestacya florencka na rzecz olbrzyma sztuki chrześcijańskiéj, jakże wymowną daje odpowiedź propagatorom nowéj szkoły, którzy jak Taine, professor akademii sztuk pięknych w Paryżu, zdzierają czterowiekowe bluszcze z czoła nieśmiertelnych idealistów włoskich, ukazując pogańską starożytność, jako jedyny wzór godny naśladowania!

Florencya wierna artystycznym tradycyom, dała dowód wytwornego smaku, wznosząc mistrzowi, który okrył ją taką chwałą, monument złożony z arcydzieł wykonanych nieporównaném jego dłutem. Sławny Dawid, odlany ze spiżu, otoczony czterema alegorycznemi figurami z grobowca Laurentego Medyceusza, godnie wieńczy wzgórza *San Miniato*, od strony tych wałów, które Michał Anioł sypał niegdyś własnemi rękoma, które własną osłaniał piersią.

Ów sławny pomnik Medyceusza, zwany *il Pensiero*, myśliciel, wykonany był w czasie, kiedy mistrz liczył około lat sześćdziesiąt. Cztery otaczające go figury, dziś odlane ze spiżu, przedstawiają *Dzień*, *Noc*, *Zmierzch wieczorny* i *Zorzę*. Noc w postaci uśpionéj niewiasty, przemówiła szczególniéj do poetów współczesnych. Na jéj widok Strozzi taki nakreślił czterowiersz:

O! jak snem słodkim, owa noc spoczywa,
Dłutem anioła wykowana w niebie;
Patrz w jéj oblicze... ona śpi... więc żywa:
Zbudź jeśli wątpisz... przemówi do ciebie!

Michał Anioł odpowiedział na to innym czterowierszem:

Słodko mi spać, lecz słodziéj mieć pierś marmurową,
Gdy w około mnie boleść, sromota i trwoga;
Bodaj nie czuć! nie widzieć! nim wyrzeczesz słowo,
Zatrzymaj się niebaczny: nie budź mnie, na Boga!

Michał Anioł do pięćdziesiątego roku życia miłował wyłącznie sztukę; serce mistrza nie uderzyło dotąd nigdy, poruszone osobistém

uczuciem. Bliski starości ukochał jednak w Rzymie młodą wdowę. Wymalował dla niéj Chrystusa na krzyżu, Matkę Boską bolesną, i Jezusa z Samarytanką u studni. Ale rzymianka nie płaciła mu wzajemnością; aby uniknąć niemiłych jéj zabiegów starca, schroniła się do klasztoru Świętéj Katarzyny w Witerbo; tam umarła niebawem. Wielki artysta niepocieszony po téj stracie, pisał rzewne sonety, poświęcone drogiemu jéj wspomnieniu. Zbiór ich wydrukowano w Parmie w r. 1544. Te sonety odznaczają się stylem pełnym życia i siły. Akademia *della Crusca*, policzyła je wraz z sonetami Danta, do najszacowniejszych pomników języka włoskiego.

Rękopism owych sonetów zachowany jest w domu, który Michał Anioł zajmował niegdyś we Florencyi. Podczas manifestacyi tegorocznych, miasto ozdobiło ten dom pyszném popiersiem mistrza. W tém pomiątkowém muzeum, obok niezliczonych rzeźb i szkiców, pomieszczono portret Michała Anioła z lat młodzieńczych, a przy nim dwa kosztury z prostego drzewa, któremi dziewięćdziesięcioletni starzec wspierał chwiejące kroki.

W paryzkim teatrze Wodewillu, podobał się powszechnie jednoaktowy obrazek dramatyczny wierszem poety genewskiego, p. Mare Monier, pod tytułem *Madame Lilli.* Obrazek to prosty ale sympatyczny, pełen świeżości i wdzięku. Oto treść jego w kilku słowach.

Pan Vaubertin, poważny człowiek kilku akademii, oddany wyłącznie naukom, podczas wypoczynku letniego, podróżuje po Szwajcaryi z młodą siostrzenicą. Aby uniknąć złośliwych uwag turystów daje do zrozumienia że piękna Lilli jest jego żoną. Podróżująca para spotyka w drodze przyjaciela domu, malarza René. Jest to rodzaj don Juana, goniącego za coraz to nowym ideałem. Rene znał od dziecka piękną Lilli, nigdy jednak wdzięk jéj nie uderzył go w oczy tak silnie, jak teraz gdy wié że jest żoną innego; a co więcéj gdy poślubiła starego męża. Malarz staje się nieodstępnym towarzyszem podróżnych; zwiedza wraz z nimi szczyty gór, jeziora i wodospady. Stary akademik patrzy z uśmiechem na młodego przyjaciela, odgaduje uczucie rodzące się coraz silniéj w jego sercu; wreszcie odkrywa tajemnicę.

— Ona jest wolną—rzecze—skoro ją kochasz, możesz się z nią ożenić.

Rene chwyta za słowo, ale ze strony Lilli spotyka mocny opór. Młoda panienka nie może mu przebaczyć dawnego zaniedbania, a bardziéj jeszcze niewczesnych zalotów, odkąd widział w niéj cudzą żonę. Malarz pokonany szczerém uczuciem, przyznaje się do winy, błaga przebaczenia; nie mogąc go otrzymać, oddala się z rozpaczą. Łza błysła mu w oku: ta łza przemawia silniéj niż słowa, do serca pięknéj Lilli. Zniewolona podaje rękę malarzowi, który zrzeka się na przyszłość niebezpiecznéj roli don Juana.

Autor dla oryginalności, napisał sztuczkę tak zwanym wierszem wolnym, to jest różnosylabowym, jakiego Lafontain używał w swoich

bajkach. Wiersz dwónastosylabowy miesza on swobodnie z ośmiozgłoskowym, i to w nieregularnych odstępach, rymy też przekłada najdowolniéj, wbrew przyjętemu zwyczajowi. Francuzi zamiłowani w greckich hexametrach, i poważnych aleksandrynach, nie mogą oswoić się z tego rodzaju wierszem; ztąd wywiązała się pomiędzy krytykami dosyć zacięta polemika: podczas gdy jedni pochwalają właśnie tę wolność, przystającą do lekkiego tonu sztuczki, inni powstają na śmiałe nowatorstwo. Kto zwycięży, trudno dziś jeszcze zgadnąć. Mylą się jednak ci ktorzy sądzą, że swoboda formy ułatwi pracę poetom. Któż nie wié, że jeśli wytrawnym tylko malarzom wolno rzucać na płótno szkice, tak samo prawdziwy tylko mistrz słowa ma prawo przyjąć formę, niby to łatwą, wymagającą przecież artystycznego smaku, i głębokiéj znajomości języka, aby przy wielkiéj swobodzie utrzymać się w granicach, i nie wpaść w trywialność.

Z DZIEDZINY PRZYRODOZNAWSTWA.

Fotografia i jéj stosunek do astronomii.—Prace dokonane na polu fotografii astronomicznéj.—Obserwatorya astronomiczne w Stanach Zjednoczonych i Ameryce Południowéj.—Obserwatorya europejskie.

Poprzednie sprawozdanie nasze przeważnie poświęcone było geologii i paleontologii. Zlekka tylko dotknęliśmy jednéj ogólnéj kwestyi, mogącéj zarówno obchodzić geologa jak i astronoma, to jest tak zwanéj hipotezy nebularnéj, czyli hipotezy o mgławicach. Obecne sprawozdanie poświęcamy astronomii ze względu na znaczenie, jakie ma ta gałąź wiedzy. Jeżeli bowiem matematykę wielki nasz astronom, J. Śniadecki, nazwał „królową nauk," to astronomii, badającéj przyrodę przeważnie na podstawie matematyki, słusznie należy się jedno z piérwszych miejsc w szeregu nauk.

W ostatnich latach fotografia zrobiła tak wielkie postępy, dokonała takiego przewrotu w niektórych naukach, jak np. w dziedzinie astronomii, iż traktując o téj ostatniéj nauce, z konieczności musimy mówić o fotografii. Nie można sobie wyobrazić dwóch bardziéj różnych przedmiotów nad fotografię i astronomię. Astronomia, najdawniejsza z nauk, z któréj dumni byli starożytni kapłani chaldejscy i egipscy, stanowiąca przedmiot poglądów wszystkich filozofów greckich i dotąd jeszcze ulubione zajęcie uczonych, lubi spokojną samotność, jak powiada uczony astronom medyolański Giovanni Celoria: skromna, czy też dumna, stroni od tłumów, od których nie żąda natchnienia, zachęty i uznania. Postępuje niepostrzeżenie na czele wszystkich, nauk: uważnie badając wielkie fakta przyrodzone, odrywa umysł ludzki od abstrakcyjnych spekulacyj dawnych szkół, dokonywa najskuteczniejszéj rewolucyi, zapisanéj w historyi nauk, podstawia metodę do-

świadczalną w miejsce spekulatywnéj, rzuca podstawy handlu i bogactwa nowożytnego, prowadzi bezpiecznie okręty wśród oceanów, bada chronologię nowożytną, kieruje poszukiwaniami historycznemi wśród zamętu chronologij starożytnych, porządkuje i wyjaśnia opis zdarzeń nowszych, a przytém, że użyjemy słów uczonego astronoma medyolańskiego, z uśmiechem ironii słucha tych, którzy pytają się siebie samych o przyczynę i cel swego istnienia.

Fotografia, ten najnowszy wytwór umysłu ludzkiego, przeciwnie, nie jest ani nauką, ani sztuką; ma związek z nauką przez swój początek, zasady i metody, ze sztuką przez zastosowanie swoje. Jest najpopularniejszym z wynalazków naszego czasu: żyje wśród tłumów i im zawdzięcza swój szybki rozwój, rozdziela między te tłumy to, co wytwarza, w nich szuka punktu oparcia.

Fotografia i astronomia mają jeden tylko punkt wspólny, a mianowicie światło. Światło odkrywa przed okiem astronoma ciała niebieskie i ich ruchy, światło znaczy na czułéj płycie fotografa linie i kontury krajobrazu, odtwarza najzawikłańsze stosunki mechanizmu.

Przy zdejmowaniu fotografii ciał niebieskich, największą trudność stanowi sam ruch tych ciał. Trudność tę starają się pokonać z jednéj strony przez nadanie soczewce, która zbiera promienie światła, wychodzącego z ciał niebieskich (za pomocą mechanizmu zegarowego) podobnego ruchu, jakim jest ruch tych ciał, gdyż skoro soczewka i ciało niebieskie obraca się jednakowo, to obraz przez długi czas pozostaje stały w ognisku. Z drugiéj strony, chemii nowożytnéj nie trudno jest przygotować płyty fotograficzne nadzwyczaj czułe.

Ale astronomia żąda nie obrazów ciał niebieskich, mających wartość artystyczną; wymaga wizerunków mających szczególną wartość z punktu widzenia naukowego: astronomia chce spostrzeżeń. Dostrzegać, nie znaczy widzieć, nie znaczy przedstawiać, czyli raczéj dawać wizerunek; dostrzegać w języku astronomicznym znaczy mierzyć. Jeżeli tedy fotografia ma wstąpić do obserwatoryów, czyli dostrzegalni astronomicznych, powinna stać się metodą nową dostrzegania, nowym sposobem mierzenia. Obrazy dostarczane przez nią powinny mieć nie wdzięk rysunku artystycznego, ale ścisłość i dokładność czystego rysunku geometrycznego; powinny mieć takie wymiary i cechy, na mocy których astronom mógłby widzieć to, czego nawet uzbrojone oko widzieć nie może, na mocy których mógłby dokonywać pomiarów, przewyższających ścisłością wszystkie rezultaty dokonywane innemi drogami.

Powiedzieliśmy, że trudności, jakie pokonać trzeba, są nie małe. Przedewszystkiém nie dosyć jest odfotografować mały obraz, powstający w ognisku zwykłéj soczewki, sprowadzić następnie do większych wymiarów ten obraz i na kolejnych powiększeniach dokonać pomiaru. Ale ze zwiększaniem się obrazu fotograficznego jednocześnie zwiększają się i wady właściwe fotografii, a pomiary wzięte na obrazach z kolei powiększanych za pomocą sposobów używanych przez fotografów, nie budzą żadnego zaufania. Aby były ścisłe, powinny być dokonane na

obrazie, bezpośrednio odciśniętym przez promienie światła; a ponieważ ścisłość jednocześnie wymaga, aby pomiary te były dokonane na obrazach dostatecznie wielkich, to koniecznem jest, aby przy fotografowaniu ciał niebieskich uciekać się do takiego rozmieszczenia optycznego, któreby dawało na płycie fotograficznéj obraz ciała niebieskiego dostatecznych wymiarów.

Opierając się na licznych pracach specyalnych, rozprawach i artykułach, pomieszczanych w ciągu kilku ostatnich lat w różnych pismach, jakiemi są: „Nature," „Popular Science Review," „Scientific American," „American Journal of Science" i wielu innych źródłach, postaramy się przedstawić czytelnikom ogólny obraz postępów w dziedzinie astronomii w czasach ostatnich.

I.

O sposobach otrzymywania wielkich obrazów ciał niebieskich przy pomocy fotografii, jakich w popularnym artykule rozbierać nie możemy, ogłoszone zostały wyczerpujące studya i bardzo ciekawe doświadczenia, na podstawie których niepodobna jest wątpić o stanowisku, jakie zajmie w przyszłości fotografia, która stanie się metodą pomiarową, metodą dostrzegania astronomicznego. Przejrzyjmy więc prace fotografii astronomicznéj.

Dyrektor obserwatoryum astronomicznego w Cambridge (w Ameryce), professor Bond, piérwszy wykonał fotografią ciała niebieskiego. Przez położenie czułéj płyty w ognisku wielkiego refraktora o 38 centymetrach otworu, udało mu się otrzymać dagerotyp towarzysza naszéj planety. Miało to miejsce w roku 1850. Pracę tę podjął w 7 lat późniéj i sprostował wtedy pewne niedokładności piérwszego doświadczenia. W roku 1858 Porro i Quinet otrzymali w Paryżu znakomitą fotografią zaćmienia słonecznego z 15 marca, na któréj obraz Słońca miał 14 centymetrów średnicy.

Wszakże piérwszym znakomitym pracownikiem na tém polu, który dokonał całego nieprzerwanego szeregu doświadczeń fotograficznych, w swojém obserwatoryum w Kew (w Anglii), był Warren De La Rue. Jego znakomite doświadczenia, podjęte jeszcze w r. 1852, niezmordowana wytrwałość, jego wielkie prace nad Księżycem dały nowy impuls fotografii astronomicznéj. De La Rue piérwszy wykazał, jak pożyteczną, jak skuteczną może się stać fotografia tak przy budowie mapp, jak również przy badaniu powierzchni towarzysza naszéj planety. On piérwszy zaznaczył, że części Księżyca jednakowo świecące optycznie, nie są takiemi chemicznie; że światło i cień obrazów fotograficznych księżycowych nie odpowiadają w każdym przypadku światłu i cieniowi obrazów optycznych.

Fotografia części powierzchni Księżyca bliższéj brzegu ciemnego otrzymuje się z wielką trudnością; wtedy, aby odbić wyraźnie obraz okolic oświeconych przez promień bardzo pochyły, potrzeba 5 do 6 ra-

zy dłuższego czasu, niż w przypadku przyjaźniejszego oświetlenia. Nierównie łatwiéj zdjąć wysokie płaszczyzny półkuli południowéj Księżyca, aniżeli doliny, czyli tak zwane morza, w które obfituje półkula północna. Fakta te skłoniły Warrena De La Rue do przypuszczenia, że Księżyc, wbrew opinii powszechnie wyznawanéj przed kilkoma laty, może miéć atmosferę nadzwyczaj nizką, ale bardzo gęstą, i że tak zwane morza księżycowe mogą to być rozległe lądy, pokryte roślinnością.

Z kolei De La Rue zajął się zdejmowaniem fotografii niektórych planet. Zakrycie Jowisza przez Księżyc, w listopadzie 1858 roku, dostarczyło mu sposobności porównania blasku względnego oraz siły aktynicznéj towarzysza naszéj Ziemi i pomienionéj planety. Jowisz przedstawiał blady zielonawy odcień, nie był jaśniejszy od krateru Księżyca zwanego Platon; moc blasku jego wynosiła zaledwie $^1/_3$ ogólnego blasku Księżyca, władza aktyniczna jego światła wynosiła około $^5/_6$ w porównaniu z siłą aktyniczną światła Księżyca.

Przy badaniu Saturna potrzeba było 12 razy więcej czasu, niż przy Jowiszu, do przygotowania fotografii jednakowéj doskonałości. Po pewnym czasie udało się Warrenowi De La Rue otrzymać w ciągu 15 sekund, fotografią Saturna i Księżyca w chwili właściwéj, w któréj planeta ta wychodziła z poza tarczy Księżyca. Znakomity ten astronom we wszystkich swych doświadczeniach używał teleskopu, reflektora, i za pomocą znanych sposobów powiększał obrazy fotograficzne, dawane przez ten instrument. Dopiero późniéj wprowadził w używanie, w swojém obserwatoryum, fotoheliograf, i z pomocą tego narzędzia przedsięwziął szacowny szereg fotografij słonecznych, których pomiary mikrometryczne nie zostały jeszcze ukończone i właśnie odbywają się w roku bieżącym.

W ostatnich czasach fotografie słoneczne zostały wykonane w wielu miejscach, w różnych krajach. Z okazyi zaćmień Słońca, które miały miejsce od r. 1868, zawsze stosowano fotografią do ich obserwowania, a w przejściu planety Wenus przez tarczę słoneczną, które odbyło się w d. 9 grudnia 1874 r., metoda fotograficzna zajęła pierwsze miejsce pomiędzy metodami obserwacyjnemi.

Na tém miejscu wypadałoby się zająć bliżéj wspomnianém już wyżéj przejściem planety Wenus przez tarczę słoneczną, tym największym wypadkiem astronomicznym XIX stulecia. Ze względu jednak, że kwestya ta pobieżnie traktować się nie daje, że wymagałaby wiele miejsca, a co większa że nie zostały jeszcze ogłoszone wszystkie rezultaty, kwestyi téj dotyczące, zmuszeni jesteśmy odłożyć na późniéj ten przedmiot i w oddzielnym artykule go opracować.

W wielu obserwatoryach zdejmowanie fotografij słonecznych stało się jedną z prac regularnych i normalnych. W samém obserwatoryum królewskiém w Greenwich, poczynając od 1 czerwca 1873 roku, zdejmowano przy każdéj sposobności fotografią Słońca. Według sprawozdania dyrektora tego obserwatoryum [1]), astronoma Sir G. Airy,

[1]) „The Astronomer Royal's Annual Report."

niektóre z tych fotografij przedstawiają szczególny interes: budowa fotosfery, jaką wykazują niektóre, jest prawdziwie godna uwagi, nie tylko sama przez się, ale nawet dlatego, że dowodzi, o ile w tym przypadku specyalnym fotografia przewyższa zwykłą obserwacyę.

Opinia tego astronoma ma wielkie znaczenie na korzyść fotografii słonecznéj, i nabyłaby jeszcze większéj wagi, gdyby zdołano również otrzymać bezpośrednią fotografię wyskoków słonecznych (protuberancyj). Wyskoki te nie mogą być widziane współcześnie na cielo Słońca, w skutek wielkiéj różnicy w natężeniu światła. Sposoby, jakie wynaleziono dla uwidocznienia tych wyskoków, nawet kiedy tarcza słoneczna nie jest zakryta przez Księżyc, opierają się wszystkie na monochromatyzmie ich światła. Kiedy od białego i jaśniejącego światła Słońca oddzielony zosta nie ten tylko kolor, który jest wspólny i wyskokom, natężenie świetlne tych wyskoków i ciała słonecznego daje się porównać za pomocą oka, a tém samém wyskoki stają się bezpośrednio widzialne. Cel ten można osiągnąć dwoma sposobami: albo za pomocą pochłaniania, przez zmuszenie światła białego Słońca do przechodzenia przez środek zabarwiony, albo za pomocą rozpraszania, przez używanie aparatu spektralnego.

Przy bezpośredniém dostrzeganiu wyskoków, od wielu lat używa się ta druga metoda, oparta na dyspersyi czyli rozproszeniu téj części widma słonecznego, którego kolor nie odpowiada kolorowi wyskoków. Braun wymyślił specyalny przyrząd spektroskopowy do otrzymania bezpośredniéj fotografii wyskoków; ale nie zdaje się, tak przynajmniéj utrzymuje wielu astronomów, a między innymi i medyolański professor Celoria, aby jego rezultaty praktyczne odpowiedziały oczekiwaniu.

Professor fizyki uniwersytetu kordobskiego (w Rzeczypospolitéj Argentyńskiéj), Schultz-Sellak, proponuje osiągnąć cel, którego nie zdołał otrzymać Braun, na podstawie prawa pochłaniania. W tym celu przez przepuszczanie promieni słonecznych, przez soczewkę pokrytą warstewką jodku srebra, można otrzymać na płycie, przygotowanéj za pomocą jodku, bezpośrednią fotografią wyskoków [1]). Teoretycznie nie można nic zarzucić tym wywodom Schultz-Sellaka, wymamagają tylko sprawdzenia doświadczeniem.

Fotografia niebieska nie zatrzymała się na ciałach systemu słonecznego; zuchwale zwróciła się ku gwiazdom. W kwietniu 1857 r., professor Bond zastosował ją do oznaczania ich wielkości, oraz do mierzenia odległości i kąta położenia gwiazd podwójnych. Śmierć spotkała go właśnie, kiedy to nowe zastosowanie fotografii zdawało się wymagać całéj jego uwagi, i kiedy udało mu się otrzymać obrazy fotograficzne gwiazd nawet szóstéj i siódméj wielkości. Ruterfurd w No-

[1]) Objaśnienie tego wymaga dokładnéj znajomości analizy spektralnéj, bez której nie byłoby zrozumiałe, i dlatego pomijamy je na tém miejscu, ze względu, iż nie miałoby znaczenia dla ogółu czytelników, dla którego głównie przeznaczone są sprawozdania niniejsze.

wym-Yorku, który wielkie położył zasługi na polu fotografii niebieskiéj przez rozwiązanie zagadnienia o achromatyzmie chemicznym objektyw, podjął nanowo zadanie, prowadzone z takiém powodzeniem przez Bond'a, i prowadząc je daléj, zdołał odfotografować jeszcze gwiazdy ósméj i dziewiątéj wielkości.

Największą przeszkodę przy fotografowaniu gwiazd stanowi to, iż przez długi czas obraz ich należy utrzymywać w stanie stałym na płycie fotograficznéj czułéj. Gwiazd pierwszéj i drugiéj wielkości otrzymuje się piękny obraz fotograficzny już po krótkiém wystawieniu, wszakże dla odfotografowania gwiazd dziewiątéj wielkości potrzeba płyty wystawiać przeszło na 8 minut. W ciągu tak długiego czasu, nawet kiedy mechanizm, udzielający instrumentowi ruch jednoczesny i równy pozornemu ruchowi dziennemu gwiazd, jest doskonały, stałość obrazu bywa zakłóconą przez refrakcyę atmosferyczną, która zwiększa się wraz ze wzrostem odległości zenitowéj gwiazd, i zmienia się wraz ze zmianą składu warstw atmosferycznych. Wśród takich warunków fotografowanie gwiazd staje się prawie niepodobne; obrazy gwiazd świetnych wychodzą wielkie, rozlane, gwiazdy słabo oświecone pozostawiają na płycie czułéj odcisk niepewny, niewyraźny. Pomimo to jednak Rutherfurd doszedł do znakomitych rezultatów przez wielokrotne długie wystawianie płyty fotograficznéj i nadawanie pewnego nieznacznego ruchu narzędziu. Ale szczegóły te zaznaczamy tylko na tém miejscu, odsyłając ciekawych do specyalnych traktatów [1]).

Niektórzy Amerykanie północni, na propozycyę Rutherfurda, wysłali własnym kosztem professora Schultz-Sellaka do Kordoby, aby tam, w obserwatoryum Rzeczypospolitéj Argentyńskiéj, zdejmował fotografie gwiazd południowych. Uczony ten miał do swego rozporządzenia refraktor achromatyzowany dla promieni fotograficznych o 28 centymetrach otworu i 4 metr. odległości ogniskowej. Z pomocą tego narzędzia udało mu się zebrać obfite żniwo na półkuli południowéj, tak bogatéj w gwiazdy. Wybrał przeszło dwadzieścia grup gwiazd, większą część w konstelacyi *Argusa*, niektóre w *Psie Wielkim*, inne w *Niedźwiadku*. Pomijąc szczegóły, powiemy, że rezultatem tego było odbicie na płycie fotograficznéj obrazów przeszło ośmiuset gwiazd.

Widząc tak wielkie rezultaty, rząd Rzeczypospolitéj polecił nabyć nową, silniejszą objektywę fotograficzną, aby można było z powodzeniem prowadzić daléj prace fotografii niebieskiéj.

II.

Skorośmy już w wędrówce naszéj przebyli Atlantyk, to zamierzając rzucić dorywczy szkic obserwatoryów astronomicznych, zacznijmy od amerykańskich.

---

[1]) Między innymi wiele pracował na tém polu dr. Herman Vogel, który wydał dzieło o chemii fotograficznéj pod tytułem „Chemia światła i fotografia,

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj jest jedno tylko obserwatoryum, utrzymywane kosztem Państwa. Inne, a jest ich kilka, powstały wszystkie z inicyatywy prywatnéj i zawdzięczają istnienie swoje prywatnéj pomocy. Jestto charakterystyczną cechą ludu amerykańskiego, u którego duch przedsiębiorczości jest powszechnie panującym, i każdy pojedyńczy człowiek z otoczenia, w którém się rodzi, nabywa szybko wielkiéj świadomości swojego własnego znaczenia, umié przedstawiać siłę i energię socyalną.

Przed trzydziestu laty, Ameryka Północna nie miała ani jednego obserwatoryum. Dziś oprócz obserwatoryum narodowego w Waszyngtonie, liczy obserwatoryum Dudleyskie w Albany, obserwatoryum kolegium Hamiltona w Clinton, obserwatoryum uniwersytetu miczygańskiego w Ann Arbor, obserwatoryum dearbornskie w Chicago, obserwatoryum kolegium Harwardzkiego w Cambridge, obserwatoryum kolegium Yalskiego w Newharen, obserwatoryum astronomiczno-fotograficzne L. Rutherfurda w Nowym-Yorku, obserwatoryum kolegium Dartmuckiego, oraz pewną ilość obserwatoryów mniejszych, nieznanych w świecie naukowym. Wszystkie te obserwatorya świeżego początku są zbudowane, rzecz naturalna, według nowożytnych wymagań metod astronomicznych, i według zasad wskazywanych przez ciągły postęp nauki, w téj staréj, ale dzielnéj, jak powiada Celoria, cywilizacyi europejskiéj. Ztąd téż nie występują wpośród miast, nie stanowią części pałaców publicznych, nie mają wież. Tworzą same przez się całość, postawioną w miejscu szczęśliwie wybraném, gdzie ruch i życie wrzące miasta nie zakłóca położenia instrumentów, trzymanych po większéj części najniżéj, i ustawionych na wielkich i stałych fundamentach.

Wszakże biorąc z Europy ogólną normę budowy obserwatoryów, Amerykanie umieli nadać im szczególną fizyognomią, i tu, podobnie jak w każdéj innéj rzeczy, przedstawić poniekąd swoją naturę. Dwie rzeczy są charakterystyczne w obserwatoryach amerykańskich: ciągłe usiłowanie zastępowania pracy ludzkiéj pracą machin, oraz olbrzymie wymiary instrumentów.

Professor Weiss, astronom obserwatoryum wiedeńskiego, który w r. 1873, wysłany przez rząd austryacki, zwiedził główne zakłady astronomiczne amerykańskie, znalazł w Albany wielką maszynę, wynalezioną przez G. E. Sheutza w Sztokholmie, a zastosowaną do obliczania tablic refrakcyi: maszyna ta wprawioną była w ruch za pomocą koła, obracanego przy pomocy walca i takim sposobem przekształconą w prawdziwego rachmistrza automatycznego.

Ten sam duch, który utworzył zadziwiające maszyny do szycia, maszyny do rachowania, że już zamilczymy o innych, panuje i w obserwatoryach astronomicznych. We wszystkich obserwatoryach Stanów Zjednoczonych, bez żadnego w tym względzie wyjątku, obserwacye meteorologiczne wykonywane są za pomocą instrumentów samopiszą-

---

w zastosowaniu do sztuki, nauki i przemysłu", a oprócz tago pomieszcza artykuły kwestyi téj dotyczące w Poggendorff's Annalen.

cych (regestratorów i automatycznych). W niektórych z nich astronomowie powierzają tego rodzaju instrumentom wszelkie obserwacye, nawet najdelikatniejsze. W obserwatoryum Dudleyskiém np., professor Mitchel wynalazł maszynę do katalogowania gwiazd, i bezpośredniego wykonywania map niebieskich.

Co się tyczy wymiarów instrumentów astronomicznych, Amerykanie mają właściwe sobie pomysły. Te, które mają mniéj niż sześć cali otworu, to jest około piętnastu centymetrów, uważane są za przedmioty zbytku i zabawy; te, których otwór zawiera od siedmiu do dziewięciu cali, to jest od piętnastu do dwudziestu trzech centymetrów, uważane są za zdatne do wykładu zasad nauki; tylko mające otwór przechodzący dziewięć cali uważane są za dostateczne do badań naukowych. W Europie mało obserwatoryów posiada narzędzia o otworze 9 cali. W Ameryce obserwatoryum w Ann Arbor ma refraktor o 12½ calach, czyli około 31 c. otworu; obserwatoryum Dudleyskie o 13, Klintońskie o 13½ calach, obserwatoryum w Cambridge o 15 calach (38 centymetrów) otworu. Obserwatoryum w Chicago posiada wielki refraktor o otworze 18½ cal., czyli 47 centym., z pomocą którego Alvan Clark, syn znakomitego konstruktora tego narzędzia, znalazł 31 grudnia 1862 r. towarzysza Syryusza, a obserwatoryum waszyngtońskie posiada obecnie największy na świecie instrument tego rodzaju, o otworze 26 cali czyli około 66 centym., wyszły również z rąk Alvana Clark.

W tym Alvanie Clark, z młodości malarzu, a obecnie najznakomitszym konstruktorze narzędzi optycznych, Ameryka posiada gieniusz, który pracuje nad zaspokojeniem jéj zamiłowania do olbrzymich teleskopów. W kilka lat z jego pracowni wyszły dwa najsilniejsze szkła przedmiotowe, jedno 47, drugie 66 centym. mające, a obecnie pracuje nad trzeciém niemniejszych rozmiarów. Szkła przedmiotowe, wyrobione przez najznakomitszych optyków, przechodząc przez ręce Clarka, zyskują wiele, jak zapewniają astronomowie amerykańscy, tak pod względem jasności, jak również pod względem dokładności obrazu. Ale rzecz ta więcéj obchodzić może Amerykanów, tych wielkich fabrykantów w wykonywaniu każdego przedsięwzięcia, i dlatego nie rozwodzimy się nad nią na tém miejscu. Dodamy tylko, że w optyce nie wszystko jest metodą, procesem mechanicznym; nie jedna rzecz wymyka się z pod pewnego stałego prawa i w całości, zwłaszcza kiedy chodzi o wykonanie praktyczne, zależy od ręki i talentu wykonawcy [1]).

Mówiąc o nauce w Ameryce, mamy po większéj części na myśli Stany Zjednoczone. Ameryka jednak Południowa, jakkolwiek pozostaje daleko po za Północną, pod każdym względem, w ostatnich latach swojém naukowém przebudzeniem się zwróciła na siebie uwagę. Rząd Rzeczy-

[1]) Po bliższe szczegóły o obserwatoryach amerykańskich odsyłamy do pięknego illustrowanego artykułu „Observatories in the United States," pomieszczonego w londyńskim tygodniku naukowym „Nature" (nr. 245 i 246, z roku 1874).

pospolitéj Argentyńskiéj założył w Kordobie wielkie i dobrze zaopatrzone we wszystkie potrzeby obserwatoryum astronomiczne, od którego nauka może wiele oczekiwać. Dyrektorem jego jest Dr. Gould. W Chili, w Santiago istnieje już od wielu lat obserwatoryum. Brazylia, dzięki zamiłowaniu do badań astronomicznych swego cesarza, liczy również obserwatoryum, które znajduje się w stolicy tego kraju. Nawet w Quito, w Rzeczypospolitéj Ecuador, znajduje sią obserwatoryum, którego dyrektorem jest O. Menten.

Przechodząc z kolei do starego lądu, nie mamy wcale zamiaru szkicować szczegółowo obserwatoryów astronomicznych europejskich, jakkolwiek posiadamy bogaty do tego materyał w specyalnych artykułach, opisujących główniejsze obserwatorya astronomiczne, a mianowicie w wymienionych na wstępie pismach a głównie w tygodniku londyńskim „Nature," zostającym pod redakcyą najznakomitszego dzisiejszego astronoma, Normana Lockyera. Byłaby to praca długa, nie odpowiednia dla Biblioteki. Chcemy tylko pokrótce przebiedz główniejsze miejsca, przeznaczone na rozwój nauki astronomicznéj.

Astronomia nie jest rośliną, występującą oddzielnie. Tam, gdzie nauka w ogóle znajduje się w kwitnącym stanie, astronomia również kwitnie. Jest to szczególny fakt, zasługujący na zaznaczenie, że narody posiadające naukę, posiadają jednocześnie bogactwo i potęgę, i prawdą jest, że znaczenie pewnego narodu wynika z trzech czynników: siły, bogactwa i nauki; czynników, które idą drogami równoległemi, razem się rozwijają, razem chylą się do upadku i razem dochodzą do kulminacyjnego punktu. Ztąd i w astronomii, podobnie jak w każdéj innéj rzeczy, Anglia, Francya i Niemcy ubiegają się między sobą o pierwszeństwo w Europie, i niektórzy są zdania, iż po nich inne narody szykują się w takim porządku, że ktokolwiek ugrupowałby je według ich znaczenia politycznego, naznaczyłby im prawie dokładnie stanowisko, jakie im przypada ze względu na ich znaczenie na polu naukowém.

W Europie większa część obserwatoryów powstaje i utrzymuje się kosztem rządów; i nie można się temu dziwić, bo jest to zgodne ze stanem społeczeństwa europejskiego. Wyjątek stanowi Anglia, gdzie jest wiele obserwatoryów prywatnych, i gdzie nawet w tym fakcie szczególnym napotykamy jeden z rysów charakterystycznych plemienia, od którego wzięli początek Amerykanie Stanów-Zjednoczonych.

Anglicy, lud żeglarski i *per excellentiam* praktyczny, dumni są z obserwatoryów, tego najsilniejszego środka rozwoju nauki astronomii. Najznakomitszém jest obserwatoryum królewskie w Greenwich, którego dyrektorami byli z kolei Flamsteed, Halley, Bradley, Maskelyne, Airy.

Oprócz obserwatoryum w Greenwich, występuje cała plejada obserwatoryów mniejszych, rządowych i prywatnych. W liczbie pierwszych znajdujemy obserwatorya w Oxfordzie, Cambridge, Edymburgu, Dublinie, Glazgowie; w liczbie drugich między innemi obserwato-

rya: Warrena De La Rue w Kew, Barclay'a w Leiton, Bishop'a w Twickenham, Hugginsa, Lindsay'a w Aberdeenshire, Lockyera, Rosse'a. I jak gdyby te nie wystarczały, w Oxfordzie rozpoczyna się budowa obserwatoryum, przeznaczonego specyalnie do dostrzegań, które w Anglii nazywają zazwyczaj obserwacyami fizyki astronomicznéj, jakiemi są np. obserwacye fotograficzne i mikroskopowe.

Dwie rzeczy szczególniéj zasługują na zaznaczenie w obserwatoryach angielskich: nadzwyczajna, przekazywana tradycyą wielkość instrumentów (teleskop Herszla miał 40 stóp, a niemniéj znakomite były teleskopy lorda Lassell i lorda Rosse) oraz zgodność, że tak powiemy, ich pracowników. Towarzystwo astronomiczne królewskie, w swojéj znakomitéj miesięcznéj publikacyi *Monthly Notices*, ogłasza raport roczny obserwacyj, dokonanych w każdém obserwatoryum, czy to publiczném, czy prywatném, nie wyłączając nawet odległych obserwatoryów na Przylądku Dobréj Nadziei, w Melbourne i Sydney, które uważane są za należące do jednego ojczystego kraju.

Niemcy mają również Towarzystwo Astronomiczne, bardzo rozpowszechnione czasopismo astronomiczne *Astronomische Nachrichten*, obserwatorya pierwszorzędne, a co ważniejsza, znakomite fabryki narzędzi optycznych.

Obserwatorya astronomiczne w Niemczech, o ile wiadomo, wszystkie są własnością rządową. Do najznakomitszych należą: obserwatoryum królewskie, które pracami znakomitego astronoma Bessela wielką zjednało sobie sławę; obserwatoryum w Getyndze, przypominające nam imię jednego z największych matematyków, Gaussa; obserwatoryum altońskie przeniesione do Kiel, znakomite tém, że ztąd wychodzą *Astronomische Nachrichten*, założone przez Schumachera. W końcu należy tu wymienić niektóre inne miasta niemieckie, posiadające obserwatorya, jakiemi są: Berlin, Bonn, Düsseldorf, Hamburg, Lipsk, Mannheim, Wrocław, i t. d.

We Francyi, jedynemu obserwatoryum paryzkiemu, znakomitemu tak instrumentami jak również liczbą obserwatorów i wysokiém swojém znaczeniem, dorównywają tylko obserwatorya w Greenwich i Pulkowie. Obserwatoryum bowiem marsylskie jest tylko filią paryzkiego i przeznaczone specyalnie do badań nad kometami, urządzone zaś w Tuluzie nie ma obecnie wielkiego znaczenia. W roku zeszłym jednak francuzka Akademia Nauk powzięła myśl założenia nowego obserwatoryum, przeznaczonego na badania z dziedziny fizyki astronomicznéj, i podobnego do tego, jakie obecnie Anglicy budują w Oxfordzie.

Obserwatorya w Rossyi i Polsce powszechnie są znane i dlatego ich tu nie wymieniamy. Najznakomitsze jest pulkowskie.

Włochy zajmują w astronomii dosyć ważne stanowisko, które winny więcéj geniuszowi swoich astronomów [1]), niż wielkości instru-

[1]) Dosyć jest na poparcie tego twierdzenia, wymienić imiona Secchi'ch, Schiaparelli'ch, i innych astronomów.

mentów, albo też urządzeniu swoich obserwatoryów. Liczba ich nie mała. Dosyć jest wymienić obserwatorya w Bolonii, Florencyi, Medyolanie, Modenie, Padwie i Rzymie. Obserwatoryum tym, jak powiada Celoria [1]), aby były w stanie kwitnącym, brak odpowiednich narzędzi, co jest tém gorsze, że w kraju nie znajdują w ogóle poparcia, że nie są tam rozwinięte zakłady optyczne i mechaniczne. Pod tym względem szczególnie ważne są obserwatorya w wielkim kraju, że wymagają do swego istnienia, do swego rozwoju i pomyślności dwóch rodzajów przemysłu najszlachetniejszych i najtrudniejszych, możnaby powiedzieć, bo każdéj chwili nauki obserwacyjne czują ich potrzebę, t. j. zakładów optycznych i mechanicznych.

Inne kraje europejskie, od Portugalii do Szwecyi, mają również swoje obserwatorya, ale w żadnym z nich niema właściwie prawdziwego ruchu, prawdziwego życia astronomicznego. Są to, jak powiada Celoria, tylko strumyki, które wpadają do wielkiéj rzeki francuzko-niemiecko-angielskiéj [2]). Istnieją obserwatorya w Lizbonie, Madrycie, Brukselli i Kopenhadze; liczy ich kilka i Szwajcarya, a mianowicie w Genewie, Neuchatel i Zürich: wreszcie Szwecya i Norwegia, Hollandya, Grecya, Turcya mają swoje obserwatorya w Upsali, Sztokholmie, Christianii, Lejdzie, Utrechcie, Atenach i Konstantynopolu.

Przechodząc do rezultatów naukowych, dotyczących ciał niebieskich, zaczniemy od tego, które jest najbliższe naszéj planety, t. j. od jéj towarzysza, Księżyca.

T. Skomorowski.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Kilka kwestyi, jako uzupełnienie zagadnień i kierunków. Przez L. Szczerbowicza-Wieczora. Warszawa. Część I, 1874, część II, 1875 r.

Przeciwnikom zasady *wszechlogizmu,* bezwątpienia nie na rękę będzie to, co się dzieje w świecie myślenia współczesnego. Patrzymy na fakta, dowodzące, że każda teorya, mająca wszelkie cechy jednolitości, nosi w sobie organiczny zaród rozdwojenia.

---

[1]) „A diventar fiorenti, questi Osservatorj mancano in gran parte di strumenti, e questo è il peggio, che in paese essi non trovano ancora al proprio svolgersi il voluto punto d'appoggio, l'industria ottica voglio dire, e dell' alta meccanica di precisione."

[2]) „Sono rigagnoli che vanno a finire nella fiumana massima franco-anglo-germanica."

Widok walki systematów w etyce, nauce przyrody, w teoryi prawa, zgoła we wszystkich gałęziach wiedzy, ani nas zasmucać, ani zadziwiać nie powinien. Nie powinien zasmucać, bo walka przeciwieństw, ogólnym swoim tokiem, prowadzi do pewnych wybitnych węzłów w nauce; ani też zadziwiać, bo wynika z opatrznéj konieczności porządku świata. Wszakże świat bytu i świat myśli, są to dwie *podobne figury*, w obu więc wzajemny stosunek sił działających ten sam być musi.

Nie ulega wątpliwości, że teorye naukowo społeczne, będące dziś w obiegu, ustawić się dadzą w imieniu dwóch zasadowych punktów wyjścia: z ducha lub materyi. „Kierunek, albo materyalistyczny albo realistyczny," dawna to zapewne i dobrze już przechodzona terminologia; ale cóż począć, skoro po za nią żaden kierunek samoistny pomyśléć się nie da. Chwila jednak obecna ma tę wyłączną ważność, że oba wspomniane organa z zakresu teoryi poczynają się wydzierać w dziedzinę stosunków życia.

I dlatego dziś niesłychanie pożądanemi są pisma orzekające, o ile to pewne dogmata z katedry i ksiąg przesadzonemi być mogą do gruntu, jaka będzie tu ich postawa w obec prawd. zdobytych na powolnéj drodze doświadczenia, w obec spadkowych przekonań i zmysłu powszechnego.

Autor „Kwestyi" założył sobie podobną ocenę; wystawia on nam cały poczet kierunków wygłaszanych przez prassę, w najgłówniejszych zakresach nauki i życia. Mamy tu przed sobą nietylko sprawozdawcę ruchu obecnego, ale i przeważająco—sędziego i krytyka. Barwy swojéj nie ukrywa p. Szczerbowicz: jest on stanowczym przeciwnikiem materyalizmu z wszelkiemi jego odcieniami lub przedłużeniami. Modła szkoły również jasno postawioną została: na przeciwko *egoizmowi i altruizmowi*, mamy tu na sztandarze *ideał dobra*, tradycyą i tradycyjne pojęcia o duszy, nieśmiertelności i t. p., słowem te wszystkie piérwiastki spadkowéj cywilizacyi, które zdaniem autora, przez niwelujący kierunek chwili obecnéj zagrożonemi zostały.

Walka z przeciwnikiem *poważnym* i prowadzona *poważnie*, z zimną krwią i objektywnym spokojem, jest zawsze godném uwagi zjawiskiem. I dlatego postanowiliśmy pomówić z czytelnikiem o piśmie p. Szczerbowicza-Wieczora.

W trzynastu rozdziałach (sześciu w I i siedmiu w II-éj części), autor, z zachowaniem pewnéj ciągłości wewnętrznéj, daje nam przegląd wybitniejszych opinii i godeł, pod jakiemi dzisiejsze płody literackie ukazują się w świecie publicznym, poczynając od religijności, a kończąc na walnéj bitwie klassycyzmu z realizmem na polu pedagogii.

Na wstępie autor zapowiada metodę konstrukcyjną: dowodzenia faktowe odrzuca z zasady.

Otóż na téj drodze wszelką działalność ludzką wyprowadza on z trzech naczelnych władz duszy: z myśli, uczucia i woli; żąda ich uprawnienia, oświadczając się stanowczo przeciwko apoteozie wiedzy. Religią uzasadnia głównie na uczuciu; istotę jéj, zdaniem p. Szczerbowicza-Wieczora, stanowi miłość, instynktowe ciążenie duszy ludzkiéj ku ideałowi piękna: „religijność jest uczuciem estetycznem.“ Dla dowiedzenia estetycznego źródła religijności, autor posługuje się trzema pojęciami ideałów: dobra, piękności i prawdy. Ideały „jako niedosięgalne w życiu, zwracają duszę mimowolnie w sfery nadziemskie, ku jéj niebieskiéj ojczyznie.“

Temu związkowi i pobratymstwu ducha z niebem p. Szczerbowicz-Wieczór poświęcił obszerny i prawdziwie świetny ustęp, za który każdy, uznający owe pobratymstwo, wdzięcznym mu będzie. Przedmiot unosi autora widocznie; dyalektyka miewa także natchnienia swojego rodzaju.

Żałujemy jednak, iż biorąc pojęcie ideału za podstawę uczucia religijnego, nie pomyślano tu o trwalszém umocowaniu *saméj podstawy*. Autor bowiem (str. 15), w formie następstwa, pozwala ideały nazywać „przekonaniami o potrzebie doskonałości.“ Jest to mimowolny wyłom, który, jak zobaczymy, naraża na ważne niebezpieczeństwa imię i całość bronionéj zasady.

Kto ideał nazywa *przekonaniem o potrzebie* doskonałości, ten zamiast postawić go o własnéj jego sile, przenosi we względny zakres umysłowości ludzkiéj, zdając na łaskę i niełaskę wszystkich jéj zwrotów i usposobień.

Ponieważ zaś autor, jak się z ogólnego toku pisma okazuje, ani na chwilę nie waha się uznać istotną, objektywną nieomylność uczucia religijnego, należało więc powiedzieć, iż tu jest mowa nie o saméj *istocie* owych wskazówek instynktowych, lecz tylko o ich rodowodzie psychicznym. Wówczas zrobione przez autora ustępstwo w zastosowaniu do religii, znaczyłoby po prostu, że człowiek, jako istota z *natury* swojéj religijna, wytwarza w sobie stopniowo, coraz wybitniejszą świadomość o owém pobratymstwie.

Tymczasem ideał postawiony przez autora, jako postulat natury ludzkiéj, pociąga nas siłą ciążenia logicznego, ku tym wszystkim konsekwencyom, z jakiemi wystąpili jużto przeciwnicy, jużto jednostronni rycerze tradycyi.

Arcy niebezpieczną jest rzeczą dyalektyka rozumująca w tym kroju, iż poczucie zimna lub głodu, daje nam rękojmię istnienia elizyum ciepła i sytości.

Nie wspominamy już o dobrodusznym Jakóbie Böhmie, który nam powiada bez ogródki, że „gdyby nie on, bóstwa nie byłoby ani na chwilę,“ pomijamy mniéj rubaszne, ale niemniéj stanowcze paradoksa francuzkie, jak np.: „Il créé l'homme à son image, et l'homme le Lui a rendu.“ Ale zamilczéć nie możemy o człowieku wysokiego

wpływu w swoim czasie, o Ludwiku Feuerbachu, który całą siéć swojéj polemiki osnuł na tym przesądzie metafizycznym.

Przystępując z kolei do rozstrzygnięcia najwyższéj z kwestyi religijnych, p. Szczerbowicz-Wieczór uznaje zasługi Kanta na tém polu i wiele przywiązuje do jego dowodów. Atoli szczerości Kanta w téj sprawie zbyt przeceniać nie należy. W ogóle bowiem rozumuje on w tym przedmiocie z pewną obawą, aby jego samego nie posądzono o brak wiary we własne dowodzenia.

Gdyby p. Szczerbowicz-Wieczór, tak gorąco, tak serdecznie broniący godła swojego, zamiast powag olbrzymich, ale w téj sprawie nadzwyczaj chwiejnych, sam posunął się daléj w nakreślonym przez siebie kierunku, wtedy cały grunt zyskałby niorównie więcéj spójności.

Prawdziwy zaszczyt poglądom p. Szczerbowicza-Wieczora przynosi jego ustęp o *moralności.* Podajemy go w krótkiém streszczeniu:

Popęd człowieka ku dobremu ma także źródło w ideale. Moralność jest z pochodzenia swojego apryoryczną. Na to, podług autora, mamy dwie główne rękojmie: powszechny głos ludzkości i sumienie. W obec moralności w imię ideału, autor stawia utylitaryzm t. j. moralność w imię korzyści. Następnie daje nam historyczny obraz rodzajów pojmowania dobra, poczynając od sofistów, aż do Locka i encyklopedyi, daléj przedstawia teoryę Kanta i jego następców. Słusznie zalicza do utylitarystów Locka; sam bowiem twórca „badań o umyśle ludzkości“ nie powiedziałby inaczéj o sobie: nie mógł on popierać w dziedzinie moralności tego, co odrzucił na polu spekulacyjném. Zasady moralne, podług Locka, pod względem pojęciowym, stoją nierównie niżéj aniżeli zasady spekulacyjne, albowiem potrzebują dowodzenia, tymczasem te mają cechę oczywistości.

W rozdziale p. t. „Wstręt do filozofii“ p. Szczerbowicz-Wieczór wysoko stawia znaczenie, broni samoistności filozofii, podajac za minimum jéj zasług: zdobycze formalne. Filozofia ma i stronę treściową, właśnie najważniejszą, treściową stronę stanowią systemata. Autor słusznie uznaje ważność obecnego zwrotu filozofii na pole psychologiczne.

Z powodu ciągle ponawianych wycieczek przeciw Darwinowi, sądzimy iż ze strony autora byłoby właściwém napomknąć, jeżeli już nie dowieść obszerniéj, o ile darwinizm uważanym być może za teoryę nową.

„Kwestya duszy“ daje autorowi obszerne pole do wypowiedzenia swoich przekonań. Pouczająco streszczone tu są dowody istnienia i niemateryalności duszy, a mianowicie: wydatna różnica pomiędzy jednostkami, oddziaływanie człowieka na samego siebie, mocą podmiotowości swojéj, świadomość jego o saméj téj podmiotowości, jedność i tożsamość samowiedzy.

Zestawienie Benekego z Condyllakiem i Lockiem nie zdaje się nam właściwém. Ma on wprawdzie sensualistyczne zacięcia, ale

sensualistą nie jest; obstaje za samoistnością duszy i za jéj duchową naturą. Co zrobiło Benekemu reputacyą materyalisty? prawdopodobnie to, że zerwał stanowczo z metodą metafizyczną.

Z powodu doktryn krańcowo-materyalistycznych, dostało się jak to mówią przez *odbitkę*, Heglowi za jego osławioną tezę „wszystko co jest, jest rozumném," któréj jak wiadomo nie przebaczył mu i nasz wielki myśliciel. Nie będzie ona przecież tak straszną, jak ją malują, jeżeli zrozumiemy ją w takim duchu, w jakim była wypowiedzianą.

W „poglądach na postęp i jego cele w historyi ludzkości" autor określa stosunek człowieka do przeszłości. Pojęcie „postępu" jako nowożytne, spowodowało go do nakreślenia w głównych zarysach rozwoju filozofii dziejów. Odróżnienie przeszłości od tradycyi jest bardzo trafne. Tradycya jestto „ostateczna treść otrzymana z przeszłości, i owa to treść, wynik, przekazywany z wieku na wiek, stanowi łączność dziejową. „Wadą jest wygórowana i bezwzględna cześć dla przeszłości, ale przed tradycyą, i tak zrozumianą tradycyą należy uchylić czoło."

W ocenie przesuwających się przed oczyma, kierunków obecnéj chwili, p. Szczerbowicz-Wieczór nie pominął i „kwestyi kobiécéj."

Zasługują na uwagę słowa autora, wyrzeczone na str. 80, w 2 c.

W ostatnich rozdziałach spotykamy równie zajmujące ustępy „o błędnych nowościach w kwestyi wychowania i nauczania." Zadaniem wychowania, mówi p. Szczerbowicz-Wieczór, jest rozwój i należyty układ wszystkich władz myślenia i poznawania."

Wykształceniu humanitarnemu autor przyznaje stanowczo wyższość; o kierunku realnym wyraża się z należytém uznaniem. Nie zgadzamy się jednak z autorem, aby jedynym tytułem usprawiedliwiającym ten kierunek, był utylitaryzm. Nauki przyrodzone ujęte na pewnéj wysokości, przedstawiają się także jako grupa *pojęć*, z któréj przy należytym wykładzie, wysnuć się dadzą żywioły humanitarne.

Niniejszy przegląd kończymy szczerém uznaniem pracy pana Szczerbowicza-Wieczora. Dotknął on w niéj najwydatniejszych dążności w obecnym ruchu pojęć, tak naukowych jak i społecznych; o ich zaletach i wadach wypowiedział sąd zdrowy, oparty na znajomości współczesnego stanowiska. Styl p. Szczerbowicza-Wieczora poprawny, w wielu miejscach świetny, w zupełności odpowiada naturze przedmiotu, jakkolwiek nie zgodzilibyśmy się na pewne zwroty, jak np. „główna rzecz w tém służyć rękojmią (za rękojmię)," środki przyjść (przyjścia) w pomoc." Również nie należałoby zasad przeciwników nazywać „teoryjkami, formułkami" i t. p.

A.

Illustrowany Przewodnik po Krakowie i jego okolicach, z dodaniem wszelkich wiadomości i objaśnień potrzebnych dla podróżnych, oraz opisu wszystkich znaczniejszych zdrojowisk w Galicyi, ozdobiony 30 rycinami oraz planem miasta Krakowa. W Krakowie nakładem księgarni i wydawnictwa „Czytelni ludowéj“ A. Nowoleckiego, 1875 r. (w 16-ce str. XLVI, 174 —88). Jest do nabycia we wszystkich księgarniach.

Od dawnego czasu dawała się uczuwać potrzeba przewodnika dla licznych wędrowców, którzy corocznie gród ten starożytny odwiedzają, głównie w przejeździe do zdrojowisk galicyjskich, jak Szczawnicy i Krynicy, lub do piękniejszych okolic Tatrów jak *Zakopane*, nieprzywodząc wielu innych miejscowości.

Miasto jak Krakow, tak bogate w zabytki sztuki i historyczne pamiątki, ma wprawdzie swych kronikarzy, pomiędzy którymi stoi na czele Ambroży Grabowski, ale te prace poświęcone tylko dziejom miasta i jego budowlom z pamiątkami, oraz bliższym okolicom, nie mogły służyć za podręcznego przewodnika dla podróżnego, który w przelocie przez gród ten radby nietylko poznać ważniejsze pamiątki godne uwagi, ale zarazem oznajomić się z samém miastem, jego ustrojem społecznym, i mieć wskazówki konieczne dla swéj wygody i potrzeb niezbędnych w drodze.

Życzenia ogółu starał się zaspokoić wydawca przez ogłoszenie przewodnika, wnader starannéj i ozdobnéj edycyi. Cztery działy na czele podane obejmują dokładne objaśnienie dla podróżnego, co do ceny jazdy dorożkarzy, opłat od telegramów i kolei żelaznéj, hoteli i domów zajezdnych: restauracyi, handlów, domów bankowych i kantorów wymiany pieniędzy; listy imienne doktorów, adwokatów, notaryuszów i t. p. Przewodnik dla zwiedzających osobliwości Krakowa, teatr z planem miejsc, w nich zakłady naukowe i w. i.

Właściwą część literacką stanowi: „*przewodnik po Krakowie, ze względu na starożytność i pamiątki*,“ napisana przez prof. Władysława Łuszczkiewicza, dobrego znawcę w tych rzeczach.

Autor dzieli pracę swoją na pięć rozdziałów i po wstępie w którym pokrótce nadmienia o dziejach Krakowa, w pierwszym obejmuje „opis miasta w obrębie plantacyi.“ Podział właściwy, gdyż najważniejsze zabytki historyczne w tym obrębie stary gród przechował. Plantacye, które na miejscu warownych murów, zielonym wieńcem otoczyły rynek z pobocznemi ulicami, są jakby tarczą chroniącą od napływu obcego, to serce starożytnego Krakowa. Tu utrzymał się cały charakter przedwiekowy z *bramą Floryańską*, *Sukiennicami*, kościołkiem *Św. Wojciecha*, wspaniałą świątynią *Panny Maryi* i uliczkami łączącemi się z samym rynkiem; po za plantami rozwijają się przedmieścia, które już mają nowoczesne oblicze. Oddzielną część

miasta stanowi *Zamek Krakowski i Katedra na Wawelu*, panujące po nad Wisłą i miastem. Ich szczegółowy opis obejmuje rozdział osobny. Daléj idą przedmieścia Krakowa, gmachy, instytucye i zbiory naukowe Krakowa, kościoły, kaplice, bractwa i zakony; ostatni dział obejmuje: obchody doroczne i okolice miasta.

Jakkolwiek autor w szczupłych ramach mieścić się musiał, nic tu z ważniejszych zabytków, pamiątek i pomników, przepomnianém nie zostało. Ważne są nadzwyczaj spostrzenia jego, co do pewnego określania epoki, w którym czasie różne budowle powstały. Jak dowiadujemy się, że *krypta Św. Leonarda* wiodąca do podziemnych grobów królewskich, jest najstarszą częścią katedry „w rozwiniętym pięknie stylu romańskim, wystawioną za czasów Władysława Hermana.“

Podróżny z téj szacownéj pracy prof. Łuszczkiewicza dostatecznie oznajomiony zostaje, co najgodniejszém jest jego uwagi w tym starożytnym grodzie.

Po tym przewodniku artystyczno-historycznym rozdział oddzielny obejmuje *opis Zdrojowisk w Galicyi*, przedmiot najżywiéj obchodzący wielką liczbę gości przybywających do Krakowa, których celem głównym są właśnie owe Zdrojowiska. Dwadzieścia z górą miejscowości takich jest tu szczegółowo wymienionych, z potrzebnemi objaśnieniami.

Część ostatnią stanowią ogłoszenia różnych firm zakładów, fabryk, przedsiebiorstw i t. p. Widzimy z tego pobieżnego przeglądu, że *przewodnik* odpowiada zadaniu swemu, i jest rzeczywiście podręczną książeczką wielce użyteczną dla każdego, kto pierwszy raz odwiedza Kraków. Cena dostępna, jak i wartość wewnętrzna zapewniają téj publikacyi szerokie rozpowszechnienie. Dodać tu w końcu winniśmy, że od wielu lat ma przygotowany do druku w szerokich rozmiarach *Przewodnik po Krakowie* prof. Józef Łepkowki. Głównie on ma na celu tylko stronę historyczną, archeologiczną i opisanie wszystkich zabytków godnych uwagi tak pod względem sztuki, jako téż i pamiątek upłynionych wieków. Gdy nań znajdzie się nakładca, będzie ta szacowna praca dopełnieniem obecnego przewodnika.

W. W.

Geografia Galicyi, podręcznik dla uczniów seminaryów nauczycielskich i dla nauczycieli szkół ludowych i wydziałowych. Ułożył *Lucyan Tatomir* starszy nauczyciel Seminaryum męskiego we Lwowie. We Lwowie 1874 r. nakładem Karola Wilda, z godłem na czele: „*Cudze wiedzieć rzeczy ciekawość jest: a swoje potrzeba.*“ Fredro przysłowia. (W 12-ce str. XVI,—262).

Bogatą jest Galicya w opisy tak ziemi i zasobów jéj płodów przyrody, jako téż i pod względem statystycznym i etnograficznym.

W tomie II-gim *Biblioteki Warszawskiéj* w zeszycie kwietniowym r. b. obszerne daliśmy sprawozdanie o dwóch pracach statystycznych co do ludności Galicyi, jako też i dotyczące miasta Lwowa; teraz należy podać wiadomość o dziele powyższém wysokiéj wartości, jakiém jest bez zaprzeczenia *Geografia Galicyi* P. L. Tatomira.

Autor książkę swoją dzieli na XV rozdziałów, w których podaje położenie, rozległość i granice, plastykę kraju, główny dział wód, stoki kraju i jego wody, klimat i fizyografię kraju: podział Galicyi na powiaty, ludność, płody, przemysł, środki komunikacyi, handel, urządzenia państwowe, władze i urządzenia duchowne, oświata, urządzenia społeczeńskie i pamiątki historyczne.

Pomimo obfitego materyału do opisu Galicyi we wszystkich kierunkach, praca p. Tatomira odznacza się wydatnie. Bagactwo to umiejętnie umiał rozdzielić, i niém każdy rozdział swego dzieła uposażyć.

Ustęp etnograficzny ma rozmiary obszerniejsze, bo jak słusznie autor pisząc dla nauczycieli szkół ludowych wyraża: „że ludzie mający pójść między lud, powinni znać w ogólnych przynajmniéj rysach usposobienie i zajęcia tego ludu w różnych stronach kraju, a to tém bardziéj, że etnograficzne opisy dostarczyć mają zręcznemu nauczycielowi ludowemu obfitego materyału do porównań wielce pouczających, a mających niepoślednią wartość dla życia praktycznego."

Ustęp ten obejmuje rozdział VI pod napisem *Ludność*. Autor podaje nam liczbę mieszkańców Galicyi na 5,418,016, rozsiedlonych w 11,373 osadach, w których jest 6135 wsi i przysiołków, 4925 obszarów dworskich, 230 miasteczek i 83 miast.

Z miast najludniejsze jest Lwów liczące z górą 87,000 ludności, po niem Kraków do 50,000, reszta z większych ma od 10,000 do 22,000: mniejsza od 2000 do 5000 mieszkańców, lubo co godne uwagi, że Galicya liczy wiosek około 100, z których każda ma przeszło 2000 ludności. Przyrost ludności w ogóle wynosi rocznie po 15 dusz na 1000.

Pierwotnymi rodzinnymi mieszkańcami téj krainy są Polacy i Rusini; obcego pochodzenia Niemcy, którzy wynoszą przeszło 3% ludności, mała garstka Ormian bo zaledwie 2400 dusz, osiedlona we Lwowie i na Pokuciu, a najliczniéj w *Kutach*, głównem mieście Górali *Huculów*. Napływ Ormiański jest najstarszym ze wszystkich obcych napływów w Galicyi, bo widzimy ich tu już w XI wieku. Obok nich nie wielka liczba jest *Menonitów*, w powiatach Lwowskim i Gródeckim, wędrownych z Francyi.

Równocześnie, jeżeli nie dawniéj już się zasiedlili żydzi, którzy dziś wynoszą ogółem blisko 11% ludności Galicyi. Rolnicza sekta żydowska *Karaitów* osiedliła się w Haliczu. Język tatarski, którym do dzisiaj Karaici mówią, potwierdza istniejące między niemi podanie, ze *Witold* w XV wieku z Krymu pierwszych ich przodków sprowadził i na Rusi Czerwonéj osadził.

Należą tu jeszcze *Cyganie*, włóczący się bandami w pogranicznych od Bukowiny i Węgier okolicach, wiodąc życie koczownicze w ziemnych kureniach i pod namiotami.

Podług wyznania górują rzymscy katolicy, wynoszą bowiem 46%, greko-katolicy przeszło 42%, do tych doliczyć należy obrządek ormiańsko-katolicki. Ludność Galicyi przeważnie jest rolniczą. Autor w obszerniejszych ramach daje charakterystykę ludu galicyjskiego i maluje kmiecia *polskiego i ruskiego*, szczegółowo przedstawiając górali i ich rody różniące się pomiędzy sobą wydatnie. A obejmuje pas gór długi, bo zaczynając od podgórza krakowskiego ciągnący się wzdłuż granicy węgierskiéj aż do Bukowiny. Kraina uboga, o któréj sam *Podhalan* smutną śpiewa piosenkę;

„Biédna to, biédna, ta nasza kraina,
Gdzie chleb się kończy a woda zaczyna!“

Następnie opisuje mieszkańców równin, jak Krakowiaków, Mazurów, ruskich Bełżan, Bużan Podolaków, jak lud Pokucki i Opolski.

W rozdziale następnym pod napisem *płody*, mamy dokładne wiadomości o płodach kopalnych, pod któremi mieści autor górnictwo, żupnictwo i hutnictwo. Na czele stoi sól kamienna z opisem najbogatszych kopalni Wieliczki i Bochni; daléj oléj skalny, i wosk ziemny, w które najwięcéj obfituje, ze wszystkich krajów monarchii austryacko-węgierskiéj Galicya; węgiel kamienny, rudy żelazne, i huty; galman i cynk, ołów, ałun, siarka, glinki ogniotrwałe, kamieniołomy i wielka obfitość torfu.

Galicya najwięcéj uposażoną jest w rozliczne zdrojowiska lekarskie. Jeżeli spojrzymy na płody roślinne, nieprzebrany tu skarbiec w borach i lasach, posiada téż obfite łąki i pastwiska. W dalszym ciągu daje nam autor obraz gospodarstwa rolnego, hodowli zwierząt domowych. Tu przechowała się jedynie *rassa polskich koni*. Dalsze rozdziały któreśmy już wymienili obejmują w treściwym wykładzie przemysł i handel, administracyę krajową, urządzenia społeczne, wreszcie ostatni rozdział poświęcony jest *pamiątkom historycznym* z przeglądem dziejów Galicyi od pierwotnych wieków do roku 1846, kiedy Rzeczpospolita Krakowska zniesiona została i z tytułem Wielkiego Księstwa Krakowskiego wcieloną do Galicyi. Zakończa całe dzieło wyliczenie miejsc zasługujących na uwagę ze względu na wspomnienia lub zabytki historyczne.

Mamy więc obraz dokładny Galicyi pod wszystkiemi względami, a praca p. Tatomira jest pouczającą książką nietylko dla nauczycieli szkół ludowych, ale dla każdego myślącego obywatela, dla każdego co pragnie poznać tę piękną krainę i bogato uposażoną od Opatrzności. Żałować tylko przychodzi, że wydawca nie dołączył dokładnéj mapki Galicyi. *W.*

Julian odstępca, tragedya w pięciu odsłonach, napisał R. S. Odessa, czcionkami drukarni słowiańskiéj, 1875 r.

Dziwném zrządzeniem losu na stole redakcyjném spotykają się dwa utwory dramatyczne jednego dogmatu, jednéj i téj saméj dążności, ustawione na jednéj i téj saméj sprężynie: „Julian Odstępca“ tragedya p. R. S. i „Król Gotów Roderyk“ p. Feliksa Dahk'a (König Roderich, Trauerspiel in fünf Aufzügen. Lipsk 1875 r.).

W obu utworach wprowadzony jest na linią odwieczny antagonizm starego i nowego porządku, walka o kierownictwo; przedmiotem walki owa bezwiedna warstwa, któréj ani świat gocki, ani świat Juliana poprzednio nie uznawał.

W obu tragedyach zmierzają do tronu dwie postacie: jedna uosobiająca stary, druga, nowy porządek; tu królewicz Julian, tam Roderyk, hrabia Grenady, obaj obrońcy praw ludu (na szczęście Julian szlachetniejszy); tu Zbigniew, książe krwi, narzucony pretendent, tam zostawiony w odwodzie brabia Ceuty, obaj oddani sprawie kleru. Nakoniec tak w „Julianie“ jak i w „Roderyku“ pomiędzi dwoma prądami przesuwa się typ środkujący, zdaniem naszém nader wydatny, tam (w Roderyku) Gundemar, biskup Korduby, niegdyś hetman Gotów, tu zaś, ksiądz Wincenty opiekun królewicza, postać najwdzięczniejsza z całego orszaku.

Słowem poczet charakterów jeden i ten sam bezwarunkowo, co więcéj, jeden i ten sam zamach tragiczny; wstrząśnięcie posadami państwa, za pomocą przełomu wewnętrznego, tu—przez podstawienie sztucznego królewicza na miejsce prawego następcy, który dopomina się o podźwignięcie prostaczków i zniesienie monopolu stanowego, tam w dramacie niemieckim, przez wydanię gockiéj Hiszpanii na łup Maurom. Oba dramata kończą się upadkiem niecnoty.

Wskazawszy niezaprzeczone podobieństwo pomiędzy dwiema tragedyami, nie zamierzyliśmy bynajmniéj uwłaczać zasłudze p. R. S. a mianowicie, oryginalności jego utworu. Od chwili, jak sztuka traci świętą objektywność swoją, od chwili jak scena wysnuwa się już nie z absolutnego wątka natury ludzkiéj, ale z dążności i przemijających prądów, podobne pokrewieństwa, mimowolnie są rzeczą nieuniknioną. Tylko na dnie ducha ludzkiego można być pewnym prawdziwéj nieskończoności charakterów, ale tu w sferze spraw sformułowanych, odmierzonych, liczba kombinacyi musi być ograniczoną, i powtarzania się typów uniknąć niepodobna.

Czy tragedya p. R. S. jest dziejową? być nią może, odpowiadamy, ponieważ w niéj dzieją się rzeczy wysokiéj polityki. Gdyby jednak nie wzmianka o Radziejowskim, Michale i para nazwisk rzuconych nawiasowo, gdyby nie narkotyczny proszek, zażywany co chwila przez jednego z dostojników, możnaby dramat odnieść do

téj aorystowéj epoki, w jaką nas prowadzi Kalderon np. w dramacie: „Życie jest snem.“

Jak u Kalderona zamiast: Bazyliusza, króla polskiego i jego syna Zygmunta, albo Astolfa książęcia Moskwy, siostrzeńca królewskiego i t. d., tak „w Julianie“ zamiast prymasa, ojca Ignacego, możnaby postawić typ nr. 1, nr. 2 i t.p. W każdym razie o tle krajowém mowy tu być nie może; czego najlepszym dowodem będzie streszczenie przedmiotu.

Książe Julian, królewicz, ośmnastoletni młodzieniec, energiczny, marzący o podniesieniu ludu, nie przypada do smaku Kamarylli, otaczającéj tron ojca. Niechętni członkowie rady państwa oskarżają go przed ojcem o zgubne zasady, grożące upadkiem świętéj budowy. A ponieważ to mniemane spaczenie ducha w przyszłym władcy, przypisywano K. Wincentemu, opiekunowi Juliana; więc wymagają na królu usunięcie przewodnika, przez wysłanie go z missyą zagranicę.

Julian przechodzi pod kierunek wyżéj nadmienionéj Kamarylli. Ponieważ jednak uczeń nie daje rękojmi, odpowiadającéj jéj widokom a hetman dodany do kierownictwa, jako wódz i dzielny żołnierz, nie popiera tajemnych planów „pozbycia się przeciwnika“ członkowie uciekają się do nowéj sprężyny. Aby utorować drogę do następstwa Zbigniewowi, książęciu krwi, który uroczyście zobowiązał się być ich narzędziem, jeżeli uzyska koronę, odkrywają przed królem straszną tajemnicę.

Dowodzą oni, jakoby niezbitemi faktami, że niegdyś prawdziwy królewicz urodzonym był nieżywym, że oszczędzając rospaczy matce i ojcu, na miejsce nieżywego dziecięcia, podłożono syna mieszczanki. Król z początku rażony tém odkryciem, jak gromem, zachwiał się, ale wnet przemawia w nim instynkt krwi, staje przed obrazem (już nieżyjącéj) małżonki, błaga, aby z po za grobu wyrzekła słowo zagadki; stanowczo otucha wstępuje w jego serce, badania sądowe, a wreszcie i zeznanie mieszczanki odkrywają intrygę opiekuna. Julian wracający z posłannictwa, składa naocznie resztę nici fatalnego wątka. Wojewodzina Malborska, która w intrydze ważną odgrywała rolę, osadzona w więzieniu, obwiesza się, winni z kolei zostają zamknięci „in fundo.“ Książe Zbigniew nie zapiera się, iż chciał zostać następcą i wydrzeć władzę „z rąk Juliana Apostaty“ i przebija się z dobrze nam znanym wykrzykiem „Julianie zwyciężyłeś.“

Oto główny wątek dramatu.

Mieliśmy więc wszelką słuszność, utrzymując, że autor niemógł tu się odnosić do tła miejscowego. Pomijamy już egzamin dojrzałości przyczajonego adepta, w którym, jakkolwiek w oprawie ironicznéj, wygłaszane są rzeczy niezgodne z duchem dziejów narodu; pomijamy mnóstwo rysów, które, gdyby je stosować do miejsca, zakrawałyby na grube anachronizmy psychologiczne, dziejowe i społeczne. Ależ sam krzyk łabędzi Zbigniewa, „oskarżanie Opatrzności

o zdradę“ jako dyssonans zbyt Hugo'ski, pokazuje, że tu j esteśmy nie u siebie.

Intrygę *podłożena* dziecka mieszczańskiego, uważamy za sprężynę zbyt spóźnioną; zamiast nurtować zwolna a nieubłaganie, robi ona raczéj wrażenie miny: prawdziwy to *deus ex machina*, który nie rozwiązuje, lecz gwałtownie wysadza sytuacyę. Zresztą jakże ona jaskrawo przypomina „List żelazny.“

Przedśmiertna apostrofa, niegdyś Juliana Apostaty rzymskiego, do Galilejczyka nie zdaje nam się być tu stosowną, „*Tandem vicisti Galilee!*“ mógł powiedzieć niegdyś Julianus rzymski, gdyż on prawdziwie walczył z potęgami Chrystusa, orężem i ironią. Jeden z kapłanów, zapytany cynicznie przez niego, co w téj chwili porabia cieśla Nazareński, odpowiedział mu: „właśnie w téj chwili wyciosał trumnę dla Juliana.“

Czyliż więc słowa broniącego się z całą powagą klassyczną na wyłomie starego świata, słowa szatana Miltonowskiego, miał prawo powtórzyć tuzinkowy hipokryta, karzełek skazujący siebie i wszechbudowę państwa na pośmiech i igraszkę?

Zbigniew w summie wszystkich swoich rysów, jak tu go widzimy od początku do końca, jest osobą niemożliwą.

Z typów ujemnych najpomyślniéj udał się autorowi O. Ignacy: jakkolwiek jestto typ z innéj szerokości geograficznéj; kiedy knowania zostały odkryte, na zapytanie króla: „Co masz powiedzieć na swoję obronę“ odpowiada: „tu nic“....

Streszczając ogólnie nasze wrażenia, wynurzyć musimy szczery żal, iż autor przy niezaprzeczonych zdolnościach dramatycznych, znajomości serca ludzkiego, przemawiający językiem typowym, pięknym i poprawnym, w wyborze przedmiotu nie zwraca się ku bardziéj dodatnym sferom, z których wieje miłość i ciepło, nie zaduch lub pomroka.

Stosunek mego „Zarysu dziejów literatary polskiéj“ do badań i pomysłów dra. Antoniego Małeckiego. Rzecz z powodu artykułu „Tygodnia“ w osobistéj obronie napisana przez Adama Kuliczkowskiego. We Lwowie, nakładem Karola Wilda 1875. (w 8-ce str. 32).

Pismo czasowe „Tydzień“ wystąpiło w jednym ze swych numerów r. b. z ciężkim zarzutem przeciwko autorowi *Zarysu dziejów literatury polskiéj*, że jest plagiatorem.

„Dr. Antoni Małecki (mówi ten artykuł) przez ciąg lat kilkunastu, wykładał historyę literatury polskiéj w uniwersytecie lwowskim. Między słuchaczami p. Małeckiego zasiadał *niejaki* p. Adam

Kuliczkowski, który, spisawszy prelekcye swego professora, zabrawszy mu cały system i podział na epoki, rzeczy najważniejsze i zupełnie oryginalne, wydał potém wszystko w skróceniu pod własném nazwiskiem, jako własną pracę."

Sam ton tego zarzutu jest dostatecznym, że pióro, które je kreśliło, kierowane było jedynie niechęcią. P. A. Kuliczkowski odwołuje się do swojéj przedmowy na początku pomienionego dzieła pomieszczonéj, w któréj napisał:

„Podział historyi literatury na epoki i okresy stawiał zrazu pewne trudności, z przekonania nie mogłem pójść za żadnym, ile ich mamy w podręcznych książkach i obszerniejszych historyach; kusić się o nieudałe próby nie chciałem. Jedynie właściwe zapatrywanie się w téj kwestyi polega na różnicy kolejno w piśmiennictwie naszém zmieniających się światodziejowych idei. Po głębokich badaniach, wypowiedział je u nas piérwszy Dr. Małecki, najszanowniejszy mój professor, a że takowe znane już jest i szerszéj publiczności, więc wypadło je przyjąć i zastosować w niniejszéj książce." Słowa te (na str. VII) najlepszą są odpowiedzią na nierozważny zarzut uczyniony.

Dzieło A. Kuliczkowskiego wychodziło zeszytami: część piérwsza obejmująca okres od najdawniejszych czasów do końca XVIII wieku wyszła w r. 1869; druga doprowadzona do ostatnich czasów ukazała się dopiéro w roku 1872, obiedwie opatrzył autor przedmową i w każdéj powyżéj przytoczone słowa przywodzi.

Pismo nasze o samém dziele p. A. Kuliczkowskiego już obszerniejsze sprawozdanie dało, zaraz skoro ukończone wyszło z pod prassy drukarskiéj; my tu tylko wspominamy o broszurze, która ma z niém związek. *R.*

Witte Jan. Przyczynki wyjaśniające Kanta. (Beitraege zum Verständniss Kant's. 1875. Meklemburg. IX, 106).

Jestto jedna z ważniejszych prac, wywołanych ogólnym dziś zwrotem do studyów nad Kantem. Autor (i to stanowi główną zaletę jego pisma) założył sobie wyśledzić, co Kant zrobił dla filozofii moralnéj w Krytyce czystego rozumu. Zdaniem autora, Kant zdobył formalną zasadę moralności, ale sferę filozofii moralnéj zamknął w zbyt zacieśnionych ramach, dając jedynie *etykę obowiązku.* Należy się nam dla wypełnienia całokształtu: teorya cnoty i dobra.

— *Fr. Körner. Instynkt i wolna wola* (Instinkt und freier Wille), przyczynek do psychologii ludzkiéj i zwierzęcéj. Lipsk 1875 rok (stronnic 209).

Rękawica rzucona ateizmowi i materyalizmowi; autor bierze pod swoje pióro dogmat idealistyczny. Pomiędzy światem ludzkim a zwierzęcym Körner dostrzega coś więcéj, jak różnicę ilościową. Barwa to arcy-ponętna dla umysłów tradycyjnego autoramentu. Rozumowanie prowadzone jest sumiennie, autor wypowiedział wszystko,

co tylko mógł w obronie *domu swojego*. Psychologia ludzka, w obec zwierzęcéj, stanowi najważniejszy dział téj pracy.

— *Konrad Hermann. Mowoznawstwo w związku z logiką, rozwojem ducha i filozofią* (Sprachwissenschaft nach ihrem Zusammenhange mit Logik, menschlicher Geistesbildung und Philosophie). Lipsk, 1875.

Właściwym twórcą kierunku filozoficznego w mowoznawstwie jest Bekker (Organizm mowy). Na przedłużeniu téj linii i Hermann buduje teoryę mowy ludzkiéj. Podnosząc głównie myśl, jako prawdziwą i najistotniejszą sprężynę w kształtowaniu się mowy, Hermann stara się ograniczyć nieco wygórowaną powagę glottologii. Hermann dał się już poznać z ważnych prac w téj dziedzinie. Tu należą jego: „Gramatyka filozoficzna," „Problemat mowy i jego rozwój w historyi."

— *Jul. Grill. Praojcowie rodu ludzkiego* (Erz-väter der Menschheit). Dział piérwszy pod specyalnym tytułem: *Piérwsi ludzie*, (die ersten Menschen). Lipsk, 1875.

Obszerne dzieło Grill'a (362 stronnic w 8-ce) dokonało wyłomu w dotychczasowém ugrupowaniu wielkich rodzin językowych. Już poprzednio autor starał się dowieść jedności źródła w piérwiastkach semityckich z indo-europejskiemi. (Ueber das Verhältniss der indo-germanischen und semitischen Sprachwurzeln). W dalszym ciągu (w obecném dziele) stosuje on swoją hipotezę do hebrajczyków. Zdaniem jego hebrajczycy stanowią gałąź (nie symityckiego, lecz) aryjskiego szczepu. Na ten raz Grill czerpie dowody z pierwotnych dziejów Starego Testamentu. Zdaniem autora, jest ona przeniesionym w sferę historyi „mitem indo-germańskim," tylko przekształconym.

Autor domyśla się i wpływu *Wedy*. W imionach piérwotnéj historyi Izraela, Grill słyszy tętno sanskryckie. Nie obeszło się naturalnie bez pewnych naciągań, jakie się zwykły dokonywać na tak zwanéj „materyi piérwszéj" słowa ludzkiego. Starożytne „Aaron" ma to być podług mniemania Grilla sanskryckie *Atharwan* (kapłan), *Adam* ma to być zhebraizowany *Athama* (*ath*, t. j. słońce); *Ewa* utworzona z żebra adamowego, oznacza ziemię, w powikłaniu z pojęciem księżyca. Naturalnie że tylko w czasie spania *Adama* (słońca) mogło się wydzielić żebro (sierp, pół-księżyc), to jest *Ewa-księżyc!*

To co autor w egzaltacyi etymologicznéj mówi o pochodzeniu imienia *Jehoszua*, nawet powtórzyćby się nie dało. Pomimo to, dzieło Grilla, po przycięciu nieco skrzydełek hipotezie, powziętéj z góry, zasługuje na wysokie uznanie w swoim zakresie.

— *Biblioteka Szekspirowska.* (Shakespeare's Library). Pod tym tytułem wyszedł w drugiém już wydaniu „zbiór dramatów, romansów, poematów i powiastek," które weszły w skład utworów Szekspira. Jest to ciekawy materyał, rzucający światło nie na jedną stronę wzrostu i wyrobienia się téj twórczéj potęgi, która stworzyła scenę nowożytną.

— *Fryderyk Drew. Kraje Kaszmiru i Dzummu* (The Jummoo and Kashmir Territories). 1875.

Nadzwyczaj ciekawy i nauczający opis pięknéj krainy, którą powszechnie uważano za kolébkę naszego rodu. Autor z położenia swojego miał sposobność przyjrzéć się z blizka charakterowi geologicznemu kotliny zamkniętéj górami, zbadał naocznie typowe cechy, zwyczaje, obyczaje, zajęcia i przesądy ludowe; opisał ich religią, sztukę, a w końcu dzieła umieścił gramatykę języka *Dogri*. Przytém sporządził mapę dokładniejszą nad to wszystko, co dotąd w tym przedmiocie zrobiono. Nietylko jednak pod względem naukowym dzieło p. Drew ma wysokie znaczenie; miłośnik literatury podróżniczéj czytać je będzie z zapałem. Mamy tu mnóstwo jaskrawych obrazów, malujących charakter i stopień cywilizacyi. Autor np. z całą zgrozą dramatyczną przedstawił nam dwa krwawe jéj rysy: palenie wdów po śmierci męża i *zwyczajowe*, rozmyślne dzieciobójstwo!

— *W. D. Whitney. Życie i wzrost mowy* (The life and growth of Language).

Jestto filozoficzne ogarnięcie istoty mowy, w duchu filozofii angielskiéj, nie przesadzającéj dedukcyą, ale za to uchwycającéj prawdziwą charakterystykę przedmiotu. Język, zdaniem professora Whitney'a, co do istoty swojéj nie może być trafniéj scharakteryzowany, jak przez wyraz „instytucya." „Jestto warsztat, na którym dana grupa społeczna, każde ciało publiczne (community) wytwarza swoją kulturę. Charakterystykę rassową ludy udzielają sobie drogą krwi; ale nabytki rassowe, język, tak jak religią i naukę, udzielają się drogą wzajemnéj wymiany." Mowa przytém jest bezwarunkowym aktem woli: autor usuwa z mowoznawstwa psychologią i fizyologią; istota i rozwój języka jest natury czysto-historycznéj.

— *J. Bruce i Dawid Masson. Zajście hrabiego Manczester z Kromwelem,* (The Quarrel between the Earl of Manchester and OliverCromwell).

Zadaniem tego ważnego pisma jest rzucenie światła, na podstawie nie ogłoszonych dotąd źródeł, na fakt niedostrzeżony albo obojętnie pomijany przez dziejopisarzy, który jednak przyspieszył wybuch wśród wojny domowéj, a następnie ogłoszenie Samorządu (Commonwealth). Tym faktem jest, postawiony energicznie przez Kromwela w parlamencie, akt oskarżenia przeciw hrabiemu Manchester, jako „tchórzowi moralnemu" wyłamującemu się z pod kontroli parlamentu, i widocznie osłaniającemu króla przed pociskami najzacniejszych sług parlamentu. Zawiązała się tedy gorąca sprzeczka w izbie; sprzeczkę uciszono, ale cel został dopięty: Kromwelowi oddano dowództwo. Rubikon przestąpiono.

Dzięło Bruce'a (Masson dopełnił je i wydał) ma znakomitą wartość.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Październik 1875 r. — Ruch wydawniczy się wzmaga. Od Nowego Roku przybyć mają dwa nowe czasopisma: *Atheneum*, przypominające dawne J. I. Kraszewskiego, w zeszytach miesięcznych i *Biesiada literacka*, pismo tygodniowe illustrowane.—W Lublinie, oprócz miejscowego Kuryera od 1 stycznia 1876 r. zacznie wychodzić pod redakcyą Leona Zaleskiego: „*Gazeta Lubelska* pismo Rolniczo-przemysłowo-handlowe i literackie.“ Prospekt ogłoszony drukiem obejmuje obszerne ramy. Wychodzić ma trzy razy na tydzień. —W Płocku pod redakcyą Józefa Dunkla gazeta pod napisem *Korrespondent Płocki*.—Przy Gazecie *Wiek*, ogłoszona została prenumerata na *Bajki Jana* Lafontaine'a z rysunkami Gustawa Doré'go. Tłumacz nie podany z nazwiska: zdaje się że i dawne przekłady z przeszłego i obecnego stulecia będą użyte, z koniecznemi poprawkami.

— Redakcya znanego powszechnie czasopisma *Revue des deux mondes*, prosiła J. I. Kraszewskiego o upoważnienie na przekład i pomieszczenie w swém piśmie, trzech jego powieści historycznych z czasów saskich: *Hrabiny Kosel*, i *Brühla*, któreśmy już drukowali w *Bibliotece Warszawskiéj*, a zarazem i *Z wojny siedmioletniéj*, którą kończymy dopiero w zeszycie grudniowym z r. b. J. I. Kraszewski już przesłał żądane upoważnienie, i zapewne niedługo przekład *Revue des deux mondes* rozpocznie. Utwory te przyozdobią stronnice tego pisma.

— *Ognisko Domowe* pod redakcyą *Bronisława Przyrembla* wychodzące, a odznaczające się zacną dążnością, z dniem 1 października przeszło na własność Jana Noskowskiego współwydawcy Gazety *Wiek*, i przy niém po zniżonéj cenie ogłoszoną została prenumerata na powyżéj wzmiankowane Bajki Lafontaine'a.

— W staranném i ozdobném wydaniu wyszły z pod prassy: 1) *Historya Święta Starego i Nowego Testamentu* w raz z Geografią Palestyny. Ułożył *ks. M. Gorzelański*. Z trzema drzeworytami i mapką Ziemi Świętéj. Warszawa 1875 r. (w 16 ce str. III, 131); przedmiot żywo zajmujący każdego, chcącego iść drogą Bożą, wyłożony jest jasno i pięknym językiem. Dzieło to w kółku domowém jest wielce pożyteczném i niemałą będzie pomocą dla matek polskich, zajmujących się wychowaniem swéj dziatwy. 2) *Zasady Gramatyki języka Polskiego ułożył Ig. Boczyliński. Składnia* (*Syntaxis*) (w 16-ce str. 94). 3) *Zasady Gramatyki języka Polskiego*. Ułożył Ig. Boczyliński. Źrodłosłów (Etymologia). Warszawa (w 16-ce str. 119).

Autor znany dobrze w zawodzie pedagogicznym, oba te dziełka poświęcił młodzieży, dla gruntownego poznania ojczystego języka, korzystając z prac prof. Antoniego Małeckiego i księdza Fr. Ks. Malinowskiego, które się w ostatnim lat dziesiątku ukazały i znakomicie posunęły badania mowy naszéj.

— „Pan Tadeusz" Mickiewicza, w przekładzie p. Mikołaja Berga na język rossyjski, wyszedł z drukarni Warszawskiego Okręgu Naukowego w Warszawie (str. XXXII i 318). Na czele dzieła mieści się następujący wiersz, napisany po polsku przez tłumacza w formie dedykacyi A. E. Odyńcowi.

„Wśród głuchéj samotności, wśród grobowéj ciszy,
Gdzie braknie nam współczucia, mało towarzyszy;
Twoje li tylko serce wieszcza dobrze słyszy.
Ty li tylko podajesz mi rękę zbawienia,
Unosisz mnie do góry, udzielasz natchnienia
I poisz mnie napojem niebieskiéj świątyni;
Oazo z czystém źródłem, wśród suchéj pustyni!
Odłamie dawnych wieków, na których ich słońce
Odbiło się na zawsze piękne i błyszczące!
Co nosisz w swojém sercu Mickiewicza czasy,
I Litwę, i jéj niebo, i rzeki i lasy;
Przyjm tu w przekładzie bratnim *Pana Tadeusza*,
Dziedzictwo pokrewnego dla nas geniusza;
Przyjm, luby mój Edwardzie, niech twe serce wieszcze
Rozczulą te melodye raz jedyny jeszcze;
Niech wstanie miły szereg znajomych postaci:
Soplicy, Gerwazego, ich krewnych i braci,
I Niemen twój zaszumi z puszczą Białowieży;
Niech przyśni ci się jeszcze... czemu serce wierzy.
Obadwaj przed uroczym poezyi obrazem,
Ścisnąwszy się za ręce pomarzymy razem;
Wzlecimy w nasze niebo jak złote motyle,
Gdzie czuje się inaczéj, gdzie oddychać mile.
Bo wierzaj mi, ostatni Wajdeloto Litwy:
Tam świat zupełnie inny, tam ustają bitwy;
Tam nie ma różnych ludów, rożnych ziem i wiary,
Gdzie naszych geniuszów zatknięte sztandary;
Gdzie słońce Apollina nieustannie świeci
I gdzie panują tylko—mocarze poeci!"

— Wyszedł „*Katalog książek polskich* wydanych od r. 1860 do końca 1874 roku." (W 8-ce str. 287), Warszawa. Wydanie i nakład spółki księgarzy, 1875.

— J. I. Kraszewski z powodu projektu wzniesienia pomnika dla zgasłego *Karola Libelta* w kilku miejscach, słusznie zapytuje

„dlaczegoby zamiast osobnych pomników, nie postawić Libeltowi jeden w Krakowie.“ I radzi wznieść go wpobliżu Kolegium Jagiellońskiego na rozszerzonych w tém miejscu alejach. My się więcéj godzimy z podniesioną już u nas myślą, że najstosowniejszém miejscem nietylko dla Libelta ale i dla Kremera, byłaby katedra na Wawelu. Akademia umiejętności w Krakowie mogłaby obmyśleć środki po temu, ażeby w téj świątyni była ustroń artystów, w któréjby pamięć przechowano podobnych mężów pióra i zasług jak Kremer i Libelt.

— Nowy przekład *Iliady Homera* z oryginału greckiego rozpoczął *Feliks Jezierski* znany tłumacz *Złotéj Legendy* Longfellowa. Przy *Odyssei* L. Siemieńskiego, przekład Iliady był wielce pożądany. Próby tego tłumaczenia w następnych zeszytach Biblioteki Warszawskiéj podamy.

— Nakładem J. Ungra wyszedł tom XI *Dzieł Zygmunta Kaczkowskiego:* tak całość wydawnictwa ukończoną już została. Z ogłoszonego prospektu dowiadujemy się że taż firma rozpoczyna następne publikacye, które dla prenumeratów Tygodnika Illustrowanego lub Wędrowca będą w daleko niższéj cenie: 1) *Album Malarzy Polskich.* Serya 1-a *Monachium*, pod kierunkiem Józefa Brandta. 2) *Dzieła Karola Szajnochy.* 3) *Mikołaj Kopernik* dramat w pięciu aktach przez Wincentego Rapackiego. 4) *Dziwolągi.* Szkice humorystyczne przez Józefa Blizińskiego z rysunkami Franciszka Kostrzewskiego.

— Nakładem księgarni Stoppelle i Stan wyszła komedya Edwarda Lubowskiego: *Niedoperze.*

— Dnia 12 października r. b. odbyło się we Lwowie w Zakładzie Ossolińskich doroczne uroczyste posiedzenie. Posiedzenie zagaił kilku słowy kurator Zakładu J. E. hr. Kazimierz Krasicki, poczem dr. Stanisław Smolka odczytał sprawozdanie, z którego dowiadujemy się, że zbiory tego znakomitego Zakładu znacznie się wzbogaciły w przeciągu ostatniego roku. Rada miasta Lwowa darowała Zakładowi 130 obrazów i 1660 rycin z zbiorów, zapisanych jéj przez majora Kühnla. Pan Ludwik Zaremba Skrzyński, zapisał bibliotece zbiór dzieł treści ekonomiczno politycznéj i przeznaczył stale 100 złr. rocznie na uzupełnienie tego ważnego działu księgozbioru; ś. p. ks. Kuźmiński z Wielkich Mostów, zapisał Zakładowi całą swoją bibliotekę. Muzeum otrzymało wiele cennych darów, jak np. szczątki wielce ciekawego *Ikonostasa* z cerkwi wołoskiéj we Lwowie, laskę marszałkowską sądów kapturowych, działo żelazne wykopane w Kołomyjskiem, działo szwedzkie od OO. Karmelitów we Lwowie i t. p. Zakład nabył cenny zabytek bibliograficzny: *Postilla catholica* z r. 1573 na własność za 100 złr. Wydawnictwa Zakładu postępują bez przerwy. *Kodex Tyniecki* ma się już na ukończeniu. Liczba gości i osób studyujących w muzeum powiększyła się bardzo znacznie, albowiem o 500. W czytelni literackiéj pracowało w przeciągu ubiegłego roku 1078 osób, co znaczy w przecięciu dziennie 5. Z czytelni dla młodzieży korzystało razem 5532 osób, czyli w przecięciu

dziennie 30. Do domu wypożyczono 132 osobom 2384 tomów. Muzeum zwiedziło 1508 osób, odbywało w niém studya 264: księgozbiór wzrósł znacznie. Inwentarz dzieł unikatów doszedł do liczby wcale okazałéj 69,721. Rękopisów posiada Zakład 1966, autografów 2632, dyplomów 727, rycin 21,492, obrazów 615, okazów starożytnéj broni 578, innych rzeczy muzealnych 1476. Dochody Zakładu podwyższyły się także, nadwyżka wynosi 4,998 złr. Cały majątek Zakładu Ossolińskich wynosi w papierach 156,435 złr., w nieruchomościach 482,705 złr.

Po odczytaniu sprawozdania wystąpił sędziwy historyk, czcigodny dyrektor Zakładu, August Bielowski, i w treściwéj mowie dał wierny obraz całorocznéj działalności instytucyi, zostającéj pod jego kierunkiem, oraz wspomniał pokrótce o wydawnictwach, jakiemi zarząd w najbliższym czasie obdarzy publiczność. Mówiąc o rozszerzających się z dniem każdym stosunkach Zakładu, o coraz większéj jego użyteczności, osobliwie dla zamiejscowych uczonych doznających w téj mierze jak największych ułatwień, szczególny nacisk położył na solidarność i ścisłe związki, łączące go z najwyższą korporacyą naukową w kraju, z krakowską akademią umiejętności, przyczem z wielkiém uznaniem wyraził się o wszystkich publikacyach, jakie pod firmą i nakładem akademii wychodzą.

Najszerzéj rozwiódł się szanowny mówca nad doprowadzoném temi dniami do końca wydawnictwem kodeksu Tynieckiego, którego pierwszy tom wraz z obszerną przedmową przygotował do druku dr. Wojciech Kętrzyński, drugi zaś dr. Stanisław Smolka. Pan Bielowski szczegółowo opowiedział całą genezę powstania tego szacownego zbioru; wspomniawszy o przewiezieniu do lwowskiéj biblioteki uniwersyteckiéj resztek archiwum tynieckiego klasztoru, ocalonych wśród burz wojennych, gdzie zamknięte, dla nikogo nie były przystępnemi, mówił o gorliwych zabiegach ś. p. Aleksandra Batowskiego, który ukradkiem wygotowywał odpisy ważniejszych dokumentów, o pożarze z r. 1848, w którym spłonął niemal cały ten zbiór, o nabyciu kopii od brata ś. p. Batowskiego, porównaniu ich z innemi odpisami lub wynalezionemi w części oryginałami, o edycyi pierwszego tomu dr. Skrzydylki, nie odpowiadającéj wymaganiom krytyki i ponownėm wydaniu tegoż wraz z drugim. Całe dzieło w ciągu nie wielu tygodni znajdzie się w handlu księgarskim i w ręku czytającego ogółu. Następnie zapowiedział mówca, że Zakład poczuwając się do wdzięczności dla szlachetnego swego założyciela, przedsięwziął wydanie ważniejszych pamiątek po dostojnych jego przodkach, jako to podróży i pamiętników, których znalazła się dość znaczna ilość. Szereg tych publikacyi rozpocznię w roczniku Zakładu, autobiografia słynnego kanclerza Jerzego Ossolińskiego.

— Otrzymujemy ze Lwowa wiadomość, że znany od lat wielu literat, autor znakomitych monografii Podola Galicyjskiego i Górali Hucułów, Władysław Zawadzki, zakłada we Lwowie księgarnię, po-

łączoną z wydawnictwem. Szereg zamierzonych nakładów rozpoczyna zbiorem pism Dominika Magnuszewskiego, którego najpiękniejsze utwory dramatyczne, jak *Hieronim Radziejowski*, i *Władysław Biały*, oprócz wielu innych, dotąd nieznane spoczywały w rękopiśmie. Nowy ten zakład otoczony gorącą sympatyą sfer literackich miejscowych, pod dobrą wróżbą powstaje, i zdaje się zapowiadać pomyślną przyszłość.

— Wyszedł z druku: „*Kalendarz na rok 1876, kolenda dla gospodyń*, przez autorkę 365 obiadów. Warszawa 1875 r. (w 8-ce str. 280). Na czele pomieszczoną jest: „Streszczona teorya gospodarstwa domowego w odczycie mianym w zakładzie nauk, sztuk i rękodzieł dla kobiet przez L. Ćwierczakiewicz, d. 28 stycznia 1871 r.“

Równocześnie wyszedł z pod prassy *Kalendarz gospodarski dla kobiet na r. 1876*, ułożony staraniem Red. Przeglądu Tygodniowego. Warszawa 1876, (w 8-ce). Jestto dzieło przeszło dwa razy obszerniejsze od kolendy p. Ćwierczakiewiczowéj. Kalendarz ten drugi rok istnienia swego liczy. W dziale literackim mamy trzy życiorysy powieściopisarek polskich wraz z ich portretami: Elizy Orzeszkowéj, Waleryi Marrené (Morzkowskiéj) i Maryi z Brzezinów Sadowskiéj (Zbigniew), zarazem z oceną krytyczną ich utworów.

— Korrespondent *Wieku* z Wiednia pisze: „Dzień 12 września, rocznica wiekopomnego zwycięztwa Sobieskiego, obchodzony corocznie wspólną na Kahlenberg wycieczką przez towarzystwo rzemieślnicze „Siła,“ nie przeminął w tym roku bez śladu; owszem, obchodzony był z większą jeszcze niż dawniéj uroczystością, gdyż ks. Czerwiński kapelan kolonii naszéj, nadał obchodowi charakter poważny, religijny, przez co podniósł wysoko jego znaczenie. Na szczycie Kahlenbergu, w kościelestojącym na tém samém miejscu, gdzie w starożytnéj kaplicy Sobieski słuchał mszy św., odprawił uroczyste nabożeństwo i miał stosowne do okoliczności kazanie, które wszystkich do głębi wzruszyło. Ten wyższy nastrój ducha, wyniesiony z kościoła, zachowała nasza gromadka i w sali jadalnéj pobliskiego hotelu, gdzieśmy się potém zgromadzili. Zabierał tutaj głos gospodarz „Siły“ a następnie ks. Czerwiński. Po południu, młodzież rzemieślnicza obojéj płci odłączyła się, aby pamiątkę bohatérskiego tańca przodków z pohańcami uświęcić rzeczywistym nowoczesnym tańcem, a starsi udali się na górę Leopolda, zkąd spuściwszy się koleją drutową po przerażająco stromej spadzistości nad brzeg Dunaju, wrócili parostatkiem do miasta. Przypadek zdarzył, że w tym samym dniu kilku Serbów zwiedzało Kahlenberg. Dowiedziawszy się o przyczynie naszego zebrania, wzięli udział w nabożeństwie i duch panujący w naszém zgromadzeniu widocznie na nich oddziałał. Słuchali z zajęciem nuconych przez nas pieśni nabożnych i zapewne niejeden z nich pomyślał, że może w téj saméj chwili ich spółbracia biją się z tym samym wrogiem, który tu przed dwustu laty tak srogą poniósł klęskę, lub na gruzach jakiéj wioszczyny hercegowińskiéj do Boga zanoszą błaganie.

Miłe nam było to przypadkowe zainteresowanie się obcych przechodniów naszym obchodem historycznym, dodajmyż że w Węgrzech uznano potrzebę bliższego rozpatrzenia się w naszéj historyi, zwłaszcza co się tyczy stosunków w jakich kraj nasz zostawał niegdyś z niemi. Dla zachęcenia do poszukiwań na tém polu a zarazem dla obznajmienia z niemi swego narodu, peszteńska akademia umiejętności wyznaczyła nagrodę w sumie 200 dukatów za napisanie najlepszego dzieła traktującego o tym przedmiocie.

— Drogocenne zabytki starożytności polskich nieuszanowane przez właścicieli w kraju, rozsypały się po całéj Europie. Z Kissingen korrespondent donosi, że oprócz pięknego zbioru numizmatów polskich, znalazł róg do prochu, z białéj kości przepysznie rzeźbiony, własność króla Zygmunta III. Z jednéj strony jest popiersie tego monarchy, z drugiéj herby w pośród arabesków: przytém buława z takiéjże kości, na któréj herby pokazują do jakiéj narodowości należała. Wreszcie róg myśliwski czyli trąbka równie z białéj kości, z herbami i popiersiem króla Augusta II. W około napisy: *Fridericus Augustus Rex Poloniae M. D. L.*, pod spodem 1697. Po bokach wyrzeźbione polowanie z gończemi na dzika i oddzielnie na jelenia.

— Kiedy w roku 1873 obchodziliśmy 19 lutego uroczyście czterechsetną rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika, na scenie krakowskiéj w dniu tym przedstawiono dramat „Kopernik, poemat dramatyczny osnuty na tle historycznem, przez Józefa Szujskiego.“ Utwór ten Kronika Rodzinna wydrukowała. Dopiéro teraz otrzymujemy egzemplarz oddzielnego wydania, nakładem autora tego poematu, w nader ozdobnéj edycyi, w kroju ćwiartkowym, na wyborowym papierze i pięknemi czcionkami drukarni „Czasu.“ (stron. 64).

— Nowy obraz Matejki przedstawiający „Zamordowanie króla Przemysława przez Brandeburczyków“ znajdujący się długo na wystawie w Wiedniu, obecnie jest na wystawie w Krakowie.

— W niedawno wydanym numerze berlińskiego pisma, poświęconego modom „*Der Bazar*,“ znajdujemy tłumaczenie udatne poematu Seweryna Goszczyńskiego: *Sobótki*, przez p. Winklewskiego. Szczególniéj udał się tłumaczowi ustęp palenia Sobótek. Obok przekładu dodany jest i krótki życiorys Goszczyńskiego.

— W muzeum techniczno-przemysłowém krakowskiém od d. 1 października rozpoczęły się lekcye malarstwa, rysunków i drzeworytnictwa dla kobiét. Szkoła zostaje pod opieką i głównem kierownictwem dyrektora szkoły sztuk pięknych Jana Matejki. W piérwszym oddziale, rysunków i malarstwa udziela Hipolit Lipiński, w drugim rysunków Józef Siedlecki, w trzecim Leonia Bierkowska. Drzeworytnictwa udziela Henryk Danielski.

Prelekcye na wydziale sztuk pięknych, jako téż na wydziałach historyczno-literackim i nauk przyrodniczych, rozpoczną się w połowie listopada r. b. i trwać będą do maja 1876 r. Jednocześnie roz-

poczną się wykłady na wydziale handlowym dla kobiét, i gospodarczym, jeżeli zbierze się liczba odpowiednia uczennic.

Muzeum to, staraniem i poświęceniem dra. Baranieckiego założone i doprowadzone do najświetniejszego stanu, obecnie wzbogacone zostało przez pana Ludwika Michalskiego, właściciela plantacyi tytuniu na Sumatrze, kartami chińskiemi do grania, kupionemi w Singapore, sztyletem malajskim z Sumatry, nożem zakrzywionym skalpelowym Battawów, niegdyś ludożerców z gór w Deli, oraz tytuniem wyrabianym w Deli, w ostatku żelazkiem do prasowania z Singapore, znakiem stowarzyszenia chińskiego zwanego „*Kon gasi Guichen*“ (przypominającego związek wolno-mularski) który każdy członek przy sobie nosić powinien.

— Nakładem księgarni H. Friesa w Lipsku wyszedł I tom ważnego dzieła dla historyi Geo-i Etnografii południowych Słowian, p. t.: *Donau Bulgarien und der Balkan, von F. Kanitz.* O tym ze wszechmiar ciekawym narodzie mało co dotychczas pewnego więdziano, gdyż nikt prawie nie zapuszczał się w te odległe strony dla badań naukowych. Niedokładne, pobieżnie tylko skreślone opisy Bułgaryi wydali niektórzy podróżni francuzcy. Pierwszy dopiero z niemców Kanitz, rodem z Austryi, posunął się w głąb Bułgaryi i zbadał dokładnie kraj cały. Piętnaście lat z małemi przerwami (od r. 1860 do 1875), objeżdża ten niestrudzony podróżnik naddunajskie prowincye, a po raz siedemnasty już przebył szczyty Bałkanu. Pod względem naukowym przedstawia nam dzieło Kanitza wiele szczegółów historycznych i etnograficznych: najciekawszemi są jednak całkiem nowe odkrycia geograficzne. W podróżach swoich malowniczo i zajmująco opisanych, nie pominął Kanitz żadnéj, choćby najmniejszéj wioski, i wszystkie swoje spostrzeżenia sumiennie notował; z tego powodu cenna praca jego stanowić będzie podstawę do wszelkich późniéjszych badań nad Bułgaryą. Wydanie ozdobione pięknemi drzeworytami i mappą Bułgaryi, odznacza się wielką starannością. O dziele tém podamy obszerniejszą wiadomość w następnych zeszytach naszego pisma, i obszerne wyciągi, które czytelnika dokładnie poznajomią z tak szacowną pracą.

— *Opisu Katedry Gnieźnieńskiéj* przez ks. kanonika Ignacego Polkowskiego, wyszedł zeszyt trzeci i zawiera oprócz pięciu arkuszy tekstu z drzeworytami, starannie fotografowane monumenta: 1) Tomasza Josciusza i Wincentego Oczko kanoników, 2) Wojciecha Baranowskiego arcybiskupa-prymasa † 1615, 3) Wawrzyńca Gembickiego arcybiskupa, † 1624, 4) Andrzeja Olszowskiego arcybiskupa, † 1677, i 5) Michała Radziejowskiego kardynała, † 1706.

— Otrzymujemy z Krakowa następną wiadomość: „Trąba obrzędowa górników wielickich, rodzaj tak zwanych u Niemców *Trinkhörner* lub wilkomów, znana z wystaw w latach 1858 i 1873, liczy się do nader celnych wyrobów złotniczych z XVI wieku. Jestto róg bawoli, okuty srebrnemi obręczami, podtrzymywany przez postać Herkulesa wyrobioną ze srebra. Na skówce wyryty rok 1534, orzeł Jagielloń-

ski, wąż Sforcyów, oraz herby Bonarowa i Ogończyk; z czego jasne, że za królowania Zygmunta i Bony, w r. 1534, ową trąbę obrzędową (tegoż samego przeznaczenia co współczesny jéj srebrny kurek, strzelców krakowskich) sprawił górnictwu wielickiemu Seweryn Bonar kasztelan sądecki, żupnik, którego żona Kościelecka z domu, Ogończykiem się pieczętowała. Wyrób nader piękny, ozdobny, w stylu odrodzenia. Szczegóły te wyjmujemy z *Przewodniku dla zwiedzających Wieliczkę* (Kraków u J. Wildta 1860), gdzie je umieszczono wedle wiadomości podanéj przez professora Łepkowskiego.

Zabytek ów podziwiano, więlce ceniono, cieszono się nim; więc w licznych reprodukcyach artystycznych upowszechniano jego wizerunek, i tak: pan K. Beyer fotografował róg wielicki w *Albumie krakowskiéj wystawy starożytności* (tablica 50), Towarzystwo naukowe krakowskie zyskało (z daru pana K. Rogawskiego) jego geometryczny rysunek, zaś muzeum wileńskie piękną akwarellę; w *Kalendarzu krakowskim* (J. Wildta z roku 1860) dano drzeworyt. Wreszcie gdy zarząd salin posłał ów klejnot górników wielickich na wystawę powszechną, tam zwrócono nań uwagę. W *Mittheilungen*, organie komissyi konserwatorskiéj wiedeńskiéj (Tom XVIII z roku 1873, stronnica 312), ukazał się drzeworyt rogu wielickiego, wykonany wybornie w ksylograficznym zakładzie państwa. To zyskanie szerszéj sławy, było dla naszego zabytku nieszczęściem. Niebawnie bowiem, gdy go po skończonéj wystawie odesłano z Wiednia do Wieliczki, dzienniki galicyjskie rozniosły zeszłéj jesieni, niefortunną wiadomość, że róg zaginął. Spodziewać się należało, że prokuratorya zrobi użytek z tych doniesień. Gdy przecież sprawa w milczeniu tonąć się zdawała, sądził professor Łepkowski, że zarówno traktowanie rzeczy z urzędu jako i jawność, są w tym razie konieczne; a zatém *(ex privata diligentia)* udał się do p. Adama Gorczyńskiego konserwatora zabytków pomnikowych (na obwody wadowicki i bocheński) z życzeniem, aby na miejsce pojechał, o fakcie zaginienia tak cennego zabytku się przekonał i uczynił co mu z urzędu zrobić wypada. Dowiadujemy się, że p. Adam Gorczyński jeździł do Wieliczki, gdzie się przekonał, iż róg górników wielickich rzeczywiście został skradziony; o czém przesłał raport do komissyi centralnéj konserwatorskiéj, doradzając, aby oprócz śledztwa, zarządzono nadto obesłanie po zbiorach europejskich wizerunku naszego zabytku. Oczywista bowiem, że go skradziono nie dla zysku jaki przynieść mogły skówki srebrne, ale w celu sprzedania do zbiorów publicznych zagranicznych, lub zbieraczom prywatnym, którzy się na wystawie wiedeńskiéj w wartości owego zabytku rozpatrzyli. Sądzimy więc, że oprócz władz policyjnych i sądowych, oprócz górników i mieszkańców Wieliczki, nadto i podróżnicy nasi zwiedzający zbiory europejskie, przyczynić się mogą do odszukania zaginionego rogu; dlatego sprawę tę poruszamy, a spodziewamy się, że inne krajowe i zagraniczne dzienniki powtórzą także podane przez nas wiadomości. Pisma illustrowane nasze, mają w niniejszéj relacyi

wskazane źródła, do upowszechnienia w drzeworytach wizerunku zabytku o który chodzi. Dziś ten kierunek poszukiwania jest tém właściwszy, gdy policyjne śledztwo zaraz po zniknięciu rogu owego na miejscu zarządzone, dotąd okazało się bezskuteczném.

— Jeszcze na początku roku 1873, professor Łepkowski udał się był do rady powiatowéj sądeckiéj, z propozycyą aby królowéj Jadwidze. żonie Władysława Łokietka, a matce Kazimierza Wielkiego, która w Starym Sączu umarła, i tam pochowaną została, wystawić w tém mieście w klasztorze panien Klarysek nagrobek, ku uczczeniu jéj pamięci. Projekt ten poparty przez prezesa rady, uskuteczniony został staraniem proboszcza z Łącka, który zebrał fundusz na ten cel potrzebny. Nagrobek ten umieszczony w kościele panien Klarysek ma taki napis:

†

Królowa Jadwiga
żona Władysława Łokietka
matka Kazimierza W-go
w tym klasztorze r. 1333 przyjęła
sukienkę zakonną.
Tu pochowana r. 1340.

— W Krakowie wyszła broszura dr. Konstantego Hoszowskiego, senatora b. Rzeczypospolitéj Krakowskiéj i członka Akademii Umiejętności, pod tytułem „Rozbiór krytyczny biografii Erazma Ciołka, biskupa płockiego i wysłannika do dworów panujących.“ Jest to krytyczne sprostowanie niektórych błędnych faktów z życia Erazma, podanych przez ks. Łętowskiego w jego „Katalogu biskupów,“ oraz innych biografów piszących o tym mężu. Praca ta opiera się na dokumentach autentycznych i rzuca światło na czasy i stosunki, w których Ciołek żył. W końcu dany jest według „Metryk koronnych“ wywód szlacheckiego pochodzenia Ciołka, w tekscie oryginalnym łacińskim.

— Księgarnia „polska“ we Lwowie rozpoczęła wydawnictwo szeregu książeczek technicznych do praktycznego użytku. Polska literatura techniczna, zwłaszcza z ostatnich czasów, jest dosyć ubogą; oprócz dzieł Jarmunda i wybornych przewodników dla cieśli, mularzy, garbarzy i giserów, oraz kilku innych (w handlu księgarskim wyczerpanych), mało co więcéj wyszło z druku w téj gałęzi. Niedawno wyszły trzy rozprawki inżyniera Petiona: „O konserwacyi drzewa,“ „O uogniotrwaleniu dachów“ i „O wyrabianiu sztucznych kamienic,“ mające bardzo praktyczne zastosowanie, zasługujące na jak najszczersze rozpowszechnienie po gminach, gdyż sposoby podane są tanie i łatwe, tak, że każdy najuboższy właściciel domku, może i potrafi zabezpieczyć go od ognia i t. p. Obecnie wyszła z druku tegoż autora broszura: „O budowie tanich pomieszkań“ z ryciną litografowaną. Projekta podawane przez p. Petiona, mogą i powin-

ny znaleźć jak najszersze zastosowanie tak w gospodarstwie wiejskiém, jak i po miastach i miasteczkach. Książeczki te sprzedają się po 30 centów. W dalszym ciągu wyjdzie tegoż autora: „O robotach ziemnych.“ Popularyzowaniem wiadomości technicznych, autor oddaje nie małą usługę społeczeństwu.

— *„Konrad Książe na Mazowszu i zakon niemiecki, napisał dr. August Sokołowski.“* (Poznań w 12-ce str. 57). Jest to przyczynek nietylko do bijografii Konrada, tak wydatnéj postaci XIII stulecia, i pierwszego okresu zasiedlenia się zakonu Krzyżaków, ale dotykający samychże dziejów księztwa Mazowieckiego, które dopiero po zgonie ostatnich swych książąt ze krwi Piastów, Stanisława i Janusza, wcielone zostało do Korony.

— *Stosunki Kazimierza Sprawiedliwego z Rusią.* Napisał Kazimierz Górski. We Lwowie 1875 r. (8-ce str. 33). Studyum to dziejowe, ktytyczne, oparte na pierwotnych źródłach, i prostujące błędy, jakie poprzedni badacze zrobili, przy opisach stosunku Polski do Rusi na początku XIII stulecia. Zajmująca ta praca wykazuje współzawodnictwo z Węgrami, i tych ostatnich przebiegłą politykę, przez którą Ruś zupełnie się w tym okresie, od wpływu Polski usunęła.

— Wiadomo iż przed kilku laty, zaraz po wystawie paryzkiéj którą świat cały podziwiał, ciesząc się postępem materyalnym, postępem społeczeństwa, wyszło obszerne dzieło w języku francuzkim pod tytułem: *„La Décadence de l'Europe“* dowodzące niezbitemi faktami powszechnego upadku ludzkości we wszystkich objawach prywatnego i publicznego życia. Przed samém zamknięciem wystawy, mury Paryża pokryte były ogromnemi afiszami głoszącemi „Upadek Europy.“ To dzieło zyskało rozgłos we wszystkich krajach. Nie było prawie dziennika, któryby o niém nie wspominał. W wielu pismach pojawiły się jednocześnie szczegółowe rozbiory téj pracy. Druga jéj część, wykazując potrzebę społecznéj reformy, jest właściwie mówiąc, *filozofią zastosowaną do polityki*, na zasadach *praw przyrodzonych*, z odwołaniem się do *powagi* Nowego Testamentu, który przez „niezależny“ czyli *„wolny rozum“* uważany być powinien za *„najlepszy ze wszystkich istniejących dotąd kodeksów.“*

Obecnie autor „Upadku Europy“ (p. Stefan Buszczyński) wydał dwa dzieła rozwijając daléj swój system i stosując go do urządzeń politycznych *„według praw wieczystych,“* wykazanych w przyrodzonym ustroju społeczeństwa, *statystycznemi cyframi* przedstawiającemi ludność Europy i rzeczywiste jéj składowe części pod względem etnograficznym. Jedno z tych dzieł wyszło w języku francuzkim u *Le Chevalier* w Paryżu pod napisem *Le Catèchisme social* (Społeczny katechizm); drugie po niemiecku w Lipsku u *Kasprowicza* (Brockhaus'sche Buchhandlung) pod tytułem: *Die Wunden Europas* (Rany Europy): statystyczne tablice z tekstem noszącym nazwę *Analepsis.*

Autor wbrew teoryi J. J. Rousseau dowodzi, iż społeczeństwo nie jest wynikiem *umowy*, nie jest *„contrat social,“* lecz ustrojem przyro-

dzonym. Punktem wyjścia jego filozoficznych rozumowań jest *wolna wola*, podstawą praktycznego zastosowania *prawa przyrodzone*. Uznawszy je zgodnie z zasadami Montesquieu'go znanemi z jego dzieła „*L'esprit des lois*," nadaje im kształt żywy w urządzeniu narodów, zakreślonem ręką natury. Dwa te dzieła będące uzupełnieniem jednego i tegoż systemu, nawzajem się też dopełniają.

— „Orel" pismo słowackie wydrukowało w przekładzie z polskiego: „Filozoficzny pogląd na historyę świata" B. Trentowskiego, wyjęty z jego „Chowanny." Przekładu dokonał Paweł Heczko, jeden z lepszych pisarzów słowackich. Pismo „Orel" wychodzi raz na miesiąc już rok szósty, w stolicy Słowaczyzny węgierskiéj St.-Martin. Redaktorem jego jest Jędrzéj Fruchta-Sytniański.

— *Slavonic Fairy Tales, collected and translated from the Russian, Polish, Servian and Bohemian. By John T. Naaké, of the Britisch Museum With 4 illustrations.* (*London 1874 r.*)—to jest *Klechdy Słowiańskie*, przełożył z czterech języków słowiańskich Jan Bogumił Naaké, urzędnik Muzeum Brytańskiego (Adjunkt Biblioteki oddziału słowiańskiego), który już przed kilkoma laty zamieszczał różne klechdy słowiańskie w czasopiśmie „*Good Things for the young of all ages*" (Dobre rzeczy dla dzieci różnego wieku). Powyższy zbiór odznacza się bardzo wiernym przekładem, pomimo trudności, jakie tłumacz spotykać musiał przekładając te starodawne utwory narodów słowiańskich na język narodu, tak wielce różniącego się od nich swemi pojęciami. W przedmowie tłumacz powiada, iż przedstawia czytelnikom angielskim małą wiązankę dziko rosnących kwiatów, uszczkniętych nie dla naukowego interesu, jakkolwiek i ten posiadają, lecz dla ich świeżego zapachu. Klechdy czeskie, powiada daléj, mają w swéj oryginalnéj formie więcéj wykończenia niż inne. Polskie malują biernie cnoty i gorącą miłość wieśniaków, których życie przedstawiają. Wielka prostota i naiwność cechuje klechdy ruskie. Serbskie są jedyne w swoim rodzaju, i pod pewnym względem, możnaby powiedzieć, najbardziéj zajmujące. Bujna wyobraźnia narodu serbskiego przejawia się w całéj pełni w tych pięknych utworach, które obudziły podziwienie nawet Goethego.

Tłumacz, jak sam mówi, nie ma pretensyi do zasług z powodu przełożenia na język angielski tych klechd. Materyału dostarczyli mu K. Wł. Wójcicki, M. Maksimowicz, Bronicyu, Chudziński, J. Erben, Milcsziczek, Radostowa, Tyl, i W. S. Karadzicz.

Pierwszorzędne czasopisma angielskie wyrażają się bardzo pochlebnie o téj pracy p. Naakego, zaznaczając że przekład dokonany jest bardzo dobrą angielszczyzną. Między innemi „Standard" powiada: „Jestto najstaranniejszy wybór.... Klechdy te noszą na sobie oryginalne narodowe piętno, i nietylko przez dzieci, ale i przez wielu innych z przyjemnością czytane być mogą. Dzieci szczególniéj jednak z zajęciem i ciekawością otwierać będą kartki téj pięknéj książki".... Inny poważny organ naukowy „Academy" tak się wyraża:

„Czytelnicy angielscy mają obecnie sposobność obznajmić się z jedenastu polskiemi klechdami, ośmiu czeskiemi, tyluż ruskiemi, i trzynastu serbskiemi, w skromnym lecz bardzo pożytecznym zbiorze... Są one w ogóle bardzo dobrze dobrane, a przełożone z dokładnością, zasługującą na serdeczne podziękowanie tłumaczowi... Mówiąc o téj pięknéj książeczce, musimy nadmienić, że autor w zupełności zadosyć uczynił swéj obietnicy."

— Kości Zyżki, bohatéra hussyckiego, zmarłego w r. 1424 i pochowanego w kościele farnym miasta Czaslawia w Czechach, przypadkowo znaleziono niedawno wraz z innemi przy restauracyi rzeczonego kościoła. Trudno jednakże z pewnością oznaczyć, która z wydobytych trumien zawiera właśnie śmiertelne szczątki zwycięzcy z pod Kutnéj-Hory i rycerza sztandaru Jagiełłowego z pod Grunwaldu i Tannenbergu.

— Professor geologii Szabo, Węgier rodem, wydał niedawno opis księztwa serbskiego. Mały ten kraj, stanowiący rdzeń południowych Słowian, liczy między 1,400,000 swych mieszkańców, blizko czwartą część nie należącą do serbskiéj narodowości. Do tych zaliczają około 100,000 Bułgarów: są to pracowici i oszczędni ludzie i nie mieszają się z Serbami. Charakterystyczną jest ta okoliczność, że rząd wywierając na nich nacisk nie pozwala im używać w szkołach swego, lecz serbskiego języka. Rumuni liczą 175,000 głów, a razem z Cyncyrami czyli Kuco-Włochami 200,000. Zarówno jak Bułgarzy zamieszkują wschodnią Serbię, zawsze w ścisłych massach obok siebie; zachowują stale swoją narodowość i mowę, a mają wiele kościołów i szkół. Także i tutaj wywierają Serbowie ostry przymus, gdyż nauka musi być udzielaną w języku serbskim, a dzieciom zabroniono pod karą mówienia po rumuńsku. Nauczycielami, popami i urzędnikami, są tam Serbowie, którzy ani słowa po rumuńsku nie rozumieją. Mimo tego wszystkiego nie dadzą się Rumuni zserbić, przeciwnie rumunizuje się wielu Serbów. Następnie Cyncary, w liczbie około 25,000, zatrudniają się przeważnie rzemiosłami i handlem, i uważani są prawie tak samo jak u nas żydzi. Żydów jest tylko 1,500: ograniczeni są na sam Białogród, gdyż niewolno im nigdzie zresztą w kraju ani osiąść, ani téż handlem się zatrudniać. Pochodzą oni z dawnych czasów z Hiszpanii, a rzecz dziwna, że i dziś niektórzy z nich mówią jeszcze po hiszpańsku. Reszta ludności, około 10,000 obcych, przypada przeważnie na poddanych państwa austryackiego.

† Dnia 27 września r. b. zmarła w 77 roku życia ***Karolina z Potockich Nakwaska,*** znana autorka *Dworu Wiejskiego* (Poznań 1843—1844, w trzech tomach), *Powieści dla dzieci* (trzy tomy, Lipsk 1846 rok), *Pamiętnika o Adamie Potockim* (Kraków 1862 rok). Wszystkie te prace postawiły zmarłą w rzędzie piérwszych autorek polskich. Była małżonką Henryka Nakwaskiego, a córką Adama hr. Potockiego pułkownika jedenastego pułku jazdy b. Księztwa Warszawskiego.

OD REDAKCYI.

Biblioteka Warszawska, pismo poświęcone naukom, literaturze, sztuce i przemysłowi, rozpoczynając rok trzydziesty piąty swego istnienia, wychodzić będzie jak dotąd i w roku 1876, raz na miesiąc zeszytami, obejmującemi najmniéj dziesięć arkuszy druku.

Wobec ożywionego ruchu prassy krajowéj i potrzeb spółczesnych, redakcya dla nadania odpowiedniego rozwoju swemu organowi, przybrała nowe siły do grona współpracowników, z którymi dążąc stale, jak zawsze za postępem wiedzy, pozostanie wierną zasadom i tradycyom, wpośród których jéj pismo powstało, prowadzoném było i będzie.

Zestawienie przedmiotów zawartych w 136 tomach Biblioteki Warszawskiéj z lat 1841—1874. Przez Karola Estrejchera. W Krakowie, w drukarni Leona Paszkowskiego. (W 8-ce str. VII, 319). Na czele redakcya w treściwym zarysie podaje w tym spisie bibliograficznym, wiadomość o piérwotnym zawiązku swego pisma i piérwszych założycielach, a zarazem o powiększoném gronie współredaktorów aż do roku bieżącego. Wydanie całe odbito w 500 egzemplarzach. Autor tak mozolnego dzieła w przedmowie pisze o swéj pracy: „Oddawała mi ona od lat dziesiątka nieustanną przysługę, a widząc jéj praktyczną dogodność, oddałem ją chętnie na użytek redakcyi Biblioteki, wyrażając tém życzliwość moją pismu, które uznaję za stojące na czele wszystkich publikacyi literackich polskich, dzierżące zawsze z godnością pióro dla pożytku oświaty krajowéj, najstarsze w dzisiejszéj rzeszy pism, a zarazem najchętniejsze w przygarnianiu mężów istotnéj pracy i talentu."

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Cena egzemplarza rs. 1, kop. 50 (złotych 10).

Sprostowanie. Na stronnicy 162 w przypisku wiersz czwarty zamiast: *Jana Kazimierza*, czytać należy *Kazimierza*.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger.*

W drukarni J. Bergera,
w Warszawie przy ulicy Elektoralnéj Nr. 14

Дозволено Цензурою.
Варшава, 16 Октября 1875 года.

Grudzień

Z SIEDMIOLETNIÉJ WOJNY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom drugi.

VIII.

(Dokończenie).

Pan Ksawery Masłowski spał jeszcze, gdy gospodyni jego niepytając o pozwolenie weszła do pokoju.

— Na miłość Boga! pan śpisz, a pan nie wiesz nic!— zawołała.

Porwał się stolnikowicz oczy przecierając.

— Cóż się stało? kot waćpani zdechł!

— Jak można żarty w takiéj chwili stroić. Na zamku się cóś stało? Ja nie wiém: po całém mieście chodzą okropne wiadomości. Prusacy wczoraj cały zamek trzęśli, szukali po piwnicach, po strychach; hrabinie Brühlowéj precz wyjeżdżać kazano. Mówią, że pochwycono człowieka co chciał struć króla pruskiego. Szukają jakiegoś sekretarza co z nim należał do spółki, jakoby ukrytego na zamku. Sądny dzień... a pan śpisz...

Usłyszawszy ostatnie wiadomości Masłowski, który wiedział trochę co się na zamku działo, bo się tam często jakoś podkradał ażeby czasem piękną baronównę zobaczyć, porwał się z łóżka jak oparzony i zaczął wołać aby mu do ubierania się podawano.

Pośpiesznie odział się, nie bardzo zważając co na siebie kładzie, a że zima była już bardzo ostra i mróz wielki, narzucił futerko, aby co prędzéj biedz się dowiedzieć na zamek.

Z rana wprawdzie pruskie straże były pozdejmowane, stali znowu Szwajcarowie; napozór nie było nadzwyczajnéj pilności około zamku: lecz dokoła spotykało się twarze i figury, ja-

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

kie się tu zwykle nie trafiały. Po ulicy Zamkowéj i około katolickiego kościoła pr zechadzało się mnóstwo odartusów, których łatwo było posądzić, iż niedawno pruskie mundury pozrzucali. Nie doznał pan Ksawery żadnéj przeszkody wchodząc na podwórze. We wnętrzu było spokojnie. Poszedł więc jak zwykle na wschody, ażali gdzie w korytarzu kogo znajomego lub baronówny nie spotka.

Była to godzina mszy rannéj, któréj królowa słuchała w małéj kaplicy. Masłowski stanął tak, aby wracający dwór go nie minął. Jakoż wkrótce potém wyszła zakwefiona królowa, a za nią hrabina Brühl i inne panie. Pepita zobaczywszy Masłowskiego zatrzymała się.

— Wiesz pan o wszystkiém?—spytała.

— Nic nie wiém, oprócz że cóś się miało stać nieprzyjemnego. Na tę wieść przybiegłem.

— Simonisa szukają... cały zamek wczoraj przetrzęsiono.... Ocalić go potrzeba. Jabym na sumieniu miała jego nieszczęście, bom go wciągnęła, namówiła, skusiła. Ja go ocalić muszę! muszę!—powtórzyła baronówna z energią wielką.

Masłowski spojrzał.

— Czy mi pani ufasz?—spytał.

— Pytasz pan o to?—ruszyła ramionami.

— Jest on tu?

Pepita głową tylko odpowiedziała. Ksawery zamilkł posępnie, potarł czoło.

— W korytarzu naradzać się niepodobna—rzekł—chodźmy, jeśli pani pozwoli.

— Proszę! chodź, zmiłuj się! Myślałam o was, spodziewałam się jeszcze wczoraj.

— Ja nic nie wiedziałem.

Mówiąc tak weszli do pokoju frejliny.

Było to mieszkanie, do którego w zwykłe dni, nigdy stopa obca posunąć się nie mogła. Masłowski piérwszy raz przestępywał próg tych cichych pokojów, w których niewieścia dłoń z wdziękiem właściwym kobiécie rozłożyła wszystko. Nieśmiał się posunąć daleko od progu.

Pepita wskazała mu by szedł za nią. Zrzuciwszy z siebie zasłonę w któréj szła do kaplicy, stała przed nim w całym

blasku piękności, któréj smutek i znużenie dodawały uroku. Załamała ręce.

— Na miłość Bożą, radźcie!—szepnęła—lecz nie mieszajcie się wy, ażebym po raz wtóry nie miała na sumieniu ciężaru. Jego szukają, na niego czatują; chociaż go wczoraj nie znaleziono, są pewni że się tu znajduje.

— Najprzód o tém się przekonać potrzeba—rzekł Ksawery—wprawdzie około zamku kręci się mnóstwo ludzi, jakby z szubienicy oberwanych, ale ci może troskliwi są o co innego.

— W nocy go wyprowadzić trzeba—dodała Pepita.

— Najgorzéj—przerwał Masłowski—nocą pewnie pilnować będą, w biały dzień najbezpieczniéj.

Zamyślił się pan Ksawery.

— Bądź pani spokojną—rzekł—wyprowadzę go, znajdzie się na to jakiś środek. Lecz gdy go wyprowadzimy... cóż daléj? dokąd?.....

Pepita oczy sobie zakryła.

Pomocnik jéj tak już był sprawą tą zajęty, że zdawał się nawet gospodyni, dla któréj był z takiém uwielbieniem, nie widziéć.

— Gdyby to nie było bardzo straszne—rzekł—jakieby to było zabawne; z pod nosa Prusakom go wziąć i to w biały dzień.

— Jakże w dzień?

— Przebrać go najłatwiéj, przecież na zamku znajdziemy w co..... Niechno mnie pani puści do barona Spörkena.

Ruszyła się Pepita, ale Masłowski ją wstrzymał.

— Przecież i po dachach jeśli zręczny, może doskonale dostać się na drugą stronę ulicy.

— Najłatwiéjby go spostrzeżono. Co za myśl?

Masłowski z kolei najrozmaitsze podawał środki, ale jedne od drugich trudniejsze do wykonania. Wyczerpał cały swój zapas imaginacyi i stał trochę zmieszany.

— Bądź co bądź—dodał w końcu—jeżeli w téj chwili największa jest pilność, należy go przetrzymać, późniéj mniéj będą zwracać uwagi.

— Ale męczarnia tego człowieka!

Masłowski ramionami ruszył.

— Na to nie ma sposobu.

— Siedzi zamknięty w ciasnéj i ciemnéj kryjówce.

— Daj mi pani trochę czasu, namyślę się, cóś zrobić musimy....

— Panie—składając ręce odezwało się dziewczę—zdejm mi z sumienia ten ciężar, całe moje życie wdzięczną ci będę. Myśl ta mnie dusi: jam winna.

— Trochę czasu, trochę czasu: bądź pani spokojną.

— Daję panu godzin.....

Masłowski uszy zatknął.

— Nie przyjmuję tego warunku, idę i nie wrócę aż coś wymyślę.

Wybiegłszy z pokoju baronówny, Masłowski wprost skierował się do bramy i już miał się wymknąć w ulicę, gdy z dwóch stron para ciężkich rąk uderzyła go po ramionach i uczuł się zatrzymanym. W mgnieniu oka ręce mu w tył zarzucono i pruski żołnierz zawołał: *Vorwärts!*

Napróżno Masłowski się wyrywał i łajał, otoczono go i popychano. Gawiedź ta była najpewniejsza, że w młodym człowieku wzięła szukanego Simonisa. Tłum uliczny począł się natychmiast gromadzić, i z hałasem wielkim, ulicą Zamkową pchano go tak ku rynkowi. Masłowski zły był, choć zresztą nie obawiał się żadnych następstw groźnych. Uroczyście bardzo prowadzono go tak do komendanta, gdyż z każdym krokiem gromadziło się więcéj ludzi. Przodem już pobiegł ktoś dać znać że Simonisa prowadzono. Wylich w rozpiętym mundurze wybiegł naprzeciw tak pożądanego gościa; spojrzał i z gniewu obie ręce podniósłszy z pięściami do góry, krzyczeć począł.

Ci którzy wzięli Masłowskiego chcieli usprawiedliwić pomyłkę i obdartus jakiś na ucho coś bardzo żywo począł wskazując winowajcę, opowiadać Wylichowi, który się powoli uśmierzył. Wprowadzono go z rękami związanemi do izby komendanta, żołnierze się cofnęli, ale instygator pozostał. Zaczęło się badanie, na które bardzo spokojnie odpowiadał Masłowski, świadcząc się gospodynią swą i mnogiemi znajomemi kto był.

— Ja wiém że ty nie jesteś Simonis—zawołał Wylich—ale sługa Brühlów, który do wszystkich intryg należał.

— Niczyim sługą nie jestem—rzekł Ksawery—byłem dworzaninem ministra, a dzisiaj przez samo poszanowanie dla królowéj i pozostałéj rodziny mojego króla chodzę do zamku.

— Ty o wszystkiém wiész i ty mi musisz powiedzieć wszystko!—krzyknął Wylich—do więzienia! do więzienia!

Masłowski z początku się wymawiał, wspomniał o bilecie wydanym z rozkazu króla, o pochodzeniu, ale to nie pomagało nic. Wylich był zły i słuchać nie chciał, tupał nogami powtarzając do więzienia!

Szlachcicowi w końcu już się i tłumaczyć sprzykrzyło, odwrócił się milczący i dał prowadzić gdzie chciano. Izba do któréj go zamknięto nie daléj się znajdowała jak na odwachcie, a odwach naówczas w Brühlowskim pałacu. Była to więc doskonale znajoma panu Ksaweremu ciemna, sklepiona komnata, w któréj dawniéj stróże i palący w piecu przemieszkiwali.

Gdy go tu wepchnięto, znalazł się wśród kilkunastu ludzi pobranych za różne przewinienia, którzy tu losu swego czekali. Gawiedź była uliczna, obdarta, brudna, patrząca dziko, towarzystwo wcale nie przyjemne; lecz pan Masłowski, który nowicyat odbył w pruskiéj niewoli, umiał się zgodzić z przeznaczeniem. Przyjęto go wejrzeniami nieufnemi i złośliwemi. Myślał że znajdzie może twarz jaką znajomą, lecz zrazu nie postrzegł nikogo. Pozarastałe zresztą w więzieniu brody, łachmany, sadze i brud, czyniły tych ludzi nie do poznania zmienionemi.

Ławy pod ścianami służyły za siedzenia; wiadro z wodą i czerpakiem do powszechnego użytku. Milczenie przymusowe panowało w izbie, przerywane tylko mruczeniem, które gdy się cokolwiek głośniejszém stawało, żołnierz stojący podedrzwiami wołał kaprala, a ten z laską wchodził i nie szukając winnego, grzmocił po plecach pierwszych z brzegu, co wpajało potrzebną solidarność gromadzie. Musieli się wszyscy wzajem pilnować aby hałasu nie było. Niektórzy palili coś nakształt tytuniu, napełniającego izbę dymem wlokącym się pasmami do okna. Masłowski począł rozmyślać nad swym losem, gdy mężczyzna ogorzały, przygarbiony, z zawiązaną gębą, w czapce naciśniętéj na uszy, tak że twarzy jego prawie widać nie było, zbliżył się do niego. Stanął nad nim, bo Ksawery przysiadł

był na rogu ławy, ręce w kieszenie włożył i patrzał długo. O ile twarzy z pod szmat otaczających ją widać było, zdawała się uśmiechać.

Masłowski popatrzał i nierychło poznał w nim stróża niegdyś pałacu Brühlowskiego, który był przed kilku laty wzięty z Warszawy. Zwano go Kondratem. Był to Dyogenes w swoim rodzaju: milczący, posłuszny, powolny, śmiejący się ze wszystkich, niepotrzebujący wiele, obojętny nawet na razy, i chodzący wśród najwytworniejszego dworu Brühlowskiego, w obdartym kożuchu lub płóciennéj odzieży, z rodzajem pogardy dla tych, którzy się na świecidełka zmagali.

Kondratem na dworze posługiwali się słudzy sług: on mył, wodę nosił, w piecu palił i robił to czego nikt się nie podjął. Lecz służba jego i swoboda pokazywania się w pałacu, kończyła się z brzaskiem. Gdy inni wstawali, Kondrat gdzieś się w dziurę zaszywał i spał. W nocy włóczył się po najpyszniejszych salonach, często z ironicznym uśmiechem brał w ręce kosztowne cacka, przyglądał się im i stawiał drwiąco na miejscu. Główną zaletą jego była nieposzlakowana wierność. W pokoju gry często znajdował walające się pieniądze, po salach balowych zgubione klejnoty: wszystko to zbierał starannie i oddawał jak najwierniéj.

Jemu nad ciepły łachman, strawę, dziurę w któréj spał, i kieliszek wódki, nic więcéj nie było potrzeba. Kondrat znał w pałacu nietylko ludzi wszystkich, ale wiedział tajemnice, stosunki, nocne wycieczki, grzéchy powszednie i śmiertelne téj gromadki, która grzeszyła wiele i nie bardzo się nawet z tém kryła.

Obojętny dosyć widz patrzał, śmiał się, ramionami ruszał, a że języka ledwie urywanych wyrazów się nauczył, nie miał nawet przyjemności żółci swéj wylać przed nikiem, chyba przed którym z polskich paniczów, jak ich nazywał. Z Polakami dzieje się to zwykle, że doma buty mają do zbytku, ale zagranicą gdy swój język posłyszą, gotowi nawet takiego prostego chłopa uścisnąć. Tak przynajmniéj dawniéj bywało; Kondrat więc, jakkolwiek obdarte stróżysko, czasem się z paniczami wdawał w rozmowę: Masłowskiego zaś szczególniéj lubił.

Teraz z politowaniem jakiémś patrzał na niego, ale zarazem twarz mu się, nawykła do szyderstwa, krzywiła ironicznie. Długo nie odzywał się nic. W końcu:

— No, a co? paniczu—rzekł—dobrze?

Ksawery spojrzał

— A ty tu dawno?

— Ja? a od rabunku. Ciąłem jednego po pysku i wsadzili, proszę panicza; a pan co?

— Ja nie zrobiłem nic, ot tak zachciało im się.

— A to wy tu nie wyżyjecie—rzekł Kondrat—ja to co innego, ale wy. U nas, z pozwoleniem, świnie lepiéj karmią...

— Jużem ja próbował téż w niewoli pruskiéj i zgniłego chleba i żadnego.

— Długo?—spytał stróż—ja dwa dni, jak woda jest i jest się gdzie położyć, to wytrwam *przez* niczego.....

— A ja téż—rzekł Masłowski.

Kondrat głową pokręcił.

— To proszę panicza, na szlachcica dużo! to dużo!

Wśród téj rozmowy w obcym języku, co było Niemców słuchało ciekawie, co było Serbów z Łużyc, którzy gdzieniegdzie słowo chwytali, uśmiechało się niby braterskim dźwiękom mowy. Ale Kondrat już dłużéj nie chciał gawędzić, zamyślił się posępnie. Masłowskiemu zdawało się że go puszczą po kilku godzinach, ale nie przyszedł nikt. Rozdano chleb komissowy, posłano po wodę naostatek i jakiéjś polewki w kociołku dali. Szlachcic chleb swój wziął, jeść mu się nie chciało. Kondrat swój osolił dobywszy z węzełka soli i począł zajadać z wielkim apetytem.

Jedzenie gwar zwiększyło, kapral z kijem wszedł i ucichło wszystko. Stróż, ponieważ miejsca nie było na ławie, padł na ziemię niedaleko od Masłowskiego.

Inni téż jako tako podjadłszy, gdzie kto mógł, na podłodze próbowali spać, aby czas prędzéj przeszedł. Gdy się uciszyło, Kondrat pochylił się do ucha Masłowskiemu.

— Gdybym ja chciał, uciekłbym; a co mnie z tego?

— Jakim sposobem?—spytał Ksawery.

— E! bestye te nocą śpią jak zabite, a tu były w murze drzwi, które ja sam pomagałem w jednę cegłę zakładać. Jakby podłubał trochę, dziurębym zrobić łatwo.

— Gdzie one wychodzą?—zapytał Masłowski.

— Do pustéj sieni, no z sieni do ogrodu i po wszystkiém...

— A straże?

— Od ogrodu ich nie ma. Ale niewarto pod zimę na mróz uciekać—dodał Kondrat—niechajno.....

Ta wiadomość poruszyła mocno Ksawerego.

— Jednę noc przetrwam—rzekł w duchu—a drugiéj wybiję mur.

Do wieczora nie zgłosił się nikt, nie spytał. Masłowskiemu zaczynało być bardzo nudno; przypomniawszy sobie jednak położenie Simonisa, wolał jeszcze swoje.

Noc przeszła na czuwaniu i słuchaniu chrapań i krzyków téj ciżby, któréj niespokojne sumienie odzywało się przez sen. Kondrat przespał na podłodze jakby w najwyśmienitszéj pościeli. Powoli zaczął się zimowy dzień robić i w pałacu ruch się wszczął niezwykły.

— Coś te dyabły robią – rzekł stróż—albo pałac uprzątają albo go do reszty burzą.

Odedrzwi więźniowie coś pochwyciwszy z korytarza, mówili że pałac dla króla sztyftują.

W istocie tak było podobno.

Około dziesiątéj od komendanta przyszedł oficerzyna i zawołał pana Masłowskiego. Uwolniono go, nie mówiąc ani dlaczego, ani z czyjéj łaski. Oficer mu tylko zapowiedział ażeby sobie z Drezna się wynosił.

Z równą prawie obojętnością jak się dał zamknąć, wyszedł Masłowski wsunąwszy coś w dłoń Kondratowi, który pozostał tak spokojnie, jakby mu to zupełnie było jedno. Niespokój o Simonisa, chęć widzenia barouówny, skłoniły go, ledwie nieco otrząsłszy się i obmywszy, pobiedz do zamku. Bez pozwolenia tym razem poszedł wprost do pokoju Pepity. Nie było jéj tutaj i młoda służąca tylko, któréj narzeczonego zabrali Prusacy, siedziała płacząc u okna. Masłowski poprosił jéj by pani o nim oznajmiła.

W kilka minut nadbiegła rozpromieniona Pepita.

— Podziękuj mi pan—rzekła—gdybym nie uwolniła go, siedziałbyś do końca wojny.

Masłowskiemu tego tylko było potrzeba, ażeby rękę pięknéj panny pochwycić i serdecznie spojrzéć jéj w oczy.

— Jakim sposobem?—spytał.

— Przez stryjenkę moją, którą Prusacy szanują—żywo odpowiedziała Pepita, obejrzała się na siedzącą sługę i dodała cicho:—Gdybym tak mogła.....

Wzrok jéj dopowiedział, że Simonis jeszcze na zamku pozostał.

— Kiedy wyjeżdża hrabina Brühlowa?—spytał.

— Prędko, prędko; ale nie prędzéj aż..... rozumiesz mnie pan.

Masłowski musiał się domyśléć, że szło o zabranie Simonisa.

Więzienie nietylko mu nie odebrało odwagi, ale go uczyniło zuchwalszym. Dał znak pięknéj pannie, aby z nim wyszła na korytarz.

— Nie ma co zwlekać—odezwał się—król Fryderyk ma przybyć do Drezna, naówczas wszystko się stanie trudniejszém. Podejrzliwy, zgryźliwy, mieszający się do wszystkiego, kto wié do czego się może rzucić. Ja biorę na siebie, że Simonisa wyprowadzę; dajcie mi go tylko: przebiorę, uczernię go, zbrukam, zabiorę do siebie i albo oba zginiemy lub ucieczemy.

Baronówna zaprowadziła go do Spörkena, który rad był pozbyć się i odpowiedzialności i więźnia. Zgodził się na wszystko. Poszli więc razem do pustéj sali i pozamykawszy drzwi, wyciągnęli Simonisa z kryjówki. Miał on tu i posłanie i jedzenie, zdaje się że nawet dodając mu odwagi, odwiedzała go hrabina Brühlowa; jednak gdy się wydobył na światło dzienne, ledwie na nogach się mógł utrzymać. Kręciło mu się w głowie, blady był jak trup.

Z sali przez cały szereg pokojów, przeszli pocichu do gabinetu, w którym Masłowski zajął się przebraniem Simonisa. Generał sam dostarczył łachmanów, sadzy komin, a inwencyi Masłowskiego żywa wyobraźnia. Szklanka wina orzeźwiła drżącego. Rozpuściwszy mu włosy i obmywszy je z pudru, zaczerniwszy twarz, okrywszy go łachmanami, zdawało się Masłowskiemu że dokazał arcydzieła. Simonis posłuszny jak dziecko, robił co mu kazano.

Sznur i wiązka drew na plecach, służyć miały do dopełnienia téj maskarady, która się tragicznie skończyć mogła. Spörken namówił Simonisa, aby za siermięgę wziął puginał i w razie gdyby go kto chciał pochwycić, bronił się nim a uciekał.

Masłowski iść miał nieco przodem, tak aby go z oczów nie tracić. Wszystko było jak najlepiéj ułożoném i zdawało się niepodobieństwem ażeby Simonisa pod tą postacią poznać miano; brakło tylko jednéj rzeczy: przytomności i męztwa. Szwajcar znużony więzieniem, osłabły od nieustannego strachu, gdy miał wyjść za próg, tracił męztwo i wypraszał się do zmroku. Napróżno Masłowski starał się mu tłumaczyć, iż właśnie naówczas straże najczujniejsze były.

Naostatek gdy już z niego szydzić zaczynano, Simonis ruszył się nareszcie w korytarze puste. Masłowski zbiegł drugiemi wschodami. Spörken ukryty w oknie, zdaleka miał miéć oko na cały przebieg téj niebezpiecznéj próby.

Dziwnym trafem, w chwili właśnie, gdy Simonis z bijącém sercem wychodził w podwórzec zamkowy, rozmierzając oczyma dosyć znaczną przestrzeń, która go dzieliła od wrót, ulicy i swobody; na Kreuz-Kirche, Frauen-Kirche i w innych kościołach uderzono gwałtownie we dzwony.

Król Fryderyk w swoim starym płaszczu, na Brühlu wjeżdżał do miasta; tym razem, chcąc być zamku bliżéj, nie do pałacu Moszyńskich, ale do Brühla pałacu jadąc prosto, gdzie sobie kazał wyporządzić mieszkanie.

Simonis usłyszawszy dzwony, nagle zadrżał; nogi mu zadygotały, nie wiedział co to znaczyć miało: zatrzymał się jakby zapomniał w którą ma się kierować stronę.

Była to właśnie dla niego chwila najpomyślniejsza, bo żołnierstwo wybiegało do bram w ulicę Zamkową w nadziei, że tam króla zobaczy; w drugich wrotach został jeden żołnierz roztargniony. Simonisowi wszakże dwoiło się w oczach, widział niebezpieczeństwo, nie pojmował tego składu pomyślnego okoliczności. Masłowski już stał w bramie i sobą napróżno zasłaniał żołnierzowi drogę, aby przekradającego się nie mógł zobaczyć. Simonis stał. Spörken, który na to patrzał za oknem, ręce łamał i klął niezdarnego awanturnika. Tak drogi

już moment piérwszy został stracony. Dzwony biły ciągle zapamiętale.

Superintendent Am Ende, który w kilka dni potém miał króla-filozofa uczęstować predyktem, do którego użył za godło *Suum cuique*, witał właśnie Fryderyka w rynku. W mieście panowała wrzawa dochodząca aż tutaj. Simonis wreszcie oprzytomniał i widząc że nikt nań nie patrzy, nikt się go nie czepia, począł iść ku bramie.

Szczęściem to było w istocie, iż nikt nie miał czasu nań spojrzéć, tak źle grał swą rolę starego stróża, przygarbionego pod wiązką drew niesioną do domu. Biegł zbyt żywo, prostował się, stawał, zdradzał niepokój i niepewność siebie.

Ale żołnierz właśnie patrzał w ulicę, a Masłowski ciągle służył za parawan, gdy naostatek Simonis szybko się z bramy w ulicę wychwycił. Tu mu sił zabrakło, musiał się oprzeć o ścianę.

Masłowski odetchnął wolniéj.

Wkrótce potém przebrany biédak wywlókł się po za kościół; Ksawery poszedł za nim.

Do mieszkania jego trzeba było iść przed pałacem Brühla, przed którym stał właśnie batalion piechoty i gdzie się króla spodziewano. Obawiając się aby nieprzytomny Simonis nie rzucił się na oślep, Masłowski mijając go musiał mu szepnąć:

— Za bramę, nad Elbę... i naokoło do mnie... czekam na was.....

Iść razem nie było podobna, tu zresztą Simonis nie zwracał już niczyjéj uwagi i mógł się łatwo w tłum wmieszać, którego było wszędzie pełno.

Jakkolwiek lud był może przywiązanym do dynastyi, dwa takie panowania jak Augusta Mocnego i Słabego, nie mogły przejść bez skutku. Na kilkuset ludzi co się rozrzutnością dworu żywili i zbogacali, miliony cierpiały pod uciskiem niesłychanym. Podatki były ogromne, a obchodzenie się z krajem surowe. Szlachta miejscowa kilka razy chciała u stóp tronu złożyć najpoddanniejsze prośby, ale Brühl ich nie dopuścił. Lękano się jéj i zastąpiono cudzoziemcami. Cały kraj oprócz tego był protestanckim i fanatycznie do reformy przywiązanym, która na dworze cierpianą była, gdy katolicyzm doznawał opie-

ki czynnéj i krzewił się coraz więcéj. Widziano w Fryderyku, który wprawdzie przynosił wojnę, kontrybucye, kwaterunek, werbowanie przymusowe, monarchę protestanckiego i opiekuna kościoła. Część więc znaczna ludności zwracała ku niemu oczy. Król który w Berlinie nigdy prawie, oprócz obrzędów uroczystych i przymusowych, nie bywał w kościele, w Dreznie gotów był nawet kazań słuchać cierpliwie.

Pochód przez miasto pod oknami zamku, pod oczyma królowéj i jéj rodziny, umieszczenie się o kilkadziesiąt kroków od rezydencyi, mogło uchodzić za brawadę, i było nią zapewne w istocie, bo pałac Brühla zniszczony zupełnie, ani wygodnym, ani przyjemnym być nie mógł.

Simonis unikając kup które się tu gromadziły, wyszedł zaraz za bramę i spuścił się małą ścieżyną po pod samemi murami, która stała całkiem pustą. Gdy Elba wzbierała, rzeka niekiedy podchodziła pod stare ściany twierdzy; teraz pomiędzy niemi a rzeką była dróżka, która prowadziła na przedmieścia zamieszkane przez rybaków. Tu Simonis już był prawie bezpiecznym. Pomimo głodu, czuł pot na czole; otarł go, sparł się o mur i stał długo, odzyskując zwolna trochę odwagi i energii. Lecz nie był to już ten sam człowiek, który się niedawno ważył na wszystko.

Przedłużona trwoga ciągłego oczekiwania wyczerpała siły i ochotę do czegokolwiekbądź, oprócz ocalenia życia. Myślał znowu z tęsknotą o Bernie, o siostrze, i byłby przyjął ubóstwo wieczne, byle z nad jego karku ustąpił ten miecz Damoklesa.

Szubienica, koło, rwanie końmi, ćwiertowanie, wszystko to z kolei przychodziło mu na myśl. Hrabina Brühlowa, wielkość przyszła, dostojeństwa, bogactwo, czemże były, położone na szali obok takiego sromotnego końca. Długo stał Simonis, nim się opamiętał znowu i powlókł daléj. Rozgorączkowanie myśli, to chwilowo usunięte niebezpieczeństwo, dozwoliły mu zapomnieć iż powinien był pozostać zgarbionym włóczęgą w łachmanach. Naprzód wiązkę drew rzucił pod murem, potém trąc czoło i twarz oczyścił ją w części z sadzy i umyślnego brudu; naostatek rozprostował się i zwykłym krokiem począł iść nad Elbą.

Tu już naówczas stało kilka letnich domków i mieszkań w ogrodach zajmowanych przez zamożniejszych dworaków. Simonis zapomniał lub nie wiedział, że i wuj Ammon miał tu maleńką posiadłość. Przypuszczać zresztą było trudno, ażeby ją w téj porze zimowéj mógł odwiedzać. Lecz są ludzie stworzeni do tego, ażeby im się nie wiodło.

Troskliwy o swój opuszczony domek, powracał właśnie stary Ammon pieszo spiesząc do miasta, usłyszawszy dzwony zwiastujące króla przybycie; gdy na drodze oko w oko, niemal go potrąciwszy, spotkał się z Simonisem. Oba stanęli osłupieli. Ammon wiedział od Wylicha o swoim kuzynie i jego zdradzie, wypierał się go z całych sił; gdy w tém dziwném przebraniu zjawił mu się przed oczyma. W pierwszéj chwili zawahał się z poznaniem, Simonis téż chciał niedając czasu do rozmysłu uciekać, gdy Ammon się rzucił na niego.

— Stój! ty trutniu, przechero jakiś! łajdaku! stój.—I pochwycił go za ramię.

— Czy waćpan chcesz mnie wydać?—zawołał Simonis obejrzawszy się że na drodze nie było nikogo.

— Co ty tu... co ty tu śmiesz robić? jak?. .—Ammonowi wyrazów nie starczyło:—ty jakiś.... mów!...

— Chcesz mnie wydać?—powtórzył Simonis—tego tylko brakło.

— Mam cię przechować? ty niepoczciwy, którego się wyparłem; ty zbóju—wołał Ammon—mam dla ciebie szyję poświęcić?

— Puśćcie mnie tylko, nie chcę więcéj nic.

— Tak, idź, idź na złamanie karku; patrz—odwrócił się stary—Elba o dziesięć kroków; wiesz co masz najlepszego do zrobienia? idź, utop się: idź...

I pchnął go z całéj siły; uszedł potém kroków kilka, gorączkowo począł szukać po kieszeniach, wyciągnął zieloną sakiewkę, wysypał z niéj ręką drżącą co było i rzucił stojącemu Simonisowi, nieodwracając głowy, puścił się ku miastu.

Max wyczekał trochę, i kołując poszedł szukać mieszkania Masłowskiego, który nań oddawna czatować musiał: nie łatwo przyszło mu je znaleźć po dosyć długiéj włóczędze.

Ksawery nie chcąc aby widziano przybywającego, wszystkich powyprawiał z domu; sam z za drzwi wyglądał w ulicę:

syknął i dał znak a Simonis wbiegł co prędzéj. Na górze czekały go suknie, spoczynek i jedzenie którego nie skosztował. Zaledwie zrzuciwszy z siebie brudną odzież, którą Masłowski wepchnął do palącego się pieca, Simonis padł na łóżko i omdlał.

IX.

Ktoby był widział pięknego dnia zimowego powozy i dwór króla Augusta III wracające z łowów i zdążające o słońca zachodzie ku Warszawie, wspaniałe ubiory łowczych i myśliwców, piękne cugi, kosztowne futra, dwór od złota i srebra świecący, pióra nad kapeluszami, wstęgi, aksamity, dywdyki bogate któremi wierzchowce pokryte były, nie domyśliłby się wcale, że panu temu dziedziczne jego kraje zajmował sąsiad, że mu całą młodzież do wojska pędził, sekwestrował dochody i w stolicy jego gospodarował jak w domu, z tą jednak różnicą, że domu się zawsze oszczędza, a cudzéj stolicy jak najmniéj.

Lecz dzięki geniuszowi Brühla, fałszywe pojęcia o stanie spraw politycznych Europy nie miały przystępu do ucha Augusta; wiedział on że za jego sprawę biło się siedemkroć sto tysięcy sprzymierzeńców, że lada godzina będzie mógł swobodnie powrócić polować w lasach Hubertsburgskich, i słuchać opery w Dreznie.

Brühl nieustannie powtarzał królowi iż się niczego obawiać nie było potrzeby, w Polsce miał schronienie bezpieczne, szkody zaś poczynione w Saksonii łatwo było odzyskać przyłączeniem od Prus obszernych prowincyi. Co zaś najwięcéj bawiło i radowało poczciwego króla, to że nawet raz udało mu się Fryderyka oszukać wybornie.

W czasie tego nieszczęśliwego pochwycenia wojsk saskich w obozie pod Pirną, gdy nawet ocalenia gwardyj utargować nie mógł Rutowski, przyczaił się tak zręcznie Brühl, iż wszyscy niby zapomnieli o najpiękniejszych czterech pułkach Saskich stojących w Polsce. Te pułki przez Morawią, pociągnęły pocichu w pomoc Austryakom.

Król ile razy sobie tę wyborną przypomniał sztuczkę, śmiał się patrząc na Brühla i mówił:

— A co Brühl, moje cztery pułki? ha?

Brühl uśmiechał się także, a August odpowiadał mu jeszcze raz śmiechem. To pewna że nie tyle go martwiła strata całéj armii, ile cieszyło wykradzenie tych czterech pułków. Równie tryumfował z tego że wywiózł z sobą Magdalenę Corregia, i Fryderykowi zostawił Battoniego, która jak dla takiego znawcy, jeszcze była arcydziełem.

Naostatek jakkolwiek Warszawy do Drezna naówczas porównywać nie było podobna, ale założono i tu zwierzyniec do strzelania napędzonéj dziczyzny, psów było dosyć do wprawy w celowanie, gdy na polc się ciągnąć nie chciało, saski pałac mieścił z biedy dwór i królowi samemu starczył, teatr zaś z niedobitków drezdeńskich i muzyką nadworną, wcale nie zły złożyć się udało.

Ile razy solo fletowe przychodziło w czasie koncertu, król zwracał się do Brühla i szeptał mu na ucho:

— On tak nie zagra!

Ten *on* oznaczał Fryderyka, który w téj chwili zapomniawszy o flecie wygrywał na Saskich grzbietach, koncert wcale nie harmonijny.

Tu z Warszawskiego punktu widzenia, cała wojna i przyszłe rozwiązanie tego dramatu nieszczęśliwego wydawały się tak jasno, tak nieochybnie tryumfalną sceną, iż król August, który z Koenigstein wyruszył był markotny, wzdychający, zamyślony, odzyskał powoli pogodę umysłu zwykłą i wszystkie obyczaje szczęśliwego człowieka.

Zachciewało mu się czasem czegoś z Drezna, ze zwierzyńców, z galeryj, ale Brühl który o sobie dla pana zapominał, umiał zawsze w zastępstwie tego co brakło, wyszukać coś co pana uspokoiło.

Jedno tylko dobrego króla martwiło, gdy mu minister, co się cały dlań poświęcił, opowiadał o poniesionych stratach, zrabowanym pałacu, popalonych zamkach, potłuczonéj porcelanie, zbezczeszczonéj garderobie.

Naówczas wzdychał król i nazajutrz sypał starostwami, jakie miał do rozporządzenia, ażeby choć w części te ofiary biédnemu człowiekowi wynagrodzić.

Życie w Warszawie mało co było odmiennem od drezdeńskiego, tu tylko na pokojach częściéj się spotykało wygolone

głowy i szable, których właściciele tak się nauczyli nisko kłaniać i w rękę całować króla J. Mości, jak gdyby byli rodowitemi Sasami. Nie przeszkadzało to do rwania sejmów, ale któż może odgadnąć jedną wichrowatą czuprynę, w sród kilkuset? I tu król był obwarowany strażą z zaufanych ludzi złożoną, aby nikt mu się nie podkradł z niepotrzebnemi wiadomościami. Brühl czuwał nad tém, ażeby z pola wojny przychodzące doniesienia zredagowane były zawsze tak umiejętnie, by wszelka klęska wydawała się zwycięztwem, a najmniejszy szarmycel pomyślną wygraną, walną bitwą.

Zbierano też starannie wszystkie anegdotki o Fryderyku, które go w śmieszność podać mogły.

Brühl utrzymywał Augusta w tém przekonaniu, iż lada godzina skończy się to wszystko stłuczeniem na miazgę nieprzyjaciela. Czasem bardzo znudzony król zapytywał:

— A co?

— Wszystko jak najlepiéj, N. Panie—odpowiadał minister.—Francuzi już idą, armia rossyjska już wyszła, Szwedzi w drodze, Austryacy wszędzie górą. Lada dzień katastrofa...

— Żeby go żywcem wziąć! a! żeby go żywcem wziąć! —mówił król.

— Tego się niechybnie spodziewamy N. Panie—odpowiadał niezmieszany Brühl—już dwa czy trzy razy o mały włos....

— O włos!—powtarzał August—ale zawsze ten włos!

Z Drezna wiadomości dochodziły nieustanne, Brühl kierował sekretną administracyą hr. Loss, Globiega i Stammera, dawał instrukcye Hennikemu, ciągnął nawet pieniądze, o ile obok wyciąganych przez króla Fryderyka, dało się bocznemi drogami wydobyć; lecz z tego co przychodziło ze stolicy, robiono na użytek króla wybór troskliwy, aby o tém co niepotrzeba nie wiedział. Zrana przychodził Brühl zapytać o zdrowie i rozkazy, późniéj wpuszczał wybranych przez siebie, podpisywano papiery, przychodziły na stół sprawy polskie, a po nich obiad wykwintny. Król rozbierał się do koszuli po tém znużeniu, zapalał fajkę, a osoby które wpuszczano były starannie dobierane, poufałe, potrzebne koniecznie lub zabawne. Niekiedy trafiał się obraz albo do nabycia lub przez

którego z panów polskich ofiarowany. Stawiano go na saludze, a król wzdychał nad galeryą od któréj był oddalony. Troszczył się najwięcéj o Madonę Rafaela, którą się pysznił, dla któréj gdy ją przywieziono, tron z sali kazał usunąć, aby wielkiemu mistrzowi zrobić miejsce.—Któż wié?—mawiał—lada głupia kula austryacka może świat pozbawić arcydzieła!!

Jeżeli był teatr około czwartéj lub piątéj, szedł król na operę, albo na koncert, albo jechał do Mokotowa, lub na Bielany na małe łowy. Wieczorem kładziono pod pałacem zwykle zdechłego konia, do którego schodziły się psy; król do nich strzelał z altany, zawsze z tą oględnością, aby ich nie zabijać tylko ranić, boby mogło ich w końcu zabraknąć. Strzelał zaś tak wprawnie, iż zwykle mawiał do Brühla:

— Brühl, prawa łapa...

I prawa łapa była strzaskana.

Minister prawie tak doskonale strzelał jak August III, ale rozumiał to że mu gorzéj zawsze wypadało celować i niekiedy chybiać.

Inne też rozrywki dwór bawiły: puszczano się kuligiem, bywały ognie sztuczne misterne, popisywali się wędrowni wirtuozowie, i opera na małą skalę przypominała Ecjuszów, Titusów, Aleksandrów drezdeńskich. Niestety, Faustyny tu nie było, a żadna jéj zastąpić nie mogła. Na wspomnienie divy, król się zamyślał, nie mówił nic, oczy wlepił w ścianę; czuć było że w kontemplacyi ducha cześć oddawał jéj obrazowi przytomnemu wyobraźni.

Dnia tego kalwakata która była wyruszyła ku Bielanom, szczególnym trafem już na przedmieściach Warszawy napotkała drugą.

Łatwo było poznać w tym szeregu powozów zmęczonemi pocztowemi zaprzężonych końmi, drezdeńskie ekwipaże dworu; król który w odkrytym jechał, odwrócił się do tuż towarzyszącego mu Brühla, ręką wskazał i zawołał:

— Brühl, otóż masz! a to co?

Minister właśnie poznał był żonę swoję i dwór jéj.

— N. Panie!—zawołał—żona moja... Sama nam przywozi ważne wiadomości z Drezna.

Król milczącym, wdzięcznym ukłonem pozdrowił wyglądającą panią. Uwolniony dla rozporządzenia umieszczeniem hrabinéj, Brühl pojechał za nią, a król do pałacu. Dobre pół godziny upłynęło nim minister na którego niecierpliwie oczekiwano, zjawił się w pokoju króla.

Zobaczywszy go powstał August III i spojrzał mu w oczy.

Brühl jak zwykle przychodził z twarzą jasną.

— Królowa? jak się ma królowa?

— W zupełném, w najlepszém zdrowiu. Są od N. Pani listy i od księcia kurfirsta, które żona moja chce mieć zaszczyt sama złożyć w ręce W. Kr. Mości.

— *Sehr angenehm* — szepnął król — bardzo mi będzie przyjemnie.

— Z wiadomości—dodał Brühl—ta tylko ważna, iż Fryderyk o mało nie zginął.

— A! jakim sposobem.

— Kamerdyner Glasau chciał go otruć w czekóladzie!

Król ręce podniósł do góry.

— Ale pies wypił truciznę.

Nastąpiło wątpliwe głowy rozkołysanie.

— Z tego powodu,—mówił Brühl—posądzono mnóstwo osób w Dreznie, chciano więzić, więziono nawet. Odkryto zdradę sekretarza gabinetowego...

Słuchał z uwagą król, ale nie mówił nic.

— Szczególną niechęć zwrócił Fryderyk ku żonie mojéj, czując w niéj nieprzyjaciela i dlatego ona oddalić się wolała.

— Zapewne—dodał król—tak lepiéj.

Jeszcze raz zapytał o królową August i przeszedł się zamyślony; zwrócił potém nagle do Brühla:

— W bażantarni? w zwierzyńcu...

— Wszystko całe, na mnie spada zemsta jego: palą i niszczą.

— Ale ja ci to nagrodzę—odparł król—zobaczysz, niech się to tylko raz skończy. Pałac trzeba żebyś sobie budował tutaj, zda się.

— Z łaski W. Kr. Mości.

— Ja ci na to dam. Są pieniądze?

— Są, N. Panie.

Zadumał się król, na tém się skończyło.

Za panią Brühlową przybył cały jéj dwór. W chwili wyjazdu pomnożył się on niespodzianie rozkazem gabinetowym króla, który oprócz hrabiny skazywał na opuszczenie stolicy baronównę Nostitz, jako zbyt czynną w zamkowych intrygach. Generał Spörken ledwie się potrafił utrzymać.

Simonis ocalony i wyprawiony przodem do Wrocławia, tu się połączył z dworem Brühlowéj, do którego Masłowski należał. Zmienił tylko Kawaler Max de Simonis nazwisko swe na Henryka Ammona, i pod tém zjawił się w Warszawie.

Któż odmaluje radość, zapał, szał niemal, z jakim pan Ksawery, podrzucając czapką do góry, powitał stolicę i dźwięk mowy, któréj był spragniony. Działało to nań tak, że zaraz za Wrocławiem zaczepiał wszystkich kogo spotkał i gęba mu się nie zamykała.

Wesołość ta często zbyteczna wyrażała się dziwnie, żartami niekiedy bolesnemi, z Simonisa, który jechał przybity, milczący i w ogóle zmieniony bardzo.

Do powozu też w którym siedziała baronówna przypadał nieustannie, aby ją bawić, bo była smutną i zapewniać że po Saxonii płakać nie będzie miała powodu.

Masłowski, który w ostatnich czasach postradał był wiele dawnéj wesołości i swobody umysłu, odzyskał je w granicach Rzeczypospolitéj. Ttrafiło się też, że na drugi dzień w podróży spotkali na drodze pielgrzymującego z właściwym sobie stoicyzmem, pomalutku Kondrata. Skorzystał on z zamętu jaki w czasie przybycia Fryderyka panował, by się wyśliznąć z więzienia.

Nie tłumaczył się jak tego dokazał, nie przyznawał czy cegłę wyjął ze ściany; dosyć że wolny, goły, mało odziany, o żebraczym chlebie, ciągnął się tak ku domowi, gdy go Masłowski poznał i na furgon wsadził. Karmiono go chętnie, bo służbie był użytecznym, a byli to jego dawni znajomi.

Jedna rzecz truła panu Ksaweremu powrót do domu, myśl o surowym ojcu o panu stolniku, w razie gdyby odkrył, dowiedział się lub domyślił że syn w niemce się zakochał; tak

było w istocie. Nie ulegało już najmniejszéj wątpliwości, iż pan Masłowski głowę stracił, a było wielkie prawdopodobieństwo do tego że baronówna serce mu oddała. Hrabina Brühlowa któréj oczu przenikliwych ujść nie mógł stosunek tego rodzaju, i która zwykła się go była domyślać nawet tam gdzie nie był, uśmiechała się z politowaniem. Probowała nawet parę razy, małą uczynić dywersyą bałamucąc potrosze Masłowskiego; lecz wprędce postrzegła że do galanteryi tego rodzaju polak nie był wcale zdatny...

Zakochany, zbyt się oddawał pani swych myśli, ażeby mu na epizody starczyło czasu. Simonis zaś, który był w łaskach pani, od ostatnich wypadków wiele w oczach jéj utracił. Litowała się nad nim, i znajdowała go zbyt mało rycerskim, nadto lękającym się dramatycznych scen i t. p. Tylko zasługa jego i poświęcenie ratowały od niełaski i zapomnienia. Simonis jechał z pewnością otrzymania posady sekretarza i dalszéj świetnéj kreścytywy.

Najsmutniejszą ze wszystkich była baronówna, którą losy jéj kraju obchodziły żywo. Przywiązaną była do królowéj, litowała się nad jéj losem, tęskno jéj było zdala, próżno dowiadywać się tylko o tém w czémby była uczestniczyć pragnęła. Przewidując klęski, chmurna, zmuszona, jechała za hrabiną, a jeżeli się kiedy uśmiechnęła Masłowskiemu, to na jedno mgnienie oka. Chmury wracały na czoło, łzy na powieki, tęsknota do serca.

Masłowski zagadywał, ona powtarzała ciągle:

— Powiedz, co się tam dzieje?

Pan Ksawery ledwie wysiadł, zaledwie się wyciągnął, gdy nadchodzący minister zobaczywszy go, zawołał doń:

— Stolnik jest w Warszawie.

Chciał pytać Masłowski gdzie go miał szukać, ale Brühl, któremu było pilno, wszedł do pokojów hrabiny. Złożywszy swe węzełki i zdawszy je służbie, pan Ksawery ani chwili się nie namyślał; trzeba mu było natychmiast pójść, paść do nóg ojcowskich: stolnikby mu nie przebaczył opóźnienia.

A serce też, mimo strachu, biło mu do tego ojca, który surowym był, zapalczywym, lecz dziecko kochał, i choć się z tém krył dla utrzymania powagi, zdradzał nieustannie.

Pan stolnik Masłowski z Chełmskiego, był jak Brühl mówił jego przyjacielem, jak on sam powiadał, sługą J. Excelencyi. Ksawery wybiegł na ulicę, rachując na Opatrzność iż mu kogoś o mieszkaniu stolnika wiedzącego dostarczy. Każdego spotkanego szlachcica przy karabeli, zdejmując czapeczkę zapytywał:

— Za pozwoleniem waćpana dobrodzieja, nie mógłby mi pan powiedzieć gdzie mieszka stolnik Masłowski?

Jedni odpowiadali grzecznie, grubiańsko drudzy: „Na końcu języka,“ albo: „kto go tam zna?“ Inni radzili udać się w to lub w inne miejsce na zwiady. Ksawery szedł zmordowany i już zły, gdy zobaczył dobrze sobie znajomego Maćka fornala ojcowskiego, na małéj taczce, z wielką biédą popychającego beczułkę, oczywiście pełną, bo sobie ledwie z nią mógł dać radę. Maciek miał głową spuszczoną, zasapany był i spocony, mimo chłodu.

— Stój, Maciek! na rany Chrystusowe!—zawoła—gdzie ojciec?

Przestraszonemu apostrofą chłopcu taczka z rąk wypadła i o mało się beczułka z niéj nie stoczyła.

— O Jezu miłosierny! taż to panicz! A co pan Zdrowasiek na waszą zmówił intencyą, a jakie u nas paskudne chodziły wieści!

I począł go ściskać za kolana.

— Chwałaż Bogu żem cię spotkał—zawołał Ksawery—Ojciec zdrów?

— A! dzięki Bogu, jako tako.

— Cóż to wieziesz?

— Rozumie się, wino proszę panicza; trzeci dzień u nas piją—rzekł Maciek—na zabój. Coś to tam, jakaś sejmowa sprawa, wino idzie słyszę na rachunek ministra. Pan stolnik, jako gospodarz, wody sobie potrosze dolewa, aby trzeźwym być, ale nie bez tego żeby też nie był pod hełmem, a co drudzy, paniczu, jak sztofy! Z daleka słychać jak wrzeszczą.

Ksaweremu zrobiło się markotno trochę.

— A gdzież stoicie?

— Na Pociejowie, proszę panicza; najął pan stolnik pięć pokoi. We trzech już leżą jak kłody, ci którzy mają do syta; ano co się wytrzeźwi który, to mu dolewają.

Nie pytając o więcéj, poszedł pan Ksawery. Dostali się z chłopcem na podwórze w Pociejowie, pełne sani, wozów, czeladzi, żydów, wrzawy i wszelkiego motłochu. W kącie kuglarz pokazywał sztuki z gałkami i kubkami, gawiedź mu się przypatrywała, a filuci powoli robili rewizyą po kieszeniach. Hałas w dziedzińcu i w gmachu był ogromny, trzeba było nawyknąć do niego, aby znieść. Ztąd już chór podpiłéj szlachty słychać było na górze, a w oknach, choć jeszcze za dnia, już zapalone były światła. Nie potrzebował daléj przewodnika pan Ksawery: wrzawa i śpiewy go prowadziły.

Podszedłszy podedrzwi, poprawił ubrania, zdjął kapelusz, przeżegnał się, gdyż przystąpić do ojca nie mógł nigdy bez obawy, i uchyliwszy drzwi wszedł do ogromnéj izby, w pośrodku któréj właśnie, z kielichami podniesionemi do góry, stojący przyjaciele pana stolnika, ryczeli ochrzypłemi głosami pieśń znaną:

To pan, to pan, to dobrodziéj nasz;
A my jego słudzy:
Pijmy jako drudzy!

Jeden potężny głos basowy szczególniéj się odznaczał. Posiadacz jego siedział na ławie, obie ręce do ust w trąbę złożone przystawiwszy, wył aż mu oczy na wierzch się wydobywały, a twarz karmazynem oblewała.

Zapach wina, jadła, świéc, butów szlacheckich z lekka dziegciem dzyngowanych, najrozmaitszych woni, chwycił za nos przybylca, który u progu zatrzymał się pokornie, kroku daléj ruszyć nie śmiejąc.

Na przedzie stał pan stolnik Masłowski, olbrzymia figura, z brzuchem potężnym, z którego pas był opadł nizko, tak nizko, iż lękać się było można, aby się na ziemię nie zsunął.

Piękny to musiał być niegdyś mężczyzna, ale życie do rozrostu niepomiernego budząc ciało, zatarło szlachetne formy pierwotne. Głowa tylko wysoko podgolona z wąsem, z podbródkami, z oczyma niebieskiemi napół przysłoniętemi, miała wyraz rozpojonego Sardanapala. Znać w niéj było krew bujną, starą, rycerską, a zarazem już okiełznaną dworactwem i nałogami.

Jedną ręką trzymał się w bok, przy karabeli, któréj nigdy nie odpasywał, którą u stołu kładł przy sobie, a nocą przy poduszkach; drugą unosił *pełną*, kielich złocistym płynem nalany po brzegi. Zrazu czy nie spostrzegł czy nie poznał syna, oczy mając zaszłe blachmanem; lecz nagle zadrgał mu kielich, usta otwarte ścięły się i popędził ku drzwiom.

Pan Ksawery już leżał u nóg jego, stolnik drżał cały, kielich mu padł z rąk; rzucił się gwałtownie chwytając za głowę i całując namiętnie syna. Dopiéro temu uczuciu dogodziwszy, pchnął Ksawerego od siebie.

— A mówże ty bestyo jakaś, co się z tobą działo? wszak już pletli Bóg wié co, i opłakałem waszeci!

Szlachta wesoła otoczyła wnet stolnikowicza. „Vivat! vivat!“

— Dajcież pokój—przerwał stary—jeszczeby czego niestało, żeby takich smarkaczów pić zdrowie. Niech się wytłumaczy.

— Tst! tst!—zaczęto wołać.

— Panie stolniku—przerwał podkomorzy Rożański.— Nie pozwalam! Na sucho mówić *nego! veto!* dać mu kropel nim zacznie mówić... kropel!

Obejrzano się za winem.

Maciek który miał już czas wcisnąć się do izby, niósł kielich nalany rozlewając z niego po drodze. Gwałtem go w ręce wbito Ksaweremu. Ten przyklęknął:

— Zdrowie rodzica dobrodzieja!—zawołał. A za nim jak hukną wszyscy:—Naszego stolnika zdrowie! Kochanego stolnika zdrowie... do stu lat!—od hałasu ci co spali w dwóch dalszych izbach, pozrywali się na nogi i chwiejącemi kroki poczęli, za ściany i drzwi chwytając się cisnąć do salki.

— Zdrowie stolnika!—wrzało, huczało, szumiało.

Rozczulony ojciec jeszcze raz uścisnął syna.

— A teraz gadaj!—zawołał.—Panowie, uciszcie się! Dworzanin J. Ekscellencyi ministra Brühla ma głos.

Ksaweremu nie zbywało na wrodzonéj wymowie, lecz ile razy przy ojcu mu się z nią popisywać przychodziło, onieśmielony jąkał się i prawił tak, że się jedno drugiego nie trzymało. Tym razem, czy wino, czy ogólny duch zgromadzenia, czy ojcowska czułość, czy radość z powrotu namaściły mu usta.

Począł mówić dowcipnie, zamaszysto, pieprzno i słono, nie żałując ani barwy, ani przyprawy. Ojciec stał zaniemiały ze zdumienia, szlachta się za boki trzymała. Chwilami gdy Fryderyka malował i jego obyczaje, którym się przypatrzył w obozie, do szabli się rwano i na ostrych wyrażeniach nie zbywało. Jedném słowem na słuchaczach swych i na ojcu uczynił to wrażenie, iż kiedyś mówca z niego niepospolity urośnie.

W czasie téj mowy, posiadali gdzie kto mógł, a przybysze świeżo przebudzeni z drugiéj izby, zdrzémnęli się znowu. Ojciec słuchał z radością i rozrzewnieniem przygód syna.

Masłowski opowiadając o nich, jedno tylko pomijał starannie: to wspomnienie baronówny.

Gdy dokończył nareszcie, szlachta wniosła zdrowie stolnikowicza, a ojciec go pocałował i kielich wychylił milcząco. Więc znowu się wszczął gwar, huk i szkło ponapełniane szło wkoło.

Pan Ksawery znalazłszy kilku dawnych przyjaciół i niemal rówieśników, cofnął się z niemi trochę na stronę, bo pytaniom nie było końca. A że się pora wieczerzy zbliżała, poczęła czeladź różnego stroju i kalibru nakrywać do ogromnego stołu. Obrus leżał już na nim od dwoch dni, pooblewany sosami i winem; poprzynoszono tylko stosy obłupanych talerzy, żelaznych nożów i widelców, daléj chleba stosy, a naostatku poczęły wjeżdżać niewykwintne półmiski jadła, które na to było przeznaczone, aby istotne potrzeby zaspokajało.

Szły więc zrazy z cebulą, pieczenie z rożna, kapusta kwaśna, ogórki, bigosy i fundamentalne jadła. Kto mógł zabierał miejsce, bo tu rzeczywiście *periculum in mora*: ledwie misy dotknęły stołu, już z nich znikały potrawy.

Ksawery głodny téż, o sobie radzić musiał. Ojciec się zbliżył do niego:

— Radź o sobie—rzekł cicho—a jeżeli zmęczony jesteś i zalewać się nie chcesz, bo to téż dla waści zawczesne, izdebkę na piętrze niech ci pokażą, abyś odpoczął, choć, Bóg raczy wiedzieć, czy my tu komu dziś spać damy: niemały to kłopot sejm smarzyć...

Westchnął ocierając pot z czoła. Ksawery korzystając z pozwolenia, posiliwszy się, natychmiast zniknął. Maciek po-

szedł za nim i w izbie mu na ziemi posłano, bo o łóżku mowy być nie mogło, na sianie i łosiowéj skórze. Zaczynano chórem piać na dole, gdy Ksawery głowę do skórzanéj też poduszki zaledwie przyłożywszy, zasnął kamiennym snem, z którego-by i działa pruskie może go obudzić nie potrafiły.

I spał nie marząc nawet.

X.

W kilka dni po przybyciu hrabiny i umieszczeniu jéj, życie dworu na chwilę jakby wstrząśnięte nowemi żywiołami, które do jego składu przybyły, wróciło do dawnego spokoju i zegarkowéj swéj regularności.

Najjaśniejszy Pan po kilkakroć powoływał hrabinę, aby mu coś o królowéj, o dzieciach, o Dreznie opowiedziała. Minister bywał rozmowie przytomny i wejrzeniami kierował odpowiedzi, gdyż doświadczył że się żona jego gniewem zbytnio unosiła i wygadywała niepotrzebnie. Po kilku jednak dniach, August czując się już dostatecznie zawiadomionym i uspokoiwszy sumienie, zapraszał tylko na zabawy, które jako niezbędne życiu, szły swym trybem. Dodawały im smaku wiadomości przychodzące o zwycięztwach wojsk rossyjskich, o tryumfach austryackich, o naprowadzonych siłach francuzkich i t. p.

Było więc w Warszawie tak spokojnie, tak wygodnie, tak cicho jak może być tylko w kraju, w którym wszystko od sejmów zależy, a w którym żaden sejm nie dochodzi i z chaosu zręcznie się korzysta.

W zarządzie polskiego kraju, Brühl też same rozwijał talenta, jakich dał dowód rządząc Saxonią; jednał sobie stronników, pilnował własnego interesu, obrachowywał ile nieład przynieść może i starał się go uwiecznić.

Zgryźliwsze umysły widziały w tém przyszłą zgubę, Rzeczpospolita już nie władała sobą; ale to co się tu działo, dla taraźniejszych widoków ministra było korzystném: nie szło mu o nic więcéj.

Nadskakującą grzecznością jednał sobie ludzi: sam starał się przerobić na szlachcica polskiego, synowi dał starostwo

warszawskie, córkę wydał za Mniszcha, spokrewnił się ze wszystkiemi znaczniejszemi domami i był panem Rzeczypospolitéj. Miał tu także swych Stammerów, Globigów i Hennickich.

Gdy on o tych wielkich politycznych myślał planach, hrabina starała się sobie uprzyjemnić życie, ściągając do domu swego towarzystwo i dobierając domowników i sekretarzy do smaku.

Simonis, który po niejakim czasie przyszedł do siebie, stał na czele téj młodzieży, pod różnemi pozory przeznaczonéj na odpędzanie nudów i skrócenie czasu. Pomimo najwygodniejszego urządzenia w Warszawie, chociaż tu miała córkę i syna, hrabina czuła się nie swoją. Tu sieć jéj intryg tak łatwo i dogodnie snuć się nie mogła; tu przeciwko znienawidzonemu Fryderykowi nic przedsięwziąć nie było podobna. Nie było wreszcie ludzi, coby po wypadku Glasau'a zamkniętego na całe życie do fortecy, jego rolę na siebie przybrać się podjęli; trudno było o szpiegów nawet.

Każdą pocztę chwytała Brühlowa chciwie i po każdéj smutniejszą była, bo wiadomości pomyślnych brakło.

Simonis pisał pod dyktowaniem listy codziennie, codzień je wysyłano drogami różnemi; lecz działanie z daleka coraz się stawało trudniejszém.

Pan stolnik Masłowski który tak rzewnie pierwszego dnia przyjął syna, drugiego dnia był już znacznie surowszym, a trzeciego odprawił go na służbę do Brühla. Ksawery nie był bardzo tém zmartwiony, gdyż mu to dozwalało zbliżyć się do baronówny.

Ta także czuła, może mocniéj niż inni wygnańcy drezdeńscy, ciężar osamotnienia i tęsknotę za krajem, którego każde drgnienie w piersiach się jéj odbijało. Towarzyszyła wprawdzie Brühlowéj, ale jak niemy i obojętny świadek, którego myśl jest gdzieindziéj. Nawet Masłowski, który nie kryjąc się ze swém przywiązaniem, ciągle był przy niéj, często nie umiał i nie mógł jéj rozerwać. Uśmiechała mu się smutnie, serdecznie, ale bez życia, bez nadziei. I ona rzucała się chciwie na każdą pocztę, która przybywała z Drezna.

Wszystko co ztamtąd szło, obchodziło biédnych wychodźców: ciężka nadzwyczaj zima, która szyldwachów dwu królo-

wi pruskiemu na śmierć zdławiła, drożyzna chleba i t. p. Cieszono się nawet śmiercią generałów pruskich, z których jeden von Kleist zmarł w Dreznie.

W styczniu wiedziano o pobycie Fryderyka, który prawie nie opuszczając Saxonii, małe z niéj tylko do Szlązka czynił wycieczki. Resztkę saskiéj broni pozabierano w arsenałach, a ludzi chwytano po ulicach, gwałtem ich ciągnąc do wojska. Ze szkoły nawet uczniów starszych, Fryderyk pozaszywał w kamasze.

Wszyscy przerażeni byli tém, że na zamku i w kościele katolickim, Szwajcarów rozbrojono, zastępując ich pruskim żołnierzem. Nareszcie przyszła wieść, iż twierdze, mury i baszty pilnie zaczęto poprawiać i umacniać, a król nawet dowiedziawszy się iż słusznemu żądaniu żony jego, która 174,000 talarów miesięcznie na dwór i życie wymagała, odmówiono; bardzo przez dwa dni był pochmurny.

Przyczyniła się do tego i wiadomość, że Hasse, genialny muzyk, którego król rad był mieć w Warszawie, wyjechał do Włoch a ściągnąć się ztamtąd nie dawał.

Gdy w Europie wojowniczemi ruchy wrzały całe państwa spiknięte na Fryderyka, tu król August mógł zażywać niczém, oprócz ech i odgłosów, nieprzerwanego spokoju. Całą zimę polowano wyśmienicie korzystając z mrozów, co ścięły bagna, i śniegów, co zwierzętom utrudniały ucieczkę.

Z pierwszą wiosną, w kwietniu już, Fryderyk znajdował się w Czechach. Zwykłą jego zasadą było nieprzyjaciela nie czekać, ale pierwszemu nań nachodzić: tą śmiałością zyskiwał wiele. Lecz istotnie zdawała się zbliżać chwila, w któréj niewielkie jego siły, rozdzielone, zewsząd z ziemi wyrastającemu nieprzyjacielowi podołać już dłużéj nie mogły. Obok wielkich wypadków na scenie politycznéj i wojskowéj, drobniejsze dzieje serca, ledwie na siebie zwracały uwagę. Nie zachodziło też nic tak nowego, coby im nowy zwrot nadało. Simonis trzymał się hrabiny, wyglądając codzień bardziéj znudzonym, choć z każdym dniem rosnął w łaski, podarki i nadzieje.

Masłowski oczyma gonił baronównę i mówiono na dworze głośno, iż ta miłość zobopólna, małżeństwem się skończyć musi. Przeciągało się to jednak, a Simonis, pomimo wyrze-

czenia się Pepity, z nudów, czy z istotnéj skłonności, ostrożnie bardzo znowu zbliżać się zaczynał do niéj. Baronówna chłodem i obojętnością odpychała go od siebie nadaremnie. Szwajcar poznawszy lepiéj stosunki miejscowe, domyślał się że Masłowskiemu ożenić się z nią będzie trudno; rachował i na to, że hrabina może późniéj zobojętniawszy, dopomódz mu do panny Nostitz.

Ostrożnie więc, nie natarczywie, Max, coraz bliżéj kołował przy pannie; Ksaweremu nie zdawało się to bynajmniéj niebezpieczném, milczał więc.

Byłoby się to tak ciągnęło dłużéj może, gdyby hrabina nie była zazdrosną, namiętną, i gdyby nie potrzebowała właśnie nieczynnością zmęczona, czémś gorętszém się odżywić. Ludzie którzy długo w ogniu żyć byli nawykli, nie znoszą chłodu i ciszy. Intryga staje się nałogiem, namiętność potrzebą.

Brühlowa raz powziąwszy podejrzenie, iż Simonis nie bez celu spogląda znowu ku baronównie, zaczęła go szpiegować, odgadła, i, nieokazując nic po sobie, zapaliła się gniewem wielkim. Dla Simonisa stała się owszem czulszą niż kiedy, aby nie odgadł co go czekało.

Jednego wiosennego poranku, na świstku papieru nakreśliła hrabina do męża żądanie, ażeby przyszedł z nią pomówić; minister pełen atencyi stawił się natychmiast.

— Co mi moja piękna pani każe?—rzekł z uśmiechem.

— Mój Brühlu—odezwała się nie wstając z krzesła hrabina—mam do was prośbę, a spodziewam się że czułe jego serce jéj wysłucha: raz przecie dwoje szczerze się kochających połączyć potrzeba.

— Kogo?—zapytał zdziwiony minister.

— Ten biédny polaczek Masłowski schnie z miłości dla Pepity; ona go kocha, ale chłopiec się ojca lęka i tak się to ciągnie iż się oboje zamęczą. Zresztą—dodała ciszéj—może się to skończyć téż niełądnie...

— Serdecznie pani dziękuję za podanie mi zręczności spełnienia dobrego uczynku. Z największą przyjemnością—dodał Brühl.—Stolnik ojciec Masłowskiego jest mój przyjaciel, służy mi wiernie; słucha, zrobi co zechcę: pożenim ich... *C'est dit!*

Brühlowa podziękowała skinieniem głowy, ale nakazała dyskrecyą. Drugiego czy trzeciego dnia minister zobaczywszy pana Ksawerego, przypomniał sobie obietnicę i zbliżywszy się doń, szepnął mu aby ojca nazajutrz do niego prosił. Stolnik dotąd jeszcze był w Warszawie; wyjeżdżał wprawdzie co kilka tygodni ale po polsku. Konie zaprzęgano, tłumoki znoszono, ludzie byli gotowi, zaczynały się pożegnania, podróż się opóźniała, odkładano ją do dnia następnego. Nazajutrz zrana coś przeszkodziło, po południu konie znowu wyprowadzano, ktoś nadszedł, interes był pilny i tak się zwlekło do nocy, a nocą jechać licha warto. Następował poniedziałek a w ten dzień nikt nie jeździ. We wtorek było święto, we środę rozrachowywano że do domu na termin oznaczony zdążyć nie można i wyjazd odkładał się *ad calendas grecas*. Takie wyjazdy powtarzały się kilkakrotnie, stolnikowi ciężko się już było ruszyć z Warszawy. Wyprawiał dyspozycye ekonomowi, odbierał raporta i siedział. Gdy Ksawery całując go w rękę przyszedł prosić do ministra, stolnik *cum debita reverentia* to przyjął.

— Ano będę, oczywiście będę—rzekł.—Rozpytał o godzinę i syna odprawił.

Brühl tymczasem zapomniał o wszystkiém i dopiéro na sali audyencyonalnéj zobaczywszy pana stolnika, przywołał na pamięć o co chodziło. Odprawiwszy więc innych klientów, ujął go pod ramię i wprowadził do gabinetu. Domyślał się pan Masłowski, że musiało iść o rzeczy polityczne i zdziwił się mocno, gdy go zagadnął minister.

— Natenraz, panie stolniku, interes prywatny zbliża mnie do waćpana; pozwolisz mi z sobą, jako swojemu przyjacielowi, mówić otwarcie.

Stolnik się skłonił bardzo nizko. Brühl ujął go za rękę:

— Kochany stolniku co myślisz z synem? Chłopak dorosły, młodzieniec któremu wszyscy sprawiedliwość oddają: ja pierwszy. Czasby go może ożenić?

Masłowski aż odskoczył.

— E! to smarkacz!—zawołał—trzydziestu lat nie ma.

— Sam czas.

— U nas nie! oho! gdzie mu tam o tém myśléć!

— No—przerwał śmiejąc się Brühl—ja się lękam że może on już dawno ma projekta.

Na twarz Masłowskiego wypłynął rumieniec.

— Z pozwoleniem JWPana—rzekł—gdyby bez mojéj wiedzy miał projekta, dostałby pięćdziesiąt bizunów i odeszłaby mu ochota.

Brühl się śmiał.

— Nie będę—rzekł—obwijał w bawełnę: waćpana syn kocha się w baronównie Nostitz. Jest to stara rodzina u nas, u dworu w łaskach, N. Pani i król są opiekunami panny, ma majątek piękny, wcale piękny. Osoba zacna i charakteru najszlachetniejszego: czegóż sobie więcéj życzyć można, gdy i miłość jest wzajemna?

W czasie téj mowy stolnik milczał, ale powoli twarz mu się mieniła, bladła, nabiegała krwią; marszczki okrywały czoło, wąs się podnosił i ruszał, ręka zaczęła drgać. Potarł czoło milczący, nadął się i widać lękając się aby z niego nie wybuchnęło to, co zawrzało, szepnął tylko krótko i cicho:

— Pan minister pozwoli... do namysłu... zobaczymy.

Brühl nie zrozumiał iż stolnik spolitykował tylko i dodał:

— Niech się pan namyśli: partya niemoże być lepsza.

Stolnik nizko się ukłonił i prędko wyszedł. Przez salę audyencyonalną przesunął się niepatrząc na nikogo, w pałacu okręcił się szukając zaraz syna, a znalazłszy Ksawerego, powiedział mu krótko:

— Idź waćpan zemną.

Zaledwie wyszli w ulicę, aż dłużéj w sobie rankoru niemogąc utrzymać stolnik, stanął i zawołał:

— Trzykroć sto tysięcy dyabłów, mosanie, to waćpan tu bez méj wiedzy w amory się wdajesz! hę! Sto bizunów! com obiecał, to dotrzymam. A ten Niemiec szołdra jakiś, dlatego że ja mu syna dałem do dworu, i żem mu w jego polityce służył, będzie mi się mieszał do moich spraw domowych. Truteń jakiś, a wara! a zasie! Co to ja twój chłop, sługa, żebyś ty mi syna żenił!

Kwita z przyjaźni!—krzyknął, kułak podnosząc—kwita. A to tak!

Ksawery, za mną!

I wzburzony cały stolnik poszedł na Pociejów. Ledwie w podwórzu stanął, na ludzi zawołał:

— Pakować i zaprzęgać!

Drżący pan Ksawery szedł za nim, stolnik sapał i zżymał się: weszli do izby.

— Wart jesteś żebym ci dał sto,—zawołał.

Ksawery do nóg mu się rzucił.

— Jedno twoją winę w oczach moich łagodzi to, że na tym dworze przeklętym, baby szaleją i mężczyzni popsuci jak psy. Zaciągnęli cię; dosyć: póki ja żyję, z tego nie będzie nic, *tak mi Panie dopomóż i święta męka Twoja.*

Ksawery chciał mówić coś, ręką tylko machnął:

— Dosyć.

Pakować: jedziemy.

Chciał syn iść po rzeczy swe, pożegnać.

— Ani kroku ztąd, ludzie rzeczy zabiorą, a nie, pal je dyabli; droższa dusza od spodni: duszę trzeba salwować. Jeszcze w naszym rodzie niemieckiéj krwi nie było. My szlachta. Niech się Mniszchowie, Czartoryscy, Lubomirscy, kumają z Flemingami i Brühlami, to magnaci: nam zakon tego broni. Waćpan nie znasz szlacheckiego zakonu. Z chłopką się żeń, jeśli ci do gustu; ale z niemką wara!

Nieubłagany stolnik, niepuściwszy syna na krok od siebie, tym razem gdy konie były gotowe, choć późno wyjechał z miasta. Mijając Brühlowskie mieszkanie, rzekł jakby sam do siebie:

— Kwita kochanku z przyjaźni. Ja sobie w kaszę pluć nie dam.

I jakby go paliło, stolnik poleciał do domu.

Wypadek ten ogromne we dworze uczynił wrażenie: Brühl śmiał się, ale był do żywego obrażony; Brühlowa się wściekała, baronówna (do któréj bilecik potrafił jakimś cudem wyprawić Ksawery, mimo dozoru ojca), zamknęła się na kilka dni w pokoju i nie pokazywała na dworze.

Cały plan osnuty przez panią Brühlową, runął.

Simonisowi jego przeniewierstwa przebaczyć nie mogła. W kilka dni potém otrzymał nie odprawę, ale inne miejsce w kancelaryi Brühla. Szwed Ferdeström zajął tegoż dnia je-

go miejsce. W tydzień minister oświadczył Maxowi, że go przeznacza w misyi jakiéjś do Hamburga, dokąd nie łatwo przekraść się było można. Simonis się zawahał, dano mu trzeciego dnia małą gratyfikacyę i odprawę. Został nagle bez miejsca, bez nadziei, na tym pstrym koniu, na którym wedle przysłowia, jeździ łaska pańska.

Brühlowa kazała mu powiedzieć przyczynę, i oświadczyć że się już nic więcéj spodziewać nie może...

EPILOG.

Choć w życiu nic się nie kończy, w książce wedle prawideł i przyjętéj formy, czytelnik ma prawo wymagać jakiegoś ostatecznego rozwiązania. Musimy go więc zaspokoić o losach osób, które się w obrazie ukazywały.

Część ich znaczna do dziejów należy i o tych z historyi więcéj się dowiedzieć można, niż ze skromnego naszego opowiadania. Rok następujący 1757 rozpoczął dla Saxonii szereg pamiętnych klęsk. Fryderyk z zaciętością dalszą prowadził wojnę, z różném szczęściem, lecz z wytrwałością żelazną. Nie był on dla niego pomyślnym. W bitwie pod Kollinem, cztery owe pułki saskie, które się w Polsce przechowały, przechyliły zwycięstwo na stronę Austryaków; najpiękniejsza gwardya królewska w niéj padła: zginął drogi Fryderykowi generał Schwerin, nad którego zwłokami płakał. Hrabia Nostitz i Benkendorf rzuciwszy się na Prusaków, położyli trupem najpiękniejszego żołnierza. Zieten na drugiém skrzydle otrąbiał zwycięztwo, gdy oni zadali tę klęskę.

— To moja Pułtawa—zawołał król—patrząc na pobojowisko.

Królowa Józefa, która już była chorą, podniosła się dźwignięta tą wiadomością; ale wkrótce potém przyszła wieść o zwycięztwie pod Rossbach i ta ją dobiła. Pobożna pani zmarła nie ustąpiwszy ze swéj stolicy, nie dożywszy wzięcia Drezna przez Austryaków, którym je zdać był zmuszony generał Schmeltau.

Fryderyk wydawszy rozkaz cofnięcia się z miasta, wprędce je zapragnął odzyskać. Oblegli Prusacy stolicę, otoczywszy ją ze wszystkiemi siłami swoimi. Rozpoczęło się stra-

szliwe owo bombardowanie, które pół miasta obróciło w perzynę...

Znane są wypadki wojny siedmioletniéj, w ciągu któréj Fryderyk zrozpaczony, nosił przygotowaną truciznę i kilka razy chciał sobie życie odebrać.

Dziwnie szczęśliwy skład okoliczności ocalił go i państwo, któremu groziła zagłada.

Fryderyk w sile wieku wyszedł na tę wojnę, w któréj szło o śmierć lub życie, nie jego, ale Prus świeżo powstałych; wrócił do Berlina złamanym, osiwiałym starcem, choć napół zwycięzcą. Los w tém miał udział znaczny, ale wielcy ludzie wszyscy jemu coś są winni, czasami więcéj niż sobie.

Zaledwie pokój w Hubertsburgu został zawarty, August i Brühl natychmiast opuścili Warszawę, spiesząc do Saxonii, na ruiny i zgliszcza. Ministrowi ulubionemu, który łask swojego pana nie utracił do końca, wynagrodził August straty, nadaniem starostwa spizkiego po królowéj i pałacu Fürstenbergów w Dreznie, nielicząc łask innych.

Hrabina Brühlowa nie doczekała wszakże ani powrotu, ani końca wojny i zmarła 1762 roku w Warszawie. Brühl przeżył króla i do zgonu był tym wszechwładnym panem Saxonii i Polski, jakiemśmy go, mimo nieudolności jego widzieli. Słabość króla stanowiła siłę ministra...

Dnia 1 maja, po zawarciu traktatu śpiewano po kościołach Te Deum, galerya została otwartą. W sierpniu powrócił Hasse z Włoch i w operze dano *Siröe*, na dzień imienia króla w rocznicę ustanowienia orderu Orła Białego. Opera w któréj Fryderyk umieścił magazyn wojskowy, w mgnieniu oka odświeżona zastała. Po Siröe nastąpiła *Królowa Amazonek Talestris*, z muzyką i librettem napisaném przez synowę króla.

W październiku, właśnie gdy się przygotowywano do nowego widowiska „*Leucippo*“ na dzień urodzenia Augusta, król siedząc u stołu, wśród obiadu, pochylił się na krzesło i uderzony apopleksyą skonał.

Brühl przeżył go o kilka tylko tygodni, jakby ich losy z sobą były związane: zachorował natychmiast po zgonie dobroczyńcy.

Kurfirst, który się z nim obchodził dosyć łagodnie, zażądał złożenia wszystkich urzędów, zostawiono mu jednak pensyą znaczną....

Katolik w Polsce, ewangielik w Dreznie, na łożu śmierci Brühl wrócił do wiary, w któréj się urodził. Nałożono sekwestr na majątki, który w r. 1772 został zniesiony, i prawie cały spadek przeszedł na dzieci Brühla. Oprócz innych po nim pozostałości, dlaczegobyśmy zapomnieć mieli o książce od nabożeństwa! Wyszła ona w tych czasach, gdy minister był jeszcze w najświetniejszém położeniu i gdy jéj nie na pociechę w utrapieniach ale dla ludzi potrzebował, którym się pragnął okazać natchnionym, uniesionym czystą miłością Bożą. Odegrywanie téj roli religijnego człowieka należało do całości sztuki, którą z takim talentem doprowadził aż do spadnięcia ostatniéj, czarnéj zasłony. *Mors ultima linea rerum.*

Simonis w niełaskę wpadłszy, tułał się po Warszawie, przebywał jakiś czas w Białymstoku, w Wilnie, po dworach możniejszych panów polskich, odegrywając dwuznaczne role rezydenta, sekretarza, przyjaciela, wędrownika, wedle okoliczności.

Tymczasem zdaje się, że przez jakieś tajemne kanały, porozumiewać się musiał z dworem pruskim i uzyskać zapewnienie bezkarności (okupione zapewne znaczącemi jakiemiś wyznaniami), gdyż zaraz po zawarciu pokoju w Hubertsburgu, zniknął z Warszawy, a wkrótce potém zapewniano, iż go w Berlinie widziano. Tu jednak, Fryderyk znacznie rozczarowany względem cudzoziemców, nie musiał go chcieć użyć do niczego, bo miejsca jawnego przynajmniéj nie miał, a żył sobie jako człowiek prywatny i swobodny.

W r. 1764, Blumli także odprawiony po śmierci Brühla, lecz dosyć zamożny, dzięki przeszłości, przybył do Berlina, mając powody opuszczenia Saxonii i osiedlił się z nadzieją wstąpienia w służbę pruską. Siedział już tu pół roku bezskutecznie, gdy raz pod Lipami niespodzianie się z Simonisem spotkał.

Poznali się oba, choć oba byli bardzo znacznie zmienieni na twarzy i na humorze. Zrazu zawahał się jeden i drugi,

witać się czy nie; ale gdy Blumli podał rękę i napół się uśmiechnął, Max też ją wyciągnął.

— Co robicie w Berlinie?—począł Simonis.

Blumli niechcąc się spowiadać, złożył swą podróż na ciekawość, na brak zajęcia, i zastrzegł się od pytań dalszych tém, że żadnego obowiązku niema, a nawet o żadnym nie myśli, zapewne po niejakim czasie wrócić chcąc do Szwajcaryi.

Simonis ubrany bardzo skromnie, dosyć podstarzały, z twarzą bladą i spokojną, gdy mu zadane pytanie Blumli nazad odesłał i zwrócił ku niemu, zrazu wahał się z odpowiedzią.

— Wyleczyłem się,—rzekł po chwili—z choroby ambicyi i z chętki dobijania do sfer, które nie każdemu bywają dostępne: gotów dziś jestem na małém się ograniczyć.

— Ale cóż robisz? zostajesz w Berlinie?

— Prawdopodobnie —rzekł Simonis trochę skłopotany.

— Masz jakie zajęcie?

— Tak, jak żadnego.

Wszystko to były zagadki. Blumli nie czując w nim chęci szczerszego tłumaczenia, już go chciał pożegnać, gdy Simonisowi zebrało się na odwagę; wziął go pod rękę i odezwał się:

— Chodź ze mną, do mnie.

O kilkadziesiąt kroków ztamtąd, weszli do domu, na którego dole była cukiernia. Pominąwszy ją Simonis zaprowadził przyjaciela w dziedziniec i w oficynie na prawo, której okna wychodziły na małą boczną uliczkę, zadzwonił na pierwszém piętrze: służąca przyszła otworzyć.

Z drugich drzwi na chwilę pokazała się młodziuchna kobiécina, w domowym czepeczku, gosposia, nie bardzo wykwintnie ubrana, i znikła. Simonis wprowadził Blumli naprzód do swojego pokoju, bardzo przyzwoitego i wygodnego, ale zarazem skromnego; potém do mieszczańskiego saloniku, w którym widoczne były ślady kobiéty. Blumli nie śmiał pytać o nic ażeby przyjacielowi nie być zbyt natrętnym, gdy Simonis rękami biorąc dłoń jego, rzekł cicho:

— Widzisz, ożeniłem się!

— Jakto? żonaty jesteś? z kim?

Simonis westchnął, głos zniżając:

— Aspirowałem—rzekł—do daleko wyższych sfer i losów, ale prawdziwe szczęście nie ściele gniazda tak wysoko.

— Miłość więc?—przerwał Blumli.

— Tak—rzekł Simonis—była to miłość, która się poczęła gdy żona moja była prawie dzieckiem. Jam trochę o niéj zapomniał, ale ona mi była wierną.... No, no, i wróciwszy co było robić.... ożeniłem się.

Ostatnie wyrazy dokończył niemal ze wstydem jakimś. Blumli aż się rozśmiał.

— A! na Boga!—zawołał— toś doskonale uczynił; zazdroszczę ci, jesteś szczęśliwy: cóż więcéj potrzeba?

Z zawstydzenia Simonisa domyślając się iż świetnego zapewne małżeństwa nie zrobił, Blumli nie pytał o szczegóły, gdy gospodarz wybiegł na chwilę do drugiego pokoju i poszeptawszy tam coś powrócił.

W dobry kwadrans otworzyły się drzwiczki i osóbka dziwnie podobna do owéj słynnéj czekoladniczki Liotarda, ale ciemno-oka i ciemno-włosa, ubrana naprędce w jedwabną sukienkę, wniosła na tacce butelkę wina i ciasteczka.

Była to ta sama nieubrana gosposia, którą Blumli ujrzał wprzódy przez drzwi wpółotwarte. Simonis żonie swéj przedstawił przyjaciela i ziomka. Młodziuchna jejmość usiadła przy nich zapraszajac i częstując z gościnnością natrętną ludzi nie wielkiego świata, a dobrego serca. Blumli znalazł ją bardzo miłą, wesołą i wdzięczną.

Kieliszki szły szybko jedne po drugich, gosposia przyniosła jeszcze jednę butelkę, a tuż wszedł nowy gość, niewykwintnie ubrany, bo w fartuchu pod surdutem. Był to ojciec pani, cukiernik, który jako szwajcara i ziomka przychodził poznać pana Blumli. Zaczęła się tedy ożywiona rozmowa i gość dowiedział się z niéj, że dawny sekretarz ministra, dawny sekretarz gabinetowy króla, dawny wielkich nadziei ajent polityczny, był dziś pomocnikiem cukiernika.

Karyera jego zdawała się skończoną na zawsze, a Carlotta o żadnéj innéj myśleć mu nawet nie dozwalała, nasłuchawszy się o niebezpieczeństwach, na jakie mąż jéj był narażony.

— Chwała Bogu!—mówiła żywo—w domu nam na niczém nie zbywa; niema czego się po świecie dobijać narażając się na skręcenie karku, a nam to do czego?

Blumli przesiedziawszy parę godzin u Simonisa, z westchnieniem mieszkanie jego opuścił. Jakkolwiek skromną nader była dola kawalera Maxa, majętniejszy od niego Blumli, prawie mu jéj zazdrościł.

Panna baronówna Pepita po wywiezieniu Masłowskiego przez ojca, zamknęła się w początku i na świat pokazywać nie chciała; potém zmuszoną była na świat powrócić, ale się na nim zachowała obojętnie, dumnie i licznym swym wielbicielom ażeby jéj nie nudzili długo, dawała summaryjną, bardzo ostrą odprawę. Wkrótce téż mimo wdzięku i mienia i zamożności jéj, nikt już się do niéj nie posuwał; mówiono sobie, że Pepita ma w sercu nieuleczoną jakąś miłość.

Masłowskiego młodego więcéj już na dworze nie widziano. Ojciec nie poprosił nawet o uwolnienie go od obowiązków: jak go dał wprzódy Brühlowi, tak go potém samowolnie odebrał i na wsi zamknął.

Stolnik z tego powodu zerwał nawet z ministrem i jego adherentami, stając w opozycyi przeciw dworowi, któremu przebaczyć nigdy nie mógł, iż śmiał mu chcieć syna ożenić; nazywał to tyranią, *absolutem dominium* i t. p., i stał się zagorzałym republikaninem.

Pan Ksawery za karę iż śmiał rozporządzać swém sercem, nie odniósłszy się wprzódy z tém do ojca, chociaż miał zapowiedzianém z góry, iż o małżeństwie myśléć nie powinien, mianowany został ekonomem w majątku stolnika. Przychodził wprawdzie do stołu i niekiedy wzywanym był do gości, ale zwykle dni spędzał w polu, stodole, przy kosarzach, młóckach i t. p. Niekiedy ojciec dla złamania buty i swawoli młokosa, jak powiadał sadzał go w smrodliwéj gorzelni nakazując pilnować żyda i wypędu wódki; czasem posyłał go biédką jednokonną do Hrubieszowa, Chełma i Lublina po sprawunki. Po półroczu dopiéro dano mu lichego konia wierzchowego. Ojciec jednak monitowany podobno przez duchownego, księdza dziekana Pietraszkiewicza, zliczywszy lata synowskie i obrachowawszy się sam z sumieniem, postanowił go ożenić,

aby krewkości młodzieńczéj koniec położyć; chciał mu folwark Rudę wypuścić, i sam rozpatrzywszy się po sąsiedztwie wybrał mu pannę chorążankę Zerkowską, jedynaczkę, po najdłuższém życiu rodziców mająca posiąść sąsiednią wieś kapitalną Żłoby.

Jednego wieczoru, gdy Ksawery klucze od stodoły i lamusu odniósłszy, stał u progu czekając na dyspozycyą pańszczyzny, stolnik westchnąwszy, odezwał się:

— Coś chciałem mówić, waćpanu przychodziła do ożenku ochota... hm! Musiała już dyable bezżenność dokuczyć, kiedy aż niemka zasmakowała! Wchodząc w to, nie jestem tyranem żadnym—dodał stolnik—na ożenienie wreszcie, aż antycypowane, piszę się, aby jakiego zgorszenia nie było; ale sam waści wybiorę żonę.

Spodziewał się podziękowania stolnik; spojrzał: Ksawery stał i milczał, wcale nie rozradowany.

— Cóż tedy waszmość na to?—spytał.

— Ja nie mam ochoty do ożenienia!—wyrwał się Ksawery.

Ojciec stanął zaperzony biorąc się w bok.

— A to tak! rozumiem! Jak ojciec sobie życzy to nie. Otóż gdy mi się podoba, ożenię waszmości, bo prawo mam i po nosie sobie grać nie daję: rozumiesz waść?

Ksawery niechcąc ojca jątrzyć zamilczał.

Nastąpiło kazanie całe o posłuszeństwie, jakie dzieci są rodzicom winne, o przykazaniu Bożem: „Czcij ojca i matkę twoją;" o Niemcach i Polakach, o niesforności młodzieży i t. p. Wysłuchał go cierpliwie pan Ksawery, nie ważył się ani słowem odpowiedzieć; ojca w rękę pocałował i odszedł.

Stolnik był markotny, ale uparty. Nazajutrz kazał synowi jechać do Żłobów, do chorąztwa, pod pozorem zamiany pszenicy na nasienie. Dał mu list do Zerkowskiego: Ksawery pojechał. Przyjęto go tu uprzejmie. Panna była zdrowa, hoża i wychowana po domowemu, a we dworze znać było gospodarstwo niezmiernie zabiegliwe. W izbie gościnnéj jéjmość z córką liczyły i gatunkowały motki i talki poodbierane ze wsi, ważono len i rozdawano, wcale się gościa nie wstydząc. Sam chorąży kilka razy z kluczami chodził do lamusa,

ludziom nie wierząc. W dziedzińcu rozesłany był len, naprzeciwko pokojów często przez drzwi otwarte ujrzéć było można przychodzących z różnemi gospodarskiemi potrzebami ludzi. Chorążanka milcząca, zarumieniona przypatrywała się gościowi, matka też. Mówiono mało o rzeczach obojętnych.

Obiad na który zaproszono, choć widocznie z występem, był niezmiernie prosty: legumina, która się nie udała, składała całą paradę.

Gdy Ksawery powrócił, jeszcze ledwie z konia zlazł, gdy już w ganku nań ojciec czekał. Próbkę pszenicy przywiózł. Wieczorem stolnik spytał o pannę, jak się podobała: Ksawery zmilczał.

Poszło tedy na upartego. Ojciec co trzeci dzień do Żłobów jeździć kazał w kunkury, czasem sam towarzyszył. Sadzano pana Ksawerego przy chorążance. Młodzieniec był grzecznym, ale nic więcéj. Rachując na krewkość i na świeżość panny, stolnik się omylił i był zły. Po niejakim czasie chciał zrobić zaręczyny, Ksawery nawykły do rygoru, rzucił mu się do nóg i powiedział że nie może się żenić i nie ożeni.

Scena była okrutna: hałas, wrzawa, aż się służba pode drzwi zbiegła. Stolnik wrzeszczał, czerwieniał, bił pięścią o stół: nic nie pomogło. Długo się jednak uspokoić nie mógł. Przeklinał dzień i godzinę, gdy syna oddał na dwór niemiecki, który mu jedynaka zepsuł i zrobił z niego jakieś niezrozumiałe stworzenie, niewiedzące samo, czego chciało.

Odłożono zaręczyny *ad futura*, nieodstępując od nich. Energia ojca walczyła z mocném postanowieniem syna. Postrzegł w końcu pan Masłowski, że w nieodrodném dziecku jego własna krew grała. Na radę do księdza dziekana... Ten życzył zostawić to czasowi: nie było w istocie innego ratunku, bo się stolnik do ostateczności posuwać nie chciał.

Życie Ksawerego było istotną próbą wytrwałości i męztwa. Lecz wesołe jego dawniéj usposobienie, swoboda umysłu, śmieszek na ustach, lekceważenie wszystkiego, zmieniły się bardzo. Pan Ksawery stał się milczącym, ponurym, zamyślonym; wreszcie blednąc, mizerniéć poczynał i chorzeć. Stolnik który go jednego miał, i po swojemu kochał, nieokazując po sobie nic, zakłopotał się.

— A choćby go też te niemieckie amory i uleczyć miały —mówił sobie w duchu—co niemożliwe, to na żaden sposób!

Chciał go kędyś wyprawić, znaleźć pozór jakiś do rozerwania, wymyślić lekarstwo; ale ani on sam, ani ksiądz dziekan nie zdobyli się na żaden plan wykonalny.

Nastąpił wreszcie koniec wojny, wyjazd dworu z Warszawy i oddalenie się z nim panny Nostitz do Drezna. Ksawery, który pomimo nadzwyczajnéj ojca pilności, potajemnie pisywał do niéj i odpowiedzi różnemi odbierał drogami, wpadł w większy jeszcze smutek, gdy mu oddalenie się baronówny, nawet stosunki z nią listowne utrudniło. Stolnik się cieszył, gdy Niemcy pociągnęli do Drezna. W téjże saméj prawie chwili, u mieszkającego w blizkości podkomorzego wypadł obchód imienin uroczysty, który na sposób saski solenizowano. Szlachta się zjechała z całego sąsiedztwa na mil dziesięć; szopę wystawiono aby stół na kilkaset osób w niéj umieścić: nie wiém wiele beczek wina sprowadzono umyślnie.

Stolnik, który był znanym z tego iż w podobnych okazyach, dostał kroku najtęższym, począł tego dnia iść o lepszą z lubelskim mecenasem Zawistowskim, także hulaką jakich mało. Oba zdrowia wymyślali, kielichy coraz ogromniejsze, osobliwsze sposoby picia; drugiego dnia wprawdzie Zawistowski legł bez zmysłów, a stolnik nad nim pogrzebowego wypiwszy tryumfował; lecz do domu wróciwszy i sam się położył.

Leczył się kwaśnemi ogórkami, kapustą, śledziem, różnemi wymysłami: nazajutrz jednak nie wstał, a we dwa dni dostał gorączki i majaczył. Posłano po fizyka do Lublina, a ten oświadczył że chyba silna bardzo natura zwycięży, bo w medycynie on środków nie widzi.

W ciągu tygodnia było ciągle gorzéj i coraz gorzéj, spodziewano się kryzys, ale zamiast niéj przyszło osłabienie i konanie. Stolnik poczuwszy zbliżający się koniec, posłał po dziekana, spowiadał się bardzo przykładnie i umarł prawie przytomnie, synowi dawszy błogosławieństwo. O ożenieniu żadném mowy nie było. Ksawery znalazł się więc panem swéj woli i swobodnym. Pogrzeb stolnika, przy ogromnéj frekwencyi obywatelstwa, ze stypą należną pamięci tak zacnego pana, odbył się w Chełmie i kosztował na owe czasy

summę znaczną. Wdziawszy żałobę stolnikowicz pozostał w domu regulując pozostałe interesa. Nie ruszył się wcale przez cały rok i sześć niedziel, poczém nabożeństwo jeszcze anniwersarz zą duszę nieboszczyka odprawiwszy, do Warszawy pojechał. Dziekan, który u niego od czasu do czasu bywał, obserwował go i badał, wcale nie umiał powiedzieć coby myślał. Tymczasem podróż się przeciągnęła.

Dowiedziano się nierychło, iż z Warszawy ruszył Ksawery do Drezna. Złożyło się tak właśnie, iż tu w październiku przybył.

Króla przywróconego krajowi przyjmowano tu uroczyście, a Brühl dbał o to, aby mu na zwykłych niezbywało rozrywkach.

Ale minister sam jakkolwiek w łaskach zawsze u pana, dla którego był niezbędnym, czuł się nie tak wszechmocnym, nie tak siebie pewnym, jak wprzódy.

Nie mówiliśmy w ciągu powieści o zajściach jego z hrabią Wackerbarth Salmour, niegdy przybocznym młodego kurfirsta, który Brühla nienawiedził i w otwartéj z nim był wojnie. W czasie siedmiolecia, gdy kurfirst mieszkał jakiś czas w Dreznie, a Wackerbarth z nim był także; udało się nieskończenie w małych rzeczach zręcznemu Brühlowi, ściągnąć podejrzenia Fryderyka na nieprzyjaciela swojego, którego król pruski w Kistrzynie osadził. Wprędce jednak intryga się wydała, puszczono go na wolność, ale cała rodzina, przyjaciele, stronnicy Wackerbarthów, całe otoczenie księcia Ksawerego, wszystko to co stało po za dworem króla, tchnęło nienawiścią przeciw Brühlowi.

Młoda żona Fryderyka Christiana, Maria Antonia Bawarska była téż dla niego niebezpieczną współzawodniczką. Młodość, talenta, śmiałe chwytanie wszystkich środków wiodących do opanowania władzy, obiecywały że wszystko pod siebie zagarnie. Godziny panowania Brühla były policzone. Maria Antonia malowała, znała się na sztuce, pisała libretta, komponowała muzykę do oper, i króla starała się zająć wszelkiemi sposoby.

Kurfirst młody nie liczył się wcale, był to dobry, łagodny, spokojny człowiek, chory od dzieciństwa i niemogący chodzić o swéj sile. Matka naprożno starała się go namówić

do zrzeczenia się tronu i ustąpienia praw, ulubieńcowi jéj, energiczniejszemu Ksaweremu.

Na dworze krzyżowały się więc wpływy różnych kółek, a choć Brühl zawsze panował nad królem, musiał się oglądać na przyszłość. Książe Ksawery nie krył się z nienawiścią ku niemu... August III, nie tak w latach był podeszły, jak życiem zbyt wygodném, zbyt pieszczoném wycieńczony. Bawiono go już jak dziecię, i to zdziecinnienie codzień było wybitniejsze, stawało się śmiesznem.

Kuratela Brühla była nieuchronnie potrzebną, lecz stała się rażącą. Masłowski wpadł do stolicy wśród nagromadzonych w niéj zabaw, któremi starego pana rozerwać usiłowano. Zaczęło się to od weneckiego skoczka Cassaty, który sześćdziesiąt sześć sztuk pokazywał na linie, przyczem była arcyzabawna psia komedya, w budzie na Nowym Rynku. Późniéj za pirnajską bramą nad Elbą na łące, urządzono strzelanie do ptaka, którego siedem lat mieszkańcy Drezna nie mieli. Tysiące się téż ludu na nie zbiegło. W dzień orderowy d. 30 sierpnia, pierwszy raz w oczyszczonéj operze grano Siröe, a w Brühlowskim ogrodzie na Frydrychstacie, było orderowe strzelanie do celu i stół dla Kawalerów. Wszyscy ci panowie występowali w uroczystych szatach karmazynowych, bogato srebrem szytych. Był dla zabawy i sejm saski, było i wiele innych rozrywek.

Panu Ksaweremu jednak wcale o nie głowa nie bolała, szukał baronówny i znalazł ją nareszcie przy podstarzałéj stryjence, dobrowolnie od dworu usuwającą się. Spotkanie było czułe i milczące. Stara baronowa która stręczyła Pepicie kogo innego, ozięble przyjęła polaka, ale sprzeciwić się nie mogła dawno postanowionemu małżeństwu.

Konieczne formalności, które je poprzedziły, zabrały tyle czasu, iż Masłowski przytomnym był jeszcze uroczystéj abdykacyi generała Rutowskiego, komendanta Drezna, którego miejsce zajął Chevalier de Saxe. Z powodu tego Brühl cały dwór wspaniale przyjmował znowu w ogrodzie swoim. Gotowano się do pierwszéj próby Leucippa, gdy tegoż dnia król od stołu już nie wstał... W parę dni potém, po ślubie cichym w kaplicy królewskiéj, Masłowski z żoną wyjechał do domu.

Nie umiemy powiedzieć zaprawdę, jakie było pożycie młodéj pary, ale to pewna, że potomkowie jéj choć z cudzoziemki urodzeni, mimo obawy nieboszczyka stolnika, nigdy w niczém nie dali poznać, iż obcéj krwi kropla w ich żyłach płynęła.

KONIEC.

O SZKOŁACH
I SZKOLNICTWIE POLSKIÉM.

Rzecz czytana w Towarzystwie pedagogicznem lwowskiém.

PRZEZ

Władysława Zawadzkiego.

W kole umiejętności, pedagogia zajmuje ważne miejsce. Każdą umiejętność, każda nauka, czyto objaśniająca nam świat fizyczny, czy wielkie prawdy świata moralnego, skoro dąży do rozszerzenia sfer naszéj wiedzy, w jakimkolwiek zakresie, do wykształcenia umysłu i utrwalenia prawdziwego na świat poglądu, jest zarówno pożyteczną i bogaty ludzkości owoc przynosi. Wszystkie umiejętności, jakiekolwiek byłyby ich nazwy i podziały, odnoszą się ostatecznie do poznania istoty objawów wszechświata fizycznych, umysłowych i moralnych; tworzą więc ściśle z sobą splot powiązany, uzupełniają się i objaśniają wzajemnie, jako całość jednego, wszystkie zjawiska wszechświata, obejmującego systemu. Jeżeliby jednak przyszło oceniać wartość względnie téj lub owéj umiejętności, albo też całego ich szeregu, to musielibyśmy przyznać wyższość naukom pozostającym w bliższéj styczności z ostatecznym celem wszelkiéj umiejętności, którym jest uszlachetnienie człowieka. Z tego patrząc stanowiska, jeżeli wysoką wartość przyznamy naukom przyrodniczym, będącym niejako alfabetem wszelkiéj wiedzy, czyniącym nas panami przyrody, przez wyjaśnienie jéj praw i tajemniczo dla oczu profana działających w niéj potęg i przyczyn fizycznych; to o ileż wyższemi musimy uznać umiejętności, odnoszące się wprost do wysokich moralnych zadań ludzkości i jéj celów.

Do rzędu tych nauk należy pedagogia, któréj zadaniem jest kształcić i wychowywać człowieka, a w tém samém już określeniu wybija się jasno jéj wartość i wielka doniosłość w systemie wiedzy ludzkiéj, w żywocie ludzkości.

Zakres pedagogii właściwie pojętéj nie ogranicza się na samą jedynie szkołę: obejmuje ona całe wychowanie, cały jego kierunek umysłowy i moralny. Trzy żywioły składają się na wychowanie człowieka: rodzina, szkoła i doświadczenie. Człowiek uczy się i wychowuje do śmierci, a uczy się zazwyczaj w tym kierunku, w jakim go pierwotne popchnęło wychowanie, jakich prądów i usposobień zarody wszczepiło weń życia zaranie. Wszystkie późniejsze wrażenia, wszystkie w ciągu dalszego życia nabywane wiadomości krystalizują się, że tak powiem w duszy człowieka, zawsze mniéj więcéj na modłę owych pierwotnych, z dzieciństwa i młodości wyniesionych wyobrażeń i usposobień, a człowiek bywa zwyczajnie takim, jakim się urobił w młodości. Zadaniem pedagogii jest czuwać nad temi kierunkami i nietylko wprowadzić młodą istotę na dobrą drogę, ale ustalić w niéj do tego stopnia szlachetne usposobienia, wzmocnić do tyla zaszczepione w młodym umyśle zamiłowanie prawdy i cnoty, ażeby wyrobić w duszy siłę charakteru, zdolną oprzéć się wszelkim pokusom, pozostać zawsze w podniosłéj sferze umysłowego i moralnego piękna, na stanowisku obywatelskich cnót i obowiązku. Zadanie to spełnia pedagogia w szkole i poza szkołą. Wpływ szkoły jest tutaj bardzo wielki, i dobra szkoła wielce ułatwia zadanie wychowania, jest jego przeważną częścią, wszelako nie jest jeszcze całém wychowaniem. Wyobrażenia i wrażenia ze szkoły wyniesione, głęboko wpajają się w umysł młodzieńczy, a to tém bardziéj, iż powtarzają się dzień po dzień w tym samym kierunku; sącząc kropla po kropli nieustannie zbawienną naukę lub błędne wyobrażenie. Dla tego nader wiele zależy w wychowaniu od tego, jakie mamy szkoły. Niemniéj przeto wpływ pedagogiczny pozaszkolny jest równie ważnym czynnikiem wychowania. Ułatwia on lub paraliżuje wpływ szkoły bardzo silnie. Otoczenie domowe, atmosferą, którą się poza szkołą oddycha, wyobrażenia, któremi się na każdym kroku poza szkołą przesiąka, działają równie potężnie więcéj, niż szkoła, i pozostawiają niestarte po sobie ślady w umyśle i charakterze. Wychowanie pozaszkolne bywa czasem szkodliwym hamulcem, czasem zbawienną tarczą. Nieraz musi dobra szkoła długo a długo walczyć z przesądami i złemi skłonnościami wyniesionemi z domowego otoczenia, z atmosfery skrzywionych wyobrażeń, zgorszenia i zepsucia; albo téż przeciwnie, tam gdzie szkoły złe i na skrzywionéj oparte zasadzie, bywało wychowanie domowe i życie kółka rodzinnego oną twierdzą, w któréj przechowały się prawdziwe wyobrażenia, zaszczepiało w młodém pokoleniu zamiłowanie cnoty i obowiązku, świętość uczuć nieskazitelnych.

Trzecim, czynnikiem pedagogicznym jest, jak powiedzieliśmy, doświadczenie. Pod jego wpływem wyrabiają się przekonania i charaktery, lecz tutaj pedagogiem jest już własna praca, zastępująca miejsce matki i nauczyciela. W dalszéj drodze żywota człowiek sam sobie jest nauczycielem i przewodnikiem, kierując się głosem własnego uczucia i sumienia; skazówką spoczywających na dnie duszy przekonań, kroczy naprzód wpośród wiru wypadków i błędnych pokus ku ostate-

cznym celom życia, pewny siebie, z czołem podniosłém i spokojném sumieniem, lub też zaparłszy się ideału człowieczeństwa, popada w kałużę znikczemnienia i ginie pogardzony.

Z tém wszystkiém, jakikolwiek może być wpływ pomienionych czynników pedagogicznych na wychowanie społeczeństwa, szkoła powtarzam, jest zawsze najważniejszym czynnikiem, a wpływ jéj przez to już samo iż jest systematycznie uorganizowanym, jednostajnym a trwałym i w szerokich zakresach działającym, pozostanie zawsze najpotężniejszym. W długim lat przeciągu, wpływ ten musi odnieść koniecznie skutki, a ostatecznie społeczeństwo zawsze stanie się takiém, jakie będzie miało szkoły. Pokolenie po pokoleniu przechodząc przez szkołę, musi w końcu przesiąknąć jéj atmosferą, przejąć nawskroś czerpanemi tam wyobrażeniami i zawsze koniec będzie taki, że albo złe szkoły popchną do upadku i zgubią społeczeństwo, lub też społeczeństwo ma jeszcze w sobie tyle zdrowego pierwiastku, iż się podźwignie skutkiem jakichkolwiekbądź pomyślnych okoliczności i zreformuje szkołę, jak to się stało u nas z końcem XVIII wieku.

Społeczeństwo zakłada szkoły, a szkoła tworzy społeczeństwo. Wpływ ten wzajemny wiąże się i splata milionem nici i wyrabia we właściwym kierunku fizyognomię narodu, jego wyobrażenia i obyczaje. Czerpiący naukę w ogrodach Akadema Grek, w cieniu drzew oliwnych, pod prześlicznym lazurem południowego nieba, na wspaniałém mórz wybrzeżu, przesiąkał nawskroś otaczającemi go wrażeniami piękna, duch jego wznosił się swobodnie w sfery ideału; życie płynęło w ciągłém zachwyceniu, czarem piękności porwane. W takiém otoczeniu stworzył filozofię platońską i sztukę, która pozostanie wieczystą modłą uzmysłowionego piękna. W twardych bojach i na forum publicznem wykształcony Rzymianin rósł z młodu w męża o żelaznym harcie duszy i wielkich cnotach obywatelskich; żył cały życiem praktycznem i do praktycznych dążył celów. Postanowił zostać panem świata i dokonał zamiaru. Nie patrzył w sfery ideału, bliższe i ważniejsze mu były sprawy wojenne i administracyjne Rzeczypospolitéj; toż w sztuce nie dorównał wzniosłemu pierwowzorowi Grecyi, ale miał wojowników, prawodawców, mówców i historyków, których czyny i dzieła pozostają równie niedoścignionym wzorem doskonałości, jak pieśń Homera i fryz Panteonu. Wychowany systematycznie w izbie szkolnéj urządzonéj według najnowszych wymagań szkolnictwa, z ogródkiem Freblowskim i symetrycznie ustawionemi ławkami, naród niemiecki, składa się z sentymentalnych filozofów i porządnych rzemieślników, którzy w danéj chwili, jak tego świeżo byliśmy świadkami, zachwiali potęgą genialnéj pod wielu względami a lekkomyślnéj Francyi, i omal że jéj zupełnie z posad nie ruszyli.

Polska nie miała szkół dobrych. Szkół było bardzo wiele od najdawniejszych czasów, ale takich któreby odpowiadały istotnym wymaganiom zdrowego szkolnictwa, któreby były istotnie pożyteczne społeczeństwu i prawdziwą szerzyły wiedzę takich, śmiało powiedzieć

można, iż do połowy XVIII wieku, do czasu reformy Konarskiego i ustanowienia wiekopomnéj „Komisyi edukacyjnéj" nie mieliśmy przedtem. W najświetniejszéj epoce dziejów naszych, w czasie najwyższego rozwoju oświaty, w wieku XVI, w błogosławionéj złotéj epoce Zygmuntowskiéj czerpali Polacy światło po większéj części na uniwersytetach zagranicznych i oprócz jednego może Mikołaja Reja z Nagłowic nie było nikogo ze znakomitych i uczonych mężów, którzy onę epokę stworzyli, coby nie odbywał studyów w Padwie, w Bononii, Rzymie, Paryżu, onych głównych ogniskach ówczesnéj umiejętności.

Szkoły w Polsce zaprowadzone zostały równocześnie z Chrześcijaństwem, zajmowało się niemi i pielęgnowało je duchowieństwo wykształcone na filologiczno teologicznéj scholastyce średniowiecznéj; ztąd poszedł pierwotny kierunek i główne cechy szkół polskich, które się mniéj więcéj do najpóźniejszych czasów niezmienione zachowały. Pierwsi Benedyktyni wprowadzili szkolną oświatę do Polski. Szkoły Benedyktyńskie były najdawniejsze. Za przykładem duchowieństwa zakonnego poszło duchowieństwo świeckie i skrzętnie zajmowało się szkołami. Były tedy szkoły nie tylko już po klasztorach, ale przy kościołach katedralnych i po parafiach, a wszystkie urządzone na przyniesioną z Zachodu modłę szkół scholastycznych. Szkoły te, mianowicie zakonne i katedralne dzieliły się na dwa oddziały, czyli kursa; na tak zwane *trivium i quadrivium*. Nie były one zastosowane do istotnych potrzeb społeczeństwa, dla którego były przeznaczone, nie uwzględniały bynajmniéj jego wyobrażeń i usposobień, stosunków jego życia i obyczaju. Nauka w nich udzielana miała głównie na celu potrzeby kościoła, kierunek teologiczny i wykształcenie zastępu przyszłego duchowieństwa. W trywium uczono gramatyki, retoryki i dyalektyki; lecz nauka ta ograniczała się na wdrożeniu w umysł formuł scholastycznych raczéj, niż na istocie rzeczy. O rozbudzeniu samodzielności umysłowéj w szkole ówczesnéj nie myślano. W quadrivium wykładano początki arytmetyki, geometryi, astronomią i muzykę. Pod astronomią rozumiano wiadomości odnoszące się do układu kalendarza, mocno zresztą cechą astrologiczną zabarwione, a nauka muzyki była właściwie nauką śpiewu kościelnego. Podobnież w licznych szkołach parafialnych odpowiadających niejako naszym dzisiejszym szkołom, tak zwanym pospolitym, ludowym, uczono jako główne przedmioty ministrantury tudzież kantu t. j. śpiewu kościelnego i cośkolwiek łaciny. Jak w szkołach zakonnych i katedralnych szło o przysposobienie co największéj liczby przyszłych adeptów stanu duchownego, tak znowuż zadaniem szkółek parafialnych było przysposobienie kościołom organistów i ministrantów, i temu téż celowi odpowiadała ich organizacya. Że takie szkoły nie mogły być użytecznemi społeczeństwu, w téj mierze w jakiéj szkoła użyteczną być powinna; że chybiały właściwego celu i nie szerzyły należytéj oświaty: to wynika zbyt jasno samo już z siebie z tego, co się o nich powiedziało. O kształceniu płci niewieściéj, o szkołach żeńskich oczywiście

mowy być nie mogło. Wykształceni w *trivium i quadrivium* pod bokiem klasztorów i kościołów pra-pra-pradziadowie nasi nie chcieli miéć i nie mogli lubić mądrych pra-prababek, z zasady więc byli przeciwni temu aby się kobiety czegokolwiek uczyły, a to do tego stopnia, iż piszący już w XVI wieku a więc w epoce najwyższego rozkwitu oświaty, Andrzéj z Kobylina, w dziele wydaném w r. 1535 powiada nie owijając w bawełnę: „Mężowie, swoich przodków naśladując tak ustawili i pilnie tego strzegą, aby białegłowy pisma się nie uczyły, ksiąg żadnych, co się tycze biegłości a wyćwiczenia rozumu nie czytały.“ Dzisiaj dziwném zaiste wyda się takowe wyobrażenie naszych pra-pra-pradziadów i nie bardzo na ich korzyść przemawia; jeżeli wszakże zważymy, iż pradziadowie ci czerpali sami w trivium i quadrivium naukę, ktora im w późniejszém życiu nie wiele mogła być użyteczną; jeżeli zważymy jakie ztamtąd sami wynosili pojęcie o istocie i zadaniu szkoły: toć się dziwić nie możemy, iż pożytku *takiéj szkoły i takiéj* nauki dla swych żon i córek nie widzieli.

Z rozszerzeniem się osadnictwa niemieckiego w XIII wieku po miastach naszych, mnożyła się téż znacznie liczba szkół miejskich mających cechę przeważnie niemiecką. Napływ Niemców do Polski w onym czasie germanizował potężnie miasta, i byłby może całą ich ludność zniemczył, gdyby w obronie narodowości nie stanęło opiekujące się szkołami duchowieństwo. Ponieważ osadnicy niemieccy sprowadzali Niemców na nauczycieli szkół miejskich i parafialnych; przez co głównie germanizacya kraju szerzyć się mogła; przeto synody duchowne, jak Łęczycki w 1285 r., Kaliski w r. 1357 zabroniły wyraźnie przyjmować na posady nauczycielskie nauczycieli nieposiadających dostatecznéj znajomości języka polskiego, a arcybiskupowie gnieźnieńscy jak Pełka, już w r. 1237, na 50 lat przed synodem Łęczyckim, następnie Jakób Świnka, Bogorya Skotnicki, troskliwie zajmowali się tym przedmiotem i postanowienia, dążące do uchronienia szkół od zalewu germanizacyjnego, wydawali.

Z założeniem akademii Jagiellońskiéj w Krakowie, nie wiele się zmienił w ogóle wpływ szkół na oświatę powszechną, lubo okoliczność ta na stosunki szkolne w ogóle przeważnie wpłynęła. Akademia krakowska zakładała po miastach znaczniejszych liczne szkoły, zwane jéj koloniami i pozostające z nią w ścisłych wzajemnych stosunkach. Kolonie akademii krakowskiéj dostarczały nauczycieli szkołom pomniejszym, tak iż całe niemal szkolnictwo polskie stało się zczasem jakoby siecią téj kolonizacyi akademickiéj rozchodzącéj się z jednego głównego kłębka *almae matris* krakowskiéj. Wpływ zatem akademii na całe szkolnictwo był potężny, trzymała ona w swém ręku przez długi czas cały, rzec można kierunek oświaty szkolnéj; lecz pomimo tego, szkoły ówczesne rozwijające się pod skrzydłem akademii, nie posunęły naprzód oświaty powszechnéj, nie przyniosły należytéj korzyści społeczeństwu, poprostu dla tego, iż w samejże akademii nauki pożyteczne były zaniedbane, że pochłonęła ją była noc scholastycznego

obłędu, który rozchodząc się ztąd jak chmury na wsze strony gnane, omroczył całe szkolnictwo i w czczym zanurzywszy je formalizmie, sparaliżował użyteczność szkoły.

Taki był wpływ akademii krakowskiéj na rozwój szkolnictwa naszego od początków jéj istnienia, przez dwa niemal stulecia, aż do czasu gdy ku końcu XVI wieku inne prądy wzięły górę i sparaliżowały jéj przewagę i wpływ na szkoły i na szkolnictwo w ogóle. Z końcem XVI wieku, po długich i zaciętych walkach i sporach wydarli akademii tę przewagę Jezuici: lecz szkoły w ich ręku nie stały się ani lepsze, ani pożyteczniejsze. Przeciwnie doszedłszy do najokropniejszego upadku, stały się źródłem powszechnego obskurantyzmu. Założona z końcem XVI wieku przez Jana Zamojskiego, celem sparaliżowania wpływu szkół jezuickich na Rusi, spółzawodniczka akademii krakowskiéj, akademia Zamojska nigdy nie posiadała szerokiego wpływu, nie podźwignęła szkolnictwa i w ogóle nie spełniła zadań przez wielkiego jéj fundatora zamierzonych.

Odrodzenie nauk na gruncie literatury klasycznéj, które w Europie wyparło ostatecznie scholastycyzm a u nas w Polsce stworzyło wiek XVI i złotą epokę Zygmuntowską, z Włoch poszło i ztamtąd się po całéj rozeszło Europie. W XVI wieku widzimy w całym świecie ruch niezwykły, burzliwy, nowatorski na każdém polu życia umysłowego. Jakby z długiego obudzony letargu, wyrwany z pęt scholastycznych, ujrzawszy światło, duch ludzkości goni za nim z całą potęgą i ruchliwością gorączkowego pragnienia, szuka dróg nowych, nowych kierunków wiodących ku słońcu prawdy, ku odrodzeniu społeczności, szuka i znajduje nowe światy, nowe potęgi. Kopernik dyktuje prawa słońcu, obala z gruntu cały porządek dawnych wyobrażeń kosmologicznych i systemem swoim kładzie podwalinę odrodzenia wszystkich niemal fizycznych i przyrodniczych nauk. Kolumb odkrywa Amerykę a z nią nieprzebrane kopalnie nietylko złota, ale i nowych wiadomości i wyobrażeń. Guttenberg leje czcionki mające roznieść oświatę po wszystkie krańce świata i we wszystkie sfery społeczne. Marcin Luter wreszcie potęgą reformatorską myśli i słowa wstrząsa posadami najbardziéj rozpowszechnionych przekonań i zażega burzę, która przechodzi w zaciętą i długotrwałą walkę na całéj linii pomiędzy zwolennikami dawnych a nowych reformatorskich zdań, a kończy przeobrażeniem nietylko pojęć religijnych ale wielu najżywotniejszych stosunków umysłowych, społecznych i politycznych.

Luter był nietylko reformatorem religijnym, ale także pierwszym owego czasu pedagogiem. Dzieła jego pedagogiczne wywarły znakomity wpływ na szkolnictwo niemieckie. W Polsce przy wielkiéj, niemal zupełnéj tolerancyi religijnéj w XVI wieku za obu Zygmuntów, burza reformacyjna przewiała, że tak powiem, przelotnym meteorem, zawichrzyła chwilowo umysłami, buchnęła nibyto słomianym ogniem i wnet zgasła, żadnych prawie nie zostawiając po sobie śladów, oprócz

w literaturze, narodowy pierwiastek zbyt głęboko tkwił w duszy ogółu aby się dał wyplenić sekciarskim usiłowaniom nowatorów.

Polska opierając się burzy reformacyjnéj, nietylko nie ulegała jéj naciskowi, ale przeciwnie, jak to bywa w podobnych razach walk i przesileń, wnet w drugą wpadła ostateczność.

Reformacya nie wywarła żadnego wpływu na szkolnictwo w Polsce, już przez to samo iż tak krótko trwała i nie miała czasu owładnąć szkół, tak, jak pomimo zaciętéj walki nie powiodło się jéj owładnąć trwale przekonań. Różne sekty reformatorskie, a było ich w Polsce wiele i różnéj nazwy w onym krótkim przeciągu czasu, zakładały wprawdzie i posiadały rozmaite własne swoje szkoły, ale były to szkoły, jak dziś mówimy, wyznaniowe, których celem było szerzenie sekciarsko reformatorskich wyobrażeń religijnych raczéj, niżeli właściwa umiejętność i względy pedagogiczne szerszego znaczenia.

Oświata wszakże powszechna rozwinęła się jak wiadomo do wysokiego stopnia w Polsce w XVI wieku, tak iż Polska w owym czasie zrównała się pod względem umysłowym z resztą Europy, a w niejednéj rzeczy ją przewyższyła. Mieliśmy znakomitych uczonych i mężów stanu, biegłych dyplomatów, poetów, dziejopisarzy wykształconych na wzorach klassycznych, hetmanów i kanclerzy: słowem oświata w Polsce zaszczepiona na pierwiastku klassycznym, zaświetniała wspaniale i uczyniła naród potężnym w całém tego słowa znaczeniu; lecz jąk powiedzieliśmy główne żywioły téj oświaty przywożono do ojczyzny z zagranicy, z uniwersytetów Włoch i Francyi, dokąd po nią udawała się cała rzesza młodzieży zamożniejszych rodzin. W kraju szkołą kształcącą naród było życie publiczne, kancelarye i dwory magnatów i wysokich dostojników Rzeczypospolitéj, gdzie młodzież szlachecka, garnąca się powszechnym zwyczajem, celem nabrania znajomości spraw publicznych i ogłady światowéj żyła w atmosferze, z któréj wynosiła wszystkie wiadomości stanowiące rdzeń oświaty ówczesnéj. Życie publiczne i dwory magnackie były tedy istną podówczas szkołą, i one to głównie podniosły tak wysoko stan jego oświaty. Na pańskim dworze wykształcił się Mikołaj Rey z Nagłowic, protoplasta naszéj literatury, pierwszy pisarz po polsku piszący, co będąc żakiem szkolnym przemyśliwał tylko jak biegać z fuzyjką, bąki strzelać, ryby łowić lub z pociętego w kawałki żupanika kitajkowe wronom ogony przyprawiać. Podobnie jemu kształciła się większa część młodzieży ówczesnéj w ten sposób na praktyce życia, a kształciła pomyślnie, jak się ze skutków okazało. Urządzenie szkół, teorya pedagogiczna w ogóle nie stanęła u nas w XVI w. na równi z powszechną oświatą społeczeństwa. Szkoły tonęły jeszcze w pomroku formuł scholastycznych, gdy umysłowość powszechna wyswobodziła się poza szkołą z pęt ją krępujących i świetnie a wszechstronnie się rozwijała. Było to w znacznéj części zasługą i jedynym téż trwałym śladem przostałym po reformacyi u nas, iż przeniosła naukę z pomiędzy ciasnych ścian izby szkolnéj na obszerny publiczny horyzont; iż ją obrała z scholastycznego pedantyzmu, z togi do-

ktorskiéj, i wyprowadziła w świat, zastosowała do pojęcia powszechności, mianowicie w dziedzinie teologicznéj i religijnéj; że ją spopularyzowała i spolszczyła. Nauka szkolna do najpóźniejszych u nas czasów nie troszczyła się bynajmniéj o istotne potrzeby umysłowe narodu, ale zasadzała całą swą wagę na pozornéj, napuszystéj uczoności, niemającéj żadnego związku z istotnemi celami życia i właściwém zadaniem nauki; na gimnastyce syllogistycznéj. Cała też nauka szkolna odbywała się po łacinie i na książkach łacińskich. Użycie języka polskiego zdawało się uczonym ówczesnym ubliżać ich uczoności. Za nic w świecie nie byliby się zniżyli do wyrażenia swéj myśli w języku polskim, w powszednim języku gminu. Już przez to samo szkoła ówczesna, podobnie jak cała umiejętność i literatura, nie mogła przynieść należytéj korzyści narodowi, pieczęcią niezrozumiałego dla ogółu hieroglifu formy, w obcéj szacie, bo w obcym podana języku mogła być zrozumiałą i użyteczną pewnéj tylko, stosunkowo szczupłéj sferze społecznéj, nierozlewając się szerokiém światłem na ogół narodu. Reformacya dopiero wniosła nowy kierunek, nową formę i odświeżyła umysłowość narodu żywiołem nowéj potęgi. Zaniechała łaciny, zaczęła mówić po polsku. Oto jest wielka zasługa reformacyi, wielkie dzieło dokonanego przez nią u nas postępu. Reformatorowie i sekciarze, którym chodziło o to, aby pozyskać jak największą liczbę zwolenników, a zwalczać sekty przeciwne, musieli z natury rzeczy przemawiać w swych dysputach i kazaniach językiem powszechnie zrozumiałym, własnym narodowym językiem. Chodziło o cel rzeczywisty, o pomnożenie sekty swojéj, o przekonanie tak największéj liczby adeptów, nie o marne tryumfy doktorskie biretu. Bój reformatorski toczył się po polsku, pociągał wszystkie umysły w swój wir zapamiętały, gorączkowo ogarniał wszystkich, i mimowiednie wzwyczaił do używania języka polskiego w mowie i piśmie; przekonał że najważniejsze zadania naukowe i teologiczne dadzą się obrabiać w ojczystym języku równie dobrze jak uprzywilejowanéj łacinie, o wiele jednak żywotniéj i skuteczniéj. Od reformacyi datuje się tedy spolszczenie naszéj literatury, która walcząc następnie jeszcze przez jakie półtorasta lat z łaciną w epoce makaronicznéj, otrzęsła się z niéj całkowicie i ku końcu zeszłego wieku zupełne odniosła zwycięstwo.

Do tego stanu szkół u nas tak w wieku XVI jak przedtem i potém, przyczyniła się bardzo znacznie i ta okoliczność, iż nie było w nich zaprowadzonéj jednostajnéj metody nauczania, iż nikt nie baczył jak uczono i nie troszczył się o wprowadzenie jednolitego pod tym względem systemu; iż każdy nauczyciel uczył mniéj więcéj jak mu się podobało i z książek jakie sobie dowolnie wybrał, a wiemy czém jest w szkolnictwie brak metody, brak jednolitego systemu. Bez tego nigdy szkoła należycie rozwinąć się nie może. Józef Łukaszewicz w znakomitém swém dziele: *Historya szkół w Koronie i W. X. Litewskiém*, powiada o szkołach ówczesnych:

„Każda niemal szkoła miejska i każda szkoła wyższa używała innych książek szkolnych, już i z téj przyczyny, że znaczna część nauczycieli cudzoziemców zaprowadzała używane w ich krajach, a zatem sobie znajome książki szkolne; a duchowieństwu było rzeczą zupełnie obojętną, z jakich książek dzieci uczono, byle te książki nic przeciw wierze świętéj w sobie nie zawierały.“

W wieku XVI, gdy literatura i w ogóle oświata tak bujnie u nas zakwitła, poczęto też uprawiać teoryę pedagogiczną. Posiadamy z tego czasu dzieła w tym przedmiocie tak w łacińskim jak polskim języku, jak Reinharda Lorychiusza, Erazma Glicznera, Maryckiego i innych. Zajmują się one atoli po większéj części bardziéj ogólnemi uwagami etyczno-moralnemi, niżeli właściwemi zasadami szkolnictwa i wymaganiami szkoły. Weźmy np. jedno z najznakomitszych ówczesnych dzieł tego rodzaju: Szymona Maryckiego *O szkołach czyli Akademiach ksiąg dwie* (De scholis seu academiis, libri duo). Skreśliwszy w pierwszych rozdziałach ogólny pogląd na szkoły w starożytności i na pożyteczność szkół dobrych, wykazuje autor w dalszym ciągu dzieła, że nieposiadające wyższéj oświaty duchowieństwo, wielką szkodę przynosi krajowi, że monarchowie powinni się kształcić i dobrze wychowywać swe dzieci; że urzędnicy Rzeczypospolitéj powinni być należycie wykształceni, podobnie jak i wszyscy w ogóle obywatele mają odbierać stosowne wychowanie i naukę; że żołnierz oprócz robienia bronią, także i w naukach wyzwolonych, kształcących umysł, ćwiczyć się powinien i t. d. Z powyższéj treści, dającéj poznać kierunek prac pedagogicznych onego wieku, widzimy, iż pedagogowie ówcześni nie zajmowali się szczegółami urządzenia szkół; bo też, jak powiedzieliśmy powyżéj, szkołą właściwą było podówczas życie publiczne, obywatelskie, a najważniejszemi i najstosowniejszemi dziełami pedagogicznemi w onym stanie rzeczy było Rejowskie: *Zwierciadło* i *Żywot poczciwego człowieka* lub *Dworzanin* Łukasza Górnickiego. Na nich kształcił się naród. One zastępowały mu całą bibliotekę pedagogiczną i ogromny też wpływ na rozwój wyobrażeń, na ugruntowanie zasad obywatelskich i moralność publiczną wywierały.

Aby sparaliżować szybko szerzącą się reformacyę, kardynał Hozyusz sprowadził w drugiéj połowie XVI wieku Jezuitów do Polski. Przybywszy do Brunsberga w Warmii w r. 1564, otworzyli w pięć lat po osiedleniu się tamże w r. 1569 pierwsze swe szkoły. W rok po przybyciu do Brunsberga powołani przez biskupa płockiego, Andrzeja Noskowskiego, zakładają w r. 1565, swe kolegium w Płocku, w r. 1569 już są w Wilnie, gdzie zakładają akademią. W r. 1571 osiedlają się w Jarosławiu i Poznaniu. Stefan Batory ujęty przez Possewina zakłada im kolegia w Płocku i Rydze w latach 1581 i 1582. W tymże roku powołuje ich do Lublina Bernard Maciejowski, a Radziwiłł „sierotka“ funduje im kolegium w Nieświeżu! W następnych latach osiedlają się w Dorpacie, w Gdańsku, w Kaliszu. Przedtém jeszcze około roku 1580 przybyli do Krakowa, gdzie na wstawienie się bisku-

pa Piotra Myszkowskiego, król Stefan oddał im w posiadanie kościół św. Barbary; wreszcie w r. 1585, biskup Solikowski sprowadził ich do Lwowa.

Sprowadzenie Jezuitów do Polski pociągnęło za sobą przewrót zupełny szkolnictwa, a w dalszém następstwie i całéj oświaty narodu. Jezuici gdziekolwiek przybyli, zakładali wnet szkoły swoje; walczyli zacięcie o pognębienie dawniejszych, o piérwszeństwo nad niemi, położywszy sobie za cel główny owładnienie z czasem całéj umysłowości narodu, dla pozyskania tym sposobem nieograniczonego nad nim wpływu. Napróżno akademia krakowska zacięty w obronie szkół swych stawiła przeciw nim opór i nieprzerwane staczała walki, usiłując utrzymać się przy sterze szkolnictwa. Potęga jezuickiego wpływu rosła coraz bardziéj i wszystko garnęła w swą władzę.

Zakon jezuicki w Polsce w przeciągu niespełna jednego stulecia, osiągnął cel swój zupełnie; odzierżył władzę nad umysłami, zapanował nad niemi zupełnie. Przemożnym ku temu środkiem była szkoła; system wychowania obliczony na podgarnienie pod swą władzę młodego pokolenia, a co za tém koniecznie idzie, następnie całego narodu. Wróciła tedy do szkoły scholastyka w całéj pełni, z całą swą sylogistyczną akrobatyką, z teologiczną i pseudofilologiczną gmatwaniną. Trzydziestoletni wąsale, przykuci do ławy szkolnéj kuli Alwara, składali złą łaciną liche oracye i wiersze, i wygłaszali za patrami najpotworniejsze brednie panegiryczne.

W takich szkołach wychowane społeczeństwo musiało kłonić się do upadku, grążyć coraz bardziéj w ciemności i wynikających z niéj wadach. Daremnie poczciwy grunt duszy walczył z powziętemi w szkole wyobrażeniami, chwast szkolny tłumił dobre przymioty, a pogrążona w obskurantyzmie społeczność, sztywniała w przesądach i umysłowym zastoju. Surowość stała się w przekonaniu i obyczaju ówczesnym kardynalną zasadą pedagogiczną, jak tego wyborny wizerunek przedstawił Wincenty Pol w swoich: *Przygodach Benedykta Winnickiego*, tym prawdziwym klejnocie naszéj poezyi, tak przedziwnie pojętym, iż potrzeba zupełnie nie zrozumieć tendencyi autora, ażeby w téj misternie wyciętéj sylwetce czasu i społeczeństwa, upatrzéć chęć idealizowania wad szlacheckich, jak mu to wielokrotnie zarzucano. Poeta chciał tu być tylko malarzem, a odmalował istotnie dosadny, prawdziwy obraz.

Już Władysław IV niebawem po śmierci ojca swego Zygmunta III-go, za którego przewaga Jezuitów rozszerzyła się i podniosła, przemyśliwał nad sparaliżowaniem szkodliwego wpływu ich szkół na wychowanie powszechne i sprowadził w tym celu do Polski zakon świeżo podówczas utworzony, w celu zajmowania się początkowém wychowaniem młodzieży, czyli zakładaniem szkół pobożnych *scholae piae*, od czego poszła nazwa Pijarów. Szkoły pijarskie licznie zakładane w Polsce, współzawodniczyły wprawdzie z jezuickiemi i pobudziły nawet do wprowadzenia w nich niejakich ulepszeń; w ogóle jednak początkowo przez długi przeciąg czasu nie o wiele się od nich różniły i nie o wiele od

nich były lepsze. Dopiéro w połowie XVIII w., a więc w sto lat prawie po przybyciu zakonu do Polski, wiekopomnéj pamięci Stanisław Konarski, położył węgielny kamień zupełnego przeobrażenia szkolnictwa w Polsce. Wielki nauk i szkół reformator, napojony duchem wyobrażeń postępowych zagranicą, a mianowicie na dworze Stanisława Leszczyńskiego króla-filozofa, uczuciem i myślą całe życie Polsce oddanego, Konarski założeniem konwiktu szlacheckiego w Warszawie i uorganizowaniem takowego na zupełnie odmiennych, jak szkoły dawniejsze, zdrowych zasadach pedagogiki i dydaktyki, stworzył epokę, od któréj datuje się początek odrodzenia prawdziwéj oświaty w Polsce. Statut organizacyjny tego konwiktu, czyli regulamin, pozostanie wzorem, że tak powiem kodeksu pedagogicznego, lubo znajdują się w nim także postanowienia, na które dzisiejsze postępowe szkolnictwo, nie ze wszystkiém zgodziéby się mogło. Pominąwszy jednak te mniejszéj wagi usterki, będące naleciałościami tradycyi szkół dawniejszych, znajdujemy w rzeczonym regulaminie objęte to wszystko, na co pedagog chcący wychowaniem ucznia pokierować, uwagę swą zwrócić powinien. Nie zapomniano tam o niczém, pamiętano zarówno o zdrowiu ciała i duszy, jak o wychowaniu fizycznem i moralném. Za pobudką daną przez Konarskiego, powstają wnet podobne, na tychże samych zasadach organizacyjnych oparte, konwikta przy innych kolegiach pijarskich. Nie chcąc się dać wyprzedzić swym współzawodnikom, zakładają takowe również OO. Jezuici. Duch reformy owiewać zaczyna wszystkie szkoły. W roku 1761 założył Ignacy Konarski brat Stanisława, w Opolu pierwszą w Polsce szkołę rzemieślniczą. Ruch tedy za daną szczęśliwie pobudką, ożywia się i rozprzestrzenia na całéj linii narodowego szkolnictwa. Zupełny atoli przewrot, rdzenną reformę przeprowadziła dopiéro Komisya edukacyjna.

Któż nie zna jéj dziejów, nie ocenia błogosławionego jéj wpływu na podniesienie oświaty powszechnéj w Polsce? Zniesienie zakonu Jezuitów bullą papieża Klemensa XIV w roku 1773, dało pobudkę do ustanowienia komisyi, któréj powierzono po zniesieniu zakonu osierociały niejako ster szkolnictwa, a zarazem rewindykacyę pozostałego ogromnego majątku pojezuickiego, przeznaczonego odtąd na fundusz wychowania publicznego. Najświatlejsi i najznakomitsi swojego czasu mężowie weszli do składu komisyi, jak książe Czartoryski generał ziem podolskich, Ignacy Potocki, Chreptowicz, Andrzéj Zamoyski, Kołłątaj, Niemcewicz, Piramowicz i inni. Komisya edukacyjna rozwinęła zdumiewającą czynność i przeprowadziła reorganizacyę całego systemu wychowania publicznego od szkół najwyższych do najniższych. Podczas gdy Kołłątaj z ramienia komisyi reformował akademię krakowską, Piramowicz z jéj polecenia tworzył szkołę ludową. Wydane przez komisyę: *Ustawy dla stanu akademickiego i na szkoły w krajach Rzeczypospolitej*, zawierają cały zarys téj reorganizacyi i były jéj podwaliną. Niepodobna nam tutaj wchodzić w szczegółowy rozbiór tego systemu i wykazywać jego zalety, jego gruntownie obmyślaną dążność

i doskonałość. Powiemy tylko, że: *Ustawy komisyi edukacyjnéj* pozostaną na zawsze wzorem dobrego pod względem pedagogicznym i dydaktycznym urządzenia szkół, i stworzyły w polskiém szkolnictwie epokę, od któréj datuje się prawdziwa u nas oświata i zaczynają się dzieje dobréj szkoły. Za główne zadanie szkoły uważała Komisya nie suche przeładowanie wiadomościami, ale rozbudzenie samodzielności umysłowéj i zamiłowania do nauk, aby tym sposobem przysposobić młode pokolenia do dalszéj pracy nad sobą, do wszechstronnego wykształcenia, do spotęgowania i zużytkowania wszystkich intellektualnych i moralnych sił narodu. W tym kierunku urządzone szkoły musiały stać się pożytecznemi. Był to kierunek zupełnie odmienny od dawniejszego, tóż i korzyści inne wypadły, a o ile szkoła dawniejsza była jałową i pod wielu względami szkodę raczéj niźli pożytek przynosiła; o tyle nowa przez Komisyę edukacyjną zreformowana, a raczéj stworzona, obfity plon niosła krajowi i wytknęła szkolnictwu narodowemu tor właściwy. Ażeby ocenić chociażby tylko w najogólniejszym zarysie zasługi Komisyi edukacyjnéj i wartość wprowadzonego przez nią systemu szkolnego, pozwolę sobie wyręczyć się słowami jednego z najwytrawniejszych, praktycznych pedagogów dzisiejszych p. Stanisława Sobieskiego, który w przedmowie do swéj: *Biblioteki pedagogicznéj i dydaktycznéj*, któréj wydawnictwa, niestety, na piérwszych zaraz zeszytach, z braku należytego ocenienia jego użyteczności i wartości, zaprzestać był zmuszony, w następujący sposób wyraża się o Komisyi edukacyi narodowéj:

„Przez dziewiętnastoletni przeciąg swego istnienia, oddała komisya edukacyi narodowéj nieobliczone przysługi i postawiła wychowanie i kształcenie młodzieży na tak wysokim stopniu, na jakim wówczas w Europie w żadném państwie nie stało. Młodzieniec kończąc szkoły Komisyi edukacyjnéj, nie wynosił wprawdzie z nich wielkiego zasobu wiadomości, ale co jest stokroć lepszém, wynosił zdrowy rozsądek, nieobałamucony drobiazgowościami i pedanteryą; wynosił usposobienie i uzdolnienie należyte do kształcenia się daléj w jakimkolwiek życia zawodzie."

Komisya edukacyjna podzieliła szkoły na okręgi, zwane *wydziałami*, których ustanowiła w Koronie sześć, na Litwie cztery. Szkoły były albo *wydziałowe* o sześciu klassach, a właściwie o siedmiu, gdyż piąta klassa rozłożona była na lat dwa, albo *podwydziałowe* o czterech klassach. Oprócz zreformowania akademii krakowskiéj, o któréj powyżéj wspomnieliśmy, zreorganizowała Komisya akademię wileńską, założyła przy obu akademiach seminarya nauczycielskie; utworzyła „Towarzystwo elementarne" mające się zająć dostarczeniem dobrych książek szkolnych, zajęła się naostatek bardzo gorliwie i czynnie zaprowadzeniem i urządzeniem szkół ludowych. W tym celu poruczyła napisanie instrukcyi dla nauczycieli wiejskich ks. Grzegorzowi Piramowiczowi. Piramowicz sekretarz Komisyi, najczynniejszy w jéj gronie, będący można powiedzieć duszą téj instytucyi, był największym

swojego czasu pedagogiem, a to co Komisya edukacyjna, zwłaszcza dla szkoły ludowéj uczyniła, w znacznéj części jego pracy, jego bystremu poglądowi i mądréj inicyatywie, jego pedagogicznemu doświadczeniu, zawdzięczać należy. W dziejach szkolnictwa polskiego postać Piramowicza jaśnieje w piérwszym rzędzie. Jest to mąż, którym słusznie szczyci się szkolnictwo nasze w obec swoich i obcych. Napisane przezeń z polecenia Komisyi edukacyjnéj „Powinności nauczyciela, mianowicie w szkołach parafialnych i sposoby ich dopełnienia," które słusznie za najcelniejsze z dzieł Piramowicza uważać można, jest wzorem i że tak powiem, katechizmem metody pedagogicznéj, nad który nic lepiéj obmyślanego, nic gruntowniejszego i trafniejszego nie posiada żadna literatura pedagogiczna.

Prace Piramowicza przeznaczone dla szkół ludowych jako to: *Elementarz dla szkół parafialnych*, *Nauka obyczajowa dla ludu*, jego mowy doroczne miewane na posiedzeniach Towarzystwa ksiąg elementarnych, zawierają takie bogactwo ważnych prawd, wskazówek i spostrzeżeń pedagogicznych i są zawsze tak trafnie do właściwego celu zastosowane, iż stawiają Piramowicza w rzędzie piérwszych pedagogów swojego czasu. Gdyby jednakże nic więcéj był nie napisał, jak: *Powinności nauczyciela*, jużby tém jedném dziełem postawił był nie pożyty dla siebie pomnik w literaturze pedagogicznéj. Kołłątaj najwłaściwszy sędzia tych rzeczy, któremu ani wysokiego znawstwa, ani genialnego poglądu odmówić nie można, tak się o niém w listach do Czackiego wyraża:

„Drugie dzieło Piramowicza, *Powinności nauczyciela*, *mianowicie zaś w szkołach parafialnych* jest nieoszacowane. Nietylko każdy nauczyciel parafialny, ale nawet każdy kandydat w konwikcie sposobiący się na nauczyciela, powinien go tak czytać, jak czytają codzień w seminaryum medytacye, lub dla pospólstwa w niedziele ewangelię."

Nazywają zazwyczaj w Niemczech Pestalozzego ojcem szkoły ludowéj. Zważywszy jednak, iż znakomity ten pedagog-reformator, najważniejsze swe dzieło stanowiące podstawę jego systemu pedagogicznego pod tytułem: *Wie Gertrud ihre Kinder lehrt*, wydał w r. 1801, to jest w roku śmierci Piramowicza, widzimy iż tenże uprzedził o dwadzieścia lat Pestalozzego i nową epokę szkolnictwa niemieckiego, i że właściwie autorowi „Powinności nauczyciela" naszemu Piramowiczowi należy nazwa *twórcy szkoły ludowéj*.

Czynności Komisyi edukacyjnéj, dokonane w krótkim okresie jéj żywota, w przeciągu lat dziewiętnastu, zjednały sobie powszechne uznanie nawet naszych przeciwników, zmuszonych oddać hołd prawdzie. Po zajęciu przez Prusaków części Polski nazwanéj Prusami południowemi, radca Klewitz prezydent departamentu tychże Prus południowych, tak się wyraża w raporcie swym o stanie wychowania publicznego, jaki Prusacy w Polsce zastali:

„Zastano, powiada on, przedziwne prawa rządu polskiego w urządzeniu szkół w latach 1783 i 1790, brakowało tylko wykonania... Edu-

kacya ściągała się do oświecenia rozumu, moralności i praktycznéj religii, zręczności i wzmocnienia sił ciała, do ochędóstwa domowego i porządku. Nauka zmierzała do myślenia samodzielnego, do praktycznego użycia wiadomości, dyetetyki, krajowego gospodarstwa, weterynaryi. Dawano wyobrażenie miejskiego przemysłu, usiłowano nakoniec hartować ciało i do pracowitości przyzwyczaić. Edukacya dziewcząt miała za cel ukształcić je na dobre żony, matki i gospodynie."

Trudno oddać wyższą pochwałę systemowi wychowania zorganizowanemu przez Komisyę edukacyjną, niż ta, którą w powyższych słowach treściwie zawarł pan prezydent departamentu. Skutki czynności Komisyi edukacyjnéj nie zaginęły z jéj rozwiązaniem. Po utworzeniu księztwa Warszawskiego, ustanowiona Izba edukacyjna, pochwyciła nić działania chwilowo zerwaną i snuła ją daléj w tymże samym kierunku. Tradycye Komisyi edukacyjnéj, stały się podwaliną, na któréj szkolnictwo polskie daléj się rozwijało, a po części i dzisiaj jeszcze się rozwija. W księztwie Warszawskiém a późniéj pod berłem cesarza Aleksandra I, szkolnictwo pomyślne czyniło postępy. Organizacya szkół pod kierunkiem takich mężów jak książe Adam Czartoryski, Tadeusz Czacki, doskonaliła się nieprzerwanie—oświata bujnie szerzyła. Uniwersytety Warszawski i Wileński doszły do zenitu świetności. Ten drugi zwłaszcza posiadał grono professorów, złożone z uczonych, posiadających sławę europejską. Dosyć tu wspomnieć obu Śniadeckich, Grodka, Lelewela. Szkołę Krzemieniecką założył Tadeusz Czacki na podstawie planu organizacyjnego, dostarczonego mu przez Kołłątaja. Znane jest wyborne urządzenie téj szkoły, jéj zasługi i wpływ, jaki na ukształcenie całego pokolenia wywarła. Nie mam przeto potrzeby mówić obszerniéj o niéj. Wypracowany przez Kołłątaja dla niéj projekt organizacyjny, tudzież projekt urządzenia szkół ludowych i prowadzona w tym przedmiocie korrespondencya Kołłątaja z Czackim, jest nieoszacowanym materyałem pedagogiczno-dydaktycznym, i w literaturze naszéj szkolniczéj do najznakomitszych dzieł należy.

W Wielkiém księztwie Poznańskiém pod rządami pruskiemi, szkolnictwo rozwijało się na wzór niemieckiego. Organizacya szkół była więcej postępową, o wiele lepszą niż w Galicyi, ale rządy tak tu, jak tam, dążyły do zupełnego zgermanizowania szkoły. W Prusiech dążność ta potęguje się coraz bardziéj i jest obecnie w zenicie swoim. O wiele pomyślniéj dla szkoły złożyły się rzeczy w Austryi. Od zajęcia Galicyi po rok 1848, były szkoły galicyjskie jak najgorzéj zorganizowane i nie przynosiły żadnéj korzyści krajowi. Górowała w nich tendencya germanizacyjna, język wykładowy był niemiecki, metoda ściśle mechaniczna, pamięciowa. Plan dydaktyczny jak najgorszy. Wiadomości prawdziwie użytecznych, prawie żadnych, albo po szczypcie niemal niedojrzanéj. Celem szkoły wedle tamtéj organizacyi, było kształcenie urzędników, a nie obywateli. System ten obejmował wszystkie szkoły, całą ich organizacyę od najniższych do najwyższych. Szkół po wsiach wcale nie było, a jeśli gdzie była jaka, to nie zasługiwała na-

wet na nazwę szkoły. Szkoły nazwane *ludowemi*, wcale nie były dla ludu. Oświata podówczas była w Galicyi przemycanym towarem, szkoły go nie dostarczały. Po oświatę uciekano się do literatury, będącéj w takim stanie rzeczy jedyném jéj źródłem, a szkolnictwo pozbawione praktycznego gruntu, uprawiano w teoryi. Trentowski napisał *Chowannę*, dzieło na wielki rozmiar zakreślone, mające obejmować cały system wychowania, z którego atoli autor ukończył i wydał w dwóch grubych tomach część pierwszą, obejmującą zasady pedagogii. Z części drugiéj obejmującéj dydaktykę, zostały tylko niektóre ustępy ogłoszone. Część trzecia miała zawierać dzieje szkoły, czyli jak autor nazwał, epikę. Trentowski wychowany w szkole niemieckiéj, na niemieckiéj wykształcony filozofii, pisząc swe dzieła filozoficzne był tego mniemania, iż tworzy nowy oryginalny system *filozofii polskiéj*, podczas gdy snuł on tylko daléj wątek Szelingowsko-Heglowskiéj spekulacyi, pewnemi zmianami i dodatkami ubarwionéj. Ztąd we wszystkich jego dziełach znajdujemy modelowanie się według pojęć i podziałów Heglowskich. Tęż samą cechę nosi na sobie także *Chowanna*, mianowicie w części teoretycznéj położonéj na czele każdego rozdziału. Część praktyczna zawiera wiele zdrowych przestróg pedagogicznych, wiele prawd i wskazówek trafnych, wypowiedzianych z właściwą Trentowskiemu porywająco-dosadną swadą, naprzemian energiczną i szumnie napuszystą. W dziele całém znać teoretyka, który wiele myślał nad zasadami pedagogii, wiele rozważał, szukając dróg prawdziwego wychowania, lecz nigdy praktycznie wychowaniem się nie trudnił. W każdym jednak razie *Chowanna*, zajmuje znakomite miejsce w historyi naszéj literatury pedagogicznéj i pominiętą być nie może. W tym samym okresie, co Trentowski, pisali w przedmiocie pedagogicznym: Teodozy Sierociński w Warszawie, Floryan Bochwic i inni, pomiędzy którymi najznakomitszym niezaprzeczenie pedagogiem praktycznym był Ewaryst Estkowski, którego szereg pism wydany w Poznaniu dla dzieci i szkolnéj młodzieży, jest prawdziwym skarbem pedagogicznéj naszéj literatury.

Od roku 1848 datuje się polepszenie szkół austryackich w ogóle, a z niemi razem i galicyjskich. Wszelako istotna reforma szkół w Galicyi rozpoczyna się dopiéro z ustanowieniem rady szkolnéj krajowéj. Wykluczenie języka niemieckiego jako wykładowego, stanowi wielką erę w organizacyi szkół galicyjskich. System nauk przeobrażony zupełnie i do wymagań dydaktycznych w wielu względach trafnie zastosowany, podniósł szkoły galicyjskie na stanowisko odpowiedne ich zadaniu, lubo wiele tu jeszcze do zrobienia pozostaje; atoli reformy takie nie przeprowadzają się w jednéj chwili, zwłaszcza, jeżeli na każdym niemal kroku przychodzi walczyć z różnorodnemi przeszkodami. To pewna, iż w ostatniém dziesięcioleciu szkolnictwo w Galicyi uczyniło ogromne postępy, tak na polu praktyki jak teoryi. Reforma szkół wraz z zaprowadzeniem języka wykładowego polskiego, zrodziła potrzebę zaopatrzenia ich w nowe książki, odpowiedne nowemu dydak-

tycznemu kierunkowi szkoły. W dziedzinie literatury pedagogicznéj obudził się ruch bardzo żywy. Księgarz Karol Wild wydał w przeciągu lat kilku całą seryę dzieł szkolnych wszelakiéj treści i otrzymał w tym celu subwencyą od sejmu. Inni nakładcy również w tym podążają kierunku, albowiem książki szkolne w Galicyi są dziś najpopłatniejsze i najliczniéj się rozchodzą, co bardzo pomyślnie świadczy o wzroście i rozwoju szkół. Zawiązało się nawet we Lwowie *Towarzystwo wydawnicze książek szkolnych i naukowych*, które wprawdzie dotychczas jedną dopiero książkę wydało, lecz miejmy nadzieję, że kiedyś przecie coś więcéj wyda. Pojawiają się téż dzieła specyalnie pedagogiczne, mniéj-więcéj odpowiednie celowi, jak *Szkolnictwo* Łuczkiewicza, *Pedagogia* Seredyńskiego, pisma Zarańskiego, wybornie przepolszczona *Pedagogika Kelnera*, z wielu dodatkami, zastosowanemi do potrzeb szkoły naszéj przez Zygmunta Sawczyńskiego. *Zasady wychowania i nauki, czyli wskazówki pedagogiczne i dydaktyczne dla szkół wyższych* przez Stanisława Sobieskiego, dzieło będące owocem wytrawnéj wiedzy pedagogicznéj, praktycznem wzbogaconéj doświadczeniem.

Naostatek nie mogę pominąć bez wzmianki przewybornie napisanego, a mało znanego i nie ocenionego dotąd należycie dziełka, profesora lwowskiéj akademii technicznéj D-ra Rudolfa Ginsberga, noszącego tytuł: *Myśl odpowiedniego urządzenia szkół technicznych*, w którém autor rozsnuwa cały system organizacyi wychowania publicznego, obmyślany ze znajomością doświadczonego dydaktyka, opartą na gruntownem poznaniu systemu szkół francuzkich i niemieckich.

OBRAZY
ZE WSPÓŁCZESNÉJ LITERATURY NIEMIECKIÉJ.

PRZEZ

Feliksa Jezierskiego.

(Dokończenie).

Trudno opisać hołdy tłumu i zapał władcy, przed majestatem siedzącéj na tronie bogini Romy. W jéj ruchu i gestach zdumiewają, jak w wielkiéj Junonie, kształty czarowne, nadludzko niewieście. Z pod złotorzeźbnéj grodowéj korony spadają w czarnych pierścieniach włosy, spadają na szyję niezmiernéj białości, na pierś bijącą z pod łuski pancerza. Złocona w bisior, purpurowa draperya o zło-

tych i brylantowych spinkach, obiegłszy malowniczo jéj kibić, sutemi fałdami u stóp jéj się ściele. Twarz kryje maska, lecz i z pod maski biją światłem wielkie jéj oczy.

Wysiadłszy, uroczyście powitała pogromcę świata i Olimpu, lecz jako matka i ochronicielka Rzymu, powitała w nim, jakby swoje nieśmiertelne dziecię.

Majestatyczna postawa bogini, uroczystość w ruchach, układzie, i kroju talii, płomień wykradający się ze źrenic, a przedewszystkiem tajemniczość, zadrażniły fantazyą. Nero już gotów „dzielić z nią zaszczyty, i świat i Olimp świeżo zdobyty.“

Wśród takich namiętnych kadzideł wiedzie boginię pod cienie gaju platanowego. Po gaju świecą biało purpurowe namioty, w których przyczajona roskosz bachancka spełnia puhar, nalany tą wyroczną dłonią, która po ścieszkach różanych wabi ludzkość Rzymu na dno zagłady. Nawet w gondolach po cichém jeziorze ognistym zgiełkiem płoną bachanalie.

„Noc letnia, tknąwszy bachantów ramienia,
Pruszy na skroń ich makiem zapomnienia;
Błyszczą pochodnie, lecz miesięczne strzały
Mleczną światłością ich blask zalewały;
W powietrzu miękkość niewieścia, jedwabna.
O! to noc letnia, zdradziecko powabna,
Kiedy żar dzienny pod zachodniém echem
Zamiast przygasnąć, kryjomo się ściele
I tli i praży pokątnym oddechem...
Takie to sidła mocy i niemocy
Snuł czarnoksięski duch téj letniéj nocy.“

Pod tém magiczném ciśnieniem czarów mógłże ustać ten, dla którego roskosz była jedynym, twórczym żywiołem bogów i ludzi? Po długiém błąkaniu się, Nero i wędrowna gwiazda, upatrzyli sobie gniazdko na ciche szeptania i poufne rozmowy. Była to ustronna altana: suto wyścielona złotogłowiem i purpurą, istne zaświecie chłodów i tajemnicy. W około altany, poczynając od wejścia, snuły się krzewia i kwiaty wędrowne od Wschodu, dysząc podzwrotnikowym aromatem. Wonnościom wtorowały tętnieniem, kropelki spadające z ukrytych krynic.

Urok otaczającéj natury i urok obecności bogini, jak z dwóch stron nadbiegające siły, sprzysięgły się na zapaleńca, i mózg jego zmąciły do ostatka. Kiedy bogini przyjęła z rąk jego puhar, napełniony iskrzącym płynem, kiedy puhar błysnął w jéj dłoni, Nero tę dłoń przycisnął do serca.

— Któż jesteś? powiedz nadludzka kobieto i odsłoń oblicze.

— Możny zuchwalcze, ty najpierwszy Rzymianin, i nie jesteś świadomy mnie matki twojéj, bogini Romy?

— Mówisz o miłości, a jakże prędko zapomniałeś o biednéj Poppei! Niewdzięczny, zapomniałeś o téj ślicznéj wychuchanéj lalce, o mistrzyni kędziorów i maści różanych.! Wszak mówiłeś jéj że kochasz, bo o czémżeście gwarzyli bez świadka przed mojém przyjściem?

Rozmowa ożywia się coraz bardziéj, zapala; bogini, dobiera coraz jadowitszych żądeł, dla drażnienia wietrznéj, nierozważnéj, okrutnéj miłości.

Niepodobna téj misternéj nici wysnuć w całości, zbyt bowiem przekroczylibyśmy zamierzoną granicę.

Straszne tajemnice swojego serca, a raczéj śmiertelną próżnią duszy wypowiada Nero przed boginią. Jego wszechwładność, służalcze hołdy kobiét dla jego wdzięków, najskrytsze zwierzania się ich, brak choćby jednego węzła przeszkody: oto niszczące potęgi, które odjęły mu wiarę w miłość niezachwianą.

— Ach,—mówi Nero—wierzę tylko w miłość matki; ale bogini Romo, moja luba, moja władczyni, zdejm maskę: zaklinam cię.

(Zimne pokręcenie głową było jedyną odpowiedzią).

— Bogini, zdejm maskę, ukaż najpiękniejsze twoje oblicze; zdmuchnij zaćmienie słońca z oczów twoich: prosi, błaga cię szalejący z miłości oblubieniec.

(Milczenie i uśmiech).

— Bogini, rozkazuje ci Nero.

(Znów milczenie).

— Co! opór... Neronowi?

I ze spazmatycznym porywem zdarł maskę z jéj twarzy.

Zimne, do krwi przenikające było spojrzenie Agrypiny; z godnym siebie uśmiechem pogardy wyrwała się z namiętnego uścisku Nerona i znikła w gąszczu granatów.

Dziwna, niesłychana sytuacya, jaka tylko w zgniłych pierwiastkach budowy skazanéj na zagładę, wywiązać się mogła; sytuacya o którą jednak nasz poeta nie złamał pióra: Nero stał chwilę w osłupieniu, chwilę rozpatrywał sią w niewidzialnym orszaku furyi, które wyciągały ku niemu ręce jedna przed drugą.

Puszcza się w pogoń za Agrypiną, ale jéj cień jakby na urąganie, to się mignie, to znika w gęstwinie. Nero ściga nieustannie.

Tak go ogniami, skrzydłami popędza,
Krwawa, bezsenna, niewidzialna jędza—,
Mścicielka.
Jakto? on, wielkość pół-boża,
On, wielowładca od morza do morza;
Z posoką jeszcze nie ociekłą z rany,
Jadem draśnięty, śmiechem stratowany,
On ma przebaczyć, on z ust śmiertelniczki,
Hańbę i plwanie na święte policzki.

Nie... wciąż ją ściga; lecz nie był to łowiec,
To zwierz wściekniety, który przez manowiec,
Przez pnie zdradzieckie, parowy i łany
Pędzi szaleństwem własném podszczuwany.
Wtém, czy złudzenie? tam mgła się rozcina,
Dłoń błysła w mroku; to dłoń Tygiellina.
—Czy ją widziałeś?
—Widziałem,(—i dzika
Iskra wytrysła z oczu niewolnika).
—Gdzie Agrypina, gdzie? niemy służalcze,
Mów, ty nie widzisz, że z piekłem dziś walczę.
—Ależ obraziłbym majestat pański....
I arkadyjską woń szaréj godziny....
I... idyliczne stargał odwiedziny...
Wszak dziś.. swoboda, dziś...
— Psie maurytański,
Kiedyż tajemnic roztworzy się jama?
—Pani prześwietna... była... tam... nie sama."

Nero dowiaduje się, że szczęśliwym zdobywcą serca Agrypiny jest Parys, tanecznik. Prowadzi więc Nerona ku dalekiéj grocie, któréj bluszcze i złotogłowia są powiernikami skrytéj, niebezpiecznéj miłości. Za zbliżeniem się do groty, Maur z demoniczną ostrożnością ujmuje Nerona za rękę i ustawia go pod niedociągniętym roztworem zasłony. Agrypina nie skąpi pieszczot, głaszcze, całuje, przytula drżącego skoczka.

Mistrzowsko zestawił tu poeta dwa bieguny psychiczne: z jednéj strony zalotnicę wprawną w najwyszukańsze cieniowania intryg miłosnych, z drugiéj strony trwożną, jeszcze przezroczystą duszę, uczucie na pierwszym stopniu zetknięcia się z namiętnością. W poufnéj rozmowie dwojga kochanków niezrównanéj siły, autor Ahaswera jest prawdziwie poetą, psychologiem. Niepodobna w sprawozdaniu uwydatnić wrażenia, jakiego się doznaje słuchając tych zbrodniczych wywnętrzeń, w których Agrypina wypowiada więcéj aniżeli wulkaniczną miłość ku Parysowi; z pod uchylonéj namiętnością zasłony ducha, widać tam nieskończoną głębią popędów zemsty nad Neronem, zepsutym, niewdzięcznym, namiętnym do potworności. Ale główny nerw dramatyczny stanowi to, że czytelnik trzyma w swém ręku fatalny klucz sytuacyi t. j. mimowolne przypuszczenie Nerona do strasznéj tajemnicy.

Biédny skoczek! czyliż przyczajona postać mściciela, który przebaczać nie umie, dla którego wytępienie jest jak i wszystko inne, twórczą materyą życia i użycia,—czyliż ta postać wiała na niego lodowatém tchnieniem grozy i śmierci? bo drżał jak pisklę gołębie pod ciśnieniem niewidomych szponów. Kiedy wreszcie wynurzył się ze swoich obaw, Agrypina odrzekła mu z uśmiechem pogardy i lekceważenia, napomykając o świeżém zajściu w altanie.

— Porzuć, mój luby, widziadła mózgowe,
Nie mów o głupcu. To źrebię niesforne,
Znów pod wędzidło poddało swą głowę:
Będzie, jak nigdy nie było, pokorne.
— Takżeś go rychło okiełznać umiała?
— Celnie napięta nie pochybi strzała,
Głębiéj trafiła, śmiertelniéj od celu:
Skinę, to dzisiaj do stóp mi przypełznie;
A ty przed lalką drżysz? O! marzycielu.
— A ty, lwa mniemasz utrzymać na kiełznie?
A nuż się zerwie, nuż wściekle rozdąsa,
W spazmach i wodze i wodza pokąsa?.....
— Niechby się ważył... (drżąca Agrypina,
Palec do ust przykłada i wyznanie,
Straszne wyznanie szeptać mu zaczyna):
Niechby się ważył, wtedy... mam w kołczanie
Pocisk ostatni; ja, dziś zawiedziona,
Ja na tron światów wyniosłam Nerona;
Brytanik żyje... niechno lew wzbudzony,
Raz mi poważy się wysadzić szpony;
Skinę, to czaszkę strzaskaną ciemięzcy,
Jutro zastąpi głowa niedołęzcy:
Mam ja stronników, i te furyi cienie
Tylko czekają na moje skinienie."....

Odskoczył Nero, podobny lwu wściekłemu, który jadowitą posoką bryzga po własnéj sierci—wyrzuca z piersi swoich całą posokę duszy nerońskiéj.

„Dziś, (wyjęknął on do zbira),
Dziś, w piekle mózgu, wymyślaj trzy śmierci,
Zdumiewające potomność; trzy śmierci,
Jakie wąż w twojéj gorącéj krainie
Płodzi i tuczy w jadowitéj ślinie:
Śmierć niedołęzcy, śmierć tanecznikowi,
I... jeszcze jedną... ha! śmierć Agrypinie....
Wściekam się...
Słuchaj, dziś oczy tygrysie
Chciałbym utopić w pokurczonym rysie,
Twarzy otrutéj; dla zimnéj igraszki,
Po krwi, po mózgu roztrzaskanéj czaszki
Stąpałbym, ropą gadziny je broczył:
Krwi, krwi dziś łaknę, mąk, łamania kości,
Mąk samych trupów, jęku niewinności;
Z ciebie chychocząc dziś krwibym utoczył;
Ach... Tygiellinie! gdybyśmy zbłąkani
Stali w téj chwili nad oknem otchłani,

Zepchnąłbym ciebie.
Już tyle boleści,
Tylem dziś szału i piekła się opił;
Że gdybyś w sercu sztylet mi utopił,
To sztylet stopniałby do rękojeści.

Od tego punktu poemat nasz wchodzi na drogę najwyższéj tragiczności. Plan zemsty postanowiony, wykonanie planu zlecone Tygiellinowi; Agrypina, ta ostatnia Rzymianka, jak ją nazwał mściwy syn, Agrypina ma otrzymać zaproszenie na następny wieczór do willi cezarowéj nad Tybrem. Ulice, klomby, któremi Nero powracał z fatalnéj wycieczki, stanowiły jakby rozmyślnie dobraną kanwę do wypadków w dalszym wątku snuć się mających. Było to pobojowisko po rozpuście i zgiełku bachanaliów, gdzie pokotem bez różnicy stanów, szat, wieku i płci walały się wstrętne bryły, zwane Rzymianami. Tak! rozpusta i jéj naturalny sojusznik, pijaństwo dzielą ze śmiercią ten smutny przywiléj zrównania praw w obec nicestwa. Pomiędzy poległymi chwilową śmiercią był i Seneka; jęczał on boleśnie i coś szeplenił słowami szaleństwa—czcigodny stoik! zapewne to duch jego w rodowym paroksyzmie wiązał piérwsze zręby aksiomatu o „przepadaniu jednostki" wśród ogólnéj zagłady wszechświata.

Mściciel przechodzi to obok śpiących, to po śpiących w letargu bydlęctwa. Jego to pastwa, odarta do szczętu z kruchych, ostatnich włókien człowieczeństwa!

Wtém stopa jakieś tam ciało potrąca...
Czyje? Aktei! Tak, ale nie śpiąca;
Aktea na śmierć już ukołysana,
Ani do śpiewki nie ocknie się z rana;
Ani zatęskni, jak wczoraj, bez kresu,
Do gór ojczystych, do kwiatów Gadesu:
Już się nie ocknie. O! biédne ty dziecko!
Także to tchnienie morowe rozkoszy
Po wdziękach twoich wionęło zbójecko?
Bądźże jéj lekkim, o! prochu macoszy,
Ziemio wygnania!

Trup bachantki-dziecka przeraził Nerona i poraz drugi odskoczył on ze wstrętem; uczuł nakoniec znękanie ducha: Fatum wyraźnie poczęło już targać nićmi zapuszczonemi w jego serce; sytuacya wyraźnie dopominała się o „tajemniczego." A tajemniczy—siedział przytuliwszy się kędyś w załomie przy wschodach, i drżał od zimna poranku, szklące się jego oczy błyszczały chorobliwie. Już świtać poczęło.

— Czemuż to drżący tulisz się na wschodach, zapytał go władzca?

— Tak! drżę od zimna... Ja wygnaniec wieczny,
Chciałbym, aby ten szkarłat przedsłoneczny,

Łuna ta ranna, która wasze szczyty
Ściele w pokrowiec krwawo-złotolity:
Nie ogniem sztucznym, kuglarskim połyskiem,
Ale pożaru buchnęła ogniskiem.
Razbym ja przecie w tułaczéj starości,
Zgliszczów głowniami odegrzał to ciało,
Bo wszystkich świata płomieni zamało,
Na wystraszenie dreszczu z moich kości.
— Rzekł... i współmyślne ich spojrzenia, w parze,
Po siedmiogórnym przemknęły bezmiarze;
Rzym stał w oddali na świtu rozkrzewie,
Tonął od góry w czerwonéj polewie:
Patrzy w nią Nero... czy duma... czy wzdycha?
Nie, już zapadło: Nero się uśmiécha.

Dzieje zostawiły nam krwawy komentarz do tego uśmiechu.

Ahaswer metafizyczny typ sumienia wszystkich wieków, nie ma prawa wyprzeć się téj roli, jaką mu przeznacza nasz poeta w spełnieniu się losów Dyoniza. Świat rzymski, na odchodném z wielkiéj widowni dziejów, nie mógł właściwiéj i rozumniéj antycypować szatana biblijnego. Kolosalna postać starca, ruchliwa w rysach twarzy, wzroście i barwie oblicza; dychawica zgrzybiałości zmieniająca się raz naraz na młodzieńczy rumieniec: są to dosadne znamiona, mocą których typ żyda tułacza mógłby przecisnąć się pomiędzy symboliką Wschodu, a plastyką Rzymian i Hellenów.

Tak więc Ahaswer „cień w obliczu słońca" nie jest anachronizmem, jako „osoba psychologiczna." Najpotężniejszy estetyk, jakim był Hegel, daje prawowite i bezwarunkowe ustępstwo na anachronizmy psychologiczne, a to ze względu, że dusza, że istota moralna, jest jedna i równa sobie we wszystkich epokach.

Otóż Ahaswer dotrzymuje przymierza i od téj chwili już poczyna się stanowcza „pomoc w spełnieniu się wyroków."

Nero postanowił zlawszy Rzym w jedno „trupie ciasto, wymiesić świat nowy ze zgliszczów."

Poemat Hamerlinga przepoławia się na pieśni trzeciéj p. n. „Agrypina." Przed tragiczną rozwiązką losów, poeta już nie opiewa, nie maluje, ale dosłownie mówiąc: rzeźbi w oczach naszych postać i duszę téj Maryi Stuart wieku rzymskiego.

Wprawdzie nie bawimy się w analogią, ale trudno nie uznać jéj tam, gdzie dwa typy historyczne przystają do siebie niemal wszystkiemi punktami. Jakiéj bowiem cechy wspólnéj braknąć tu może? chyba berła królewskiego. Ależ i Agrypina sięga po koronę; tragiczność równie wielka, kiedy zbir maurytański usuwa z pod jéj stopy wschodę prowadzącą do tronu. Tam wprawdzie współzawodniczką jest kobiéta, tu współzawodnikiem syn; ale jabłkiem intrygi, tu i tam jest *pięk-*

ność również nieb ezpieczna dla Elżbiety, jak groźna dla nowego Olimpijca. A wreszcie i strona a priori, nie przedstawia przeszkody do ułożenia się z atomów psychicznych dwóch zupełnie podobnych kształtów.

Agrypina jest postacią posągową w naszym poemacie.

Już słońce chyliło się ku zachodowi. Cudnym był widok morza tyrreńskiego: po sinéj jego głębinie ślizga się, buja, z fali na fale przelatując, wspaniała gondola. Żeglugą dowodzi Tygiellin, którego wysłał Nero z zaproszeniem Agrypiny na ucztę. Była to najpiękniejsza gondola, jaką posiadał; bogactwem ozdób, draperyi brokatowych, klejnotów zdobiących szyję okrętu, przepychem pawilonu, przewyższała ona najwyszukańsze zachcenia fantazyi. Najwydatniéj uderzało wzrok środkiem pokładu pnące się kolumnami całokole, w czepcu z brokatów tworzącym niby przyłbicę rotundy, albo kopułę eteryczną. Nad wyskokiem zrębów powiewały wstęgi różane i girlandy z wawrzynów, spadając wonnym potokiem na marmurowe główki kupidynów, bezmyślnych dzieci-bóstewek, które, osnuwszy kwiatem przedpiersień gondoli, tulą go w drobnych rączkach po nad topielą. Daléj ciągną się grupy gracyi, nad grupami góruje posąg Neptuna, wszechwładnącego nad tym bezdennym żywiołem, który w téj chwili unosi Agrypinę do willi cesarskiéj.

Przebudziła się: przychodzą kolejno niewolnice, spełniając coraz to inne usługi, aby piękna jeszcze piękniejszą się stała. Była tam i ożywcza kąpiel, i deszcz chłodu, i deszcz wonności wszystkich aromatów Wschodu, i balsamy czarodziejskie, i kość słoniowa, zbierająca kaskadę włosów, i pył mleczny, pruszący się z rąk Indyanki na włosy, i karmin, i spadające z pędzla po żyłkach skroni cętki liliowo-różowe. Potém otwiera się nowa skarbnica: wypływają bisiory, gazy, lekkie, prawie etyryczne przyodziewki, stola jedwabna i stroiki bez końca.

Teraz koléj na perły i brylanty. Wychodzi na pokład: cała osada zdumiewa się widokiem tylu wdzięków natury i sztuki. Ten hołd zdumienia rozśmieszył Agrypinę. Naraz dreszcze ją przeszły, spostrzegła Tygiellina. Lecz wąż maurytański przyczaił się jeszcze na chwilę; owszem uderzył przed wdziękami téj, „którą już tu na świecie losy przeznaczają na boginią, nie ważąc się z liców zwiać rosy porannéj, tak aby się *zdawała* niezmiennie młodzieńczą."

To „zdawała się" zadrasnęło dumną zalotnicę. Odeszła więc na przedpiersień gondoli i zatopiła się w dumaniu. Plany na planach, widma na widmach rojami obległy jéj duszę. „Nero?... już nie ma Nerona... Brytanik? chuchrak, jasełko bez mózgu. Tygiellin? on i cała stadnina służalców, zgnieciony; głowa jego będzie odciętą i na karm rybom wrzuconą do akwaryum. Agrypina? Agrypina wtedy okiełzna motłoch o! i nie wypuści kiełzna ze swoich rąk, aż tłuszcza poczuje, że Rzym ma nakoniec męża: Agrypinę."

Takie to pasma i pasemka wysnuwały się w téj główce, odurzonéj wiarą w potęgę wdzięku i woli kobiecéj; Tygiellin, stojąc w uboczu, nie spuszczał z niéj oka ani na chwilę. O! słyszał on dotykalnie każdy szelest jéj myśli, widomém było dla oka sprzedajnéj gadziny, każde słówko, które piękna a mściwa kobiéta rylcem fantazyi kreśliła w zatajoném wnętrzu. Tymczasem gondola zwolna prując fale, posuwała się daléj, i białe mury willi wyzierały z horyzontu. Z orszaku Agrypiny wychodzi śniada Egipcyanka, najpoufniejsza powiernica serca.

„Mądra, stateczna, jak wody przystani,
Cicha, wytrawną wnikająca głową
W hieroglify ducha swojéj pani.“

Egipcyanka prosi jéj, aby otuliła bieluchne ciało od chłodu wieczornego i z temi słowy podaje Agrypinie purpurową oponę.

„Dziękuję ci, wierna moja, że właśnie w *téj chwili* zbliżasz się ku mnie z purpurą, bogowie sami raczyli mię podsłuchać. Ach! gdybyś ty wiedziała, o czém ja niedawno marzyłam! Purpura, córeczko oazy, purpura, to wróżebny głos bogów!“

— Bodajbym tu zaraz umarła, luba moja pani, jeśli ta purpura nie lśni się na tobie po królewsku.

— Córeczko oazy! i czemużbym nie miała stanąć w purpurze? wszak niebo po błękicie dziennym, wszak Neptun, stroi się w nią właśnie teraz o zachodzie. Dałaś purpurę; podajże mi i dyadem. Otóż odpinam ze skroni opaskę girlandową i poświęcam ją w ofierze bożyszcza nurtów, którego biust srebrny z dziobu gondoli spogląda na niebokrąg, i w imię Neptuna spycha naszą łódź z fali na fale.

Co rzekła, to spełniła: popiersie Neptuna przystroja kwiatem, w okół jéj głowy pryska gwiazdami dyadem z brylantów.

„Semiramis, Semiramis,“ krzyknęła egipcyanka.

Sam Neptun srebrny, świeżo uwieńczony girlandą zdawał się tłumić wzroczek szafirowy przed majestatem korony królewskiéj.

„Tak przed wiekami, w oczy Persefony władca piekielny spoglądał zalotnie zanim ją porwał.“

Tak i teraz z półcienia grzebietu gondoli padało na Agrypinę spójrzenie przenikliwe, złowróżbe, straszliwe, celne, jak zatrute strzały. Zdawało się, że słychać poświst gadziny. Czasem te spojrzenia, znienacka, jak żądło skorpiona, wpiły się z jadem w krew ofiary; czasem pod iskrą tych spojrzeń wzrok bazyliszka wydałby się pieszczotą. Lecz było to tylko chwilowo. Ogień piekielny nie pryskał na twarz Tygiellina, palił się on i rozprężał w głębi.

„Twarz skryto-bójcza,—rozejrz się w tém czole,
Masz, krwi głoskami wyryte symbole:
„Zagłada swiata“ spali go, rozproszy!
Zimno, w przystępie żartu lub rozkoszy.“

Tak ścigał wzrokiem swoją ofiarę Tygiellin, trzymając w dłoni linę, klucz katastrofy; albowiem ta lina prowadziła na spód okrętu, i tam łączyła się z osłabionemi wiązaniami belek i podkładu okrętu. Już zachodowe słońce przybrało ową barwę szkarłatną, do któréj przed chwilą stosowała marzenia swoje królowa; już z ukosa rzucała snopy czerwieni; morze i niebiosa stały w płomieniach; cisza uroczysta, jaka bywa w godzinie konania, gdy między życiem a śmiercią stanie rozejm przechodni; zdaje się, że fala przysiadła w biegu, że pałac willi wraz z wybrzeżem same suną się ku łodzi z daleka. Arcywielmożne, ciche przedwieczerze; wskroś po naturze i sercach ludzi przecieka dźwięk zachwycenia, z przedpiersnia gondoli odezwały się trąbki, flety, piszczałki i arfy. W takt idą wiosła, głąb rozstępuje się pod wiosłami, w oczach Agrypiny zaświtał tryumf; tymczasem śniade niewolnice, piersią, zagłuszoną dźwiękiem muzyki, wydają okrzyk, dla niéj tylko zrozumiały:

„Evoe księżna, evoe cesarzowa.“

Był to początek i koniec tryumfu. Stałosię... Maur, z całym wdziękiem pomsty katowskiéj, pociągnął za linę, którą tak czujnie tulił dotąd w tytanicznéj dłoni.

Oto obraz jednéj z trzech śmierci, które Nero na wczorajszéj uczcie zlecił Tygiellinowi.

Bodaj nie patrzeć na krwawą godzinę,
Kiedy trzęsieniem ziemi w głąb rozpruta
Krajów skorupa kruszy się w perzynę;
Góry się ważą poczęte przed wiekiem,
Grody taczają z wszechwładcą, człowiekiem,
Z cudami trudu, słów, pędzla i dłuta!
Ot... w okamgnieniu, piorun jednéj woli
Zgniótł wielkość świata: pęka pierś gondoli.
Lotna, przed chwilą najpiękniejsza z łodzi,
Właśnie, jak owo słońce zachodowe,
W ognia przepychu unoszące głowę,
Słońcu podobna w otchłanie zachodzi.
Z szarych jéj żerdzi bałwany wymiotły
Wszystko, co żyło; stosy rumowiska,
W bezdeń lecące rwały się i gniotły
W okół ruiny; z krtani wód wytryska
Pył na perłową pianę rostopiony,
Grzebiąc na wieki w grobowéj kąpieli,
Gody, na które, od krańców topieli
Śmierć zaprosiła podmorskie demony.
Stało się, furya spełniła swe dzieło;
Okno skłóconéj toni ochłonęło,
Jak po rabunku spalonéj oazy;
Płyną w bezładzie: dębowe pałągi,

Żagle na masztach, filary, posągi,
Stole szkarłatne, kwiaty i obrazy.

W statku ochronnym żegluje do brzegu Tygiellin, a w ślad za nim, pasując się z falą, podążają ocaleni wioślarze, i porywają pływające łupy po rozbitéj gondoli.

W chwili, kiedy na Tyrrenie śmierć wyprawia ucztę demonom podwodnym, pogromca Olimpu wyprawia ucztę demonom siedmiogórnéj stolicy.

Wśród gmachu willi, w sali tryklinium, przy stole cytrowym zasiadł Nero i Spor, jego ulubiony niewolnik. Przepych nie do opisania. Na krążkach ze słoniowéj kości ciągną się rzędy wezgłowiów. Na wezgłowiach zasiadły najcudniejsze dziewice i młodzież kwirycka. Sala w willi Nerona, to świat mozajki: posadzka, to kanwa łączna utkana z kwiecia wszystkich stref ziemi okręgu; ale to kwiecie dziane z klejnotów. Olbrzymie świeczniki tworzą las fantazyjny; zamiast owoców porosły płomykami. Dokoła kadzielnice, wetknięte w złote trojnoża, dyszą falami ambry. Daléj stoły zastawione krociami potraw.

Nie bezzasadnie krytycy nazywają naszego poetę „królem plastyki“ żadna satyra rzymska nie udramatyzowała w tak żywéj i tak wiarogodnéj dotykalności nieustających bachanaliów, jakiemi Nero postanowił sobie świat zdumiewać; bachanaliów, na których „brzydzono się mureną, sarną, bażantem, jarząbkiem i synogarlicą.“ Bacho-Dyonizos „pożywa tylko samą krew żywota; tylko co najdroższe z najdroższego, najrzadsze z najrzadszego: ozorek słowiczy, muszczki flaminga, łepek papugi, podkostek wielbłąda, pawie języczki, szpik strusi.“

Nietylko język i gardło się raczy; są tam łakocie i dla ucha, są cytry i flety; są dla oka pantominy i roje tancerek: duch Aktei zmartwychwstaje.

Jakiś wir życia przewionął po tłumie. On tylko sam nurza się w myślach, co chwili pyta o Tygiellina; drży jakby z zimna, i dreszcze nieustannie zalewa płomieniem falernu.

Bodaj tak, jak on tę szarą dumę zaleje falernem! Tchnął boleśnie, jakby w letarg zapada; znów pyta się o Tygiellina, coś tam wyszepnął, podobno wyrok śmierci: porwał cytrę, palce rozpuścił bezmyślnie po strunach; tłum bije oklaski... rzucił cytrę... kiedy do ucha wpadnie mu dźwięk trąbki, to chwali nie grajka, lecz taniec ognisty; kiedy gadytanki wirują w tańcu, to rozpływa się nad grą cytarzysty.

Już i biédny benewenczyk podołać mu nie może „stracił oléj i pracę...“ nadaremnie.

Otóż wybija godzina zagadki: wchodzi Tygiellin.

— Maurze! Agrypina?...

— Ucztuje z Neptunem, jeżeli jeszcze cierpi ją w topielisku; bo to dziwne bożyszcze, wyrzuca oblubienicę ze swego łoża, skoro ją zdusi w uścisku śmiertelnym.

— Jakto?—i uścisnął dłoń Maura—więc nie żyje? zgubiona?
— Tak sądzę, i to razem z gondolą.
(Tygiellin prawie że płakał po gondoli).

..... O! ty, ukochana,
Lecz najgodniejsza! ach! bo téż gondola,
Jakiéj nie widział świat. Lecz taka wola,
Taki był nakaz... Z jéj skarbów niestety,
Cóż ocalało? ot, marne skielety,
Które wioślarze, rozwścieczeni szałem
Łupu, ściągali. Ależ się naśmiałem,
Kiedy rabusie, prawie wpół umarli,
Z falą o szczątki złocone się darli.
Psy istne, patrzę: he, już pół załogi,
Już wszyscy w piasku tarzają się, dyszą,
Zieją.
— Niech wszyscy, co do nogi, wiszą,
Równo ze świtem; słyszysz? co do nogi.
Wydać w téj chwili nakaz. Ziemię całą
Znieśćby jéj trzeba; a ten rój bezczelny
Skradł, i tak skąpy, jej posag śmiertelny.
Ach! wszystkiéj Romy skarby, krew i ciało,
W płynnym jéj grobie złożyćby przystało.

Nero wraca do uczty. Teraz dopiero poczyna się prawdziwy zgiełk rozkoszy; iskra elektryczna przebiegła po krwi całego zgromadzenia: wesołość dochodzi do ostatnich granic szału. Brakło jeszcze jednego kroku. Już Nero dotykał ręką tajemniczego sznura, za którego szarpnięciem naraz wszystkie światła miały pogasnąć i mrokiem dać hasło stargania ostatnich więzów.

Wtém chwila trwogi: wbiegają wylękłe niewolnice; mówić nie śmią wyrazu zagadki. Jedno groźne spojrzenie rozwiązuje im usta; straszna uchyla się zasłona: „trup, wyrzucony przez falę pod sam próg pałacu, jest trupem Agrypiny." Nero wychodzi do atryum na spotkanie matki.

..... Już światła się palą,
Kroczy—tłum za nim... Blask ucztowéj sali
Spływa do atryum szlakami płomieni,
Spływa i drżącym pozłaca przeciągiem
Białe kolumny, posąg za posągiem.
Tam wiekopomni przodkowie Nerona
Stoją w milczeniu; kamienne ich twarze
Dumać się zdają o gnuśnym Cezarze,
A purpurowa ściągnięta zasłona

Wabi źrenicę, kędyś, wgłąb przestworu
Do perystylu: fontanny i kwiaty
Pruszą na okół świeżością wieczoru,
W głębiach magicznie lśni się lilii mrowie,
Jak nad umarłym rozstawione czaty,
Wśrodku, przed chwilą wzniesione wezgłowie.
Patrz, w chłodzie śmierci, zapadłym na lice
Leży napoły przymknąwszy źrenice,
Trup Agrypiny.
O! wyroczna siło!
Wielkie zjawisko!... w cóż się obróciło?
Spłynął rumieniec kędyś w głąb chaosu,
W bryłę stargany, przelśniący pęk włosu;
Drogie klejnoty, perły dyademu,
Zdźbłom ustąpiły i zielsku wodnemu:
Kwiaty, nie kwiaty, zaduchem tchną zgniłym,
Rybą, słonością i podmorskim iłem.

Chwieje się Nero, pijany—nie; ten dziwny człowiek miewał chwile,—kiedy i sam wśród rozstępujących się potęg własnego ducha umiał być mocarzem. Nero nakazał, aby fale szaleństwa ustąpiły się z drogi przed sercem, i ustąpiły fale: syn powstał na chwilę z wnętrzności kata, nie na długo. Makbet nie przemówiłby uroczyściéj w obliczu Banka:

..... Zawsze więc, zawsze, prześliczna rodzico;
Ty nie proszona przybywasz na gody?
Gdy młódź szaleje, ty, na stoku nocy
Toczysz się nagle, niby kamień z procy.
W trupiéj postaci, kirem śmiertelności
Mącisz słoneczną rozkosz moich gości.
Czego chcesz, zwiędły, kościotrupi krzaku,
Czego, tu w gwarnym żyjących orszaku?
Jeśli tam, dokąd zgon duchy wymiata,
Nawołał ciebie władyka podświata,
Po cóż przybywasz? ha, wzywasz nas, synów,
Byśmy ci liczbę zdali z naszych czynów!
Odejdź, tułaczko! do losów twych szali
Aniśmy ziarnka wagi nie dodali,
Śmierci nie winni... Nie skarż, trupie Dziwo!
Okręt był wabnym, topiel pożądliwą;
To klucz zagadki,—nie snuj mi na ziemię
Cieniów stygijskich.....
Tak! byłaś piękną, dziś jeszcze po zgonie,
Po zgonie, jesteś królową biesiady.
Włos ten kędziorny, czarny hebanowo;
Czoło królewskiéj budowy, stworzone,
Aby nad ziemią nieść ziemi koronę;

Usta, w siności zgonu jeszcze dumne,
Członki te wrzkomo skrojone w kolumnę,
Bogom podobne.....
Umilkł i prawicą
Z biustu bladego ściąga nad martwicą
Kraj zwilgłéj szaty.....
„Piękne rzymianki! ty pierwsza, Poppejo
Przenajśliczniejsza, woń śmierci przygaście
Wieńcami waszych skroni, niech jaśnieją
W łez upominku królewskiéj niewiaście.“

I w jednéj chwili deszcz kwiatów spadł z tysiąca skroni na zwłoki umarłéj; Nero bowiem tracąc matkę, w paroksyzmie artystycznym głównie obawiał się, aby uczuciu jego w téj chwili nie zadał szczerby spodziewany wyziew ze śmiertelnych członków matki.

Lecz ostatnie zaszczyty dla zwłok nie skończyły się na ukwieceniu, Agrypinę czekały jeszcze wyższe hołdy pogrzebowe: światłość pochodni, tak wielka, jakiéj dotąd oko ludzkie nie widziało: pożar.

Tam, po nad Rzymem unosi się morze Czerwone, kłębami dymu osnute, i tam Ahaswer, wierny mrocznemu posłannictwu, wspiera Nerona „w spełnieniu się jego losów.“

Oto jest pierwsza część, na któréj sprawozdanie nasze zamknąć nam przychodzi.

SPOŁECZNOŚĆ
WARSZAWY
W POCZĄTKACH NASZEGO STÓLECIA.
(1800—1830).

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dokończenie).

V.

Pierwsze lata Królestwa Polskiego. Dalsze prace Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Sala zebrań. Wydatniejsze postacie na publicznych posiedzeniach. Nominacya Adama Mickiewicza na członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wybuch niechęci przeciw temu Towarzystwu. Dwa listy Fr. Morawskiego do klassyków i romantyków. Przemowa J. U. Niemcewicza. Lista członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk w roku 1828. Ogólna statystyka.

Tom IX Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk ukazał się po czteroletnéj przerwie, już po ogłoszeniu Królestwa Polskiego,

w roku 1816. Do roku 1830 ogólnego zbioru téj pulikacyi wyszło tomów XXI, wszystkie odbijane w drukarni księży Pijarów, tylko ostatni w zakładzie typograficznym Natana Glücksberga, który przyjął na siebie nakład na dalsze lata.

Oprócz naukowych rozpraw i pochwał zmarłych uczonych, znajdujemy ciekawe monografie jak ks. Szaniawskiego: „*O Rzeczypospolitéj Babińskiéj*," (d. 15 stycznia 1818 r.), o któréj pierwszy raz usłyszeliśmy, i żywotniejsze rozprawy, nietylko obchodzące bliżéj ogół, ale zwrócone wyłącznie na poprawę doli ludu wiejskiego.

Już w ostatnim roku istnienia Księstwa Warszawskiego, Towarzystwo, w dniu 30 kwietnia 1814 roku na publiczném posiedzeniu ogłosiło: że wyznacza nagrodę medalu wartości pięćdziesiąt czerwonych złotych pisarzowi, który najdokładniejszą poda instrukcyę, ułożoną w sposobie najstosowniejszym do pojęcia ludu, mającą za cel oświecić mieszkańców kraju w tém czego się strzedz, i co czynić we wszelkich względach mają, dla zapobieżenia uszkodzeniu zdrowia i życia [1]).

Następnie znajdujemy w Rocznikach rozprawy: *O budowie włościańskiéj do kraju naszego przystosowanéj; Rozprawa względem zarazy i pomorku na bydło w kraju naszym; O sztuce lekarskiéj popularnéj; O ulach klocowych.* Fryderyk hr. Skarbek podniósł głos wymowny, dopominający się „dobroczynnego zakładu dla rolników w Królestwie Polskiem."

Widzimy nadto i myśli zwrócone na stronę ekonomiczną kraju, poruszające pytania, lub studyując przedmioty ogólniejszego znaczenia, jak:

O przyczynach upadku chowu bydła, rozprawa uwieńczona przez Towarzystwo; *Badania nad czerwcem polskim; O robieniu cegły surówki; O polepszeniu sztuki garbarskiéj; Monografia sosny pospolitéj; O guście w budownictwie.*

Pierwszy Skarbek zwraca myśl na naglące potrzeby społeczne w dwóch rozprawach:

O poprawie moralnéj winowajców w więzieniach, i *O kassach zasiłku i oszczędności.*

Piękny i majestatyczny był widok zaprawdę, gdy całe grono zasiadło na publiczném posiedzeniu w domu swoim w pobliżu Ś-go Krzyża, a obszerny amfiteatr, piętrzący się coraz wyżéj, był wypełniony liczném zgromadzeniem płci obojéj, różnego stanu i wieku. Z bocznéj komnaty, gdzie się członkowie zbierali, w oznaczonéj godzinie wchodzili na tę wielką salę z poważnym prezesem na czele. Krótko tu przewodniczył Staszic, po nim objął tę godność J. U. Niemcewicz.

---

[1]) Dr. Ignacy Fijałkowski odpowiedział na to zadanie w roku 1819, a rozprawa jego złotym medalem uwieńczoną została.

Pierwszy, wysoki, szczupły, rysy twarzy podłużnéj, oczy posępne pod krzaczystemi brwiami, lica chude i zapadłe, czoło szerokie i wzniosłe. Przyodziany w długi surdut, postępował zwolna nie patrząc na zebrane tłumy.

Niemcewicz niższego nieco wzrostu, lepszéj tuszy, szerszych ramion, miał oblicze więcéj okrągłe, na którém mimo wieku, jeszcze czerstwe rumieńce gościły: oczy pełne życia, na ustach biegający łagodny uśmiech. Jakkolwiek już nad czołem głowa wyłysiała, z tyłu jéj długie, gęste a siwe włosy, w kędziorach spadały mu na plecy.

Sekretarzem Towarzystwa był Łukasz Gołębiowski, mąż wielkiéj pracy, bibliotekarz dawniéj zbiorów w Porycku przy Tadeuszu Czackim, najszlachetniejszego charakteru i łagodnego usposobienia. Niskiego wzrostu, czerstwego oblicza, miał oczy duże i wydatne. Oddany z zapałem swemu zawodowi, gorliwie spełniał swoje obowiązki, a wolne chwile poświęcał studyom nad dziejami i starożytnościami krajowemi.

Krzesła były ustawione w półkólistych rzędach, i każdy dla siebie miał wyłączne miejsce, które zajmował.

Grono Towarzystwa Przyjaciół Nauk znakomicie powiększyli i podparli professorowie Uniwersytetu Warszawskiego. Wszystkich łączył związek braterski, a wielu i przyjaźń serdeczna, jak Kazimierza Brodzińskiego z Gołębiowskim, Skrodzkim i Fryderykiem Skarbkiem. Było to jakby grono rodzinne, związane ogniwami szacunku i miłości wzajemnéj, jak jednéj myśli, tak jednych uczuć.

Z postaci i oblicza byli do siebie wielce zbliżeni Brodziński ze Skrodzkim: obaj łagodnego charakteru, tylko śpiewak Wiesława miał więcéj rozlanéj słodyczy, gdy professor fizyki nosił ślady na obliczu męczącéj pracy, i jakby trawiącéj go powoli choroby.

Fryderyk hr. Skarbek, niższy od nich wzrostem, ruchliwy, pełen życia, na czerstwém i rumianém licu długo przechował wyraz młodości. Silnym organem, harmonijnym, dobitnym, obu swoich przyjaciół przenosił. Po słynnym deklamatorze Ludwiku Osińskim, on był pierwszym, który potężną wymową, jak dźwiękiem głosu, słuchaczy swoich porywał.

J. B. Rakowiecki autor: *Prawdy Ruskiéj*, średniego wzrostu, śniadego oblicza, skromnie i jakby lękliwie na te posiedzenia publiczne wchodził, zajmując skromnie swoje krzesło. Przeciwieństwo z nim stanowił Jan Kruszyński wierszopis, wysoki, chudy, z dobrze już szpakowatą czupryną, i pomarszczoném obliczem. Postać ta silne na mnie wywarła wrażenie, gdym go w dniu 6-go maja 1825 roku, usłyszał deklamującego swój przekład z rossyjskiego: *Ody Łomonosowa o Bogu*, wierszem miarowym i rymowym. Nie była to deklamacya płynna, bo czytał skandując, stosownie do zakreślonéj miary, głosem nieco głuchym jak ze strudzonéj piersi, ale jeszcze donośnym. Pomnę z niéj początek i ostatnią strofkę.

„Ty, co próżne lejąc żale,
Sarkasz na nieba, człowiecze,
Słuchaj, co groźny w zapale
Z chmury Bóg do Hioba rzecze:
Przez grad, wichry, deszcz, płomienie,
Głosem on gromy przerywał,
Trzęsło się nieba sklepienie,
Gdy go tak na spór wyzywał.“

W zakończeniu czytał:

„Miéj śmiertelny na uwadze,
Żeś ty ułomne stworzenie;
Twórca powinien miéć władzę,
Twój zaś udział jest cierpienie.
Łaskę zeszle Pan, czy karę,
Zawsze dla twego to zysku;
Czyń Mu z boleści ofiarę.
Zanoś prośby bez utysku.“

Wspomniałem o wrażeniu z ujrzenia Kruszyńskiego i słuchania téj skandowanéj ody, raz z powodu wyboru oryginału, a powtóre samego przekładu. Tego rodzaju miarowe i rymowe wiersze, były u nas osobliwością.

W gronie tém zasiadał zawsze Wawrzyniec Surowiecki, jeden z najznakomitszych uczonych tego okresu. Średniego wzrostu, siwy jak gołąb, pociągłemi rysami oblicza przypominał Staszica, i jego marmurowy spokój, lubo więcéj na nim grało życia i czerstwości. Jego dzieła: *O upadku miast w Polsce. O rzekach i spławach,* jak *Śledzenie początku narodów słowiańskich* oraz wykład w *Szkole prawa*; *O statystyce Polski* w okresie Księstwa Warszawskiego, który pozostał w rękopiśmie, należą do najszacowniejszych prac i dziś nic nie tracących na swéj wartości [1]).

Z pośród tego koła uczonych, wydatniała postać Joachima Lelewela. Już od roku 1820 zaczął drukować swoje rozprawy historyczne w *Rocznikach* Towarzystwa Przyjaciół Nauk: (*Odkrycia Kartagów i Greków na Oceanie Atlantyckim.* Rzecz czytana na publiczném posiedzeniu d. 23 listopada 1820 r.). Siadał zawsze na uboczu, jakby się chciał ukryć przed spojrzeniem tysiąca oczów, które chciwie wypatrywały tego genialnego badacza.

Wielkie przeciwieństwo ze szczupłym historykiem stanowił Feliks Bentkowski, górując wzrostem i tuszą. Postać to była więcéj

[1]) Oryginalny ten rękopism znajduje się w zbiorach ś. p. Cypryana Walewskiego, i zasługuje ażeby został wydrukowany, w publikacyach Akademii Umiejętności w Krakowie.

na zawadyaka sejmikowego, szlachcica od roli. Czerstwy, rumiany, spojrzenie żywe i bystre, głos jakby dużych organów. Wielkiéj powagi używał między uczonymi z powodu wydanéj: *Historyi literatury polskiéj*, i jako redaktor główny *Pamiętnika Warszawskiego*.

Staszic ostatni raz w dniu 5 maja 1825 roku zagaił publiczne posiedzenie; bliski już grobu, drżącą ręką skreślił sprawozdanie o czteroletnich pracach Towarzystwa od 1821 do 1824 roku, które po jego śmierci odczytano w kwietniu 1826 r.

Po nim godność tę objąwszy J. U. Niemcewicz, który zaraz w pierwszém zagajeniu z chlubą wspomina Józefa Franciszka Królikowskiego, ojca najznakomitszego naszego artysty dramatycznego Jana. Wiadomo że z dzieła pierwszego; *O prozodyi*, wziął zasady Mickiewicz do miarowego wiersza, owéj pieśni w Walenrodzie.

Z bijącem sercem każdy z nas młodzieży biegł na te posiedzenia publiczne, uważając je za prawdziwą ucztę godową, bo pewnym był że usłyszy nie jednę myśl nową, i wyniesie jakąś zdobycz dla swéj wiedzy.

Najpopularniejszemi postaciami dla nas, obok siwego prezesa, byli Brodziński i Skarbek, bo Skrodzkiego nie słyszałem aby co kiedy czytał, a Woronicza nie widziałem na tych zgromadzeniach.

Z jakiémże natężeniem nadstawialiśmy ucha, kiedy czytał jakie rozprawy jak o *Elegii* lub o *Satyrze*, albo wiersz słabym i zciszonym głosem Brodziński. Nie zapomnę do grobu wrażenia, gdy na posiedzeniu dnia 20 kwietnia 1826 r. czytał: *Wiersz pisany na Alpach*, a w serdecznych wyrazach określając miłość dla rodzinnéj ziemi, tę myśl nam wypowiedział:

„Niech tam mierzący rozum tych uczuć nie ceni,
Niech je prostym nałogiem, barbarzyństwem mieni;
Są rozkosze, rozumu cyrklem nie objęte,
A co przed nim dziecinne, to niemniéj jest święte.“

Grzmiący oklask był podzięką ukochanemu poecie.

Jak tylko w programacie był wzmiankowany Fr. hr. Skarbek, i na niego przychodziła koléj do czytania, radość serdeczna opromieniała oblicze młodego pokolenia, i uśmiech zadowolenia na nie wybiegał, bo każdy zgóry wiedział, że autor *Pana Starosty*, przemówi do uczucia naszego słowem gorącém, które jak rosa wiosenna kwiaty, tak piersi nasze orzeźwiało.

Na wzniesioném miejscu przeznaczoném dla członków Towarzystwa, w środku zasiadał prezes, w pobliżu sekretarz, po prawéj ręce zajmował zwykle miejsce Wincenty hr. Krasiński ojciec Zygmunta, w mundurze generalskim, a obok niego siedział Abraham Stern w staro-żydowskim stroju. Piękna jego twarz, z długą brodą i poważna cała postać malowniczo odbijała od barwistego munduru. W pobliżu za niemi wydatniał wysokiego wzrostu Skorochód Majewski

„Metrykant koronny," bo tak go zwano powszechnie, w kontuszu i żupanie przy słuckim pasie, przerabianym w złote i srebrne pasma. Znany badacz *Samskrytu*, oddawna członek tego Towarzystwa, bo w dniu 30 kwietnia 1816 r., czytał na publiczném posiedzeniu rozprawę swoją: *O Samskryckim języku.*

Zaraz przy panu Metrykancie koronnym miał swoje miejsce zacny i szlachetny Tomasz Święcki, autor opisu *Starożytnéj Polski* w ówczas mecenas „*Sądu najwyższéj Instancyi*," w długim surducie jak zwykle, bo po zrzuceniu kontusza i żupana, nigdy fraka nie używał. Obok niego zwracała uwagę z łagodnym uśmiechem skromna postać Józefa Lipińskiego, od wielu lat zacnego pracownika. (Był to stryj pani Katarzyny Lewockiéj, i Tymoteusza Lipińskiego). Wizerunek jego podał nam A. E. Odyniec w swoim noworoczniku p. n. *Melitele*, wydanym w Warszawie na rok 1829, w którym zamieścił i jego wierszyk.

Kilkudziesięciu członków resztę wzniesienia zajmowało.

Nigdy nie zdarzało się ażeby bito oklaski któremu z członków, dopiero w nowym gmachu przez Staszica wystawionym, Niemcewiczowi, Brodzińskiemu i Skarbkowi klaskano hucznie. Pamiętam że to oburzało sędziwych wiekiem, a Święcki do mnie powiedział:

— Przecież to nie teatr, tylko poważne naukowe zgromadzenie.

Trudno przecież było zapału młodzieży powstrzymać, która go innym sposobem ujawnić nie mogła.

Posiedzenia publiczne Towarzystwa Przyjaciół Nauk odbywały się przed południem i wcześnie kończyły.

Znalazło to grono uczonych mężów wśród walki romantyków z klassykami licznych wrogów w zastępie młodych pisarzy. Z nich najpotężniejszy Maurycy Mochnacki pierwszy w ówczesnéj *Gazecie Polskiéj*, wystąpił z krytyką na *Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk.* Głos to był śmiały i silny. Zebrani członkowie, oburzeni takim napadem, uradzili najrozumniejszy środek. nieodpowiadać na czynione zarzuty, gdyż część ich większa nacechowana była nieznajomością organizacyj i głównych warunków samego Towarzystwa, którego powagą zachwiał niemało Mickiewicz, rozjątrzony na Warszawę, i rzuciwszy jéj w oczy sławną swoję rozprawę: *O krytykach i recenzentach Warszawskich.* Była ona wynikiem nadsyłanych mu z tego grodu przez przyjaciół, różnych wiadomostek i plotek miejskich zbieranych troskliwie, które tego genialnego poetę do najwyższego gniewu i zapamiętałości doprowadziły. Nic w niéj nie uszanował, nikogo, z wyjątkiem Niemcewicza i Woronicza nie oszczędził. Był to grom straszny i najboleśniejszy dla Towarzystwa, które odpowiedziało szlachetnie Mickiewiczowi, w kilka lat późniéj nominacyą na swego członka. Owoż dosłowne brzmienie w oryginale takowéj, którą mam przed oczyma.

„*Towarzystwo Królewsko-Warszawskie Przyjaciół Nauk.* Obok spólnego innym Towarzystwom naukowym zamiaru przykładania się

ile jest w jego mocy, do postępu nauk i umiejętności, za szczególny usiłowania swego cel obrało pielęgnowanie i doskonalenie języka polskiego, a z nim razem zachowywać pamięć rzeczy ojczystych.

„Ceniąc zaś Twoją Adamie Mickiewiczu w nauce i umiejętnościach biegłość, szczególną języka i rzeczy ojczystych znajomość, Towarzystwo nasze królewskie w nadziei, że choć miejscem oddalony, prace jego wspierać i obszernych wiadomości Twoich udzielać mu zechcesz, po odbytém naradzeniu się, postanowiło wezwać cię do grona swojego, i niniejszém stosownie do ustaw swoich, na członka korrespondenta uprzejmie wzywa.

J. U. Niemcewicz.
Ł. Gołębiowski sekretarz Towarzystwa.

Nominacya powyższa jest najwymowniejszym dowodem przeciw owoczesnym sarkaniom młodych romantyków, że w łonie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wielki poeta ma przeważną liczbę niechętnych i z tego powodu do tego grona uczonych powołanym nie został.

Długo się Towarzystwo trzymało zdala od walki, która się żywo i gorąco toczyła w prassie peryodycznéj; rozogniały coraz bardziéj wielbicieli Mickiewicza, a gdzież ich nie miał? żarciki i dowcipy rzucane przeciwko niemu, na sutych i wystawnych obiadach u Wincentego hr.Krasińskiego, które skwapliwie roznoszono po mieście, a wywołały okrzyk zgrozy niebaczne słowa i listy Kajetana Koźmiana członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zaciętego starca, któremi uwłaczał charakterowi i zacności genialnego poety.

Zarzew tę rozdmuchał mniéj oględnie także członek tegoż Towarzystwa, a prawdziwa przykrasa obiadów hr. Krasińskiego, Franciszek Morawski, wydanemi w roku 1829 dwoma *Listami do klassyków i romantyków.* Nie szczędził w nich zarówno tak piérwszych jak drugich. Klassykom wyrzucał ostro ich ospałość, brak oryginalności i ślepe naśladownictwo, bez żadnéj myśli samodzielnéj, bo mówi:

„Czyliż to więc tak wielką zaletę stanowi,
Ukraść wiersz Horacemu, lub myśl Tacytowi;
I zyskać tę pochwałę dla swojéj obrony:
Oto człowiek na dobrych wzorach zaprawiony."

A jako czujący prawdziwą poezyę, widzi jasno, że nowy jéj okres świtać zaczyna, i z gorącym zapałem przemawia:

„Czemuż, czemuż nie mają jakieś śmielsze wieszcze,
Nowy nam poezyi *Eden* odkryć jeszcze;
A mędrsze tylowiecznych doświadczeń przestrogą,
Nieznalazłszy go dawną, nową szukać drogą?
Bracia! trzeba śmiałości! Szczęście śmiałym sprzyja,
Najpiękniejszym jest orzeł gdy się w niebo wzbija;

Jest jeszcze nowa sfera, nieznana, daleka,
Czeka swego zdobywcy i niepróżno czeka.
Ach! któżby mógł mieć duszę tak srogą, zaciętą,
Aby chciał nam wydzierać tę ufność tak świętą;
By śmiał gasić tę zorzę co nam zdala dnieje,
I tak piękne serc naszych zabijał nadzieje.
Ten Bóg wielki, wszechmocny, co myśl ludzką stworzył,
Nie tak to ciasny przed nią świat marzeń roztworzył;
By Homery, Marony, mimo wiecznéj chwały,
Już wszystko w nim i odkryć i wyczerpać miały!"

Ale obok tego, do licznego zastępu młodych romantyków, a głównie ślepych naśladowców Mickiewicza, z równą goryczą przemawia, nieszczędząc obraźliwych żarcików, chwytając ich z najsłabszéj strony i dotykając samego ich mistrza.

„Tam się w wdzięczną balladę cała *Smorgoń* wpycha,
Tu, jakiś gruby *Kaszub* po sielankach wzdycha;
Puszy się dziki *Pińczuk* w rzewnym triolecie
Hajdamak w epopei, a Turek w sonecie!"

Utwor ten miał na celu sprowadzenie zgody pomiędzy dwoma obozami, ale była to rzecz niemożliwa, bo klassycy uporczywie bronili starego gmachu, który się rozsypywał w ruinę, a romantycy w pragnieniu zapalném, aby go zburzyć do szczętu, ciągle zajadłe przypuszczali szturmy i na jego gruzach zwycięzki zatknęli sztandar!

Dwaj ci członkowie głównie wywołali niechęć i na całe Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Morawski „List do romantyków" zamknął tym pięknym czterowierszem, stosując myśl swą i do klassyków:

„Jedna matka was swemi uwieńcza laurami,
Żadnéj lutni bezbożność, ni podłość nie plami;
Jedne macie prawidło, bratnie kształcić plemię,
I jeden tylko rodzaj, polską śpiewać ziemię."

Sędziwy i powszechnie szanowany prezes J. U. Niemcewicz, na posiedzeniu publiczném, idąc za myślą Morawskiego, wystąpił ze słowem zgody i pojednania, przytaczając w końcu swéj przemowy ów czterowiersz, tak dobrze odpowiadający zacności jego charakteru. Ale daremne były jego słowa, i poraz piérwszy i ostatni zaprawdę wywołał szmer niechęci pomiędzy najliczniéj zgromadzonymi romantykami i zwolennikami Mickiewicza!

Szczupłe grono z początku członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk powiększało się zwolna, aż do otwarcia Uniwersytetu Warszawskiego, wtedy bowiem do razu zastęp kilkudziesięciu professorów pomnożył ich liczbę.

Leży przed nami właśnie drukowana „Lista imienna członków Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk w 1828 roku, którą sekretarz rozsyłał każdemu z tego grona. Według niéj

podamy tu w alfabetycznym porządku, wszystkich członków *czynnych* i *przybranych*, z *korrespondentów* zaś i *honorowych* wspomnimy o wybitniejszych postaciach.

Członkowie czynni.

Julian Niemcewicz prezes Towarzystwa, Adam Prażmowski prezes działu nauk, Ludwik Plater prezes działu umiejętności, Łukasz Gołębiowski sekretarz Towarzystwa, Aigner Piotr, (znakomity budowniczy, który wsławił imię swoje wzniesionemi gmachami w różnych stronach Polski, za czasów Stanisława Augustą. Z dzieł jego drukowanych najcelniejsze: „Rozprawa o *guście* w ogólności a w szczególności w architekturze." Warszawa 1812 roku. Jako członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk w jego Rocznikach ogłosił „Rozprawę o świątyniach u starożytnych i o słowiańskich, t. VII). Franciszek Armiński (dyrektor obserwatoryum astronomicznego w Warszawie); Jan Bandtkie (Wincenty: professor Uniwersytetu Warszawskiego), Feliks Bentkowski (prof. Uniw. Warsz.), Kazimierz Brodziński, ks. Jan Bystrzycki (pijar), Józef Celiński (prof. Uniw. Warsz. i aptekarz), Aleksander Chodkiewicz hr., Juliusz Colberg (serdeczny przyjaciel Brodzińskiego, autor „Atlasu Królestwa Polskiego" i tłumacz na język niemiecki poezyi śpiewaka Wiesława), ks. Edward Czarnecki, książe Adam Czartoryski, ksiądz Karol Diehl (znakomity mówca, senior (superintendent) generalny zborów ewangielicko-reformowanych w Księztwie Warszawskiém a później w Królestwie Polskiém. W r. 1811 był deputowanym na sejm, mąż uczony i zasłużony w pracach obywatelskich). Ignacy Fijałkowski (doktor medycyny, prof. Uniw. Warsz.), Kajetan Garbiński (matematyk prof. Uniw. Warsz., później dyrektor szkoły przygotowawczéj do instytutu politechnicznego), Antoni Gliszczyński (senator, wojewoda Królestwa, tłumacz *Ekonomii politycznéj* Schloezera i pisarz w zakresie nauk ekonomicznych; opiekun troskliwy szkółek elementarnych). Filip Kincel (Warszawianin, doktor medycyny i chirurgii. Pisał wiele w swoim zawodzie). Adam Kitajewski (professor Uniw.Warsz.), Józef Kossakowski (tłumacz poematuLegouve'go *Zalety Kobiet* i Delilla: *Cztery pory roku*). Ksawery Kossecki, Kajetan Koźmian, Wincenty Krasiński (generał); Jan Kruszyński, Dominik Krysiński, Jan Krzyżanowski, Kajetan Kwiatkowski; Joachim Lelewel, Samuel Bogumił Linde, Józef Lipiński, Feliks Łubieński (minister sprawiedliwości w czasach Księztwa Warszawskiego, mąż znakomity zarówno nauką, jak zasługami dla kraju). Antoni Magier, Walenty Majewski (Skorochód); Jan Mile (prof. Uniw. Warsz.). Ksiądz Aloizy Osiński, Ludwik Osiński, Marek Antoni Pawłowicz (prof. Uniw. W.); Benedykt Rakowiecki, Józef Sierakowski, Fryderyk Skarbek, Karol Skrodzki, Jan Śniadecki, Jędrzéj Śniadecki, Stanisław Sołtyk, Tomasz Święcki, Józef Kalasanty Szaniawski (naczelnik cenzury rządowéj); ksiądz Ksawery Szaniawski (prof. Uniw. Warsz.); Michał Szubert (założyciel i dyrektor

ogrodu Botanicznego w Warszawie); ks. Wojciech Szwejkowski (czcigodny rektor Uniw. Warsz.); Jan Tarnowski, Stanisław Węgrzecki (prezydent miasta Warszawy i autor kilku dzieł rozjaśniających okres Księztwa Warszawskiego), August Wolff (sławny lekarz i ogromną mający praktykę); Jan Woronicz (biskup krakowski a następnie prymas i arcybiskup); Michał Wyszkowski, Adam Zubelewicz. W ogóle członków *czynnych* było pięćdziesięciu siędmiu.

Nie możemy pominąć członków *przybranych*, którzy jednakże mieli czynny udział w pracach Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Oto ich lista z 1828 roku: ksiądz Edmund Andraszek (pijar, ukochany nasz professor, znakomity filolog i wydawca pieśni Kazimierza Sarbiewskiego); Jerzy Samuel Bandtkie (bibliotekarz Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie); Felicyan Biernacki, Franciszek Brandt, Antoni Brodowski (znakomity malarz, prof. Uniw. Warsz.); ksiądz Aloizy Charini, Józef Elsner (dyrektor opery teatru narodowego, kompozytor i pisarz), Aleksander Engelke, ksiądz Jakób Falkowski (założyciel Instytutu Głuchoniemych). Dr. Bogumił Jan Frejer, Karol Glotz, Jakób Hoffman, August Jacob, Feliks Jarocki, ksiądz Kajetan Kamiński (prowincyał Pijarów); Hipolit Kownacki (bibliotekarz w Willanowie, historyk); Adryan Krzyżanowski (prof. Uniw. Warsz.); Jakób Kubicki, Karol Kurpiński (dyrektor opery, kompozytor i pisarz); Antoni Lelowski (mąż uczony, redaktor pisma technicznego *Izys*). Wilhelm Malcz (lekarz znakomity i pisarz): Ludwik Metzel (słynny założyciel czarownego ogrodu *Zofiówki*, który uczcił Trembecki swoim poematem: uczony inżynier i dzielny oficer); Franciszek Morawski, Stanisław Plater (niepospolity badacz dziejów krajowych, autor *małéj Encyklopedyi polskiéi*, Leszno 1839—1847 w dwóch tomach, *Atlasu statystycznego Polski i krajów okolicznych* wydanego w Poznaniu w pięciu wielkich arkuszach. Żołnierz z czasów Napoleona I-go wydał geografią dawnéj Polski p. n.: *Geografia wschodniéj części Europy, czyli opis krajów, przez wielorakie ludy zamieszkałych.* Wrocław 1825 r. To dzieło dało mu wstęp do grona Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Pisał wiele i po francuzku, a wszystkie prace w tym języku wydane wzbogacały dzieje krajowe. Był on rodzonym bratem Ludwika, znakomitego leśnika i geografa, męża wielkich zdolności, który lasy rządowe wzorowo urządził i był prawą ręką księcia Lubeckiego w jego pomysłach administracyjnych, przeprowadzając je umiejętnie w życie. Zajmował posadę sekretarza stanu w Królestwie, w końcu mianowany senatorem, kasztelanem. Z dzieł które wydał, zasługują na wspomnienie: *Rzecz o gospodarstwie leśném* 1807 rok, *Opisanie historyczno-statystyczne Wielkiego Księztwa Poznańskiego* i wiele innych. Prezydował w dziale umiejętności Towarzystwa Przyjaciół Nauk). Marcin Roliński (doktor medycyny i prof. Uniw. Warsz.); ksiądz Franciszek Siarczyński, Ignacy Franciszek Stawiarski (uczony i biegły prawnik, autor i tłumacz kilkunastu dzieł w téj gałęzi nauk. Wiele przekładał głośniejszych

utworów literackich tak z francuzkiego jak z niemieckiego. Należał on w czasach Księztwa Warszawskiego i piérwszego okresu lat Królestwa, do najpierwszych mecenasów i ogromną miał praktykę; Jan Stefazyusz, Abracham Stern (był nietylko znakomitym mechanikiem, ale i pisarzem w polskim i hebrajskim języku. Pomiędzy innemi zajmujący dał nam przekład z hebrajskiego z dzieła Natana Moskowicza: *Opis buntów ukraińskich* ogłoszonego w Wenecyi 1653 r.); Kantorbery Tomasz Tymowski (poeta z talentem, żołnierz z armii Księztwa Warszawskiego, którego wiersz: *Dumanie w starożytnym zamku Maurów*, całe młode pokolenie umiało na pamięć); Franciszek Wężyk (jeden znajgłośniejszych pisarzy dramatycznych, z czasów Księztwa Warszawskiego). W ogóle *przybranych* członków liczyło Towarzystwo Przyjaciół Nauk trzydziestu jeden.

Członków *Korrespondentów* liczba siedemdziesięciu dwóch, pomiędzy którymi znajdujemy pierwsze wówczas znakomitości literackie, tak krajowe jak zagraniczne. Z pierwszych wymienimy tylko Aleksandra Bronikowskiego, który powieściami z dziejów polskich po niemiecku pisanych, pozyskał chlubne imię; Czajkowskiego Pawła professora Uniwersytetu Jagiellońskiego, Dzierzkowskiego Józefa słynnego adwokata ze Lwowa, Józefa Franka professora Uniwersytetu Wileńskiego, Józefa Gołuchowskiego professora tegoż Uniwersytetu, Antoniego Góreckiego żołnierza-poetę z prawdziwym talentem poetycznym, Stanisława Jundziłła, Józefa Franciszka Królikowskiego professora z Poznania, autora *Prozodyi Polskiéj*, Ludwika Kropińskiego, którego imię było rozgłośne z odegranéj jego tragedyi *Ludgarda*, Ignacego Przybylskiego z Krakowa, tłumacza znanego poetów starożytnych jak nowożytnych, Edwarda Raczyńskiego, Wacława Rzewuskiego, Józefa Sękowskiego oryentalistę, Jana Znosko i w. i.

Pomiędzy *zagranicznymi* korrespondentami znajdujemy imiona: Abrahamsona, Józefa Hammera, Wacława Hankę, Jerzego Kopitara, Józefa Mezzofantego, Albrechta Thaer'a, Księcia Piotra Wiazemskiego.

Do tego należy doliczyć dwudziestu pięciu członków *honorowych* tak z krajowców jak i obcych. W ogóle więc w roku 1828 Towarzystwo Przyjaciół Nauk liczyło 185 członków.

Fryderyk hr. Skarbek, w swojém pobieżném *wspomnieniu* o tém Towarzystwie, podaje nam taką jego statystykę:

„Od roku 1800 do 1830 miało Towarzystwo Przyjaciół Nauk w ogóle członków 371: z których umarło w tym przeciągu czasu, osób 145, w ostatnim roku liczyło członków *czynnych* 57, *przybranych* 35, *honorowych* 35, *korrespondentów* 85. W téj liczbie było cudzoziemców powołanych na członków honorowych 35, na korrespondentów 45 a mianowicie było między *honorowymi*, Francuzów 23, Niemców 8, Rossyan 3, Amerykanin jeden. Między korrespondentami: Niemców 12, Rossyan 10, Francuzów 5, Anglików 4, Wło-

chów 4, Duńczyków 2, Holendrów 2, Czechów 2, Węgier jeden i jeden Szwajcar."

VI.

Ocena prac Towarzystwa Przyjaciół Nauk.—Hugo Kołłątaj i jego zdanie. Prace historyczne.—Tytus hr. Działyński.—Przemowa J. U. Niemcewicza.—Prace o literaturze polskiéj.—Pochwały zmarłych.—Pochwała Cypryana Godebskiego.—Deputacya do ułożenia stałych zasad pisowni polskiéj.—Posąg Kopernika; jego odkrycie.—Działalność Towarzystwa. Zygmunt Sztebler księgarz Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk jako instytucya naukowa, używając najwyższéj powagi i szacunku w kraju, uważane było jako Akademia Umiejętności, od chwili, gdy w to dostojne grono, po ustanowieniu Uniwersytetu Warszawskiego, weszli jego professorowie, i wszystkie działy nauk wypełnione zostały.

Powoli, *Towarzystwo* oddalało się od pierwotnego celu jaki sobie założyło przy pierwszym zawiązku. Głównem zadaniem było chronienie od zagłady i pielęgnowanie języka ojczystego, a przytem uzupełnienie *Historyi Narodu Polskiego* Naruszewicza, który ją doprowadził tylko do czasów Kazimierza Wielkiego, z opuszczeniem pierwotnych wieków.

Głęboki myśliciel Hugo Kołłątaj w roku 1803, zaraz po przeczytaniu pierwszego tomu *Rocznika Towarzystwa Przyjaciół Nauk*, zdziwiony encyklopedycznością przedmiotów, napisał do Jana Śniadeckiego:

„Lękam się ja bardzo o *Towarzystwo Warszawskie*, należałoby żeby to gorliwe zgromadzenie przepisało sobie wyraźnie, przedmioty pracy, i żeby za ich granice nie przestępowało, iuaczéj zbiór jego *Roczników* wyjdzie kiedyś na tandetę, w któréj nie można nic nowego dostać, ale tylko rzeczy wyszarzane, lub ze starzyzny przerabiane." (Hugona Kołłątaja *korrespondencya*. Kraków 1844. Tom I str. 113).

Zarzut ten był zrobiony, gdy *Towarzystwo*, pod prezydenturą Albertraudego ulegało przeważnemu jego wpływowi, o czem już i F. Skarbek powyżéj wspominał; zarzut po części słuszny, ale głębiéj badając, znajdujemy łatwo niemało powodów, na obronę tego zgromadzenia miłośników nauki i przeszłości rodzinnéj.

Rzućmy okiem na owe czasy, na rozbicie zupełne społeczności naszéj, na małą liczbę czytelników polskich książek, na bezsilność prassy, a głównie na ówczesnych naszych uczonych.

Pierwsi członkowie wybrani z ich grona, byli rozsypani po dalekich stronach dawnéj Rzeczypospolitéj; nie mieliśmy w dzisiejszém znaczeniu *literatów*, którzy teu jedyny zawód za cel życia swojego mają: każdy z nich, w pierwéj pragnął kłaść zasługi na drodze obywatelskiéj, w służbie krajowi, a wolne chwile od tych zajęć poświęcał pracom naukowym.

Tadeusz Czacki oddając się z zapałem badaniom przeszłości, obok tego zakładał Lyceum Krzemienieckie, Ignacy i Stanisław Potoccy, Mostowski, Staszic, Franciszek Dmochowski, byli to mężowie stanu: praca literacka była dla każdego z nich zasługą obywatelską, po służbie publicznéj.

Brak skupienia, ciągłego skojarzenia sił pojedyńczych stał na głównéj przeszkodzie należnemu rozwojowi Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Po sześciu latach niespełna od jego zawiązania, wypadki ówczesne wytrąciły każdemu pióro z rąk, przy gwałtownem wstrząśnieniu do gruntu społeczności naszéj po wejściu armii francukiéj do Warszawy, i ogłoszeniu Księztwa Warszawskiego.

Nowa organizacya polityczna i społeczna tego kraiku, powołała wszystkich niemal członków Towarzystwa, do publicznéj służby. Nie było ani myśli, ani czasu do zajęć literackich: mozolniejsze prace spotykały każdego w kole obywatelskiém. Gdyby stały pokój, chociaż na lat kilka mógł potrwać w Księstwie, zebralibyśmy bogate niewątpliwie płody umysłowe z owego okresu; ale niemal co trzy lata burza wojenna uderzała na tę zubożoną krainę, niszcząc wszystko co troskliwie budowano zarówno na polu duchowém jak i pomyślności ekonomicznéj kraju.

Wszystkie myśli ogółu zwracały się w jędną stronę, za zwycięzkim sztandarem Napoleona I, gdy ten krwią oblany padł przy nurtach Berezyny w 1812 roku, osłupienie niemogło wpłynąć korzystnie ani na prace Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ani na rozwój literatury krajowéj.

Dwa lata następne wrzała jeszcze burza, a społeczność nasza, po strasznym gromie który ją rozbił, oczekiwała przyszłéj a nieznajoméj doli.

Słońce pokoju zaczęło oświecać Warszawę w roku 1814, gdy w jesieni ukazały się w jéj murach dostojne zwłoki księcia Józefa Poniatowskiego co poległ pod Lipskiem „*w walce Olbrzymów.*“ Smutny korowód otoczony resztkami towarzyszów broni przechodził ulice miasta do kościoła Ś-go Krzyża, gdzie złożone zostały, i w tymże roku, w kamienicy na Kanoniach, prezes Towarzystwa Staszic, zdawał publiczną sprawę o przedsięwziętych pracach, co do uzupełnienia *Dziejów Narodu polskiego* Naruszewicza. Wielu członków Towarzystwa przyjęło chętnie pojedyńcze panowania królów, ale nie wszyscy podołali zadaniu. Jedni zajęci sprawą publiczną, nie mieli wolnéj chwili do pracy mozolnéj, potrzebującéj skupienia ducha; drudzy, w troskliwości o pełność obrazu, zbierali zasoby, studyowali, ale nie zdołali skreślić nawet jego zarysu. Tak, Tytus hr. Działyński, jako członek Towarzystwa przyjąwszy na siebie panowanie Michała Korybuta, prawdziwy skarbiec wiadomości objaśniających ten okres tak w księgach jak rękopismach zgromadził, nieżałując zachodu i kosztów. Z młodzieńczym zapałem nieraz mi o tém szeroko rozpowiadał, ale

następnie, w innym kierunku rozpocząwszy pracę, już do dziejów króla Michała nie wrócił.

Wywiązali się zaś z przyjętego obowiązku członkowie: przed wszystkiemi na czele J. U. Niemcewicz „Dziejami panowania Zygmunta III“ w trzech tomach [1]).

Ksiądz Krajewski nadesłał rękopism panowania Jana Kazimierza, Kajetan Kwiatkowski panowanie Władysława IV [2]): Łukasz Gołębiowski Władysława Warneńczyka i Władysława Jagiełły. Ksiądz Czajkowski złożył w rękopiśmie obszerną rozprawę o początku Słowian i Polaków, w dwóch częściach. Samo zaś Towarzystwo przygotowało pierwszy tom *Historyi Naruszewicza*, obejmujący czasy przed-Mieczysławowe, podług dwóch rękopismów, jednego wynalezionego w bibliotece Puławskiéj, drugiego własności czł. Józefa Sierakowskiego i w roku 1824 w dwóch częściach wydało.

---

[1]) Dzieło to wyszło w Warszawie 1819 r. w 8-ce, w niesłychanie ozdobnéj jak na owe czasy edycyi, drukiem „Zawadzkiego i Węckiego uprzywilejowanych drukarzy i księgarzy dworu króla polskiego.“ Zdobią go portrety najznakomitszych postaci, występujących w tym okresie. Widzimy tu już siły artystyczne niemałe. Popiersia te są znakomicie rysowane przez Jana Piwarskiego, H. Paszkowskiego, Balińskiego, Blanka prof. Uniwersytetu Warszawskiego, i P. Czamańskiego. Młoda i piękna Zofia Chodkiewiczówna rysowała wizerunek Jana Karola Chodkiewicza, a sam J. U. Niemcewicz dał swego ołówka portret Jana Piotra Sapiehy starosty Uśniatskiego. Rytowali na stali w większéj połowie nasi artyści jak Kretlow w Warszawie i M. Podoliński w Wilnie. Wszystkie te wizerunki brane są ze starych familijnych obrazów. Zygmunt III w uroczystym stroju z koroną na głowie, z berłem i jabłkiem w ręku sztychowany podług obrazu Rubensa. Portrety te są podane w następnym porządku w tomie pierwszym: Król Zygmunt III, Piotr Skarga, Stanisław Karnkowski arcybiskup gnieźnieński. Medal na cześć Jana Zamojskiego. Paweł Działyński wojewoda pomorski. W tomie drugim: Jan i Jakób Potoccy wojewodowie bracławscy, Jerzy Mniszech wojewoda sandomirski, Car Dymitr, Maryna Mniszchówna jego żona, Jan Piotr Sapieha wódz naczelny wojsk polskich. Medale i kopiejki bite wówczas. W tomie trzecim: Wielki medal Zygmunta III r. 1611, Stanisław Żołkiewski hetman i kanclerz wielki koronny, Stanisław Koniecpolski kasztelan krakowski, hetman w. koronny. W końcu są dwie tablice litografowane z podobizną podpisów znakomitych tego czasu mężów.

[2]) Autor prace swoje sprzedał nakładcy znanemu w tym okresie Natanowi Glücksbergowi, który ją odbił w swéj drukarni w Warszawie 1823 roku. Wydanie to wszakże pod żadnym względem nie da się porównać z dziełem J. U. Niemcewicza. W panowaniu Władysława IV, ryciny są litografowane ale ani pod względem ołówka, ani odbicia, nie mają zalety artystycznéj. Litografia dopiero u nas rozwijać się zaczęła, wydawca użył jéj dlatego, że była daleko tańsza od stalorytów.

Kwiatkowskiego dzieło, jak pierwotnie z pod pióra autora wyszło, nie ukazało się z pod prassy; rękopisma innych członków w pogotowiu leżące, pozostały na czas dalszy w BiblioteceTowarzystwa [1]).

Gdy w tym kierunku cel w zupełności osiągniętym być nie mógł, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, pragnąc rozszerzyć niezbędne wiadomości co do literatury polskiéj, wezwało członków swoich do téj pracy.

---

[1]) Rękopism księdza Michała Krajewskiego, w osiemnaście lat późniéj wydał Michał Baliński w Warszawie 1846 roku pod napisem „Dzieje panowania Jana Kazimierza, od roku 1656 do jego abdykacyi w roku 1668.“ Dwa tomy. Łukasza Gołębiowskiego wyszły rękopisma obejmujące ponowanie Władysława Jagiełły, i Władysława III do 1506 roku, w Warszawie, we dwóch tomach 1846 roku: panowania zaś trzech Jagielończyków: Kazimierza, Jana Olbrachta i Aleksandra, ukazało się w jednym w r. 1848. Feliks Bentkowski, który zajmował się korektą dwóch pierwszych tomów w roku 1846 pisze we wstępie:

„Lubo w niektórych szczegółach co do pisowni polskiéj, różnego jestem zdania od prawideł przez deputacyą b. Kr. Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk podanych, i przez to Towarzystwo w roku 1829 sankcyonowanych; wolałem jednak, przy dozorze druku obecnego dzieła, trzymać się ściśle tych przepisów, jako podających ogół naszéj pisowni na rozumowanych zasadach oparty, niż popisywać się z cząstkowemi nowościami, jak to w wielu drukach dzisiaj widzieć można. Rozumujmy o pisowni, podawajmy projekta do jéj udoskonalenia, ale nie występujmy w druku z dziełami, podług osobistych zapatrywań, nową pisownią upstrzonemi, dopóki głos jakowego grona, ale głos równie poważny jak zdanie *deputacyi*, do pójścia za nim nas nie zobowiąże lub nie nakłoni, aby tym czasem nas nieposądzano, iż zawsze przywiązani jesteśmy do *Liberum veto*.“

Ł. Gołębiowski jako sam we wstępie z r. 1821 pisze, plan do obszernéj swéj pracy wziął z historyi angielskiéj Roberta Henry; postęp co do pisania dziejów widocznie odbija; oprócz użycia najświeższych źródeł, zacnéj pamięci ten pisarz, zwraca pilną uwagę na ustrój społeczny, oświatę i zwyczaj a obyczaj narodowy. W pomienionym wstępie przytacza wielce zajmujący list, jaki pisał słynny historyk rossyjski M. Karamzin do Tadeusza Czackiego dnia 4 sierpnia 1810; oto dosłowne jego brzmienie:

„Miło mi i chlubnie zostawać w porozumieniu się z mężem tak światłym, jak JW. Pan Dobr. My obadwa pracujemy nad jednym przedmiotem, dla sławy i pożytku naszéj wspólnéj ojczyzny, i obadwa kochamy prawdę i cnotę, wszędzie gdzie ją tylko znachodzimy. Stronność właściwa gminowi, piszącemu dzieje nieprzebaczona: w jego oczach wszystkie narody, są jedną familią rodu ludzkiego. Czyliż wśród grobów i rozwalin dopuści się być echem złorzeczenia rodzącego się z namiętności. Lachy i Rossyanie nawzajem się niecierpieli, lecz ich dziejopisowie mówiąc o upłynionych wiekach, nie powinni się omamiać przesądami współczesnych. A zatém z szczerością serca daję rękę JW. P.D. i w myśli ściskam jego prawicę.“

Oryginał tego listu znajdował się w bibliotece Puławskiéj pod nr. 1183.

Franciszek Wężyk, sławny autor tragedyi z dziejów polskich w czasach Księztwa Warszawskiego, wziął na siebie część dramatyczną, i tę w oddzielnych rozprawach opracowaną, drukował przy swoich tragedyach w Krakowie wydanych. Stanisław Potocki ogłosił: *O literaturze polskiéj w ogólności.* Oddzielnie *o wymowie, o guście i krytyce. O bajce* napisał rozprawę J. U. Niemcewicz, *o Sielance* Józef Lipiński, w ostatku *o Elegii i Satyrze* Kazimierz Brodziński.

Rok rocznie prawie Towarzystwo czcząc pamięć zasłużonych krajowi mężów, którzy spoczęli w grobie, poświęcało każdemu wspomnienie, które nosiło nazwę *pochwały.*

W nich jeżeli rzetelna charakterystyka zmarłego znikła i pozostały tylko ślady pracy umysłowéj, albo usług oddanych w kole obywatelskiém; był to duch czasu, i Towarzystwo Przyjaciół Nauk ulegać jego potędze musiało, idąc za wzorem literatury francuzkiéj, która zawsze u nas swoją przewagę zachowywała, a w niéj uczone grona, w tego rodzaju *pochwałach*, miały więcéj na celu wykazanie krasomówczego talentu piszącego je, niż rzeczywisty wizerunek jako człowieka, zgasłego męża, któremu poświęconą była.

Było zasadą przyjętą powszechnie, że niewolno źle mówić o zmarłym ani ukazywać jego nawet słabéj strony, czego już sam tytuł nie dozwalał; ale było także drugą zasadą, nic nie pisać o żyjącym ze szczegółów jego żywota, z wyjątkiem swobodnéj ale przyzwoitéj krytyki na wydane drukiem prace.

Pamiętam jakie oburzenie w młodém naszém gronie wywołał ksiądz Franciszek Siarczyński ostrą recenzyą na *Dzieje panowania Zygmunta III*, J. U. Niemcewicza, która nas doszła ze Lwowa. Dostojny ich autor lubo żywo był nią dotknięty, milczeniem tylko odpowiedział; my naszego gniewu zataić nie mogliśmy, bośmy czcią otaczali autora *Jana z Tęczyna.*

Sama forma pochwał, i w nich pomijania charakterystyki jak i drobnych wiadomości o domowém pożyciu, pozbawiła nas drogocennych szczegółów, dających wierny wizerunek zgasłych mężów. A bylibyśmy radzi bliżéj zaznajomić się z postacią każdego, słyszeć jego słowa, badać jego uczucia i myśli, które późniéj czytamy w każdego utworach, patrzeć na człowieka za rodzinnym progiem.

Franciszek Dmochowski tłumacz *Iliady*, serdeczny przyjaciel Krasickiego, co go znał tak blisko, w pochwale swéj usilnie się stara te drogocenne szczegóły które mu się nawijały pod pióro zacierać, ażeby nieuchybić przyjętéj formie *w pochwałach.* Tym sposobem jeden z najznakomitszych pisarzy okresu Stanisława Augusta, z potężnym wpływem na społeczność naszą, pozostał mało znanym jako człowiek. Dopiero w pół wieku późniéj Julian Bartoszewicz zebrał nie mało szczegółów, malujących lepiéj wydatną postać.

Nie wszystkie wszelako *pochwały* tak bezbarwne z łona Towarzystwa Przyjaciół Nauk były wyszły i takie wspomnienia które odpowiadają w zupełności wymogom dzisiejszym.

Posłuchajmy *pochwały* Cypryana Godebskiego, co poległ pod Raszynem w krwawéj bitwie z Austryakami w 1809 roku, którą wypowiedział jego przyjaciel J. K. Szaniawski. W téj pochwale znajdujemy tak pożądane szczegóły; one to ożywiają najwymowniéj ostatnie chwile umierającego poety żołnierza.

Towarzystwo czując potrzebę ustalenia pisowni polskiéj, wobec pojawiających się nowości przez pojedyńczych pisarzy zalecanych, oddawna, bo od roku 1814 zwracało po temu pilną uwagę. W roku dopiero 1827 zabrało się energicznie, ażeby rzecz oddawna obmyśloną w życie wprowadzić. W tym celu wysadziło z grona swego *Deputacyę* do zaprojektowania stałych zasad pisowni, złożoną z księdza Szwejkowskiego rektora Uniwersytetu Warszawskiego, oraz z profesorów tegoż uniwersytetu: Feliksa Bentkowskiego, Kazimierza Brodzińskiego i Ludwika Osińskiego, do którego grona weszli członkowie Towarzystwa Jan Kruszyński znany uczony, wierszopis i pułkownik Mroziński, autor zajmującego historycznego opisu: *Obrona Saragossy*, w Pamiętniku Warszawskim.

Prace te połączone, Towarzystwo Przyjaciół Nauk wydało swoim nakładem w jednym tomie obszernym p. n. *Rozprawy i wnioski o ortografii polskiéj*. (Warszawa 1830 r.).

Dzieło to stało się dla poważnych literatów kodeksem obowiązującym, co do pisowni, aż do obecnéj chwili.

W przedostatnim roku swego istnienia, *Towarzystwo* jakby pamiątkę po sobie, stawia przed domem swoim posąg *Kopernika*.

Myśl wzniesienia go była powziętą jeszcze za czasów Księztwa Warszawskiego; ale czasy ówczesne burzliwe, zubożenie obywateli, nie dozwoliły myśléć zebrania odpowiednich funduszów ze składek, a tém samém i zamówienia tego pomnika. Kiedy błogi pokój a tak pożądany, dał swobodne chwile odetchnienia, zaczęto się żywo krzątać około tego dzieła.

Z dawnych składek z departamentów Księztwa Warszawskiego, zebrano tylko 1600 złp., członkowie Towarzystwa wdowiego grosza złożyli 2000 złp., tymczasem posąg dłuta Thorwaldsena, kosztował złp. 36000. I znalazł się wspaniały dawca: był nim Stanisław Staszic; ten nietylko dla Towarzystwa gmach wspaniały swoim kosztem zbudował, ale dołożył na ten cel z własnéj szkatuły złp. 32400.—Był dzień dżdżysty i pochmurny, w którym miano odsłonić posąg wielkiego astronoma.

„Gdy Niemcewicz (pisze Fr. hr. Skarbek) po wzniosłéj przemowie dał znak odsłonięcia posągu i gdy zasłona z niego spadła, w téj saméj chwili, ponure dotąd niebo rozjaśniło się nagle, i silny jasny promień z pośród nagromadzonych obłoków, padł na posąg Kopernika, tak jakby niebo chciało razem z nami, obchodzić święto tego, który przed więkami jego szlaki mierzył, tak jak gdyby promiennem

światłem na jego postać rzuconém, chciało objawić, iż myślą i dziełem naszém na jego błogosławieństwo, zasłużyliśmi“ [1]).

Lesław Łukaszewicz w *Rysie piśmiennictwa polskiego*, jednę epokę literatury oznacza zawiązaniem się Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie. Myśl ta ma swoje usprawiedliwienie, kiedy spojrzymy na chwilę w któréj powstało.

Rok 1800 należał do tych lat smutnych i bolesnych, w których przejmował przestrach każdego miłośnika tak języka własnego, jak drogich wspomnień przeszłości i zabytków, którym groziła zagłada. Towarzystwo Przyjaciół Nauk stało się ogniskiem do skupienia pojedyńczo rozrzuconych sił duchowych w dalekich stronach. Umiało ono dobrze do nowych prac zagrzewać, dawne, zaszczytném uznaniem podnosić, i zachęcać do wykonania już rozpoczętych studyów. Pozyskanie tytułu członka Towarzystwa, było w owe czasy, największą dla każdego chlubą. Lubo Hugo Kołłątaj, jak to przywiedliśmy wyżéj obawiał się o *Roczniki* Towarzystwa, zbiór ich przecież całkowity nie sprawdza przepowiedni słów wielkiego myśliciela, bo z uszanowaniem przeglądamy ten szacowny zbiór, wymownie świadczący, o zacnych jego usiłowaniach i pracach.

W sądzie o działaniach tego zgromadzenia, nie możemy iść za gorącém, nieraz potępiającém go zdaniem przez wielu z późniejszych pisarzy, którzy niezwracając uwagi na czasy w jakich żyło i działało, wyrok swój wydawało. Każdy sąd o niém bez tego poglądu, będzie niesprawiedliwy.

Bo zaprawdę, jeżeli bliżéj zbadamy okres w którym istniało, cel główny, obywatelski więcéj jak literacki, który sobie założyło, musimy z ręką na sercu wyznać, że dla języką ojczystego, dla literatury krajowéj położyło niezapomniane zasługi, godne wdzięcznéj pamięci.

Gmach zewnątrz w niczem nie zmieniony pozostał do dni naszych w pierwotnym kształcie. Na pierwszém piętrze, oprócz sali na publiczne posiedzenia mieściły się zbiory Towarzystwa, biblioteka i zabytki starożytności; na dole od strony ulicy Nowego Światu, mie-

---

[1]) „Wspomnienie o Warszawskiém Towarzystwie Przyjaciół Nauk, przez Fr. hr. Skarbka członka C. K. Tow. Nauk. Krakowskiego. Kraków 1860 r.“ w 8-oe str. 31. Jestto lekka tylko i pobieżna wiadomość o tém Zgromadzeniu. Kiedy mi ją czytał Fr. hr. Skarbek, zwróciłem jego uwagę na zbyt szczupłe ramy téj pracy, i że my właśnie pragniemy od niego szczegółowego o *Towarzystwie P. N.* sprawozdania, odrzekł mi na to:

„Nakreśliłem naprędce moje *wspomnienie*, resztę znajdziecie w *Rocznikach* samego Towarzystwa. Nie mam teraz czasu, pracuję, jak pan wiesz, a pracuję ciągle nad mojemi *pamiętnikami*.“

Rzeczywiście tak było, i szacowna ta praca pozostała w rękopiśmie.

ściła się w nim księgarnia Zygmunta Szteblera. Zmarł on licząc już dziewiąty krzyżyk wieku, bo lat 85, dnia 24 sierpnia 1875 roku.

Był to niewątpliwie najstarszy z księgarzy Warszawskich. Z początku na ulicy Święto-Jańskiéj w księgarni wuja swego Szczepańskiego, którego zapamiętam w kontuszu i żupanie, rozpoczął swój zawód; po 22 latach pracy miał sposobność dokładnie obznajomić się z księgarstwem polskiém. Kilku członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk, znając zacność i prawość charakteru Szteblera namówiło go do założenia księgarni, którą też w gmachu nowo zbudowanym otworzył. Pomagał mu Staszic, a po nim Niemcewicz. Była to jedna z pierwszych w Warszawie księgarni, po Zawadzkiego i Węckiego, dopóki Natan Glücksberg nie otworzył swojéj wraz z zakładem typograficznym.

Sztebler całe grono uczonych znał dokładnie i nie mało o każdym mógł podać szczegółów. Niskiego wzrostu, powolny w ruchach, odznaczał się szczególniéj białą płcią i pełném żywego rumieńca obliczem, na którém malowała się dobroć i często wdzięczny uśmiech. Skromny i potulny, w sędziwych latach doznając coraz większéj chudoby, w zapomnieniu skończył swój pracowity żywot.

Na nim też i my zamykamy nasze wspomnienia o Towarzystwie Warszawskiém Przyjaciół Nauk, oby mogło być dowodem wdzięcznéj, serdecznéj pamięci, dla tego zacnego grona, które zawsze kierowało myśl i prace swoje w duchu obywatelskim, na pożytek własnego kraju.

POSTĘPY WIEDZY
O SŁOWIAŃSZCZYŹNIE
W ROSSYI W LATACH 1860—1872.

WEDLE SPRAWOZDANIA

Prof. Kotlarewskiego.

(„Uspěchy slavistyki na Rusi v poslední době").

Starożytności słowiańskie, jako gałąź wiedzy wyłącznie poświęcona poznaniu, krytycznemu zgłębieniu i systematycznemu w ład ujęciu wiadomości o ludach i narodach słowiańskich, nie tak dawno po-

wstały. Z jednéj strony Szafarzyk swojemi *Starożytnościami Słowiańskiemi*, których metodę i zasadę wziął od naszego Surowieckiego, a ten może skorzystał z Potockiego, zakreślił jednolite granice dziejów, jakie pod tę techniczną nazwę Starożytności Słowiańskich wchodzić mają. Z drugiéj strony znowu, W. A. Maciejowski swą *Historyą Prawodawstw Słowiańskich* wytknął kierunki badaniom prawnym na polu ogólno słowiańskiém.

Bez uwzględnienia prac Potockiego, Surowieckiego i Szafarzyka, lubo tylko dotykających prawdziwie Starożytnych Słowian (mniéj więcéj po wiek X po Chr.), już pracować nie można nad dziejami Słowian z korzyścią dla postępu nauki o nich. „Las" téż W. A. Maciejowskiego pracy, czeka jeszcze bardziéj jak „las" Czackiego, umiejętnego krudunku i spożytkowania. Prof. Kotlarewski przyznał mu pierwszeństwo w badaniu słowiańskich prawodawstw. R. Hube zwraca uwagę, że praca jego brata Józefa (Wywód praw spadkowych z r. 1830) była pierwszą na tle ogólnie słowiańskiéj historyi. Tak jednak szeroko się rozłożyć, już chyba nikt po panu Maciejowskim nie potrafi; tak sięgnąć daleko w tym kierunku prawnym żadne Starożytności Słowiańskie na przyszłość nie zdołają, choć mogą i muszą być krytyczniejsze. Słowem, Jan Potocki, Surowiecki i Szafarzyk z jednéj strony, a W. A. Maciejowski z drugiéj strony są ojcami Starożytności Słowiańskich pod względem metody, skreślenia dziejów i prawa, w sposób porównawczy.

Etnografia, daléj mytologia, badania nad językiem, zabytkami piśmiennemi i literaturą (ich duchem), dzieje kościoła czyli społeczności religijnéj u Słowian z historyą i prawem wyczerpują zakres Starożytności Słowiańskich. Archeologia specyalnie słowiańska umiejętnie jeszcze nie istnieje; gromadzić dopiero zaczyna materyał w zbiorach prywatnych i publicznych; w naukę jeszcze nie przeszła.

W Rossyi, prócz Czech, może najwięcéj na polu slawistyki ruchu się objawia. Przypatrzeć się takowemu, choćby w najwybitniejszych jego okazach, nie będzie może od rzeczy, zwłaszcza że wiedza o tém co inni zrobili, czego się dobili na pewne, nawet i w czém zbłądzili: konieczną jest dla postępu samodzielnéj pracy, jeśli ta czasu i sił daremnie marnować niema [1]).

Zaczynając od historyi, wymienimy tu najprzód pracę nieboszczyka Hilferdynga p. t. „Starożytny peryod dziejów Słowiańskich" (por. Wiestnik Jewropy 1868). Wspominamy o niéj na początku wbrew chronologii, a to z następnéj przyczyny. Studyum to stwier-

---

[1]) Za pomoc bierzemy tu sprawozdanie Kotlarewskiego o tym ruchu w Rossyi uczynione a pomieszczone w Czasopiśmie Muzeum Królewskiego Czeskiego (z r. 1874).

dza naszą uwagę, wyżéj o znaczeniu trudów Szafarzykowych wypowiedzianą. Hilferdyng bowiem staje na osiągniętém przez te trudy stanowisku, w trop Ossolińskiego, Surowieckiego i najdawniejszego jeszcze Grzegorza z Sanoka, humanisty, głosząc, że Wenedzi starożytnych źródeł są tym samym ludem co obecni Słowianie, którzy Wanalajset przez Finnów, Wenden przez Niemców teraz jeszcze są zwani, g'woli dąwnéj tych imion Wend, Słowianin tożsamości.

Jeszcze szkoła przeciwna, wierząca w Gatterera baśń o Getodacyzmie Słowian, trzyma się paradoksu, który w naszéj historyografii odpowiada teoryom krzewiącym się w dziejach badania starorzymskich czasów, o różnoszczepowym początku Rzymu. Jeszcze istnieją i teraz etnograficzne wykłady społecznego rozwoju Słowian. Atoli takich prac już coraz mniéj bywa, a gdy z pominięciem metody Szafarzyka wystąpi taki Drynow w swéj rozprawie o „Zamieszkaniu Słowian na półwyspie bałkańskim" (Moskwa 1873), krytyka przez usta professora Kotlarewskiego już mu to poczyta za naukowy występek.

Praca dopiero co wymieniona Hilferdynga, będąca początkiem większego dzieła, którém się trudnił autor w ostatnich chwilach swego żywota, najprzód, za wzorem Szafarzyka, roztrząsa stosunek Słowian czyli Wendów do innych plemion aryjskich, rozbiera ich przymioty i cechy etnograficzne, a wreszcie rozwija dzieje starożytnych Słowian. Jestto pierwsza próba objaśnienia dziejów słowiańskich z pomocą studyów językowo porównawczych. Godna wszelako uwagi, że w téj próbie, rozbiór źródeł starożytnych jest najlepszy, a strona filologiczna, to jest wywody etymologiczne są najsłabsze; powiedzmy mimochodem że najzawodniejsze, jeśli ich historya, literatura lub archeologia nie popierają. Całkowite dzieło w tym przedmiocie znalazło się w papierach zmarłego badacza, jak donosi pr. Kotlarewski, i ma wyjść jeżeli nie wyszło, w zbiorze prac jego [1]).

Dawniejszą pracą tegoż Hilferdynga, a sięgającą w początek objętéj pracą pr. Kotlarewskiego chwili czasu, bo pochodzącą z r. 1862 jest studyum „Ostatki Słowian nadbaltyckich" (Ostatki Słowian na južnom bieregu bałtyjskaho moria. Etnograficzeskij Sbornik, Petersburg część V). Treścią spotyka się z dziełkiem professora Pawińskiego (Połabskie Słowianie Petersb. 1871) napisaném o tych samych ludach w języku rossyjskim. Już o niéj czynił niegdyś wzmiankę Przegląd Europejski wychodzący pod redakcyą J. I. Kraszewskiego w 1862 r. Nie rozszerzalibyśmy się więc nad treścią tego pisma Hilferdynga, gdyby nie dwie okoliczności, z których jedna ile pomnimy naówczas uwzględnioną nie była, druga być nie mogła.

Pierwszą w imię prawdy dziejowéj wypada nam podnieść choć teraz. Druga staje na porządku dziennym w skutek pracy młodego badacza Tadeusza Wojciechowskiego, który na drodze studyów

[1]) Sobranie soczynienij. Petersb. 1868, dwa tomy już wyszły.

filologicznych nad nazwami wsi słowiańskich chce dojść do odbudowy dziejów jeszcze w tym zakresie, dokąd już zwykłe źródła historyczne nie sięgają.

Pierwszą okolicznością, która jeszcze teraz czyni pracę Hilferdynga o Słowianach nadelbiańskich godną wzmianki obszerniejszéj, jest następne zdanie w niéj pomieszczone. Autor twierdzi że Polacy mogliby byli włączyć kaszubskie pomorze tak długo niém władnąc. „Tego nie zrobili (mówi daléj Hilferdyng) w skutek swojego stałego lekceważenia gminu.“

Dziwnie ta uwaga brzmi w ustach autora, któremu nie mogło być tajemnicą, że z jednéj strony, po utracie swéj dynastyi, i mimo Unii z Koroną, Mazowsze zachowało swe *excepta* prawne; że powtóre mimo włączenia 1466, Prusy do ostatnich czasów łączności swéj z b. Rpltą, rządziły się odrębnie, wszędzie akcentując swą autonomią; że po trzecie Ruś Czerwona spadkiem po Jerzym Bolesławie przyjęta, miała kanclerza (1356) osobnego, na równi z innemi księztwami, na dworze Kazimierza Wielkiego; że po czwarte W. Ks. litewskie i t. d. w taki sposób były połączone z Koroną, że na określenie tego stosunku Bartoszewicz słusznie użył wyrazu federalizm, więc wewnętrzna autonomia części, obok wspólnéj za zewnątrz działalności i t. d. Znając te szczegóły, i wiedząc, że nietylko Słowianie kaszubscy nie zwoli b. Rzeczypospolitéj byli tępieni przez Krzyżaków, zniemczani, ale że znów od XV wieku do języka swego wrócili wraz z odzyskaniém Prus zachodnich przez b. Rzeczpospolitą, Hilferdyng winien był podobnéj uwagi nie robić. Szlachta zawinić mogła dużo, swą wyłącznością, która bądź co bądź płynęła organicznie i koniecznie z kierunku społecznego rozwoju kraju. Ale już aby zniemczenie kaszubów nie jest jéj winą jako dumnych *karmazynów*.

Powtóre, godna uwagi jest praca Hilferdynga o Słowianach dlatego, że w niéj znajdziemy inne objaśnienie szczegółu, który najnowszéj pracy polskiéj nad starożytnościami słowiańskiemi (Tad. Wojciechowski „Chrobacya“ 1873 Kraków) posłużył za punkt wyjścia do odmiennéj teoryi. Hilferdyng wskazuje, że u Słowińców, w części u Kabatków, i Kaszubów [1]) chłopi biorą nazwy od swych posiadłości i kończą je na *ie*, *ojo*, *ejo* (êc), gdy nadto wiele jest form topograficznych nazwisk, zakończonych na *ah*, *owi*, (7 przyp. bez przyimka). Z tém spostrzeżeniem należy zestawić uwagi prof. A. Pawińskiego, w wspomnianéj rozprawie (Połabskie Słowianie 1871, Petersburg) poczynione, co do słowiańskiego kształtu wsi kaszubskich. Okolista wsi budowa, już przez Meitzena, wydawcę IV tomu Script. Rer. Silesiacar., została za słowiańską uznaną, na Szlązku, jako antyteza do niemieckiéj formy, znanéj u nas pod nazwą kolonii (linia długa, obecnie przy uwłaszczeniu bardzo częsta). Szczegół filologiczny (nazwisko) i topograficzny

[1]) Nazwy części kaszubskiéj etnograficznéj całostki wzięte od stroju.

(kształt wsi) dziwnie przemawiają za pewną gromadną solidarnością mieszkańców wsi, obu cechami się odznaczających. Np. w Garden: Beterów chłopska rodzina zowie się Kretojc, Krežejc, Koczeic, Koleczkojc, stosownie do tak zwanych swych osad; czy te nazwy wsi na *ic*, *ojc*, *ejc*, nie są identyczne z polską formacyą etymologiczną na *ice* (Maciejowice, Daleszowice, Mystkowice i t. d.); nie będę decydująco twierdził, ile że to należy do filologa. Warto jednak z jednéj strony zwrócić uwagę na ten szczegół ludowy wyrażenia imieniem gromadności, a z drugiéj, uwzględnić taki sam zwyczaj szlachty podlaskiéj. Np. w dawnéj ziemi Bielskiéj (por. pod t. t. artykuł Glogera Bibl. Warsz. 1873) znajdujemy osady szlacheckie, które między innemi do nazwy osady macierzy, dodają sobie właściwe imię swego założyciela, zakończone na *ęta*. Np. osada Sikory z 1421 r., przez proces takiego pączkowania, wydała 6 osad z przydomkami takiemi jak Piotrowięta, Pawłowięta, Bartłowięta, (Bartyczki), Janowięta, Tomkowięta, Wojciechowięta. Za wspólną osnowę, tych podobnych nazw wsi rodu szlacheckiego na Podlasiu i chłopskiego na Kaszubach zdaje się służyć wspólność pochodzenia, łączność mieszkania. Forma szlachecka *ęta* nazwy wsi pochodnych, wygląda na waryant *ojc*, lub *ice* znanéj nad Wisłą, Wartą, Odrą. W obec tych faktów z genezy znanych, które powinny służyć do wyjaśnienia takich nie znanych jak np. „Raciborowice dał i darował kościołowi krakowskiemu wieczną darowizną szlachcic Raciborz dziedzic Raciborowic," podobno niesłusznie Wojciechowski (d. cyt. str. 253) oświadcza, że „forma patronymiczna przysłużała wyłącznie urodzeniu chłopskiemu i że nie była właściwą stanowi szlacheckiemu," oczywiście od niepamiętnych czasów, bo do epoki przedhistoryczněj odnosi różnicę stanów, która orzeka różnicę nazw topograficznych.

W r. 1871 wyszła praca pr. Makuszewa „O Słowianach w Albanii w średnich wiekach (1871. Warszawa)." Przedmiot to niezmiernie ciekawy, zważywszy teorye niektórych uczonych, którzy widząc przewagę Słowian w owéj epoce na półwyspie bałkańskim, (jak Fallmerajer, Borkowski, Leake) Hilferdyng dochodzi do twierdzenia że język nowo grecki wykwitł z słowiańskiego. Podobno Fallmerajer dowodził o Albańcach zwanych też arnautami przez obcych, a szkipetarami to jest góralami przez siebie, że są słowiańskiego pochodzenia. Makuszew swą pracę rozstrzygnięciu stanowczemu téj kwestyi poświęcił. Zgadza się z Hahnem, że Albanie są spółrzędni etnograficznie Grekom i Rzymianom, a ich odwieczną sadybą jest zakąt górski zawarty między jeziorem Skadrem, Adryjatykiem, górą Pindem i zatoką Arty. Opierając się na dokumentach, dopiero z XIII wiekiem się poczynających, i w ogóle nie z osobistych na miejscu lecz z bibliotecznych książkowych śledzeń, autor daléj cytuje świadectwo Konstantyna Porfirogenety o przyjściu Serbów w te strony, około 640 r. po Chr., bez bliższego skrytykowania tego mytu nie podania historycznego. Potém z Hahnem mówi o zaludnieniu późniejszém

tych okolic przez Bulgarów, oczywiście nie Słowian (str. 3), których jednak poniżéj uważa za Słowian (str. 11). Zaznacza, że rzeka Szkumb rozdziela Albanią na dwa odłamy północnych i katolickich mieszkańców, zwanych *gegi*, oraz południowych, prawosławnych zwanych *toski*. Dwie te połowy różnią się wielce narzeczem, i nigdy całości politycznéj nie tworzyły. Znaczenia tych nazw i różnic narzeczy autor nie podaje. A przy skreśleniu dziejów Albanii, najszerszém za Skanderberga, jeszcze po trzykroć zwięźle bardzo (str. 16 do 18, 45) zdaje się łączyć Bulgarów ze Słowianami, oraz ich rozróżniać tak między sobą, granicą u miasta Lesz i góry Mirdytów, jak od Albanów (por. 151).

Z ustępu o urządzeniach wewnętrznych „gmin albańskich (rozdział 5-ty str. 116—147), który z rozdziałem 6-ym (str. 148—153) „o śladach Słowian“ właściwy temat pracy prof. Makuszewa a zaledwie $^1/_3$ całości dziełka stanowi, przytaczamy następne ciekawe szczegóły dla Słowiańszczyzny zakarpackiéj: Najprzód zwraca uwagę składanie dziesięciny pszenicy (decima milei, diezina del mio) dwunastu dukatów i tyluż miar (modios) prosa, cztery grosze (grossi) *lobrocho* z każdego domu (str. 126 i nast.).

W innych dokumentach czytamy o składaniu modium et ducatum, siocum et brochum. Professor Makuszew słusznie lobrocho i brochum łaczy z sobą i wykrywa w nich opłatę „4 groszy.“ Zachodzi pytanie, czy pobór tego „obroku“ ma związek z polskiemi naroncicones castrorum, (wedle Tejnera Tom I 22) [1]).

Modium odnosi się zapewne do miar pszenicy i prosa, wyżéj podanych. *Sok* (siocho. sioc), i okolica zwana sokowina (et terren clamado Sochiovina) jest zagadką. Mieli też sok płacić tylko ludzie pozbawieni ziemi i domów, (ibis str. 127). Ducatum, jest zapewne polski census ducalis.

Te daniny składali „prawem i obyczajem Albańskiéj ziemi“ naczelnicy gmin za swe w nich osadzenie (także obyczajami stwierdzone) przez rząd wenecki, np. do skarbu tegoż rządu. Był to warunek ogólny [2]). Rzekłbyś przelew ciężarów dla rządu z gminy uiszczanych na zamożnych gmin, jéj naczelników rodowych, ale w formie bardzo szczupłéj, gdy gmina jak i dawniéj składała posługi i daniny już nie egzekutorowi podatków rządowych, ale rzec można dzierżawcy tychże podatków.

---

[1]) Ciekawą i uczoną rozprawę w tym przedmiocie naroków, napisał F. Zieliński w Bibliotece Warszawskiéj 1871 t. II, str. 214—219. Smolka w Henryku Brodatym, podał ten szczegół z Tejnera z znakiem ?.

[2]) (Ea conditione qua erat predecessor suus, respondendo et dando pro villa sioch et broch et ducatum camerae nostre, sicut respondent et solvent alia capita et proniarii villarum, et sicut per statuta et consuetudines provinciae Albaniae fieri debet). 1212 r. w Polsce tym samym trybem może Pakosław dostał korczyńską kasztelanią w tenutę t. j. w dzierżawę (Rzyszcz. C. D. I).

Ten sam autor wydał także w Warszawie ustępy ze swych prelekcyi uniwersyteckich z lat 1871—1872 o Słowiańszczyznie. Oparte szczególniéj na źródłach bizantyńskich, francuzkich oraz włoskich, przynoszą ciekawe szczegóły o stosunkach carów bulgarskich z ówczesną Grecyą i krzyżowcami i nieznane jeszcze wiadomości z rękopisów o upadku Carogrodu.

W ustępie który opisuje stosunki bulgarskie w XV i XVI wieku a wydrukowany został w dzienniku Minister. oświec. (część 163, oddział 2) znajdujemy np. wyjątki z niedrukowanego rękopismu *Essortatione efficacissima alli Principi Christiani contra gli Infideli*, w których nieznany (z XVI w.) autor charakteryzuje różne narodowości, i z tych charakterystyk bierze dowody swego twierdzenia, czemu chrześcijanie nie mogą zwyciężyć Turków, o tyle zaletami swemi ich przewyższając (ibid. str. 308).

„Kto odważniejszy (audace) od Węgra (mówi on), groźniejszy (terribile) od Niemca, bitniejszy (valoroso) od Francuza, wytrwalszy (saldo) od Hiszpana, mędrszy od Włocha, i zuchowatszy (gagliardo) od Polaka?... Dobre mamy prawa, ale złe obyczaje; dobre oręże ale złe duchy: chlubimy się z bójek między sobą dzielnie toczonych, ale niestawić czoła wrogowi zuchowato—za wstyd nie poczytujemy, i kary za to nie ściągamy na się. Turek w obozie zapomina o swych narowach, a chrześcijanin je z sobą zabiera; w obozie Turek niema zbytku, tylko broń i co do życia koniecznie potrzeba, a w wojsku chrześcijańskiém łakomstwo, cały przybór rozkosznictwa, i większa liczba kobiet upadłych jak mężczyzn. Węgier morduje, Hiszpan rabuje, Niemiec się upija, Włoch miłostkom się oddaje (lussuria), Francuz śpiewa i gawędzi, Anglik objada się (ingola), a Szkot pożera (devora), Polak burdy robi (oscita), Czech szaleje (stertezza): tak że cudem chyba znajdziesz żołnierza, któryby nim był nietylko z stroju.“

Professor Makuszew (str. 314) podaje też z rękopisów z medyolańskiéj biblioteki wiadomość o stanie Turcyi, którą w rodzaju raportu złożył ówczesnemu księciu Siedmiogrodu Stefanowi Batoremu 20 stycznia 1595 roku Paweł Dziurdziewicz szlachcic dubrownicki (raguzański). Między szczegółami topograficznemi i statystycznemi, spotykamy następną uwagę dla Batorego, który stał wtedy w Multanach i miał wtargnąć do Turcyi na czele 13000 kozaków, 3000 Węgrów multańskich (gente del paeze), 5000 piechoty, a jazdy 14000, w Wołoszech zaś miał 10000 Węgrów. „Donoszę o tém (o charakterze Bulgarów) dla tego W. Ks. M., abyś nietylko podbił Bulgarów, ale potrafił sobie zjednać ich serca.“ Mógł zaś tém snadniéj Paweł Dziurdziewicz opisywać charakter Bulgarów, że jak sam wyznaje, bardzo ścisłe i ciągłe związki familijne łączą Dubrowian i Bulgarów. Kończy swój referat uwagą, że może Batory liczyć też na Albańczyków czyli mieszkających w Bulgaryi, zdolnych 7000 wojska wystawić a sam ofiaruje się podburzyć w jego interesie Warnę, Prowato, Szumlę, a Sorkowie (Sorghi) uorganizują powstanie w Ruszczuku i Ternowie. Powo-

dzenie tém jest oczywistsze, że w ciągu lat 15 (1575—1590) stan rzeczy w Bulgaryi się zmienił zupełnie. „Turcy mają w własnym domu wroga, zrodzonego złém postępowaniem z témi samemi nieszczęśliwemi, za sprawą których pozyskali obecne swe posiadłości w Europie. Prócz tego Turcy stracili dawne swe męstwo, zniedołężnieli, popadli w nieład, i w ogóle wszyscy oni, a zwłaszcza spahy i janczary, są chciwi zysków.“ Professor Makuszew dodaje wiadomości z 1585 r. przysłane przez sekretarza kardynała Bologneti z Polski, odnośnie do udziału w wyprawie na Turcyę kozaków polskich, którzy są w porozumieniu z moskiewskimi (con cosacchi Moscoviti) walczącymi nad Donem z Tatarami nogajskimi, oraz mają stosunki z Czerkiesami „najdzielniejszym na północy ludem.“

Funduszu miały (16,640,000 złotych skudów) dostarczyć klasztory, wysyłające też z wojskiem duchownych oraz misyonarzy. Atak któryby pobudził Wołochów, Mołdawian, Bulgaryą, Serbią i Rascyą, miał nastąpić od Dunaju i od Albanii oraz Grecyi. W wyprawie mieli wziąść udział Słowianie gęsto osiedli w całych Włoszech, a zwłaszcza w królestwie Neapolu i marchii Ankońskiéj...

Równie ciekawe szczegóły historyczne przynoszą dwie inne rozprawy tego samego prof. Makuszewa. Jedna specyalnie dotyka Dubrownika (Izsledowania ob istoriczeskich pamiatnikach i bytospisowatielach Dubrownika. Petersburg 1867); kreśli jego dzieje, wewnętrzny ustrój, stosunki do sąsiadów, a głównie gromadzi materyały historyczne do skreślenia takowych i kończy rozbiorem prac dotychczasowych o Raguzie. Dzieło drugie (Italiańskie archiwy i chraniaszczyjasia w nich materiały dlia słowiańskoi istorii. Petersburg 1870—1871) zawiera liczne wypisy z rękopisów, które znalazł autor we Florencyi, Neapolu, Palermie, Bari, Ankonie, i uznał za pożyteczne do dziejów słowiańskich. Nareszcie wypada nam wspomnieć i o krytycznym rozbiorze źródeł do najdawniejszych dziejów Słowian, przez tegoż autora dokonanym, p. t.: „Skazania inostrancew o bytie i nrawach Słowian z VI po X wiek” (Petersburg 1861). W piérwszéj części pracy Makuszew rozbiera wiarogodność źródeł, w drugiéj snuje z ich wątku opowieść ciągłą. Bądźcobądź, w jedném miejscu jest tu zestawionych dużo, nie każdemu przystępnych, wiadomości źródłowych.

Za rodzaj takiego samego zbioru wyjątków z kronik, w peryodzie czasu od IX do XIV wieku, zebranych jednakże w porządku alfabetycznym i z głównem uwzględnieniem miejscowości geograficznych, które kroniki lub też akta dyplomatyczne wspomniały, może uchodzić praca N. Barsowa p. t. „Materiały dlia istoriko-geograficzeskaho słowaria Rossii“ (Wilno 1865) I. „Geograficzeskij słowar ruskoj zemli (IX—XIV str.). Autor, uczeń Sreźniewskiego, obecnie bibliotekarz Uniwersytetu Warszawskiego, uczyniwszy kilka uwag o istniejących dotąd w tym kierunku pracach, wymienia źródła po rok 1350, z których w swéj pracy korzystał. Najprzód cytuje miejsce, potém wypis ze źródła zawierający je, tak obszerny, że nieraz

może zastąpić podręczny wskaźnik dla badaczy, nareszcie obecną nazwę miejscowości lub domysły. Zwracamy przy sposobności uwagę, że w bibliotece książąt Czetwertyńskich, w Milanowie w Podlaskiem, znajduje się zbliżony zakresem rękopis Czarnockiego o „starych stach.“ Ponieważ spis ten opiera się na autopsyi, na osobistéj badacza tego wędrówce po uderzających nazwą miejscowościach, i kusi się o ich ujęcie w pewien system, byłoby na czasie dać jego wyciągi, jeżeli nie całość do druku. Kwestya setek świeżo poruszona przez Piekosińskiego i ów spis Barsowa kronikarski mógłby wiele na tém ogłoszeniu zyskać materyału, nie mówiąc już ileby ztąd zamierzone przez Akademią Umiejętności w Krakowie dzieło o Starożytnościach Słowiańskich mogło zyskać, po sprawdzeniu hypotez przez dyplomaty. Byłoby też pożądaném, aby te Starożytności uwzględniły nieocenione dla Starożytności Słowiańskich, a prawie że nietknięte źródła arabskie. Bardzo dawno, rozmaici podróżnicy arabscy, a właściwie mówiąc, uczeni arabscy z wiadomości swych ziomków kupców, podróżujących po ziemiach Słowian, zbierali autentyczne szczegóły o spółczesnym tych ziemi stanie. Niema prawie źródła po grecku lub po łacinie pisanego, któregoby setki raz tak lub inaczéj niewyłożono, często bez możności skontrolowania, o ile najprawdopodobniejszy wykład jest najkrytyczniejszym lub odwrotnie. W takiém położeniu rzeczy, wiadomości arabskie stanowią grunt prawie niezawodny do dalszych studyów, albowiem nowe szczegóły dołączają, z nowego źródła, niezależnego od znanych a tak różnie już tłumaczonych. Z dawniejszych czasów Frähn (Ibn Foshlan's Berichte ueber die Russen. Peters. 1823), d'Ohsson (Les peuples du Caucase. Paryż 1828) Charmoy (Relation dę Massoudy i. t. d. w Mémoires de l'Academie de S. Petersb. 1834 II 297—408), oraz Joubert (wydanie geografii Edrisiego) dostarczyli wiadomości arabskich o Słowianach, które stały się punktem wyjścia zwłaszcza dla badań Lelewela, u nas. Naruszewicz z Herbelota (Bibliothèque Orientale 1697 i 1777), Szajnocha, Bielowski, lubo wielki i słusznie nacisk kładący na te źródła, stosunkowo mało z nich korzystają. Szafarzyk niewiele téż co dobył z tego wątku dla historyi, a Lelewel więcéj tu robił dla geografii jak dziejów słowiańskich. Chwolson 1869, wydał nowe źródło także arabskie p. t. „Wiadomości o Chazarach, Bołgarach, Madziarach, Słowianach i Russach arabskiego pisarza X wieku Ibn Dasty.“ (por. wiadomość o téj pracy w Bibl. Warsz. 1871 II).

Obecnie w tylu wydaniach rozrzucone te wiadomości zebrał i ułożył chronologicznie w poprawnéj i objaśnionéj edycyi, dobry oryentolog Harkawi p. t. „Opowiadania muzułmańskich pisarzy o Słowianach i Rusi do końca X wieku“ (Petersb. 1870; Skazania m. pisatielej etc). Wielkie znaczenie przyznajemy temu zwrotowi do źródeł arabskich, na niewielu przykładach już stwierdziwszy ich niezmierną użyteczność.

Kończymy dział historyczny z Kotlarewskim, wymieniając jeszcze Nadlera: Pryczyny i pierwyje projawlenia oppozycyi katolicyzmu w Czechii, w koncie XIV i naczalie XV wieka" (Charkow 1864); Ławroskiego P. A. „Padenie Czechii w XVII wiekie" (Petersburg 1868); N. Popowa „Rossia i Serbia istoriczeskij oczerk russkaho pokrowitielstwa Serbii od 1806 po 1856 (Moskwa 1869 2 t.). Najsmutniejszym objawem historyografii rosyjskiéj, jest dzieło pr. Duvernoya „Stanisław Znojemskij i Jan Hus" (Moskwa 1871), w którém, jak mówi pr. Kotlarewski, autor tak dalece gonił za oryginalnością, że zapomniał najprostszych, najelementarniejszych zasad prawdy dziejowéj. Pracy Fortyńskiego „Titmar Merseburskij i jeho chronika" (Petersb. 1872) tenże recenzent przypisuje stanowisko wybitne nietylko w słowiańskiéj ale i europejskiéj literaturze. Rozpatruje krytycznie historyczną wartość źródła, i etnograficzne jéj wiadomości o Słowianach.

Dział literatury rozpoczniemy wskazaniem bogactw rękopiśmiennych, jakie zbierała lub posiada Rosya w zakresie słowiańskiego języka i do którego ocenienia i spisania obecnie przystępuje.

Już w roku 1830 Norow przyniósł z Palestyny zbiór rękopisów bulgarskich i serbskich, opisanych późniéj przez Wostokowa. W 1840 prof. W. T. Grygorowicz nabył pewną ilość starosłowiańskich (cerkiewnych) oraz serbskich i bułgarskich rękopisów, między innemi ważny głagolicki rękopis z góry Athos i urywki przekładów Cyryla Jerozolimskiego z XI wieku. Archimandryta, obecnie biskup kijowski Porfiry Uspieńskij, Hilferdyng, zebrali pokaźną ilość rękopisów; z tych część przeszła po Hilferdyngu, do bibliotek cesarskiéj w Petersburgu i kupca A. J. Chłudowa. Do pierwszéj téż przeszły zbiory petersburskie Berczyca.

Pomijając dawniejsze cząstkowe wydania tych skarbów rękopiśmiennych (Kałajdowicza, Wostokowa i. i.) pr. Kotlarewski wymienia zasługi w téj mierze przez pr. Śreźniewskiego (od 1852 r. w redagowanych przezeń „Izwiestiach" i „Uczenych Zapiskach" 2-go wydziału akademii nauk w Petersburgu) oraz profesora Bodjańskiego położone.

Ten ostatni ogłaszał pomniki słowiańskie od 1846 w „Odczytach towarzystwa historyi i starożytności" (Czteniach w obszczestwie i. i s.) od 1846—1848, i od 1858 do dziś dnia wychodzących). Wszelako najważniejsze tych uczonych prace obecnie się pojawiły, a najwięcéj ich dostarczył Śreźniewski. Tak Śreźniewski widząc że Szafarzyka „Pomniki głagolickiéj literatury" nie zawierają zupełnie aparatu filologicznego, wydał w roku 1866 w Petersburgu „Drewnie głagoliczeskie pamiatniki srawnitelno z pamiatnikami cyrylicy." Prócz krytycznego wydania tekstu zwłaszcza drobniejszych pomników głagolickich w zupełności, podał wydawca wypisy dokładne dzieł większych (jak np. 4 ewanielii), z dodatkiem objaśnień filologicznych. Prócz znanych tekstów jest pewna ilość pierwszy raz drukowanych. Nadto dołączono teksty cyrylickie zmieszane z głagolicą i to w ten

sposób, że porównano je z najdawniejszemi pomnikami Cyrylicy, gdzie tego było potrzeba. Jedne teksty wydano i głagolicą i cyrylicą; inne wiernie skopiowano z oryginałów głagolickich. Wreszcie jako uzupełnienie rozrzuconych w kontekście wiadomości paleograficznych, filologicznych i. t. p., prof. Śreźniewski dał cały (dziesiąty) zeszyt podobizn bardzo ładnych. Co do kwestyi czasu, miejsca i przyczyn powstania głagolicy, uczony ten zostawia ją nierozstrzygniętą. Dowody Hanusza, Szafarzyka, Miklosicza i innych co do większéj dawności głagolicy uważa za równie dowcipne i zręczne, jak sztuczne i niewystarczające. Na pierwszym zjeździe 1869 roku w Moskwie archeologów rossyjskich, pr. Śreźniewski czytał swe uwagi w téj mierze, i na zasadzie danych paleograficznych oświadczył się z następnémi wnioskami: 1) Głagolica z Cyrylicą są z sobą spokrewnione; wzajem od siebie zawisły, czego dowodem są podobieństwa fonetyki i liczebników. 2) Najstarsze pomniki cyrylicy porównane z najdawniejszémi ich greckiemi oryginałami, okazują się dawniejszémi od wieku IX, sięgają owszem do VII i VIII stulecia, więc są starożytniejsze od samego Cyryla. Pr. Grygorowicz broniący większéj starożytności głagolicy w rozprawie (Zamietki o Sołunie i Korsuni) drukowanéj 1872 w Odesie, wnioskuje ze śladów pasigrafii (to jest różnorodnych etnograficznych pierwiastków) w pomnikach głagolickich, że głagolica musiała powstać w miejscu będącém jakiémś colluvies gentium, a za takowe poczytuje ziemie dawne Chazarskie, to jest Krym. Kotlarewski uważa to za dowcipną bardzo hypotezę, „ale tylko za hypotezę jak dotąd.“ Co zaś do wydania Śreźniewskiego wyraża swój żal, że zostało odbite tylko w 100 egzemplarzach, a więc skazane wbrew swéj naturze i potrzebom wiedzy, na ograniczone rozejście się po rękach badaczy. Przypomina nam to kaprys Jana Potockiego, który także tylko setkami odbijał swe dzieła, z góry im przeznaczając rolę i głośność rzadkości bibliograficznych.

Drugie dzieło pr. Śreźniewskiego wyszło w 1868 r. w Petersburgu i dotyka równie ciekawéj kwestyi jak starożytności cyrylicy i głagolicy, bo mieści „Starożytne pomniki słowiańskie zawierające dźwięki nosowe (tak zwane jusy), ich opis i uwagi ortograficzne i fonetyczne [1]). Wszystkie tak zwane starosławiańskie (cerkiewne) zabytki piśmienne doszły nas w południowo słowiańskich lub rossyjskich redakcyach, przez co narzecze starosłowiańskie (jak uważa pr. A. K.) mniéj więcéj straciło swe właściwości. Chodzi więc teraz o ich ujawnienie i wykrycie (z pomocą ścisłego przeglądu porównawczego różnych tych redakcyj) uwidomionych przez nie narzeczy. Mimo odnośnych prac Wostokowa, dużo jeszcze pozostało do ustalenia i uzupełnienia w téj mierze. Jeszcze pozostało wykryć, jakie były cechy narzeczy widocznych w owych redakcyach, w przeciwieństwie do rossyjskich i serbskich, czém się różniły te narzecza między

[1]) Drewnie sławianskie pamiatniki jusowaho pisma i t. d.

sobą, jaką ważność miało każde z nich dla języka piśmiennego. Pr. Śreźniewski temu brakowi zaradził, wynalazłszy kilka ważnych pomników starosłowiańskich w południowo-zachodnich redakcyach, wydał je całkowicie, dołączając wszystkie dawniejsze już wydane jusowe pomniki w całkowitości, prócz codicis Suprasliensis danego w wyjątkach, a to wszystko w ilości sztuk 33 wedle rękopisów nanowo przejrzanych. Tekst każdego pomnika, tak samo jak w poprzedniém dziele został wydany krytycznie z paleograficzną wiernością z aparatem zupełnym filologicznym i ortograficznym. Ostatni wynik uwag uczonego wydawcy jest ten, że pod każdym względem leksykalnym, ortograficznym, morfologicznym i t. d. pismo i język słowiańskich pomników jusowych różni się od pisma i języka zabytków, które tych znaków nosowych nie używają, a różnice te tak w tych pomnikach jusowych jak i innych rossyjskich ujawniają się mniéj więcéj prawidłowie. Trudno je jednakże poczytać za cechy jednego narzecza. Owszem pewne zboczenia w obrębie tych różnic, równie prawidłowe jak te ostatnie, nakazują przyjąć w zakresie języka jusowego byt kilku narzeczy, a tego bytu dowody znajdujemy nietylko w rozmaitych rękopisach tegoż samego tekstu, ale także w granicach jednego i tego samego rękopisu. Kwestya tych jusów, czyli rynizmów w starosłowiańskim niezmiernie jest ciekawą i pod względem historyozoficznym, gdyż w swoim czasie była przedmiotem gorącego sporu. W ciągu takowego uczeni rossyjscy zaprzeczali bytu rynizmów nietylko, za przewodem Miklosicza, w pomnikach swéj literatury ale kiedykolwiek nawet, przeczyli nawet słowiańskości rynizmów języka polskiego, i poczytywali je za objaw celtycyzmu szlachty. Dziś ta kwestya, prawie polityczna, za sprawą naukowych studyów Śreźniewskiego przychodzi do właściwego stanu, zkąd była niepowinna wychodzić nawet. Nietylko fakt dźwięków nosowych, ale i narzeczy w starosłowiańskim się ustala.

Do téj pory nieudało się jeszcze bliżéj zdefiniować etnograficznie tych narzeczy; godzi się już przecie jednak domyślać, że w liczbie ich znajdują się narzecza bułgarskie i morawsko-słoweńskie. Przy sposobności téj pr. Kotlarewski oświadcza się przeciw hypotezie pr. Łamańskiego, wypowiedzianéj w 1869 w artykule p, t. „Nieroztrzygnięte pytanie“ (Dniew. Min. Nar. Pr. 1869 n. 1). W téj rozprawie pr. Łamański twierdził, że język cerkiewny (starosłowiański) utworzył się sztucznie, był językiem książkowym. Pr. Kotlarewski przyznaje że takim on się stał z czasem, ale zrazu był żywym, był w uściech ludu, tak że kwestya narodowości czystego starosłowiańskiego języka śś. Cyryla i Metodego dotąd jeszcze sub lite est.

W ogóle zbiór pr. Śreźniewskiego pomników literatury jusowéj opatrzony obszernym (186 str.) wstępem objaśniającym, przedstawia bogaty materyał do stanowczego, faktycznego roztrzygnięcia pytania, jestli cerkiewny czyli starosłowiański język starobulgarskim albo téż starosłowińskim.

Trzeci zbiór tegoż samegoż uczonego p. t. „Drewnie pamiatniki russkaho pisma i jazyka“ (Petersburg 1866) w dodatkach swych zawiera całą chrestomatyę wypisów z nieznanych często pomników (w rossyjskiéj recenzyi). Jego zaś „Wiadomości (Swiedenia) i uwagi (zamietki) o mało lub zupełnie nieznanych pomników“ (Petersb 1867) zawierają wielce ważne teksty i objaśnienia od IX do XII w.

Pomijając wiele innych wydań cennych, poświęconych zabytkom starosłowiańskiéj literatury, wspomnimy tu jeszcze o drugiéj ważnéj stronie obecnego ruchu literackiego w Rossyi. To jest w równéj mierze z drukiem użytecznego tekstu i jego objaśnieniami, idące spisywanie bibliotek. Katalogi te często zawierają wypisy z ważniejszych rękopisów na wzór Wostokowa opisu manuskryptów ze zbioru Rumiancowa w 1842.

Dla zwięzłości podajemy suchy, spis tylko: 5 tomów katalogu rękopisów słowiańskich biblioteki synodalnéj w Moskwie (1855 do 1871) dokonanego przez zmarłego (1872) już Niewostrujewa i prof. Górskiego; katalog własnych rękopisów spisany przez Undolskiego a wydany przez Wiktorowa kustosza muzeum Rumiancowa (Moskwa 1870), opis biblioteki kupca Chłudowa przez prof. A. M. Popowa (Moskwa 1872); spis niektórych rękopisów słowiańskich znajdujących się w Białogrodzie serbskim, Zagrzebiu i Wiedniu przez prof. Łamańskiego (1864 Petersburg); spis rękopisów słowiańskich bibliotek cesarskiéj i Pogodyna, przez Byczkowa i w. i.

Paleografia też zaczyna zbierać materyały w formie kopii fotograficznych, jak np. biskupa Sawy 1862—1865 tomów 3 z rękopisów zbioru Rumiancowa, a 1863 ze zbiorów biblioteki synodalnej w Moskwie; archimandryta Amfiloch z różnych bibliotek (Moskwa 1869), oraz Śreźniewski w starożytnych pomnikach ruskiego języka i pisma (Petersburg 1866) i w Pomnikach głagolickich (w t. r. i. m).

W sferze gramatyki staro-słowiańskiéj obecnie wydane „Studya filologiczne“ i „Gramatyka języka cerkiewno-słowiańskiego (Pet. 1863) Wostokowa: podobnie jak „Badania języka przekładu starosłowiańskiego 13 słów Grzegorza z Nazyanzu“ (1871 Pet.) Budiłowicza mają więcéj charakter wskazówek gramatycznych i zbioru materyału, aniżeli systematycznego obrobienia całości organizmu językowego. Za to prof. Kotlarewski wysoko stawia „materyały do dyalektologii słowiańskiéj (w „Uczenych zapiskach Kazanskaho Uniwers. 1869 i lat nast.) przez M. P. Piotrowskiego, oraz pracę Baudouina de Courtenay, oryginalnie po rossyjsku napisaną a drukowaną w Lipsku 1870 r., p. t.: „O drewno polskom jazykie do XIV stolietia.“ Autor obecnie docent uniw. kazańskiego i doktor uniw. lipskiego i petersburskiego, zbierał jeszcze w Warszawie będąc, w myśl prof. Śreźniewskiego, jak donosi pr. Kotlarewski wyrazy polskie znajdujące się w dyplomataryuszach Rzyszczewskiego i Muczkowskiego, a nawet Hasselbacha i Kosegartena oraz i pomieszczone w kronikach. Durich w r. 1795 piérwszy taki spis ułożył ze źródeł greckich w biblio-

theca slawica (Wiedeń t. I). Atoli, powiada prof. Kotlarewski, Durich nie opracował tego materyału, a lubo prof. Śreźniewski oddawna w swych uniwersyteckich wykładach takowego używa, dopiéro jednak Baudouin w literaturze, w drukowanéj rozprawie korzystał z niego. Co do pracy Kryńskiego napisanéj po rossyjsku dla pozyskania stopnia naukowego w Uniwersytecie Warszawskim, „O nosowych dźwiękach w słowiańskich językach" (Warszawa 1870) prof. Kotlarewski zarzuca autorowi ograniczenie się na własnych li studyach. W „filologicznych wypisach," które drukuje Chowański w Woroneżu, Stremler pomieszcza „Fonetykę kaszubskiego narzecza."

Na tle porównawczéj gramatyki słowiańskiéj umiejętnie rozsnuwa swe prace A. A. Potebni „W rzeczy fonetyki ruskiéj" (Woroneż 1866) i „Uwagi o małoruskiém narzeczu" (Woroneż 1871); za to praca Szerclówa „Porównawcza gramatyka języków słowiańskich" (II wielkie tomy, Charków 1871—1872) sięgająca indo-europejskich w ogóle porównań, jest zdaniem prof. Kotlarewskiego, nędzną kompilacyą, w któréj materyał zebrano na chybił trafił i zgoła go nieprzetrawiono. Ważne zarzuty co do ciemności stylu i co do wniosków robi prof. Kotlarewski prof. Duvernoy, który w 1867 r. wydał „Historyczne objawy w słowiańskiéj etymologii," i „System zasadniczych pierwiastków i form w słowiańskich narzeczach" w 1872 r.

Również ostry sąd wypadł na prace S. P. Mikuckiego z Warszawy: „Badania i uwagi (Nabludienia i zamieczania) o leto-słowiańskim języku" (Peter. 1867) i „Spostrzeżenia i wnioski (Nabl. i wywody po sr. ar. jazykoznania) na tle filologii aryjskiéj porównawczéj" (Warszawa 1872). Prace te są spisami słownikarskiemi nietylko aryjskich ale i turańskich wyrazów, ułożonych w pewne grupy, wedle podobieństwa ich piérwiastków. Z takich skupień nie jedno ciekawe spostrzeżenie wynikło, wszelako materyał potemu brany jest jeszcze leksykalnie nieustalony. Poczęści do filologii a poczęści do historyi należą prace zmarłego już księcia Moroszkina i prof. i b. rektora Uniwersytetu Warszawskiego P. A. Ławrowskiego. Praca Moroszkina p. t. „Spis imion własnych słowiańskich (Słowianskij imienosłow ili sobranie słowianskich licznych imien. Petersb. 1859) jest zdaniem recenzenta, najlepszą i najzupełniejszą w tym rodzaju książką na polu literatury rossyjskiéj. Autor czerpał swój materyał ze wszystkich prawie możliwych źródeł i opracował. Główną część pracy stanowi słownik imion własnych, zawierający cytaty źródeł, gdzie to imię się w źródłach znachodzi. Obszerny zaś wstęp wyłuszcza historyczną ważność przedmiotu, jego literaturę kreśli, podaje gramatyczne prawa tworzenia się imion własnych. Wreszcie kreśli żywy obraz archeologicznego znaczenia ich, to jest dobywa na jaw fakta życia społecznego ukryte w tych prostych a nic nieznaczących zjawiskach językowych, oraz zaznacza wpływ chrześciaństwa i obcych etnograficznych żywiołów na etymologią słowiańskich tych imion. Materyał zebrany z różnych stron słowiańszczyzny, obfite dawał pole do robienia wnios-

ków, które tu i owdzie błędne, wartości zbiorowi samemu nie odbierają. Wzorem autorowi być się zdaje praca Jakobiego „O nazwach wsi czeskich i znaczeniu ich powszechno-dziejowém."

Dzieło prof. Ławrowskiego, który 1870 r. w Petersburgu wydał też „Słownik serbsko-rossyjski," dotyka téj saméj obszernéj niwy filologicznéj i podobnie jak pracę Moroszkina, chce ją zużytkować na korzyść historyi. Wytknął sobie jednak prof. Ławrowski ciaśniejsze granice; szuka bowiem piérwotnego znaczenia wyrazów, które służą u Słowian na oznaczenie związków rodzinnych (korennoje znaczenie w nazwaniach rodztwa u Sławian, Petersb, 1867). Praca ta co do ostatecznego celu spotyka się z wyżéj cytowanemi rozprawkami p. Mikuckiego b. członka zarządu b. biblioteki głównéj. Prof. Kotlarewski przychylniejsze zdania wyrzeka o rezultatach badań prof. Ławrowskiego, przyznając ich metodzie cechę iście naukową, porównawczą.

Ubóstwo prac na polu historyi literatury słowiańskiéj (kopalnéj i bieżącéj) tłumaczy prof. Kotlarewski uwagą wielce słuszną, że bez metody porównawczéj, bez uwzględnienia literackich objawów polskich, czeskich, serbskich i t. d. nic i w rossyjskiéj nie będzie można pożytecznego dokonać.

Piérwszą pracą w tym kierunku jest ‚Historya języka słowiańskiego i literatura wszech narzeczy" wydana przez Szafarzyka w Budzie 1825. Talvi kompilował potém tę pracę; K. J. Gregorowicz wydał w Kazaniu „Zarys literatury Słowian w głównych epokach," 1842. W r. 1865 Pypin i Spasowicz puścili w świat „Przegląd historyi słowiańskich literatur" i Kotlarewski z wielkiém uznaniem o niéj się wyraża (por. receuzyą w sprawozdaniu z 12 go rozdawnictwa nagród uwarowskich. Petersb. 1867). Dziełem na mniejszy zakres są „Starożytne pomniki języka i pisma południowo-zachodnich Słowian" Śreźniewskiego (Petersb. 1862) będące chronologicznym przeglądem zabytków od IX do XII wieku, bądź dotąd zachowanych, bądź tylko wspomnianych w źródłach. Różnych części literatury dotykają prace: I. S. Nekrasowa „Pachom Serb, pisarz z XV wieku" (Odesa 1871), kędy jest rys wpływu Serbii i literatury z góry Atos na Rossyą w XV i XVI wieku; I. F. Busłajewa „Zarysy rossyjskiéj ludowéj literatury i sztuki" (Petersb. 1861); A. N. Afanasiewa „Rossyjskie ludowe podania," A. N. Pypina „Zarys dziejowy starożytnéj literatury ludowéj rossyjskiéj" (Petersb. 1857); ś. p. P. P. Piekarskiego „Nauka i literatura w Rossyi za Piotra" (Petersb. 1861); prof. A. N. Wesełowskiego „Słowiańskie podania o Salomonie i Kitowrasie, i zachodnie legiendy o Morolfie (Marchołcie?) i Merlinie" (Petersb. 1872). W Charkowie Potebni porównywa zwroty przenośne w prozie i poezyi podaniowéj, i dochodzi na téj drodze do objaśnienia tak zwanych przez się symboli w dziele p. t. „O niektórych symbolach słowiańskiéj ludowéj poezyi" (1860 r.). Filologiczny wykład Królodworskiego rękopisu przez N. P. Nekrasowa dokonany, zyskał pochwałę Hattali (Oswêta 1872 r. str. 636). Wyraża też życzenie prof. Kotlarewski, by i prelekcya

Śreźniewskiego „O sądzie Libuszy," na posiedzeniu Towarzystwa filologicznego w Petersburgu czytana, była co rychléj drukowaną. W niéj Śreźniewski rozwinął myśl, że ani język, ani treść owego zabytku czeskiego nie przeszkadza przypisaniu go XIV wiekowi. A. A. Kunik zaczął drukować „O oryginalności sądu Libuszy" w „Wypisach akademii nauk."

Na szersze pole cywilizacyi staro-słowiańskiéj, a raczéj na gruntowniejsze pole badań nad tą cywilizacyą; przechodzimy z prof. Kotlarewskim przy dziełach, które sobie za cel założyły badać pieśni, podania, obrzędy i t. d. ludowe, i z nich snuć wątek swych spostrzeżeń o dobie Słowian z pomników innych nieznanéj.

Działalność w Cesarstwie na tém polu jest większa jak w Królestwie, ile że dział ten jest przedmiotem wykładów uniwersytetów, a prócz przekładu „Starożytności słowiańskich" Szafarzyka, przez prof. Bodjańskiego, które przeważnie obejmują tylko dział historyczny, głównie prace Jakóba Grimma w obrębie niemieckich starożytności a przeważnie mytologii posłużyły za gienialny wzór i bodziec dla rossyjskich badaczy słowiańskich starożytności. Rej tu wiedzię F. I. Busłajew, który bądź z katedry, bądź w druku dał niezmierny popęd i nową prawie stworzył szkołę w téj sferze badań, pisząc np. dodatki do pracy Sołowiewa (Istorja Rossii). W 1861 r. zebrał Busłajew swe monografie i ogłosił razem w II tomach in 4-to p. t. „Historyczne zarysy rossyjskiéj ludowéj literatury i sztuki" (Istoriczeskije oczerki ruskoi narodnoi słowiesnosti i iskustwa). Tło metodologiczne jest porównawcze; materyałem nietylko dawniejsze ale spółczesne zabytki. Autor mniéj zważa na ostateczne znaczenie poetyczno-mytycznych obrazów, a więcéj uwzględnia historyczno-cywilizacyjną ich doniosłość. Niezmiernie ciekawe są dwie jego prace późniejsze: „Ruski bohaterski epos" (w Ruskim Wiestniku 1862, od 3 ks.) i „Porównawcze studyum nad bytem i poezyą ludu" (tamże 1872 3 ks.).

Praca A. N. Afanasiewa p. t. „Poetyczne poglądy Słowian na naturę" (3 t. Moskwa 1865—69) jest „próbą, jak mówi sam autor, porównawczego zbadania słowiańskich podań i wierzeń w związku z mytycznemi podaniami pokrewnych narodowości." W gruncie jednak rzeczy, dzieło to traktuje o naturalnych symbolach i nabożeństwie pogańskich Słowian. Z powodu niedostępności wielu rozpraw, ono jest dobrym lubo jeszcze niezupełnym ich spisem, choć brak mu historycznéj krytyki; nie uwzględnia strony cywilizacyjnéj swego materyału, zaniedbuje języka jako środka poznania prawdy i t. d. (Recenzya téj pracy Kotlarewskiego zawiera 10 i 13 sprawozdanię o nagrodach Uwarowych 1868 i 1872 Petersb). W tym duchu, lubo z większym zasobem wiedzy filologicznéj opracował prof. A. A. Potebni rozprawy: „O mytyczném znaczeniu niektórych obrzędów i zabobonów (Moskwa 1865) „O fatum i pokrewnych istotach mitycznych' (w 2 t. Pra. Mosk. archeolok. Tow.) i „O ogniach kupałowych, (w Wiadom. Mosk. archeolog. Tow. 1 t. Moskwa 1868).

Praca pr. P. A. Ławrowskiego „O mytycznych wyobrażeniach Słowian o obłokach, i dżdżu w związku z podobnemi wyobrażeniami pokrewnych ludów“ (Petersb. 1864), łączy zalety metody porównawczéj z zasobem wiedzy lingwistycznéj. Wiele też rzeczy ciekawych dla mytologii Słowian znajdujemy w pracach prof. O. F. Müllera „Próba historycznego przeglądu ruskiéj literatury“ (Petersb. 1866) i „Ilia Muromiec oraz bohaterzy kijowscy, porównawczo-krytyczne badanie składu epoki ludowéj ruskiéj (Petersb. 1869).

We wszystkich tych pracach coraz bardziéj uwydatnia się spostrzeżenie Maxa Müllera, że podania ludowe są objawem umysłowości pierwotnego człowieczeństwa a jedyną drogą do ich wyjaśniania jest porównanie i krytyka śledząca przemian ich historycznych spółcześnie ze zmianami samych objawów życia potocznego. Przy téj sposobności pr. Kotlarewski bez ogródki wyśmiewa tego rodzaju próby mytograficzne jak Kollara, Dankowskiego, Czertkowa i marzycieli oraz pseudo-badaczy dawniejszych, do których bardzo słusznie zalicza pr. Kotlarewski prace nowszych dyletantów na polu mytologii słowiańskiéj to jest Bezsonowa i Kwasznina Samarowa. Pierwszy objaśnienia swe, osnute na tle teoryi filozoficznych ostatniego zwrotu Szelinga, wydrukował przy zbiorach pieśni ludowych Rybnikowa, Kirejewskiego i własnym 1872. Drugi autor, prawdziwy „zdzieła,“ mówiąc po lelewelowsku „Zarysu mytologii słowiańskiéj“ (Biesiada 1872 n. 4) przynajmiéj mniéj filozofuje.

Dział prawa słowiańskiego i badań w téj sferze dokonanych zawdzięcza byt swój (jak to słusznie zaznacza pr. Kotlarewski) autorowi „Historyi prawodawstw słowiańskich“ aczkolwiek napisanéj w języku polskim, ile że dzieło owo dało popęd do zajęć w tym kierunku. Nawet materyalnie niektórzy rossyjscy badacze idą za W. A. Maciejowskim. Tak prof. Leontowicz drukuje w 1868 swe „Starożytne chorwacko-dalmackie prawodawstwo,“ więc pomniki prawne Winodułów (mieszkańców pobrzeży Rieki v. Fiume), Zagrzebia i Poli. Pan M. po Mazuranicza pierwszéj edycyi w 1843 w Zagrzebiu dokonanéj statutu winodulskiego, zrobił drugą, w przekładzie polskim z łacińskiego przekładu. Prof. Leontowicz statut wydał obecnie, ale recenzent mu zarzuca błędy filologiczne. Tegoż autora (Leontowicza) jest wstęp ogólno słowiański (na wzór W. A. Mac:) do „Istorii russkaho prawa“ (Odesa 1870 I) oraz spis źródeł i opracowań na polu historyi prawodawstw słowiańskich (Dniew. Min. Nar. Pros. 1867 n. 8).

Prof. Szpilewski wchodzi w myśl pana Maciejowskiego o stosunku giermańszczyzny i słowiańszczyzny do siebie, mówiąc „O związku systemów solidarności rodzinnéj za Germanów i Słowian“ (Sojuz rodstwennoj zaszczyty u drewnich German i Sławian. Kazań 1866) i o rodzinie Słowian i Germanów (Semiejnyja słatki u drewnich Słowian

Kazań 1871). Majkow autor historyi języka serbskiego (Moskwa 1857) obecnie wydał ciekawą rozprawę o sądach przysięgłych u Słowian południowych, (Russkoje słowo n. 10 1861) dowodząc, że to jest instytucya rodzima Słowian. Wielkie pochwały recenzent oddaje wydaniu dokonanemu przez Siegla „Zakonnika cara Duszana“ (tom pierwszy Petersb. 1872). Prócz tekstu tych praw dobytego z najlepszych rękopisów, komentarz prawno-historyczny jest bardzo umiejętnie zdaniem prof. Kotlarewskiego zredagowany.

Nikitski w rozprawie o zasadach bytu rodzinnego u Słowian (Wiestnik Jewropy 1870) zastosowywa do starosłowiańszczyzny i ruszczyzny teoryą rodu sztucznego, to jest takiego, który oprócz osób złączonych jednością pochodzenia, zamykał i obcych, niekrewnych. Kotlarewski zastosowanie téj zasady uważa za rzecz nową, w literaturze rossyjskiéj historycznie prawnéj. W tym razie musimy wbrew referentowi zaznaczyć, że W. A. Maciejowski już dawno tę myśl rozwijał w swych dziełach polskich. Tym sposobem jak Szafarzyk górować się zdaje całéj części historycznéj Starożytności Słowiańskich, tak W. A. Maciejowski rej wiedzie w części prawnéj i daje hasło nawet badaczom rossyjskim, wedle słów prof. Kotlarewskiego. Za dzieło bardzo ważne poczytuje Kotlarewski prace prof. Władimirskiego-Budanowa w języku rossyjskim p. t. „Prawo niemieckie w Polsce i Litwie“ (Petersb. 1868); po dziele Daniłowicza pisaném po polsku o początku miast Słowiańskich przed wiekiem XIII, jestto zdaniem recenzenta, drugie dzieło w słowiańskiéj literaturze z zakresu prawnych dziejów miast słowiańskich. Tenże recenzent cytuje o téj pracy Budanowa przychylny sąd prof. Pawińskiego, pomieszczony w 13 sprawozdaniu z nagród Uwarowskich. Zbiór rozpraw i dzieł odnoszących się do literatury rossyjskiéj, prawnéj, kończy Kotlarewski wzmianką o pracach prof. Pawłowa. Rozpatruje on i bada czas w którym na Rusi zjawił się przekład słowiański „Kormczéj knigi,“ oznacza takowy na XI lub XII wiek, i na potwierdzenie téj hipotezy rozbiera kilka rękopismów. Rozprawa ta nosi tytuł „Pierwszy słowiańsko-ruski (nomokanon)“ (Kijów 1869). W 1874 r. prof. Kotlarewski, z którego sprawozdania tu korzystamy, wydał: „Starożytne prawa Słowian nadbałtyckich“ (Drewnosti prawa Bałtijskich Sławian) w Pradze, część pierwszą.

Co do prac nad dziejami kościoła słowiańskiego, te skupiają się przeważnie nad kwestyą działalności apostołów Cyryla i Metodego. Kotlarewski z kolei wylicza owoc wydawnictwa Towarzystwa przyjaciół rossyjskiéj literatury w Moskwie „Cyryla i Metodego książka zbiorowa (Moskwa 1868), w któréj zawarto odnośne prace Pogodina, biskupa Filareta, A. W. Górskiego, Niewostrujewa, Wiktorowa i i. Prof. Grygorowicz wygotował piękne filologiczne wydanie starosłowiańskich żywotów St. Cyryla i Metodego p. t. „Starożytny Słowiań-

ski pomnik, objaśniający życie Cyryla i Metodego“ (Kazań 1862). Prof. P. A. Ławrowski daje obszerny przegląd ich działalności (Cyryl i Metody jako apostołowie prawosławni. Charków 1863), prof. Bilbaszow w 2 tomach swego „Cyryla i Metodego“ (Petersb. 1866—70) połączył wszystkie łacińskie o nich legendy. Tu też należą prace prof. Platonowa, Hilferdynga (Zbiór dzieł tom 1, Petersb. 1869) i w. i., z których najdokładniejszą jest praca prof. E. E. Gołubińskiego, niewydana i znana dotąd tylko z sprawozdania (J. Śreźniewskiego) o 12 rozdawnictwie nagród Uwarowa (Petersb. 1870, str. 227—233).

Stosunek kościoła bizantyńskiego do Bułgaryi stanowi treść „Rozpraw“ prof. Grygorowicza (Odesa 1867), który posiada wiele rękopiśmiennego w tym względzie materyału. Archimandryta Leonid pomieścił wiele ciekawych rozpraw o południowo słowiańskim kościele (np. za pierwszego Justyniana) w „Sprawozdaniach Tow. hist. i star. przy Moskiewskim Uniwersytecie.“ Godną też wzmianki jest praca prof. Gołubińskiego p. t. „Krótki zarys dziejów kościoła prawosławnego w Bułgaryi, Serbii i Rumunii albo Multano- Wołoszech“ (Moskwa 1871). Tenże autor obiecuje wydać opis swéj podróży archeologicznéj po Serbii, Bulgaryi, do Carogrodu i na górę Athos.

Kotlarewski zastanawiając się nad małą ilością prac poświęconych historyi kościoła, za główną tego zjawiska przyczynę uważa „brak swobodnego rozbioru, jeszcze podległego stuletnim waśniom i apriorycznym teoryom“ i kończy uwagą, że: „Prawdziwe badanie historyi kościoła w słowiańszczyznie wtedy dopiero nastąpi, gdy zamiast helenizujących i latynizujących duchownych (eklesiastów) wezmą się do niego historycy dbający przedewszystkiem o to: *ne quid falsi dicere audeant, ne quid veri non audeant.*

W zakończeniu podaje recenzent wiadomość o prof. W. Łamańskiego „Historycznéj znajomości świata słowiańskiego w Europie“ (Petersb. 1871), gdzie zebrano wszystkie nieprzychylne poglądy Niemców o Słowianach. Obraz skreślony jest tak ostremi farbami, że i najospalszego do żywego zadraśnie. P. Kotlarewski pragnie, by autor podał też i zdania przychylne Słowianom takiego Herdera, Jakóba Grimma, Schmellera i i., którzy nagradzają „patologiczne“ uprzedzenie swych rodaków.

J—d

ŁUKASZ GÓRNICKI

(Kilka szczegółów nieznanych).

PRZEZ

Aleksandra Wejnerta.

Z każdéj poważnie przeprowadzonéj dyskussyi w przedmiotach naukowych, muszą wypływać użyteczne badania z korzyścią dla oświaty i postępu cywilizacyi. Korzyści te tém stają się więcéj drogocennemi, jeżeli dotyczą bardzo odległéj przeszłości i nie ulegają żadnemu powątpiewaniu. Temi ostatniemi pobudkami skłoniony, ogłosiłem w *Bibliotece Warszawskiéj* w zeszycie marcowym r. b. od str. 420, kilka szczegółów nieznanych z życia Łukasza Górnickiego w tém przekonaniu, że praca ta przyda kilka listków do wieńca, jakiemi potomność przyozdobiła zasłużenie, imię tego znakomitego pisarza z epoki Jagiellońskiéj.

Głównie w téj publikacyi posiłkowałem się lustracyą starostwa Tykocińskiego, znajdującą się w odpisie w Archiwum Głównem Królestwa a mianowicie w księdze 64 od str. 92. Wszystkie zaś wnioski i mniemania jakie w niéj czyniłem, głównie opierałem bądź na wiarogodnych dziejopisarzach naszych, bądź na szczegółach w saméj lustracyi znajdujących się. Tymczasem w Bibliotece Warszawskiéj za lipiec r. b. p. Zygmunt Gloger sumienny badacz dziejów naszych, w *korrespondencyi* do tegoż pisma od str. 139 pobudzony moją inicyatywą, nadesłał także o Górnickim kilka zajmujących szczegółów, jakie mu bliska miejscowość jego rodzinnego gniazda nastręczyła.

Przedewszystkiem zawdzięczamy p. Glogerowi przypomnienie nam wykrycia miejsca wiecznego spoczynku tego pisarza, w kościele Tykocińskim na wyspie rzeki Narwi [1]), gdzie w podziemnych grobach, obecnie dzikim chwastem porosłych, spoczywa razem z wieloma dygnitarzami obok żony i dzieci, przy stosownym napisie grobowym. Z tego to dowodu pewną datę wyczytujemy jego śmierci, która w d. 22 lipca r. 1603 nastąpiła. Z prawdziwą także przyjemnością dowiedzieliśmy się z téj korrespondencyi, że ziemianie z okolic Tykocina, zamierzają w tém mieście położyć Górnickiemu kamień grobowy lub wystawić mu pomnik. Mamy prawo upomnieć się u p. Glogera, aby jako bliżéj bawiący Tykocina, przez pamięć na tak zasłużonego pisarza jakim był Górnicki, nie dozwolił, iżby prochy jego w tak opłakanym stanie daléj przebywały i żeby projekt tak zacny, nie pozostał na papierze

---

[1]) W *Przeglądzie Naukowym* przez H. Skimborowicza i E. Dembowskiego wydanym do r. 1848, pierwsze jest ogłoszenie o tym grobowcu z przytoczeniem napisów.

tylko spisany. To bowiem kraj cały obchodzi, i powinno zachęcić p. Glogera do wytrwania.

Nie możemy się jednak zgodzić na zarzuty, jakie poczynił nam p. Gloger w rzeczonéj korrespondencyi co do niektórych mniemań naszych:

1) Że położenie Górnickiego nie było do zazdrości wobec nagłego przyjazdu Batorego do Tykocina i skargi przeciw niemu na piśmie, przez włościan klucza Mazurowa zaniesionéj, 2) że pobyt monarszy musiał go zadrażnić, zmieszać i zadziwić, 3) że Górnicki znajdował się w bolesném położeniu, bo Batory z całą surowością wystąpił przeciw niemu.

Wszystko co p. Gloger przeciw temu przytoczył okazuje, iż nie jest obeznany z sądami lustratorskiemi a szczególnie z ich procedurą, jaka w kraju naszym od r. 1564 do końca istnienia starostw odbywała się. Z dziejów bowiem praw naszych wiemy, iż przy każdéj lustracyi starostw i wszelkich królewszczyzn, delegowani do téj czynności obowiązani byli zwoływać, oprócz starosty, wszystkich oficyalistów, podstarościch, wójtów, sołtysów i całą gromadę, oraz wobec nich każdy szczegółowo rodzaj i źródło dochodu spisywać, wraz ze wszystkiemi daninami i wydatkami. Przy téj czynności każdemu z gromady obecnemu, wolno było swoją krzywdę i skargę przedstawić ustnie i jawnie, nietylko przeciw równym sobie włościanom lub oficyalistom ale nawet przeciw staroście i plebanowi. Delegowani zaś, jeżeli przekonali się z dowodów piśmiennych lub od innych włościan, sług i oficyalistów, o rzeczywistości i słuszności skargi, musieli wpisywać do lustracyi swój wyrok w tym sporze, który zwykle z małemi wyjątkami bywał bez żadnéj apellacyi. Nie sta ale tysiące takich wyroków znajdują się jeszcze po różnych aktach lustracyjnych, jakie się dotąd dochowały [1]). Taka forma odbywania sądów lustratorskich, przetrwała z małemi odmianami aż do skasowania starostw około r. 1775. Skoro zaś tak było, włościanie więc z królewszczyzn mieli właściwą władzę to jest lustratorów do zanoszenia przed niemi swych skarg i zażaleń; od roku więc 1564 było to dla nich *forum competens*. Setki lustracyi jakieśmy odczytali opisując starostwa szczegółowe w Encyklopedyi Orgelbrandów, przekonały nas dotykalnie, że zawsze z korzyścią dla włościan lustratorowie wyrokowali, i dla tego téż we wszystkich królewszczyznach za Rzpltéj, stan włościański bez porównania był w lepszym bycie niż w dobrach dziedzicznych szlacheckich. Skoro więc taka forma administracyjna i sądowa, była przyjęta od r. 1564 jako daty odbywanych lustracyi, skoro poddani ze wsi Mazurowa w r. 1576 za tém w 12 lat potém, zamiast zanieść swoje skargi i zażalenia do właściwéj władzy, to jest do lustratorów, udali się w prost do króla, uczynili to wbrew prawu, w brew zwyczajom ówczesnym.

---

[1]) Porównaj *Starożytności Warszawy* Tom VI, od str. 158 i nast.

Czy więc król tak sprężysty i przezorny jakim był Batory, mógł mieć już przekonanie o prawości charakteru Górnickiego; skoro go jeszcze nie znał, bo dopiero półtrzecia miesiąca panował i pierwszy raz w życiu swojém go widział [1])?

Czy włościanie Mazurowscy mając tak otwartą drogę przed lustratorami do zaniesienia skarg, woleli samochcąc wbrew prawu i zwyczajom udać się do króla?

Czy Górnicki wiedząc że właściwe forum dla włościan w tym razie był sąd lustratorski, nie oburzył się na nich iż wbrew prawu, wbrew zwyczajom poddani królewscy postąpili, obarczając Batorego swoją skargą?

Czy sam Górnicki jako człowiek wysoko wykształcony, dworak i urzędnik Rzpltéj, znając powagę majestatu królewskiego, nie mógł się w tém zdarzeniu oburzyć, dla saméj tylko zasady utrzymywania godności osoby monarszéj?

Są to pytania, na które dla wyjaśnienia ich gruntowniejszego, postarałem się wyszukać takie dowody spółczesne, któreby przekonały p. Glogera, że wszystkie jego zarzuty przeciw mnie wymierzone, muszą upaść jako bezzasadne.

Oprócz lustracyi starostwa Tykocińskiego z r. 1576 w odpisie znajdującéj się w księdze 64 od str. 92 mieści się jeszcze w Archiwum Głównem Królestwa *sam oryginal* téjże lustracyi, spółcześnie bez żadnéj wątpliwości skreślony w księdze 11 od str. 112. Porównywając odpis z oryginałem przekonałem się, że w odpisie opuszczony jest całkowicie wyrok lustratorów w téj sprawie, jaki na str. 114 zaraz po mandacie Batorego z d. 18 lipca r. 1576 spisany jest w tych zupełnie słowach:

„A tak my po przeczytaniu listu Króla Jego Miłości i skarg poddanych przesłuchawszy, którzy się skarżyli o roboty ciężkie na folwarku Króla Jego Miłości a to dla tego, iż folwark wielki a osiadłość mała ku zarabianiu folwarków, gdyż jéj nie mała część spustoszała, zdało by się nam (gdyżechmy to baczyli nie być szkodą skarbu Króla Imci a poddani téż na to pozwalają) aby folwark którego jest wedle pomiary włók ośm, był rozdany na czynszu osadnym między poddane zostawiwszy ze trzy włóki na folwark, coby tylko na wychowanie (utrzymanie) urzędnika i z czeladzią było. A pięć włók między poddane rozdać. Z których włók folwarkowych, gdyby były na morgi rozmierzone a między poddane rozdane, postępują poddani i chcą płacić z każdego morgu po groszy lit. sześć, a z włók swych gdyby były na osadzie postanowieni, postępują po złp. 6 i ktemu po kopie jednéj żyta albo za żyto po groszy litewskich 10, nadto po 12 wozów drew do fol-

[1]) Starostwo Tykocińkie było pograniczne, a żaden starosta pograniczny podług praw naszych, nie mógł się bez szczegółowego upoważnienia królewskiego, wydalać za granicę swego starostwa, bo ustawicznie musiał strzedz zamku. Co konstytucya z r. 1620 jeszcze silniéj obostrzyła.

warku na kożdy rok z włóki każdéj przywieźć. Wszakże my (lustratorowie) tego postanowienia nie konkludując, zdanie naszę odsyłamy na uznanie skarbu Króla jego Miłości."

Wyrok więc ten stanowczo uniewinnia Górnickiego, gdyż się okazało, że klucz Mazurowo z 4 wsiami: Mazury, Brok, Wolka i Kalinowo był zanadto obszerny w stosunku do osady, że zatém nieustająca pańszczyzna i robocizna mimo najlepszych chęci samychże włościan nie wystarczała i przezto narażała włościan mazurowskich na zbytnią i nadludzką pracę. Zmiana jednak téj pańszczyzny, zmiana gruntów na czynsz wypuszczanych, jako oznaczone w poprzednich lustracyach, w niczém nie mogły uledz przeobrażeniu na korzyść włościan przez Górnickiego, bo to przechodziło jego władzę starościńską. Sami nawet nowi lustratorowie z r. 1576, chociaż w imieniu króla i Rzpltéj działający, nie śmieli tego uczynić, ale jak wyrok powyższy przekonywa odesłali po decyzyę do samego podskarbiego koronnego, który dopiero był władzą kompetentną w tém zdarzeniu.

Górnicki więc, skoro przyjechał po koronacyi Batory do Tykocina, nie ze względu na jego przyjazd nagły, nie ze względu na pobyt króla w tém mieście był zadraźniony i zmieszany, ale z powodu iż włościanie podlegli jemu i mający inną władzę legalną do zanoszenia skarg, zamiast użyć jéj, wprost przybyli z użaleniami i to na piśmie do króla, do króla cudzoziemca nieznającego ani praw naszych, ani zwyczajów, do króla zaledwie kilka miesięcy panującego w Polsce.

Z jakiego powodu włościanie mazurowscy tak postąpili, dwie ostateczności przedstawiają się: albo spełnili to przez złośliwość, albo przez głupotę i niewiadomość do kogo się mają udać w tym razie. Wyrok sądu lustratorskiego jaki powyżéj przytoczyliśmy przekonywa, że to uczynili przez niewiadomość, gdyż ani Górnicki ani lustratorowie nie byli co do tego w możności stanowić ostatecznie.

Tymczasem Batory nie znający ani Górnickiego, ani praw i zwyczajów naszych, poraz piérwszy będąc w Tykocinie, cóż sobie mógł o nim pomyśléć, o urzędniku swoim, na którego włościanie użalają się, mogąc przed lustratorami jako właściwą władzą, bez żadnych podań piśmiennych pozyskać sprawiedliwość? Tylko to, że starosta tak mocno ich krzywdzi i uciemięża, że muszą aż do króla podawać skargę. Położenie więc w tym razie Górnickiego nie było do zazdrości, jeszcze raz to powtarzam i każdy kto wyrok lustratorski odczyta i porówna z moim artykułem poprzednim, musi mi to przyznać.

To wyrażenie niby niewłaściwe, które mi p. Gloger zarzuca, iż Batory z całą *surowością* postąpił względem Górnickiego, zastanawia mię bardzo. Czy w polskim języku nie mówi się: *surowy sędzia*, który się ściśle praw trzyma? *surowe prawo* jeżeli rząd bez względu na niektóre klassy mieszkańców, wydaje takowe? Jeżeli więc Batory okazał się surowym względem Górnickiego, to znaczy, że ściśle podług prawa

z nim postąpił, bo przesłał skargę do właściwego sądu, bez względu na zasługi dotychczasowe Górnickiego, których jeszcze nie mógł znać, bo go, powtarzamy, król piérwszy raz w życiu swojém widział.

Postawmy się teraz w położeniu samego starosty. Nagradzany kilkakrotnie przez Zygmunta Augusta, posiadając zupełne jego zaufanie, ciągnąc tyle lat swoje życie w usługach dla kraju, ulubieniec narodu, czuł całą swą godność osobistą; bo i Rzeczpospolita i monarcha dawali mu tego dowody. Ani on Batorego przez dwa miesiące panowania jeszcze nie znał, co do ducha działań jego, ani Batory jego dla tak krótkiego czasu nie mógł poznać. Już w końcu protokułu pod nazwą ówczesną *opowiadanie starosty tykocińskiego* str. 425/6 umyślnie kursywą oznaczyłem, że lustratorowie zamieścili tłumaczenie się Górnickiego z wydatków starostwa Tykocińskiego *za rozkazaniem Króla JMości wedle żądania pana starosty*, a więc był rozkaz oddzielny od Batorego zapewne do lustratorów, żeby Górnicki wytłumaczył się i zdał liczbę z dochodów starostwa Tykocińskiego [1]) a co większa sam Górnicki żądał tego. Czy te dwie okoliczności nie malują dotykalnie, że jak król nie znając jeszcze Górnickiego, musiał podług prawa z całą surowością postąpić, bo kazał mu się tłumaczyć z dochodów, tak z drugiéj strony starosta czując całą godność swą osobistą jako zasłużony obywatel i urzędnik, nie mogąc jeszcze przez dwa miesiące poznać sposobu myślenia króla, przekonany wreszcie o swéj zupełnéj niewinności, musiał być zadraśniętym przez to zdarzenie. Dlatego téż jawnie i legalnie przed sądem lustratorskim postąpił, składając *non tam libenter quam reverenter* przytoczone przez nas opowiadanie.

Że to ostatnie wyjaśnienie nasze, zgadza się zupełnie z ówczesném położeniem zajścia z włościanami mazurowskiemi, dowodzi jeszcze: 1) umieszczenie ale w oryginale tego *opowiadania starosty* w samym końcu lustracyi, *po bilansie ogólnym i szczegółowym z wszystkich dochodów i wydatków*, zatém jako nie dotyczące bynajmniéj lustracyi, tylko samego Górnickiego. 2) Wyszukany dyplom Stefana Batorego dany w Warszawie dnia 12 marca 1578 r., spisany w księdze metrycznéj 118 od str. 299, w którym zawiadamia król, iż Górnicki wyrachował się w zupełności przed podskarbim koronnym z dochodów i wydatków z starostwa Tykocińskiego, a to od dnia 1 stycznia 1576 r. do d. 31 grudnia 1577 r.; z lat dwóch i dlatego król udziela mu zupełne pokwitowanie. *Dowód ten obejmuje więc czas, kiedy włościanie mazurowscy zanieśli skargę przeciw niemu.* Że zaś w tym dyplomie przytoczone są jeszcze i inne szczegóły dotyczące tego starosty do jego uniewinnienia i zawarte w jego *opowiadaniu starosty*, z tego powodu

---

[1]) Porównaj dyplom pokwitowania poniżéj zamieszczony.

za powinność poczytujemy przytoczyć cały ten dowód w polskiém tłumaczeniu:

„Stefan z Bożéj łaski Król Polski i t. d. Niniejszém wiadomo czynimy wszystkim w ogóle i w szczególe komu na tém zależy, że Urodzony Łukasz Górnicki starosta Tykociński a Nasz sekretarz, w przytomności Marcina Podgórskiego pisarza Najjaśniejszéj Królowéj małżonki Naszéj najukochańszéj, złożył rachunki ze wszystkich po szczególe i w ogóle dochodów rzeczonego starostwa Tykocińskiego, z lat dwóch a mianowicie od d. 1 stycznia 1576 r., aż do dnia ostatniego miesiąca grudnia 1577 r. rozciągające się i zakończone. W których to rachunkach wedle rozporządzenia niegdyś Najjaśniejszego Henryka Króla, zamieściwszy pieniądze z rzeczonego starostwa w ciągu powyższych dwóch lat po złotych 867 groszy 20 denarów 9½ rocznie do skarbu Najjaśniejszéj Królowéj przypadające i za powyższe dwa lata summę złotych 1735 gr. 11 denar 1 czyniące, należycie wykazał, dostatecznie udowodnił i summę tę do skarbu N. Królowéj oddał i wniósł. Również kwotę jaką na przesyłkę i spławienie okrętami armat wojennych, prochu i kul z Tykocina do Malborga wyszafował. Nadto pieniądze na utrzymanie klasztoru Bernardyńskiego i na 12 żołnierzy pieszych w zamku Tykocińskim znajdujących się przez dwa lata wyż rzeczone wydzielił. Wreszcie pensye i żołd dla oznaczonych osób rozdał i wypłacił, jako to: Bokowskiemu nadzorcy namiotów, Augustynowi cieśli zamkowemu, Franciszkowi Rasocha puszkarzowi zamkowemu, oraz na przekształcenie domostw tak zamkowych jako i folwarcznych. Które to powyższe wydatki podług szczegółowego wykazania w rachunkach rzeczonych, czynią złotych 1735 gr. 11 denar 1, a zatém nic więcéj nie przynależy z tychże rachunków od starosty do skarbu N. Królowéj. Dlatego, spomnionego Łukasza Górnickiego z tychże rachunków starościńskich, z wymienionych lat dwóch uczciwie (integre) i dokładnie zrobionych kwitujemy i za godnego wiary ogłaszamy, mocą niniejszego dyplomu, który własnoręcznie podpisaliśmy. Dano w Warszawie dnia 12 marca roku Pańskiego 1578, panowania Naszego drugiego. (Podpisano) Stefan król ręką własną."

Cała więc ta sprawa zakończyła się najgodniéj i najszczęśliwiéj, bo król udzielając Górnickiemu powyższe pokwitowanie, przekonał się dotykalnie, że starosta Tykociński jakkolwiek oskarżony przez włościan, zupełnie uniewinnionym został; Górnicki zaś wyszedł z tego sporu z całą godnością obywatela miłującego swój kraj, bo przekonał monarchę iż nagrody udzielane mu przez Zygmunta Augusta, jakie w końcu zamieszczamy, były zasłużone i sprawiedliwe i że zarząd przez niego spełniany w starostwie Tykocińskiém, najmniejszéj plamie i uszczerbkowi nie uległ przez jego osobę.

Z następnego jeszcze dyplomu Batorego płynie dowód, że król ten po surowém postąpieniu względem Górnickiego wedle ówczesnych praw, chciał okazać Rzeczypospolitéj, iż jak z jednéj strony zarówno jako surowy sędzia baczyć będzie nad postępowaniem urzędników, tak

z drugiéj po przekonaniu się o ich prawości, umie po monarszemu hojnie i wspaniale wynagradzać. Oto dyplom nagrody dla Górnickiego, jaki znajdujemy w księdze metrycznéj 118 na str. 475, we Lwowie, w dniu 10 czerwca 1578 r. wydany po łacinie.

„Stefan z Bożéj Łaski Król Polski i t. d. wiadomo czynimy wszystkim w ogóle i w szczególe komu na tém zależy, iż gdy urodzony Łukasz Górnicki, starosta Nasz Tykociński, tak dotychczas toż starostwo posiadał, iż żadnego innego utrzymania z tegoż starostwa nie miał, tylko to, jakie mu ś. p. Zygmunt August przodek Nasz z dochodów rzeczonego starostwa Tykocińskiego wyznaczyć raczył, to jest dwie roczne pensye [1]), a resztę obracano na służbę i czeladź; że zaś wielkie zmiany w témże starostwie poczynione zostały, przez Naszych lustratorów wysłanych do Podlasia w czasie sejmu Koronacyjnego Naszego, tak dalece, iż więcéj już tychże pensyi nie będzie mógł pobierać, a nawet i tego co mu wypłacano corocznie dotąd a z czego Nasz skarb i Myśmy wieczyście go pokwitowali; dlatego zdało się Nam abyśmy jemu pewne i godne opatrzenie wyznaczyli, zanim coś znamienitszego obmyślimy. Z tych powodów niniejszym przywilejem udzielamy mu, dajemy i hojnie wyznaczamy te dochody, jakie starostowie mają pobierać podług rozporządzenia Najjaśniejszego Króla Henryka z tych starostw [2]), gdzie nie ma żadnéj juryzdykcyi sądowéj. O czém zawiadamiając wszystkich w ogóle i w szczególe, którym poruczony jest urząd pobierania dochodów ze starostw i utrzymywania rachunków a mianowicie: JW. Hieronimowi Bużeńskiemu z Bużenina obecnemu Koronnemu i w przyszłości będącym podskarbim, jak również i innym jakimkolwiek deputatom, bądź od Nas bądź od N. Królowéj najukochańszéj Naszéj małżonki wyznaczonym, lub wyznaczyć się mającym, rozkazujemy, aby odtąd rzeczonego Łukasza Górnickiego starostę Tykocińskiego, nie zmuszali do zdawania rachunków, ale raczéj pobierając od niego pieniądze, utrzymać go mają przy rozporządzeniu króla Henryka i dokładali w tém starań, za poprzedniém jednak rozpatrzeniem regestrów lustratorskich. W dowod czego, niniejszy mandat ręką Naszą podpisaliśmy i Naszą pieczęć do niego zawiesić rozkazaliśmy. Dano we Lwowie d. 10 czerwca roku Pańskiego 1578, panowania Naszego roku trzeciego. Podpisano Stefan Król."

Nie możemy lepiéj zakończyć dzisiejszéj naszéj pracy, jak ogłoszeniem po raz pierwszy z metryk dwóch nagród, przez Zygmunta Augusta Górnickiemu udzielonych. Są one także wspominane i w dyplomie Stefana Batorego z d. 10 czerwca r. 1578 wyżéj przytoczonym, dlatego, jako chlubę przynoszące tak znakomitemu pisarzowi i do biografii jego niezbędne, w tłumaczeniu ogłaszamy w osnowie następującéj:

---

[1]) Poniżéj przytaczamy dowody.

[2]) Mimo troskliwych poszukiwań nie mogliśmy tego rozporządzenia wynaleźć.

I.

Roczna pensya dla Urodzonego Łukasza Górnickiego.

(ks. metr. 95 karta 511).

Zygmunt August Król Polski i. t. d. Wiadomo czynimy i. t. d., jako mając wzgląd na wierne służby Urodzonego Łukasza Górnickiego, jakie już od wielu lat Nam okazywał na pisarstwie w Kancellaryi Królewskiéj, już to za kanclerstwa Wielebnego niegdyś Samuela Maciejowskiego biskupa Krakowskiego, jak również za podkanclerstwa Najprzewielebniejszego ojca w Chrystusie p. Jana Przerębskiego arcybiskupa Gnieznieńskiego prymasa Naszéj Korony a wreszcie dotąd jeszcze nie przestaje okazywać przy zawiadywaniu Naszą biblioteką, którą jemu powierzyliśmy; postanowiliśmy dać jemu i udzielić roczną pensyę w ilości sto czerwonych złotych węgierskich [1]), a to z dochodu corocznie do skarbu Naszego wpływającego, tytułem stacyi Królewskiéj od żydów Krakowskich i która obecnie jest wakującą przez śmierć Wielebnego Rafała Wargawskiego proboszcza Krakowskiego, a zarazem kustosza Naszego Skarbu. Jakoż niniejszym dyplomem nadając Łukaszowi Górnickiemu i udzielając tęż pensyą aż do śmierci, w takiéj ilości rocznie do pobierania; przyrzekamy słowem Królewskiém, że i My i nasi N. N. następcy, dopóki spomniony Łukasz Górnicki żyć będzie, rzeczonéj płacy nigdy nie będziemy co do niego zmieniali, komu innemu udzielali, albo na inny jaki użytek, bądź Nasz bądź Rzeczypospolitéj chociażby gwałtowny, nie będziemy obracali; ale raczéj tak My, jako i następcy Nasi, dozwalamy mu używania rzeczonéj płacy, dopóki tylko przy życiu zostawać będzie. O czém zawiadamiając w ogóle i w szczególe komu na tém zależy, mianowicie zaś niewiernych Seniorów i całą gminę żydowską w Krakowie, rozkazujemy, aby rzeczoną pensyę w zupełności, w oznaczonym już czasie do wypłaty wyliczali i wypłacali temuż Łukaszowi Górnickiemu, zawiadującemu Naszą biblioteką, a to bez żadnéj zgoła trudności lub zwłoki, dopóki tylko tenże żyć będzie. My zaś w przyszłości co do tego dochodu uważać będziemy, jak gdyby do Naszego skarbu był opłacony, przyjmując kwit tegoż Urodzonego Łukasza Górnickiego za gotowiznę. W dowód czego niniejszy przywilej ręką naszą podpisaliśmy. Dano w Wilnie w sam dzień Wniebowstąpienia Pańskiego (dnia 15 maja) roku Pańskiego 1561. (podpisano) Zygmunt August Król.

II.

(ks. metr. 100 karta 266.)

Zygmunt August z Bożéj Łaski Król Polski i t. d. wiadomo czynimy wszystkim w ogóle i w szczególe komu na tém zależy, że przekonawszy się o wiernych usługach i nieustających pracach, Urodzonego

[1]) Dziś przeszło Złp. 3000, blisko Rs. 500.

Łukasza Górnickiego zarządcy Naszéj biblioteki, które Nam od wielu już lat bezustannie i sumiennie spełnia, pragnąc zaś ażeby w przyszłości tenże okazywał się w usługach dla Nas, tém usilniejszym i ochotniejszym, postanowiliśmy temuż nadać i udzielić coroczną pensyę 200 złotych w monecie zwykłéj koronnéj [1]) a to z dochodów skarbu Naszego w ten sposób, jak niniejszem nadajemy i udzielamy dla Urodzonego Łukasza Górnickiego, corocznie aż do śmierci jego mającą się pobierać na Boże Narodzenie, począwszy od tegorocznego już zbliżającego się, pod warunkiem jednak, iż obowiązany jest w służbie Naszéj pozostawać. O czém wiadomo czyniąc wszystkim komu na tém zależy a mianowicie JW. Stanisławowi Sobkowi z Suliciowa Kasztelanowi Sandeckiemu i Podskarbiemu Koronnemu, jak niemniéj w przyszłości będącym Podskarbiom, rozkazujemy niniejszym dyplomem, iżby rzeczoną pensyę po 200 złotych rocznie rzeczonemu Łukaszowi Górnickiemu, dopóki tylko przy życiu pozostawać będzie, na każde Boże Narodzenie zacząwszy od tegorocznego już zbliżającego się wyliczali i wypłacali, bez żadnéj zwłoki i trudności, oraz starali się aby w tém tak postępowano. Który to wydatek na mocy kwitów pozyskanych uważać będziemy za usprawiedliwiony. Dano w Lublinie na sejmie walnym dnia 27 miesiąca sierpnia roku Pańskiego 1566.

W podróży naszéj w miesiącu wrześniu r. b. odbytéj do Krakowa, przekonaliśmy się że z innego źródła bo z akt grodzkich krakowskich ogłoszono już po łacinie w r. 1872 w Dodatku do Gazety Lwowskiéj rok I tom I str. 121 przywilej Zygmunta Augusta z d. 15 maja r. 1561 wyżéj przytoczony, Zawdzięczamy również p. Żegocie Paulemu wiadomość o Górnickim, że w rzeczoném piśmie T. I str. 173 i 174 znajdują się dwa dyplomy Zygmunta Augusta, nadające Górnickiemu w nagrodę jego prac dwie jeszcze pensye w r. 1560 d. 21 czerwca po Mikołaju Ocieskim opartą na Wojniczu, 2-gą w r. 1561 dnia 13 lutego w ilości złp. 100 z dochodów cła krakowskiego. Tym sposobem podług zebranych dotąd źródeł, Górnicki miał swój byt hojnie i szczodrze przez królów polskich zapewniony, bo nielicząc dochodów znacznych z starostwa Tykocińskiego przyznanych przez Batorego, miał sobie od Zygmunta Augusta trzy pensye dożywotnie nadane. Widzimy więc że monarchowie polscy wspaniale wynagradzali uczonych.

Tym sposobem pracą dzisiejszą znacznie zaokrągliliśmy żywot zacny jednego z najsłynniejszych pisarzy naszych z epoki Jagiellońskiéj. Przy zebraniu zaś porozpraszanych szczegółów, jakie nam już ogłosili Trębicki, Aleksander Przezdziecki i p. Gloger w Bibliotece Warszawskiéj, niemniéj inni autorowie po różnych pismach i dziełach, jużby spory tom powstał żywota Górnickiego. Co skupiwszy z poglądem i rozbiorem szczegółowym jego prac, utworzyć już może poważne dzieło, do skreślenia i wydania którego zachęcamy najusilniéj miłośników przeszłości naszéj.

---

[1]) Dziś blisko Złp. 2000 czyli Rs. 300.

W razie zaś, jeżeli grób jego w Tykocinie zostanie odnowiony, czego mamy prawo spodziewać się, rzeczone dzieło stanie się najwspanialszą pamiątką uczczenia jego popiołów, o które cienie tego pisarza po trzechwiekowém zapomnieniu sprawiedliwie dopominają się. Dochód zaś z rozprzedaży tego dzieła, mógłby posłużyć na wzniesienie projektowanego pomnika.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Tyrol i Tyrolczyki: Andreas Hoffer.—Słowianie tureccy: Bośnia i Hercegowina, według Geografii Powszechnéj Elizeusza Reclus.—Dzieło p. Dozon: Pieśni ludu Bulgarskiego, wydane w Wiedniu z tekstem oryginalnym.—Rozboje we Włoszech, od najdawniejszych czasów aż do dni naszych, przez Armanda Dubarry.—Pornokracya, czyli kobiety nowoczesne, dzieło pośmiertne Prudona.—Psychologia ludów nowożytnych, dzieło pośmiertne Filareta Chasles.—Pieniężna piekarczyka, komedyo-opera pp. Meilhac i Halevy, z muzyką Offenbacha.—Nowe powieści Georges Sand: Flamarande i Dwaj Bracia.—Poszukiwania Stanleya w Afryce Środkowéj.—Dwa dzieła alegoryczne: Republika Marcina p. Rambaud, i Podróż Lorda Humour do kraju Retrogradów p. Thiaudiere.—Pomnik Roberta Bruce w Stirlingu.—Dykcyonarz Littrego, w jednym tomie, skrócony przez professora Beaujeau.—Dykcyonarz starożytności greckich i rzymskich.—Zmarły rzeźbiarz Jan Carpeaux.—Posiedzenie doroczne pięciu Akademii, składających Instytut Francuzki.

Zaczynamy kronikę naszą, po powrocie z Tyrolu. Stoją nam jeszcze w oczach te olbrzymie góry, zasiane na południowym stoku szczątkami baszt i zamczysk feudalnych; stoi nam w oczach ta droga żelazna, poprowadzona po krawędzi Brenneru, o cztery tysiące stóp po nad poziomem; jeden z najwyższych tryumfów geniuszu ludzkiego; stoi nam w myśli ten lud pracowity, uczciwy, przywiązany do odwiecznych swych tradycyi, zachowujący wraz z malowniczym strojem, wiarę i obyczaj naddziadów, co go przecież wcale nie powstrzymuje w szybkim rozwoju bogactw materyalnych. Nie mamy wcale zamiaru kreślić wrażeń podróży naszéj, trudno nam jednak wstrzymać się od rzucenia kilku słów o tym zakącie ziemi, który wraz z zamieszkującym go ludem, przytulony do serca Alp, zachował dotąd tak wybitną indywidualność.

W ciągu kilkotygodniowego pobytu w Meranie, oplecionym wkoło wieńcami winogradu, skąpanym w promieniach słońca nie przyćmio-

nego chmurą, mieliśmy sposobność poznać nieco Tyrol i Tyrolczyków. Na widok tego kraju, stanowiącego z ościenną mu Szwajcaryą, zupełną jedność pod względem geograficznym, na widok tego ludu, tak ściśle w porządku etnograficznym połączonego z sąsiedniemi Szwajcarami, uderzyła nas przedewszystkiem myśl, dziwnie zrazu ciemna i zagadkowa. Dlaczego, pytaliśmy sami siebie, dwa ludy tak blizkie krwią, żyjące pod wpływem jednakiéj miejscowości, tak odrębnemi tory wyżłobiły osobistość swoję na karcie europejskich dziejów? Dlaczego Szwajcarya wydała Tella, tak wrogiego Habsburgom, a Tyrol Andrzeja Hoffera, gorącego ich zwolennika? Na to pytanie tak dla nas ważne, nie znaleźliśmy odpowiedzi ani w słowie ludzkiém, ani téż w żadnéj książce. Pytaliśmy więc tych napół zwalonych baszt, sterczących na skałach jakoby sępie gniazda, i tu błysło nam światło. Rzucamy nasz domysł jako hipotezę.

Tak w Szwajcaryi jak i w Tyrolu, feudalizm ciężył zarówno ludności, tu i tam równie krwawemi rysami upamiętnił się w dziejach. Habsburgowie, zrodzeni w Szwajcaryi, gdzie istnieją dotąd liczne zamczyska, znane pod ich imieniem, ciężyli tam nad ludem jako feudalni panowie, a wasale cesarstwa. W Tyrolu inną była ich rola. Tu występują oni sami, w dostojeństwie cesarzów; zwierzchnia ich władza ma względem ludu charakter dobroczynny, pod ich tarczą, chroni się ów lud, uciśnięty jarzmem feudalizmu, w nich znajduje opiekunów i mścicieli. Szwajcarzy w imię wolności, dla zabezpieczenia własnych swobód, walczą przeciw Habsburgom; Tyrole dla zabezpieczenia swoich, tulą się pod ich skrzydła.

Miłość Tyrolczyków ku Habsburgom, objawiła się w bohaterski prawdziwie sposób, w początkach tego wieku, kiedy Napoleon po wielkiém zwycięztwie nad Austryą, zmusił ją traktatem presburskim do ustąpienia Tyrolu, sprzymierzonéj z nim Bawaryi. Iskra elektryczna przebiegła, serca wszystkie uderzyły jedném uczuciem, jedną myślą. Nienawiść ku Bawarom tkwiła tradycyjnie we krwi Tyrolów. Górale oddzieleni od świata, dłużéj niźli mieszkańcy pól, zachowują pamięć doznanych krzywd i zniewag. Wypadki przepomniane w dziejach, zatarte na pargaminowych kartach starych kronik, pozostały w pamięci ludu wypisane ognistemi zgłoskami. Pamiętali Tyrolczycy, że za krwawych wojen Karolowingów, możnowładcy bawarscy pochwycili kraj ich w twarde szpony; oni to pobudowali te zamczyska, z których jeden sterczy dotąd po nad Meranem, istne widmo grobowe. To gniazdo usłali obcy przybysze, mieniący się hrabiami na Tyrolu; z tych wyżyn spadali na lud niby żarłoczne sępy, tam ostatnia z ich rodu sławna Maultasz wyprawiała wszeteczne biesiady, wołające o pomstę do nieba.

Na wiadomość o pokoju presburskim, rozpacz ogarnia Tyrolczyków. Po chwili jednak, podnoszą wzrok na okoliczne góry i nadzieja wstępuje do ich serca. Gdzież znaleźć warownię najeżoną tak groźnemi basztami, jak odwieczny ich Brenner zbudowan ręką Bożą? W tak potężnym nastroju ducha, występuje na widownię człowiek, który

miał się stać najwyższym wyrazem pragnień i dążności ogólnych. Był nim Andrzej Hoffer.

Syn ubogiego karczmarza, prosty wieśniak tyrolski, Andrzej odznaczał się między braćmi atletyczną postawą ciała i blaskiem czarnych wyrazistych oczu, nakazującym poszanowanie. Od młodu służył w wojsku: podczas wojny z Francyą bił się ponad jeziorem Garda. W dniu kiedy pokonana Austrya zawarła traktat w Presburgu, powrócił do ogniska, zawiesił karabin na ścianie i jak ojciec został karczmarzem, przybrał się wtedy w strój narodowy, którego do śmierci nie opuścił. Nosił wysoki śpiczasty kapelusz, przystrojony piórem bażanta, ciemny kaftan na ponsowéj kamizeli, pokrytéj zielonemi szelkami, krótkie do kolan spodnie i czerwone pończochy, dopełniały malowniczego stroju. Za powrotem do domu zapuścił brodę; ta nietknięta już nigdy brzytwą, za lat kilka sięgnęła mu do pasa.

Gospoda Hoffera, o mil trzy od Meranu, na dolinie Passeyer, otoczonéj górami ściągała do siebie tłumy ludu, tak z bliższych jak z dalszych okolic. Andrzej hamował zbyteczny zapęd braci. Poczucie własnéj siły czyniło go cierpliwym; czekał, pewien że uderzy godzina. Zna on całą ważność Tyrolu, wié, że od czasów niepamiętnych, droga przez Brenner była główną linią strategiczną, wiodącą z Niemiec do Włoch; wié niemniéj że Austrya zmuszona teraz oddać Tyrol sprzymierzeńcom Napoleona, prędzéj czy późniéj powoła wiernych Tyrolczyków, aby przeciąć drogę zwycięzcy. Hoffer, nie chcąc działać na oślep, udaje się potajemnie do arcyksięcia Jana, niegdyś wielkorządcy Tyrolu, widuje go w Styryi, pozyskuje zupełną jego ufność; czeka gotów na pierwsze hasło.

Uderzyła wreszcie godzina. Wieść o wojnie przebiega wąwozy Brenneru, porusza gwałtownie Tyrolczyków. Gospoda Hoffera staje się dla nich tém, czém było niegdyś Grütli dla towarzyszów Tella. Hoffer pośpiesza do Gratz, powraca z nominacyą na głównego dowódcę sił narodowych. Wszyscy wiedzą o tajemnicy, wszyscy oprócz Bawarów, konsystujących po miastach i miasteczkach. Nie znalazł się zdrajca w Tyrolu.

W noc 10 kwietnia roku 1809, wybucha nareszcie powstanie. W wigilią dnia tego, spuszczono z prądem potoków trociny i szczapy drzewa z chorągiewkami. Okrzyk *jutro!* rozlega się po górach. Wieczorem zapalono ogniska. Lud przebiega wąwozy i krawędzie gór z płonącą głownią w ręku, hyżym pędem zbiega w doliny.

Hoffer staje na czele; olbrzym przerasta głową braci. Przy nim występuje dzielny Speckbaker, przezwan „djabłem ognistym.” Kapucyn Haspinger z krzyżem w ręku, powołuje lud przeciw antychrystowi: tak zwał Napoleona.

Po pierwszém starciu, oddziały bawarskie uciekają za Brenner. Nazajutrz Hoffer w piętnaście tysięcy górali, oblega Insbruk. Tyrole walczą jak lwy; zdobywają armaty, wdzierają się do miasta. Generał Bisson zmuszony kapitulować przed chłopami.

Austrya zapanowała w Tyrolu, dzięki śmiałym powstańcom. Wkrótce jednak zmienia się postać rzeczy. Następuje klęska pod Wagram, a wnet po niéj zawieszenie broni w Znaimie. Pokonana Austrya ,przyrzeka opuścić Tyrolczyków, usunąć z pomiędzy nich oddziały regularnego wojska.

Wieść ta gromem przebiega po Tyrolu; rozpacz ogarnia serca! Dzielny Speckbaker łamie szpadę, druzgocze o skałę karabin. „Wszystko przepadło! woła z najwyższą boleścią, jakten oręż, tak zdruzgotana biédna ojczyzna moja!“

Kapucyn Haspinger chroni się do klasztoru, sterczącego na górze Klassen. Oddziały rzucają broń. Sam tylko Hoffer nie upada na duchu. Kiedy nieprzyjaciel zajął Insbruk i z wielką siłą drze się na Brenner, dzielny wódz góralów postanawia uczynić ostatnie wysilenie. Zwołuje rozpierzchłych, w sercu ich rozpala zgasłą iskrę. Na czele wiernéj garstki zbiega południowym stokiem Brenneru; kapucyn i Speckbaker pośpieszają w ślad za nim. Na dolinie Passyer Tyrole poprzysięgają zwyciężyć albo umrzéć. Rozstawieni w wąwozach oczekują na hasło.

Tymczasem, przednia straż marszałka Lefebre, złożona z korpusu sasko-francuzkiego, posuwa się spokojnie naprzód. Idzie bez oporu za przednią strażą korpus cały, wciska się w długi wąwóz. Nagle rozgrzmiał okrzyk: „przeciąć drogę!“

Straszliwy łoskot odpowiada na hasło. Drzewa i złomy skał, popodcinane przez Tyrolów, trzymane dotąd na linach, walą się z góry, gniotą Sasów na miazgę. W dolinie jęki konających, na górze okrzyki radości! Ze wszystkich załomów wybiegają Tyrole, zbrojni w noże i karabiny. Szał ogarnia serca, niewiasty i dzieci pędzą śladem mężów i ojców. Okrzyk tryumfu przebiega od gór do gor! Korpus Lefebra porzuca działa i amunicyą, cofa się przez Brenner do Insbruku. Andreas Hoffer dalejże za nim w pogoń. Po ośmiodniowych walkach, staje obozem na dolinie.

Tyrolczykom nie wytrwać długo bez ogniska; zatęsknili do żon i do dzieci, poczęli się rozchodzić. Widzi to Hoffer, rozkazuje bić w bębny.

— Bracia!— zawoła—czasże wam powracać do domostw, kiedy stopa wroga depcze ojczystą ziemię naszą? Uderzmy nań dziś jeszcze. Śmierć nam albo zwycięztwo!

— Śmierć albo zwycięztwo! powtarza tysiące głosów. Andrzej Hoffer, z głową odkrytą, z mieczem podniesionym, góruje po nad tłumem.

O świcie kapucyn odprawił mszą, poczém dosiadł konia, dobywa oręż z pochwy, prowadzi prawe skrzydło do boju. Spekbaker dowodzi skrzydłem lewém. Hoffer na czele głównego oddziału, rusza prosto na Insbruk. Ten dzień najwyższą okrył go chwałą.

— Naprzód! Bóg z nami! woła na swoich. Głos wodza budzi nieporównany zapał. Na wałach grodu walka rozpoczyna się wście-

kła. Marszałek Lefebre zniechęcony opuszcza znowu miasto. Nazajutrz Hoffer wchodzi w tryumfie do stolicy.

Insbruk z uniesieniem radości wita oswobodziciela. Ludność cała tłoczy się w około niego, obwołuje go Dyktatorem Tyrolu. Hoffer spokojny po zwycięztwie, z miłością pogląda na braci.

— Dość tych okrzyków—zawoła—módlmy się!

I zsiada z konia przed kościołem Franciszkanów, wchodzi do przybytku, klęka u grobu Maksymiliana, uderza w ziemię czołem.

Gdy ma wyjść, starszyzna miejska zastępuje mu w progu, składa najgorętsze dziękczynienia. Andrzej Hoffer z całą prostotą przyjmuje bratnie hołdy.

— Przysięgam na brodę moją—zawoła rozrzewniony—nie ja to ocaliłem kraj; zwycięzcą tutaj sam Bóg!

Dyktator Tyrolu, po dwakroć oswobodziciel kraju swego, pozostał czém był, prostym tyrolskim wieśniakiem. Wyroki jego wszystkie nacechowane głęboką wiarą religijną. Strzegł pilnie czystości obyczajów; zakazał wszelkich biesiad publicznych. Z czasów jego władzy, pozostała moneta z orłem tyrolskim, drogo ceniona w kraju.

Cesarz przysłał Dyktatorowi trzy tysiące dukatów i medal za zasługę wojenną. W dniu imienin cesarskich, w kościele Franciszkanów, celebrujący kapłan zawiesił łańcuch z tymże medalionem, na szyi dzielnego zwycięzcy. Andrzej klęcząc u stóp ołtarza, rozpłakał się rzewnie. Wszyscy obecni zapłakali z nim razem. Był to ostatni dzień tryumfu!

Pogromca świata, pokonany przez chłopów tyrolskich, uderzył z całą siłą na ich kraj, od Włoch i Bawaryi. Hoffer, zmuszony opuścić Insbruk, schronił się na wyżyny Brenneru. Liczył na wojsko, oczekiwał posiłków. Napróżno! pokój podpisany w Wiedniu, zakończył długą wojnę.

Hoffer nie wierzy w pokój. „To fałsz! to być nie może!“ woła z oburzeniem. Odbiera list od arcyksięcia Jana: nie dowierza mu jeszcze. „To pismo podrobione, jakaś piekielna matnia!“ Tyrole zmordowani wysileniem, rozbiegają się tłumnie do domów. Hoffer z garstką wiernych prowadzi daléj walkę.

Smutna prawda staje mu wreszcie przed oczyma. On nie ustąpi, lecz krwią braci szafować mu nie wolno. Zwołuje wiernych druhów. „Do widzenia bracia moi, rzecze spokojnie, Tyrol jeszcze nie zginął!“

Pozostał sam: na głowę jego naznaczono okup. Odtąd ścigany jak jeleń obławą, przepędzany od skały do skały kryje się w rozpadlinach gór, albo w ostępach leśnych. Przedziera się wreszcie na rodzinną dolinę Passyer, w okolice Meranu. Tu na wierzchołku góry, wiecznym pokrytéj śniegiem, znalazł bezpieczną ustroń. Kilka miesięcy przemieszkał w szałasie z żoną i młodym synem. Nikczemnik jeden, znęcony zapłatą, wyśledził ukrycie Hoffera, naprowadził nań oddział żandarmów włoskich, i kompanią wojska francuzkiego.

Hoffer spał. Syn posłyszawszy chrupotanie butów po śniegu, przybiega strwożony do ojca.

— Wszystko przepadło! zawoła Hoffer; zrywa się z garści słomy, co żywo wybiega z szałasu.

— Oto jestem! zabijcie mnie, rzecze, ale przebaczcie moim: oni niewinni!

Nie był to już ów Tytan, gotów sam jeden rzucić się na tysiące. Umysłem zawsze krzepki, ale skurczony mrozem, złamany boleścią, poddał się bez oporu. Z głębokim spokojem wyciągnął obie ręce, pozwolił okuć je w łańcuchy. Uprowadzono go z żoną i synem do Meranu, a następnie do Botzen. Oddział składał się z dwóch tysięcy ludzi; lękano się powstania Tyrolczyków.

Baraguay d'Hilliers, dowódca sił zbrojnych w południowym Tyrolu, pamiętny jak Hoffer obchodził się łagodnie z jeńcami, kazał rozkuć go z więzów, wrócił wolność żonie i synowi. Nastąpiło ostatnie pożegnanie: Hoffer zalecał swoim ufność w Bogu.

Z Botzen przeprowadzono jeńca do Mantui. Tu sąd wojenny ogłosił niebawem wyrok śmierci. Andrzej Hoffer spokojnie wysłuchał wyroku. Nakreślił testament, polecił w nim żonie pamięć o jego duszy. Pożegnał towarzyszów z którymi walczył i zwyciężał, zalecił im ufność w przyszłe losy Tyrolu. Słowa kończące testament, ukrywają ciężki żal do Austryi.

„Żegnam cię, pisze, godny pogardy świecie! Dla uczciwego człowieka, śmierć tak małą jest rzeczą, że w chwili gdy cię opuszczam, nie znajduję nawet łzy żalu!"

W dniu 20 lutego 1810 roku, o jedénastéj rano, pluton żołnierzy wyprowadził z twierdzy Hoffera. Śmiałym krokiem poszedł delikwent na plac egzekucyi. W dziedzińcu spostrzega jeńców tyrolskich. Na widok wodza idącego na śmierć, klękają wszyscy z najwyższą boleścią.

— Pobłogosław nam ojcze! —wołają, zanosząc się od płaczu.

Hoffer wyciąga do nich obie ręce, kreśli znak krzyża nad ich głową.

— Bóg wielki!—rzecze—zaufajcie mu bracia moi!

Żołnierze francuzcy zapłakali rzewnie na ten widok.

Pluton zatrzymał się u Porta Ceroza. Dwunastu grenadyerów występuje naprzód, Hoffer odrzuca chustkę z twarzy, patrzy im oko w oko.

— Strzelaj dobrze!—wyrzecze do kaprala, wsuwając mu w rękę ostatni pieniądz.

Dano ognia, Hoffer upadł na ziemię. Żołnierze ponieśli zwłoki do kościoła Św. Michała, gdzie odbyło się żałobne nabożeństwo.

Według ostatniéj woli skazanego, pochowano ciało w ogrodzie przyjaciela, księdza Manifesti; on to przyjął ostatnią jego spowiedź.

Taki koniec smutny epopei tyrolskiéj, któréj Andrzej Hoffer pozostał bohatérem.

W piętnaście lat potém, w 1824, trzej Tyrolczycy, oficerowie z pułku strzelców, oburzeni na widok zwłok zasłużonego męża, pogrzebanych w ziemi obcéj, umyślili wykraść je i powrócić ojczyznie. Cicho, wśród nocy w zmowie z księdzem Manifesti, wykopali trumnę, przewieźli ją do Botzen. Wieść o tém rozbiegła się po górach, serca Tyrolów gwałtownie uderzyły. Z gór okolicznych zbiegli tłumnie dawni towarzysze; przez wąwozy Brenneru i Itzelberga, przenieśli trumnę do Insbruku, złożyli ją w klasztorze. Nadszedł dzień przeznaczony na uroczystość pogrzebową. Deputacye ze wszystkich miast i wsi tyrolskich przybyły do kościoła Franciszkanów. Dwunastu starszych niosło trumnę. Na trumnie złożono kapelusz, szpadę, ordery i herb wielkiego patryoty; cesarz bowiem uczcił go klejnotem szlachectwa.

W tymto kościele zbudowano wspaniały pomnik Andrzejowi Hoffer. Rzeźbiarz tyrolski wykonał go z miejscowego marmuru. Dzielny wódz, w stroju narodowym, stoi z karabinem, jakby czuwał na straży kraju swego. Naprzeciw grobowca wzniesiono późniéj inny pomnik: na cześć mężnych towarzyszów Hoffera, którzy zasieli kośćmi swemi głębokie wąwozy Brenneru!

Hoffer panuje nad Tyrolem, tak samo jak Wilhelm Tell panuje nad Szwajcaryą. Wielka ta postać przeszła już do legendy. Kto wié, czy za jakie lat trzysta, nie przyjdzie na myśl uczonym racyonalistom, usiłującym odrzucić wszelkie tradycye, aby zaprzeczyć mu rzeczywistego bytu, jak go dziś zaprzeczają helweckiemu Tellowi, jak go zaprzeczają naszym bogobojnym Duninom, że pominiemy innych!

Lud tyrolski tymczasem, całém bogactwem fantazyi opromienia pamięć Hoffera. Opowiada on, jak w chwili gdy przyszedł na świat bohatér, widziano po nad domem grupę gwiazd, skupioną w kształcie miecza. Dom ten otoczony wieńcem drzew, położony nad rzeczką Passer rozbijającą się z hukiem o skały, celem jest bezustannych pielgrzymek; lud ogląda w nim ze czcią malowniczy ubiór Hoffera, czyta testament, skreślony jego ręką, zawieszony w ramach na ścianie.

Na fajkach wieśniaków tyrolskich, widzimy piękne oblicze wodza, z długą do pasa brodą. Obok niego czerwony orzeł tyrolski, rozwija lotne skrzydła. Niekiedy pod orłem czytamy sześciowierz, skreślony piórem miejscowego poety:

Orle! co strzeżesz Tyrolów ogniska,
Czemu twa głowa szkarłatem połyska?
— Czemu pytacie? oh! bo ją czerwieni
Jaskrawy odblask słonecznych promieni,
Wino z ziemicy téj błogosławionéj,
I z piersi wroga potok krwi stoczonéj!

Ostatnie wypadki zaszłe w Słowiańszczyznie tureckiéj zwróciły na te ludy powszechną uwagę nietylko polityków i ekonomistów, ale niemniéj historyków i etnografów. W wielkiéj liczbie broszur i roz-

praw dziennikarskich, częstokroć napotykamy przesadę. Łatwo to wytłumaczyć namiętnym sądem stronnictw, biorących udział w sprawie. My nie wdając się w spory, przedstawimy tu kilka rysów dotyczących Bośnii i Hercegowiny, z ostatnich zeszytów wielkiéj publikacyi Elizeusza Reclus p. t. *Nowa Geografia powszechna*, o któréj rozpoczęciu wspominaliśmy niedawno. Uwagi geografa pisane przed wojną, więcéj mają znaczenia, niż dorywcze broszury, wywołane jéj wpływem.

Mieszkańcy Alp Illiryjskich są w ogólności Słowianami, mówi Reclus, z wyjątkiem żydów, Cyganów, oraz małéj liczby kupców, urzędników i żołnierzy tureckich, przebywających po większych miastach Bośnii. Przy granicy austryackiéj w Krainie, ludność mieni się kroacką i jest nią w rzeczy saméj, mało się jednak różni od sąsiadów swoich Serbów bośniackich i Raców, czyli Słowian z Rascyi, tworzących dziś Sandżak Nowibaru. Ten ostatni zakąt jest klassyczną ziemią pieśni i podań, w których lud serbski przechowuje drogocenną puściznę narodową.

Mieszkańcy Hercegowiny, najlepiéj zachowali odrębny typ i plemienną swoją charakterystykę. Pochodzą oni prawdopodobnie od migracyi Słowian nadwiślańskich, przybyłych tu w ciągu VII wieku. Równie jak sąsiedzi ich Czarnogórcy, mówią żywiéj niż właściwi Serbowie; wyrażają się téż w sposób odrębny. Wiele wyrazów włoskich wcisnęło się do ich języka.

Jakkolwiek Bośniacy związani między sobą pochodzeniem plemiennem, rozdziela ich przecież religia. Rozdwojenie to głównym jest powodem ich politycznéj niewoli. Na pierwszy rzut oka, zdaje się rzeczą dziwną, dlaczego Słowianie bośniaccy nie potrafili zrzucić jarzma muzułmańskiego, jak bracia ich Serbowie? Siedziby Bośniaków, daléj przecież położone od stolicy państwa a co ważniejsza opasane wałem gór niedostępnych, stanowią bezpieczną warownię. Klimat sam wspierać powinien Bośnię przeciwko Turkom, ostrzejszy tu bowiem niż na całym półwyspie, z powodu stoków pochylonych przeważnie ku północy, i gór wstrzymujących ciepłe prądy powietrzne. A jednak mimo tak korzystnych warunków, wszystkie powstania przeciw Turkom, kończyły się na niczem. Przyczyną tego, nienawiść wzajemna muzułmanów i chrześcijan bośniackich, jak niemniéj zacięta nienawiść ku sobie chrześcijan greckiego i rzymskiego wyznania.

Muzułmanie bośniaccy, wspierani przez Osmanlisów są zarówno Słowianami, jak i Bośniacy chrześcijanie, mówią także po serbsku, lubo język ich zepsuty wielką liczbą wyrazów tureckich. Są to potomkowie szlachty, zmuzułmanionéj w końcu XV i początkach XVI wieku, dla ocalenia przywilejów feudalnych. Niektórzy pochodzą wprost od sławnych rozbójników, którzy poturczyli się aby plądrować bezkarnie po wąwozach. Reszta zaś pochodzi od sług i domowników szlachty, zmuszonych gwałtem do odstępstwa. Apostazya wzmocniła władzę panów, nad nieszczęśliwym ludem. W skutek nienawiści kastowéj i religijnéj, przeszli oni wkrótce fanatyzmem samychże Ottomanów,

i narzucili na chrześcijańską ludność jarzmo najtwardszéj niewoli. Pokazują dotąd u bram Serajewa dziką gruszę, na któréj starszyzna wieszała nieszczęśliwych rajasów. Bośniacy muzułmanie, tak bejowie jak spahisy, tworzą najwstecznieszy żywioł w całém państwie. Nieraz już, a mianowicie w roku 1851, sami Ottomanie zmuszeni byli wystąpić zbrojno przeciw swym barbarzyńskim współwyznawcom, na pożytek poddanych chrześcijańskich. Miasto Serajewo, oddane pod wyłączną opiekę sułtanki matki, używało nadzwyczajnych przywilejów. To miasto tworzyło jakoby państwo w państwie, nienawistniejsze chrześcijanom niżeli sama Porta.

Do dziś dnia, muzułmanie bośniaccy zajmują rozległe posiadłości ziemskie. Ziemia podzielona tu na *spahiliki*, przechodzące dziedzicznie, jednak nie na prawie starszeństwa, ale raczéj na prawie wyboru. Rodzina wybiera z pomiędzy siebie, albo najstarszego wiekiem, lub też najdzielniejszego w razie wojny. Chłopi chrześcijanie pracują dla muzułmańskich panów, już nie jako poddani przywiązani do gleby, lecz jako najemnicy. Przeciążeni pracą uciekają od roli, a zajmują się handlem. Po większych miastach handel zarówno jak lichwa spoczywa w ręku żydów hiszpańskich, którzy zachowali tu odrębną indywidualność swoję. Mówią po hiszpańsku, i z synowską miłością wspominają dotąd kraj niegdyś zamieszkiwany.

Liczba muzułmanów w Bośnii, stanowi dziś trzecią część ludności ogólnéj. Żywioł mahometański pozostaje w stagnacyi, gdy tymczasem ludność chrześcijańska zwiększa się z każdym rokiem.

Wszyscy Bośniacy bez różnicy sekt i religii, posiadają też same zdolności wrodzone, jak współplemienni im Serbowie. Otwarci są i gościnni, odważni w boju, pilni w pracy, oszczędni, zamiłowani w poezyi, wierni w uczuciach przyjaźni i miłości. Małżeństwo u nich w wielkiém poszanowaniu, nawet muzułmanie bośniaccy odrzucają wielożeństwo pozwolone koranem; niewiasty ich używają względnéj swobody, w północnéj tylko Bośnii kobiéta chroni się pilnie oczu ludzkich; kiedy wychodzi z domu obwija się tak szczelnie w białą zasłonę, że podobniejsza do widma niż do ludzkiéj postaci.

Obok wrodzonych zalet, ileż tu barbarzyństwa, ile ciemnoty, zabobonów i fanatyzmu, tak u chrześcijan jak i u mahometanów! Bezustanne wojny, tyrania z jednéj, niewola z drugiéj strony oddziałać musiały na obyczaje. Odgrodzeni od świata górami i lasami, pozbawieni dróg i gościńców, Bośniacy żyli dotąd zdaleka od wszelkich wpływów cywilizacyjnych. Nie mają wcale szkół, gdzie niegdzie tylko klasztor przygarnia drobną dziatwę. Dodajmy do tego niesłychane nadużycie śliwowicy, a zrozumiemy smutny stan umysłowy tego ludu. Obliczono że każdy mieszkaniec Bośnii, bez wyłączenia dzieci i kobiét, wypija rocznie sam na siebie sto trzydzieści litrów wódki śliwkowéj.

Dziwią się niektórzy, iż w kraju tak jeszcze barbarzyńskim, istnieją miasta czynne i pełne ruchu. Ale ta okolica tak bogatą jest w produkta naturalne, że handel wewnętrzny musiał się z konieczności

rozwinąć. Lud bośniacki oddzielony od innych radzi sobie jak może; miele ziarno w wymyślonych przez siebie młynach, fabrykuje broń, wyrabia tkaniny na odzież, kuje rozmaite narzędzia żelazne: ztąd powstał niejaki ruch przemysłowy po miastach, a mianowicie w Serajewie. Miasto Banialuka połączone drogą żelazną z państwem austryackiém, zamienia płody swoje z Kroacyą. Tuzla wywarza sól, z obfitych źródeł, Zwornik od granicy serbskiéj, służy za skład towarów dla obu krajów ościennych; Nowi-Bazar prowadzi handel z Albanią, Mostar i Trebinia sprowadzają żywność z Dalmacyi.

Ludność tych miast znaczna, stosunkowo: Serajewo liczy 50,000 mieszkańców, Banialuka 18,000, Zwornik 14000, Trawnik 12000, Nowi-bazar, Trebinia i Mostar po 9000. Nie same tylko potrzeby handlu i przemysłu, zaludniły te miasta, przyczynia się do tego wielce brak bezpieczeństwa na wsi. Oprócz sąsiedniéj Albanii, i sfer podbiegunowych, niema w Europie kraju tak mało zwiedzanego, jak kraj bośniacki. Odosobnienie to zniknie dopiero, kiedy międzynarodowa koléj żelazna, od Zagrzebia do Saloniki i Konstantynopolu, zamieni ten kraj w jeden z wielkich gościńców europejskich.

Ogólna ludność Bośnii i Hercegowiny, według pana Elizeusza Reclus, wynosi 1,150,000 mieskańców. Z pomiędzy nich muzułmanów 378,000, chrześcijan wyznania greckiego 590,000, katolików 164,000, cyganów 12,300 i żydów 5,700.

Przy tym ogólnym objawie ducha wojennego w Serbii i Czarnogórze, w Bośnii i Hercegowinie, zadziwia wszystkich bierne zachowanie się Bulgarów. Różni różnie tłumaczą ten stan rzeczy. Wiadomo że Bulgarya stosunkowo do Bośnii i Hercegowiny, daleko więcéj rozwiniętą jest co do instrukcyi ludowéj. Ponieważ mała tylko cząstka Bulgarów przyjęła muzułmanizm, ztąd téż i uciemiężenie rajasów mniejsze tu jest niż w tamtych krajach. Niektórzy sądzą że różnice Bulgarów od Serbów i innych Słowian południowych, różnice objawiające się i w grammatycznym układzie języka, a więcéj jeszcze w psychologicznym ustroju i w instytucyach, były i są wypływem żywiołu turańskiego, pierwotnych zaborców przybyłych tu z nad Donu.

Nie idzie zatem, żebyśmy chcieli wyłączać Bulgarów z rodziny ludów słowiańskich, we wszystkich objawach ich życia. Historya świadczy, że nigdy i nigdzie, zaborcy nie zmienili charakteru tubylców, wtedy nawet, kiedy jak Rzymianie Gallom, narzucili im swój język, kiedy jak Frankowie tymże Gallom, narzucili im swe nazwisko. Sama już okoliczność, że koczownicy bulgarscy przyjęli język podbitego ludu, nie jestże dowodem przewagi żywiołu słowiańskiego w Mezyi?

Jakkolwiekbądź dotychczasowa bierność Bulgarów, témbardziéj zwróciła powszechną uwagę na ich starożytne podania. Owe podania, przerabiane przez lud w pasmie wieków, tak do dziś dnia żywotne, świadczą że umysł Bulgarów nie był nigdy skrystalizowany. Jakie mogą być powody stanu ich biernego, w ogólnym dziś ruchu Słowian

tureckich, zostawiamy sąd osobom więcéj od nas kompetentnym. Obznajmieni jednak cokolwiek z ich literaturą, przekonani jesteśmy, że ten stan nie pochodzi bynajmniéj z martwoty umysłowéj. Jeden poemat bulgarski opiewa, że kiedy Turcy najechali kraj i oblegli stolicę, Reno ostatni król, podjąwszy złote skrzydła z rąk Samowili, uleciał wysoko pod obłoki z żoną i niemowlęciem. Tam czeka on pory, a skoro nad ziemią jego przeminie czarna doba, wróci do gniazda ojców. Reno czeka; snać godzina nie uderzyła jeszcze!

Kiedy tak Bulgarzy skupiają się w milczeniu i chłodnéj napozór obojętności, uczeni tymczasem kruszą kopje o autentyczność ich ludowych poematów. Walka dotąd nie rozstrzygnięta. Co do nas patrzymy na nią spokojném okiem. Niechaj sobie jedni, pod sztandarem uczonego Ireczka, utrzymują, że te poemata nie są wyrobem ludu, że są poprostu fałszowane; niechaj drudzy widzą w nich istotny wyrób geniuszu ludowego, zasłaniając się powagą professora Chodźki, który uważał te pieśni za godne dwuletniego wykładu w kollegium francuzkiem, i powagą Dozona, który wprzód jeszcze zbadał rzecz na miejscu, upoważniony przez francuzkie ministeryum; my nie wątpimy o autentyczności tychże pieśni, ale przedewszystkiem uderza nas w nich estetyczne piękno! Téj cechy nie zaprzecza im sam Ireczek! Gorliwy ich zbieracz Werkowicz, nie zrażony protestacyami, prowadzi daléj swoję publikacyą. Drugi tom Wedy Bulgarskiéj przysłał właśnie professorowi Chodźce, do przejrzenia i poprawy francuzkiego przekładu, zamieszczonego przy tekscie oryginalnym.

Świat naukowy w ogólności bardzo dziś zajęty Bulgarami. W tym roku właśnie, wyszło w Lipsku dzieło Kanitza pod tytułem: *Donau Bulgarien, und der Balkan.* W Pradze Konstanty Ireczek, wydaje obszerną historyę tego ludu: *Děje narodu Bulharskejo.* Krytyczna ta praca ukaże się wkrótce i w przekładzie francuzkim. W Wiedniu nakoniec, wyszedł tylko co z druku tom pieśni bulgarskich, przekładu Augusta Dozona, wydany wraz z oryginalnym tekstem.

Pieśni te nie mają nic wspólnego z poematami zamieszczonemi w Wedzie Werkowicza. Dozon zbierał je opodal od skał Rodopu, w części kraju dotykającéj granic Serbii; ztąd téż mało w nich mytycznego charakteru, cechującego głównie rodopskie epopeje. Znaczny w nich dział stanowią pieśni rozbójników i pasterzy; znajdujemy tu niemniéj liczne pieśni miłosne i przygodne, rzucające żywe światło na obyczaje ludu. Z pieśni zbójeckich dowiadujemy się, że śmiałe *Wojewódki*, Mitcza, Sirma, Bojana, prowadzą hajduków w wąwozy Starogory; widzimy jak Penka wprzeddzień wesela swego, przywdziewa męzki ubiór, chwyta miecz i karabin, dosiada konia, pośpiesza w góry, aby zdobyć upominki dla drużbów i dziewosłębów. Smutna tu jednak dola niewiasty. Biedna żona utyskuje pieśnią, że mąż zaprzęga ją do pługa i pogania batogiem, aby dać wypoczynek znużonym wołom. W innéj równie żałosnéj piosence, młoda żona przewidując że mąż zamierza sprzedać ją na targowisku, przedstawia mu że zimny pieniądz

nie zastąpi mu kochającego jéj serca. Dajemy w przekładzie ten maleńki dramacik:

— Odkąd cię Janko wziąłem za żonę,
Wciąż wiatr przeciwny w oczy mi dmucha:
Odtąd w stajence mrą konie wrone,
Odtąd gołąbek siwy nie grucha,
Odtąd nie śpiewa słowik w gęstwinie;
Za twemi ślady, w dom biéda płynie:
Kto ciebie urzekł? powiedz mi żono!
— Jeżeli na mnie czary rzucono,
Już mi za twemi nie gościć progi!
Wóz pozłocisty uprzęż mój drogi,
Do Nikopolu wieź mnie co prędzéj,
Niech mnie przekupnie na targ powiodą.
Kto da dwanaście worów pieniędzy,
Otrzyma za nie Jankę twą młodą;
Zgarnijże chciwie te kupy złota,
Połóż na piersi, uciesz niém oczy!
Gdy wrócisz do dom, żali przed wrota
On zimny pieniądz żwawo podskoczy?
Alboż słodkiemi przemówi słowy?
Czyż rozraduje próg twój domowy?

Niektóre pieśni bardzo zbliżone do naszych; jedna z nich o młodym Kojczu, który wbrew woli matki zaślubił piękną Pawunkę, jest jakby parafrazą znanéj u nas powszechnie piosenki:

Ne hody Hryciu na weczornyci i t. d.

W niektórych znów czuć poetyczny powiew sielanki greckiéj. Przytaczamy w przekładzie pieśń pod tytułem: *Zapasy dziewczyny ze słowikiem.*

Porankiem wietrzyk powiewa świeży,
Młoda Maryka do sadu bieży;
Kwitną granaty, szumią jabłonie,
Wonna różyczka na krzaku płonie.
Siada przy krosnach dziewczyna pusta,
We wzorki rąbek wyszywa biały,
Pieśń jéj wesoła płynie przez usta,
A tam w pobliżu słowiczek mały
Do krzaku róży przytulon główką,
Słucha i słucha i rzecze słówko:
— „Daléj! kto kogo pieśnią pokona!
Jeśli cudniejsze piosenki twoje,
Utniesz mi dziewczę skrzydełek dwoje,
W górze po same utniesz ramiona,

I moje nóżki połamiesz obie,
Jeśli piosenką nie sprostam tobie!
A gdy cię zmogę, niechajże za to
Utnę ci z główki kosę bogatą.

Śpiewają dzionek, drugi i trzeci,
Z rosą na polu piosenka leci;
Umilkło ptasze, śpiewa Maryka:
Dziewcze piosenką zmogło słowika!
Ptaszyna kornie główkę nakłoni,
Słodkiemi słowy ozwie się do niéj:
— Gdym ja w zapasach nie zrównał tobie,
Możesz mi nóżki połamać obie;
Lecz ocal moje skrzydełka szare!
Mam ja w gniazdeczku pisklątek parę,
Kto je wykarmi? kto je wychowa?
Piękna Maryka słyszy te słowa:
— Słowiczku! rzecze litością zdjęta,
Hoduj maleńkie twoje pisklęta,
A gdy oboje w piórka porosną,
Niech tu gniazdeczko uścielą wiosną;
Niechże mnie jeden do snu kołysze,
Drugi niech budzi w poranną ciszę.

Niekiedy spotykamy fantastyczny wybryk wesołego humoru, jak np. w *Kłótni komara z muchą*. Coś podobnego przypominamy sobie i w ludowéj naszéj literaturze. Ten komar i ta mucha są niewątpliwie alegoryą. Lud w satyrycznéj piosence upamiętnił jakiś wypadek miejscowy:

Kto się kłóci? komar z muchą!
Rzecz nie ujdzie tu na sucho!
Komar w straszny wpada gniew,
Kolnął w serce, trysła krew!
Do Stambułu w bród pocieka
Na gościńcu krwawa rzeka!
Kraj szeroki krwią zalany,
We krwi toną karawany.
Biegną muchy ztąd i ztąd,
Powołują walny sąd;
Chyżo pędzą na ich głos
Całe pułki pszczół i os.
Pobrzękują coraz groźniéj;
A szerszenie jakby woźni,
Pyszni głośnym swym urzędem
Od wsi do wsi lecą pędem,

Biédny ludek drzący z trwogi,
Bieży trupa ściągnąć z drogi.

Osy, pszczoły całą rzeszą,
Za komarem w pogoń spieszą;
On wykręca się jak może:
— Spuść, zawoła, deszcz, mój Boże!
Niechże w chłodnéj zawierusze,
Pomartwieją skrzydła musze;
Niechże wichrem dmią niebiosy,
Na szerszenie i na osy!

Wnet lunęły deszczem chmury,
Komar uciekł het na góry;
Tam bohatér jak przystało,
Pod grzyb ukrył zmokłe ciało!

Autor poprzedza zbiór pieśni obszernym wstępem, obejmującym do pięćdziesięciu stronnic; podnosi w nim wielkie znaczenie ludowéj poezyi; widzi w niéj najpewniejszą skazówkę do określenia charakterystyki danego ludu, a nawet do wykazania jego plemiennego rodowodu. Są tu drobne szczegóły, na które niezupełnie zgadzamy się z autorem: sądzimy np. że się myli utrzymując zbyt absolutnie, iż uczona literatura zabija w narodzie poezyą ludową; widzimy przecie jak obie te poetyczne literatury istnieją nieraz obok siebie, i w danéj chwili zasilają się wzajem. Myli się niemniéj autor utrzymując, że forma Distyku (dwuwiersza), właściwa tylko nowogreckiéj literaturze. Nie ma jéj może u Serbów i Bulgarów, ale wszystkie Krakowiaki i Kołomyjki nasze, czémże są inném jeśli nie distykami? Lud przykarpacki nie szukał ich zapewne u podnóża Olympu i Parnasu!

W ciekawy sposób pan Dozon porównywa poezyą trzech ościennych ludów: bulgarskiego, serbskiego i nowogreckiego. W serbskiéj poezyi widzi najsilniéj odbijający *epos*: w nowogreckiéj daje przewagę żywiołowi dramatycznemu; Bulgarska poezya pośredniczy między niemi, stanowi niejako ich syntezę. Aby udowodnić założenie swoje, autor daje w przekładzie poemacik pod tytułem *Podróż umarłego*, przetłumaczoną z czterech różnych wersyi: serbskéj, bulgarskiéj, albańskiéj i nowogreckiéj. Serbska wersya pokazuje wielkie bogactwo poetycznych przenośni, połączone z jakąś rzewną zadumą: tu aniołowie odwalają grobowy kamień; matka, siwa kukułka opłakuje umarłych synów. Wersya nowogrecka potężnie udramatyzowana, albańska jaskrawo ubarwiona wschodnią fantazyą.

Pan Dozon, przebywający dziś w Albanii, pracuje nad zbadaniem poezyi miejscowego ludu, w którym dzisiejsi uczeni jak Benloew, widzą pierwotnych tubylców Grecyi, zapartych przez Helenów w głębokie wąwozy Epiru. Owocem badań Dozona jest znaczny zbiór powie-

ści i pieśni albańskich, który niezadługo wyjdzie z druku. Publikacya ta rzuci nowe światło na podniesione dziś pytanie co do rodowodu Albańczyków.

Na zakończenie dajemy w przekładzie wspomniony wyżéj poemacik *Podróż umarłego*, według wersyi bulgarskiéj.

Matka ma wdowa synów dziewięciu
I jedynaczkę Wekiję cudną;
Daleko poszła wieść o dziewczęciu:
Takiéj urody napotkać trudno,
Każdy za żonę wziąśćby ją rad,
Do dom, za swatem przybywa swat.

Przez dziewięć lasów, z wioski dziesiątéj
Po jedynaczkę idą swatowie.
— Mamże ją wydać? matka im powie,
Mnież opustoszyć domowe kąty?
A syn Dymitry rzecze w te słowa:
— Tylu nas mieści strzecha domowa;
Póki nie zwiędnie kwiat cudnéj krasy,
Niechże dziewczyna idzie za lasy.
My ją mieć będziem pilnie na oku,
Odwiedzim siostrę choć raz do roku!
Przemogła rada starszego syna,
Za dziewięć lasów poszła dziewczyna.
Synowie żony przywiedli w progi,
Lecz niepocieszyć matki niebogi!

Wtém nagle z chmury uderzy grom,
Runął z łoskotem Dymitrów dom!
Dziewięciu braciom runął na głowę,
Przy mężach trupem padły synowe;
Została matka sama na świecie,
I kolébeczek dziewięć zostało:
W każdéj kolébce śpi drobne dziecię;
Matka je buja ręką zgrzybiałą.
Co dnia żałośnie na cmentarz chodzi,
Gdzie śpią w mogiłkach synowie młodzi;
Mogiły słodkiém pokrapia winem,
Pali gromnice w wieczornéj dobie,
Lecz na Dymitra nie stanie grobie:
Łzy nie uroni nad starszym synem;
Tylko mu klątwy miota nad głową:
— Niech twarda ziemia twe kości gniecie,
Boś mi daleko zaswatał dziecię!

Głos jéj murawę przebił grobową!
Dymitry nocą wyszedł z mogiły,
Pośpiesza do dom siostrzyczki miłéj;
Kołacze w progi... Wekija rada,
Braterską rękę do ust przykłada:
— Miły braciszku, cóż to się stało?
Twa ręka cuchnie smołą zgorzałą!
— Nic to siostrzyczko, nic krasawico:
Budowaliśmy domostwa nowe,
W górę dźwigali kłody sosnowe;
Nie dziw że ręka cuchnie żywicą.
Chodź ze mną drogą za ciemny las,
Matkę niebogę odwiedzić czas!

— Niech się braciszku spełni twa wola!
Idą, minęli szerokie pola;
Weszli do lasu, wśród leśnéj głuszy
Pusto, na drzewie liść się nie ruszy;
Tylko w gniazdeczku szczebiocze ptasze:
— Tych dziwów oczy nie znają nasze,
Zmarłym-że zimny porzucać grób?
Czemuż-li z żywym wędruje trup?

W żyłach niewiasty ścięła się krew.
— Bracie Dymitrze! cóż to za śpiew?
— Siostro, perełko, czemu drżysz tak,
Nie wierz piosence: kłamie ten ptak!
Wybiegli z lasu, wioska już blizka,
Płomień tu owdzie bucha z ogniska.
— Idź naprzód siostro, kochanie moje,
Zostanę chwilę konia napoję.
Niewiasta naprzód dąży co siły,
Dymitr pozostał, wszedł do mogiły;
Ona w domowe skręca podwórko,
Wychodzi matka.—Tyżeśto córko?
Kto cię tu przywiódł przez Boga w niebie?
— Brat mnie Dymitry przywiódł do ciebie;
Miła mateńko co tobie?... mów!
A stara milczy, zbrakło jéj słów;
Oba rozwarła tylko ramiona,
Swą jedynaczkę tuli do łona:
Ściska i pieści, aż z piersi dwóch,
W uścisku żywy uleciał duch!

Armand Dubarry, który długi czas przebywał pod włoskiém niebem, napisał dzieło w jednym tomie pod tytułem: *Rozboje we Wło-*

szech od najdawniejszych czasów, aż do dni naszych. Autor głęboko sięga w przeszłość, bo do epoki mitycznéj, kiedy pół-bogowie porywali trzody śmiertelnym, kiedy Herkules wymierzał na ziemi sprawiedliwość. Zstępuje potém do kolébki starożytnéj Romy, w bajecznym wychowanku wilczycy Romulusie pokazuje prototyp italskich rozbójników; zatrzymuje się chwilę przy sławnym porwaniu Sabinek, wreszcie przechodzi do zwykłych rozbojów po lasach i górach nie osłoniętych bohatérskim urokiem poezyi. Autor czerpie rzecz z autentycznych źródeł zapisanych po włoskich grodach. Widzimy tu z jednéj strony cały szereg okrucieństw, spełnianych w wąwozach Apeninów i górach Kalabryi przez bandy rozbójnicze; z drugiéj strony, widzimy niemniéj barbarzyńskie środki, jakich używały bezsilne rządy dla wytępienia złego. Weźmy tu jeden przykład. W XVI wieku ogłoszono książęce łowy w górach. Władze czynią przygotowania, pod zbrojną strażą prowadzą wielki zapas żywności na biesiadę dla łowców. Rozbójnicy zastępują drogę żandarmom, porywają zapasy, ucztują wesoło. W parę godzin wszyscy padli trupem: żywność była zatruta!

Piérwsze lata wieku obecnego, krwawemi zgłoskami wypisane są w dziejach bandytów włoskich. Król neapolitański Murat, postanowił wytępić ich do nogi. Na jego rozkaz generał Mauher ogniem i mieczem ścigał ich po wąwozach. Wkrótce jednak odwróciła się karta. Po restauracyi 1815 roku, bandyci śmiało podnieśli głowę; rząd Ferdynanda króla Obojga Sycylii patrzał przez szpary na rozboje osłonione pozorem walki przeciwko Muratistom! Palono żywcem rodziny obwinione o liberalizm!

Ostatnia część pracy, poświęcona czasom dzisiejszym, żywsze jeszcze obudza zajęcie z powodu postrachu, jaki rzucają na podróżnych bezustanne rozboje we Włoszech. Niedawno oto czytaliśmy w Debatach skreślony wymownem piórem Johna Lemoine, obraz ohydnéj spółki *Maffei*, która w tak straszny sposób ogarnęła całą Sycylią, że sądy przysięgłych nie śmieją głosić wyroku na przestępców, z obawy niechybnéj ich zemsty. Pan Dubarry przyglądał się przez kraty więzienne, hersztom tych ohydnych Maffiosów, przysłuchiwał się indagacyom; żywemi téż barwy kreśli ich postać, opisuje niezliczone ich gwałty.

Niektórzy krytycy zarzucają autorowi, że tylko w celach więziennych lub salach trybunału spojrzał oko w oko owym hersztom. Nie pozna ten lwa—mówią oni—kto jedynie widział go w żelaznéj klatce, nie zaś na puszczy w żywiole mu właściwym. My z naszéj strony radzilibyśmy krytykom, aby zamiast przyganiać, zapuścili się sami w wąwozy Kalabryi, spojrzeli w oczy wolnym Maffiosom i po takiéj dopiéro próbie, wystąpili z zarzutem przeciw autorowi, jeśli obrazy jego niezupełnie zgodne z rzeczywistością!

Listy Prudhona, o których wspomnieliśmy w ciągu roku, świadczą już o ile głośny socyalista zaciętym był wrogiem całego rodu nie-

wieściego. Niczém jednak tamte pociski w obec tych jakie znajdujemy w świeżo wydaném dziełku, pod tytułem *Pornokracya czyli kobiéty w czasach nowożytnych*. Ostatnia to praca zmarłego autora, doprowadzona zaledwie do połowy. Zobaczmy co dało do niéj pobudkę.

W roku 1858 Prudon w dziele pod tytułem: *Sprawiedliwość w rewolucyi i w Kościele*, które wywołało tyle głośnych protestacyi, nakreślił obszernie społeczne stanowisko kobiéty. W konkluzyi wykazał jéj niższość wrodzoną, dowodząc że mężczyzna do kobiéty zostaje w stosunku *trzech do dwóch*. Konkluzya ta spowodowała mnóstwo broszur, listów i artykułów dziennikarskich, pisanych po większéj części przez stronę obrażoną. Autor zbierał te pociski, na każdy z nich jednym pociągiem pióra rzucał dorywczą odpowiedź, zamierzając późniéj połączyć je razem i uporządkować. Wziął się nareszcie do téj pracy złamany już chorobą; śmierć wytrąciła mu pióro z ręki: nie zdołał jéj wykończyć.

Prudon występuje tu jako nieprzebłagany sędzia, ostrym biczem smaga wszelkie usterki niewieście. Wypowiada zaciętą wojnę romansopisarzom i dramaturgom, którzy apoteozują miłość, gdy tymczasem jedyném prawem kobiéty ma być uczucie obowiązku i poświęcenie. Mieszanina to prawd i paradoksów, jak wszystkie utwory Prudona. Najsurowsi filozofowie-moraliści nie przemawiali silniéj za koniecznością cnót niewieścich, z tą tylko różnicą że oni głosili zasady swoje w imię prawdy bezwzględnéj; Prudon zaś przemawia w imię pożytku materyalnego dwóch stron interesowanych. Zimna ta argumentacya przebrzmi jak pusty dźwięk brzęczącéj miedzi, w sercu bowiem ludzkiém leżą wyższe pobudki moralności.

Otrzymujemy w téj chwili inne dzieło pośmiertne odmiennego całkiem rodzaju. Mówimy tu o *Psychologii ludów nowożytnych*, przez Filareta Chasles zmarłego w roku zeszłym w Wenecyi. Autor zaskoczony nagle chorobą, na tydzień przed śmiercią pracował jeszcze nad tém dziełem. Czy je wykończył? trudno zgadnąć! Filaret Chasles nic nigdy nie wykończał. Czyto jako professor literatury zagranicznéj w kolegium francuzkiém, czy téż jako autor kilkudziesięciu tomów literackiéj treści, rzucał zwykle uczniom i czytelnikom zbiór aforystycznych zdań, jakoby motek nici błyszczących lecz poplątanych, zostawiając im rozwikłanie. Ztąd to uczony professor, mimo niezaprzeczonéj erudycyi i wyższego talentu, uchodził powszechnie za blagera.

Mało który z krytyków literackich używał tak przeważnie psychologii, jako żywiołu krytycznego. Filaret Chasles poszedł w tym względzie śladem Mickiewicza, jakkolwiek nie dorównał mu gieniuszem. Owa ta strona wykładu Chaslesa pociągała słuchaczów i sprawiała, że mu przebaczano nadużycia jakich się zbyt często dopuszczał.

Ostatnia praca, którą mamy właśnie pod ręką, okazuje wszystkie zalety i wszystkie wady professora. Dotyka on w niéj mimochodem rozmaitych przedmiotów zajmujących umysł ludzki: historyi, geografii,

filozofii, literatury, malarstwa, muzyki, słowem wszelkich sztuk i nauk; przedewszystkiem jednak zajmuje go polityka. Z bólem przykłada rękę do serca Francyi, bada przyczyny jéj niedawnych klęsk i dzisiejszego rozstroju, widzi je w braku miłości, w szarpaniu się wzajemném, w moralnym upadku jednostek.

Z okiem zwróconém zawsze na Francyą przebiega autor wszystkie kraje. Na chwilę zatrzyma się w Angli, rzuci zdanie o powieściach Dickensa i Izraelego; przechodzi znów do Niemiec, mówi o Szyllerze, o Goetem, o pani Stael. Kreśli mimochodem obraz małoznanéj Karoliny Michaelis, w któréj widzi prawdziwy typ Germanki. Poślubiona z doktorem Boehmer, zawiera potém związki z Fryderykiem Schleglem, wreszcie bierze za męża filozofa Schelinga! Wszystko zrywa, mąci i burzy, z jednych związków przechodzi wnet do drugich, istnie jak duch niemiecki przerzucający się od medycyny do literatury, od literatury do filozofii, zamiłowany w hypotezach, gotów zniszczyć co sam zbudował, chciwy odmiany i nowości w urzeczywistnieniu swych ideałów.

Najobszerniejszy dział w ostatniéj pracy, poświęca Chasles literaturze współczesnéj we Francyi, a mianowicie powieściopisarstwu, najgłówniejszemu z psychicznych objawów téj epoki. Powołuje na sąd trzech zmarłych a tak przeważnie wpływowych pisarzy, Suego, Balzaka i Dumasa. Dlaczego pyta, żaden z tych potężnych koryfeuszów, nie stworzył szkoły któraby go przetrwała? Zobaczmy jak odpowiada na tak ważne pytanie.

Eugeniusz Sue nie stworzył szkoły, bo nie miłość, ale raczéj nienawiść była bodźcem dla jego wyobraźni. Pokazywał świat w fałszywém, potwornem nawet świetle; poplątał sumienia, zmącił pojęcia prawdy.

Balzak nie wydał szkoły, bo nie znał serc ludzkich do gruntu. Malowałje przez pryzmat ułożonych przez siebie formułek filozoficznych. Pracował on w dzień biały, w pokoju o zamkniętych okiennicach, przy blasku sztucznych świateł. Ta sztuczność odbija w każdym jego utworze.

Aleksander Dumas, przechodzący tamtych twórczym duchem, nie wydał także szkoły, bo skrzydła fantazyi unosiły go w świat daleki od rzeczywistego życia. Porywał za sobą czytelników, kołysał ich w tym wymarzonym świecie, rozpoił ich wyobraźnię odurzającym narkotykiem, rozbudził w nich tę gorączkową chciwość wrażeń, cechującą dzisiejsze społeczeństwo; słowem, nie domyślając się nawet miary złego, otworzył drogę tym licznym powieściopisarzom dziennikarskim, którzy obrazem niestworzonych zbrodni i szkarad, usiłują podniecać zużyty smak czytelników, na wzór owych Rzymian, co przy ucztach pocierali talerz cuchnącą assafetydą.

Filaret Chasles daje wyborne rady powieściopisarzom dzisiejszym. Niechajże przestaną patrzéć na świat przez czarnoksięzką latarnię własnych marzeń, a usiłują wniknąć głęboko w pobudki ludz-

kich czynów. Wielki nasz psycholog określił to niegdyś w krótkich słowach: „Miéj serce i patrz w serce!“

„Anglicy—mówi Chasles—dobrą drogę wytknęli w powieści. Walterskot w powieściach historycznych uszanował dzieje narodu swego, potrafił téż na skały i krajobrazy swéj ojczystéj ziemi, ściągnąć uwagę ucywilizowanego świata. Dickens dziecko ludu, wyprowadzał na scenę postacie z któremi się zżył, które gorąco ukochał, pełne żywotności i siły. Autor nie radzi powieściopisarzom francuzkim naśladować ślepo Anglików, zaleca im tylko, aby na wzór pisarzy angielskich, założyli sobie jako cel, zbadać do gruntu lud, aby wniknęli duchem w te głębokie warstwy społeczne, gdzie człowiek samodzielnie wyrabia się i odradza, gdzie żyje pełném życiem. „Zapomnijmy—mówi on—o książkach tysiące razy przerabianych; bądźmy nareszcie sobą, poznajmy czém są drudzy. Wyciśnijmy na utworach naszych osobiste piętno; tym sposobem odrodzimy literaturę!“

Krytycy francuzcy podjęli te wyrazy; widzą w nich jakoby testament professora, zasługujący na powszechną uwagę.

W paryzkim teatrze rozmaitości pojawiła się nowa komedyo-opera w trzech aktach *La boulangère à des écus* (pieniężna piekareczka). Muzykę skomponował Offenbach, libretto ułożyli panowie Meilhac i Halevy; za treść posłużyła im stara piosenka, zrodzona od dwóch wieków na bruku paryzkim, o bogatéj piekareczce, strojnéj zawsze w brylanty i złotogłów, którą wygalowani słudzy nosili w lektyce od domu do domu, kiedy wierna zawodowi swemu, opatrywała w chléb liczną klijentellę. Ale serca nie kupić za złoto! bogata piekareczka kocha bez wzajemności młodego perukarczyka, pięknego jak Apollo; ten zaś obojętném okiem patrzy na jéj dukaty, gdyż uboga Antosia trzyma go od roku w swych sidłach. Ów perukarczyk daje się wciągnąć do zamachu na księcia Orleanu, ówczesnego regenta Francyi. Złapany na gorącym uczynku, byłby przypłacił głową, gdyby nie czynne wdanie się dwóch zakochanych kobiet, których łzy i błagania, skruszyły serce czułemu na wdzięki rejentowi.

Ale nie o treść sztuki nam tu idzie, ani téż o melodye Offenbacha. Sztuczka to jakich tysiące; może na chwilę zabawić oko i ucho, z żadnego przecież względu nie zasługuje na szczegółowy rozbiór. Jeżeli mówimy o niéj, to dlatego, że dała powód do gorącéj protestacyi poważnego krytyka, który tą właśnie protestacyą dowiódł, że godnie podjął pióro po Juliuszu Janin.

Autorowie sztuki należą do téj szkoły realistów, która wzięła sobie za cel ośmieszyć każdy szlachetny popęd; wyszydzić wszystko co tchnie wstrętnym dla niéj idealizmem. Wierni zasadzie swojéj wypowiedzieli ją śmiało przez usta perukarczyka.

— Co cię skłoniło do tak szalonego kroku?—pyta zakochana piekareczka.

— Albo ja wiem?—odpowie zagadniony—są chwile kiedy człowiek gotów zrobić głupstwo! ot tak sobie dla fantazyi. Ludzie zowią to entuzyazmem!

— Krytyk Caraguel, silnie zachwycił autorów za słowo.

„Nie ważmy się szydzić z zapału! woła on z najwyższém oburzeniem, nie ważmy się obracać w śmieszność szczytnych popędów duszy ludzkiéj! Dość już dzienników podjęło to nikczemne zadanie. Teatr niech się nie mięsza do téj sprawy! Cóżby w nas pozostało wielkiego i szlachetnego, gdyby interes osobisty miał się stać jedynym bodźcem czynów naszych; gdybyśmy dla uniknienia nazwy szaleńców i głupców, nie znali innego prawa w postępowaniu, jedno zimną rachubę? Dzielny d'Assas w Clostercamp, Joanna d'Arc na stosie, byli zapaleńcami! Uszanuj owe szczytne szaleństwa, których pojąć nie możesz nędzny perukarczyku! Spełniłeś niedorzeczność, ale wara ci bluźnić przeciw entuzyazmowi! ciesz się raczéj żeś uszedł stryczka jak na to zasłużyłeś!“

Meilhac i Halevy wściekają się z gniewu, dotknięci do żywego. Uczuli znać że twardy pocisk rzucony w twarz perukarczyka nie do niego był wymierzony! Szkoła ich silnie już zachwiana w posadach, dzięki poważnym pisarzom, którzy nie lękają się wystąpić śmiało przeciw prądom nihilistycznym!

Wyszły z druku dwie nowe powieści Georges Sand: *Flamarande* i *Dwaj Bracia*, dosyć obojętnie przyjęte przez publiczność francuzką. Przedmiotem pierwszéj miłość, ten niewyczerpany temat autorki, miłość w mniemaniu jéj niewinna, bo w duchu tylko rozrywająca świętość małżeńskich związków. W zamku Flamarande, najeżonym w blanki i baszty, mieszka piękna hrabina Rolanda z przyjaciółką, pod argusowém okiem starego sługi, który w niebytności hrabiego, czuwa nad powierzonym mu skarbem. Mimo tak pilnéj straży, dzięki zręcznéj przyjaciółce i tajemnym przejściom podziemnym, Rolanda znudzona samotnością, przyjmuje częste odwiedziny sąsiada. Dwie płomieniste dusze pojmują się nawzajem. Platoniczna ich miłość trwa lata całe, przestaje być wreszcie tajemnicą dla domowników i sąsiadów, dla podejrzliwego nawet hrabiego. Byłoby zapewne przyszło do katastrofy, gdyby nie śmierć małżonka. W zwyczajnym trybie rzeczy, śmierć ta powinnaby rozciąć gordyjski węzeł i ułatwić związek zakochanych. Autorka inaczéj rzecz pojmuje. Bohaterka jéj, uwolniona z ciężkiego jarzma, czuje potrzebę rehabilitacyi; dla ocalenia czci własnéj, wyrzeka się szczęścia, co więcéj, skłania ukochanego do zaślubienia wiernéj przyjaciółki.

Druga powieść: *Dwaj bracia*, jest dopełnieniem pierwszéj. Ci dwaj bracia to synowie Rolandy. Podejrzliwy hrabia wyrwał starszego z objęć macierzyńskich, wysłał go potajemnie w góry Auwernii, ogłosiwszy śmierć jego przed światem. Tajemnica znana tylko staremu słudze. Młodzian chowa się przy ognisku poczciwych kmieci, wy-

rasta krzepko i zdrowo, pojmuje w małżeństwo córkę swych opiekunów. Kiedy nareszcie stary sługa, przekonany o niewinności pani swojéj, tknięty niewczesnym wyrzutem, wynajduje młodzieńca, ten szczęśliwy ze stanu swego, zrzeka się praw rodowych, oddaje młodszemu bratu całe mienie, pozostaje przy pługu i roli. Autorka pokazuje dwóch braci obok siebie, w kilku zarysach kreśli tak fizyczny jak psychologiczny ich obraz, uwydatnia zupełną sprzeczność. O ile wychowanek miasta słaby, nerwowy, chorobliwy, o tyle wychowanek gór krzepki, szlachetny, gotów do poświęcenia. Druga powieść nierównie wyższa myślą od pierwszéj, styl obudwóch pełen życia i barwy, jak we wszystkich utworach Georges Sand.

Henryk Stanley, następca Liwingstona w poszukiwaniu źródeł Nilu, prowadzi rzecz na sposób amerykański, z całą energią, szafując życiem jednostek, nadstawiając śmiało własną pierś, byleby cel został osiągnięty. Raport jego nadesłany świeżo do Anglii w raz z mappą, jest dziś przedmiotem żywych rozpraw w Towarzystwach Jeograficznych, tak w Londynie jak i w Paryżu. Z mapy téj pokazuje się, że jezioro Wiktorya-Nyanza, do którego dotarł śmiały podróżnik, jest raczéj morzem wewnętrznem, długość jego bowiem wynosi 230 mil angielskich, szerokość 180. Stanley zaraz po wyprawieniu rapportu miał rozpocząć żeglugę po tém morzu, małym parowcem sprowadzonym z Anglii.

„Dziwne powieści pisze on, krążą o krajach ponadbrzeżnych, co mnie tém bardziéj zaciekawia. Jedni rozpowiadają cuda o ziemi zamieszkałéj przez karłów, inni znów prawią niestworzone rzeczy o olbrzymach i o psach niesłychanéj wielkości. Nie uwierzę tym bajkom, dopóki nie ujrzę ich na własne oczy, co téż nastąpi niezadługo.“

Tryumf amerykańskiego eksploratora, drogo już opłacony. W ciągu trzech miesięcy, jak pokazuje rapport, z trzechset ludzi, z którymi rozpoczął wyprawę, stracił z górą stu czterdziestu, jużto w utarczkach z tubylcami, już na rozmaite choroby, spowodowane klimatem. Nowo-Yorski Herold, główny promotor ekspedycyi dostarczy zapewne nowych ochotników, do prowadzenia wielkiego dzieła.

Powiał w téj chwili na Paryż jakiś prąd allegoryczny, pojawiły się razem dwie książki, odmienne treścią i formą, lecz zbliżone pomysłem. Pierwsza z nich przez Ludwika Rambaud nosi tytuł: *La Republique de Martin*. Ów Marcin, potomek Platona po kądzieli, zakłada w jakimś zakątku Francyi, rzeczpospolitę idealną, ale w sprzeczności z utopistą greckim, nie pozwala aby państwo pochłonęło jednostkę. Rzeczpospolita jego ma charakter federacyjny, każdemu tu wolno działać i myśleć na swój sposób, każdy ma prawo wykrzyknąć gdy zechce: *Niech żyje Republika!* kobiéty wygnane z owéj społeczności, jak niegdyś poeci przez Platona, aby nie burzyć spokoju obywatelom. Każdy ma swoje zajęcie: jeden trudni się botaniką, drugi ogrodnictwem, trze-

ci łowi ryby na wędkę. Wszyscy rozprawiają szeroko o literaturze, o sztukach pięknych, o filozofii, szczególniéj zaś o polityce; potrącają tysiące przedmiotów, nikt jednakże nie działa: w doskonałym stanie społecznym, potrzeba działania ustaje. Mnóstwo tu paradoksalnych alluzyj.

Dowcipniejsza jeszcze książka p. Thiandiere, *Podróż Lorda Humour do kraju Retrogradów*, a szczególniéj na wyspę *Servat-Abus*. Tubylcami téj wyspy, zgrabne czworonożne zwierzątka, z wysmukłą mordką i delikatnym węchem, kłótliwe, krzykliwe, niesforne, w tém zgodne tylko z sobą, że wszystkie nie chodzą naprzód, ale w kierunku wstecznym nakształt raków. W innych rzeczach zupełny rozbrat. Jedne uprawiają na grządkach kwiat lilii, drugie hodują w gnieździe orła, inne pysznią się swym kogutem, inne wreszcie pielęgnują drzewo o dwóch konarach. Lord Humour, istny Guliwer zabłąkany wśród tych zwierzątek, patrzy na wszystko z podziwieniem, i rzuca złośliwe sarkazmy.

Ogólny popęd do stawiania pomników wielkim mężom, oddziałał i na Szkotów. Postanowili oni zbudować narodowy pomnik Robertowi Bruce'mu, pogromcy króla Edwarda, Bruce'mu, który na długo wyswobodził Szkocyą od najazdów angielskich, i zapewnił jéj byt niepodległy pod następcami swymi Stuartami. Pomnik ten stanie na wyżynach Stirlingu, panujących po nad równiną, gdzie stoczyła się walna bitwa, stanowcza w dziejach Szkocyi. Komitet pod prezydencyą hrabiego Mar, zajmuje się zbieraniem składek. Zakupiono już miejsce. Rzeźbiarz George Cruchshank, ma wykonać posąg szkockiego bohatéra: Poeci powołani będą zapewne do konkursu. Wielka postać Brucego, drgająca życiem w pieśni Walterskotta, wystąpi znów na widownią w nowym dramacie albo rapsodzie poetycznym. Sądzimy że komitet szkocki, nie położy poetom tak twardych warunków, jakiemi komitet amerykański skrępował przyszłych apologistów Washingtona, nie pozwalając im przypominać zatargów rzeczypospolitéj z dawną metropolią!

Anglicy nie lękają się bynajmniéj tych szkockich manifestacyi: sam minister wojny, z urzędu swego bierze w niéj czynny udział, pozwolił bowiem stawiać pomnik na wałach fortecy Stirlingskiéj. Troskliwość Szkotów o zachowanie drogich im pamiątek, dowodzi tylko, że szkocki naród przyjąwszy nazwę polityczną Anglików, domaga się przecież uznania własnéj udzielności historycznéj. Cecha to charakterystyczna epoki naszéj, podczas gdy jedni, w imię tak zwanego postępu, chcieliby obalić wszelkie tradycye, drudzy tém żarliwiéj wydobywają z głębokiéj przeszłości, świadectwa indywidualizmu swego.

Wielki Dykcyonarz Littrego z upoważnieniem autora, wyszedł u Hachetta w nowém wydaniu, zredukowany do mniejszych rozmiarów przez professora Beaujeau. Celem tego streszczenia było uczynić go dostępnym dla ogółu, a szczególnie dla szkół w zastępstwie przyjętego

dotąd słownika Noela. W tém skróconém wydaniu dykcyonarz mieści się w jednym tomie o 1300 stronnicach. Pozostały w nim rodowody wyrazów, stare przenośnie, przysłowia i przypowieści, słowem cała historyczna strona języka, stanowiąca główne bogactwo wielkiéj czterotomowéj pracy, piérwszy raz bowiem obrobiona z taką ścisłą dokładnością.

Publikacyi téj przyklasnęli szczerze przeciwnicy pozytywnéj szkoły Littrego, radzi że taż sama ręka, która podaje truciznę młodemu pokoleniu, podaje mu także antidot przeciw szkodliwym jéj działaniom. „Historya wyrazów, mówi jeden z nich, p. Derome jest powrotem do tradycyi. Pan Littré, który w filozofii i ekonomii społecznéj, wygłasza opinie radykalne i pozytywistyczne, przyczynia się znakomicie do podkopania przesądów jakiemi szkoła filozoficzna XVIII wieku przywaliła przeszłość narodową. Reakcya literacka, historyczna i religijna podniesiona przed sześćdziesięciu laty przeciw nihilizmowi i lekkomyślności encyklopedystów, znajduje dziś w p. Littrém niespodziewanego sprzymierzeńca. Potęga prawdy tak jest wielką, że na pożytek jéj pracują nieraz najzagorzalsi jéj przeciwnicy!"

Wyszedł z druku czwarty zeszyt: *Dykcyonarza starożytności greckich i rzymskich.* Przepyszna ta publikacya Hachetta, ozdobiona drzeworytami, prowadzona pod kierunkiem najznakomitszych archeologów dzisiejszych, zasługuje na szczegółowe sprawozdanie. Zostawiając je na późniéj, powiemy dziś tylko, że pod wyrazem astronomia znaleźliśmy ciekawy artykuł z podpisem Th. H. Martin. Uczony ten przypomina, że Kopernik i Galileusz mieli w starożytnéj Grecyi poprzedników, jak oni pomówionych o bezbożność. Teorya Ptolomeusza i jego szkoły uważaną była w owym czasie za bluźnierstwo przeciw bogini Ziemi, jako naznaczająca jéj podrzędne stanowisko!

Francya straciła w tych czasach głośnego rzeźbiarza Jana Carpeaux; imię jego nie przebrzmi w Paryżu, przypominać je będzie ów sławny *Taniec* na frontonie Wielkiéj opery. Taniec ten wywołał przed laty kilku gwałtowną protestacyą tak pism jak publiczności. Paryż rozdzielił się na dwa obozy: była to powtórzona walka klassyków z romantykami. Rzeźba więcéj niż inne sztuki zachowała tu piętno greckiego pochodzenia, trudno jéj było zerwać z klassyczną tradycyą: powracała do niéj bezustanku. Zerwał tę tradycyę Flamandczyk Carpeaux współrodak i zwolennik Rubensa. W pojęciu jego głównem zadaniem sztuki było ożywić martwy kamień, przedstawić życie w ruchu; piękność formy stawiał na drugim planie. Francuzi, nieodrodni synowie Ateńczyków, dla których piękno wszystkiem, nie mogli zrozumieć tych zbyt realnych baletniczek rozpłąsanych na frontonie opery; protestowali też gorąco w imię znieważonego ideału. Inni znów krzyknęli *veto* w imię obrażonéj moralności. „Niechajby, mówiono, ów Taniec zachowany był w muzeum, jeśli na to zasługuje, godziż się wysta-

wiać go na placu publicznym, którego nikomu pominąć niepodobna? Walka skończyła się na niczém: Taniec figuruje tryumfalnie na gmachu opery, ale tak wysoko, że szczegóły giną dla oka; rysują się tylko ogólne linie grupy rażące smak dysharmonią.

Carpeaux umarł w czterdziestym dziewiątym roku, w chwili najsilniéj rozbudzonéj twórczości artystycznéj. Gdyby umiał był idealizować to życie co tak potężnie tryskało z pod jego dłuta, byłby zapewne pierwszym rzeźbiarzem swego czasu. Ostatnim z wielkich jego utworów, jest kolosalna grupa zdobiąca wodotrysk po za ogrodem Luksemburskim. Grupa ta przedstawia cztery części świata, w postaci czterech kobiet podtrzymujących kulę ziemską.

Instytut Francuzki odbył doroczne posiedzenie, pięciu połączonych Akademii. Jak zwykle rozpoczęło je słowo współczucia dla członków zmarłych w przeciągu roku: do tych należy nieodżałowany nasz Eichhof.

Rozdawano następnie nagrody, Największą z nich fundacyi cesarza Napoleona III, w ilości 20,000 franków otrzymał Paweł Bert professor Sorbony, za naukową pracę: *o wpływie powietrza na fenomena życia.* To dzieło według słów sprawodawcy, stawia uczonego professora w rzędzie najpierwszych fizyologów téj epoki, którzy odkryciami swemi posunęli naprzód naukę.

Nagrodę Woleya za prace lingwistyczne, wraz z medalem złotym, otrzymał marynarz, p. Aymonier, za Dykcyonarz języka francuzko-kambodzkiego, drukowany w Saïgon w roku 1874. Słownik ten ważny szczególniéj dla kolonistów francuzkich w Kochinchinie.

Członkowie pięciu Akademii, przemawiali kolejno. Marmier, który w licznych podróżach przebiegł wielką część kuli ziemskiéj, pokazuje *Dom* u rozmaitych ludów, przemieniający się w miarę potrzeb miejscowych, lub stopnia cywilizacyi, z ciemnéj pieczary, albo wydrążonego pnia, w budowlę mniéj więcéj okazałą. Mowca. kończy obrazem małéj osady nowożytnych Lakustów południowéj Ameryki, na jeziorze Marakaibo zwanéj Wenezuelą, z powodu że jak krolowa Adryatyku zbudowana cała na palach. Tę osadę założyli Indyanie, gorliwi wyznawcy wiary katolickiéj. Pobudowali oni domki na jeziorze, nie z obawy drapieżnych zwierząt, ale z powodu olbrzymich komarów, które lęgą się na nadbrzeżnych moczarach, ale uciekają z pełnéj wody. Wpływ religii ułagodził umysł tych Indyan, przeistoczył do gruntu ich charakter. Marmier widział ich na własne oczy, podziwia ich zgodę i jedność. Wielki to przykład, dla racyonalnych ekonomistów Ameryki północnéj, którzy zalecają wytępienie czerwonoskórców, i nieludzką teoryę swoją w imię filantropii wprowadzają w praktykę!

Po Marmierze, Zeller członek Akademii nauk moralnych i politycznych, dawny rektor uniwersytetu Strasburskiego, odczytał dramatyczny obraz zapasów Grzegorza VII-go z cesarzem Henrykiem IV-tym.

Jest to ustęp z trzeciego tomu dzieła o Germanii. O dwóch drukowanych już tomach téj znakomitéj pracy, wspominaliśmy w swoim czasie,

Zakończył posiedzenie komendant Mouchez z Akademii Nauk, wysłany w roku zeszłym, przez tęż Akademią na daleką a pustą wyspę St. Paul, dla obserwacyi nad przejściem planety Wenus przez tarczę słońca. Dzielny marynarz, z niepospolitą wymową skreślił obraz téj nowożytnéj odyssei, przedsięwziętéj w imię nauki, i doprowadzonéj szczęśliwie do końca, pomimo sprzysiężonych żywiołów.

W chwili gdy to piszemy, Akademia francuzka zabiera się do uroczystego rozdania nagród konkursowym laureatom. W przyszłéj kronice zdamy sprawę z dzieł uwieńczonych.

Z DZIEDZINY PRZYRODOZNAWSTWA

I.

„Księżyc uważany jako planeta,“ dzieło Nasmytha i Carpentera.—Ostatnie rezultaty naukowe dotyczące budowy i natury towarzysza Ziemi.—Budowa fotosfery słonecznéj.—Obrót planet.—Planetoidy odkryto w latach 1873/4.—Nowa klassyfikacya komet, przez Proctora.—Komety r. 1874.—Świetna kometa Coggia.—Miscellanea.

Od wieków Księżyc zajmuje uwagę uczonych astronomów, a pomimo to bardzo nie wiele wiemy o nim z matematyczną pewnością, jakkolwiek towarzysz planety naszéj jest najbliższym Ziemi. Wiele kwestyj, odnoszących się do jego fizycznéj budowy, pozostaje dotąd nierozwiązanych, i jak tyleż tajemnic natury budzi ciekawość uczonych.

Zanim jednak rzucimy dorywczy szkic rezultatów, do jakich doprowadziły ostatnie prace uczonych nad Księżycem, nie możemy nie powiedzieć słówka o najświeższéj publikacyi, tego ciała niebieskiego dotyczącéj. Mówimy tu o dziele pp. Nasmyth i Carpenter, które w roku zeszłym wyszło na widok publiczny, a noszącém tytuł: „Księżyc uważany jako planeta, świat i satellita,“ [1]) z 24 illustrowanemi tablicami, oraz licznemi drzeworytami.

Illustracye tego dzieła są bardzo znakomite. Takiéj dokładności rysunku, nie posiadało dotąd żadne dzieło. Nasmyth bowiem, niezadowolony z rysunków, które gromadził przez wiele lat, wielokrotnie je sprawdzał i poprawiał. Dokonywał tego w ten sposób, iż budował modele pewnych części powierzchni księżycowéj, które będąc wystawione na działanie silnego światła, świecącego na nie pochyło,

---

[1]) „The Moon considered as a Planet, a World, and a Satellite.“ By James Nasmyth C. E., and James Carpenter, F. R. A. S. With 24 illustrative plates of lunar objects, phenomena, and scenery, and numerous woodcuts. London 1874.

tworzą ciągłe zmieniające się skutki światła i cienia, obserwowane przez teleskop. Modele te następnie fotografował i takim sposobem utworzył najdokładniejsze fotografie zjawisk księżycowych, jakie kiedykolwiek były wydane.

Mówiąc o Księżycu, zaznaczyć musimy przedewszystkiém główne punkta, w których selenologia różni się od geologii, czyli raczéj główne skutki, których doświadczył na sobie Księżyc w czasie przeszłym, a które różnią się od skutków, jakich doznała Ziemia. Pomiędzy niemi pierwsze miejsce zajmuje ta okoliczność, iż na Księżycu znać wyraźne ślady wulkanicznego działania, w rozmiarach, przechodzących wszelkie nasze pojęcie o téj kwestyi. Świadczą o tém kratery, mające kilkanaście mil średnicy, a jeżeli płaszczyzny otoczone wysokiemi ścianami uważać będziemy za kratery, wtedy średnice tych kraterów dochodzić będą do 70 mil geograficznych. Przytém działanie wulkaniczne nie ogranicza się do pewnych punktów, nie jest rozrzucone tu i owdzie, ale obejmuje ogromne przestrzenie na całéj powierzchni naszego satellity.

Po tych dowodach wulkanicznego działania, dostarczanych przez kratery i wysokie płaszczyzny otoczone ścianami, z kolei idą jasne pasy, które ciągle niepokoiły obserwatorów. Te ostatnie, jak widać, w rozmaity sposób oświecają powierzchnię Księżyca, rozchodząc się w postaci promieni z wielu kraterów na całe setki mil. O nich to w dziele pp. Nasmyth i Carpenter [1]) powiedziano:

„Są liczne przykłady tych jasnych systemów pasów na widzialnéj półkuli Księżyca [2]): najbardziéj widoczne z tych kraterów są Tycho, Kopernik, Kepler, Arystarch, Menelaus i Proklus. W ogóle te kratery ogniskowe mają wały i wnętrza, odznaczające się tym samym szczególnym, jasnym, czyli w wysokim stopniu odbijającym promienie światła materyałem, wykazującym, zwłaszcza w czasie pełni, ten sam zadziwiający blask; wśród innych warunków oświecenia, nie są tak uderzające. W czasie pełni, albo w miarę zbliżania się téj fazy Księżyca, pasy te zdają się przebiegać płaszczyzny, góry, kratery i wszelkie nierówności, idąc bez względu na wszelkie przeszkody, jakie przypadkowo znajdą się na ich drodze. Najbardziéj uderzający jasny system pasów wychodzi z wielkiego krateru, noszącego nazwę Tycho. Pasy, które mogą być łatwo odróżnione w téj grupie, obejmują przeszło dwadzieścia mil, podczas gdy niektóre z nich mogą być śledzone na przestrzeni przeszło 120 mil od swego centralnego punktu. Te, które znajdują się około krateru Kopernika, jakkolwiek mniéj godne uwagi pod względem rozciągłości, niż wychodzące z krateru Tychona, pomimo to pod wielu względami zasługują na staranne badanie; są tak liczne, iż niepodobna określić ich liczby, i wszelkie usiłowanie rozróżnienia ich rozkładu jest bezowocne.“

---

[1]) Op. cit., pag. 133.

[2]) Jak wiadomo, tylko jedna połowa tego satellity jest stale zwróconą ku Ziemi.

Ostatnie wyjątkowe zjawiska, o których wspomnieć tu wypada, stanowi ta okoliczność, iż towarzysz naszéj planety, jak utrzymują niektórzy, nie ma wcale atmosfery: ani chmur, ani mgieł nie widziano nigdy na Księżycu, a w czasie zakrywania gwiazd i planet przez to ciało niebieskie nie było takich skutków, jakieby koniecznie miały miejsce, gdyby jakakolwiek atmosfera, podobna do naszéj atmosfery ziemskiéj, istniała na towarzyszu naszéj planety. Tego zdania przynajmniéj są pp. Nasmyth i Carpenter. Zobaczymy niżéj, co sądzą o tém inni.

Jakkolwiek większą część tekstu w mowie będącego dzieła stanowi wykład zjawisk astronomicznych, jest tam jednak i znakomity rozbiór topografii Księżyca.

W rozdziale III szczególna uwaga zwrócona jest na obserwacye, dążące do wykazania, że surowiec żelazny, a nawet żużel i lawa, wydzielają się w czasie oziębiania. „Ogólna zasada zjawiska w mowie będącego jest ta: Że substancye topliwe są (z małemi wyjątkami) gatunkowo cięższe w stanie stopionym, niż w stanie stałym, czyli innemi słowy, że stopiona materya zajmuje mniéj przestrzeni, aniżeli ta sama materya, kiedy przejdzie ze stanu płynnego w stan stały. Wynika ztąd jasny wniosek, że takie substancye ściągają się w czasie przejścia w stan płynny, oraz rozszerzają się wtedy, kiedy przechodzą w stan stały. Właśnie to rozszerzanie się w czasie przechodzenia w stan stały zasługuje na uwagę.

„Woda, jak wiadomo, zwiększa swoję objętość w czasie oziębiania się, aż dosięgnie temperatury 39° Fahrenheita [1]), poczém, przy dalszém zniżaniu się temperatury, gęstość jéj zaczyna się zmniejszać, czyli innemi słowy, jéj objętość rozszerza się, i ztąd pochodzi dobrze znany fakt, że lód, jako gatunkowo lżejszy, pływa po wodzie, oraz inny fakt, że rury napełnione wodą pękają w czasie mrozu. To działanie wody jest wagi nadzwyczajnéj w wielkiém gospodarstwie przyrody, i przyjmują je jako dziwny wyjątek od ogólnego prawa substancyj zwiększających gęstość swoję (t. j. ściągających się) w miarę zniżania się temperatury. Wszakże woda wcale nie jest wyjątkową substancyą, o któréj tak sądzono. Jestto fakt bardzo dobrze znany fabrykantom żelaza, że kiedy massa surowca w stanie stałym zostanie włożona do naczynia napełnionego płynném żelazem tego samego gatunku, to pływa stale po jego powierzchni, do tego stopnia, że kiedy przez umyślne popchnięcie upadnie na dno, bezzwłocznie występuje na powierzchnię płynu, jak tylko przyczyna, która spowodowała popchnięcie, przestanie działać [2])."

A daléj powiadają autorowie [1]): „To zwiększenie objętości, jakie towarzyszy przejściu w stan stały materyi stopionéj, dostarcza klucza do rozwiązania zagadki działania wulkanicznego; i teorye takie, które zależą od działania gazów, par, albo wody, nie dadzą się zastosować

---

[1]) 39^0 F. $= \frac{(39-32)_4}{9}$ czyli $3^1/_9{}^0$ R.

[2]) Op. cit., pag. 20.

w żaden sposób do Księżyca, gdzie, jak się zdaje, nie ma wcale gazów, par albo wody."

Przy objaśnianiu przyczyny podnoszenia się, oraz jego skutków, pp. Nasmyth i Carpenter przyjmują ciśnienie w kierunku stycznym. „Kiedy stopione podścielisko, powiadają, wystąpiło poza swoje granice, wyrzuciło zbyteczną materyę i wytworzyło zjawiska wulkaniczne, musiał, po przywróceniu stanu stałego, nastąpić normalny proces ściągania się w miarę zniżania się temperatury, i ustępowanie od zewnętrznéj skorupy. Zastanówmy się obecnie, jaki byłby tego rezultat. Widocznie zewnętrzna powłoka czyli skorupa stałaby się stosunkowo za gruba, aby pozostawać wszędzie w ścisłém zetknięciu z materyą pod nią leżącą. Następstwo zbyt grubéj, stałéj skorupy, mającéj stosować się do ściągniętego ciała, znajdującego się poniżéj, jest takie, że zewnętrzna warstwa materyi stałéj staje się pogiętą i połamaną w naprzemian idące fałdy i poniżenia."

Wyjątki powyższe dają pojęcie o poglądzie autorów na ogólne zjawiska, towarzyszące oziębianiu się skorupy. Niema atmosfery, skorupa, w miarę oziębiania się, rozszerza się i pęka; przez te szczeliny płyn, znajdujący się wewnątrz, bywa wyrzucany, a w końcu ciśnienie styczne dokonywa reszty.

Zaznaczywszy pojawienie się téj książki, która w każdym razie należy do najznakomitszych dzieł, tego rodzaju kwestye rozbierających, zajmijmy się nieco bliżéj Księżycem, przedstawiając w ogólnych zarysach ostatnie rezultaty, tego ciała niebieskiego dotyczące.

Nie zostało dokładnie wyświetloném, czy powierzchnia Księżyca podlega zmianom tak wielkim, któreby były dostrzegalne dla mieszkańców Ziemi. Przed kilkoma laty jedna okolica Księżyca, prawdziwie charakterystyczna, wyglądem swoim obudziła powtórnie tę kwestyę, porzuconą od pewnego czasu. Okolica ta nosi nazwę Platon i leży na półkuli północnéj, niedaleko południka przechodzącego przez środek tarczy księżycowéj. Jest to wyżyna kołowa, szeroka na 97 kilometrów; dokoła niéj wznosi się wał wysoki na 1200 metrów, przerwany na czterech punktach różnych przez obeliski piramidalne, które nad nim wznoszą się jeszcze na jakie 1000 metrów, dochodząc takim sposobem swojemi wierzchołkami do wysokości przeszło 2000 metrów nad płaszczyznę otaczającą. Podobna budowa ogólna daje początek szczególnemu następstwu pasów ciemnych i jasnych, specyalnemu systemowi świetnych brózd, które splatają się i biegną przez okolice stosunkowo ciemniejsze.

Właśnie te pasy, w rozmaity sposób oświetlone, w ciągu czasu od r. 1869 do 1871 ulegały bardzo wybitnym zmianom. Niektórzy utrzymywali, że aby sobie zdać z nich sprawę, nie dosyć jest uciekać się do różnego sposobu, w jaki Słońce oświeca rozmaite okolice księży-

[1]) Op. cit., pag. 27.

cowe, ale potrzeba wyprowadzać je ze zmian rzeczywistych i dostrzegalnych, jakie mają miejsce na powierzchni Księżyca. Na nieszczęście fakta zaobserwowane nie mogły przekonać nawet najbardziéj stanowczych uczonych, i ci, aby powziąć postanowienie stałe, oczekują nowych faktów, któreby dostarczyły podstawy i pewności matematycznéj.

W roku 1874 inna okolica księżycowa zwróciła na chwilę uwagę astronomów. Chodzi tu o mały krater, noszący nazwę Linneusz. Jest to biała plama, znajdująca się na tarczy Księżyca niedaleko od Platona. Jéj wygląd oraz wielkość jéj wymiarów nie zawsze są jednakowe. Linneusz czasami jest wyraźny, a jego kontur i kształt ogólny, dające się porównać niejako do płytkiego półmiska, uderzają odrazu w oczy; wtedy zdaje się, jak gdyby był otoczony obłokiem, i podczas gdy sąsiadujące z nim małe kratery widać jak najwyraźniéj, w Linneuszu nie można odróżnić nic innego nad plamę mglistą i niewyraźną. Czy biała plama, z któréj powstaje Linneusz, znajduje się w stanie ciągłych zmian? Huggins, który ją obserwował w r. 1867 za pomocą refraktora o otworze 20 centymetrów i lunety powiększającéj średnicę 500 razy, a w r. 1873 innym refraktorem (38 centym.) i lunetą nierównie potężniejszą, przekonany jest, że różne wyglądy Linneusza zależą jedynie od różnych sposobów, z pomocą których oświecany bywa przez Słońce w czasie różnych faz księżycowych, i że od czasu Schrötera (1788 r.) utrzymuje się w stanie niezmiennym. Wszakże to nie wystarcza do rozwiązania w sposób przeczący kwestyi zmienności powierzchni księżycowéj, która pozostaje dotąd w zawieszeniu, i do rozwiązania jéj najwięcéj pomogłyby mappy księżycowe nadzwyczaj dokładne. Mappa Mädlera i Beera, najszacowniejsza, jaką dziś posiada nauka, głównie w szczegółach jeszcze cokolwiek do życzenia pozostawia. Na nieszczęście karta przygotowana przez Schmidta, dyrektora obserwatoryum ateńskiego, a która kosztowała autora 34 lata pracy, z powodu przeszkód czysto-finansowych, dotąd jeszcze nie została wydaną. Ci, którzy ją widzieli, nadzwyczaj cenią jéj dokładność. Rzeczywiście jest to fakt bardzo smutny, że tak mozolna, przez tyle lat prowadzona praca nie znajduje wydawcy!

Ale kwestye dotyczące Księżyca, jakeśmy to już widzieli przy rozbiorze dzieła panów Nasmyth i Carpenter, nie zatrzymują się na zmienności czy też niezmienności powierzchni księżycowéj, na które nauka dotąd stanowczo nie odpowiedziała. Jaka jest jego temperatura, jaka jest siła promieniowania ciepła ku Ziemi? Nie znamy bezwzględnéj wartości téj temperatury; nie wiemy dobrze, czy ciepło wydzielane przez promieniowanie, oraz blask księżycowy podlegają temu samemu prawu wzrostu i zmniejszania się. Lord Rosse zakomunikował królewskiemu Towarzystwu astronomicznemu w Londynie, iż pracował nad tém zagadnieniem przy pomocy całéj potęgi i dokładności środków obserwacyjnych, jakich mógł użyć. Znalazł z pomocą tych doświadczeń, że tafla szklana, przepuszczająca 80% promieni słonecznych, nie przepuszcza więcéj nad 10% promieni księżycowych; że zatém następuje wielkie pochłanianie promieni słonecznych, wprzód nim te

ostatnie ulegną irradyacyi na powierzchni towarzysza naszéj planety. Daléj lord Rosse znalazł, że ciepło księżycowe, przepuszczone przez taflę szklaną w czasie pełni, wyraża się ułamkiem 0.17, i przeciwnie ułamkami 0.13, 0.11, 0.10, kiedy Księżyc znajduje się w odległości kątowéj od pełni na 22, 45 i 67 stopni; że kiedy ciepło księżycowe, przepuszczone przez taflę szklaną, wzrasta w czasie zbliżania się faz księżycowych do swego maximum, to samo ciepło zmniejsza się mniéj szybko niż blask podczas oddalania się Księżyca od głównych faz. Astronom angielski stara się objaśnić ten fakt przypuszczeniem, że ciepło wysłane przez Słońce na powierzchnię Księżyca ulega zupełnéj irradyacyi, światło zaś tylko częściowéj. Co się tyczy ciepła na powierzchni Księżyca, to lord Rosse ocenia je na 10^0 w czasie nowiu i 84^0 w czasie pełni, (nie wiemy tylko na pewno, czy według termometru Fahrenheita, czy téż według innego termometru liczone są te stopnie), ale cyfry te są bardzo niepewne.

Powiedzieliśmy już z okazyi dzieła panów Nasmyth i Carpenter, co sądzić należy o atmosferze Księżyca. Najdokładniejsze obliczenia, dokonane na podstawie obserwacyj w Greenwich, dowodzą, że promień Księżyca, otrzymany za pomocą i w czasie skrywania się gwiazd pod jego tarczą, jest o 2 sekundy łuku mniejszy, niżeli promień, otrzymany przez bezpośrednie mierzenie teleskopowe. Na to ostatnie wpływa irradyacya, mocą któréj oko przypisuje każdéj kuli świetlnéj średnicę pozorną większą, niż jest rzeczywiście. Na pierwsze oznaczenie, zależne od skrywania się gwiazd pod ciemną tarczę Księżyca, wpływać tylko może atmosfera księżycowa, jeżeli ta ostatnia istnieje.

W szeregu prac, przedstawionych królewskiemu Towarzystwu astronomicznemu londyńskiemu, Neisen dowodzi, że irradyacya księżycowa nie wystarcza do wyjaśnienia wspomnianéj wyżéj całéj różnicy 2 sekund, że pozostaje jeszcze różnica około jednéj sekundy, którą można tylko przypisać istnieniu atmosfery księżycowéj. Autor bada, jakie cechy powinna miéć ta atmosfera, aby wywołać refrakcyę, zdolną objaśnić zjawiska zauważone, i znajduje, że przy powierzchni Księżyca powinnaby miéć gęstość, któréj wartość wynosi 25 dziesięciotysięcznych téj, jaką nasza atmosfera ma na powierzchni ziemskiéj [1]).

Ale nie na tém kończy się szereg prac nad Księżycem. W licznych rozprawach swoich, dyrektor obserwatoryum w Greenwich, Sir G. Airy, rozbiera różne teorye księżycowe, które postawili Clairaut, Laplace, Plana, Hansen, Delaunay, i podaje swoję własną, wychodząc w niéj z wyrażeń liczebnych Delaunay'a, jako liczb głównych. Ale to kwestye zbyt subtelne, nie mogące interesować czytelników „Biblioteki," i dla tego je obecnie pomijamy, odsyłając ciekawych do specyalnych pism [2]).

---

[1]) „Monthly Notices," 1873, XXXIV, 6—16.

[2]) Ob. między innemi „Monthly Notices," 1873, XXXIV, 1.

II.

Na tém miejscu powiemy słówko o naszéj gwiaździe centralnéj, drugiém z kolei ciele niebieskiém po Księżycu, ze względu na jego odległość od Ziemi.

Fotosfera słoneczna, widziana przez silny teleskop, przypomina nam powierzchnię wzburzonego morza: nierówną, ruchomą, nadzwyczaj zmienną. Nadewszystko zwraca uwagę ta okoliczność, iż pokryta jest wielką liczbą żywo świecących punktów, które występują na mniéj jasném tle całéj tarczy słonecznéj i które, z powodu swego nadzwyczajnego blasku, zdają się być niejako bezpośredniém i główném źródłem światła i ciepła wydawanego przez Słońce. Punkta te mają wymiary bardzo rozmaite, w ogóle od 1 do 2 sekund łuku; przybierają wygląd i kształty również bardzo różne, najczęściéj jednak dają w całości obraz ziarnka ryżu, i właśnie pod taką nazwą od wielu lat przedstawiane bywają we wszelkich rozprawach o Słońcu. Przed niezbyt dawnym czasem w ogóle sądzono, iż są one względem fotosfery słonecznéj tém, czém są cząsteczki względem ciał.

W ciągu r. 1874 Langley, astronom amerykański, ogłosił rezultaty swoich obserwacyj, które poprowadziły go do bystrzejszego zajrzenia w fotosferę Słońca i szczegółowego zbadania jéj budowy. Langley nie uciekał się w swoich obserwacyach do spektroskopu; patrzał wprost na Słońce za pomocą potężnego refraktora o otworze 33 cent., używając do pomocy innych jeszcze przyrządów. Szczególniejszą uwagę zwrócił na wspomniane wyżéj *ziarna ryżu*, zamierzając badać ich liczbę i wymiary. Doszedł wszakże do rezultatów, które niezupełnie zgadzały się między sobą, i nie dały się pogodzić z błędami obserwacyi, podług tego, czy były otrzymane za pomocą słabszych, czy téż silniejszych narzędzi. Niebawem jednak odkrył przyczynę tego faktu, mającą swoje źródło w tém, że tak zwane *ziarna ryżu* nie są częściami składowemi fotosfery Słońca, ale że powstają same z elementów bardzo drobnych, które jednak nie mogły ujść przed silném powiększeniem, jakiego dostarczał jego wielki teleskop.

Te części składowe *ziarn ryżu* Langley odróżnia mianem *ziarnek;* są to bardzo drobne punkciki rozrzucone po powierzchni słonecznéj. Rzadko napotykają się odosobnione, częściéj bywają połączone w grupy, po dwa, po trzy, po dziesięć i więcéj, i wtedy dają początek *ziarnu ryżowemu;* albo téż są rozmieszczone w długich szeregach, i wtedy tworzą te jasne rozgałęzienia nitkowate, łatwo dostrzegalne w półcieniach plam. Jakkolwiek te ziarnka mają byt własny i niezależny, posiadają jednak bardzo wyraźną dążność do łączenia się, jak gdyby istniało pomiędzy niemi wzajemne przyciąganie. Nie zdaje się jednak, aby Langley pierwszy miał je zobaczyć; O. Secchi, lubo niewyraźnie, robi przecież o nich wzmiankę w pismach swoich. Wszakże Langley pierwszy zwrócił na nie szczególną uwagę i poddał je ciągłéj, systematycznéj obserwacyi.

Blaskiem swoim *ziarnka ryżowe* przedstawiają się jak punkta ogniste na ogólném tle fotosfery Słońca. A taka jest różnica w blasku po-

między *ziarnkami* a przestrzenią otaczającą, iż zmuszeni jesteśmy szukać w nich głównego i bezpośredniego źródła światła słonecznego.

Jednę z głównych cech fotosfery Słońca stanowi jéj nadzwyczajna ruchomość i zmienność. Materya jéj ulega ciągłym ruchom, a poznanie natury tych ruchów stanowi jedno z głównych zadań fizyki słonecznéj. Większa część obserwacyj dokonanych przez Langleya doprowadziły go do przekonania, że materya fotosfery słonecznéj unoszoną bywa przez prądy, poruszające się z góry na dół. Tylko w jednym przypadku, jak powiada, zauważył ruch przeciwny.

Pomimo to Langley jest zdania, że na Słońcu muszą istnieć częste prądy poziome, wywoływane przez ruchy wprost przeciwne, i sądzi, iż typowa forma prądów słonecznych jest cykloniczną, dodając, że działanie cykloniczne w plamach nie ulega najmniejszéj wątpliwości.

Obserwacye te Langley wykonał za pomocą silnych teleskopów, i wyraża życzenie, aby i inne wielkie narzędzia były zastosowane do bezpośredniego dostrzegania zjawisk słonecznych.

III.

Professor Pierce starał się wyprowadzić z hipotezy nebularnéj objaśnienie rzeczywistego obrotu planet około ich osi; a rozumując specyalnie co do Jowisza i Saturna, wykazuje, że wewnętrzna część pierścienia, zrzucona z obracającego się ciała centralnego, musiała mieć mniejszą prędkość, niż część zewnętrzna, w skutek czego musiało nastąpić złamanie pierścienia. Dowodzi za pomocą analizy matematycznéj ruchów cząstek, stanowiących płynny pierścień, że prędkość powstającego obrotu musiała być taka, jaka obecnie została zauważona.

Planetoidy, które między Marsem a Jowiszem krążą około Słońca w orbitach zamkniętych i mało różniących się między sobą, a których liczba z każdym rokiem wzrasta, dochodzą obecnie do 148.

W ciągu 1873 r. odkryto ich sześć, do 134 włącznie. W ciągu 1874 r. odkryte zostały planetoidy (135), (136), (137), (138) i (139).

Spis planetoid w Astronomii Lockyera doprowadzony jest do (128) Watsona [1]). Planetoidy Maja, Frigga, Dike, Klimena, Dyana, Kamilla, Felicyta, odkryte dawniéj, zostały następnie zagubione, i dopiéro w ostatnich latach odszukane na nowo. Utrata ich nie pochodziła wszakże z niedokładnego oznaczenia ich orbity, pracy mozolnéj, któréj oddaje się nie każdy odkrywca planetoid, i którą zazwyczaj pozostawia innym.

IV.

Niektóre fakta naukowe są nieraz dziwniejsze, niż fikcye, będące utworem najbujniejszéj imaginacyi. Wyrzeczenie to, sprawdzające się we wszystkich niemal działach nauki, stosuje się szczególniéj do astronomii, a przedewszystkiém do części téj nauki, która odnosi się do komet. W ciągu ostatnich kilkunastu lat dokonane zostały

[1]) „Elementary Lessons in Astronomy," by J. Norman Lockyer, London 1873 pag. 329.

najbardziéj zadziwiające odkrycia, dotyczące tych tajemniczych ciał niebieskich, tych „cyganów systemu słonecznego," jak je nazwał Radau: wykryto związki, łączące je z innemi przedmiotami, których natura dawniéj uważaną była za zupełnie różną, i obecnie, jak się zdaje, otwartą jest droga do rezultatów jeszcze bardziéj zadziwiających, przy pomocy których umysł ludzki zagłębia się w nieskończoność przestrzeni i czasu. Ziemia, na któréj żyjemy—powiada Proctor [1]), autor nowéj klassyfikacyi komet, przedstawianéj w streszczeniu czytelnikom w niniejszém sprawozdaniu—a nawet cały nasz układ słoneczny zdaje się sprowadzać do nieznanych rozmiarów w porównaniu z olbrzymiemi przestrzeniami, przebieganemi przez komety. Podobnież wszystkie okresy historyi, nawet te, które służą za miarę istnienia naszéj planety, wydają się być sekundami w porównaniu z niezmierzonemi przeciągami czasu, jakie musimy brać pod uwagę przy badaniu zjawisk komet.

Jednym z najbardziéj zajmujących punktów, jakie nastręczają świeże odkrycia, dokonane na polu poszukiwań nad temi ciałami niebieskiemi, jest właśnie kwestya klassyfikacyi komet. Że nie wszystkie komety mogą być odniesione do tego samego szeregu, wątpliwości najmniejszéj nie ulega, czy bierzemy pod uwagę ich wielkość, czy téż kształt i rozciągłość ich orbit. Ale jak w klassyfikacyi zoologicznéj sama tylko wielkość uważana jest za mniéj ważny punkt, niż inna jaka charakterystyczna różnica budowy albo nawet różnica rozmieszczenia, tak również w klassyfikacyi komet same wymiary, niewielkie miałyby znaczenie, gdybyśmy nie mieli do czynienia z inną więcéj charakterystyczną różnicą. Gdybyśmy np. przypuścili, że można podzielić komety na takie, które zawierają jądro, i takie, które go nie mają, to podobna klassyfikacya byłaby bardziéj zadawalniająca, niż podział komet na różne rzędy, różniące się jedynie wielkością. Otóż jedną z najciekawszych kwestyj, jaka się nam nastręcza w astronomii komet, jest ta, czy własności wspomniane, obecność lub brak jądra albo ogona, są rzeczywiście charakterystyczne, czy téż odpowiadają tylko różnicom rozwoju? Proctor oświadcza się za tą ostatnią opinią, a za przykład bierze kometę Donatego. Stopniowa utrata tych dodatków, jakiemi są *ogon* i *warkocz* [2]), przez kometę Donatego, w miarę usuwania się jéj w odle-

[1]) Rozprawa jego, nosząca tytuł: „Classification of Comets" by Richard Proctor B. A. Cambridge, pomieszczoną była w Nr. 53 „Popular Science Review" za rok 1874.

[2]) Jaśniejsza część komety nazywa się *głową* albo *warkoczem*, który niekiedy mieści w sobie jeszcze jaśniejszą część, zwaną *jądrem*. *Ogon* jest mniéj jasną częścią, wypływającą, że tak powiemy, z głowy komety. Jak zauważono na różnych kometach, ogon może być długi albo krótki, prosty albo zakrzywiony, pojedyńczy, podwójny, potrójny, i t. p. Kometa z 1744 r. miała sześć ogonów, kometa z r. 1823 dwa. W niektórych kometach niema wcale ogona. Tak warkocz komety, jak i jéj ogon są tak prezroczyste, że najmniéj świetlne gwiazdy można przez nie widzieć, jak to wielokrotnie sprawdził Ol-

głą przestrzeń, zdaje się popierać ten pogląd. Ale nierównie silniejszego dowodu, popierającego opinię, że zewnętrzny wygląd komety jest rzeczą podrzędną, dostarczyła, jak wiadomo, kometa Halleya, w czasie swego powrotu w latach 1835 i 1836: kiedy bowiem przedstawiła się astronomom na półkuli naszéj, w czasie swego zbliżania się do Słońca, z pięknym warkoczem i ogonem, widziana na półkuli południowéj przez Herszla i Macleara, była nietylko bez ogona, ale i bez warkocza, zbliżając się wyglądem swoim do gwiazdy drugiéj wielkości. Poczém powoli odzyskała warkocz i zupełnie nowy ogon, ale ten ostatni nie był jednakowy przez cały czas, w ciągu którego widzialną była kometa.

Już na podstawie tego, cośmy dotąd powiedzieli, jasną jest rzeczą, że za podstawę klassyfikacyi komet nie może służyć ich wielkość. Opinia ta potwierdzona została jeszcze mocniéj przez rozbiór widmowy tak wielkich, jak i małych komet. Rzecz tedy jasna, że klassyfikacya komet musi być oparta na innéj podstawie.

Proctor, w przywiedzionéj wyżéj rozprawie, dzieli komety na trzy klassy, stosownie do natury ich dróg.

1). Są komety, które mają drogi takie, że czasy ich obrotu odpowiadają czasom, w których planety obracają się około Słońca. Ta klassa obejmuje wszystkie komety, opisane pod nazwą familii komet Jowiszowych, oraz wszystkie komety, pozostające w podobnym stosunku do Saturna, Urana i Neptuna. Inne komety, o peryodzie cokolwiek większym, niż familia komet Neptuna, mogą być uważane za pozostające w pewnym stosunku do nieodkrytych dotąd planet, których drogi leżą poza orbitą Neptuna, a tém samém za należące do téj saméj familii komet.

2). Są komety o długich peryodach obrotu, ale których ruchy dowodzą najwidoczniéj, że te ciała niebieskie należą do naszego systemu słonecznego, jak np. kometa Donatego, któréj powrotu do Słońca można się spodziewać w ciągu lat około dwóch tysięcy.

3). Istnieją wreszcie komety, których ruchy nie wskazują drogi schodzącéj się, t. j. które nie tworzą linii zamkniętéj. Te bywają dwóch rodzajów: pierwsze idą po drodze ciągle oddalającéj się od Słońca, i w miarę swego oddalania się, coraz bardziéj równoległéj drogi, po któréj zbliżały się do naszéj gwiazdy centralnéj; drugie, oddalając się od Słońca, kierują się w stronę nieba zupełnie przeciwną téj, z któréj przybyły. Wyrażając się terminem technicznym, powiemy, że pierwszych orbity są paraboliczne, drugich hiperboliczne. W rzeczywistości jednak możemy odrzucić drogę paraboliczną, po któréj komety nigdy nie idą, podobnie jak po prawdziwie kołowéj drodze nigdy w rzeczywistości nie idą planety. Możemy na pewno przyjąć, idąc za Proctorem, że wszelka kometa, która zdaje się iść po drodze parabolicznéj, w rzeczywistości biegnie jużto po nadzwyczaj wydłużonéj drodze owalnéj (eliptycznéj),

---

bers. Zaznaczając te fakta, pomijamy inne dawno znane, gdyż można je znaleźć we wszystkich podręcznikach astronomicznych.

a tym sposobem należy do klassy drugiéj, już po drodze, usuwającéj ją na zawsze w przestrzeń zewnętrzną *przybliżenie* w kierunku, z którego przybyła. Droga komety mogłaby jedynie, zdaniem Proctora, przybrać kształt paraboliczny chyba jakimś cudownym sposobem; a nawet gdyby jaka kometa zbliżała się do Słońca po takiéj drodze, najmniejsza z zakłócających sił, na jakie kometa byłaby wystawioną, wystarczyłaby do zmienienia jéj drogi na formę albo eliptyczną, albo téż na hiperboliczną.

Rozwijając daléj rzecz tę, Proctor w rozumowaniu swojém, którego tu powtarzać nie będziemy, dochodzi do kwestyi, czy możemy twierdzić, że są komety, które od najdawniejszych czasów, t. j. od początku systemu słonecznego, należały do niego, czy okresy ich były krótkie, czy téż długie, podczas gdy inne komety przechodziły z innych systemów. Takim sposobem usiłowanie klassyfikowania komet prowadzi Proctora w tym przypadku do kwestyi pochodzenia czyli początku.

Rozbierając szczegółowo teoryę Schiaparellego, którą, jako powszechnie znaną, pomijamy na tém miejscu, Proctor przychodzi do wniosku, że nie zyskujemy nic pod względem objaśnienia kwestyj, dotyczących komet, przez przyjęcie hipotezy Schiaparellego. Przyjmować, że materya kometowa błąka się po przestrzeni międzygwiazdowéj, dopóki przyciągający wpływ Słońca nie pociągnie jéj ku systemowi słonecznemu, jest to, jak powiada Proctor, objaśniać jednę trudność przez inną jeszcze większą, jest to objaśniać *obscurum per obscurius;* co większa, nie mamy nic na poparcie tego przypuszczenia. Przypuszczać z drugiéj strony, że komety *przebiegły* przestrzenie międzygwiazdowe, przybywając do nas ze sfery działania innego słońca, jest to odsuwać trudność o jeden tylko stopień daléj. Wiemy, że komety przechodzą z obrębu działania naszego Słońca, aby zwiedzić jakie inne słońce, po podróży międzygwiazdowéj nadzwyczaj długiego trwania; a przypuszczać, że komety, czy to o hiperbolicznéj, czy téż o eliptycznéj orbicie, przybyły do nas piérwotnie ze sfery działania innego słońca, jest to tylko przypuszczać, iż to zdarzyło się tym kometom przed milionami lat, co jak wiemy zdarza się innym kometom w epoce obecnéj, a wcale nie objaśniać natury komet albo ich początku. Wiele komet, powiada Proctor, które opuszczają nasz system dla zwiedzenia (?) innych systemów, nie miały początku w naszym systemie i nie możemy, ciągnie daléj, przyjąć za możliwe, a nawet za prawdopodobne, aby niektóre z pomiędzy komet, opuszczających nasze własne Słońce, miały początek w sferze działania naszéj gwiazdy centralnéj.

Tak więc Proctor dochodzi ostatecznie do wniosku, że czy przyjmiemy z Schiaparellim i innymi teoryę, iż komety i systemy meteorów mogą być pociągnięte w zakres działania Słońca, czy téż uważać będziemy podobny wypadek za bardzo rzadki, w każdym razie znajdujemy, że początku komet trzeba szukać w systemach słonecznych, czyli że możemy powiedzieć, iż komety w odległym peryodzie swego istnienia należały do systemu słonecznego. System nie miał już sposobności, że tak powiemy, pożyczania komet od innych systemów, t. j. od in-

nych słońc, podobnie jak te ostatnie nie potrzebowały pożyczać komet od niego i pomiędzy sobą.

Takim sposobem Proctor decyduje, że komety mogą być podzielone na takie, które należą do naszego systemu słonecznego od najdawniejszego okresu swojéj historyi; na takie, które zwiedzają go, przychodząc z zewnątrz i przechodzą do innych słońc; oraz na klassę pośrednią, składającą się z tych, które przybywszy doń z zewnątrz skutkiem pewnych perturbacyj czyli zaburzeń, zmuszone są do stałego przebywania w zakresie wpływu tego systemu. Możemy również zaznaczyć, że jak są komety należące obecnie do naszego systemu słonecznego, które początkowo należały do innych systemów słonecznych, tak prawdopodobnie wiele komet, które należały pierwotnie do naszego systemu słonecznego, już to towarzyszy obecnie innym słońcom, już błąka się po otchłaniach oddzielających gwiazdy, przechodząc od słońca do słońca.

Tak więc Proctor wykazuje, że komety od najdawniejszych czasów wchodziły w skład naszego systemu słonecznego; że niektóre komety mogły być wyparte z systemu, oddalone od Słońca, oraz że inne, te mianowicie, które zdają się być przywiązane do orbit olbrzymich planet, mogły być wyparte z zakresu działania z tych planet, będących w swoim pierwotnym stanie, t. j. w stanie słońc. Ruchy członków familij komet Jowisza, Saturna, Urana i Neptuna zgadzają się prócz tego, zdaniem Proctora, nierównie lepiéj z tą teoryą, niż z teoryą Schiaparellego.

Po tym ogólnym szkicu klassyfikacyi komet, przechodzimy do zanotowania rezultatów roku zeszłego. W historyi komet rok 1874 pozostanie sławnym z powodu świetnéj komety, która w ostatnich dniach czerwca zwróciła na siebie uwagę powszechną. Zacznijmy jednak od dwóch innych, które pojawieniem się swojém poprzedziły wielką kometę Coggia.

Kometa I. Odkrytą została w konstellacyi Lisa, w nocy z 20 na 21 lutego, przez professora Winnecke w Strasburgu. Miała kształt tarczy i świeciła światłem bladém, rozlaném; późniéj okazała ku środkowi punkt nadzwyczaj jasny, dający się porównać pod względem blasku do gwiazdy dziewiątéj wielkości. Po 9 marca szybko oddalała się od Słońca i Ziemi, stając się coraz mniéj jasną. Zasługiwała głównie na uwagę jedynie z powodu swojéj małéj odległości przysłonecznéj.

Kometa II. Odkryta również przez Winnecke'go w nocy z 11 na 12 kwietnia, była piękną i jasną; miała wygląd krążka kołowego, ku środkowi dosyć świetnego, na brzegach bladego. Przeszła przez punkt przysłoneczny 14 marca, czyli przed swojém odkryciem. W ciągu miesięcy kwietnia i maja była obserwowana w Strasburgu, w Wiedniu, w Medyolanie, Neapolu, Hamburgu, Poli i Lipsku; w czerwcu straciła wiele na blasku i z trudnością mogła być widzianą. Schmidt widział ją ostatni raz w Atenach w dniu 13 czerwca.

Kometa III. Jest to właśnie wspomniana na początku świetna kometa Coggia. Odkrył ją astronom Coggia w Marsylii, w wieczór 17

kwietnia w Giraffie, konstellacyi północnéj, którą otaczają Kassyopea, Cefeusz, Mała i Wielka Niedźwiedzica. W miesiącach kwietniu, maju i czerwcu ruch jéj był bardzo powolny; przebiegła na niebie, oddalając się od bieguna, i w kierunku ku równikowi, krótki szlak o długości kilku pozornych średnic księżycowych. W miesiącu lipcu poruszyła się jeszcze cokolwiek, zatrzymawszy się czas jakiś w tém samém wielkiém kole sklepienia niebieskiego, przechodzącém przez biegun, i szybko zaczęła się zbliżać do równika. W tym swoim biegu przeszła obok Wielkiej Niedźwiedzicy i przez konstellacye Bliźniąt, Raka, Psa Małego przebyła równik, przesuwając się w półkulę południową.

Z początku kometa Coggia przedstawiała się jako tarcza o konturach czystych i wyraźnych; składała się z dwóch wybitnych części, jednéj środkowéj świecącéj (jądro), drugiéj rozlanéj, bladéj (warkocz). W ostatnich dniach maja warkocz przestał być symetrycznym względem jądra, i zaczął rozszerzać się w kierunku przeciwnym od Słońca, tworząc tam mglisty ślad (ogon), coraz słabszy, w miarę odległości od jądra, ginął w świetle nieba, z którém się zlewał. Powoli ten ogon rozchodził się na coraz większą odległość od jądra; pod koniec czerwca miał już około trzech stopni, t. j. około 6 razy wziętą średnicę pozorną Księżyca; w początkach lipca dochodził do 7 stopni, a około połowy tegoż miesiąca, kiedy kometa w skutek swego szybkiego ruchu przestała być widzialną dla mieszkańców półkuli północnéj Ziemi, jéj długi i świetny ogon miał przeszło trzydzieści stopni.

Kometa Coggia tak blaskiem swoim, jak i zjawiskami zauważonemi przy pomocy silnych teleskopów w jądrze i warkoczu, przypomina wielką kometę Donati'ego z roku 1859. Dokonywano nad nią obserwacyj spektroskopowych, ale nie zdaje się, przynajmniéj o ile sądzić można z tego co dotąd ogłoszono, aby te obserwacye miały poprowadzić do jakich nowych rezultatów.

Kometa IV. Odkryta została 25 lipca w wieczór, przez astronoma Borelly z obserwatoryum marsylijskiego. Była słabo świecącą, przeszła przez punkt przysłoneczny 26 sierpnia; ostatni raz widziano ją w Kiel 15 września, kiedy już jéj blask, w skutek znacznego oddalenia od Słońca i Ziemi, bardzo się zmniejszył.

Kometa V. Była bardzo słabo świecąca, trzymała się zawsze w wielkiéj odległości od Słońca i Ziemi. Odkrył ją astronom Coggia w Marsylii dnia 19 sierpnia, już po przejściu jéj przez punkt przysłoneczny.

V.

Rok rocznie wzrasta liczba prac, dotyczących nauki astronomii. W memoarach rozbierają się specyalne kwestye naukowe, wykładane bywają fakta i spostrzeżenia nowe, rozbierane ze stanowiska czystéj nauki badania dawno już dokonane. Niepodobna jest zdawać sprawę z tego wszystkiego, zwłaszcza w popularnym artykule, gdzie z jednéj strony

szczupłe ramy sprawozdania, z drugiéj przystępność wykładu stają temu na przeszkodzie, tém więcéj, że sprawozdawca w przykrém może się znaleźć położeniu, bo jedni zarzucać mu będą zbyt specyalny wykład, inni, t. j. specyaliści, zbyt powierzchowne traktowanie rzeczy, zakrawające na blagę. Zadosyć uczynić dwom tym wymaganiom bardzo trudno.

Polemika wywołana teoryą Faye'a o plamach słonecznych, ciągnęła się i w r. 1874, i kwestyę tę znajdujemy między innemi na kartach tygodnika „Comptes Rendus," wydawanego przez Akademią nauk w Paryżu.

W tych samych „Comptes Rendus" czytelnik znajdzie rozprawy o temperaturze Słońca. Jest to kwestya, którą zajmowali się O. Secchi, Zöllner, Faye, Vicaire, Violle. Wszakże rezultaty otrzymane przez tych uczonych są bardzo niezgodne, a temperatury jakie oznaczyli, wykazują różnice wiele tysięcy stopni. Podług najświeższych badań Secchiego, niższa granica téj temperatury wynosi + 133000° C. Znakomity astronom włoski doszedł do tego oznaczenia przez porównywanie promieniowania słonecznego z promieniowaniem światła elektrycznego. Używał tego samego aparatu, jak poprzednio, t. j. termoheliometru, opisanego w dziele swojém o Słońcu. Temperaturę wytworzoną przez promieniowanie słoneczne obserwował Secchi w Rzymie, około południa, w ciągu wielu dni miesiąca lipca roku zeszłego, i znalazł, że jest 36½ razy większa od temperatury końców węgla światła elektrycznego. Secchi i Hirn zgadzają się na to, że temperatura promieniowania słonecznego może zależeć jużto tylko od wierzchniéj warstwy Słońca, już od znacznéj grubości jéj substancyi, podług tego, czy ta ostatnia jest ciemną, czy téż przezroczystą. Hirn wnosi, że gdyby przezroczystość była doskonałą, temperatura Słońca wynosiłaby tylko kilka tysięcy stopni; ale różne zjawiska, a między innemi i obserwacye Langleya z Pittsburga o przecinaniu się prądów fotosfery, zdają się wykazywać, że powierzchnia Słońca jest ciemną, a w najlepszym razie nie jest zupełnie przezroczystą, a ta okoliczność popiera opinię O. Secchi'ego.

Sama wielkość pozorna tarczy słonecznéj jest również przedmiotem rozpraw. Professor Mazzola zakomunikował królewskiéj Akademii nauk w Turynie interesującą rozprawę o oznaczaniu średniéj średnicy Słońca [1]), oraz o licznych przyczynach będących powodem błędu w obserwowaniu średnicy, zwłaszcza o tak zwanych zjawiskach irradyacyi. Rezultaty przez niego otrzymane (15′ 56″ 65) różnią się od tych, do jakich doszli O. Secchi i Rossa. Zdaniem professora Mazzola, różnice te nie pochodzą ze zmienności w samém Słońcu, ale ze zmienności w stanie atmosfery ziemskiéj, oraz z wpływu zmysłu wzroku różnych obserwatorów na bieg doświadczenia.

---

[1]) „Atti della Reale Accademia delle Scienze," Torino, 1873. Parte VIII, pag. 589.

Piękną również rozprawę znajdujemy w dwutygodniku „Revue des deux Mondes" za piérwszą połowę października 1875 roku [1]). Autor jéj, R. Radau, rozbiera następujące kwestye: odległość gwiazd, ich ruch postępowy, orbity jakie opisują w tych ruchach, skład fizyczny i prawdopodobny sposób ich powstania.

Nowy atlas gwiazd stałych półkuli południowéj, widzialnych gołém okiem, przygotowany został przez Behrmanna w ciągu jego długiéj podróży. Przypomina on podobne atlasy, wykonane dla półkuli północnéj przez Argelandera i Heisa. Z tych trzech atlasów dowiadujemy się, że na całém niebie bystre oko może, bez uciekania się do instrumentów optycznych, naliczyć 7353 gwiazdy.

Dwa katalogi gwiazd przygotowane zostały w obserwatoryach w Waszyngtonie i na przylądku Dobréj Nadziei. Piérwszy obejmuje położenia 10658 gwiazd, drugi tylko 1159 gwiazd.

Inny katalog, który zawdzięczamy Burnhamowi, obejmuje niektóre gwiazdy podwójne, co uszły oka obudwóch Herszlów, Struvego i Dawes'a, a ktore Burnham uznał za takie, używając w obserwatoryum w Chicago wielkiego refraktora, zbudowanego przez Alvana Clarka, o którym wspomnieliśmy w sprawozdaniu poprzedzającém.

Nakoniec katalog gwiazd zmiennych ogłoszony został w Manheimie przez professora Schönfelda, dyrektora obserwatoryum astronomicznego w tém mieście, a który, podobnie jak dyrektor obserwatoryum w Atenach, dr. Schmidt, specyalnie poświęca się obserwacyom gwiazd zmiennych.

Takie są najnowsze rezultaty, zdobyte w dziedzinie astronomii.

W następstwie przedstawimy czytelnikom treściwe sprawozdanie, dotyczące postępów, dokonanych w innych naukach.

T. Skomorowski.

PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Pamiętnik akademii umiejętności w Krakowie, wydział filologiczny i filozoficzno-historyczny. Tom drugi, Kraków 1875 r.

Poczet prac, stanowiących tom drugi Pamiętników, w zupełności odpowiada tym wróżbom i życzeniom, jakie w naszém piśmie wyrze-

[1]) „Revue des deux Mondes", 1 octobre 1875, art. „Les progrès de l'Astronomie stellaire, la constitution physique des Etoiles et des Nébuleuses."

czonemi zostały z powodu rozpraw i sprawozdań [1]) z roku ubiegłego. Rozpoczyna się on badaniami p. Lucyana Malinowskiego, nad „Modlitwami Wacława, zabytkiem języka polskiego z wieku XV, odkrytym i skopiowanym przez ś. p. Aleksandra hr. Przezdzieckiego (wydał i objaśnił Lucyan Malinowski).

Nad ważnością samego odkrycia rozszerzać się nie będziemy w tém przeświadczeniu, że każdy zdrowo myślący czytelnik uważa *słowo* za najwydatniejszy rys ubiegłéj cywilizacyi.

Z drugiéj strony zabytek tak ważny, bo poprzedzający epokę przed-piśmienniczą, wprawniejszéj ręce powierzonym być nie mógł. Ograniczenie roli filologii porównawczéj w programie wysokiéj instytucyi naukowéj, ograniczenie, o którém nadmieniono w naszém piśmie, wynagrodzoném zostaje wprowadzeniem *metody* systemu porównawczego, traktowaniem zabytków mowy starożytnéj w duchu filologii porównawczéj i na mocy ostatniego wyrazu téj nauki. Główną zasługę p. Malinowskiego, zdaniem naszém, stanowi to, iż podnosi głos za genetyczném opracowaniem mowoznawstwa. Wszelką teoryę językową, wszelką gramatykę, biorącą za podstawę i ramy mowę li współczesną, uważać należy jedynie za mniéj lub więcéj udatny portret, w którym duszy języka tylko *domyślać* się można. Dla nakreślenia istoty języka, tak jak dla nakreślenia prawdziwéj linii, jeden punkt w przestrzeni nie wystarcza; potrzeba historyi, potrzeba pokazania ruchu dźwięków i formy w czasie. W takiém genetyczném obchodzeniu się z materyałem, przychodzimy do dwóch ważnych zdobyczy: 1) dajemy poważną odprawę tym tuzinkowym empirystom, którzy język nasz uważają za płód anarchii logicznéj, za stek nieforemności i mamy prawo *naukowe* oświadczyć im słowami Deszkiewicza, że język słowiański utworzonym został arcylogicznie, i to dla nas a nie dla nich [2]).

Mowoznawstwo rozwojowe, czyli gramatyka dziejowa, śledząc za czasowym pochodem dźwięku i formy, odszukuje w nich jak najsubtelniejszą ciągłość; prowadzi przekątnie pomiędzy najsprzeczniejszemi napozór kształtami języka.

2). Za pomocą poszukiwań dziejowych, upatrzywszy pewne kierunki, w jakich się posuwała treść języka, badacz może wytworzyć sobie prawdziwie duchową modłę, stanowiącą o tém, co się godzi lub nie godzi w rzeczach mowy.

W niniejszém tedy sprawozdaniu wskażemy przedewszystkiém na to, jak trafnie p. Malinowski używa aparatu genetycznego w rozbiorze „Modlitew Wacława." Najprzód zaś powiemy słów kilka o samém odkryciu i ogólnych domniemaniach p. Malinowskiego co do wieku pomnika. Na wstępie p. L. Malinowski mówi:

---

[1]) Zob. zeszyt VII, tom III Bibliot. Warsz., lipiec 1875 r. (stronnica 144 do 159).

[2]) Deszkiewicz, rozprawy o języku polskim i jego gramatykach 1843.

„Aleksander hr. Przezdziecki w r. 1870 (Pamiętniki akad. t. II, k. 1—2), w czasie pobytu swojego w Peszcie, gdzie robił badania historyczne i archeologiczne, zwrócił uwagę na rękopism polski przechowywany w tamecznéj bibliotece uniwersyteckiéj; rękopism ten znany jest w literaturze pod nazwiskiem „Modlitwy Wacława," nieboszczyk w części sam przepisał, kopijowanie zaś pozostałych kart powierzono p. Ryngowi, oficyałowi przy węgierskiéj akademii umiejętności. Prócz tego polecił sporządzić fotograficzne wizerunki 4-ch stronnic. Fotografie te hr. Przezdziecki przesłał p. Łepkowskiemu. Na podstawie tych fotografowanych podobizn ś. p. prof. Suchecki podał wiadomość o naszym rękopiśmie, wraz z tekstem czterech stron i rozbiorem filologicznym i lingwistycznym. Professor Nehring ogłosił także urywek z psalmu 118 (od wiersza 113 Wacława), zestawiając go z tekstem psałterza floryańskiego. Opracowanie gramatyczne i wydanie całego rękopismu, za zgodą ś. p. hr. A. Przezdzieckiego prof. Łepkowski powierzył podpisanemu (t. j. dr. Lucyanowi Malinowskiemu)."

Cały rękopism składa się z trzech części, z których każda stanowi odrębną całość i pochodzi z trzech różnych źródeł. Obejmuje on godzinki, tłumaczone z brewiarza, modlitwy o Ś. Annie, Credo, modlitwy z wierszy różnych psalmów. P. Malinowski wskazuje różnicę w tekstach psalmowych 1 i 3 części, od tekstu drugiéj części. Tam (w 1 i 3 éj) mamy wierne tłumaczenie Vulgaty; język jego zbliża się do języka psałterza floryańskiego; w 2-éj zaś części psalmy są parafrazowane lub wolno tłumaczone (w części 2, przytém modlący się przemawia jako mężczyzna, w 3-éj jako kobiéta). Dla unaocznienia różnicy pan Malinowski przedstawia ustęp (str. 6, 7) z psalmu 3-go podług Vulgaty w czterech tekstach t. j. trzech polskich (floryańskim, Wacława części 3-éj i Wacława części 2-éj) i łacińskim.

I tak mamy np. wiersz psalmu w trzech charakterystycznych kształtach: „pożegnanie twoje, przeżegnanie twoje, błogosławienie twoje (*benedictio tua*)." Opierając się na cechach lingwistycznych p. Malinowski zgodnie ze zdaniem professora ś. p. Sucheckiego, odpisanie rękopismu odnosi do drugiéj połowy XV wieku, psalmy zaś przytoczone w modlitwach, a szczególniéj 1 i 3-éj części, podług p. Malinowskiego mogą sięgać nawet XIV stulecia.

Rozbiór gramatyczny Modlitew Wacława (od str. 9—48) słusznie nazwać można mistrzowską wycieczką do dziedziny: dziejowéj gramatyki polsko-słowiańskiéj, prowadzoną w ruchoméj formie komentarza. Najprzód idzie pisownia i fonologia, daléj nauka formy, nakoniec składnia.

Po rozbiorze następuje tekst, w końcu słownik wyrazów godniejszych uwagi pod względem formy i znaczenia, i słownik wyrazów cudzoziemskich.

Podnosimy tu niektóre punkta z pomienionéj wycieczki.

I. Pisownia. Zmiękczenie spółgłoski *l* przez *i*, pan Malinowski odnosi do pisowni, jakkolwiek zdaniem jego „miały one prawdopodobnie znaczenie fonetyczne."

W wieku XIV używanie lub opuszczenie zmiękczającego *i* (*y*), jak to widzimy z psałterza floryańskiego, ma cechę odpowiedniéj owemu czasowi elementarności: piszą tam bowiem *krolyów*, piszą też bez zmiękczenia *babiloński*. Jednak w wyrazie *weliki* wolelibyśmy uznawać więcéj niż zmiękczenie. Że forma słowiańska: *wieliki*, istniała, na to naprowadza już przez dalszą indukcyą forma ludowa *wielemożny* (obok *wielmożny*); 2-e przestarzało-ludowe *wieliczki* (także *wieluczki*) i nazwa solnéj Wieliczki.

II. Fonologia. Z poważnego stanowiska podjętą została przez p. Malinowskiego teorya samogłosek i przeprowadzona z głębokiemi wywodami. Do tego obok metody genetycznéj przyłożyło się jeszcze ogarnięcie pod widok ogólny, już nie języka, ale *wszechmowy* narodu (np. narzeczy szlązkich).

Skupienie narzeczowych członków daje tę samą całość organiczną natury języka ze strony przestrzeni, jaką ze strony czasu daje gramatyka historyczna. Co więcéj, rozbiór wyrazów i form ze strony narzeczowéj, zastępuje poniekąd i dopełnia badania dziejowo-gramatyczne. Albowiem dyalekt jest nieraz przechowawcą form dawniejszych. (Wobec dzisiejszéj mowy piśmiennéj i język ludu jest prawdziwém narzeczem). I tak obok grupy *ło* i *ro* (dotkniętéj u naszego badacza § 15, str. 16) w wyrazie np. *bronić*, mamy ludową formę *ubraniać*.

Co do wahania się pomiędzy *e* i *i* (*ohwalimy* i t. p. [1]) nasuwa się nam na myśl zasada *ciągłości* głoskowéj. Jak pomiędzy *o* i *u* (*ó*), tak pomiędzy *e* i *é* jest pewien ciąg fonetyczny. I dlatego to nietylko w narzeczach polskich, ruskich, ale i w łacińskiém obok *sibi*, *tibi* spotykamy formę *tibe*, *sibe*. Warro mówi, że pomiędzy temi dwiema samogłoskami była trzecia środkująca.

Podobnie ma się rzecz i z samogłoskami *o* i *ó*, gdzie i dotąd uważamy pewne wahanie się. Zbytecznem jest dowodzić, że owa dwoistość fonetyczna nieraz zużytkowaną zostaje logicznie. I tak w pochodnych od wyrazu *głowa*, znaczenia polaryzują się przez *o ó* (*głowny*, *głownia*, *główny*) Bardzo ważne wskazówki zawiera § 52 „O ściąganiu samogłosek" i znikaniu (§ 53). Jest to postać gramatyczna prowadząca do lekceważonéj u nas kwestyi iloczasu. Albowiem w ludowém *czarniszy* (ściągniętym z *czarniejszy*) wyraźnie przedłuża się *i*. Co do wyrazu *ufać*, który p. Malinowski zestawia ze staro-słowiańskiém *upowali*, wyznajemy że wszelkie poszlaki prowadzą nas tu raczéj do niemieckiego *hoffen*.

Zastępywanie nosowéj samogłoski *ę* przez *a* lub *an* w modlitwach Wacława, wyjaśnia się po części formą ludową (*bandzie*, *banda* = *będzie*, *będą*).

Z powodu dotkniętego (§ 76) zestawienia spółgłoski bez zmiękczenia (wszyscy *święte* boży, *odpęd* zamiast *odpędź*), zwracamy uwagę na zabytki organizacyi słowiańskiéj w ludowych formach *idy-że*, *chody-że*, (zamiast *idź*, *chodź*), *rucać* (zam. *rzucać*), *ruchać* (*ruszać*).

[1]) Stronnica 14, § 42, 43.

Co do wyrazu Wacławowskiego *slza* (*łza*), hipotezę p. Malinowskiego (że tu piérwsza spółgłoska *s* może być przyczynkiem), popieramy stanowczo, z uwagi na wyraz *zolza*.

Od stronnicy 29—42 mamy podaną morfologią Modlitewnika. I tu na tle komentarza znajdujemy mnóstwo wiadomości wyjaśniających współczesne kształty gramatyczne, jako owoce naturalnego rozwoju i odsuwających raz na zawsze ową cudowną machinę trafu, którą w mowoznawstwie nazywano nieforemnością.

Co do tematu imiesłowowego (§ 84), z powodu zatracania słowiańskiéj formacyi krótkiéj (*daw=dawszy*) nie bez znaczenia zdają się nam formacye, niewątpliwie imiesłowowe dotąd zachowane: *laskawy*, *urodziwy* i t. p. Wprawdzie p. Malinowski formę *złościwy* odnosi do przymiotników (§ 86), co się daje upośrednić przez *złostliwy*, jednakże formy *uczciwy*, *żywy*, wydatnie prowadzą do źródła słownego.

W stopniowaniu przymiotnika (§ 87), p. Malinowski przystawkę początkową *naj* (starożytne, Wacławowskie, a dotąd jeszcze ludowe *na*) nazywa partykułą. Czy nie będzie to prosty przyimek, modalizujący przymiotniki, na wzór innych przyimków: *prze*, *nad*, (nakształt modalizmu słownego). Dowodzi tego przytoczony tu (§ 87 w końcu) najdawniejszy prawdopodobnie superlat: *nablogosławiono mnie rzeką* (*najblogosławieńszym mię nazwą*) [1]). Jest to więc niewątpliwie przyimek *na*, tylko jotowany, jak to dziać się zwykło w naszym języku w podobnych razach (*naprzód=najprzód*, *najsamprzód*). Dział o deklinacyi opracowanym został na skalę obszerną.

Co do podwójnego tematu: *imię* i *imion*, (u Wacława mamy: *błogosławcie imieniu jego*; w inném zaś miejscu mamy *imionowi twemu*), nie zbytecznem będzie zwrócić uwagę na dzisiejsze temata: *ziele* i *ziolo ziółko*). Do nauki o formie przypadku 7-go liczby pojedyńczéj, gdzie p. Malinowski mówi o rzeczownikach męzkich, dodajemy i formę rodzaju nijakiego w *oce*, zachowaną jeszcze w psalmach rymowych XVI w.

Rozbiór gramatyczny zamyka nauka o składni Modlitew Wacława. Pod składnią zgody p. Malinowski wspomina o Wacławowskiém wyrażeniu *na ty dni* i zestawia z niém wyraz *tydzień*. Skład wyrazu nie ulega żadnéj wątpliwości. Idzie jednak o to, w jaki sposób te dwa członki zrosły się w jeden wyraz. Czy *tydzień* nie będzie to raczéj *ten dzień*.

Wprawdzie braknie tu nam dowodu dziejowo-gramatycznego na to, czy istniała forma zaimka wskazującego *ty* (*ten*), podług analogii *i (jen)*, *który* (*któren*), *każdy* (*każden*). Ale zastępujemy ten brak pośredniego ogniwa następującemi faktami: obok formy *tydzień* spotykamy formę *tendzień*; ale co ważniejsza, 2-gi przypadek *tygo-dnia*, (na wzór ludowego *tygo*, *naszygo*) i to wyraźnie naprowadza na przypadek 1-szy, inaczéj nie byłby to piérwiastek odmienny.

Pozostaje zapytanie o wieku pomnika. P. M., jak nadmieniliśmy, odnosi kopią, zgodnie z ś. p. prof. Sucheckim, do drugiéj połowy XV wieku, sam zaś oryginał, z którego dokonano kopią, a szczególniéj

[1]) W bulgarskim *po-lesno* (łatwiéj), *po-łoszo* (gbrszy).

psalmy części pierwszéj i trzeciéj, może sięgać wieku XIV. Jeżeli psałterz floryański sięga końca XIV wieku, jeżeli nie jest kopią dawniejszego tekstu, w takim razie nastręczają się pewne wątpliwości, przemawiające za odniesieniem modlitew do epoki późniejszéj. Nie będziemy się tu posługiwali faktami luźnemi; jak jedna jaskółka nie przynosi wiosny, tak raz jeden spotkana forma jeszcze nie upoważnia do stanowczego sądu, zwłaszcza, że bliskie siebie okresy nie odróżniają się dosyć wybitnie w pisowni. Ale nie możemy tu przemilczéć o zjawiskach, ponawiających się w wielu miejscach. Otóż w postawionych obok siebie tekstach Symbolu wiary psalmów (floryańskim i wacławowskim części 3-éj) przedstawiają się oczom następujące szczegóły typowe.

We floryańskim spotykamy częściéj zaimek względny: iże—od słowa posiłkowego bydlęcy (jakkolwiek spotykamy ją, chociaż nie w imiesłowie, i w biblii Szaroszpatackiéj: „Synowie ludzcy bydlą =są)." Spotykamy przyimek *ot* (późniejszy *od)* w kształcie pierwotnym, tak oddzielnie, jak i w złożeniu: *otejmi*, *otewróć ote dnia*. Spotykamy rzeczowniki przymiotowe w formie prostszéj: *człowieczstwo*, *wielmostwo*. Abstrakcyjne na *ota* są częstsze aniżeli u Wacława (lichota, jednota); częstszą jest forma *imam;* tu należą także formy: *wiekugi*, *kiela*. Uderzająco starożytném jest: *kako*, w obec wacławowskiego: *jako*. Następnie mamy w psałt. flor. tryb rozkazujący, osobę drugą, przy *vocativie;* który to zwrot przypomina składnią najdawniejszego prawdopodobnie tekstu chrześciańsko-polskiego, modlitwę Pańską. I tak „ święci twoje (*vocativ*), weselcie się," „napełniona bądźcie usta twoja." Trzecia osoba liczby podwójnéj w słowie jest znamieniem odległéj starożytności „pomdlełe jesta oczy moje," „otewróci oczy moi bysta nie widziały [1])."

„Dobrze" jako przysłówek w stopniu wyższym, jest także cechą znaczącą. Tu jeszcze wspomnimy starosłowiańskie „w czrewiech" (we wnętrzach) „opłecienie (wcielenie)" i t. p.. Ale prawdziwą rzadkością w psałt. flor. jest aoryst: abych, sięgający nierównie daléj, aniżeli w modlitwie Wacława.

Oto kilka rysów, nieco osłabiających wiarę w taką starożytność zabytku, o jakiéj napomyka p. Malinowski. Zresztą i sam p. Malinowski nie orzeka stanowczo, aby psałterz modlitwy Wacława odnosił się do wieku XIV.

Praca niniejsza może służyć za wzorową skazówkę, jak podobnego rodzaju odkrycia traktować należy. Ze szczerém uznaniem pracy, witamy w niéj pierwsze zręby dziejowéj grammatyki języka krajowego, a na budowę czekamy z utęsknieniem.

W dalszym ciągu Pamiętnika spotykamy ważną pracę p. Augusta Bielowskiego p. t. „Szymon Szymonowicz." Zasłużony badacz we wstępie mówi o współczesnych i nowszych biografach Szymonowicza; daléj umieszcza zbiór listów, pisanych przez Szymonowicza. i do niego.

[1]) W modlitwach Wacława ta forma jest bardzo rzadką.

Po listach następują mniéj znane, lub zupełnie nieznane poezye Szymonowicza; daléj żywot poety, skreślony przez p. Bielowskiego, rzucający wielkie światło tak na główną postać jak i na jéj otoczenie społeczne, dziejowe i literackie, opatrzony cytatami źródłowemi, a mianowicie, z akt metryki koronnéj. W końcu pisma p. Bielowskiego umieszczone są dodatki do żywota, zawierające akt, którym Szymon Szymonowicz wyniesionym został w stan szchlachty, z nadaniem herbu Kościesza i przydomka Bendońskiego, mianowany poetą królewskim przez Zygmunta III; testament Jana Zamoyskiego rozporządzający, iżby Szymonowicz miał pieczę nad synem jego Tomaszem, był kierownikiem jego nauk i dozorcą i t. d.

Co do życiorysu p. Bielowski dowodzi, iż Starowolski w swojém piśmie „Hekatontas" mylną podaje wiadomość o podróży Szymonowicza do Włoch. Wiadomo, iż ten sam błąd powtarza i bezimienny życiopisarz lwowski.

Koryfeusze nauki, których imię urokiem swoim zwabić miało Szymonowicza do Włoch, nie wszyscy żyli w roku, do którego mniemaną podróż odnosi Starowolski. Tak np. Muret umarł w r. 1585; tymczasem dzieło Starowolskiego wydane we Frankfurcie wskazuje rok 1625. W drugiém wydaniu (z r. 1627 w Wenecyi) sam Starowolski mówi, że Szymonowicz po otrzymaniu laureatu, wkrótce udał się do Belgii i Francyi (in Belgium et Galliam, a w jego wydaniu frankfurckiém było: in Italiam). W piśmie p. Bielowskiego znajdujemy biografią bezimiennego lwowianina (dotąd nigdzie nie ogłoszoną) przytoczoną w całości (str. 106, 7, 8).

Z listów szczególniéj ważnemi są: do Jana Zamoyskiego, w nich bowiem poeta występuje jako żarliwy współdziałacz w sprawie zawiązującéj się akademii Zamoyskiéj i Stanisława Reszki, pisane z Neapolu, a zachęcające Szymonowicza do zwiedzenia Włoch. Znaczącym także jest list Izaaka Kazaubona, jednéj z pierwszych znakomitości filologicznych w owym wieku.

Z poezyi niedrukowanych dotąd, lub nie objętych w dotychczasowych zbiorach, prawdziwie pięknemi są: Funus Sigismundi Solikowski; Manes Barbarae de Tarnow (żony Zamoyskiego) i wiersz także łaciński, do Jakóba Sobieskiego; z polskich zaś: do Wacława Zamoyskiego, Himn o sądzie ostatecznym (przekład z „dies irae, dies illa) i Tren ś. Magdaleny.

Tak więc, dzięki niezmordowanym poszukiwaniom p. Bielowskiego, mamy podniesioną do możliwéj a utentyczności historyą życia Szymonowicza, który dorównywając w polocie pierwowzorom swoim, górował nad nimi skromnością; rzadko bowiem Szymonowicz śpiewa o sobie samym.

Trzecią część Pamiętnika stanowi zakończenie „Rysu dziejów kościoła katolickiego w Szwecyi," skreślonych przez członka zwyczajnego Akademii, Maurycego hr. Dzieduszyckiego.

Rys, w niniejszym tomie, obejmuje czasy Eryka XIV, Jana III i ich następców i sięga aż do czasów obecnych. Na tło tego obrazu trzech ostatnich stuleci, pełnego wstrząśnień politycznych i społeczno-religijnych niemal najcharakterystyczniéj pochwyconym został wizerunek królowéj Katarzyny, kobiety wysokiego rozumu i serca. Również dosadnemi barwami autor odmalował nam księcia Sudermanii obok Zygmunta; odsłaniając w ostatnim pewne ogólne cechy, dotąd niedość powszechnie uznawane. Nie zdaje nam się, aby przypadł do smaku wszystkim sąd autora o wojowniku, któremu „zaciasno. i zaduszno było w ojczyźnie“ chociaż ten sąd w zupełności podzielamy Protestowalibyśmy może przeciw zdaniu autora o Tegnerze, gdyby nie ujął nas po części, przyznając mu z całą bezstronnością tytuł najcelniejszego wieszcza Skandynawii. *A.*

Listy z Czech przez Adolfa Smorczewskiego. Nakład redakcyi Gazety Polskiéj, (Warszawa 1873, w 12-ce str. 299).

Rok druki ubiega jak listy te drukowane w odcinku *Gazety Polskiéj*, wyszły w oddzielnéj odbitce. Żadne z pism czasowych nie podniosło rzeczywistéj ich wartości, nie zajęło się zwróceniem uwagi na treść nauczającą, z któréj wiele rzeczy powinno u nas znaleźć zastosowanie na pożytek ogółu. Autor obywatel ziemski Królestwa Polskiego, kilka lat przemieszkiwał w Pradze Czeskiéj, robiąc częste wycieczki w różne okolice, badając i studyując na każdém polu, rozwój tak umysłowy jak i ekonomiczny narodu, który wśród najnieprzychylniejszych okoliczności, potrafił dobry byt i pomyślność sobie zapewnić, rachując jedynie na własne siły, i niemi się tylko wspomagając w twardéj walce z upartym losem.

Dzieło powyższe tém więcéj powinno zwracać naszą uwagę, że mówi właśnie o pobratymczém pokoleniu słowiańskiém, któremu wiele zawdzięczamy.

Pierwsi apostołowie którzy nam przynieśli światło religii Chrystusa, byli rodowici Czesi: najpierwszym męczennikiem jest *Święty Wojciech*, twórca pieśni *Boga-Rodzica* starożytnego hymnu religijnego, który przez kilka wieków, przed każdą bitwą, rycerstwo polskie śpiewało, pokładając w nim ufność zwycięztwa. Pierwszy bohatér Czechii *Żyżko*, walczył pod chorągwią Władysława Jagiełły w bitwie pod Grundwaldem 1410 r. przeciwko zakonowi Krzyżaków; od Czechów wzięliśmy w sposobie wojowania, sławne *tabory:* to ich wynalazek, któryśmy przez trzy niemal wieki tak szczęśliwie zastosowywali. Słynęli téż Czesi jako umiejętni wojownicy, zkąd przysłowie z XV stulecia w naszéj mowie pozostało: „*Co Polak, to pan, co Czech to hetman.*“ Był czas za ostatnich Jagiellonów, że mowa i ubiór czeski stał się mo-

dnym w Polsce, a uczciwość i rzetelność Czechów zachowała się u nas w narodowém także przysłowiu.

Los nieprzyjazny zdziałał, żeśmy zapomnieli o tém pobratymstwie. Pół wieku mija, jak się rozpoczęło to ocknienie, zniemczonego do gruntu narodu czeskiego, a jak zadziwiające już widzimy tego skutki. Pod względem oświaty ludowéj, daleko nas prześcignęli; z pasterzy owiec, z warstwy najuboższéj wyszli znakomici mężowie, którzy imię Czechii z zapomnienia na jaw wydobyli. Odkrycie *rękopismu Królodworskiego* szerokie echo w całéj Europie znalazło: to téż Niemcy, zaprzysięgli wrogowie Słowiańszczyzny, nietylko zaprzeczali autentyczności tak drogocennego pomnika starożytnéj poezyi czeskiéj, ale dotąd jeszcze, gdy rzecz ostatecznie już osądzoną została, wznoszą swoje głosy zaprzeczenia.

W tym okresie, zamiast śledzić pilnie rozwoj pobratymczego plemienia tak na polu umysłowém jak ekonomicznem, i uczyć się, aby z pożytkiem coby się dało u siebie zastosować: unikaliśmy starannie zbliżenia się, rzadko który z licznych wędrowców naszych o ten kraj zawadził, czasem obejrzał Pragę, ale spieszył z zapałem do Paryża, Włoch lub Anglii, dla czczéj jedynie chluby, że się tam było.

Szkody ztąd nie mało ponieśliśmy, i dotąd jeszcze z obojętności naszéj niewyleczeni, pracę o któréj mamy mówić, jakby na zapomnienie wskazali. Autor w roku bieżącym w wspomnionéj *Gazecie*, rozpoczął nową *Seryę* Listów z Czech; my zatrzymamy uwagę naszych czytelników nad pierwszym ich zbiorem, tém bardziéj, że żadne z pism czasowych odpowiedniego sprawozdania o tém dziele nie podało, z wyjątkiem *Gazety Polskiéj*, która tylko pobieżną wzmiankę uczyniła, jako o wydawnictwie własnym nakładem redakcyi podjętém.

Autor podzielił swoją pracę na VII rozdziałów czyli *Listów*. *W pierwszym* kreśli krótki zarys dziejów, od pierwotnych wieków; *w drugim* daje nam zarys geograficzny, rzuca spojrzenie na ustrój społeczny Czech, nie pomija i rozwoju rolnictwa, jak i stanu ludu wiejskiego, który w roku 1848 doczekał się zniesienia poddaństwa, a uwłaszczenie przeprowadzone zostało w sejmie. Wspomina o wydawnictwach; *Maticy przemysłowéj*, która ma za cel rozpowszechnienie tanich książek fachowych dla rękodzielników i przemysłowców, jak i *Maticy rolniczéj* założonéj w roku 1870 przez dr. *F. Szymaczka*, co już w drugim roku swego istnienia z 15,000 podniosła publikacye swe do 20,000 egzemplarzy, bo tu każdy rolnik kupuje i czyta. Wylicza następnie szczegółowo wszystkie *Spółki i Jednoty*, które ożywiają ludność we wszelkich kierunkach pracy społecznéj.

„*Jednoty i Spółki* (pisze autor) w tysiącznych celach utworzone, spełniły w Czechach myśl badaczów dziejowych, gdyż wiążąc pojedyńcze rodziny, wytworzyły wszędzie siłę oporu i assymilacyi, pochłaniającą łatwo pojedyńczych Niemców, a nawet mniejsze gromadki, i stawiając mur nieprzełomny większemu napływowi. W jednotach i spółkach czeskich znalazł duch poświęcenia, właściwy Słowianom, i sta-

wiający ich obok łacińskiego szczepu, to praktyczne zastosowanie, jakiego każda siła potrzebuje by wydać pożyteczne owoce. Towarzyskość wrodzona naszemu plemieniowi, mile dopomogła powiązaniu się szybkiemu rozlicznych sieci, których ogniwa odpowiadają potrzebom i warunkom każdéj miejscowości, a złączone duchem słowiańskiego braterstwa, stanowią ogólną, wszystkich obchodzącą całość, któréj rozwój i dopełnienie wszędzie radośnie są witane. Większe Spółki i Jednoty mają swe dzienniki, o każdym ruchu szczegółowo powiadamiające, a najznakomitsze pisma krajowe, jak: *Pokrok*, *Poseł z Pragi*, i *Narodne Listy* witają radośnie i podnoszą znaczenia najdrobniejszéj spółki nowo się tworzącéj. Dziś duch ten przeniknął do najmniejszych wiosek."

I widzimy postęp materyalny ze zdrowych zasad wysnuty, a jest wielki i ogólny. Byt całéj ludności polepszył się niesłychanie: bo stowarzyszenia powyższe, po najodleglejszch wioskach i osadach fabrycznych dostarczają wszystkim zarówno zajęciom pomocy w kredycie, oświacie i związkach społecznych, aby nikt osamotnionym i bezbronnym nie został. Teraz ruch ten się rozlewa na Morawy, którym Czechy bratnią podały pomoc.

Nie możemy szczegółowo iść list za listem, których swobodna forma, przerzuca się z przedmiotu na przedmiot, ale streścimy ważniejsze objawy życia społecznego Czech, jakie nam autor przedstawia.

Oprócz kredytu hipotecznego, istnieje tu kredyt osobisty, którego głównym regulatorem jest *Bank przemysłowo-rolniczy* (*Zywnosteński bank*), a pośrednikami, setki kass zasiłkowych, *założnemi* zwanych. Najwięcéj godny uwagi i pouczającym jest układ i sposób działania tych kass, które zdołały urzeczywistnić kredyt prawdziwie osobisty, oparty na uczciwości i pracy, a przeto moralizujacy. Za taki go téż sami Czesi uważają, i w ustawach kass zasiłkowych wymieniają go z chlubą, jako największą zaletę tych instytucyi wytworzonych ożywiającym duchem obywatelskim. Każda okolica i każde miasteczko w Czechach, ma swoją kassę zasiłkową, któréj członkowie znają się, widują na zebraniach i w życiu prywatném, ostrzegają nawzajem zapobiegając nierozważnemu użyciu kredytu, doradzają mniéj obeznanym: czujni na to co się w około nich dzieje. Wzrost zamożności pojedyńczego członka cieszy wszystkich, upadek zatrważa: zapobiegają więc temu, wdając się w interesa, wczesną radę lub poparciem w chwili stanowczéj. Ten bratni związek tworzy nową silną spójnię, w obec niemieckiego zawsze groźnego współzawodnictwa.

Wszystkie zakłady kredytowe, świetnego doznają powodzenia, gdyż trzeźwo są obliczone bez urojeń gry giełdowéj i odpowiadają potrzebom miejscowym. Kassy zasiłkowe „*Założne*" jako pośrednie obywatelskie instytucye, są ogniwami łączącemi kapitał z pracą. Obrót wszystkich tego rodzaju kass, wynosi czterysta milionów reńskich czyli miliard sześćkroć sto tysięcy złp. Oszczędność jest ogólną w Cze-

chach zaletą; nabytą wśród strasznych przejść krajowych, dziś podniesioną do obowiązku obywatelskiego.

Powiązane w spółkach tych życie rodzin, umocniło w Czechach liczny żywot miejski, i wciągnęło w przyjazne z nim stosunki okolicznych rolników. Zbratanie takie niemało siły dodaje.

List IV autor poświęca ruchowi literackiemu. Znanym on jest u nas: głównie z dzieła Edmunda Chojeckiego „Czechia i Czechowie.“ Nowszy jednakże rozwój a w pomienioném dziele nie dotknięty jest niemało zajmującym. Po słynnym historyku Czech Palackim, idzie w jego ślady *Tomek*. Olbrzymich rozmiarów topograficzne dzieło *dr. Karola Korzystki.* wydane zostało kosztem spółek czeskich. W niém autor przeprowadza każdy strumień od źródła do ujścia, zaznaczając często na jego przebiegu spady, których znajomość, przy jednocześnie wiadoméj wzniosłości mniejszych nawet górnych płaszczyzn *(plateaux)* da nową ogólną podnietę, do przedsięwzięć mających na celu użycie wody jako motora, a zarazem do obszernych irrygacyi, które w Czechach wielkiego są znaczenia. I inne części dzieła dr. Korzystki szczegółowo obrobione dają wskazówki praktyczne. Wydanie jest szczególnie ozdobne; publikacye naukowe, w języku krajowym bez pomocy niemieckiego ministeryum, wymownie świadczą o nieustannym duchu poświęcenia, łączącym usiłowanie badaczy przyrody z poetycznemi, podniosłemi celami tych, co w ideały stałą wiarę przechowali.

Autor témi słowy zakończa swój ustęp poświęcony zarysowi literatury czeskiéj.

„Koło literackie, które śpiewem i opowieścią wielkich czynów zbudziło naród czeski do samopoznania, nie zrzekło się kierunku i stoi ciągle na czele: wzięło tylko stopniowo w zakres swego działania nauki, dające środki do osiągnięcia idealnych celów, którym chrystyanizm najwyższy dał wyraz i formy najgodniejsze człowieczeństwa.“

Dalsze listy, obejmujące większą połowę dzieła, autor poświęcił swym wycieczkom w różne okolice Czech dla poznania lepiéj kraju, stanu rolnictwa i przemysłu. Wszędzie zwraca pilną uwagę na przedmioty wydatniejsze, jak w wielkich własnościach, czuwanie troskliwe nad utrzymaniem lasów w stanie *zwartym*, a tam gdzie już je siekiera wytępiła, sianie nie już lasów ale pod miastami gaików, które tak ożywiają świat Boży. Zwiedza zakłady *pilzneńskie*, a szczególniej browar obywatelski w Pilznie, wyrabiający rocznie do miliona wiader piwa sławnego nietylko w całych Czechach, ale i w Wiedniu poszukiwanego, opłacający także rok rocznie podatku około miliona złr.; gospodarstwo i zakłady przemysłowe księcia Szwarcemberga w górach *Szumawy*, zaznajamia nas szczegółowo z ustawą głównych wszystkich kass zasiłkowych, które dziś dają Czechom siłę potężną do wielkich przemysłowych przedsięwzięć, skupiają w sobie najdrobniejsze oszczędności‘ zapewniając im korzystne i bezpieczne pomieszczenie. Z temi opisami łączy autor ciekawe wspomnienia dziejowe, przywiązane do ruin, miej-

scowości i rodów czeskich. Wszystkie te ustępy czytają się z niemałém zajęciem.

Jak energią, oszczędnością, poświęceniem, stawiają Czesi zwycięski opór germanizmowi, tak na polu przemysłowém jak w utrzymaniu swéj narodowości, mamy godny uwagi przykład z miasta *Budziejowic*, u stóp gór *Szumawy*, którym zakończa p. Smorczewski swoje dzieło. Miasto pomienione zamieszkane jest głównie przez Niemców, którzy tu się wnieśli po wojnie trzydziestoletniéj. Wioski okoliczne zamieszkują czescy chłopi, niedawno zbudzeni do życia narodowego.

W mieście rezyduje biskup *Jan Waleryan Irsik*, gorliwy kapłan i światły patryota czeski. Szkółki po gminach były ze słowiańskim już wykładem, ale gimnazyum miejskie czysto niemieckie, psuło podjętą pracę. Biskup prócz swéj pensyi, nie rozporządza funduszami duchowieństwa, tém mniéj na cele naukowe przeznaczonemi, bo te od wiedeńskiego ministeryum zależą. Mieszczanie Budziejowic nieprzyjaźni byli słowiańskiemu kierunkowi. Nagle w roku 1868 biskup Irsik ogłasza list pasterski, naznaczający dzień poświęcenia placu, który nabył pod gimnazyum czeskie w samém mieście, i uroczystego założenia fundamentów. Gorącemi słowy powołał duchowieństwo i włościan na tę wielką uroczystość: wiara go nie zawiodła. Lud wiejski zbudzony wymownym listem pasterskim, podniecony zarazem śmiałością myśli, żeby wśród niechętnego miasta postawić sobie szkołę wyższą, po swojemu wziął się do czynnéj pomocy dziełu rokującemu na przyszłość błogie owoce. Siedemset chłopskich wozów zaprzężonych w silne konie wjechało do miasta. Wozy napełnione były cegłą, wapnem, piaskiem, głazami, budulcem i uwieńczone zielenią i kwiatami. Przy nich w około postępowali chłopi w narodowych strojach, śpiewając i wesoło z biczów potrzaskując. Miasto do razu zalane było przez czeskich chłopów, składających biskupowi w jednym dniu niemal cały materyał, na duży gmach gimnazyalny, i ochocących się potém wesoło, po wszystkich miejskich zajazdach. I wyższa szkoła narodowa powstała w pośród zadziwionéj gawiedzi niemieckiéj, jedném z serca wypowiedzianém słowem zacnego biskupa!

Na wydatniejsze tylko strony téj szacownéj a pouczającéj pracy autora, zwracaliśmy uwagę, które nam wymownie pokazują, co naród jest w stanie dokazać, gdy szczerze zaufawszy własnym siłom, z dobrą wolą statecznie a rozumnie potrafi je rozwijać na każdém polu działalności społecznéj.

„Trzydzieści lat temu (pisze w nowych listach z Czech p. Smorczewski) język niemiecki władał zupełnie w Czechach. Wykładowy już w szkołach elementarnych, prowadził myśl oszołomionego dziecka, przez labirynt form rozwlekłych, do urzędowéj kancelaryjnéj wiedzy, gdzie *koncept-praktykanty*, *auskultanty* i *oficyały* otrzymywali, pod postacią żółto-czarnych listewek i wstążeczek świadectwo wysokiéj zasługi. Liche były płace, wytarte mundury biurokracyi; ale pycha wielka; fascykuły i biura przeliczne, pióra w ruchu; kałamarze nie wysycha-

jące, krok był przeto wielki. W biurach też tonęła literalnie i szła na liche posługi, cała prawie inteligencya czeska.

„W oddzielném, dumném osamotnieniu żyli potomkowie staréj czeskiéj szlachty, jako też nowsi téjże klassy przybysze, nagradzani dobrami królewskiemi za wojskowe lub dyplomatyczne usługi, oddane wiedeńskim ministrom. Mieszczanin mizdrzył się udając niemca, wieśniak zahukany uważał wszystkich niemców za panów swych, a ich mowę za coś wyższego, wiodącego do światła i zaszczytów. Lichwa niszczyła kraj cały, który nie mógł wydołać opłacie podatków, wywołanych wojnami napoleońskiemi, a uwiecznionych złym zarządem finansów austryjackich."

Po tak jaskrawym obrazie niedoli czeskiéj, autor stawia pytanie, co rozbudziło ten naród do zmartwychwstania, i stawienia silnego oporu przeciw gniotącéj niemczyznie, co zachęciło do ukochania swéj mowy ojczystéj, i pracy na każdém polu duchowém i społeczném, ażeby zostać znowu Czechami. I widzimy że rozbudziła Czechów z tyluwiekowego letargu, pieśń ludowa i sam lud.

W roku 1817 Wacław Hanka przypadkiem odkrywa sławny *rękopism królodworski*, pieśń *Zaboja* z czasów przedchrześciańskich, przypominająca dzielność bohaterską i potęgę oręża czeskiego, wstrząsa do głębi cały naród, duch rzeźwiejszy powiał i Kolar swą pieśnią *Córka sławy* (Slavy Dcera) zabrzmiał pierwszy. Warstwa oświeceńsza, duchowo się podnosić zaczęła, ale na mieszczan i lud wiejski trzeba było właściwszéj podniety. I autor stawia nam godny uwagi obrazek.

Jest na Podrzeczu w Pradze Czeskiéj przedmieście pod Wyszehradem nad samą Mołdawą. które zamieszkują *Podskalaki*, ród stary flisaków, trudniący się spławem drzewa z lesistéj Szumawy i zaopatrujący nim swoją stolicę. Ojcowie i naczelnicy rodzin zamieszkują stare, silne, murowane dworce, których dół zalewa nieraz wezbrana rzeka, nie mogąc jednak uszkodzić wyższego piętra, co panuje nad wzburzonemi falami. W podsieniach tych dworców, lub bramach rozległych nadbrzeżnych składów drzewa, można widzieć krzepkie postacie starych Podskalaków.

Przed laty, lud po pracy schodził się do karczem i piwiarni otaczających targowe place, i tam na sposób niemiecki obsiadał oddzielne stoliki, gwarząc zcicha o swéj biédzie, ucisku i kłopotach. Wysłużeni rezerwiści, zuchy co byli w Wenedygo i Italii, wodzili rej w piwiarniach, a dobrawszy się, śpiewali niemieckie przechwałki i bezeceństwa, podkurzając szkaradnym drejkenigem przygnębionym współrodakom, przechadzali się zuchwale między stolikami, depcząc po nogach nieśmiałych parobczaków i zaglądając czelnie w oczy zawstydzonym dziewczętom. Niemiecka piosnka, dowcipy koszarowe, walc z przysiudami, lub zawijaniem, fajka w zębach, cechowały bywalców, zjadaczy serc niewieścich.

W jednéj takiéj zniemczałéj piwiarni ludowéj stojącéj na Porzeczu w Pradze, któréj gospodarzem był Wurmbrand, zasiadło ośmiu

Podskalaków. Krzepkie ich postacie zjednały im uszanowanie panów urlopników, którzy nie śmiejąc ich zaczepiać, wynieśli się powoli. Wtedy Podskalaki zawiedli piękny chóralny śpiew, na który rozgłośny gwar ucichł odrazu, a wszyscy zdumieni posłyszeli z zachwyceniem pieśń czeską:

Hej Slowane, jesztie nasze
Slowańska rzecz żyje,
Pokud nasze wierne srdce
Pro nasz naród bije.
Żyje, żyje duch slovanski,
Bude żyt na wieki,
Hrom a peklo! marne wasze
Proti nam sou wzteki.

Tak brzmiała pierwsza strofka, druga przemawiała za rodzinnym językiem, ostatnia zapaliła wszystkich, gdy usłyszano te słowa:

„Niechaj się nad nami groźna burza wzniesie, skała pęka, dąb się łamie, ziemia aż się trzęsie; my stoimy stale, pewnie, a niech tego czarna ziemia pochłonie, kto odstąpi nas zdradnie.“

Okrzyk *slava!* zabrzmiał po raz pierwszy w zniemczonéj piwiarni; porwani uniesieniem wieśniacy, zbliżyli się do podskalaków i podali dłoń bratnią. I to był pierwszy połysk, który następnie rozlał się na cały kraj, dał swobodny polot pieśni czeskiéj, i zawiązania licznych biesiad, czyli zgromadzeń czeskich, które dzielnie się przyłożyły do rozbudzenia narodowego życia. Pierwszymi jednak téj idei, przez pieśń apostołami byli dzielni Podskalaki, którzy nietylko w saméj Pradze, ale i w dalszych okolicach wyprawy w tym celu robili. Podnietę do tych wędrówek dawał im sędziwy ksiądz Krolmus, a dopomagał przedsięwzięciu urzędnik Peszka dotąd żyjący, który mnóstwem dobitnych śpiewek własnego utworu, podtrzymywał ducha w Podskalakach.

Tak połączonemi siłami, gdy inteligencya pracowała nad językiem własnym i historyą, lud pracą a pieśnią, z dniem każdym zdobywał sobie szersze pole działalności, i tarczę przeciw naciskowi Niemców.

Dzięki zacnemu autorowi, za tę pracę; zachęci ona nie jednego z naszych rodaków do bliższego poznania tak pobratymczego nam narodu, godnego ze wszech miar szacunku. Czesi zwracają pilną uwagę na literaturę polską, tłumaczą chętnie liczne utwory pisarzów naszych i wiele arcydzieł we wzorowych przekładach posiadają. Należałoby i nam bliżéj poznajamiać się z ich piśmiennictwem. *Biblioteka Warszawska* dała do tego początek, drukując obszerne ustępy z dziejów Czechii Franciszka Palackiego, podług oryginału czeskiego, w tłumaczeniu Franciszka Matejki, zawcześnie dla literatury naszéj zgasłego, a rodzonego brata genialnego malarza *Jana.* *K. Wł. W.*

Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitéj Polskiéj i t. d. Tom V, we Lwowie 1875 r.

Ważnéj téj publikacyi zostającéj obecnie pod sterem uczonego i zasłużonego professora Liskego, wyszedł w roku bieżącym tom piąty, obejmujący dyplomatów 160, z których najwcześniejszy jest z 1330 roku, najpóźniejszy z 1469 r. Dyplomatów z wieku XIV jest 22, wszystkie inne pochodzą z wieku XV.

Nie potrzebuję się rozszerzać nad ważnością téj publikacyi i starannością wydania, od czasu jak kierunek jego wziął na siebie dr. Liske. Pod tym względem jedno jest zdanie wszystkich uprawiających niwę dziejową. Nie zamierzam téż podać czytelnikom plonu, jaki zawarte w niniejszym tomie Akt ziemskich i grodzkich dokumenta dla nauki dziejów przynoszą; chcę jedynie, oddawszy hołd należny uczonemu wydawcy, zwrócić jego uwagę za pośrednictwem Biblioteki Warszawskiéj, na niektóre usterki, jakie przy odczytaniu niniejszogo tomu dyplomataryusza dostrzedz mi się zdarzyło, aby z méj strony przyczynić się wedle możności, do udoskonalenia tak ważnéj a w początkach swych dopiéro będącéj publikacyi.

Nad każdym z drukowanych dokumentów znajduje się zatytułowanie czyli nagłówek po polsku, obejmujący miejsce wystawienia aktu, jego datę według kalendarza cywilnego i treść krótko zebraną. Nagłówki te razem zestawione stanowią umieszczony na końcu spis rzeczy. Z porównania nagłówków z osnową dokumentów okazało się, że treść dokumentu nie zawsze wyrozumianą a przynajmniéj nie zawsze dokładnie podaną została, co mniej obeznanych ze średniowiecznemi dokumentami obałamucić może. Ulegając powadze uczonego wydawnictwa naciągać będą wyrażenia w dokumentach napotykane do znaczenia jakie do nich wydawnictwo w nagłówkach przywiązywać się zdaje, a tak wydanie dyplomataryusza nie stanie się czémby być winno, szkołą przyszłych dziejoznawców.

Wymienię usterki pod tym względem dostrzeżone. Dokument XLVI, str. 61, we Lwowie dnia 4 stycznia 1430 r., ma treść podaną w ten sposób:

„Jan Cielątko starosta Łańcucki poświadcza, że Piotr Odrowąż (i inni) złożyli kaucyą iż tenże Cielątko wraz z żoną swą Anną, stawią się we Lwowie w dniu Św. Wojciecha i w Sanoku w dniu Św. Jana, aby tutaj załatwić sprawę zwaną macierzyzny.“

Z osnowy dokumentu okazuje się, że Cielątko nic w nim nie poświadcza, ale obowiązuje się do wynagrodzenia swoim poręczycielom wszelkich szkód na jakieby narażeni zostali, skutkiem niespełnienia przez Cielątko i jego żonę Annę, przyjętych zobowiązań względem stawiennictwa w sądach i zeznania potrzebnych aktów.

Dokument L, str. 65 ma obejmować wedle nagłówka, zastaw dóbr za pożyczone 300 grzywien.

Tymczasem w dokumencie nie ma mowy ani o zastawie ani o pożyczce. Król nic nie pożyczył od uzyskującego nadanie Jana z Koniecpola, przywodzi tylko jako jeden z powodów nadania, że poręczył Koniecpolskiemu (intercessimus) za Dobkiem z Sienna dłużnikiem piérwszego.

Intercessio, nie jest pożyczką; porównaj ten wyraz na str. 29, 78, 129, 198, 199.

Dokument LVII, str. 73, w Sandomierzu 17 lutego 1434 roku. Według nagłówka, Władysław Jagiełło nadaje Ormianom lwowskim prawo robienia testamentów bez żadnych przeszkód.

Z osnowy okazuje się, że Jagiełło aktem powyższym nic Ormianom nie nadał, utrzymał ich tylko przy służącéj im zdawna wolności robienia testamentu i polecił wójtowi ich Iwanowi, aby nie dozwalał nikomu czynić przeszkód w wykonaniu testamentów.

Dokumentem LXXVII str. 97, w Krakowie 25 lutego 1440 r. Władysław Warneńczyk poświadcza, według nagłówka, iż dłużny jest miastu Lwowu 905 grzywien, 21 skotów, i nakazuje aby dług ten *powoli* spłacono z dochodów ceł opłacanych między Krakowem a Lwowem.

Według osnowy dokumentu dług nie miał być płacony ani powoli ani prędko, ale na ten cel rajcy lwowscy mieli pobierać połowę otrzymywanego z cła dochodu.

Dokumentem CXX str. 157, papież w Rzymie 15 lipca 1447 r. nie nakazał, jak powiedziao w nagłówku, przeprowadzić niezwłocznie w wykonanie testament Piotra Czanser, ale polecił wyznaczonym biskupom rozsądzić tak apelacyą założoną do Rzymu przez rajców miasta Lwowa od zagrożenia arcybiskupiéj klątwy, jak i sprawę o ważności samego testamentu.

Treść dokumentu CXXIV str. 163, jest w nagłówku zupełnie błędnie podaną. Dokument obejmuje, nie jak powiedziano w nagłówku, przeprowadzenie działu między dwiema siostrami spółwłaścicielkami wsi Hussakowice, ale poświadcza rozgraniczenie dóbr Hussakowice własnością dwóch siostr będących, od dziedzin obcych. Jest to granicznik, a nie akt działu. Powodem omyłki stało się niezrozumienie wyrażeń użytych w dokumencie, które jako przedmiot zapozwu w sprawie toczącéj się z powództwa siostr spółwłaścicielek, podają: *limitacio distinctor divisio graniciarum*, czemu odpowiada też opis czynności podkomorzego, *distinximus*, *divisimus et limitavimus ex omnibus metis circumquaque protensis*. Układający nagłówek mniemał zapewne, że wyrażenia *divisio*, *divisimus* odnoszą się do podziału dóbr. Że tak nie jest poucza dokument CXLIX str. 196, gdzie opisując wioskę oddaną w zastaw, użyto wyrażeń: *ila late, longe et circum ferencialiter prout in suis metis, limitibus et graniciebus est distincta, divisa et limitata. Divisio*, w takiém zestawieniu wyrażeń, jest użyte dla większéj dosadności synonimem, rozgraniczenie znaczy oddzielenie dóbr od dóbr sąsiednich, a nie dział dóbr pomiędzy spółwłaścicielami.

W nagłówku dokumentu CXXXII str. 172 powiedziano, że król pozwala zapisać 50 grzywien. Z osnowy aktu okazuje się że król zatwierdza zapis już uczyniony.

Nagłówek wielce ciekawego dla historycznego prawoznawcy dokumentu CXLVI str. 191 podaje zbyt treściwie osnowę tego aktu, jako rekognicye pożyczki. Pojmuję, że liczne zastrzeżenia aktu w nagłówku wyłuszczyć się nie dały, należało wszakże nadmienić o istnieniu zastrzeżeń.

Takie niedokładności dostrzegłem w spisie rzeczy. Z innych spisów poprzedzających ten ostatni, zwrócił moją uwagę spis wyrazów nie łacińskich, znajdujących się w dokumentach łacińskich w tomie tym drukowanych.

Odstępuje od zdania szanownego wydawcy w tém, że niektóre zamieszczone w spisie wyrazy uważam za proste nomenklatury czyli nazwy poszczególnych miejscowości; które gdy istnieje osobny indeks nazw miejscowych, w tym indeksie raczej niż w spisie wyrazów nie łacińskich pomieszczone być były winny. Tu należą np. *arram dictum* lymiszcze, Bradlisca *alias iuger*. Bradlisko, nie jest tłumaczeniem wyrazu *iuger*, który nigdy tak się nie wykładał po polsku, ale jest nazwą kawałka gruntu, o którym w tém miejscu uczyniona została wzmianka.

Wyrazy w spisie objęte użyte są po większéj części w dokumentach dla objaśnienia wyrazów łacińskich i dlatego poprzedzane bywają słowami, *vulgariter dictum* lub *alias*. Wydawca słusznie zrobił zamieszczając w spisie obok wyrazu polskiego i wyraz łaciński. W ten tylko sposób istotne znaczenie wyrazu polskiego da się niekiedy ustalić, gdy ówczesna łacina czasem jest dla nas zrozumialszą niż ówczesna polszczyzna. Lecz przy niektórych wyrazach odpowiednie im łacińskie w spisie pominięte zostały. Tu należą *profectoratus*, *profecti*, po pol. obermaństwo, obermany; *astremitates*, po pol. obszary, *attinentia* po pol. przysiołki. Natrafiają się też w tekstach wyrazy w spisie opuszczone np. gerade, po łacinie *paraphernalia et supellectilia* str. 118. Przy niektórych słowach brak objaśnień pozostawia w wątpliwości co rzeczywiście oznaczać mają, np. vodka. (Ten wyraz zdaje się oznaczać małą strugę, nie mającą osobnéj nazwy). Wreszcie pozwalam sobie zrobić przypuszczenie, że w wyrazie *szrodnimi* (*łan*), zamiast *m* czytać należy *w*. Oznacza to zapewne *łan śród niwy*.

Mniemamy że byłoby pożądaném, aby indeksa dyplomataryusza nietylko podawały wykaz osób i miejscowości, nietylko objaśniały wyrazy nie łacińskie w tekstach łacińskich znachodzące się, ale aby i wyrazy łacińskie średnim wiekom właściwe, lub na oznaczenie miejscowych stosunków użyte, o ile są mniéj znane, zebrane i objaśnione były. W całym tomie niniejszym, jeden tylko, ile dostrzegłem, wyraz łaciński, zasłużył sobie na objaśnienie, lecz za to dwukrotne, ze strony wydawcy. Jest to wyraz *pueri*, co do którego wydawca czyni uwagę, że oznaczał w języku ówczesnym dzieci bez różnicy płci. Uwaga zupełnie słuszna, ale wydawca zwiększyłby swoje prawo do naszéj wdzięcz-

ności, gdydy mniéj skąpą ręką uwag nam swoich udzielał. Jak wielka zachodzi tego potrzeba, na dowód stawiamy wyraz *fratres uterini* znachodzące się w tomie niniejszym na str. 53 i 207. Wyrażenie to, jak wyjaśniono w Bibliotece Warszawskiéj rok 1851 t. III, str. 228 na podstawie Ducange'a i naszych dyplomatów, oznaczało w średnich wiekach braci rodzonych. Nazywano ich tém mianem szczególnie wówczas, gdy obok nich byli bracia przyrodni, synowie tegoż ojca, lecz z innéj matki. Takie znaczenie wyrażenia *frater uterinus* mało jednak jest znane, skoro uczony autor dzieła o Prawie polskiém w XIII wieku, tłumaczy je przez braci przyrodnich, (str. 85). Cóż dopiéro mówić o błędach jakich się dopuścił tłumacz kodeksu dyplomatycznego Wielickiego, który czasami, np. w ustępie dyplomatu ostatniego z r. 1765 str. 167, od *Officium succamerariale* aż do *officiose debebat*, okazał w przekładzie swoim zupełne niezrozumienie przedmiotu. Do zapobieżenia takim usterkom przyczyniłoby się wydanie niniejszego dyplomataryusza, gdyby uczony wydawca hojniéj swoich objaśnień udzielał. Inaczéj zdarzyć się może, że będzie dyplomataryusz, ale nie będzie tych, którzyby akta w nim zawarte zrozumieć byli w stanie. *F. Z.*

Schiern Ueber den Ursprung der Sage von den goldgrabenden Ameisen, przekład z Rozpraw Towarzystwa Naukowego Duńskiego. Lipsk i Kopenhaga 1873. (str. 53).

Herodot, tak zwany Humboldt swojego czasu, opisując ludy północno-indyjskie, powiada między innemi rzeczami że, „inni Indowie sąsiadują z miastem Kaspatyros i krainą Paktyika, mieszkają na północ od innych Indów i prowadzą życie takie jak Baktrowie. Są téż najwaleczniejsi ze wszystkich i właśnie ci sami, których po złoto posyłają. W owéj bowiem okolicy znajduje się piaszczysta pustynia, a w piaskach jéj są mrówki, co do wielkości mniejsze od psów, ale większe od lisów; kilka ich jest na dworze króla perskiego ztamtąd złowionych. Mrówki te gnieżdżąc się pod ziemią wygrzebują piasek, tak samo jak greckie i są do nich podobne z kształtu. Ale w piasku wygrzebanym znajduje się złoto. Po ten piasek posyłają Indów na pustynię, którzy zabierają z sobą po trzy wielbłądy: dwóch samców puszczają luźno po obu stronach, a na samicę idącą środkiem, sami wsiadają, a wyszukają takiéj właśnie, która ma źrebięta, lecz te zostawiają w domu. Wielbłądzice ich nie ustępują w szybkości koniom, a mogą większe ciężary dźwigać.

„Jadąc w owe okolice, mają Indowie przy sobie worki skórzane i jak tylko je piaskiem napełnią, z największym pośpiechem uciekają do domu. Bo według opowiadania Persów, mrówki gonią za nimi jak

tylko ich zwąchają, a biegną z taką szybkością, jak żadne inne stworzenie, tak iż gdyby Indowie nie zdołali uciec, nie udałoby się żadnemu cofnąć się bez walki. Samców wielbłądów, jak mówią, dla tego nie dosiadają, że nie biegają, tak zwinnie jak samice i prędko ustają; wielbłądzice zaś, tęskniąc za dziećmi, rączo się unoszą. Takim sposobem wedle opowiadań Persów, Indowie najwięcéj złota dostają; kopią je i we własnym kraju, ale daleko mniéj" (III 102—105).

Podanie to powtarza się u bardzo wielu pisarzy starożytnych greckich i rzymskich, a niektórzy modyfikują je lub dopełniają według swoich wiadomości. I tak Pliniusz powiada że lud, który od mrówek złoto odbiera, nazywa się Dardowie (Dardae); Eljan wie że granicę okolicy złotonośnych tych owadów stanowi rzeka Kompylinos; Strabo powtarza historyjkę o mrówkach, lecz nie wierzy aby była prawdziwą i dodaje że kopią one ziemię w zimie, co i Pliniusz podaje; Megastenes (u Strabona) zawiadamia nas iż Indowie, robiąc wyprawę po złoto mrówek, biorą z sobą mięso i rozrzucają je w różnych miejscach, aby tém odwrócić uwagę tych olbrzymich owadów; Nearch, który z *poruczenia* Aleksandra Macedońskiego zbadał bieg rzeki Indów, zapewnia że widział skóry tych mrówek i że były podobne do skór pantery; wreszcie tenże Pliniusz twierdzi że w świątyni Herkulesa w Erytrach przechowywano jako osobliwość parę rogów mrówki indyjskiéj.

W średnich wiekach, tak skłonnych do wierzenia we wszelką cudowność, powtarzano i rozszerzano bajeczkę powyższą; wymienimy tu tylko obszerne dzieło Alberta Wielkiego „O zwierzętach", tak słynne w wiekach średnich i ów głośny list Prezbitra Jana, opisujący cuda mniemanego państwa chrześciańskiego w Azyi. Pisarze arabscy także nie pominęli téj legendy, a Turcy wierzyli w nią jeszcze w XVI wieku.

W czasach nowożytnych łamano sobie głowę nad wyjaśnieniem tego dziwoląga: przypuszczano że albo starożytni pomylili się biorąc mrówkę za inne jakie zwierzę, np. hijenę, lisa, świszcza i t. p.; domyślano się że mówili o mrówce przez jakieś językowe nieporozumienie, przez upatrywanie podobieństwa składu mrówki do jakiegoś zwierzęcia i t. d. Nikt jednak stanowczego objaśnienia nie podał, nie wyłączając nawet Karola Rittera i Aleksandra Humboldta. Duńczyk rodem, głośny w swoim czasie geograf francuzki Malte-Brun nasunął nieśmiałe przypuszczenie: czyby nie należało domyślać się że mrówkami nazwano jakieś plemie ludzkie? Ale słowa jego wyrzeczone r. 1819 nie trafiły nikomu do przekonania.

Tymczasem jak wiadomo, obeznawano się w Europie z piśmiennictwem sanskryckiém. Znany indolog Wilson dostrzegł ustęp Mahabharaty, świadczący że i starożytni Indowie mieli podanie o złotonośnych mrówkach; pomiędzy innemi daninami, które królowi Juddhisztirze władcy indyjscy składają; poemat ten wymienia i złoto w ogromnych bryłach, wykopywane przez mrówki; zwane „pipilaka." Wykryto także: iż Herodotowe Kaspatyra, mylnie zamiast Kaspapyros czytane, jest to indyjskie *Kasjapapura*, czyli miasto Kasjapy, postaci mitycznéj,

znanéj dobrze w podaniach Kaszmiru; jakoż i sam Kaszmir brzmi właściwie *Kasjapamira* i znaczy morze Kasjapy. Że Paktyika Herodota znajduje się w nazwie *Pakhtun*, którą wschodni Afganowie siebie mianują? Nie ulega więc wątpliwości że to z dzisiejszego Kaszmiru robiono owe wycieczki po złoto. Że zaś prawie przez cały ciąg dziejów Tybet był celem napadów Kaszmirskich, przypuszczać należy że i te wyprawy z Kaszmiru po złoto nie gdzieindziéj jak do sąsiednich okolic Tybetu się odbywały. Stwierdza to nazwa Dardów, przez Pliniusza wymieniona: znają ją pisma sanskryckie w formie Darada, znają téż dzieje jako plemię zbójeckie, osiadłe w górach Dardistanu, najeżdżające w bieżącém jeszcze stuleciu Mały Tybet. Wyżéj wymieniona zaś rzeka Kampylinos jest prawdopobnie dzisiejszą Singh-gi-Khambą jednym z dopływów górnego Indu.

Właśnie w tych miejscowościach odkryto niedawno kopalnie złota: niema więc wątpliwości że to tutaj wzięły początek podania starożytnych.

Wiadomo że do niedawnego czasu Tybet był ziemią prawie nieznaną, szczególnie te jego części, które w złoto obfitują, zaledwie przed kilku laty zbadano bliżéj. Autor pisemka, które streszczamy, wyjął z czasopism angielskich opis wyprawy w owe okolice; nie możemy pominąć podania tu kilku wyjątków, bo to rzecz u nas zgoła nieznana a zajmująca z dwóch względów: naprzód jako świadcząca o postępach cywilizacyi europejskiéj w Indyach, gdy już dziś rodowici Indowie z poruczenia Anglików podróżują w celach naukowych; powtóre jako malująca sposoby dostawania się w okolice prawie niedostępne.

„Ponieważ dla Europejczyków wyprawa taka byłaby zgoła niemożebną (opowiada sprawozdawca angielski), rząd indyjski umyślił użyć do tego uczonych Indów, tak zwanych pandytów i wezwał kilku ich do assystowania przy trygonometrycznym pomiarze Indyi, a gdy dokładnie obznajmili się z używaniem narzędzi i z największemi gwiazdami, roku 1865 poruczył dwom z nich odbycie niebezpiecznéj wyprawy w nieznane krainy Tybetu. Wyjeżdżając zabrali oprócz kilku większych sekstantów, głęboko w kufrach podróżnych zachowanych, kilka sekstantów kieszonkowych, takież kompasy. chronometry i hipsometry do wody wrzącéj; żywe srebro zachowali w orzechu kokosowym i w muszlach zalepionych woskiem. Wydawali siebie za mieszkańców Bisahiru, okolicy górzystéj w Indyach, któréj ludność kupiecka, nakształt wędrownych kramarzy lub Sabaudczyków handlując, odwieczny miała przywiléj krążenia po wschodnim Tybecie bez narażenia się na przetrząsanie. Późniéj zaś, dla dostania się do Lhassy, stolicy Dalaj-Lamy, zręczniejszy pandyto przebrał się za krajowca średniotybetańskiego (Ladaki), przystroił się w warkocz tybetański i chociaż był gorliwym czcicielem Brahmy, bardzo wprawnie posługiwał się kołem modlitewném i różańcem, rzeczami nieodstępnie towarzyszącemi budhystom; lecz sprzęty te nieco inaczéj sobie urządził. Koło modlitewne czyli maszyna do modlenia się, jak wiadomo, składa się z miedzianego walca; lekko okręca-

jącego się na osi i zawierającego zwój papierowy z wieczną modlitwą, budhyjską „Om mani padme hum;“ każdy obrot tego cylindra uważa się zmówieniem téj modlitwy. Otóż w walcu tym pandyta umieścił paski papierowe na robienie notat, licząc na to że urzędnicy celni nigdy koła modlitewnego nie rewidują; służyła mu ta maszyna także do odpędzania ciekawych, bo jak tylko tacy się zbliżali, zabierał się do kręcenia jéj, udając głęboko zatopionego w pobożne rozmyślania. I różaniec pandyty niezupełnie był zwyczajny, bo zawierał nie 108 paciorków, jak prawo budhyjskie wymaga, lecz 100, podzielonych na dziesiątki i służył mu za wcale dogodną miarę w podróży; roztropny Indyanin nosił go w rękawie i co sto kroków posuwał jeden paciorek, tak iż nawet dłuższe przestrzenie mógł tym sposobem notować.“

Takie same wyprawy powtarzali ciż podróżnicy w latach 1867 i 1868 i odkryli wiele zgoła nieznanych miejscowości, wymierzyli wysokość zwiedzanych okolic i mnóstwo innych dostrzeżeń naukowych poczynili, a co nas obecnie najbardziéj zajmuje, natrafili w r. 1867 na kopalnie złota. Na północno-wschodnich stokach gór Himalajskich, na południo-wschód od prowincyi Ladak, w okręgu zwanym Nari-Chorsum, na płaskowzgórzach nawyższych w świecie, bo przeszło 16,000 stóp nad morzem wzniesionych, rozciągają się niezmierzone przestrzenie bezludne, obfitujące w złoty piasek, dość nie głęboko pod ziemią leżący. Zbiega się tam mnóstwo krajowców, kopią i wypłukują złoto, zakładając gdzieniegdzie obozy i coś do wiosek podobnego. Klimat, z powodu niezmiernie wzniesionego położenia, jest tam nadzwyczaj ostry; aby się schronić od wiatrów i śnieżnych zamieci, górnicy kopią doły kilka stóp głębokie i tam mieszkają; otóż wyjaśnienie słów Herodota o mrówkach, że „pod ziemią się gnieżdżą.“ Zdaniem autora bowiem, owe złotonośne owady są nie czém inném, jak do dziś dnia żyjącym i tak samo jak dawniéj złota szukającym ludem wschodniego Tybetu. Z opisu pandytów i innych podróżników okazuje się iż wyglądające bajecznie podania starożytnych wyjaśniają się zupełnie naturalnie. Kopacze złota ubierają się w skóry zwierzęce, aby od wielkiego chłodu się zabezpieczyć, gdyż kopią zwykle w zimie, bo ściśnięta mrozem ziemia zabezpiecza szychty od zapadnienia; wyglądają jak Eskimowie lub Samojedy w swych skórach do góry włosem odwróconych, któremi nietylko cały tułów, nogi i ręce ale i głowę i twarz przykrywają; tak przystrojeni mają pozor zupełnych zwierząt, tém bardziéj że niektórzy, okrywając się skórami wołów (tak zwanych jaków), zostawując rogi przy skórze i takową wkładają tak iż mają minę istot rogatych. Wszystko to rzuca światło na powieści starożytnych o ogromnych, kosmatych a rogatych mrówkach. Co do szybkości i waleczności ich, oraz co do rzucania mięsa dla odwrócenia ich uwagi od napastników, to zdaje się p. Schiernowi że starożytni zmięszali tu powieści o ludziach z podaniami o ich obrońcach psach. Istotnie w czasach obecnych mieszkańcy Tybetu wschodniego chowają mnóstwo psów ogromnego wzrostu i bardzo zażartych, które włóczą się stadami i nie-

raz ludzi napastują; być więc może że i owe skóry mrówek podaniowych były skórami brytanów, które zapewne z taką samą wściekłością napadały dawnych poszukiwaczy cudzego złota, z jaką dziś obcych prześladują.

„Powieść więc cała nie wydaje się przeto już nam cudowną, powiada kończąc swą rozprawę prof. Kopenhazki. Bo owe złoto grzebiące mrówki, nie oznaczały pierwotnie ani zwierząt, ani prawdziwych mrówek, jak sądziła naiwność starożytnych, ani jakichś innych większych istot, któremi niby miano je zmieszać z powodu iż jak one grzebać i wyglądać mogły, jak mniemało tylu głośnych uczonych aż po dni nasze; byli to ludzie z krwi i kości: kopacze tybetańscy, którzy tak samo w dalekiéj srarożytności żyli i wyglądali, jak dziś żyją i wyglądają.“

J. K.

Czytania Religijno-Moralne dla młodych osób, przez Feliksę Eger, autorkę Katechizmu dogmatyczno-historycznego. Warszawa. (Nakładem autorki). W drukarni Instytutu Warszawskiego Głuchoniemych i ociemniałych. 1875. (W 12-ce str. 165).

„Dziś jako w czasach walki pojęć i wyobrażeń (pisze autorka we wstępie swoim), więcéj niż kiedykolwiek potrzeba kobiécie tarczy przeciwko złym prądom, siły i dźwigni moralnéj do utrzymania się na stanowisku niewiasty dzielnéj, kobiéty ewangielicznéj, dobréj córki, żony i matki. Siłę tę czerpać ona musi w religii, która jéj drogę tę wskazuje, oświeconą wzorem i nauką Chrystusa.“

Piękną więc i szlachetną myślą powodowana autorka, zabrała się do téj pracy i wykonała ją odpowiednio swemu założeniu. W pięćdziesięciu jeden rozdziałach rozwija swój przedmiot idąc za słowami Zbawiciela. Językiem czystym, stylem jasnym, dodaje niemało wartości téj książce, która w szczupłych ramach podaje zdrowe, zbawienne rady każdéj kobiécie polskiéj na drogę życia, dla zapewnienia szczęścia duchowego w przyszłéj pielgrzymce, wśród burzy światowéj.

Nigdy zaprawdę społeczność niewieścia nie potrzebowała więcéj troskliwości jak w obecnéj dobie, gdy *złe prądy* wedle dobrego wyrażenia autorki, zachwiały ją w odwiecznych posadach, na których niewzruszenie niewiasta polska stała jako wierna kapłanka domowego ogniska, jako *dusza domu* i matka młodych pokoleń.

Głęboką myśl wypowiedział *Guibert*, że: „mężczyzni stanowią prawa, a kobiéty obyczaje,“ i potwierdzają je dzieje każdéj społeczności. Dziś, gdy kobiéty nasze zatracają w sobie nawet tradycyę dawnéj niewiasty polskiéj, któréj przeszłość historyczna tyle ma do zawdzięczenia, przypomnienie najgłówniejszego jéj żywiołu, jakim była religia, i czysta pobożność, może przynieść niemały pożytek.

Autorka mówi o swéj pracy: „że jeżeli choć jednę kobiétę lekką, niezastanawiającą się, na drogę rozważnego i pełnego miłości obowiązku wprowadzić potrafi, dostatecznie wynagrodzoną zostanie," my spodziewamy się obfitszego z niéj plonu, zalecając to dziełko matkom i przewodniczkom młodego pokolenia. *W.*

„*Podarek dla grzecznych i pilnych dzieci.* Książeczka abecadłowa, przez Teofila Nowosielskiego ułożona i zawierająca początki nauki czytania, oraz światek dziecięcy w powiastkach, bajeczkach i piosenkach. Z 60 drzeworytami w tekscie. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda synów. 1876, (w 4-ce str. 128).

Pisarz to znany oddawna, współtowarzysz prac Stanisława Jachowicza, obrawszy sobie skromne pole pracy dla dziatwy drobnéj, nie schodzi z niego nigdy, wzbogacając rok rocznie prawie, ubogą gałąź literatury poświęconéj dla tak licznego koła małych czytelników.

Autor od abecadła zaczynając, daje w piosenkach wyobrażenie o samogłoskach, daléj początki czytania; przechodzi następnie do rozwinięcia pojęć młodocianych, przedstawiając świat, ludzi, zwierzęta, ptaki i rośliny. Powiastki drobne, zdania, piosnki i wierszyki, dążą z myślą moralną do jednego celu. Zajmujący dla właściwych czytelników przeplata rozdział o zabawkach dziecinnych, który objaśniają ryciny. Zamykają tę pożyteczną książkę, nader ozdobnie wydaną, wspomnienia o zasłużonych mężach jak Kopernik, ksiądz Jakób Falkowski założyciel Instytutu Głucho-niemych, Kazimierz Brodziński i Stanisław Jachowicz, z wizerunkami ich w udatnych drzeworytach i starannie odbitych. Życiorysy ich są ujęte w krótkie wierszyki: pod Kopernikiem czytamy.

„Był uczony i cnotliwy,
Oparł system swój prawdziwy
Na nauce swéj głębokiéj
I gruntownéj i szerokiéj;
W księdze znanéj w ziemiach czeskich,
„O obrotach ciał niebieskich"
W dziele sławném w całém świecie.
Niech tam sobie niemiec plecie,
Że Kopernik nasz ojczysty,
To nie polak lecz szwab czysty!
Miejcież dzieci to w pamięci,
Jakie to są *szwabskie* chęci!" *K.*

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Listopad 1875.—Wyszedł z druku „Mikołaj Kopernik" dramat w pięciu aktach, na tle dziejów osnuty. Napisał Wincenty Rapacki, artysta dramatyczny, z godłem na czele:

„Swiatło, ciemnota, złości rysy szpetne,
Cudnéj miłości, barwy nieba jasne,
I géniuszu blaski nieśmiertelne,
To gra wieczysta w obrazie ludzkości."

Pracę tę autor przypisał towarzyszom swoim w sztuce, jako podziękę za ich życzliwość i pracę podjętą przy wystawieniu „Wita Stwosza;" (w 12ce, str. 151. Warszawa, 1876).

— Znany pisarz Jan Jeleński otworzył w Warszawie czytelnię dzieł wyborowych nowszych naukowych i belletrystycznych, oraz czytelnię dla dzieci. Zakład ten literacki mieści się przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 4. Równocześnie otwartém zostało Biuro dla szukających pracy, przez Stefana Kosuth'a, redaktora Przeglądu Technicznego. Rękojmią dobrą tego Biura, które niemałą pomoc dla szukających zajęcia daje jest to, że opłatywpisowéj żadna strona nie wnosi, i dopiéro po dojściu do skutku układów, pracodawca opłaci jednorazowo dwa procent i obejmujący posadę dwa procent rocznéj pensyi.

— Wydawca „Wędrowca" Gracyan Unger, ogłosił prospekt, że od Nowego Roku 1876 wychodzić będzie „Dodatek" poświęcony modom, co dwa tygodnie arkusz tekstu z rycinami i kolorowana tablica mód; prenumerata na ten „Dodatek" jest oddzielna.

— *Liszt i Chopin* wspomnienia muzykalne. Pod takim napisem p. *Charles Rollinat* w dzienniku *Le Temps* (z r. 1874) podaje nam zajmujące szczegóły o naszym rodaku, które tu w skróceniu czytelnikom przedstawiamy.

Było to w zamku Nohant, w pobliżu tak zwanéj: „Czarnéj doliny." Gospodyni domu, pani Georges Sand, słynna zadziwiającym pisarskim talentem, lecz jeszcze więcéj kochana, niż podziwiana przez znających jéj dobroć serca, podejmowała wtenczas u siebie Chopina, którego macierzyńskiém pielęgnowaniem wydarła prawie z rąk śmierci. Pod okiem czułych jéj starań około cierpiącego artysty, powstały ostatnie utwory tego geniuszu tak pełnego czystości i piękna.

Owóż w tym roku zebrało się w zamku Nohant liczne grono artystów, liczne i dobrane jak rzadko się zdarza. Przybył tam Liszt z pewną gwiazdą paryzkiego świata, damą słynną z dowcipu i wdzięków, a noszącą wówczas imię Arabeli, które późniéj zmieniwszy na

inne, zdobyła sobie w literaturze zaszczytne miejsce. Znalazła się tam również szczytna śpiewaczka Paulina Viardot, z małżonkiem swoim, Paulina, która do dziś zachowała wyraz idealny, niezrównaną maestrię swego talentu, znalazł się Eugeniusz Delacroix znakomity malarz-romantyk, prawdziwy poeta kolorów; sławny aktor B... i wiele innych głośnych imion w świecie artystycznym. Do tych gości doliczyć jeszcze trzeba dzieci gospodyni domu, syna i córkę, urocze istoty; toż jakiegoś siostrzeńca i siostrzenicę, a nareszcie kilku przyjaciół z sąsiedniego miasteczka zaproszonych z żonami. Wszystko to było młode, pełne zapału, a szczere jak czyste złoto.

Takiego rodzaju towarzystwo bawiło się w zamku Nohant.

Gościnność myślała o wygodach, zostawiając każdemu zupełną swobodę. Kto też lubił polować, znalazł wszelkiego rodzaju strzelby, przybory myśliwskie i psiarnią; kto lubił rybołówstwo miał na zawołanie czółno, sieci i wędki, a do przechadzki prześliczny i rozległy ogród. Każdy robił co mu się podobało. Liszt i Chopin komponowali; Paulina Viardot uczyła się swojéj roli w *Proroku;* gospodyni domu pisała romans czy dramat; inni podobnież grali, pisali, malowali. Co dzień o szóstéj schodzono się na obiad, a po obiedzie bawiono się razem do drugiéj lub trzeciéj po północy. Nie chcę tu opisywać wszystkich improwizowanych zabaw, które nam uprzyjemniały ten pobyt; powiém tylko o muzyce, a mianowicie o dwóch rywalizujących ze sobą pianistach.

Chopin rzadko grywał, i tylko w tedy dawał się słyszéć, kiedy już był pewnym, że doskonale sztukę swą wykona.

Za nic w świecie nie byłby się odważył grać miernie; Liszt robił wręcz przeciwnie: grał zawsze czy źle, czy dobrze, ale grał.

Pewnego wieczora w maju, pomiędzy jedenastą a dwónastą o północy, całe towarzystwo nasze zebrało się do wielkiego salonu. Przez szeroko pootwierane okna świecił księżyc i dolatywał śpiew słowików, a wonny powiew przejęty zapachami róż i rezedy od chwili do chwili odświeżał powietrze. Liszt grał nokturnę Chopina i podług swego zwyczaju pstrzył ją we własne kwiateczki, mieszając trele, tremole i wszystko inne czego tam nie było. Chopin po kilkakroć dawał znaki niecierpliwości, aż nareszcie nie mogąc dłużéj wytrzymać, zbliżył się do fortepianu i odezwał się do Liszta ze zwykłą swoją flegmą:

— Jeżeli mi chcesz zrobić zaszczyt i grać co mojego, to proszę cię mój drogi, graj tak, jak napisane, albo też graj inny kawałek, bo tylko Chopin ma prawo zmieniać Chopina.

— Kiedy tak, to siadaj i graj—rzekł Liszt wstając od fortepianu cokolwiek urażony.

— Najchętniéj—odrzekł Chopin.

W téj chwili lampa zgasła a zgasiła ją ogromna ćma, która w niéj spaliła sobie skrzydła. Już wołano aby podać inną.

— Nietrzeba!—rzekł Chopin—owszem pogasić wszystkie światła, księżyc świeci tak pięknie, to dosyć. I zaczął grać... a grał przez całą godzinę. Nie podejmuję się opisywać cudów téj muzyki. Bywa przecież tyle wzruszeń których się doznaje, a mimo tego brakuie słów i sił do wyrażenia ich. To tylko pamiętam, że pomilkły słowiki aby go słuchać, kwiaty jak wonną rosę piły te dźwięki płynące z nieba; całe grono słuchaczy i słuchaczek pogrążone w niemym zachwycie, nie śmiało odetchnąć—a gdy czarodziéj grać przestał, w każdém oku była łza; Liszt zdawał się być najbardziéj rozrzewnionym; pochwycił bowiem w objęcia Chopina i zawołał:

— Ach przyjacielu! miałeś słuszność! Święte są dzieła takiego jak ty geniuszu; dotknąć się ich, jedno jest co je sprofanować. Prawdziwy z ciebie poeta; jam tylko skoczek na linie.

— Przesadzasz!—odparł Chopin—tak ja jak ty, każdy z nas ma swój właściwy sposób grania, i w tém cała różnica. Sam wiesz najlepiéj, że nikt nie potrafi tak jak ty wygrać Webera i Bethowena. Dlatego proszę cię zagraj *Adagio* Bethowena z *ut dièze minor*, ale graj na seryo, jak umiesz kiedy szczerze chcesz.

Liszt odegrał *Adagio*, wlewając w nie całą swoją duszę i potęgę woli. Natenczas w zgromadzeniu okazał się inny rodzaj wzruszenia: zalewano się łzami, niemal szlochano; atoli nie były to owe słodkie łzy rozrzewnienia, które Chopin wycisnął, ale łzy okrutne, o których mówi Otello. Jakoż melodya gry Liszta nie dostawała się do serca w sposób łagodny, czarujący, lecz wpadała w nie gwałtem, na przebój jak sztylet. Nie była to wdzięczna elegia, lecz krwawy dramat.

Jednak zdawało się Chopinowi, że tego wieczora na prawdę przyćmił Liszta; przed kimś pochwalił się nawet mówiąc; czy uważałeś jak go to dręczyło?! Słowa te doszły uszu Liszta; postanowił téż zemścić się na nim w sposób godny dowcipnego artysty; a zemścił się w kilka dni potém.

O téj saméj godzinie, to jest około północy, całe grono zebrało się w salonie. Liszt prosił Chopina aby co zagrał; ten zrazu się targował, lecz w końcu przystał. Natenczas Liszt dla dogodzenia przyjacielowi prosił o pogaszenie lamp i świec, i zapuszczenie nawet firanek, aby miéć najzupełniejszą ciemność w salonie. Był to kaprys artysty, więc spełniono go najskrupulatniéj; atoli w chwili gdy Chopin siadał do fortepianu, Liszt szepnął mu coś do ucha, i sam zajął jego miejsce. Chopin zaś niedomyślając się niczego, najspokojniéj usiadł na tuż stojącym fotelu.

Liszt zaczął grać jeden po drugim wszystkie te kawałki jakie Chopin egzekwował owego pamiętnego wieczora, o którym wyżéj mówiłem, ale grał je naśladując, tak cudownie i styl i manierę swego współzawodnika, iż każdy byłby przysiągł, że słyszy Chopina; jakoż wszyscy pomimowolnie dali się oszukać i znowu powtórzył się ten sam rozrzewniony entuzyazm, który gdy wezbrał najwyżéj. Liszt

prędko potarł zapałkę i zapalił świece stojące na fortepianie. Naraz całe zgromadzenie stanęło w osłupieniu.

— Jakto? czy to pan grałeś?

— Grałem, jak widzicie?

— Ależ my wszyscy byliśmy pewni że to Chopin.

— Cóż ty na to?—rzekł Liszt zwracając się do swego współzawodnika.

— Mówię co i wszyscy; bo i mnie się zdawało że to Chopin.

— Przekonajże się— rzekł wirtuoz, powstając—że Liszt, kiedy chce, potrafi być Chopinem; ale czy Chopin potrafi być Lisztem?...

Był to rodzaj wyzwania do walki; ale Chopin czy nie chciał, czy nieśmiał rozumieć tych słów, dość, że Liszt miał się za zemszczonego.

Dla urozmaicenia zabawy grywano nieraz improwizowane komedye lub dramata. W zamku był ładny teatrzyk z dekoracyami i kostiumami. Zwykle układano treść sztuki i porządek scen; do aktorów zaś należało improwizować dyalog. Liszt z Chopinem tworzyli orkiestrę. Do dwóch fortepianów, ustawionych po prawéj i lewéj stronie sceny i zamaskowanych spuszczoną draperyą, zasiedli dwaj wirtuozi, których było obowiązkiem uważać na ciąg sztuki i stosowne do treści dramatu improwizować przegrywki. Żebym chciał opisać, jak się z tego wywiązali, znowu musiałbym się przyznać, że tych wrażeń nie odda żadne ludzkie słowo.

Obaj ci artyści, obdarzeni nadzwyczajną pamięcią, znający na palcach wszystkie opery włoskie, niemieckie i francuzkie, chwytali z dziwną szybkością każdy motyw, mogący odpowiadać sytuacyi aktorów na scenie, i rozwijali go z takim zapałem, z taką żądzą okazania swéj wyższości, że aktorowie, którzy niemniéj cudownie grali swoje role, musieli nieraz na nich wołać: „Dosyć już! dosyć! marnujecie tyle prześlicznych rzeczy!“ Po takiém przedstawieniu, gdzie się o lepsze ubiegało tyle wybornych talentów, następowała suta i wesoła wieczerza.

Możnaby gruby tom napisać ze samych wspomnień tego lata; lecz nie chcąc nadużywać cierpliwości czytelników opowiadaniem tych szczegółów zamkowego życia, zakończę rzecz artystyczną fantazyą, jedyną w swoim rodzaju.

W głębi ogrodu był tam nasyp czy kopiec, panujący nad „czarną doliną.“ Pięknie wyłożony płytami, z marmurowym stołem pośrodku, z stołkami i ławkami, miał dokoła żelazną galeryę, dla ochrony często bawiących się tam dzieci od upadku w głęboki parów, będący u stóp kopca. Miejsce to znane było z tego, że echo z szczególniejszą dobitnością powtarzało trzy lub cztery razy każde wyrzeczone słowo. Dzieci często tam biegały, aby wyzywać echo do rozmowy. Otóż pewnego wieczora przyszło komuś do głowy, żeby zanieść tam fortepian i spróbować, jak echo powtarzać będzie tony muzyki romantycznéj. Wszyscy przyklasnęli pomysłowi, a kilku mło-

czyzn zaraz wzięło na barki pyszny fortepian Erarda i zaniosło go na kopiec.

Noc mieliśmy czerwcową, bez księżyca, lecz wyiskrzoną gwiazdami. Powietrze było ciche, po rosie głos się rozlegał. Fortepian otworzono od strony doliny, a pierwszy Liszt energicznem uderzeniem palców wydobył z klawiszów ten prześliczny chór strzelców z *Euryanty*, tak dobrze znany. Zatrzymywał się on za każdym prawie przestankiem, ażeby słuchać co echo odpowie. Zaraz po pierwszéj pauzie nie posiadaliśmy się z zachwycenia; odkryła się nam jakaś nowa poezya, coś idealnie uroczego. Każdy frazes muzyczny był zadługi, aby pierwsze lub drugie odbicie się echa mogło go oddać zupełnie czysto; za to trzecie i czwarte, czyli echo echa, powtarzało go tak dokładnie, że ani jednéj nuty nie brakło. Zachwycony tém Liszt zaczął grać nieco spieszniéj—i każdy frazes stał się dla nas przedmiotem najżywszéj ciekawości i gorączkowego oczekiwania.

W przedostatnim kawałku, gdzie chór *unissono* wpada w potężne *re bemol*, rozlegał się las czarnéj doliny żałobnemi tonami, ostatnie zaś nuty, przechodzące tak zuchwale w *mi bemol*, ogłosiły tryumf woli człowieka nad przeszkodami natury.

Po téj przegrywce tak zastosowanéj do okoliczności, Chopin zastąpił Liszta i znowu pobudził echo do śpiewu i płaczu. Właśnie układał on wtenczas swoję *Impromptu*, i po pierwszy raz zagrał kilka frazesów z szczytnego tematu na *re bemol*. Ta muzyka przejrzysta, eolska, wprawiała Chopina w stan ekstazy. Przedłużał on więcéj niż Liszt tajemniczą rozmowę swoją z duchami doliny, jakby między nimi a nim zawiązało się jakieś ciche szeptanie, przypominające wywoływanie duchów za pomocą zaklęć czarnoksięzkich. Tak dalece zapomniał on o sobie i o świecie, że gospodyni domu widziała potrzebę oderwać go od fortepianu. Chopin miał już naprawdę gorączkę.

Po nim Paulina Viardot śpiewała czułą i prostą romancę: *Nei cor più non mi sento*. Piosnka wybornie była wybraną, albowiem każdy frazes, składający się tylko z dwóch nut, mógł być całkowicie powtórzony przez echo z zadziwiającą czystością. Siostrzenica pani domu zaśpiewała piosneczkę gminną, która miała wielkie powodzenie, jakby echa miejscowe poznały w niéj swoją dawną znajomą.

Już było około drugiéj po północy, kiedy od strony ogrodu doszły nas głośne śmiechy, i naraz błysnął pomiędzy drzewami płomień błękitny. Przygotowano nam niespodziankę. Przyjaciele domu przyprawili ogromną srebrną wazę ponczu, która paląc się jak stos ofiarny, stanęła na marmurowym stole. Widok szlachetnego nektaru wywołał wesoło okrzyki, powtórzone przez wszystkie echa doliny— a tym czasem błękitny płomień rzucał fantastyczne blaski po drzewach i po stawie... Po ponczyku, smacznéj kolacyi, zagrzmiał chór na pożegnanie echa, dzielącego z nami przyjemności téj czarodziejskiéj nocy. Świt zaczynał już bielić krawędzie widokręgu, kiedy

pełni wzruszeń i wrażeń rozstawaliśmy się ze sobą, unosząc najmilsze i niezatarte wspomnienie.

— W Petersburgu professor I. Jversen wydał: „*Icones familiae ducalis Radivilianae.*“ *Petropoli 1875*, w formacie wielkiego arkusza. Na początku mieści się rodowód familii Radziwiłłowskiéj a następnie sto sześćdziesiąt portretów Radziwiłłów: pod każdym znajduje się krótkie objaśnienie biograficzne. Są to odbicia z blach starych. Egzemplarz kosztuje rs. 25.

— We Lwowie nakładem i drukiem A. I. O. Rogosza w r. b. *w pierwszym zupełném wydaniu* wyszło pięć tomów powieści Józefa Dzierzkowskiego w starannéj edycyi. Obejmują trzydzieści jeden powieści, a na czele życiorys autora wraz z jego popiersiem, który zakończony jest temi słowy:

„Wszystkie jego dzieła ożywione są duchem swojskim i gorącą miłością prawdy: są to zalety, któremi niewielu naszych powieściopisarzy w tym stopniu co Dzierzkowski, poszczycić się mogą, a które każą umieścić imie Dzierzkowskiego między pierwszemi gwiazdami, naszéj powieściowéj literatury.“

Zdanie może w skromniejszych słowach, poważna a sumienna krytyka powtórzy, gdyż rzeczywiście jest to pisarz tak podniosłego talentu, że obok J. I. Kraszewskiego, J. Korzeniowskiego, Chodźki, Rzewuskiego i Kaczkowskiego śmiało stanąć może. Wydanie zupełne wszystkich powieści J. Dzierzkowskiego, uważamy za niemałą zasługę dla literatury polskiéj, gdyż wielu nie znaliśmy wcale, a znaczna część pojedynczo drukowana oddawna wyczerpaną została z obiegu księgarskiego. Publikacya ta jest już w naszych księgarniach.

— Dnia 30 października r. b. odbyło się w Akademii Umiejętności w Krakowie posiedzenie, na którém wybrano prezesem téj najwyższéj naukowéj instytucyi na dalsze trzechlecie, jednomyślnie d-ra Józefa Majera. W wydziale historyczno-filozoficznym w miejsce ś. p. Józefa Kremera wybrano d-ra Józafata Zielonackiego, sekretarzem d-ra Józefa Szujskiego. Gmach akademii powiększonym zostaje przez budynek dwupiętrowy w dziedzińcu, mieszczący sal dziewięć, przeznaczonych na bibliotekę, zbiory fizyograficzne i biura. Już do użytku będzie w jesieni 1876 roku. Zmarły niedawno w Dreznie ś. p. Karol Hoffman, zapisał téjże akademii swój zbiór obrazów, rycin i książek.

— Katedrę archeologii w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, zajmowaną przez professora Józefa Łepkowskiego, dotąd (od chwili jéj powstania w roku 1866) *nadzwyczajną*, cesarz austryacki podniósł obecnie do stopnia *zwyczajnéj*, stałéj. Przy niéj istnieje gabinet archeologiczny uniwersytecki, który w krótkim przeciągu czasu stał się jednym z pierwszorzędnych zbiorów w całym kraju. W nim to się mieszczą drogocenne zabytki przeszłości z hojnego daru ś. p. Edwarda Rastawieckiego znanego archeologa i zwolennika sztuk pięknych.

— Gdy Jan Matejko nie przyjął ofiarowanéj sobie, korzystnéj i zaszczytnéj posady dyrektora Akademii sztuk pięknych w Pradze, nie chcąc porzucić Krakowa, powstała w tém mieście myśl uczczenia tego czynu, jak również i dotychczasowych zasług słynnego malarza, wybiciem medalu. Wielbiciele talentu Matejki poparli tę myśl, i d. 24 października r. b. deputacya złożona z kilkunastu osób, doręczyła artyście medal w trzech egzemplarzach: złotym, srebrnym i bronzowym. Na jednéj stronie medalu jest popiersie Matejki w profilu, otoczone napisem: „Jan Matejko w Krakowie rok 1875," na drugiéj stronie wśród wieńca wawrzynowego napis: „Nową chwałą kraj przyozdobił," wokoło wieńca zaś: „Malarzowi historycznemu Rodacy."

— Professor Łepkowski udał się listownie do króla saskiego z przedstawieniem, czyby nie uznał za właściwe przyczynić się do odnowienia grobowca przodka swego Augusta II Mocnego, który ze wszystkich 14 grobowców królewskich na Wawelu nietylko znajduje się w najgorszym stanie, ale nawet nie jest ozdobiony odpowiednim pomnikiem. W udzielonéj na to odpowiedzi, król saski oświadczył, iż dołoży starań, aby w czasie jak najkrótszym słusznéj téj potrzebie zaradzono kosztem prywatnéj szkatuły J. K. Mości.

— Dnia 24 października r. b. nastąpiło uroczyste otwarcie Zakładu sierot i kalek w *Drochowyżu* w Galicyi. Podajemy o tym ważnym akcie w streszczeniu sprawozdanie Gazety Lwowskiéj.

„W zarysach niewytwornych, ale poważnych i okazałych rozmiarami, o strukturze oszczędnéj i prostéj, ale pełnéj przyjemnéj harmonii" przedstawia się gmach Skarbkowski bardzo korzystnie oku zwiedzających. Jestto długi jednopiętrowy budynek, o dwóch pawilonach trzypiętrowéj wysokości, z podwórzem pełném zieleni, obwiedzioném od frontu żelaznemi sztachetami. Na ganku, staropolskim zwyczajem, książe-kurator Jabłonowski w towarzystwie dyrektora Zakładu, p. Juliusza Starkla i otoczony urzędnikami witał przybywających gości.

Zaraz po pierwszém powitaniu gości odbyła się msza św., którą w kaplicy zakładowéj odprawił ks. infułat Mossing w assystencyi obu kapelanów miejscowych. Mała kaplica przepełniona była gośćmi i ludem wiejskim ze wsi okolicznych; na chórach bieżących dokoła jéj ścian mieściły się sierotki płci obojéj, których Zakład liczy już dziś 120. Wśród mszy odezwał się śpiew biédnych dziatek, które od ośmiu dni dopiero znajdują się w Zakładzie, a nauczyły się już pieśnią chwalić Boga, najdobrotliwszego opiekuna sierot i nieszczęśliwych. Kiedy ozwał się chór sierotek i zaintonował ów psalm, który wieszcz czarnoleski splótł ojczystém słowem na zawsze z każdém pobożném sercem, owo *Kto się w opiekę poda Panu swemu*, dziwnie rzewne uczucia owładnęły słuchaczów.... Było coś do głębi przejmującego w wyborze téj pieśni, w jéj stosowności na takiém miejscu i w takich ustach.. Komuż jéj więcéj potrzeba, téj opieki Bożéj, jak tym malutkim istotkom, co rosną bez tego cudownego

światła, jakiém jest oko matki, bez tego ożywczego ciepła, jakie daje rodzinne ognisko, a którym tak daleka, ach! tak daleka i tak ciężka jeszcze droga do własnego bytu, do własnego kąta i dachu!

Od kaplicy rozpoczęli goście oglądanie rozmaitych urządzeń Zakładu. Na głównym korytarzu utworzyły szpaler chłopczyki malutkie, sznurkiem; w wojskowym ordynku ustawił się ten biédny drobiazg, ubrany w zgrabne siwe mundurki z czerwonemi wyłogami, w furażerkach francuzkich, czysty, wymyty. schludny... Ośm dni dopiero przebywają sierotki w Zakładzie, a już zachowują się z aplombem studenckim, i już widać, że z tych malutkich rekrucików będą kiedyś dzielni żołnierze pracy... Twarzyczki jeszcze nędzne i blade; jeszcze spoczywa na nich ślad niedostatku i zaniedbania; w oku niektórych przebija ów smętny spokój, jakim odznaczać się zwykło spojrzenie niepieszczonéj może nigdy sieroty, na innych znać jeszcze trochę tęsknoty,.. po czém i za czém, któż wié? może za kątem wilgotnym jakiéjś nędznéj chatki, może za jakimś przyjacielem sieroctwa, za psem burkiem, który był jedynym towarzyszem igraszki chłopięcéj?...

Każde z tych dzieci ma swoję historyą, i jaką historyą! godną rzewnéj muzy Andersena lub serdecznego humoru Dickensa... Jedno z nich samiutkie, z węzełkiem mizernym wyprawione zostało z zachodniéj Galicyi do Drohowyża; samo przebyło daleką drogę, bez nikogo, z Aniołem-Stróżem tylko, i stanęło lękliwie u wrót gościnnych. Drugie chore, badane przez lekarza, jakby mu chciało ułatwić wyśledzenie choroby, rzekło z naiwną szczerością, rozdzierającą serce:

— Choram, bom nigdy nic nie jadła...

Po nabożeństwie udali się zgromadzeni do auli Zakładu, ozdobionéj zielonemi festonami. Na ścianach auli umieszczone są dwa obrazy, portrety Najjaśniejszego Pana i fundatora hr. Skarbka. Za gośćmi przybyły sierotki i ustawiły się wzdłuż ścian po obu stronach auli. Książe-kurator wystąpił na estradę i głosem, który drżał od szczerego wzruszenia, powitał zgromadzenie, otwierając uroczyście Zakład. Podniósł książe, jak piękną i zarazem rzewną jest dla niego ta chwila, kiedy po długich, a długich przeszkodach może oddać nareszcie krajowi skończone dzieło, którego przeprowadzenie powierzył mu ś. p. fundator. Oddając cześć hr. Skarbkowi, któremu nie dano było oglądać spełnienia swych wspaniałomyślnych zamiarów, wskazał na cnoty tego znakomitego obywatela, który całe swe mienie oddał dla kraju, który będąc panem wielkiéj fortuny, odmawiał sobie wszelkich przyjemności, wyrzekał się nawet dawnych nawyknień, byle pozostawić po sobie wspaniały pomnik ofiarności. Mało który kraj może się poszczycić takim mężem, mało który poszczycić się może takiém dziełem. Dopiéro w 27 lat po śmierci wielkiego obywatela, po zwalczeniu rozmaitych trudności powiodło się oddać te mury na pożytek ojczyzny. Z tych 27 lat minęło ośmnaście pra-

wie bez robót około zamierzonego dzieła. Dopiéro od r. 1866, od lat zatém dziewięciu, odkąd zarząd fundacyi przeszedł w wskazane statutami ręce, myśl Skarbka poczynała się stawać ciałem, aż teraz zamieniła się w dzieło o trwałym bycie. Dochody fundacyi w najlepszym są stanie, budowę gmachu wykończono bez zaciągnięcia długów, co więcéj nawet bez naruszenia rezerwowych funduszów, a to głównie dzięki łasce Najjaśniejszego Pana, który uwalniając fundacyę od ciężarów teatralnych, uwolnił ją od ciężkich a nieobliczonych kosztów. W końcu podziękował książe członkom dodanym, którzy pracowali nad wewnętrzną organizacyą Zakładu, a z osobna jéj prezesowi, dr. Euzebiuszowi Czerkawskiemu, i oddając Zakład na pożytek publiczny wezwał, aby go wszyscy obywatele kraju otaczali udziałem i opieką.

Po księciu kuratorze zabrał głos dr. Juliusz Czerkawski, członek rady administracyjnéj, i w dłuższém przemówieniu złożył hołd cieniom hr. Skarbka, wielbiąc ofiarność i cnoty obywatelskie, które natchnęły niezapomnianego fundatora myślą wzniesienia tego znakomitego pomnikowego Zakładu. Króciutko, pod widocznym wpływem głębokiego rozczulenia przemówił w końcu dyrektor Zakładu Juliusz Starkel, zapewniając, że tak on jak i jego pomocnicy wszystko uczynią, wszystkie siły wytężą, byle dopełnić trudnych zadań, jakie na nich spoczęły. Gdy p. Starkel skromnemi a pełnemi uczucia słowy polecił siebie i swych towarzyszy życzliwości publicznéj, odpowiedzieli mu zgromadzeni przeciągłą salwą oklasków, witając tym sposobem pana Starkla na nowém a ważném stanowisku, i wyrażając mu prawdziwą sympatyą, na jaką zasłużył sobie dotychczas swoją działalnością publiczną.

Po tym uroczystym akcie inauguracyjnym w auli rozpoczęło się zwiedzanie Zakładu.

Sam książe kurator podjął się roli *cicerona*. Z ujmującą grzecznością, z uprzejmą pamięcią o wszystkich i wszystkiém, niestrudzony mimo poważnego wieku, spełniał sędziwy książe obowiązki gospodarza. Dyrektor p. Juliusz Starkel i nauczyciele pomagają mu w tém zajęciu, i oto jeden szczegół domowych urządzeń po drugim zwraca na siebie zasłużoną i ciekawą uwagę gości. Gmach cały nie jest jeszcze gotowy, urządzenia wszystkie nie mogły być jeszcze wykończone, ale co już oddaném zostało do użytku, to jest doskonałém w swoim sposobie, obmyślaném umiejętnie i praktycznie, wykonaném podług najcelniejszych wzorów europejskich. Izby szkolne to prawdziwe modele, wywołujące zachwyt w starych pedagogach, czyste, jasne, pełne przestrzeni i powietrza, z ławkami według najnowszych i najlepszych przepisów nowożytnego szkolnictwa. Dormitarzyki małe i bardzo troskliwie a praktycznie urządzone, o łóżeczkach zgrabnych żelaznych, z pościelą skromną ale wygodną, a obok każdego łóżka szafka dla każdego malca jako schowek na garderobę.

Dostojny gospodarz zapraszał uprzejmie, szliśmy daléj i daléj po długich, szerokich, wesołych korytarzach, do których dużemi ok-

nami wpada widok dalekiéj zielonéj równiny z sinemi Karpatami na kończynie horyzontu i obfita struga dziennego światła i lazur szerokiego nieba. Tu w razie zimna i niepogody bawią się sierotki, tu arena wesołéj pustoty, jeśli powietrze nie pozwala przenieść igraszek w park świeżo założony przez p. Bauera ze Lwowa, park wielki a ożywiony prześliczną jak kryształ jasną szybą jeziorka, które ma pewne podobieństwo do Morskiego oka.

Dobrze tu będzie siorotkom. Dobrze im będzie, bo i czegóż im braknie? Jest wszystko co tylko być mogło. Sala szpitalna, łaźnia parowa, wanny i kąpiele tryskowe; wszystko to urządzone jest wybornie. Urządzenia gospodarcze, o ile są już gotowe, nie pozostawiają nic do życzenia. Pralnia, spiżarnia, kuchnia olbrzymia z ogromnemi kotłami i kolosalnym angielskim piecem, piekarnia z czeluścią ziejącą skwarem, z któréj właśnie sypały się bez końca wonne bochenki świeżo upieczonego chleba.

— W témże piśmie czytamy: „W Rymanowie w Galicyi, w listopadzie 1874 r., założona została przez hr. Stanisławę Potocką szkoła snycerska dla dzieci wiejskich. Szlachetna pani powzięła piękną myśl dać biédnéj ludności górskiéj, nie mogącéj się utrzymać ze skąpéj roli, zarobek, któryby nie odrywał jéj od kółka rodzinnego i zajęć domowych i nie zmuszał włóczyć się po świecie za kawałkiem chleba. W tym celu założona została wspomniona szkółka, w któréj wiejskie chłopaki pod kierownictwem fachowego robotnika, uczą się kozikami i różnemi najprostszemi narzędziami wyrzynać z drzewa najrozmaitsze przedmioty, zacząwszy od łyżek, grabek i prostych krzyżyków, aż do rozmaitych przedmiotów ze sferą sztuki graniczących. Na tegorocznéj wystawie Stanisławowskiéj widziano ramki rzeźbione rozmaitéj wielkości i różnych wzorów, krucyfiksy z muszlami na wodę święconą, kałamarze, podstawy do lamp, konsole i. t. p., a wszystkie te okazy ozdobione nieraz bogato misternie rzeźbionemi liśćmi, kwiatami i owocami, a niekiedy i figurami, świadczyły zarówno o guście tych, którzy dostarczali wzorów i poddawali pomysły młodym pracownikom, jak o niepospolitych, nieraz prawdziwie zadziwiających talentach tych ostatnich. Na każdym niemal przedmiocie wymieniono robotnika i czas jego nauki, nieraz bardzo krótki, gdyż sama szkoła istnieje od 10-ciu miesięcy dopiero, a szczegóły te stwierdzają ponownie przekonanie o zdolnościach spoczywających dotąd niestety, w zupełném uśpieniu między ludem, o których przedsiębiorcy zakrajowi nieraz wyrażali się z wielkiém uznaniem. Roboty wystawione przez szkółkę Rymanowską, wykonywają uczniowie jéj w domu lub na pastwiskach, strzegąc bydła, i zarabiają ze sprzedaży wyrobów w miarę zdolności 20—60 centów (24 grosze do 2½ złotych), a nawet i więcéj na dzień. Hr. Potocka podając powyższe szczegóły o szkółce swojéj, odzywa się zupełnie słusznie do kupców krajowych, aby składy swoje zaopatrywali w wyroby szkółki, nie ustępujące wyrobom drewnianym z Berchtesgadenu i innych okolic

Niemiec, a o wiele tańsze. Że wyroby szkółki téj będą pokupne i opłaci się utrzymywać je na składzie, można ztąd wnosić, że prawie wszystkie przedmioty nadesłane na wystawę stanisławowską, zostały w pierwszych dniach rozkupione. Szkółka Rymanowska przyjmuje chłopców zamiejscowych za opłatą 10 złr. miesięcznie na utrzymanie, i przy końcu 5 złr. za naukę dla starszego chłopca. Nauka trwa 3—6 miesięcy, stosownie do zdolności ucznia. Na przyszły rok ma być zaprowadzona w Rymanowie *nauka koronkarstwa* dla dziewcząt wiejskich. Dla chcących pójść za chwalebnym przykładem hr. Potockiéj, zarząd szkółki ofiaruje się służyć wszelkiemi informacyami. Czy znajdą się naśladowcy albo raczéj naśladowczynie? nie śmiemy przepowiadać, lecz gorąco życzymy sobie, aby tak było. Założenie takiéj lub podobnéj szkółki w innym kierunku, nic prawie nie kosztując, oprócz utrzymania chłopaka starszego, będącego instruktorem, byłoby dla wielu okolic podgórskich prawdziwém dobrodziejstwem, a zarazem aktem szczeréj dobroczynności, która nie na tém zależy, żeby biédnemu dać na wyżywienie, lecz raczéj na tém, aby go postawić w położeniu, żeby mógł sam sobie zarobić na nie, ażeby uczynić niepotrzebną dalszą jałmużnę i wydźwignąć bliźniego z poniżającego i demoralizującego w końcu położenia, jakiém jest utrzymywanie się ciągle z łaski drugich. Więcéj łez otrze niewątpliwie czyn chwalebny, jakiego przykład dała hr. Potocka, niż najhojniejsze jałmużny, czy to wprost dawane, czy zbierane przez składki, bale, koncerta i tym podobne środki."

— Z wydanego na rok szkolny bieżący programu odczytów na Uniwersytecie Lwowskim, podajemy następne szczegóły: Na wydziale prawniczym będą mieli odczyty pp. professorowie zwyczajni, nadzwyczajni, suplenci i prywatni docenci: Dr. Buhl zwyczajny professor, z historyi niemieckiego prawa państwowego, z niemieckiego prawa prywatnego, z europejskiego prawa narodów i z austryackiéj ustawy skarbowéj, wszystko w języku niemieckim; zwyczajny prof. dr. Źródłowski będzie miał odczyty: z instytucyi i historyi prawa rzymskiego i z rzymskiego prawa familijnego, w języku polskim; nadzwyczajny professor dr. Piętak będzie miał odczyty: z historyi źródeł i procesu cywilnego rzymskiego, o zapisach według prawa rzymskiego i o austryackiém prawie handlowém, wszystko w języku polskim. Prawo kanoniczne i historyę ślubów cywilnych wykładać będzie w języku polskim nadzwyczajny professor dr. Rittner. Zwyczajny prof. dr. Fangor wykładać będzie po polsku: powszechne prawo cywilne austryackie i polskie prawo prywatne; docent prywatny dr. Ogonowski wykładać będzie po rusku austryackie powszechne prawo prywatne; zwyczajny prof. dr. Biliński będzie miał wykłady z ekonomii społecznéj, w języku polskim; nadzwyczajny professor dr. Gryziecki będzie wykładał po polsku austryackie prawo karne i zasady prawa państwowego; prywatny docent dr. Jan Dobrzański wykładać będzie po rusku austryackie prawo karne; zwyczajny prof. dr.

Kabat będzie miał wykłady w języku polskim o ustawie sądowéj z uwzględnieniem reform w téj gałęzi prawodawstwa; prywatny docent dr. Balasits wykłada po polsku postępowanie cywilno-sądowe w sprawach spornych; nadzwyczajny prof. dr. Pilat naukę administracyi i prawo rolnicze; suplent dr. Weigel medycynę sądową, część biologiczną; suplent p. Koźma system umiejętności rachunkowéj z zastosowaniem do gospodarstw rządowych, system rachunkowości pojedyńczéj i podwójnéj kupieckiéj z zastosowaniem do gospodarstw zarobkowych, historyą i literaturę umiejętności rachunkowéj; nareszcie prywatny docent p. Kulczycki będzie wykładał zasady rachunkowości ogólnéj. Prócz tego odbywać się będą publiczne ćwiczenia seminarzyckie pod kierownictwem professorów pp. Buhla, Bilińskiego, Piętaka i Pilata.

Na wydziale filozoficznym wykładać będą przedmioty filozoficzno-historyczne: zwyczajny professor dr. Czerkawski: etykę, zasady dydaktyki i o poetyce Arystotelesa po polsku; zwyczajny prof. dr. Liske: historyą powszechną od połowy XV wieku, dyplomatykę, ćwiczenia z dziejów powszechnych, po polsku; zwyczajny prof. dr. Szaraniewicz wykładać będzie po polsku historyą austryacko-węgierskiéj monarchii, a po rusku historyą Rusi Czerwonéj z XVII stulecia. Z przedmiotów filologicznych bądą wykładać: zwyczajny prof. dr. Węclewski encyklopedyą i metodologię filologii klassycznéj i literaturę rzymską, a w seminaryum filologicznem będą objaśniane „chóry z Sofoklesa Elektry," tudzież odbywać się będzie wykład Cycerona mowy *Pro Archia poeta.* Wszystko po polsku. Dr. Pilat historyą literatury polskiéj od roku 1650—1740 i o najdawniejszych pomnikach języka polskiego. Dr. Ogonowski wykładać będzie po rusku: Objaśnienia kroniki Nestora, historyą literatury ruskiéj w XI i XII stulecia, i słowiańską mitologię; zwyczajny prof. dr. Janota wykładać będzie po niemiecku historyą literatury z XVII stulecia a w niemieckiém seminaryum: *Hartmann von der Aue.*

Z przedmiotów matematycznych i przyrodniczych będą wykładać po polsku: zwyczajny professor dr. Zmurko: O rachunku różniczkowym i całkowym; o zastosowaniu rachunku infinityzymalnego do geometryi; zwyczajny prof. dr. Stanecki: o galwanizmie; o zasadniczych prawach mechaniki; fizykę doświadczalną dla farmaceutów; nadzwyczajny prof. dr. Fabian: mechanikę ogólną, optykę teoretyczną, teoryą zasadniczych działań algebraiczuych z zastosowaniem do rozwiązania równań; zwyczajny prof. dr. Kreutz: mineralogią ogólną i szczegółową; zwyczajny prof. dr. Ciesielski: o roślinach skrytopłciowych, ćwiczenia w mikroskopowaniu; kurs mikroskopijny dla farmaceutów; dysputatoryum botaniczne; anatomią pszczoły; prywatny docent dr. Tangl: ogólną anatomią roślin cewkowych i patologię roślin; zwyczajny prof. dr. Radziszewski: chemię ogólną nieorganiczną, historyą pojęć chemicznych od czasów Lavoisiera i chemię farmaceutyczną; prywatny docent dr. Grabowski chemię ogólną

i analityczną. Prócz tego udzielać będzie na wydziale filozoficznym p. Olewiński nauki stenografii polskiéj i ruskiéj; p. Kropiwnicki nauki języka angielskiego; p. Amborski nauki języka francuzkiego; dr. Piasecki wykładać będzie teoryą i historyą gimnastyki.

W półroczu letniém 1875 roku było na wydziale teologicznym przy wszechnicy lwowskiéj ogółem 210 słuchaczy, a mianowicie: 186 zwyczajnych a 24 nadzwyczajnych; 42 Polaków a 168 Rusinów; 63 służyło w wojsku. Na wydziale prawniczym było ogółem 522 słuchaczy; 503 zwyczajnych a 19 nadzwyczajnych: 328 Polaków, 141 Rusinów, 43 Niemców (izraelitów); 33 służyło w wojsku jako jednoroczni ochotnicy. Na wydziale filozoficznym było ogółem 158 słuchaczy; 132 zwyczajnyah, 2 nadzwyczajnych i 24 farmaceutów; 105 Polaków, 49 Rusinów, 3 Niemców i 1 Ormianin; 12 służyło w wojsku. Na wydziale prawniczym było 67 a na wydziale filozoficznym 33 stypendystów. Wszechnica lwowska liczyła w letniém półroczu 1875 roku ogółem 890 słuchaczy: z tych służyło 108 w wojsku.

— Biblioteka uniwersytecka we Lwowie. Uniwersytet lwowski wraz z biblioteką założył cesarz Józef II w roku 1784. Pierwszy zawiązek téjże biblioteki stanowi dar biblioteki Garellego. Pius Mikołaj Garelli rodem z Rumunii, z zawodu lekarz, był prefektem biblioteki nadwornéj, i sam znakomity zbiór książek posiadał, których część (2314 tomów) darował bibliotece nadwornéj; resztę zaś odziedziczył syn jego, i przekazał na użytek publiczny. Marya-Teresa oddała wspomniony zbiór (11,000 dzieł) do akademii terezyańskiéj, a cesarz Józef następnie przeznaczył go dla nowo założonéj biblioteki uniwersyteckiéj we Lwowie. Z bibliotek po zniesionych klasztorach w Galicyi za cesarza Józefa II-go, zwieziono do Lwowa około 40,000 tomów. Jednę część tych książek przeznaczono dla biblioteki nadwornéj w Wiedniu, inną dla liceów, najważniejszą dla biblioteki uniwersyteckiéj lwowskiéj. Dublety zaś i dzieła podrzędnéj wartości sprzedawano przez licytacyą publiczną. Jak wielką ilość cennych dzieł w tych bibliotekach znaleziono, dowiadujemy się z katalogów licytacyjnych. Januszowskiego statut (Kraków, 1600) poszedł za 2 złr. 1 kr.; Okólskiego: Orbis Polonus (Crac. 1641—45) tomów 3 za 15 złr. Z darów znakomitszych wypada tu wymienić dar rodziny Treterów i dar Józefa hr. Kuropatnickiego z r. 1832 i 1833. Dotacyi stałéj do r. 1826 na zakupno książek, oprawę i wydatki kancelaryjne, było 426 złr., w którymto roku podniesioną została do 1,000 zł. reńskich.

Tym sposobem nowo powstała biblioteka wzrastała szybko; w r. 1818 liczyła już 36,000 tomów, a w październiku 1848 r. 51,082 i została umieszczoną w kościele trynitarskim, a uniwersytet w zabudowaniach klasztornych tegoż zakonu. Podczas bombardowania d. 2 i 3 listopada 1848 r. spaloną została i biblioteka, a z owéj liczby 51,082 tomów, pozostała zaledwie czwarta część, bo około 13,000 tomów. Z 2,230 numerów zbioru artystycznego, pozostało po spale-

niu tylko 115; gabinet numizmatyczny liczący 12,000 monet i medali, stracił 2,525 sztuk. Pozostałą resztę przeniesiono do gmachu namiestnikowskiego, później do klasztoru Dominikanów, zkąd przeniesiono ją nareszcie w r. 1852 do gmachu uniwersyteckiego, gdzie dotąd pozostaje. Ówczesny bibliotekarz, dr. Stroiński, i teraźniejszy dr. Urbański, nadludzkiém prawie wysiłeniem przeprowadzili w krótkim stosunkowo czasie organizacyę biblioteki. Rząd, kraj i osoby prywatne, otaczają odtąd pieczołowitością tę instytucyę. Rząd zaraz po spaleniu, wyznaczył nadzwyczajną dotacyę na pięć po sobie następujących lat po 3,000 złr. rocznie, a od 1870 podwyższono dotacyę bibliotekom uniwersyteckim na 4,000 złr. Do stałéj dotacyi należą także i taksy immatrykulacyjne, co rocznie około 600 złr. wynosi. Zaraz po spaleniu, zakupił rząd dla téjże biblioteki księgozbiór Kurzmeyera w Wiedniu, a nadworna biblioteka i Zakład narodowy Imienia Ossolińskich darowały swe duplikaty.

Z osób prywatnych znaczniejszemi darami wzbogacili bibliotekę: Filip Kulik, prof. uniwersytetu prazkiego (498 dzieł w 1,000 tomach, przeważnie treści matematycznéj); hr. Stanisław Dunin, autor dziełka „o obowiązkach bibliotekarza“ (5,000 tomów treści przyrodniczéj, historycznéj, bibliograficznéj i literatury klassycznéj, w językach: angielskim, francuzkim i niemieckim). W ostatnich czasach biblioteka otrzymała cenne księgozbiory po Wernickim i od p. Młockiego Alfreda. Przy bibliotece znajduje się gabinet numizmatyczny, liczący 10,350 sztuk monet, przeważnie starożytnych. Z końcem r. z. liczyła biblioteka uniwersytecka 63,164 tomów.

— Dr. Izydor Szaraniewicz wydał we Lwowie zajmującą i ważną pracę naukową p. n. „Rzut oka na beneficya kościoła Ruskiego za czasów Rzeczypospolitéj polskiéj.“ Jest to rzecz napisana z głęboką erudycyą, z szeroką znajomością źródeł, z których wielę dopiero autor pierwszy odkrył i zużytkował, a do tego ze spokojem beznamiętnym, jak przystało poważnemu badaczowi.

— Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu. Na posiedzeniu wydziału historycznego w październiku r. b., na wniosek prezesa p. Koźmiana, uchwalono odnieść się do zarządu Towarzystwa z prośbą aby się zajął uczczeniem ś. p. Ignacego Krasickiego, przez postawienie mu pomnika, lub umieszczenie tablicy w Katedrze gnieźnieńskiéj gdzie zwłoki jego spoczywają. Daléj, uchwalono także odnieść się do zarządu, o uczczenie pamięci Stanisława Staszica, przez umieszczenie odpowiedniéj tablicy, w kościele w Pile, jako miejscu jego rodzinném. Poczém wybrano na rok przyszły na prezesa wydziału historycznego p. Stanisława Koźmiana, a na sekretarza dr. Szulca. Następnie ks. Chotkowski czytał swoją rozprawę o Wacławie Potockim i pismach jego, w któréj naszkicował stan ówczesnéj literatury w Polsce, podał wiadomość o życiu Potockiego, i treść oraz charakterystykę pism jego. W końcu wybrano komissyę do oceny prac, które wejść mają do przyszłego Rocznika Towarzystwa.

— Stefan Remak, rodem z Poznania, w bardzo młodym wieku przybył do Ameryki; dzięki zdolnościom, pracy i wytrwałości, doszedł do tego, że został mianowany, za Lincolna, konsulem Stanów Zjednoczonych w Tryeście. Będąc na téj posadzie, wydał we francuzkim języku, w Paryżu, w r. 1865 bardzo cenne dzieło: *La paix en Amérique.* Obecnie jest on jednym ze znakomitych adwokatów Filadelfii i członkiem komissyi przygotowującéj wystawę powszechną.

— Z powodu obchodu w Ferrarze, 400 rocznicy urodzin Ariosta, p. Matakięwicz sędzia powiatowy w Niepołomicach, pragnąc przypomnieć Włochom jak literatura ich była niegdyś w Polsce cenioną, przesłał za pośrednictwem posęlstwa włoskiego w Wiedniu, Komitetowi obchodu jubileuszowego, przekład „Orlanda szalonego" dokonany przez Piotra Kochanowskiego, który przy przekładzie 25-téj pieśni życia dokonał. Komitet umieścił nadesłany sobie przekład w bibliotece miejskiéj w Ferrarze.

— We Florencyi pan Artur Wołyński wynalazł 150 całkiem nieznanych dokumentów o Galileuszu, a przytém oprócz gotowego już do druku obszernego dzieła w dwóch tomach in 8-vo: *Jan Kazimierz* i *Medyceusze jako kandydaci do tronu polskiego,* wykończa następne monografie: *Stosunki Władysława IV ze Stolicą Swiętą; Jan Ciampoli, historyk Władysława IV; Ojciec Valeriano Magni, dyplomata Zygmunta III i Władysława IV.*

— W Paryżu, znany autor Lacroix, piszący pod pseudonimem: *Lé bibliophile Jacob,* wydał książkę p. n. „*Mystificateurs et mystifiés*, w któréj opowiada komiczne figle dwóch sławnych, nałogowych dowcipnisiów: oficera hr. de Piles i bogatego fantasty Grimod de la Reyniere, którzy złośliwością swych konceptów i zuchwalstwem w mistyfikowaniu najrozmaitszych ludzi, rzucali postrach formalny na paryzkie towarzystwo. Lacroix poświęca swoją zabawną książkę Polce, pani Aleksandrynie Ciechanowieckiéj, wyrażając w pochlebnych słowach dla niéj swoje uwielbienie.

— W Pradze Czeskiéj wyszła pierwsza część czwartego tomu „Dziejów Austryi od upadku powstania wiedeńskiego w październiku 1848 roku" przez barona Józefa Aleksandra Helferta. Pierwszy tom tego dzieła, rozpoczętego na wielką skalę, ukazał się w roku 1869. Część obecnie wydana, obejmuje trzy główne działy: 1) Ogólne położenie międzynarodowe i dyplomatyczne stosunki Austryi pod koniec 1848 roku. 2) Kwestya węgierska w przededniu rozwiązania. 3) Wkroczenie wojsk cesarskich do Węgier. Autor był docentem przy wydziale prawnym Uniwersytetu Jagiellońskiego; nieznalazłszy uznania jakiego się spodziewał i pragnął, powziętą ztąd niechęć do Polaków w swoich pismach dobitnie wykazuje. Krytyka zarzuca mu wiele niedokładności i brak wyższego poglądu historyka, ale zarazem przyznaje, iż zawiera niemało ważnych przyczynków do nowoczesnych dziejów Austryi, a czerpanych z niedostępnych dotąd źródeł.

— Znany zaszczytnie dyrektor archiwum państwa austryjackiego i historyk, Alfred von Arneth, wydał jako dalszy ciąg swych: *Dziejów Maryi Teressy*, w dwóch tomach, *Historyę wojny siedmioletniéj*, wzór sumienności pod względem badań historycznych, stanowiska, z jakiego autor ludzi i wypadki ocenia. Historyograf ten austryacki, oddaje najzupełniéj sprawiedliwość energii i talentom Fryderyka II, co naturalnie nie przeszkadza prawdzie, iż niedołężne i zależne od wiedeńskich wskazówek prowadzenie wojny, że zła wola i niezdolność generałów koalicyjnych, w ostateczném powodzeniu Fryderyka II, równą prawie co geniusz jego wojenny i polityczny, odgrywają rolę.

Równocześnie ogłosił w dwóch wydanych dotąd tomach hanowerski historyk, Onno Klopp, na podstawie papierów po słynnym Leibnitz'u, *Historyę upadku Stuartów i wyniesienia domu hanowerskiego na tron angielski.* Opowiadanie autora, mające zasługę, iż nie ograniczając się jedynie tylko na sprawach saméj Anglii, wciąga w swój zakres współczesne dzieje całéj Europy, sięga w dwóch tomach aż do zgonu Karola II, czyli aż do roku 1685, nie obejmuje więc jeszcze katastrofy Jakóba II. Autor stoi na stanowisku katolickiém i sympatyczném rodzinie Stuartów.

— Bezimienny autor wydał w Bonnie ważną dla dziejów Rossyi w XVIII wieku broszurę, pod tytułem: *Die Kronprinzessin Charlotte von Russland.* Jest to życiorys żony Wielkiego Księcia Aleksego, syna Piotra Wielkiego, podług jéj własnych, w archiwum brunświckiém zachowanych listów, a rzuca ciekawe światło na stosunki dworu petersburskiego między rokiem 1707 a 1715.

✝ Dnia 27 października r. b. umarł w Warszawie ***August Jeske,*** autor wielce pożytecznego wydawnictwa p. n. *Systematyczny kurs nauk, przeznaczony do pomocy w wychowaniu domowém dla dzieci od lat trzech do 15.* Wartość tych jedenastu książeczek, oprócz prassy krajowéj, oceniły należycie matki polskie i nauczycielki, całe bowiem wydanie w 2000 egzemplarzy w krótkim czasie wyczerpane zostało. W nich mieści się i większych rozmiarów *Pedagogika.*

Jeske urodził się d. 6 września 1836 r. w Trzemesznie w Wielkiém Księztwie Poznańskiem, w tém rodzinném mieście ukończył szkoły, a wyższe pobierał nauki na Uniwersytecie Berlińskim, poświęcając się studyom filologiczno-historycznym. Obok tego zwracał pilną uwagę na pedagogikę w zastosowaniu do praktycznego wykładu. Z myślą o poprawie wychowania pierwotnego w r. 1865 przybył do Warszawy, i szczęśliwie natrafił na Stanisława Arcta księgarza lubelskiego, który dorazu, oceniając całą ważność pomysłów Jeskego, nietylko gorąco je popierał, ale i materyalnie dopomógł, ażeby doprowadzić do skutku.

Oddawna autor trawiony chorobą piersiową, zapadł ciężko w r. b.; pomimo to na łożu śmiertelném ukończył nowy *Elementarz polski*, znajdujący się obecnie w druku. Praca ta, wraz z *Pedagogiką* stanowi w *systematycznym kursie nauk* główną podstawę wychowania rodzinnego i dalszych jego reform niezbędnych. Zwłoki zacnego pracownika spoczęły na Cmentarzu Powązkowskim.

— Dnia 6 listopada r. b. w Warszawie zakończył życie ***Wojciech Korneli Stattler***, artysta malarz, b. professor Uniwersytetu Jagiellońskiego i Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie. Liczył lat 75 wieku.

W pierwszéj połowie naszego stulecia, Stattler zajmował znakomite stanowisko w Krakowie i niemałe oddał usługi sztuce krajowéj. O tych zasługach zgasłego artysty wspomniało już nasze pismo (zeszyty z września i października r. b.) drukując rozprawę professora Wł. Łuszczkiewicza: „Przegląd krytyczny dziejów Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie.“ Żył w bliskich stosunkach przyjaźni z Mickiewiczem i Słowackim, jak wielu znakomitemi mężami z upłynionego okresu. Od r. 1862 stale zamieszkiwał w Warszzwie i w sędziwych latach spisywał swoje wspomnienia, z których ustępy drukowało czasopismo *Kłosy*. W *korrespondencyi Mickiewicza* ogłoszonéj znajdujemy kilka listów wielkiego poety pisanych do W. K. Stattlera. W dziejach sztuki krajowej, trwałe on po sobie zostawia wspomnienia. Spoczywa także na pomienionym cmentarzu.

Zestawienie przedmiotów zawartych w 136 tomach Biblioteki Warszawskiéj z lat 1841—1874. Przez Karola Estreichera. W Krakowie, w drukarni Leona Paszkowskiego. (W 8-ce str. VII, 319). Na czele redakcya w treściwym zarysie podaje w tym spisie bibliograficznym, wiadomość o piérwotnym zawiązku swego pisma i piérwszych założycielach, a zarazem o powiększoném gronie współredaktorów aż do roku bieżącego. Wydanie całe odbito w 500 egzemplarzach. Autor tak mozolnego dzieła w przedmowie pisze o swéj pracy: „Oddawała mi ona od lat dziesiątka nieustanną przysługę, a widząc jéj praktyczną dogodność, oddałem ją chętnie na użytek redakcyi Biblioteki, wyrażając tém życzliwość moją pismu, które uznaję za stojące na czele wszystkich publikacyi literackich polskich, dzierżące zawsze z godnością pióro dla pożytku oświaty krajo-

wéj, najstarsze w dzisiejszéj rzeszy pism, a zarazem najchętniejsze w przygarnianiu mężów istotnéj pracy i talentu."

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Cena egzemplarza rs. 1, kop. 50 (złotych 10).

OD REDAKCYI.

Biblioteka Warszawska, pismo poświęcone naukom, literaturze, sztuce i przemysłowi, rozpoczynając rok trzydziesty piąty swego istnienia, wychodzić będzie jak dotąd i w roku 1876, raz na miesiąc zeszytami, obejmującemi najmniéj dziesięć arkuszy druku.

Wobec ożywionego ruchu prassy krajowéj i potrzeb spółczesnych, redakcya dla nadania odpowiedniego rozwoju swemu organowi, przybrała nowe siły do grona współpracowników, z którymi dążąc stale, jak zawsze za postępem wiedzy, pozostanie wierną zasadom i tradycyom, wpośród których jéj pismo powstało, prowadzoném było i będzie.

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger*

W drukarni J. Bergera, w Warszawie przy ulicy Elektoralnéj Nr. 14.

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Ноября 1875 года.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM.

Z R. 1875.

—

stron

Historya.

Społeczność Warszawy w początkach naszego stólecia. (1800—1830) Przez K. Wł. Wójcickiego. 161, 385

Dawne prawo polskie.

Prawo polskie w wieku XIII, przedstawił i objaśnił ze źródeł współczesnych Romuald Hube. Przez Michała Bobrzyńskiego. . . . 1

Literatura.

Obrazy ze współczesnéj literatury niemieckiéj. Przez Feliksa Jezierskiego. 45, 231, 372

KRONIKA ZAGRANICZNA LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Korrespondencya Stanisława Augusta z panią Geoffrin, wydana z archiwów, przez p. Mony.—Nowe utwóry poetyczne: poezye Armanda Sylwestre z przedmową p. Georges Sand.—Loeta-moesta (smutno-wesołe) p. Darasse.—Illusions p. Cosalis.—Dyonizya p. Andreani.—Poezye nowe p. Millieu.—Grób Micheleta.—Teatr: Jan Bosy (Jean-nu-pied) dramat czteroaktowy wierszem, p. Alberta Delpit.—Hanz Christian Andersen.. 107

Nowe dzieło Wiktora Hugo: Avant l'Exil.—Mowa akademicka: pochwała Lemerciera.—Listy Merimego do nowéj nieznajomej.—Pani Delfina Girardin, jako publicystka i poetka, przez Imbert de Saint Amand.—Konferencya pana Leouzon le Duc, o kobietach skandynawskich i finlandzkich.—Sąd p. Cuviller Fleury,

stron.

o korrespondencyi Stanisława Augusta z panią Geoffrin.—Obyczaje Bearnów, przez p. Raimond.—Czarownice z Bearnu p. Lespy.—Uroczystości pamiątkowe na cześć Chateaubrianda, Argota, Michała Anioła i t. d.—Pomnik wzniesiony we Florencyi Michałowi Aniołowi.—Obrazek dramatyczny, odegrany w paryzkiém Wodewillu: Madame Lilli, przez p. Marc Monnier.. 246

Tyrol i Tyrolczyki: Andreas Hoffer.—Słowianie tureccy: Bośnia i Hercegowina, według Geografii Powszechnéj Elizeusza Reclus.—Dzieło p. Dozon: Pieśni ludu Bulgarskiego, wydane w Wiedniu z tekstem oryginalnym.—Rozboje we Włoszech, od najdawniejszych czasów aż do dni naszych, przez Armanda Dubarry.—Pornokracya, czyli kobiety nowoczesne, dzieło pośmiertne Prudona.—Psychologia ludów nowożytnych, dzieło pośmiertne Filareta Chasles.—Pieniężna piekareczka, komedyo-opera pp. Meilhac i Halevy, z muzyką Offenbacha.—Nowe powieści Georges Sand: Flamarande i Dwaj Bracia.—Poszukiwania Stanleya w Afryce Środkowéj.—Dwa dzieła alegoryczne: Republika Marcina p. Rambaud, i Podróż Lorda Humour do kraju Retrogradów p. Thiandiere. —Pomnik Roberta Bruce w Stirlingu.— Dykcyonarz Littrego, w jednym tomie, skrócony przez professora Beaujeau.—Dykcyonarz starożytności greckich i rzymskich.—Zmarły rzeźbiarz Jan Carpeaux —Posiedzenie doroczne pięciu Akademii, składających Instytut Francuzki. 431

Literatura zagraniczna. 298

O szkołach i szkolnictwie polskiém. Rzecz czytana w Towarzystwie pedagogicznem lwowskiém. Przez Władysława Zawadzkiego. . 357

Postępy wiedzy o Słowiańszczyźnie w Rossyi w latach 1860—1872. Wedle sprawozdania prof. Kotlarewskiego. 403

Biografia.

Łukasz Górnicki. (Kilka szczegółów nieznanych). Przez Aleksandra Wejnerta. 422

Sztuki piękne.

Przegląd krytyczny dziejów szkoły sztuk pięknych w Krakowie. Przez Wł. Łuszczkiewicza. (Dokończenie). 45

Powieść.

Z siedmioletniéj wojny Opowiadanie historyczne. Przez J. I. Kraszewskiego. (Dokończenie). 78, 187, 315

stron.

Podróże.

Pamiętnik z pobytu w Ameryce. Przez Krystynę Narbuttównę. (Dokończenie). 20
O zasłudze naukowéj ziomka naszego Kubarego. Przez A. W. . . 226

Nauki przyrodzone.

Z dziedziny przyrodoznawstwa. Fotografia i jéj stosunek do astronomii.—Prace dokonane na polu fotografii astronomicznéj. Obserwatorya astronomiczne w Stanach Zjednoczonych i Ameryce Południowéj.—Obserwatorya europejskie. Przez T. Skomorowskiego. 276
Z dziedziny przyrodoznawstwa. „Księżyc uważany jako planeta," dzieło Nasmytha i Carpentera.—Ostatnie rezultaty naukowe dotyczące budowy i natury towarzysza ziemi.—Budowa fotosfery słonecznéj.—Obrot planet.—Planetoidy odkryte w latach 1873/4.—Nowa klassyfikacya komet Proctora.—Komety 1874.—Świetna kometa Coggia.—Miscellanea. Przez T. Skomorowskiego. . 456

Rozbiory krytyczne i sprawozdania z ważniejszych dzieł wszelkiéj treści, tak krajowych jak zagranicznych.

Symbolical Centenary Chart of American History. Published by J. Horain et comp. 116 Fulton N(ew)Y)ork). Przez Ernesta Świeżawskiego. 137
Teorya stylu polskiego, napisana przez Józefę Kamocką b. nauczycielkę gimnazyum żeńskiego. Warszawa 1875 r. Przez F. J. . . 147
Obrazki Syberyi, przez Ludwika Niemojewskiego. Illustrował M. Andriolli. Warszawa, nakładem i drukiem J. Ungra 1875 r. (w 8-ce str. 497). Przez W. 150
Słowniczek łacińsko-polski wyrazów prawa magdeburskiego z wieku XV, przedruk homograficzny z kodeksu Kórnickiego objaśnił dr. Zygmunt Celichowski. Poznań, nakładem biblioteki Kórnickiéj. 1875, (w 8-ce str. 16 i 12 podobizny). Przez R. 155
Kilka kwestyi, jako uzupełnienie zagadnień i kierunków, przez L. Szczerbowicza-Wieczora. Warszawa. Część I, 1874, część II, 1875 rok Przez A. 286
Illustrowany Przewodnik po Krakowie i jego okolicach, z dodaniem wszelkich wiadomości i objaśnień potrzebnych dla podróżnych, oraz opisu wszystkich znaczniejszych zdrojowisk w Galicyi, ozdobiony 30 rycinami oraz planem miasta Krakowa. W Krakowie, nakładem księgarni i wydawnictwa „Czytelni ludowéj" A. Nowoleckiego, 1875 r. (w 16-ce str. XLVI, 174—88). Przez W. W. 291

stron.

Geografia Galicyi, podręcznik dla uczniów seminaryów nauczycielskich i dla nauczycieli szkół ludowych i wydziałowych. Ułożył Lucyan Tatomir starszy nauczyciel Seminaryum męzkiego we Lwowie. We Lwowie 1874 r., nakładem Karola Wilda, z godłem na czele: „Cudze wiedzieć rzeczy ciekawość jest: a swoje potrzeba.“ Fredro, przysłowia. (W 12-ce str. XVI,—262). Przez W. . . 292

Julian odstępca tragedya w pięciu odsłonach, napisał R. S. Odessa, czcionkami drukarni słowiańskiéj, 1875 r. 295

Stosunek mego „Zarysu dziejów literatury polskiéj“ do badań i pomysłów dra. Antoniego Małeckiego. Rzecz z powodu artykułu „Tygodnia“ w osobistéj obronie napisana przez Adama Kuliczkowskiego. We Lwowie, nakładem Karola Wilda 1875 r. (w 8-ce stron. 32). Przez R. 297

Pamiętnik akademii umiejętności w Krakowie, wydział filologiczny i filozoficzno-historyczny. Tom drugi, Kraków 1375 r. Przez A. 470

Listy z Czech przez Adolfa Smorczewskiego. Nakład redakcyi Gazety Polskiéj, (Warszawa 1873 rok. w 12-ce str. 299). Przez K. Wł. W.. 477

Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitéj Polskiéj i t. d. Tom V, we Lwowie 1875 r. Przez F. Z. 484

Schiern Ueber den Ursprung der Sage von den goldgrabenden Ameisen, przekład z Rozpraw Towarzystwa Naukowego Duńskiego. Lipsk i Kopenhaga 1873. (str. 53). Przez J. K. 487

Czytania Religijno-Moralne dla młodych osób, przez Felikse Eger, autorkę Katechizmu dogmatyczno-historycznego. Warszawa. (Nakładem autorki). W drukarni Instytutu Warszawskiego Głuchoniemych i ociemniałych, 1875 rok. (W 12-ce str. 165). Przez W. 491

„Podarek dla grzecznych i pilnych dzieci.“ Książeczka abecadłowa, przez Teofila Nowosielskiego ułożona i zawierająca początki nauki czytania, oraz światek dziecięcy w powiastkach, bajeczkach i piosenkach. Z 60 drzeworytami w tekscie. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda synów. 1876, (w 4-ce str. 128). Przez K. 492

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE. 156, 301, 493

NEKROLOGIA. 160, 313, 508

OD REDAKCYI. 313, 510

SPROSTOWANIE 318

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.